ILUSTROWANY KALENDARZ ZWIĄZKOWY

P. N. A. ALMANAC

75-LECIE

50-LECIE

25

NA ROK 1955

CENA $1.50

16½ Miliona Dolarów Majątku

Przynieście Wasze Pieniądze



FRANK NOWAK
Były DYREKTOR Z.N.P.
przez 13 lat.

i otwórzcie sobie konto w Liberty. Tu gdzie wasze pieniądze przyniosą znaczny dochód (3% bieżąca rata), z zapewnionym bezpieczeństwem. Wszystkie konta są ubezpieczone do $10,000.

W razie potrzeby możecie wycofać swoje oszczędności.

Płacimy 3% Bieżąca Rata Dywidendy

OSZCZĘDZAJCIE PRZEZ POCZTĘ

Od swego założenia w roku 1898 Spółka LIBERTY przetrzymała wszystkie paniki i kryzysy i NIGDY nie była Zamknięta



Udzielamy Pożyczki Na Domy Na Łatwe Miesięczne Spłaty

LIBERTY SAVINGS and LOAN ASS'N OF CHICAGO



LIBERTY BUILDING

2056 N. Damen Ave.

Phone EVerglade 4-4000

F. J. STERMER, Prezes — FR. NOWAK, Sekr.-Skarbnik

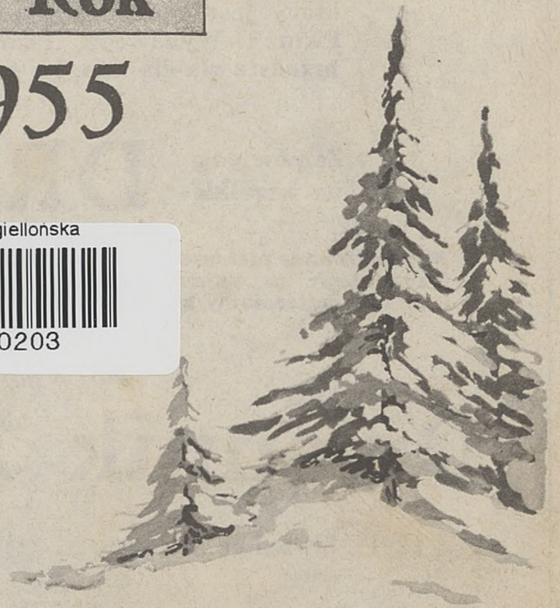
LIBERTY SŁUŻY SWOIM AKCJONARIUSZOM PRZEZ 56 LAT.
GODŻINY BIUROWE:
Poniedziałki od 9-ej rano do 8-ej wieczorem. W piątki od 9-ej rano do 7-ej wieczorem.
Wtorki, Środy, Czwartki i Soboty od 9-ej do 1-ej po poł.
CAŁA DYREKCJA SKŁADA SIĘ Z POLAKÓW.





Kalendarz Związkowy

Na Rok 1955



WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS

Zawsze Na Czele—

Dziennik Związkowy

WYDAWANY PRZEZ KORPORACJĘ WYDAWNICZĄ Z. N. P.
ALLIANCE PRINTERS AND PUBLISHERS, Inc.



Podaje wiadomości z pierwszej ręki, mając obsługę telegraficzną i połączenie z całym światem. Dziennik Związkowy stoi niezachwianie na gruncie narodowym i dzielnie broni spraw ludu, któremu służy.

Sobotnie Wydanie Posiada Sekcję Ilustracji w Kolorach

Zawiera: zdjęcia fotograficzne z najważniejszych wydarzeń w życiu Polonii Amerykańskiej, zdjęcia fotograficzne z wielkich wydarzeń w naszych organizacjach polskich, zdjęcia fotograficzne ze zniszczeń w Polsce, zdjęcia fotograficzne z ważnych wypadków w całym świecie, zdjęcia fotograficzne od naszych korespondentów fotografów. Sensacyjne wypadki, katastrofy, sport, mody, piękno natury — w pięknych, artystycznych obrazach! Jedyne pismo polskie w Ameryce, posiadające taki dodatek fotograficzny co sobotę!

DZIENNIK ZWIĄZKOWY wobec olbrzymiej cyrkulacji, która jest sprawdzaną przez Stow. Amerykańskie Wielkich Firm i Wydawców Pism "Audit Bureau of Circulation," przedstawia dla kupców nieocenione medium do ogłaszania się.

Zamówienia na wszelkie **DRUKI** **w języku polskim lub angielskim**

Wykonanywane fachowo przez unijnych drukarzy po cenach przystępnych. Zamówienia przyjmujemy na najmniejsze lub najwykwitniejsze druki w jednym lub więcej kolorach, dostarczamy klisz i t. d.

Adresować wszelkie listy:

Dziennik Związkowy

1201 Milwaukee Avenue **Chicago, (22) Illinois**

UNIJNA DRUKARNIA

Graficzne Zakłady Pism Związkowych



GMACH WYDAWNICTW ZWIĄZKOWYCH

w którym mieszczą się biura administracji, redakcji, zakłady graficzne, gdzie na pospiesznych maszynach drukuje się ZGODA TYGODNIOWA I DZIENNIK ZWIAZKOWY, zaś na litograficznej maszynie drukują się książki i na której był drukowany kalendarz ścienny i książkowy.

DRUKI Dla kupców i przemysłowców, dla poszczególnych osób i towarzystw wykonujemy szybko, gustownie i tanio, ponieważ nowoczesne urządzenia nam na to pozwalają. Jeżeli zatem potrzebujecie jakichkolwiek druków, jak: papiery listowe, koperty, zaproszenia na wszelkie okazje, pamiętniki, programy, konstytucje, cyrkularze, pamflety, formularze, bilety i t. d., w języku angielskim lub polskim, zamawiajcie u nas z całem zaufaniem, pisząc na adres:

DRUKARNIA PISM ZWIĄZKOWYCH

1201 N. Milwaukee Ave. Chicago, (22) Illinois

ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI



W Dniu 31-go Grudnia, 1953 Roku

Liczył członków . . 336,644
Posiadał zasobów $69,206,480.38
Suma Ubezpieczenia . . . $243,270,976.00
Wypłacił do dnia 31-go grudnia, 1953
Benefitu pośmiertnego $67,353,984.08
Dywidendy Członkom 592,316.42
Na cele narodowe, zapomogowe, społeczne i oświatowe 10,490,967.07

Razem wypłacił . $78,437,267.57

ZARZĄD Z. N. P.

B. F. GUNTHER — Cenzor
K. ROZMAREK — Prezes
A. S. SZCZERBOWSKI — Sekretarz Jeneralny
J. HABUDA — Wicecenzor
FRANCISZKA DYMEK — Wiceprezeska
M. TOMASZKIEWICZ — Kasjer
DR. STEFAN F. LISOWSKI — Wiceprezes

DYREKCJA

STEFANIA GONDEK
G. J. WROST
HENRYK DUDEK
A. A. MAZEWSKI
J. ULATOWSKI
J. P. RUDEK
KAT. ZIEMBA-DIENES
WŁADYSŁAW PAŚCIAK
ANNA ZDUNEK
DR. M. W. MAJCHROWICZ

DR. W. A. SADLEK
Lekarz Naczelny

Na Nowy Rok

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Nie bądź tak ospały, każ nam dać gorzały,
Dobrej z alembika i do niej piernika,
Hej, kolęda, kolęda!

Chleba pytlowego i masła do niego,
Każ stoły nakrywać i talerze zmywać,
Każ dać obiad hojny, boś Pan bogobojny.
Hej, kolęda, kolęda!

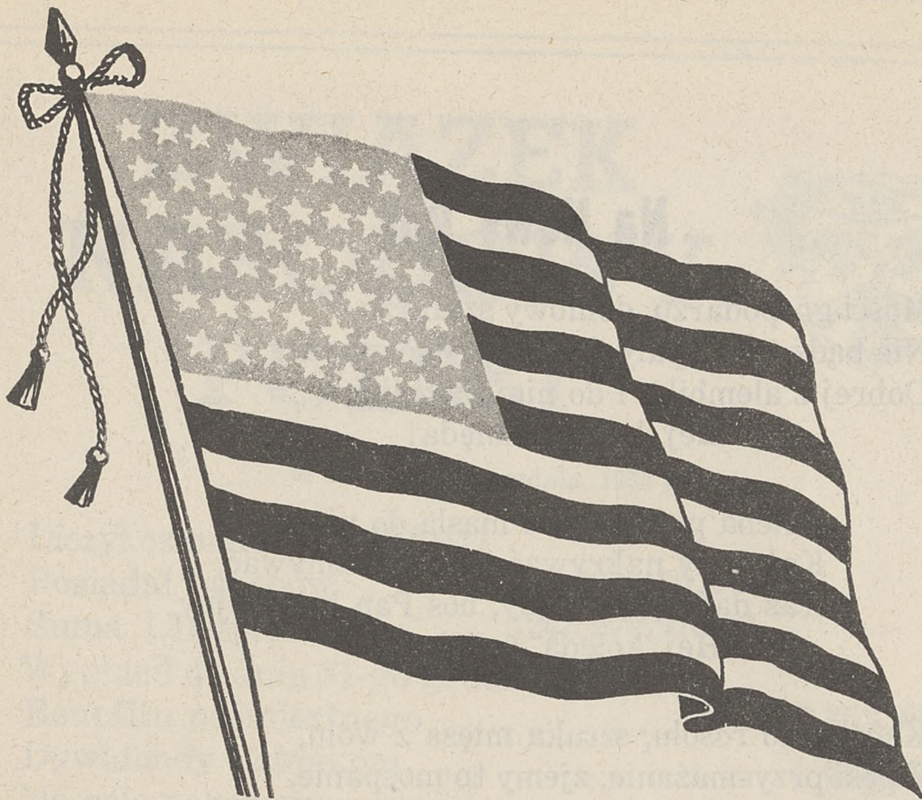
Kaczka do rosołu, sztuka mięsa z wołu,
Z gęsi przysmażanie, zjemy to mospanie,
I udzik zajęczy, i do tego więcej.
Hej, kolęda, kolęda!

Indyk do podlewy, Panie miłościwy,
I to czarne prosię, pomieści i to się,
Każ upiec pieczonki, weźmiem do kieszonki.
Hej, kolęda, kolęda!

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ dać gąsior wina, bo w brzuchu ruina,
Nie długo się bawcie i drugi postawcie.
Hej, kolęda, kolęda!

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ spichrze otworzyć i miechy nasporzyć,
Żyta ze trzy wory i woły z obory.
Hej, kolęda, kolęda!

THE STAR SPANGLED BANNER



Nauczcie się słów pieśni—śpiewajcie je—gdy inni śpiewają. Czasami aż przykro, gdy Polacy na zebraniach nie wtórują, gdy hymn narodowy jest śpiewany. To hymn umiłowanej przez nas Ameryki—to hymn wolności—to wyznanie naszej wiary. Każdy Polak w Ameryce powinien znać te słowa—jak zna słowa "Jeszcze Polska nie zginęła—".

Oh, say can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last gleaming;
Whose broad stripes and bright stars, through the perilous fight,
O'er the ramparts we watched, were so gallatnly streaming;
And the rocket's red glare, the bombs bursting in air,
Gave proof through the night that our flag was still there.

Oh, say does the star-spangled banner yet wave
O'er the land of the free and the home of the brave?
Oh! thus be it ever when free men shall stand
Between their loved home and the war's desolation.
Blest with vict'ry and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserved us a Nation.

Then conquer we must, when our cause it is just,
And this be our motto, "In God is our trust."

And the star-spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave.

Star Spangled Banner w tłómaczeniu na polskie:

Oh, patrz jak dumnie w słońca wczesnym świcie
Powiewa sztandar nasz ze snu zbudzony nocy!
W czerwieni, bieli, błysku gwiazd na baszt obronnych szczycie
Łopotem swym grał w boju więzów kres, przemocy.
Gdy w krwawym blasku rakiet, pocisków tnie ulewa
Oh, patrz jak dumnie sztandar nasz nad nami wciąż powiewa!
I powiedz mi, że wiecznie już na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Czy widzisz, hen na brzegu, gdzie chmury szarpie szkwał
Gdzie pełen pychy wróg w złowrogiej zapadł ciszy
Czy widzisz co na wietrze, na tle wyniosłych skał
Rozwija się i zwija i jak furkoce słyszysz?
Czy widzisz jak się mienią czerwono-białe końce
Jak w gwiazdach i szafirze poranne błyszczy słońce?
To sztandar nasz gwiaździsty! Na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Gdzież chełpliwości pełna i wraża dziś nawała
Co ogniem i co mieczem i co najeźdźczym butem
Ojczystą naszą ziemię grabieżczo tratowała?
Już krwią jej myśmy zmyli te ślady jej zatrute!
Wróg krwawi się i pada tam w pobitewnym pyle
W proch zmienia się najeźdźca i rośnie stos w mogile.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

I domostw naszych wolnym po wieki będzie próg!
Bo bronić my od wojny i ognia i od głodu
Będziemy zawsze kraju, by nigdy nie mógł wróg
Puklerza mocy przebić i serca zgnieść narodu.
I bronić naszych praw będziemy my przed wrogiem
Po prostych krocząc ścieżkach i zawsze krocząc z Bogiem.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!



DWIGHT DAVID EISENHOWER

Prezydent Stanów Zjednoczonych.

JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA



Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze
Dla ojczyzny ratowania
Wrócił się przez morze,
Marsz, marsz, etc.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz etc.

Niemiec, Moskal nie osiędzie,
Gdy jąwszy pałasza,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
I ojczyzna nasza.
Marsz, marsz etc.

Mówi ojciec do swej Basi,
Cały zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz etc.

Na to wszystkich jedne głosy:
Dosyć tej niewoli —
Mamy racławickie kosy,
Kościuszkę Bóg pozwoli.



Sędzia B. F. Gunther
Cenzor Z. N. P.

KOMISARZE I KOMISARKI OKRĘGÓW ZWIĄZKU NAR. POLSKIEGO

OKRĘG 1. Stany Massachusetts, Rhode Island i New Hampshire —
Józef A. Dancewicz, 24 Mendon St., Blackstone, Mass.
Janina Karolkiewicz, 107 Millbury Street, Worcester, Mass.

OKRĘG 2. Stan Connecticut—
Stanisław Niedźwiecki, 10 Moulthrop Street, Ansonia, Conn.
Teodora Drozd, 2480 Corbin Ave., New Britain, Conn.

OKRĘG 3. Wschodnia Część Stanu New York —
Leopold Karol Babirecki, 316 East 19th St., New York, N. Y.
Wanda L. Kryjak, R. F. D. No. 1, Waterford, New York.

OKRĘG 4. Zachodnia Część Stanu New York —
Jan F. Nowak, 90 Rejtan St., Buffalo, N. Y.
Maria Tuchewicz, 956 Emerson Ave., Syracuse 9, N. Y.

OKRĘG 5. Stan New Jersey (z wyjątkiem miejscowości Camden, N. J.) —
Edward Kozmor, 76 Corbin Ave., Jersey City, N. J.
Anna Kaźmierczak, 38 Raritan Ave., South River, N. J.

OKRĘG 6. Stany Maryland, District of Columbia, Delaware, Południowa Część Stanu Pennsylvania, miejscowość Camden, N. J. i Florida —
Wł. Szczygieł, 2428 E. Hazzard St., Philadelphia, Pa.
Leokadia Misiora, 6201 Carter Ave., Baltimore 14, Maryland.

OKRĘK 7. Północna-Wschodnia Część Stanu Pennsylvania —
L. Śliwiński, 462 Main St., Kingston, P. O. Edwardsville, Pa.
Helena Rozajewska-Dworczak, 1029 Main St., Dickson City, Pa.

OKRĘG 8. Zachodnia Część Stanu Pennsylvania —
Michał L. Hołodnik, 1015 Wallis Ave., Farrell, Pa.
Emilia Janowska, 295 Broadway, McKees Rock, Pa.

OKRĘG 9. Stany Ohio, West Virginia i Virginia —
Andrzej Golec, 4533 Wetzel St., Wheeling, W. Va.
Weronika Kopec, 7130 Claasen Ave., Cleveland, Ohio.

OKRĘG 10. Stan Michigan, Wyłączając Północny Półwysep tegoż Stanu—
Franciszek Odrobina, 14633 Westpoint, Wyandotte, Mich.
Józefa Wolas, 9461 Charest, Hamtramck 12, Mich.

OKRĘG 11. Południowa Część Stanu Indiana, Południowa Część Stanu Illinois i Stany Missouri, Nebraska, Kansas, Arkansas, Texas i Colorado.
H. Kubicki, 1409 Natalie Ave., East St. Louis, Ill.
Maria Godlewska, 1307-A Missouri Ave., East St. Louis, Ill.

OKRĘG 12. Południowa Część Miasta Chicago i Południowo-Zachodnia Część Stanu Illinois —
Michał Mokrzycki, 3038 W. 40th St., Chicago, Ill.
Maria L. Gierut, 4616 S. Whipple St., Chicago, Ill.

OKRĘG 13. Północna Strona Miasta Chicago i Północna Część Stanu Illinois —
Edward Krysiński, 1635 W. Wabansia Ave., Chicago, Ill.
Rozalia Wójcik, 2804 Logan Blvd., Chicago 47, Ill.

OKRĘG 14. Stany Wisconsin, Iowa, Minnesota, Północny Półwysep Stanu Michigan, North Dakota i Prowincja Kanady, Manitoba —
Józef T. Tobola, Thorp, Wis.
Władysława Podkomorska, 2035 8th St., Milwaukee, Wis.

OKRĘG 15. Północna Część Stanu Indiana —
Jan Ziemba, 1911 Mass. St., Gary, Ind.
Waleria Maćkowiak, 4233 Wegg Ave., East Chicago, Ind.

OKRĘG 16. Stany California, Oregon, Washington —
Andrzej Spulniak, 1540 No. Blendena St., Portland, Oregon.
Bronisława Czarnecka, 14807 Sylvan St., Van Nuys, Calif.



Karol Rozmarek,
Prezes Z. N. P.

ZWIERZYNIEC NIEBIESKI



(ZODIAK)

Dwanaście gwiazdozbiorów znajdujących po obu stronach ekliptyki (koła), wewnątrz której poruszają się słońce, księżyc i planety.—Koło to podzielone jest na 12 równych części i starożytni nadali poniżej wyrażone nazwy różnym gwiazdozbiorom, jakie się w tych przedziałach znajdują. Początek temu zwierzyńcowi niebieskiemu daje baran.

ARIES — THE RAM — BARAN
Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.

TAURUS — THE BULL — BYK
Nazwany tak przez starożytnych, ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA
Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.

CANCER — THE CRAB — RAK
Słońce zaczyna swój ruch wsteczny—stąd porównanie i nazwa rak.

LEO — THE LION — LEW
Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar—przez babilończyków.

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
Noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości—symbolizowane w wadze.

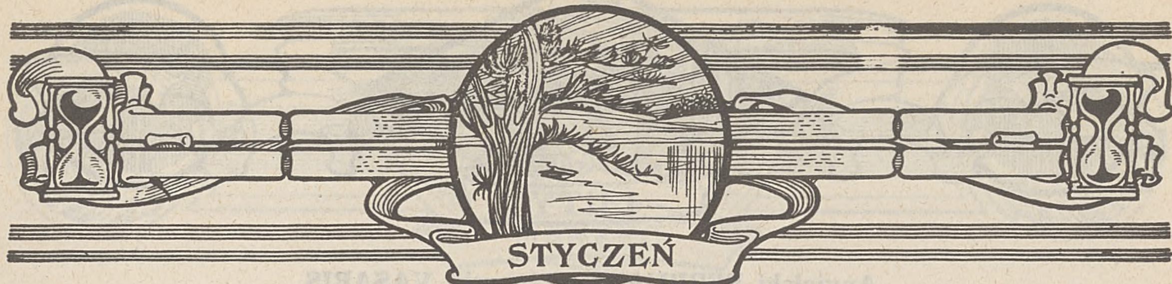
SCORPIO — THE SCORPION — SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.

SAGITTARIUS — STRZELEC
THE CENTAUR
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.

CAPRICORN — KOZIOROŻEC
THE GOAT
Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—skońce.

AQUARIUS — WODNIK
THE WATER BEARER
Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.

PISCES — THE FISHES — RYBY
Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.



31 DNI | Angielski JANUARY—Litewski—SAUSIS
Niemiecki JANUAR—Ruski SICZEŃ
Rosyjski JANWAR | 31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	**Sobota**	NOWY ROK—Mieczysław
1szy Tydzień		
2	**Niedziela**	Makary, Bazyli
3	Poniedz.	Daniel, Genowefa
4	Wtorek	Eugeniusz, Aniela, Tytus
5	Środa	Telesfor, Emilian, Edward
6	Czwartek	TRZECH KRÓLI
7	Piątek	Łucjan, Julian
8	Sobota	Seweryn, Mścisław
2gi Tydzień		
9	**Niedziela**	Julian, Bazyli, Marcjanna
10	Poniedz.	Agaton, Wilhelm
11	Wtorek	Feliks, Honorata
12	Środa	Arkadiusz, Ernest, Tacjana
13	Czwartek	Weronika
14	Piątek	Hilary, Feliks
15	Sobota	Paweł, Marek
3ci Tydzień		
16	**Niedziela**	Marceli, Włodzimierz
17	Poniedz.	Antoni
18	Wtorek	Kat. Św. Piotra w Rz.
19	Środa	Henryk, Mariusz, Marta
20	Czwartek	Fabian i Sebastian
21	Piątek	Agnieszka, Jarosława
22	Sobota	Wincenty, Anastazy
4ty Tydzień		
23	**Niedziela**	Zaśl. N.M.P., Rajmund
24	Poniedz.	Tymoteusz, Felicjan
25	Wtorek	Nawr. Św. Pawła
26	Środa	Polikarp, Paulina
27	Czwartek	Jan Złotousty, Agnieszka
28	Piątek	Karol, Walery, Piotr
29	Sobota	Franc. Salezy, Zdzisław
5ty Tydzień		
30	**Niedziela**	Martyna, Hiacynta
31	Poniedz.	Jan Boska, Ludwik, Marc.

KALENDARZYK HISTORYCZNY

STYCZEŃ

1. 1807. Przybycie Dąbrowskiego do Łowicza i zaprzysiężenie pospolitego ruszenia polskiego.
3. 1795. Zawarcie Traktatu rozbiorowego między Rosją a Austrią.
4. 1797. Napoleon poleca Dąbrowskiego lombardzkiemu kongresowi stanu.
6. 1573. Zwołanie pierwszego sejmu konwokacyjnego.
7. 1429. Zjazd Jagiełły, Witolda i Zygmunta węgierskiego w Łucku.
8. 1633. Władysław IV przybywa pod Smoleńsk.
9. 1797. Podpisanie konwencji między Dąbrowskim a generalną administracją Lombardii, w sprawie legionów.
10. 1569. Otwarcie sejmu dotyczącego Unii Lubelskiej.
12. 1831. Wojska moskiewskie wkraczają do Królestwa Polskiego.
13. 1793. Prusacy wkraczają do Polski.
14. 1807. Utworzenie tymczasowego rządu w oswobodzonej Warszawie.
15. 1863. Początek "branki" w Warszawie.
16. 1832. Mikołaj I znosi konstytucję Królestwa Polskiego.
17. 1649. Koronacja Jana Kazimierza.
18. 1831. Chłopicki składa dyktaturę w ręce sejmu.
19. 1831. Zebranie sejmu ciągłego.
19. 1846. Początek rzezi w Galicji.
20. 1797. Ogłoszenie odezwy Dąbrowskiego do Polaków.
20. 1320. Koronacja Władysława Łokietka.
21. 1633. Jerzy, książę brandenburski, składa hołd Władysławowi IV.
22. 1863. Wybuch powstania.
23. 1440. Węgrzy oddają koronę królowi Władysławowi Warneńczykowi.
23. 1793. Zawarcie konwencji prusko-rosyjskiej o drugi rozbiór Polski.
25. 1588. Zwycięstwo Zamoyskiego pod Byczyną.
25. 1610. Zwycięstwo Chodkiewicza nad Moskwą pod Ułą.
25. 1831. Sejm detronizuje Mikołaja I.
26. 1507. Koronacja Zygmunta Starego.
28. 1819. Zgon Kilińskiego.
29. 1831. Sejm ustanawia Rząd Narodowy.
30. 1667. Traktat Andruszowski z Moskwą.
31. 1610. Poselstwo moskiewskie pod Smoleńskiem zaprasza Władysława IV na tron carski.
31. 1816. Otwarcie 1go Sejmu Rzeczypospolitej Krakowskiej.

ZMIANY KSIĘŻYCA:

1-go Pierwsza Kwadra — **24-go Nów**
8-go Pełnia — **31-go Pierwsza Kwadra**
15-go Ostatnia Kwadra

Post obowiązuje: 7, 14, 21, 28, stycznia



28 DNI — Angielski FEBRUARY—Litewski VASARIS — 28 DNI
Niemiecki FEBRUAR—Rosyjski FEWRAL
Ruski LUTYJ

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Wtorek	Ignacy, Brygida
2	Środa	M.B. Gromnicz., Mirosław
3	Czwartek	Błażej, Wawrzyniec
4	Piątek	Andrzej, Weronika
5	Sobota	Izydor, Albin, Agata
6ty Tydzień		
6	**Niedziela**	Bogdan Tytus, Dorota
7	Poniedz.	Romuald, Ryszard
8	Wtorek	Jan z Malty, Emilia
9	Środa	Cyryl, Apolonia
10	Czwartek	Jacek, Scholastyka
11	Piątek	Ob.NMP. w Lourdes, Adolf
12	**Sobota**	**Ur. Lincolna i Kościuszki** Julian, Eulalia
7my Tydzień		
13	**Niedziela**	Grzegorz, Katarz., Aniela
14	Poniedz.	Walenty, Zenon
15	Wtorek	Faustyn, Klaudiusz
16	Środa	Bernard, Julianna
17	Czwartek	Donat, Wincenty
18	Piątek	Symeon, Marianna
19	Sobota	Konrad, Marceli
8my Tydzień		
20	**Niedziela**	Leon, Zenobiusz
21	Poniedz.	Feliks, Eleonora
22	**Wtorek**	**Ur. Washing. i Pułaskiego**
23	Środa	POPIELEC, Piotr, Roman
24	Czwartek	Maciej
25	Piątek	Wiktor, Izabela
26	Sobota	Aleksander, Mirosława
9ty Tydzień		
27	**Niedziela**	Gabriel, Nestor
28	Poniedz.	Roman, Teofil, Antonina

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LUTY

1. 1717. Sejm "niemy" w Warszawie.
2. 1675. Koronacja Jana III w Warszawie.
2. 1421. Czesi ofiarowują tron Władysławowi Jagielle.
3. 1772. Zajęcie Zamku Wawelskiego przez konfederatów barskich.
4. 1633. Władysław IV wjeżdża do Krakowa na koronację.
4. 1633. Pogrzeb Zygmunta III.
5. 1831. Dybicz wkracza z wojskiem moskiewskim do Królestwa Polskiego.
6. 1296. Zabójstwo króla Przemysława w Rogoźnie.
7. 1633. Koronacja Władysława IVgo.
8. 1863. Bitwa pod Węgrowem.
8. 1863. Tajna konwencja Prus z Rosją, celem stłumienia powstania polskiego.
9. 1454. Ślub Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą austriacką.
10. 1564. Pożar Jasnej Góry.
11. 1798. Śmierć Stanisława Augusta.
12. 1386. Wjazd Jagiełły do Krakowa.
13. 1609. Chodkiewicz odbiera Szwedom Parnawę.
13. 1831. Pierwsze starcia z armią rosyjską nad Liwcem.
14. 1386. Chrzest Jagiełły w Krakowie.
15. 1574. Pogrzeb Zygmunta Augusta.
15. 1831. Zwycięstwo Dwernickiego pod Stoczkiem.
16. 1758. Urodziny Juliana Niemcewicza.
17. 1386. Jagiełło poślubia Jadwigę.
18. 1574. Wjazd Henryka Walezego do Krakowa.
19. 1472. Urodziny Mikołaja Kopernika.
21. 1846. Wybuch powstania w Krakowie.
21. 1846. Potyczka pod Narajowem.
22. 1846. Ustąpienie Austriaków z Krakowa.
23. 1807. Zajęcie Tczewa przez Dąbrowskiego.
23. 1859. Zgon Zygmunta Krasińskiego.
24. 1831. Bitwa pod Białołęką.
25. 1493. Koronacja Anny Cylejskiej, drugiej żony Jagiełły.
25. 1831. Bitwa pod Grochowem.
26. 1831. Powołanie Skrzyneckiego na wodza naczelnego.
27. 1839. Stracenie Szymona Konarskiego.
27. 1864. Ponowne ogłoszenie przez Austriaków stanu oblężenia w Krakowie i Galicji.
28. 1812. Zgon ks. Hugo Kołłątaja.
28. 1768. Zawiązanie konfederacji w Barze.

ZMIANY KSIĘŻYCA:
7-go Pełnia — 22-go Nów
14-go Ostatnia kwadra

Post obowiązuje: 1, 6, 8, 9, 15, 22, 29, lutego.



31 DNI | Angielski MARCH—Litewski KOVAS
Niemiecki MAERZ—Rosyjski MART
Ruski BEREZEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Wtorek	Albin, Antonina
2	Środa	Helena, Amelia
3	Czwartek	Kunegunda, Teresa
4	Piątek	Kazimierz
5	Sobota	Wacław, Euzebiusz
10ty Tydzień		
6	**Niedziela**	Wiktor, Róża
7	Poniedz.	Tomasz z Akw.
8	Wtorek	Jan B., Wincenty, Emil
9	Środa	Franciszka
10	Czwartek	40 Męczenników, Cyprian
11	Piątek	Konstantyn, Pelagia
12	Sobota	Grzegorz
11ty Tydzień		
13	**Niedziela**	Marek, Krystyna, Sabina
14	Poniedz.	Leon, Matylda
15	Wtorek	Klemens, Longin
16	Środa	Hilary, Eutrozyna
17	Czwartek	Jan, Patryk, Zbigniew
18	Piątek	Cyryl, Edward
19	Sobota	Józef, Bogdan
12ty Tydzień		
20	**Niedziela**	Aleksander, Anatol
21	Poniedz.	Benedykt
22	Wtorek	Oktawian, Katarzyna
23	Środa	Feliks, Wiktor, Pelagia
24	Czwartek	Marek, Gabriel
25	Piątek	ZWIASTOWANIE N.M.P.
26	Sobota	Teodor, Emanuel, Tekla
13ty Tydzień		
27	**Niedziela**	Jan Dam. Ernest, Lidia
28	Poniedz.	Jan Kapistr. Sykstus
29	Wtorek	Eustazy, Cyryl
30	Środa	Jan Klim, Emila
31	Czwartek	Benjamin

KALENDARZYK HISTORYCZNY

MARZEC

1. 1634. Wojska moskiewskie poddają się pod Smoleńskiem Władysławowi IV.
3. 1846. Zajęcie Krakowa przez wojska trzech państw zaborczych.
4. 1386. Koronacja Władysława Jagiełły.
5. 1569. Przywileje zatwierdzające Unię Lubelską dla Podlasia.
6. 1454. Kazimierz Jagiellończyk wciela Prusy i Pomorze do Polski.
8. 1799. Kniaziewicz składa Dyrektoriatowi zdobyte sztandary.
9. 1579. Maksymilian austriacki zrzeka się praw do korony polskiej.
10. 1604. Dymitr Samozwaniec na audiencii u Zygmunta III na Wawelu.
10. 1863. Langiewicz zostaje dyktatorem.
11. 1039. Banicja Bolesława Śmiałego.
12. 1333. Śmierć Władysława Łokietka.
13. 1600. Zygmunt III. nabywa prawa do Estonii.
14. 1801. Śmierć Ignacego Krasickiego.
15. 1848 Rozruchy w Krakowie.
16. 1329. Król czeski Jan Luksemburski odstępuje bezprawnie Krzyżakom Ziemię Dobrzyńską.
17. 1832. Założenie na emigracji Towarzystwa Demokratycznego.
18. 1863. Zwycięstwo Langiewicza pod Grochowicami.
19. 1877. Śmierć Józefa Ignacego Kraszewskiego.
20. 1849. Utworzenie w Poznaniu Komitetu rewolucyjnego przez Mierosławskiego.
23. 1935. Sejm uchwalił nową Konstytucję.
24. 1794. Przysięga Kościuszki w Krakowie.
25. 1831. Wybuch powstania na Litwie, Żmudzi, Ukrainie i Podolu.
26. 1799. Legiony w walce pod Weroną i Legnano.
27. 1809. Zaszczytny udział Legionów w bitwie pod Ciadad-Rael w Hiszpanii.
28. 1657. Wjazd Rakoczego do Krakowa.
29. 1790. Zawarcie traktatu polsko-pruskiego.
30. 1831. Bitwa pod Wawrem.
31. 1831. Bitwa pod Wielkiemi Dębami.

ZMIANY KSIĘŻYCA:

1-go Pierwsza kwadra
8-go Pełnia
16-go Ostatnia kwadra
24-go Nów
30-go Pierwsza kwadra

Post obowiązuje: 2, 4, 5, 11, 18, 25, marca.



30 DNI | Angielski APRIL—Litewski BALANDIS
Niemiecki APRIL—Rosyjski APRIEL
Ruski KWITEŃ | 30 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Piątek	Hugon, Przemysław,
2	Sobota	Franciszek, Leopold
14ty Tydzień		
3	**Niedziela**	NIEDZIELA PALMOWA
4	Poniedz.	Izydor, Benedykt
5	Wtorek	Wincenty, Irena
6	Środa	Julianna
7	Czwartek	WIELKI CZWARTEK
8	Piątek	WIELKI PIĄTEK
9	Sobota	WIELKA SOBOTA
15ty Tydzień		
10	**Niedziela**	**WIELKANOC**, Michał,
11	Poniedz.	Filip, Leon
12	Wtorek	Juliusz, Wiktor, Zenon
13	Środa	Hermenegilda, Krystyna
14	Czwartek	Justyn, Walerian
15	Piątek	Anastazja, Bazyli
16	Sobota	Benedykt, Marcelian
16ty Tydzień		
17	**Niedziela**	Inocenty, Robert
18	Poniedz.	Apoloniusz, Rudolf
19	Wtorek	Adolf, Tymon
20	Środa	Marian, Teodor, Agnieszka
21	Czwartek	Anzelm, Feliks
22	Piątek	Soter i Kajus, Leon, Łukasz
23	Sobota	Wojciech, Jerzy
17ty Tydzień		
24	**Niedziela**	Fidelis, Grzegorz
25	Poniedz.	Marek, Jarosław
26	Wtorek	Marcela
27	Środa	Teofil, Piotr, Zyta
28	Czwartek	Witalis, Paweł, Witold
29	Piątek	Piotr, Robert, Bogusław
30	Sobota	Marian, Katarzyna

KALENDARZYK HISTORYCZNY

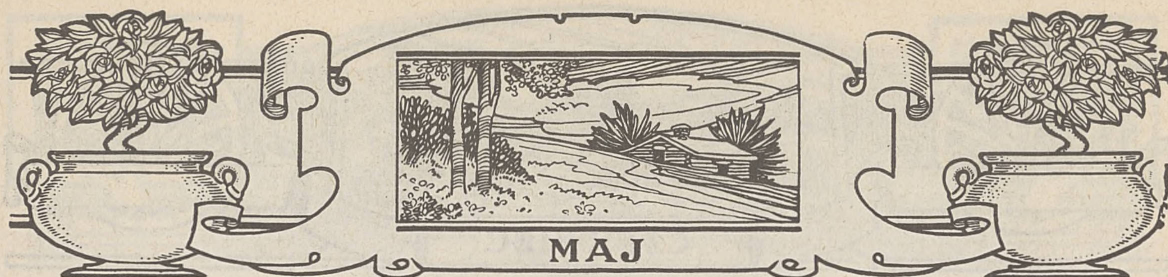
KWIECIEŃ

1. 1566. Śluby Jana Kazimierza we Lwowie.
2. 1817. Kościuszko znosi pańszczyznę w Siechnowicach.
3. 1849. Zgon Juliusza Słowackiego.
4. 1794. Bitwa pod Racławicami.
4. 1814. Ostatni dekret Napoleona dla Polaków z nominacją W. Krasińskiego wodzem po ks. Józefie.
5. 1799. Bohaterska śmierć jenerała Rymkiewicza w ataku na Weronę.
6. 1364. Kazimierz W. zakłada w Krakowie Akademię.
7. 1656. Bitwa pod Warką ze Szwedami.
8. 1861. Strzały na ulicach Warszawy.
9. 1241. Bitwa pod Lignicą z Tatarami.
10. 1864. Aresztowanie Traugutta.
12. 1457. Krzyżacy wydają Malborg Polakom.
14. 1809. Wojska austriackie wkraczają do Księstwa Warszawskiego.
15. 1861. Pierwszy Sejm polski w Galicji we Lwowie.
16. 1794. Powstanie na Żmudzi.
17. 1577. Stefan Batory karze Gdańszczan.
18. 1791. Sejm czteroletni nadaje nowe prawa miastom.
18. 1884. Pogrzeb Kraszewskiego na Skałce w Krakowie.
19. 1773. Rejtan protestuje przeciw I. rozbiorowi Polski.
21. 1490. Elekcja Władysława Jagiellończyka na króla węgierskiego.
22. 1828. Ukaz cara Mikołaja I. przeciw unitom.
23. 1794. Jakób Jasiński zaczyna powstanie w Wilnie.
24. 1863. Śmierć poety Romanowskiego w bitwie pod Józefowem.
25. 1333. Koronacja Kazimierza Wielkiego.
27. 1831. Dwernicki przekracza granicę austriacką pod Chlebanówką i składa broń.
30. 1632. Śmierć Zygmunta III.

ZMIANY KSIĘŻYCA:

7-go Pełnia — 22-go Nów
15-go Ostatnia kwadra — 29-go Pierwsza kwadra

Post obowiązuje: 1, 6, 8, 9, 15, 22, 29, kwietnia



31 DNI | Angielski MAY—Litewski GEGUŽIS
Niemiecki MAI—Rosyjski MAJ
Ruski TRAWEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
18ty Tydzień		
1	**Niedziela**	Filip, Jakub
2	Poniedz.	Atanazy, Zygmunt
3	Wtorek	ROCZ. KONST. 3 MAJA
4	Środa	Florian, Monika
5	Czwartek	Pius, Izydor, Irena
6	Piątek	Jan w Oleju
7	Sobota	Florian, Domicela, Ludmiła
19ty Tydzień		
8	**Niedziela**	DZIEŃ MATEK, Stanisław
9	Poniedz.	Grzegorz
10	Wtorek	Izydor, Antoni, Małgorzata
11	Środa	Mamert, Ignacy, Adolf
12	Czwartek	Pankracy, Dominik
13	Piątek	Serwacy, Robert
14	Sobota	Bonifacy
20ty Tydzień		
15	**Niedziela**	Izydor, Zofia
16	Poniedz.	Andrzej Bobola, Jan
17	Wtorek	Paschalis, Brunon
18	Środa	Feliks, Bogdan
19	**Czwartek**	**WNIEBOWSTĄPIENIE**
20	Piątek	Bernardyn, Zuzanna
21	Sobota	Wiktor, Julia
21szy Tydzień		
22	**Niedziela**	Emil, Helena, Julia, Róża
23	Poniedz.	Dezydery, Jan
24	Wtorek	Joanna, Estera, Zuzanna
25	Środa	Grzegorz, Urban
26	Czwartek	Filip, Augustyn
27	Piątek	Jan
28	Sobota	German, Augustyn
22gi Tydzień		
29	**Niedziela**	**ZIELONE ŚWIĘTA**
30	**Poniedz.**	**MEMORIAL DAY**, Feliks
31	Wtorek	Aniela, Petronela

KALENDARZYK HISTORYCZNY

MAJ

1. 1576. Koronacja Stefana Batorego i Anny Jagiellonki.
2. 1848. Potyczka pod Wrześnią — koniec powstania.
3. 1791. Uchwalenie Konstytucji 3. Maja.
4. 1505. Król Aleksander wydaje nowe prawa.
5. 1821. Zgon Napoleona na wyspie św. Heleny.
7. 1810. Król Saski przybywa do Krakowa.
8. 1079. Śmierć św. Stanisława biskupa.
9. 1794. Lud warszawski stawia szubienice Targowiczanom.
9. 1809. Wojsko Księstwa Warszawskiego wkracza do Lublina.
10. 1808. Konwencja bajońska między Napoleonem a królem Saskim.
12. 1935. Zgon Marszałka Piłsudskiego.
13. 1588. Pogrzeb Stefana Batorego.
13. 1813. Moskale zajmują Kraków.
14. 1792. Targowiczanie zawiązują konfederację.
15. 1811. Zwycięskie starcie lansjerów polskich z Anglikami nad rzeką Albuhera.
15. 1815. Ustanowienie W. ks. Poznańskiego z zapewnieniem przez króla pruskiego swobód polskiej narodowości.
16. 1429. Urodziny Kazimierza Jagiellończyka.
16. 1861. Zniesienie pańszczyzny według projektu Wielopolskiego.
17. 1773. Wojska zaborcze wkraczają do Warszawy.
17. 1810. Król Saski przybywa do Warszawy.
17. 1944. Zdobycie Monte Cassino.
18. 1674. Elekcja Jana Sobieskiego na króla.
18. 1802. Wysłanie Legionów na San Domingo.
18. 1809. Generał Sokolnicki i Różniecki zajmują Sandomierz.
19. 1809. Szturm na Zamość i upadek twierdzy.
20. 1648. Śmierć Władysława IV. w Mereczu.
21. 1863. Bitwa w puszczy Łabonarskiej.
22. 1609. Zygmunt III. oblega Smoleńsk.
23. 1647. Klęska Polaków pod Żółtemi Wodami.
24. 1543. Śmierć Mikołaja Kopernika.
25. 1371. Władysław Jagiellończyk królem czeskim.
26. 1831. Bitwa pod Ostrołęką.
27. 1569. Wcielenie Ziemi bracławskiej do Korony.
28. 1793. Zajęcie Gdańska przez Prusaków.
29. 1861. Śmierć Joachima Lelewela.
30. 1434 Śmierć Władysława Jagiełły w Gródku.
31. 1364. Kazimierz W. nadaje przywileje Akademii.

ZMIANY KSIĘŻYCA:

6-go Pełnia — **21-go Nów**
14-go Ostatnia kwadra — **28-go Pierwsza kwadra**

Post obowiązuje: 6, 13, 20, 27, 28, maja



30 DNI — Angielski JUNE—Litewski BERŽELIS — 30 DNI
Niemiecki JUNI—Rosyjski JUŃ
Ruski CZERWEŃ

Dni	Tygodnia	Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Środa	Jakub, Konrad
2	Czwartek	Erasm, Marcelina
3	Piątek	Klotylda, Leszek
4	Sobota	Franciszek, Teodora
23ci Tydzień		
5	**Niedziela**	Św. Trójcy, Bonifacy
6	Poniedz.	Norbert, Łucja
7	Wtorek	Robert, Wiesław
8	Środa	Medard, Seweryn, Elżbieta
9	Czwartek	BOŻE CIAŁO, Felicjan
10	Piątek	Bogumił, Małgorzata
11	Sobota	Barnaba, Feliks
24ty Tydzień		
12	**Niedziela**	Jan, Onufry
13	Poniedz.	Antoni z Padwy, Łucjan
14	Wtorek	DZIEŃ FLAGI, Bazyli
15	Środa	Wit i Modest, Yolanta
16	Czwartek	Benon, Justyna, Alina
17	Piątek	Adolf, Inocenty, Marian
18	Sobota	Marek, Elżbieta
25ty Tydzień		
19	**Niedziela**	DZIEŃ OJCÓW, Gerwazy
20	Poniedz.	Juliusz, Sylweriusz
21	Wtorek	Alojzy, Bogumiła
22	Środa	Paulin
23	Czwartek	Zenon, Wanda
24	Piątek	Jan Chrzciciel
25	Sobota	Wilhelm, Łucja
26ty Tydzień		
26	**Niedziela**	Jan, Paweł
27	Poniedz.	Władysław
28	Wtorek	Ireneusz, Leon
29	Środa	PIOTR i PAWEŁ, Ernest
30	Czwartek	Lucyna, Emilia

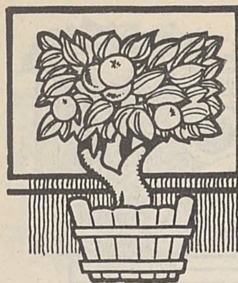
KALENDARZYK HISTORYCZNY

CZERWIEC

2. 1624. Urodziny Jana Sobieskiego.
3. 1605. Śmierć Jana Zamoyskiego.
4. 1872. Zgon Stanisława Moniuszki.
5. 1569. Wcielenie Kijowszczyzny do Korony.
5. 1794. Bitwa pod Szczekocinami.
6. 1818. Śmierć Henryka Dąbrowskiego.
7. 1492. Śmierć Kazimierza Jagiellończyka.
8. 1862. Nadanie autonomii Królestwu — Wielopolski naczelnikiem Rządu Cywilnego.
9. 1815. Kongres Wiedeński uchwalił utworzenie Królestwa Polskiego.
10. 1863. Bitwa pod Ignacowem koło Gopła.
12. 1893. Pogrzeb Lenartowicza na Skałce.
13. 1611. Zdobycie Smoleńska przez Zygmunta III
14. 1807. Bitwa pod Frydlandem.
15. 1809. Wojska polskie wkraczają do Krakowa.
17. 1696. Śmierć Jana III. Sobieskiego w Wilanowie.
18. 1434. Pogrzeb Władysława Jagiełły.
18. 1574. Henryk Walezy opuszcza Polskę.
18. i 19. 1799. Walki nad Trebbią. Zaszczytne odznaczenie się Dąbrowskiego i Chłopickiego.
19. 1205. Leszek Biały zwycięża Romana halickiego pod Zawichwostem.
20. 1815. Ogłoszenie Królestwa Kongresowego.
21. 1768. Ogłoszenie Konfederacji barskiej w Krakowie.
23. 1818. Pogrzeb Kościuszki w Krakowie.
24. 1768. Rzeź humańska.
24. 1812. Przejście Niemna przez Napoleona.
25. 1447. Kazimierz Jagiellończyk wstępuje na tron.
26. 1812. Zwołanie nadzwyczajnego Sejmu w Warszawie.
27. 1794. Zaburzenia w Warszawie.
28. 1812. Napoleon wjeżdża do Wilna.
29. 1470. Władysław Jagiellończyk królem Węgier.
30. 1651. Bitwa pod Beresteczkiem.
30. 1657. Szwedzi ustępują z Krakowa.

ZMIANY KSIĘŻYCA:
5-go Pełnia — **20-go Nów**
13-go Ostatnia kwadra — **27-go Pierwsza kwadra**

Post obowiązuje: 1, 3, 4, 10, 17, 24, czerw.






31 DNI | Angielski JULY—Litewski LIEPOS
Niemiecki JULI—Rosyjski JIUL
Ruski ŁYPEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Piątek	Przen. Krwi P. J., Juliusz
2	Sobota	Nawiedz. N.M.P., Urban
27my Tydzień		
3	**Niedziela**	Anatol, Leon, Alfred, Jacek
4	**Poniedz.**	**DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚ.**
5	Wtorek	Antoni, Filomena
6	Środa	Dominik, Romuald, Łucja
7	Czwartek	Cyryl i Metody
8	Piątek	Prokop, Elżbieta
9	Sobota	Weronika, Mikołaj, Tomasz
28my Tydzień		
10	**Niedziela**	7 Braci m., Amelia
11	Poniedz.	Pius, Olga, Pelagia
12	Wtorek	Jan, Gwalbert
13	Środa	Eugeniusz, Małgorzata
14	Czwartek	Bonawentura, Marceli
15	Piątek	Henryk, Wit
16	Sobota	N.M.P. Szkapl., Andrzej
29ty Tydzień		
17	**Niedziela**	Aleksy, Bogdan
18	Poniedz.	Kamil, Szymon
19	Wtorek	Winc. a Paulo
20	Środa	Czesław, Hieronim
21	Czwartek	Wiktor, Andrzej, Prakseda
22	Piątek	Maria Magdalena
23	Sobota	Apolinary
30ty Tydzień		
24	**Niedziela**	Kunegunga, Kinga
25	Poniedz.	Jakub, Krzysztof
26	Wtorek	Anna, Mierosława
27	Środa	Pantaleon, Natalia
28	Czwartek	Innocenty, Wiktor
29	Piątek	Urban, Fel. Marta S. Beatr.
30	Sobota	Abdon, Donat
31szy Tydzień		
31	**Niedziela**	Ignacy L., Justyn, Helena

KALENDARZYK HISTORYCZNY

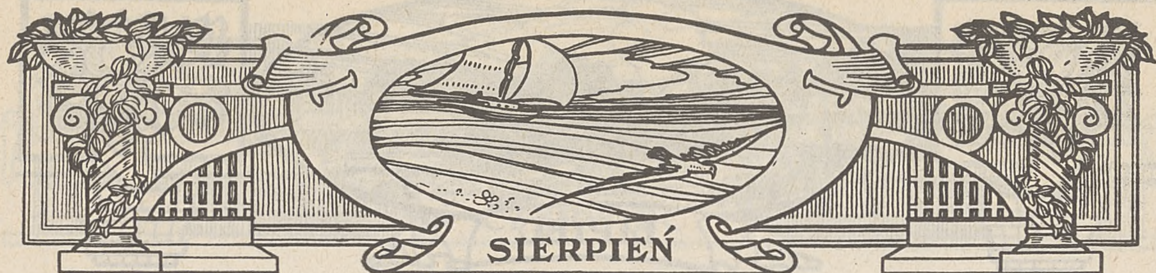
LIPIEC

1. 1569. Sejm w Lublinie.
2. 1849. Rozwiązanie Legionu Mickiewicza.
3. 1655. Wkroczenie Szwedów do Polski.
4. 1890. Pogrzeb Adama Mickiewicza w Krakowie.
6. 1607. Bitwa pod Guzowem i stłumienie rokoszu Zebrzydowskiego.
7. 1572. Śmierć Zygmunta Augusta.
7. 1807. Utworzenie Księstwa Warszawskiego traktatem w Tylży.
9. 1330. Krzyżacy palą Nakło.
10. 1685. Zwycięstwo nad Tatarami pod Jazłowcem.
11. 1649. Bitwa z Kozakami pod Zborowem.
12. 1704. Pierwsza elekcja Stanisława Leszczyńskiego na króla.
13. 1666. Bitwa pod Mątwami między Janem Kazimierzem i Jerzym Lubomirskim.
15. 1410. Zwycięstwo pod Grunwaldem.
15. 1794. Wojska rosyjsko - pruskie otaczają Warszawę.
16. 1631. Konfederacja warszawska po śmierci Zygmunta III.
17. 1399. Śmierć królowej Jadwigi.
18. 1863. Bitwa pod Janowem.
19. 1525. Hołd księcia Alberta pruskiego.
20. 1570. Zygmunt August nadaje przywileje Gdańskowi.
20. 1794. Wypędzenie Moskali z Wilna.
21. 1440. Koronacja Władysława Warneńczyka na króla Węgier.
22. 1807. Nadanie konstytucji Księstwu Warszawskiemu.
23. 1683. Wyjazd Jana III. na odsiecz Wiednia.
24. 1792. Stanisław August przystępuje do Targowicy.
25. 1434. Koronacja Władysława Warneńczyka na króla polskiego.
26. 1295. Przemysław wznawia Królestwo Polskie.
27. 1697. Elekcja Augusta II. na króla.
28. 1914. Wybuch wojny światowej.
29. 1799. Kapitulacja Mantui i zniszczenie Legii drugiej.
30. 1838. Urodziny Jana Matejki.
31. 1847. Powieszenie Wiśniowieckiego i Kapuścińskiego.

ZMIANY KSIĘŻYCA

5-go Pełnia — 20-go Nów
13-go Ostatnia kwadra — 27-go Pierwsza kwadra

Post obowiązuje: 1, 8, 15, 22, 29, Lipca



31 DNI — Angielski AUGUST—Litewski RUGPIUTIS — 31 DNI
Niemiecki AUGUST—Rosyjski AWGUST
Ruski SERPEŃ

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Poniedz.	Piotr w Okowach
2	Wtorek	N.M.P. Anielska, Gustaw
3	Środa	Znla. Relikwii Św. Szczep.
4	Czwartek	Dominik
5	Piątek	N.M.P. Śnieżna, Stanisława
6	Sobota	Przemienienie Pańskie
32gi Tydzień		
7	**Niedziela**	Kajetan, Donat
8	Poniedz.	Cyriak, Emilian
9	Wtorek	Roman, Jan
10	Środa	Wawrzyniec, Bogdan
11	Czwartek	Zuzanna
12	Piątek	Hilary, Klara
13	Sobota	Hipolit, Helena
33ci Tydzień		
14	**Niedziela**	Euzebiusz
15	**Poniedz.**	**WNIEBOWZIĘCIE N.M.P.**
16	Wtorek	Roch. Joachim, Abroży
17	Środa	Jacek, Paweł, Julian
18	Czwartek	Agapit, Helena, Włodzim.
19	Piątek	Bolesław, Ludwik
20	Sobota	Bernard, Samuel
34ty Tydzień		
21	**Niedziela**	Joanna, Daniel
22	Poniedz.	Tymoteusz, Hipolit
23	Wtorek	Filip, Apolinary
24	Środa	Bartłomiej, Jerzy
25	Czwartek	Ludwik, Grzegorz
26	Piątek	N.M.P. Jasnog., Konstant.
27	Sobota	Józef Kalasanty
35ty Tydzień		
28	**Niedziela**	Augustyn
29	Poniedz.	Ścięcie Św. Jana, Sabina
30	Wtorek	Feliks, Róża z Limy
31	Środa	Rajmund, Marek

KALENDARZYK HISTORYCZNY

SIERPIEŃ

1\. 1944 Wybuch Powstania Warszawskiego.
1\. 1520. Urodziny Zygmunta Augusta.
2\. 1897. Śmierć Adama Asnyka.
3\. 1831. Świetny odwrót Dembińskiego z Litwy.
4\. 1310. Rzeź w Gdańsku, dzieło Krzyżaków.
5\. 1772. Traktat pierwszego rozbioru Polski.
6\. 1897. Złożenie zwłok Adama Asnyka na Skałce w Krakowie.
9\. 1650. Śmierć kanclerza Józefa Ossolińskiego.
9\. 1849. Gen. Bem, mianowany naczelnym wodzem wojsk węgierskich.
10\. 1107. Bolesław Krzywousty bije Prusaków pod Nakłem.
11\. 1569. Zawarcie Unii w Lublinie.
11\. 1702. Wojska Karola XII, zajmują Zamek Wawelski.
12\. 1794. Moskale zajmują Wilno.
13\. 1773. Pogrzeb konfederatów barskich w Krakowie.
14\. 1018. Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa.
15\. 1772. Upadek Konfederacji barskiej.
16\. 1680. Jan Sobieski wjeżdża do Jass na Multanach.
17\. 1812. Wojska Księstwa Warszawskiego w szturmie na Smoleńsk.
18\. 1812. Zdobycie Smoleńska przez korpus polski.
18\. 1849. Legion polski biorący udział w powstaniu węgierskim, przenosi się z Węgier do Serbii.
19\. 1587. Elekcja Zygmunta III. Wazy.
20\. 1672. Zdobycie Kamieńca przez Turków.
21\. 1649. Zbaraż uwolniony od oblężenia Tatarów i Kozaków.
22\. 1795. Akt zawiązania Deputacji polskiej we Francji dla starań w sprawie polskiej.
23\. 1794. Ogłoszenie powstania Kościuszki w Wielkopolsce.
23\. 1809. Urodziny J. Słowackiego.
24\. 1656. Stefan Czarniecki bije Szwedów pod Strzemesznem.
25\. 1526. Zygmunt I. wjeżdża uroczyście do Warszawy.
26\. 1601. Karol Chodkiewicz uwalnia Rygę od oblężenia Szwedów.
29\. 1656. Wyparcie Szwedów z Krakowa.
30\. 1794. Kościuszko odpiera nowe szturmy Prusaków na Warszawę.
31\. 1579. Stefan Batory zdobywa Połock.

ZMIANY KSIĘŻYCA

3-go Pełnia — 17-go Nów
10-go Ostatnia kwadra — 25-go Pierwsza kwadra

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 26, sierpnia



30 DNI — Angielski SEPTEMBER—Litewski RUGSEJAS Niemiecki SEPTEMBER—Rosyjski SIENTIABR—Ruski WERESEŃ — 30 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Czwartek	Idzi, Bronisława
2	Piątek	Stefan
3	Sobota	Szymon, Zenon, Izabela
36ty Tydzień		
4	**Niedziela**	Rozalia, Róża
5	**Poniedz.**	**ŚWIĘTO PRACY** Wawrzyniec, Justyna
6	Wtorek	Zachariasz, Eugeniusz
7	Środa	Melchior, Regina
8	Czwartek	NARODZ. N. M. P.
9	Piątek	Piotr, Sergiusz
10	Sobota	Mikołaj, Łucja
37my Tydzień		
11	**Niedziela**	Prot, Jacek, Pafnucy
12	Poniedz.	Im. N.M.P., Gwidon, Klara
13	Wtorek	Filip, Eugenia
14	Środa	Podw Św. Krzyża, Kalikst
15	Czwartek	M.B. Bolesnej, Nikodem
16	Piątek	Kornel, Cyprian, Ludmiła
17	Sobota	Blizny Św. Fran. Jacek
38my Tydzień		
18	**Niedziela**	Józef, Tomasz, Irena
19	Poniedz.	January, Gustaw, Teodor
20	Wtorek	Eustachy, Filipina
21	Środa	Mateusz
22	Czwartek	Tomasz, Maurycy
23	Piątek	Tekla, Boguchwała
24	Sobota	N.M.P. od Wyk. N. Gerard
39ty Tydzień		
25	**Niedziela**	Władysł. Kleofas, Aurelia
26	Poniedz.	Cyprian, Justyn
27	Wtorek	Kosma i Damian
28	Środa	Wacław, Marek
29	Czwartek	Michał Archanioł
30	Piątek	Hieronim, Grzegorz

KALENDARZYK HISTORYCZNY

WRZESIEŃ

1. 1675. Jan III. oswobadza Trembowlę.
2. 1793. Sejm w Grodnie uchwala drugi podział Polski.
3. 1612. Zwycięstwo Karola Chodkiewicza pod Moskwą.
4. 1656 Wjazd Jana Kazimierza do Krakowa po wypędzeniu Szwedów.
5. 1794. Prusacy odstępują od oblężenia Warszawy.
6. 1580 Stefan Batory zdobywa Wielkie Łuki.
7. 1764. Ostatnia elekcja: wybór Stanisława Augusta Poniatowskiego.
8. 1883. Ugoda mocarstw rozbiorowych w Muenchengraetz przeciw Polsce.
9. 1814. Wprowadzenie zwłok ks. Józefa do Warszawy.
10. 1794. Dąbrowski z powstańcami pod Kołem nad Wartą.
11. 1683. Sobieski na Kahlenbergu.
12. 1683. Zwycięstwo Sobieskiego pod Wiedniem.
13. 1820. Car Aleksander I. zagaja Sejm w Warszawie.
14. 1484. Książę mołdawski składa hołd Kazimierzowi Jagiellończykowi.
15. 1697. Koronacja Augusta II.
16. 1668. Jan Kazimierz składa koronę.
17. 1462. Zwycięstwo wojsk Kazimierza Jagiellończyka nad Krzyżakami pod Puckiem-Żarnowcem.
18. 1454. Bitwa z Krzyżakami pod Chojnicami.
19. 1861. Zamach na hr. Berga w Warszawie.
20. 1492. Koronacja Jana Olbrachta.
21. 1699. Turcy oddają Polsce Kamieniec Podolski.
22. 1703. Konfederacja jeneralna sandomierska za Augusta II.
24. 1621. Zgon Karola Chodkiewicza.
25. 1793. Delegacja Sejmu w Grodnie podpisuje akt zgody na drugi rozbiór z Prusami.
27. 1331. Łokietek zadaje Krzyżakom klęskę pod Płowcami.
27. 1605. Zwycięstwo Chodkiewicza nad Szwedami pod Kirchholmem.
27. 1612. Śmierć ks. Piotra Skargi w Krakowie.
28. 1648. Bitwa pod Piławcami.
28. 1651. Ugoda białocerkiewska z Kozakami.
29. 1669. Koronacja Michała Korybuta Wiśniowieckiego.
30. 1657. Przymierze Polski z Danią przeciw Szwecji.

ZMIANY KSIĘŻYCA

2-go Pełnia — 16-go Nów
9-go Ostatnia kwadra — 24-go Pierwsza kwadra

Post obowiązuje: 2, 9, 16, 21, 23, 24, 30, września



31 DNI — Angielski OCTOBER—Litewski SPALIUS — 31 DNI
Niemiecki OKTOBER—Rosyjski OKTIABR
Ruski ŻOWTEŃ

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Sobota	Jan z Dukli, Remigiusz
40ty Tydzień		
2	**Niedziela**	Aniołów Stróżów, Teofil
3	Poniedz.	Teresy od Dziec. Jezus
4	Wtorek	Franciszek z Asyżu
5	Środa	Placyd, Apolinary
6	Czwartek	Brunon, Artur, Emil
7	Piątek	N. M. P. Różańcowej, Marka
8	Sobota	Brygida, Pelagia
41szy Tydzień		
9	**Niedziela**	Dionizy, Ludwik, Bogdan
10	Poniedz.	Franciszek Borg. Paula
11	Wtorek	Macierzy. M. B.
12	**Środa**	**COLUMBUS DAY,**
13	Czwartek	M. B. z Fatima, Edward,
14	Piątek	Kalikst
15	Sobota	Jadwiga, Teresa
42gi Tydzień		
16	**Niedziela**	Leopold, Gaweł, Florentyna
17	Poniedz.	Wiktor, Małgorzata, Maria
18	Wtorek	Łukasz Ewangelista
19	Środa	Piotr, Pelagia
20	Czwartek	Jan Kanty, Irena
21	Piątek	Hilarian, Urszula
22	Sobota	Filip, Salomea, Kordula
43ci Tydzień		
23	**Niedziela**	Seweryn, Ignacy, Roman
24	Poniedz.	Rafał Archanioł, Marcin
25	Wtorek	Kryspin, Bonifacy
26	Środa	Ewaryst
27	Czwartek	Sabina
28	Piątek	Szymon, Tadeusz
29	Sobota	Abraham, Narcyz, Euzebia
44ty Tydzień		
30	**Niedziela**	Alfons, Edmund
31	Poniedz.	DZIEŃ WILKOŁAKÓW, Antoni, Lucylla

KALENDARZYK HISTORYCZNY

PAŹDZIERNIK

1. 1794. Dąbrowski zajmuje Bydgoszcz.

2. 1413. Unia Horodelska z Litwą.

5. 1831. Przejście armii jen. Rybińskiego do Prus.

7. 1620. Klęska pod Cecorą.

9. 1683. Zwycięstwo Sobieskiego nad Turkami pod Parkanami.

10. 1796. Memoriał Dąbrowskiego do Dyrektoriatu z projektem formacji Legionów.

11. Rocznica zgonu Gen. Kazimierza Pułaskeigo pod Savannah w r. 1779.

12. 1617. Królewicz Władysław zdobywa na Moskwie Drohobuż.

13. 1282. Wielkie zwycięstwo Leszka Czarnego nad Jadźwingami w okolicach Narwi.

15. 1817 Śmierć Tadeusza Kościuszki.

16. 1861. Moskale katują w Warszawie lud w kościołach.

17. 1863. Powstanie Rządu Narodowego z Traguttem na czele.

19. 1818. Śmierć ks. Józefa Poniatowskiego w rzece Elsterze.

24. 1795. Przystąpienie Prus do konwencji rozbiorowej.

26. 1497. Klęska Jana Olbrachta w lasach bukowińskich.

30. 1609. Oblężenie Smoleńska przez Zygmunta III.

ZMIANY KSIĘŻYCA

1-go Pełnia — 23-go Pierwsza kwadra
8-go Ostatnia kwadra — 31-go Pełnia
15-go Nów

Post obowiązuje: 7, 14, 21, 28 października



30 DNI — **Angielski NOVEMBER—Litewski LAKPRITYS**
Niemiecki NOVEMBER—Rosyjski NOJABR
Ruski PADOŁYST — **30 DNI**

	Dni Tygodnia	Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	**Wtorek**	WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
2	Środa	DZIEŃ ZADUSZNY
3	Czwartek	Hubert, Sylwia
4	Piątek	Karol Borom.
5	Sobota	Zachariasz, Elżbieta
45ty Tydzień		
6	**Niedziela**	Leonard, Feliks
7	Poniedz.	Arnest, Antoni, Salomea
8	Wtorek	Ida, Bogdan, Sewer
9	Środa	Teodor, Orest
10	Czwartek	Andrzej, Lubomir
11	**Piątek**	**ARMISTICE DAY,**
12	Sobota	5 Braci Polaków i Męczen.
46ty Tydzień		
13	**Niedziela**	Stanisław Kostka
14	Poniedz.	Józafat
15	Wtorek	Leop., Wojciech, Gertruda
16	Środa	M.B. Ostrobram., Edmund
17	Czwartek	Grzegorz, Salomea
18	Piątek	Katedry Św. Piotra, Roman
19	Sobota	Felicjan, Elżbieta
47my Tydzień		
20	**Niedziela**	Feliks, Edmund, Anatol
21	Poniedz.	Ofiarowanie N. M. P.
22	Wtorek	Marek, Cecylia
23	Środa	Klemens, Felicyta
24	**Czwartek**	**ŚWIĘTO DZIĘKCZYN.**
25	Piątek	Katarzyna, Erazm
26	Sobota	Konrad, Leonard
48my Tydzień		
27	**Niedziela**	Pierw. Adwent, Walerian
28	Poniedz.	Grzegorz, Zdzisław
29	Wtorek	Saturnin, Błażej
30	Środa	Andrzej

KALENDARZYK HISTORYCZNY

LISTOPAD

1. 1769. Bitwa pod Lanckoroną.
1. 1905. Rzeź na Placu Teatralnym w Warszawie.
2. 1814. Memorandum Metternicha do Kongresu wiedeńskiego, celem odbudowania Polski.
3. 1806. Dąbrowski i Wybicki przed Napoleonem w Berlinie w sprawie powstania Wielkopolan.
4. 1794. Rzeź Pragi.
5. 1370. Śmierć Kazimierza Wielkiego.
6. 1799. Zwycięski udział dywizji Dąbrowskiego w bitwie pod Novi.
8. 1412. Zygmunt Luksemburski oddaje Polsce ziemię Spiską w zastaw.
9. 1673. Zwycięstwo Sobieskiego pod Chocimem.
10. 1794 Korpus Dąbrowskiego składa broń pod Raszycami.
11. 1444. Bitwa pod Warną, śmierć króla Władysława.
13. 1783. Washington mianuje Kościuszkę generałem brygady.
14. 1806. Rozkaz generalny Dąbrowskiego do byłego wojska polskiego, wydany w Poznaniu.
16. 1808. Dekret Dąbrowskiego o poborze rekruta w Wielkopolsce.
17. 1796. Car Paweł wypuszcza Kościuszkę z więzienia.
18. 1655. Wojska szwedzkie oblęgają Częstochowę.
18. 1776. Kościuszko mianowany pułkownikiem wojsk amerykańskich.
19. 1794. Armia Rzeczypospolitej przestaje istnieć.
19. 1807. Deputacja Polaków przed Napoleonem w Berlinie.
21. 1893. Rzeź w Krożach.
23. 1794 Zamknięcie Sejmu grodzieńskiego.
23. 1805. Legioniści polscy pod Castel Franco.
25. 1795. Koniec panowania Stanisława Augusta.
26. 1806. Wojska Napoleona zajmują Warszawę.
26. 1855. Śmierć Adama Mickiewicza.
27. 1806. Cesarz Napoleon w Poznaniu.
27, 28. 1812. Przejście przez Berezynę.
28. 1907. Śmierć Stanisława Wyspiańskiego.
29. 1466. Krzyżacy zwracają Polsce Pomorze i część Prus.
29. 1830. Wybuch powstania w Warszawie.
29. 30. 1808. Walki i wzięcie wąwozu Somosiera przez szwoleżerów polskich.

ZMIANY KSIĘŻYCA

6-go Ostatnia kwadra — **22-go Pierwsza kwadra**
14-go Nów — **29-go Pełnia**

Post obowiązuje: 4, 11, 18, 25 listopada






31 DNI | Angielski DECEMBER—Litewski GRUODIS
Niemiecki DEZEMBER—Rosyjski DIEKABR
Ruski HRUDEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Kalendarz Rzymsko-Katolicki
1	Czwartek	Eligiusz, Natalia
2	Piątek	Hipolit, Paulina, Balbina
3	Sobota	Franciszek, Ksawery
49ty Tydzień		
4	**Niedziela**	Piotr, Barbara
5	Poniedz.	Anastazy, Saba, Krystyna
6	Wtorek	Mikołaj, Emil
7	Środa	Ambroży
8	**Czwartek**	**NIEP. POCZ. N. M. P.**
9	Piątek	Piotr, Wiesław, Leokadia
10	Sobota	N. M. P. Loret. Julia
50ty Tydzień		
11	**Niedziela**	Damazy, Sabina
12	Poniedz.	Aleksander, Konstanty
13	Wtorek	Władysław, Łucja, Otylia
14	Środa	Teodor, Alfred
15	Czwartek	Walerian, Wiktor, Celina
16	Piątek	Euzebiusz, Adela
17	Sobota	Łazarz, Florian, Olimpia
51szy Tydzień		
18	**Niedziela**	Gracjan, Bogusław
19	Poniedz.	Grzegorz, Urban
20	Wtorek	Teofil, Juliusz, Bogumiła
21	Środa	Tomasz
22	Czwartek	Zenon, Leon, Honorata
23	Piątek	Wiktoria, Sławomir
24	Sobota	WIG. BOŻEGO NAR.
52gi Tydzień		
25	**Niedziela**	BOŻE NARODZENIE
26	**Poniedz.**	SZCZEPAN
27	Wtorek	Jan Ewangelista
28	Środa	Młodziankowie, Teofil
29	Czwartek	Tomasz
30	Piątek	Eugenia, Sabina
31	Sobota	Sylwester, Melania

KALENDARZYK HISTORYCZNY

GRUDZIEŃ

1. 1830. Chłopicki obejmuje naczelną komendę armii.
2. 1413. Sejm horodelski.
3. 1830. Gen. Szembek z I pułkiem strzelców łączy się z powstaniem.
4. 1796. Pierwsze spotkanie Dąbrowskiego z Napoleonem.
5. 1830. Chłopicki zostaje dyktatorem.
6. 1387. Kraków składa hołd królowi Jagielle.
7. 1806. Wezwanie ks. Józefa do objęcia czynności naczelnego wodza.
8. 1506. Zygmunt Stary królem.
10. 1857. Śmierć generała Józefa Bema w Aleppo.
12. 1501. Koronacja Aleksandra Jagiellończyka.
13. 1587. Śmierć Stefana Batorego.
13. 1867. Zgon Artura Grottgera.
15. 1828. Tajny związek w Szkole Podchorążych.
17. 1530. Elekcja Zygmunta Augusta.
18. 1830. Sejm uznaje powstanie za narodowe.
19. 1812. Napoleon w Warszawie.
20. 1830. Sejm powierza dyktaturę Chłopickiemu.
21. 1658. Zwycięstwo Czarnieckiego nad Szwedami pod Goldyngą.
23. 1595. Zawarcie Unii w Brześciu.
24. 1798. Urodziny Adama Mickiewicza.
24. 1815. Uroczyste zaprowadzenie Konstytucji nadanej Królestwu kongresowemu.
25. 1806. Uniwersał Radzimińskiego, zwołujący pospolite ruszenie pod Łowicz.
26. 1655. Jenerał szwedzki, Mueller zwija oblężenie Jasnej Góry.
27. 1587. Koronacja Zygmunta III. w Krakowie.
28. 1800. Legia Kniaziewicza w walce pod Hohenlinden.
30. 1855. Przewiezienie zwłok Mickiewicza z Turcji do Francji.
31. 1657. Rakoczy siedmiogrodzki wkracza do Polski.

ZMIANY KSIĘŻYCA

6-go Ostatnia kwadra — 22-go Pierwsza kwadra
14-go Nów — 29-go Pełnia

Post obowiązuje: 2, 9, 14, 16, 17, 23, 24, 30 grudnia


STEFANIA GONDEK

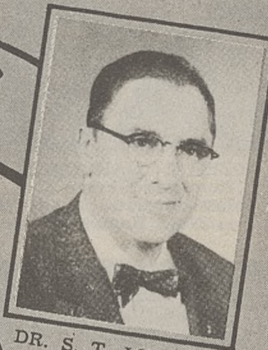

G. J. WROST

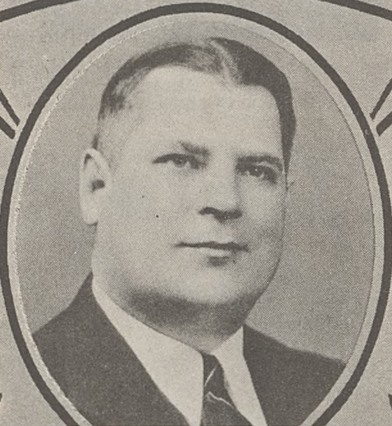

H. DUDEK


A. A. MAZEWSKI

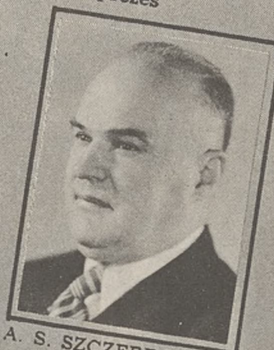
ZARZĄD CENTRALNY Z. N. P.


FR. DYMEK
Wiceprezeska


DR. S. T. LISOWSKI
Wiceprezes


K. ROZMAREK
PREZES


M. TOMASZKIEWICZ
Skarbnik


A. S. SZCZERBOWSKI
SEKRETARZ - JEN.


JAN ULATOWSKI


DR. W. A. SADLEK
Naczelny Lekarz Z. N. P.


J. P. RUDEK

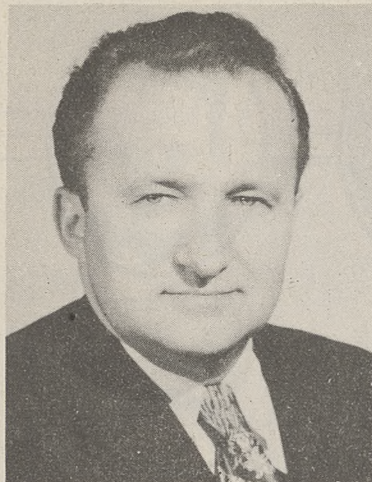

K. ZIEMBA-DIENES


WŁ. PAŚCIAK

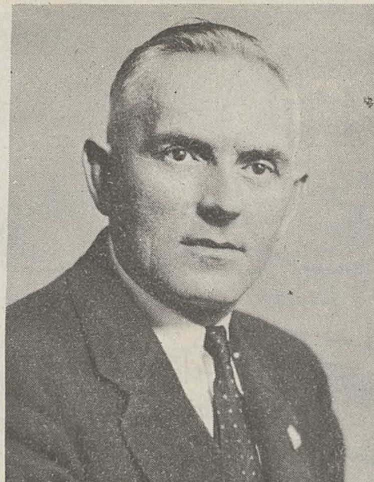

A. ZDUNEK


DR. M. W. MAJCHROWICZ

KOMISARZE OKRĘGÓW Z. N. P.



JÓZEF A. DANCEWICZ
Komisarz Okręgu I.
Stany Massachusetts, Rhode Island i New Hampshire



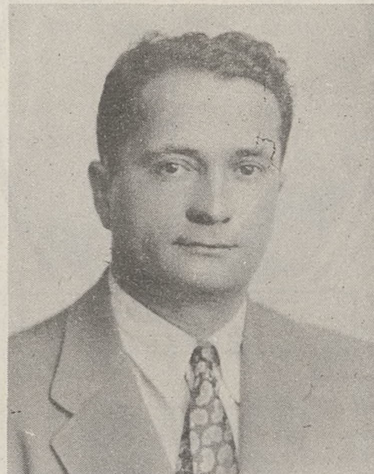
STANISŁAW NIEDŹWIECKI
Komisarz Okręgu II.
Stan Connecticut



LEOPOLD KAROL BABIRECKI
Komisarz Okręgu III.
Wschodnia Część Stanu New York



JAN F. NOWAK
Komisarz Okręgu IV.
Zachodnia Część Stanu New York



EDWARD KOZMOR
Komisarz Okręgu V.
Stan New Jersey (z wyjątkiem miejscowości Camden, N. J.)



WŁ. SZCZYGIEŁ
Komisarz Okręgu VI.
Stany Maryland, District of Columbia, Delaware. Południowa Część Stanu Pennsylvania, miejscowość Camden, N. J. i Florida



L. ŚLIWIŃSKI
Komisarz Okręgu VII.
Północno-Wschodnia Część Stanu Pennsylvania



MICHAŁ L. HOŁODNIK
Komisarz Okręgu VIII.
Zachodnia Część Stanu Pennsylvania



ANDRZEJ GOLEC
Komisarz Okręgu IX.
Stany Ohio, West Virginia i Virginia

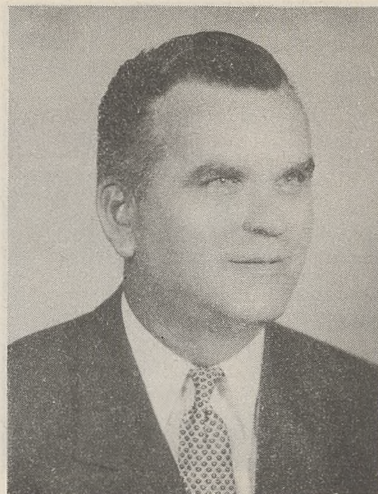
KOMISARZE OKRĘGÓW Z. N. P.



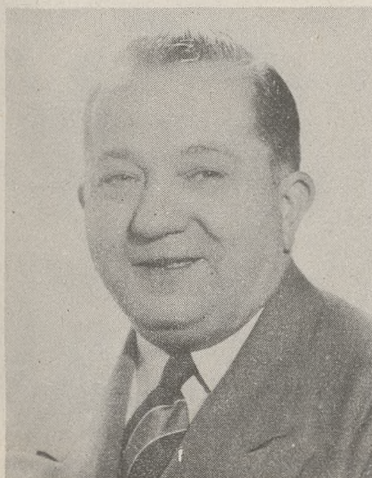
FRANCISZEK ODROBINA
Komisarz Okręgu X.
Stan Michigan, Wyłączając Północny Półwysep tegoż Stanu



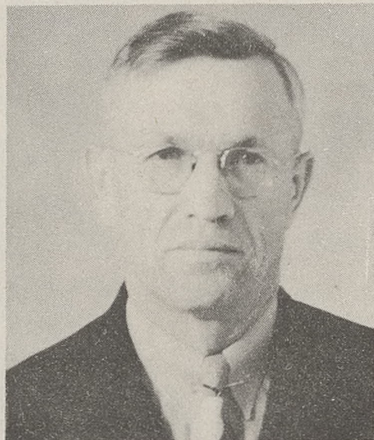
H. KUBICKI
Komisarz Okręgu XI.
Południowa Część Stanu Indiana, Południowa Część Stanu Illinois i Stany Missouri, Nebraska, Kansas, Arkansas, Texas i Colorado



MICHAŁ MOKRZYCKI
Komisarz Okręgu XII.
Południowa Część Miasta Chicago i Południowo-Zachod. Część Stanu Illinois



EDWARD KRYSIŃSKI
Komisarz Okręgu XIII.
Północna Strona Miasta Chicago i Północna Część Stanu Illinois



JÓZEF T. TOBOLA
Komisarz Okręgu XIV.
Stany Wisconsin, Iowa, Minnesota, Północny Półwysep Stanu Michigan, North Dakota i Prowincja Kanady, Manitoba



JAN ZIEMBA
Komisarz Okręgu XV.
Północ. Część Stanu Indiana



ANDRZEJ SPULNIAK
Komisarz Okręgu XVI.
Stany California, Oregon, Washington

W Związku Narodowym Polskim możesz otrzymać podwójne odszkodowanie i zabezpieczyć sobie benefit w razie zupełnego i stałego kalectwa. Jeśli dzieci twoje mają talent, pamiętaj, że przeszło tysiąc młodzieży należy do Drużyn Muzycznych Z. N. P. Zapisz do nich i swoje.

Każde ubezpieczenie twych dzieci w Związku Narodowym Polskim jest dla ciebie, ojcze i matko, ratunkiem i pomocą w razie wypadku. Związek Narodowy Polski jest czwartą największą amerykańską, a największą w świecie polską organizacją ubezpieczeniową bratniej pomocy.

KOMISARKI OKRĘGÓW Z. N. P.



JANINA KAROLKIEWICZ
Komisarka Okręgu I.
Stany Massachusetts, Rhode Island i New Hampshire



TEODORA DROZD
Komisarka Okręgu II.
Stan Connecticut



WANDA L. KRYJAK
Komisarka Okręgu III.
Wschodnia Część Stanu New York



MARIA TUCHEWICZ
Komisarka Okręgu IV.
Zachodnia Część Stanu New York



ANNA KAŹMIERCZAK
Komisarka Okręgu V.
Stan New Jersey (z wyjątkiem miejscowości Camden, N. J.)



LEOKADIA MISIORA
Komisarka Okręgu VI.
Stany Maryland, District of Columbia, Delaware. Południowa Część Stanu Pennsylvania, miejscowość Camden, N. J. i Florida



HELENA ROZAJEWSKA-DWORCZAK
Komisarka Okręgu VII.
Północno-Wschodnia Część Stanu Pennsylvania



EMILIA JANOWSKA
Komisarka Okręgu VIII.
Zachodnia Część Stanu Pennsylvania



WERONIKA KOPEC
Komisarka Okręgu IX.
Stany Ohio, West Virginia i Virginia

KOMISARKI OKRĘGÓW Z. N. P.



JÓZEFA WOLAS
Komisarka Okręgu X.
Stan Michigan, Wyłączając Północny Półwysep tegoż Stanu



MARIA GODLEWSKA
Komisarka Okręgu XI.
Południowa Część Stanu Indiana, Południowa Część Stanu Illinois i Stany Missouri, Nebraska, Kansas, Arkansas, Texas i Colorado



MARIA L. GIERUT
Komisarka Okręgu XII.
Południowa Część Miasta Chicago i Południowo-Zachod. Część Stanu Illinois



ROZALIA WÓJCIK
Komisarka Okręgu XIII.
Północna Strona Miasta Chicago i Północna Część Stanu Illinois



WŁADYSŁAWA PODKOMORSKA
Komisarka Okręgu XIV.
Stany Wisconsin, Iowa, Minnesota, Północny Półwysep Stanu Michigan, North Dakota i Prowincja Kanady, Manitoba



WALERIA MAĆKOWIAK
Komisarka Okręgu XV.
Północ. Część Stanu Indiana

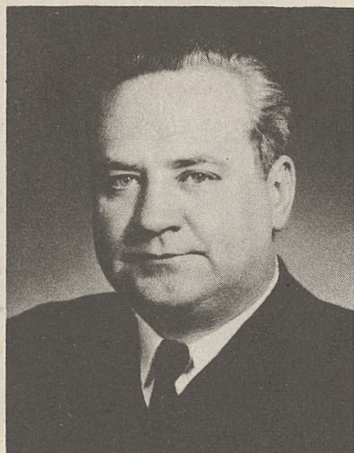
Każda matka Polka w Ameryce powinna nie tylko sama należeć do Z. N. P., ale zapisać także swego syna i swoją córkę do Wydziału Młodzieżowego.



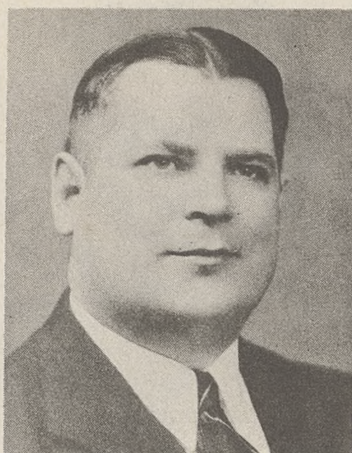
BRONISŁAWA CZARNECKA
Komisarka Okręgu XVI.
Stany California, Oregon, Washington

Należeć do Związku Narodowego Polskiego jest nietylko obowiązkiem narodowym ale i zaszczytem współpracowania w gronie dzielnych patriotów i patriotek.

RADA SZKOLNA Z. N. P.



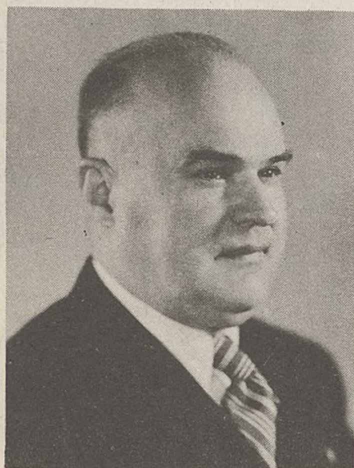
B. F. GUNTHER
Cenzor Z. N. P.
Prezes Rady



KAROL ROZMAREK
Prezes Z. N. P.
Wiceprzew. Rady



MARIA SOKOŁOWSKA
Sekretarz Rady



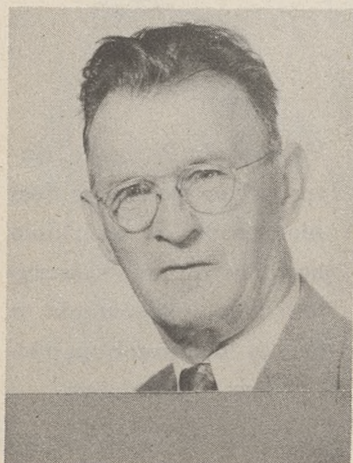
A. S. SZCZERBOWSKI
Sekretarz Z. N. P.



M. TOMASZKIEWICZ
Skarbnik Z. N. P.



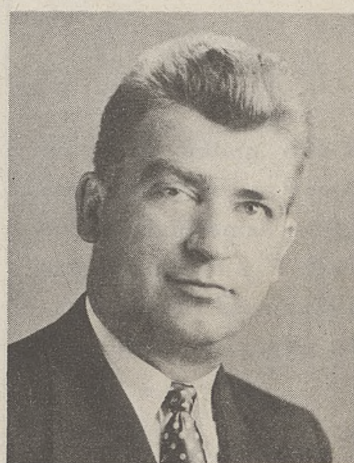
ARTUR A. KOŚCIŃSKI
Sędzia Fed., Detroit, Michigan



DR. J. TOKARCZYK
New Britain, Conn.



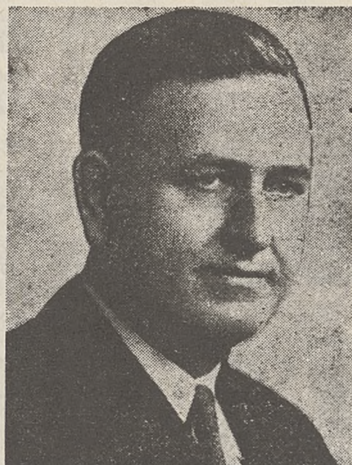
STAN. BORSA
Indiana Orchard, Mass.



STAN. SAMEK
Cleveland, Ohio

RADA SZKOLNA Z. N. P.


J. F. WATTRAS
Monessen, Pa.

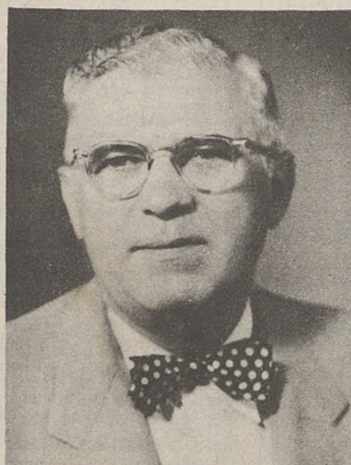

DR. A. P. COLEMAN
Prezydent Kolegium

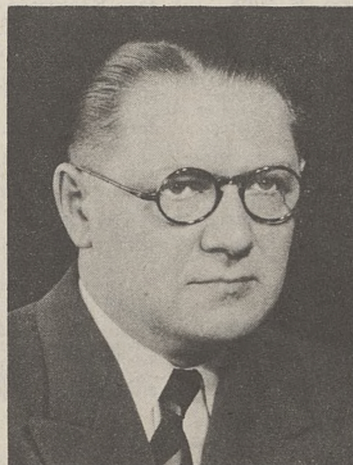

JAN KOLASA
Dziekan Kolegium

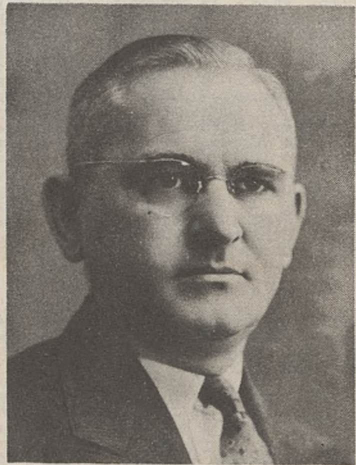

DR. W. A. SADLEK
Naczelny Lekarz Z. N. P.


LEOPOLD A. KOŚCIŃSKI
Doradca Prawny Z. N. P.


LEON S. MAŁŁEK
Urzędujący Rzecznik Z. N. P.


J. S. ŚWIERCZYŃSKI
Zarządca Wydawnictw Z. N. P.


KAROL PIĄTKIEWICZ
Naczelny Redaktor


JÓZEF BRONARS
Kontroler Z. N. P.

ALFABETYCZNY WYKAZ IMION ŚWIĘTYCH

A

Abdona Męczennika 30 Lipca
Adama 24 Grudnia
Adelajdy 10 Grudnia
Adolfa Biskupa 17 Czerwca
Adryana Męczen. 9 Września
Agapita Męczen. 18 Sierpnia
Agatona Papieża 10 Sstycznia
Agnieszki P-ny Męcz. 21 Sty.
Agaty Panny Męcz. 5 Lutego
Agrypiny 23 Czerwca
Albina Biskupa 1 Marca
Albiny Panny 16 Grudnia
Alexandra M. w Rzymie 26 Lutego
Alexandra Męcz. 3 Maja
Alexandra M. w Alex 12 Grudnia
Alexego Wyznawcy 17 Lipca
Alfonsa 2 Sierp. i 22 Paźdz.
Alfreda 3 Lipca
Alodji P. M. 21 Października
Alojzego Gonzagi 21 Czerwca
Amelii księżnej 10 Lipca
Ambrożego Biskupa 7 Grud.
Amalii Panny 2 Marca
Anastazego M. 22 Stycznia
Anastazego Papieża 27 Lutego
Anastazego Wyznaw. 29 Mar.
Anastazji Panny 27 Lutego
Anastazji Rzymian. 26 Paźdz.
Anatoli Męczenniczki 9 Lipca
Anatoliusza Biskupa 3 Lipca
Andrzeja Apostoła 30 Listop.
Andrzeja Polaka Pust. 6 Maja
Andrzeja z Krety 7 Paźdz.
Angeli Mer. P. 31 Maja
Angeli 30 Marca
Anny Matki N.M.P. 26 Lipca
Aniołów Stróżów 2 Paźdz.
Ansgarego Biskupa 4 Lutego
Antoniego Opata 17 Stycznia
Antoniego Padew. 13 Czerw.
Antonina Arcybis. 10 Maja
Antoniny 16 Grudnia
Anzelma 23 Kwietnia
Apolinarego Biskupa 23 Lipca
Apolonii Pan. Męcz. 9 Lutego
Apoloniusza Męcz. 18 Kwiet.
Arkadyusza Męcz. 12 Stycz.
Arseniusza Biskupa 19 Lipca
Artura Biskupa 6 Październ.
Atanazego Biskupa 2 Maja
Augusta Wyznawcy 3 Sierp.
Augustyna Biskupa 28 Sierp.
Aurelii Panny 25 Września
Awita Męczennika 12 Stycznia

B

Balbiny Panny 31 Marca
Barlaama 27 Listopada
Barbary Panny 4 Grudnia
Barnaby Apostoła 11 Czerw.
Bartłomieja Apost. 14 Sierp.
Bazylego Biskupa 14 Czerw.
Beaty Panny 8 Marca
Bedy Kapłana 27 Maja
Benedykta Opata 21 Marca
Benigny Panny 19 Sierpnia
Benona Biskupa 16 Czerwca
Bernarda Opata 20 Sierpnia
Barnarda Seneńskiego 30 Maja
Bibianny Panny 2 Grudnia
Błażeja Biskupa 7 Lutego
Bogumiła 10 Czerwca
Bonawentury Kard. 14 Lipca
Bonifacego Męczen. 14 Maja
Bonifacego Biskupa 5 Czerw.
Bonifacego B. Forent. 30 Maja
Bony Panny 24 Kwietnia
Bronisławy 18 Sierpnia
Brunona Wyznawcy 6 Paźdz.
Brygidy Panny 1 Lutego
Brygidy Wdowy 8 Październ.

C

Cecylii Panny Męcz. 22 List.
Celestyna 6 Kwietnia
Celsa Męczennika 28 Lipca
Cezaryusza Biskupa 27 Sierp.
Cypriana Biskupa 16 Wrześ.
Cypriana Męcz. 26 Września
Cyrylla Biskupa 10 Marca
Cyrylla Biskupa 9 Lipca
Cyrylla Diakona 22 Marca
Cyriaka Kapłana 16 Marca
Cyriaka Męczennika 8 Sierp.
Czesława Wyznawcy 20 Lipca
Czterdziestu Męcz. 10 Marca
Czterech koronatów 8 Listop.

D

Damazego Papieża 11 Grudnia
Damiana Męcz. 27 Września
Daniela Męczennika 3 Stycz.
Daniela Proroka 21 Lipca
Dawida Króla 30 Grudnia
Dezyderiusza Biskup. 21 Maja
Domiceli Panny 7 Maja
Dominika Wyznaw. 4 Sierp.
Dominiki Panny 6 Lutego
Donata Pustelnika 17 Lutego
Doroteusza Męczen. 28 Marca
Doroty Panny 6 Lipca
Dydaka Wyzn. 12 Listopada
Dygny 11 Sierpnia
Dionizego Biskupa 8 Kwiet.
Dionizego Męczen. 9 paźdz.

E

Edmunda Biskupa 16 Listop.
Edyty Królewny 15 Grudnia
Edwarda Króla 13 Październ.
Eleonory Panny 21 Lutego
Eliasza Proroka 20 Lipca
Eligiusza Biskupa 1 Grudnia
Elizeusza Proroka 2 Paźdz.
Elżbiety Wdowy 8 Lipca
Elżbiety Panny 5 Listopada
Elżbiety Królow. 19 Listop.
Emeryka Królew. 5 Listop.
Emiliana Biskupa 11 Wrześ.
Emilianny 5 Stycznia
Emilii 30 Czerwca
Engielberta 7 Listopada
Epifaniusza Bisk. 7 Kwietnia
Erazma Biskupa 2 Czerwca
Estery Królowej 18 Listop.
Euchariusza Bisk. 20 Lutego
Eudoxiusza M. 5 Września
Eufenii Panny 16 Września
Eufrozyny Męcz. 3 Września
Eufrozyny Panny 11 Lutego
Eugenii P. M. 24 Grudnia
Eugeniusza 18 Listopada
Eugeniusza Bisk. 30 Grudnia
Eulalii Panny 10 Grudnia
Eustachiusza Męcz. 20 Wrześ.
Euzebii P. M. 29 Października
Euzebiusza W. 14 Sierpnia
Euzebiusza Bisk. 16 Grudnia
Ewarysta Papieża 26 Paźdz.
Ewy 24 Grudnia
Ezechiasza Króla 30 Paźdz.
Ezechiela Proroka 20 Kwiet.

F

Fabiana 20 Stycznia
Faustyny Męczen. 15 Lutego
Faustyny Wdowy 19 Grudnia
Felicjana Biskupa 24 Stycznia
Felicjana Męczen. 9 Czerwca
Feliksa Kapucyna 18 Maja
Feliksa Papieża 30 Maja
Feliksa z Noli 18 Stycznia
Feliksa Męczen. 30 Sierpnia
Feliksa Walezy 20 Listopada
Ferdynanda Króla 30 Maja
Filipa Apostoła 1 Maja
Filipa Neriusza 26 Maja
Filipa Benicjusza 23 Sierpnia
Filomeny P-ny Męcz. 5 Lipca
Flawiana Męcz. 25 Lutego
Flawii Panny 5 Października
Floriana Męczennika 4 Maja
Floriana Męcz. 17 Październ.
Florentyna Bisk. 16 Październ.
Fortunata Męcz. 26 Lutego
Franciszka Borg. 10 Paźdz.
Franciszka Salezego 29 Kwiet.
Franciszka a Paulo 2 Kwiet.
Franciszka Seraf 4 Październ.
Franciszka Ksaw. W. 3 Grud.
Franciszki Wdowy 9 Marca
Fryderyka Opata 5 Marca
Fulgentego Biskupa 1 Stycz.

G

Gabriela Archanioła 18 Marca
Gaudencji Panny 30 Sierpnia
Gaudentego Bisk. 12 Lutego
Gawła Opata 16 Października
Gedeona Sędziego 18 Czerw.
Genowefy Panny 3 Stycznia
Gerarda Biskupa 24 Września
Germana Biskupa 24 Wrześ.
Germana Biskupa 28 Maja
Gertrudy Panny 17 Marca
Gerwazego 19 Czerwca
Gotfreda (Bogumiła) 13 Sty.
Gotfreda Biskupa 8 Listop.
Graciana Biskupa 18 Grudnia
Grzegorza Biskupa 4 Stycznia
Grzegorza Papieża 12 Marca
Grzegorza Naziańskiego 9 Maja
Grzegorza Cudotwór. 18 List.
Gustawa 2 Sierpnia
Gwidona Wyznaw. 12 Wrześ.

H

Heleny Cesarzowej 2 Marca
Heleny Królowej 22 Maja
Heliodora 3 Lipca
Henryka Cesarza 15 Lipca
Henryka 19 Stycznia
Hermenegilda M. 13 Kwiet.
Hermogenesa 19 Kwietnia
Hiacynty Panny 30 Stycznia
Higina Papieża 11 Stycznia
Hilarego 14 Stycznia
Hieronima Dr. Kościoła 30 Września
Hipolita 13 Sierpnia
Honoraty Panny 12 Stycznia
Huberta Biskupa 3 Listopada
Hugonota 1 Kwietnia

I

Idy Panny 13 Kwietnia
Idziego Opata 1 Września
Ignacego Biskupa 1 Lutego
Ignacego Lojoli Wyznawcy 31 Lipca
Ildefonsa 23 Stycznia
Imienia Jezus 19 Stycznia
Imienia Marii 14 Września
Inocentego Papieża 28 Lipca
Ireneusza Smyrneńskiego 25 Marca
Ireneusza Męcz. 15 Grudnia
Ireny Panny 20 Października
Iwona Wyznawcy 19 Maja
Izabeli Panny 15 Marca
Izabeli Królowej 3 Września
Izajasza Proroka 6 Lipca
Izydora Biskupa 4 Kwietnia
Izydora Oracza 10 Maja

J

Jacka Wyznawcy 18 Sierpnia
Jadwigi Wdowy 16 Październ.
Jakóba Apostoła 1 Maja
Jakóba Apostoła 25 Lipca
Jakóba Patriarchy 21 Kwiet.
Jakóba z Nizybu 15 Lipca
Jakóba Pustelnika 17 Lutego
Jana Jałmużnika 23 Stycznia
Jana Chryzostoma 27 Stycz.
Jana Franciszka 16 Czerwca
Jana z Matty Wyzn. 8 Lutego
Jana Bożego 8 Marca
Jana w Oleju 6 Maja
Jana Nepomucena 16 Maja
Jana Papieża 27 Maja
Jana Chrzciciela 24 Czerwca
Jana Męczennika 26 Czerwca
Jana Gwalberta 12 Lipca
Jana z Dukli 7 Lipca
Jana Kantego 27 Października
Jana Kapistrana W. 23 Paźdz.
Jana od Krzyża 24 Listop.
Jana Ewangelisty 27 Grud.
Januariusza Bisk. 19 Wrześ.
Jerzego Męczen. 24 Kwietnia
Joachima Ojca NMP. 1 Wrześ.
Joanny Wdowy 24 Maja
Joanny Fremiot 21 Sierpnia
Jordana Wyznawcy 13 Lutego
Jowity Męczen. 15 Lutego
Józefa Obl. N.M.P. 19 Marca
Józefa Kalasant. W. 4 Lipca
Józefa z Kopertynu 18 Wrześ.
Judy Tadeusza Ap. 28 Paźdz.
Judyty Wdowy 16 Listopada
Juliana Męczen. 27 Stycznia
Juliana Męczen. 13 Lutego
Julianny Panny 16 Lutego
Julii Panny Męcz. 22 Maja
Juliusza Papieża 12 Kwietnia
Julity P. M. 30 Lipca
Justa Biskupa 2 Września
Justyna Męczen. 17 Września
Justyniana Bisk. 5 Września
Justyny Panny Męcz. 7 Paźdz.
Juwencjusza Męcz. 1 Czerw.

K

Kaja Męczen. 22 Kwietnia
Kajetana Wyznaw. 7 Sierp.
Kalixta Papieża 14 Paźdz.
Kamilla Wyznawcy 18 Lipca
Kandyda Męcz. 9 Październ.
Kanuta Króla 19 Stycznia
Karola W. Cesarza 28 Stycz.
Karola Boromeusza 4 Listop.
Karoliny 5 Lipca
Kassjana Męczen. 13 Sierpnia
Kasyldy 15 Kwietnia
Katarzyny Szwedzkiej 23 Mar.
Katarzyny Seneńskiej 30 Kw.
Katarzyny Panny M. 25 List.
Katedry św. Piotra w Rzymie 18 Stycznia
Kat. św. Pawła w Antiochii 22 Lutego
Kazimierza Królew. 4 Marca
Kiliana Biskupa 8 Lipca
Klary Panny 12 Sierpnia
Kleta Papieża 23 Listopada
Klemensa Bisk. Męcz. 13 Lut.
Klemensa Papieża 23 Listop.
Kleofona Męczen. 25 Wrześ.
Klotyldy Królowej 6 Czerw.
Kolety Panny 6 Marca
Konstancji Panny M. 18 Lut.
Konstantyna Wyzn. 11 Marca
Konstancji 12 Kwietnia
Konrada Wyznaw. 19 Lutego
Konrada Bisk. 26 Listopada
Korduli Panny 22 Październ.
Korneli Męczen. 31 Marca
Kozmy Męczennika 27 Wrześ.
Kryspina i Kryspianina 27 Października
Krystyny Panny 24 Lipca
Krzysztofa Męcz. 25 Lipca
Kunegundy Cesarz. 3 Marca
Kunegundy Królow. 28 Lipca
Kwiryna Męczen. 20 Marca

L

Lamberta 16 Kwietnia
Larga Męczennika 8 Sierpnia
Leandra Bisk. W. 27 Lutego
Leokadii Panny 9 Grudnia
Leona I Papieża 11 Kwietnia
Leona XI Papieża 8 Czerw.
Leonarda Wyznaw. 5 Listop.
Leonilii Panny M. 18 Stycz.
Leontyny Panny 15 Marca
Leopolda Margr. 15 Listopad.
Longina Męczen. 15 Marca
Lusjana Męczen. 7 Stycznia
Lucyny Panny 30 Czerwca
Lucyny Męcz. 17 Październ.
Ludgardy Panny M. 16 Czerw.
Lugdera Biskupa 26 Marca
Ludomira 3 Października
Ludwika Wyznaw. 12 Lutego
Ludwika Króla Syc. 19 Sierp.
Ludwika Króla 25 Sierpnia
Ludwiki Panny 15 Kwietnia

Ł

Ładysława z Gieln. 22 Wrześ.
Łazarza Biskupa 17 Grudnia
Łucji Panny 13 Grudnia
Łukasza Ewang. 18 Paźdz.

M

Macieja Apostoła 25 Lutego
Magdaleny 25 Maja i 22 Lipca
Makarego Opata 2 Stycznia
Makryny M. 21 Lipca
Małgorzaty Kr. Węgierskiej 13 Lipca
Małgorzaty Kr. Szw. 10 Czer.
Małgorzaty P. Męcz. 20 Lipca
Mamerta Biskupa 11 Maja
Mansweta Biskupa 28 Listop.
Marcella Papieża 16 Stycznia
Marcelli Wdowy 31 Stycznia
Marcellana Papieża 18 Czerw.
Marcellina Papieża 26 Kwiet.
Marcina Biskupa 11 Listop.
Marcina Papieża 12 List.
Marcjana Męcz. 17 Kwietnia
Marcjanny P. Męcz. 9 Stycz.
Marka Ewangelisty 25 Kwiet.
Marka Męczennika 24 Marca
Marka z Rzymu M. 18 Czerw.
Marty Panny 29 Lipca
Martyny Panny 30 Stycznia
Marty Męczen. 19 Stycznia
Marii Egipcjanki 10 Kwietnia
Marii z Engii 23 Czerwca
Marii Kleofy 9 Kwietnia
Marii Magdaleny we Fl. 31 Maja
Marii Magdaleny w Jeroz. 22 Lipca
Mariusza 19 Stycznia
Mateusza Apostoła 21 Wrześ.
Matyldy Królowej 14 Marca
Maurycjusza 22 Września

Maurycego 13 Września
Maksymiliana Bisk. 12 Paźdz.
Maxymina Bisk. 3 Czerwca
Medarda Bisk. 3 Czerwca
Melanii P. M. 18 Lutego
Metodego B. W. 10 Marca
Michała Arch. 29 Września
Mikołaja z Tolent. 10 Wrześ.
Mikołaja Biskupa 6 Grudnia
Mirona Męczen. 17 Sierpnia
Młodzianków 28 Grudnia
Modesty Panny 15 Czerwca
Moniki Wdowy 4 Maja

N

Narcyza Biskupa 20 Paźdz.
Narodzenie Chrystusa 25 Grudnia
Narodzenie N.P.M. 8 Wrześ.
Natalji Panny 27 Lipca
Nawróc. św. Pawła 25 Stycz.
Nazarjusza M. 12 Czerwca i 28 Lipca
N. M. Anielskiej 2 Sierpnia
N. M. P. Bolesnej 4 Kwiet.
N. M. P. od wyzw. niew. 24 Września
N.M.P. Loretańskiej 10 Grud.
N. M. P. Łaskawej 11 Maja
N. M. P. Różańcowej 6 Paźdz.
N. M. P. Śnieżnej 5 Sierpnia
N. M. P. Szkaplerz. 16 Lipca
Nawiedzenie N. M. P. 2 Lipca
Nemezjusza Męcz. 19 Grud.
Nicefora Męczen. 29 Lutego
Nicefora Biskupa 13 Marca
Niepok. Pocz. N.M.P. 8 Grud.
Nikodema Męcz. 15 Września
Norberta Biskupa 6 Czerwca

O

Oczyszczenie N.M.P. 2 Lutego
Ofiarowanie N.M.P. 21 List.
Oktawiana Męcz. 22 Marca
Olimpji 26 Marca
Onufrego Pustel. 12 Czerw.
Opieka św. Józefa 21 Kwiet.
Opieki N. M. P. 10 Listopada
Optata Biskupa 4 Czerwca
Ottona Biskupa 2 Lipca
Ottona Męczennika 16 Stycz.
Otylji Panny Męcz. 13 Grud.

P

Pafnucego Męcz. 19 Kwiet.
Pankracego 12 Maja
Pantaleona Męcz. 27 Lipca
Paschalisa 17 Maja
Paschazego Bisk. 22 Lutego
Patrycjusza Bisk. 17 Marca
Patrycji Męcz. 13 Marca
Paulina Biskupa 22 Czerwca
Pauliny Wdowy 26 Stycznia
Pawła Biskupa 22 Marca
Pawła Męcz. 26 Czerwca
Pawła I Pustel. 15 Stycznia
Pawła Apostoła 29 Czerwca
Pelagji Panny 11 Lipca
Pelagji Pokutnicy 12 Paźdz.
Petroneli 31 Maja
Pięciu ran. św. Franciszka 17 Września
Piotra Chryzologa 4 Grudnia
Piotra Egzorcysty 2 Kwietnia
Piotra Nolaski 31 Stycznia
Piotra Męczen. 29 Kwietnia
Piotra Celestyna 19 Maja
Piotra z Werony Męczen. 20 Kwietnia
Piotra i Pawła 29 Czerwca
Piotra w Okowach 1 Sierpnia
Piotra z Alkantary 19 Paźdz.
Piusa Papieża 5 Maja
Placydy Męcz. 5 Października
Placydy P. 11 Października
Podwyższenie św. Krzyża 14 Września
Polieukta Męczen. 21 Maja
Polikarpa Bisk. Męcz. 26 Sty.
Praxedy Panny 2 Lipca
Prokopa Męczennika 4 Lipca
Prokula Męczen. 1 Czerwca
Prospera Biskupa 25 Czerwca
Prota Męczen. 11 Września
Protazego 19 Czerwca
Pryma Męczen. 9 Czerwca
Pryski Panny 18 Stycznia
Przeniesienie św. Kazimierza 27 Sierpnia
Przeniesienie św. Wojciecha 20 Października
Pulcherji Męczennicy 7 Lipca
Pulcherji Panny 10 Września

R

Rafała Archanioła 24 Paźdz.
Rajmunda 23 Stycznia
Rajmunda Kard. 31 Sierp.
Reginy Panny 7 Września
Remigjusza Bisk. 1 Paźdz.
Roberta Opata 7 Czerwca
Rocha Wyznawcy 16 Sierpnia
Romana Opata 28 Lutego
Romana Męcz. 9 Sierpnia
Romany Panny 23 Lutego
Romualda Opata 7 Lutego
Rozalji Panny 4 Września
Rozesłanie Apost. 15 Lipca
Róży Panny 26 Sierpnia
Róży Limańskiej 30 Sierpnia
Rudolfa 17 Kwietnia
Rufy Męczenniczki 28 Listop.
Rufina Wyznawcy 19 Sierp.
Rufiny Panny 31 Sierpnia
Ruperta Biskupa 27 Marca
Ryszarda Biskupa 3 Kwietnia

S

Sabby Opata 5 Grudnia
Sabina Wyznawcy 11 Lipca
Sabiny Męcz. 27 Października
Salezego Męcz. 12 Sierpnia
Salomei Panny 17 Listopada
Salwiana 17 Marca
Saturnina Męcz. 29 Listopada
Saturniny Panny i Męczen. 4 Marca
Scholastyki Panny 10 Lutego
Ścięcie św. Jana Chrzciciela 29 Sierpnia
Serapiona Wyz. Męcz. 14 List.
Serca Pana Jezusa 7 Czerw.
Sergiusza Męcz. 24 Lutego
Serwacego Biskupa 13 Maja
Serwiliana Męcz. 20 Kwietnia
Seweryna Opata 8 Stycznia
Siedmiu Braci śpiących 10 Maja
Sebastjana 20 Stycznia
Sennena Męcz. 30 Lipca
Sotera Papieża 22 Kwietnia
Spirydona Biskupa 14 Grud.
Stanisława Biskupa 8 Maja
Stanisława Kostki 13 Listop.
Stefana Kr. Węg. 2 Września
Sulpicjusza Męcz. 20 Kwiet.
Sygfryda B. M. 25 Lutego
Sylwerjusza 20 Czerwca
Sylwestra Papieża 31 Grud.
Sylwiana Biskupa 17 Lutego
Symforjana Męcz. 22 Sierp.
Synezjusza Męcz. 12 Grudnia
Syxta Papieża 28 Marca
Szczepana 1 Męcz. 26 Grud.
Szczepana Papieża 2 Sierpnia
Szymona z Lipnicy 28 Lipca
Szymona Apostoła 28 Paźdz.
Szymona z Edesy 5 Lipca

T

Tadeusza Apostoła 28 Paźdz.
Tarsylji Panny 24 Grudnia
Tekli Panny 23 Września
Telesfora Pap. Męcz. 5 Stycz.
Teobalda Pustelnika 1 Lipca
Teodora Męcz. 9 Listopada
Teodora Zakonnika 7 Stycz.
Teodory Męczen. 1 Kwietnia
Teodory Pokutnicy 11 Wrześ.
Teodezji Panny Męcz. 29 Maja
Teodozjusza Wyzn. 11 Stycz.
Teodoryka 1 Lipca
Teofila Biskupa 27 Kwietnia
Teofila Męczen. 20 Grudnia
Teresy Panny 15 Paździer.
Tomasza z Akwinu 7 Marca
Tomasza z Wilan. 18 Wrześ.
Tomasza Apostoła 21 Grud.
Tomasza Kantuar. 29 Grud.
Trzech Króli 6 Stycznia
Tyburcjusza 14 Kwietnia
Tymoteusza B. M. 24 Stycz.
Tytusa Biskupa 4 Stycznia

U

Ubalda Biskupa 16 Maja
Urbana 25 Maja
Urszuli Panny 21 Paździer

W

Wacława Króla 28 Września
Walentego Kapł. Męcz. 14 Lut.
Walerego Bisk. 12 Grudnia
Walerego Męcz. 12 Września
Walerji Męcz. 5 Czerwca
Walerji Panny 9 Grudnia
Walerjana Męcz. 14 Marca
Wawrzyńca Męcz. 10 Sierp.
Wenantego Męcz. 18 Maja
Wenefrydy Panny 3 Listop.
Weroniki Panny 13 Stycznia
Weroniki z Julianu 17 Maja
Wiktora 1 Września
Wiktorji Panny 23 Grudnia
Wiktoryna Męcz. 6 Marca
Wiktoryna Biskupa 5 Wrześ.
Wiktora Biskupa Męcz. 2 List.
Wilhelma Arcyb. 10 Stycz.
Wilhelma Opata 6 Kwietnia
Wilhelma księcia 28 Maja
Wilibalda Biskupa 7 Lipca
Wilibrarda Biskupa 7 List.
Wincentego Biskupa 20 Marca
Wincentego Męcz. 22 Stycz.
Wincentego Fer. W. 5 Kwiet.
Wincentego a Paulo 19 Lipca
Wincentego Kadłubka 9 Paź.
Wita 15 Czerwca
Witalisa Męcz. 28 Kwietnia
Władysława Króla 27 Czerw.
Wniebowz. N. M. P. 15 Sierp.
Wojciecha Biskupa 23 Kwiet.
Wolfganga Biskupa 31 Paźdz.
Wszystkich Św. 1 Listopada

Z

Zacharjasza Proroka 6 Wrześ.
Zacharjasza Papieża 5 List.
Zaślubienie N. M. P. 23 Stycz.
Zefiryna Papieża 26 Sierp.
Zenobji Panny 30 Paździer.
Zenobiusza 30 Października
Zenona Żołnierza 22 Grudnia
Znalezienie św. Krzyża 3 Maja
Zofji z 3-ma córkami 15 Maja
Zuzanny P. Męcz. 11 Sierp.
Zwiastowanie NMP. 25 Marca
Zygmunta Króla 2 Maja

KALENDARZYK ŚWIĄT LEGALNYCH W STANACH ZJEDN.

Arbor Day. — Zwykle wyznaczany przez Gubernatora.
Armistice Day (Dzień Rozbrojenia) — 11 listopada.
Christmas Day (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.
Columbus Day — 12 października.
Decoration Day, zobacz: Memorial Day.
Defense Day (Dzień Obrony) — 12 września.
Father's Day (Dzień Ojców) Druga Niedziela Czerwca
Flag Day — 14 lipca.
Independence Day (Dzień Niepodległości) — 4 lipca.
Indian Day. — Czwarty piątek we wrześniu.
Jeffersona urodziny — 13 kwietnia.
Labor Day (Dzień Pracy) — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Lincolna urodziny — 12 lutego.
Memorial Day (Dzień Wieńczenia) — 30 maja we wszystkich stanach; w Alabama, Georgia, Florida i Mississippi 26 kwietnia; w North i South Carolina 10 maja.
Mother's Day (Dzień Matek) Druga niedziela w maju.
Nowy Rok — 1 stycznia.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Ostatni czwartek w listopadzie.
Washingtona urodziny — 22 lutego.

NARODOWE ŚWIĘTA RÓŻNYCH KRAJÓW

Argentyna — 25 maja.
Armenja — 28 maja.
Bałtyckie Kraje — 18 listopada.
Boliwja — 6 sierpnia.
Brazylja — 7 września.
Bułgarja — 5 października.
Chiny — 10 października.
Columbia — 20 lipca.
Costa Rica — 15 września.
Czechosłowacja — 28 października.
Ecuador — 10 sierpnia.
Finlandja — 6 grudnia.
Francja — 14 lipca.
Grecja — 7 kwietnia.
Guatemala — 15 września.
Haiti — 1 stycznia.
Honduras — 15 września.
Liberja — 26 lipca.
Meksyk — 16 września.
Nikaragua — 15 września.
Niemcy — 9 listopada.
Norwegja — 17 maja.
Panama — 28 listopada.
Paragwaj — 14 i 15 maja.
Peru — 28—30 lipca.
Polska —3 maja.
Portugalja — 1 grudnia.
Rosja Sowiecka — 7-go listopada.
Salvador — 10 września.
Uruguaj — 28 lutego.
Wenezuela — 4 lipca.

ŚWIĘTA LEGALNE W KANADZIE

Nowy Rok — 1 stycznia.
Popielec.
Wielki Piątek.
Niedziela Wielkanocna.
Empire Day — 24 maja.
Dominion Day — 1 lipca.
Labor Day — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Zwykle proklamowany na ostatni poniedziałek w październiku.
Christmas (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.

ALFABETYCZNY SPIS IMION SŁOWIAŃSKICH

B

Bogna św. 20 Czerwca
Bogodar 9 Listopada
Bogomił 10 Czerwca
Bogomir 13 Stycznia
Bogosław 29 Kwietnia
Bogowit 7 Marca
Boguchwał 18 Marca
Bogufał 27 Kwietnia
Bogumiła 20 Grudnia
Bogusław 1 Lipca
Bogusława 29 Maja
Bogusz 24 Lutego
Boguwola 8 Grudnia
Bohdan 19 Marca
Bohdana 6 Lutego
Bohdar bł. 27 Marca
Bojomir 6 Stycznia
Bolesław 19 Sierpnia
Bolesława 22 Lipca
Bolisław 1 Sierpnia
Borys i Chleb 9 Sierpnia
Borysława 25 Maja
Bożena 14 Marca
Bożesława 31 Maja
Bożesław 10 Marca
Bożydar bł. 9 Maja
Bożydar 21 Września
Borzysław 19 Czerwca
Borzywój bł. 5 Kwietnia
Błażej 8 Lutego
Branmiła 3 Czerwca
Bratumił 18 Października
Bratysław 4 Października
Bronimir 20 Maja
Bronisława 18 Sierpnia
Bronisław 6 Października
Broniwój 22 Czerwca
Budzimił 15 Września
Budzimir 16 Czerwca
Budzisław 1 Marca
Budzisława 20 Października
Budziwój 23 Maja

C

Chlebosław 6 Sierpnia
Chocisław 5 Maja
Chotymir 13 Czerwca
Chronisław 13 Września
Chwalibóg 24 Stycznia
Chwalibóg 28 Lutego
Chwalimir 8 Lipca
Chwalimira 25 Listopada
Chwalisław 3 Listopada
Chwalisława 30 Kwietnia
Cichomił 23 Sierpnia
Cichomir 6 Czerwca
Cichosław 13 Maja
Cichosław 30 Czerwca
Cierpimir 10 Maja
Cierpisława 29 Lipca
Cieszymir 24 Sierpnia
Czcibóg 29 Marca
Czcimisław 29 Marca
Czcisława bł. 19 Lutego
Czesław 20 Lipca
Czesław m. 20 Kwietnia
Czesława 12 Stycznia

D

Dadzibóg 29 Września
Damelit 29 Października
Damian 27 Września
Daromiła 21 Października
Długomir 15 Marca
Długosław 18 Czerwca
Długosława 15 Października
Dobiesław 14 Maja
Dobrogniew 30 Stycznia
Dobrogist 14 Lipca
Dobromiła 11 Października
Dobromir 4 Stycznia
Dobromir 5 Czerwca
Dobromira 31 Marca
Dobrosław 10 Stycznia
Dobrosława 9 Kwietnia
Dobrowit 18 Września
Dobrowój 14 Sierpnia
Dogomost 9 Października
Domorad 16 Sierpnia
Domosław 15 Stycznia
Domosława 7 Września
Domysław 21 Czerwca
Dorosław 24 Listopada
Drogomił 21 Kwietnia
Dobrochna 5 Lutego
Drogomir 22 Grudnia
Drogomira 9 Listopada
Drogomysł 17 Czerwca
Drogosław 17 Września
Drogowit 6 Września
Dzierżykraj 17 Lipca
Dzierżymir 14 Października
Dzierżysław 16 Lipca
Dzierżysław 1 Września

G

Gniewomir 8 Lutego
Godysław 22 Marca
Godysława 24 Grudnia
Godzimir 31 Października
Godzisław 28 Grudnia
Gorysław 9 Lutego
Gorysław 10 Kwietnia
Gościsław 18 Kwietnia
Gościsław 28 Listopada
Gościwit 6 Maja
Gosław 29 Grudnia
Grzmisław 12 Października
Grzmisława 25 Grudnia

H

Homir 24 Września

I

Imisław 30 Września
Iścisław 11 Września
Izasław 6 Lipca

J

Jacław św. 15 Sierpnia
Janisław 24 Czerwca
Jarogniew 6 Grudnia
Jaromir 11 Kwietnia
Jaromir 28 Maja
Jaropełk 18 Stycznia
Jarosława 21 Stycznia
Jarosław 25 Kwietnia
Jerzy św. 24 Kwietnia
Jordan św. 13 Lutego

K

Kazimierz 4 Marca
Kazimiera 21 Sierpnia
Krasisław 17 Kwietnia
Krasnoroda 7 Lipca
Krzepimir 19 Września
Krzesimir 11 Stycznia
Krzesław 28 Marca
Krzesomyśl 19 Maja

L

Lassota 31 Grudnia
Lechosław 26 Listopada
Letosław 3 Sierpnia
Litomił 4 Czerwca
Lubomir 1 Maja
Lubomira 21 Marca
Lubomiła 4 Grudnia
Lubomira 24 Marca
Lubomira 24 Lipca
Lubosław 12 Kwietnia
Ludomił 30 Grudnia
Ludowił 20 Lutego
Ludomiła 7 Maja
Ludomir 10 Listopada
Ludomyśl 7 Grudnia
Ludowił 11 Maja
Ludowir 31 Lipca
Ludosława 11 Marca
Ludosław 30 Listopada
Lutosław 26 Października

Ł

Ładysław bł. 26 Września

M

Mieczysław 1 Stycznia
Miłada bł. 16 Lutego
Miłogost 8 Marca
Miłosława 2 Lutego
Miłosław 3 Lipca
Miłosz 25 Stycznia
Miływój 23 Listopada
Miron św. 17 Sierpnia
Mirosław 26 Lutego
Mirosława 26 Lipca
Mnożysław 4 Kwietnia
Mścigniew 19 Grudnia
Mścisław 8 Stycznia
Mścisława 9 Marca
Mściwój 4 Listopada
Myślimir 14 Kwietnia
Myślisław 20 Września

N

Namysław 25 Sierpnia
Niecisław 13 Marca
Niemir 14 Lutego
Niezamyśl 8 Sierpnia
Nonisław 16 Kwietnia
Nowosław 12 Listopada

O

Ojcomił 2 Lipca
Ojcosław 16 Marca
Olek św. 7 Sierpnia
Olga św. 11 Lipca
Onosława 21 Lutego
Ostromir bł. 4 Sierpnia

P

Pakosław 5 Marca
Polemir 20 Marca
Prokop 5 Lipca
Przebysława 22 Października
Przedzimir 14 Czerwca
Przedzisław 23 Lutego
Przedzisław 27 Sierpnia
Przemysław 13 Kwietnia
Przemysław 30 Października
Przemyśl 29 Listopada
Przesław 7 Kwietnia
Przesław św. 3 Września
Przesława 21 Maja
Przybysław 27 Stycznia
Przybysław 15 Listopada

R

Racibor bł. 29 Sierpnia
Radogost 14 Stycznia
Radomił 11 Czerwca
Radomiła 13 Lipca
Radomir 28 Stycznia
Radomir 16 Listopada
Radomyśl 27 Grudnia
Radosław 2 Marca
Radosław 8 Kwietnia
Radosław 15 Lipca
Radosława 8 Września
Radzimir 12 Września
Radzisław 16 Października
Radzisława 10 Grudnia
Radziwój 10 Lipca
Radzyn św. 12 Lutego
Ratymir 19 Stycznia
Ratysław 2 Czerwca
Rosław 13 Sierpnia
Rosława 7 Października
Rościsław 17 Stycznia
Rościsław 4 Września
Rozmysław 26 Czerwca
Rustaw 27 Maja

S

Samomysł 25 Października
Samosława 1 Grudnia
Sebastjan 20 Stycznia
Sędzimir 20 Listopada
Sędzisław 16 Września
Sędziwój 8 Listopada
Sieman 3 Października
Siemisław 24 Października
Skarbimir 26 Stycznia
Sław 21 Listopada
Sławá bł. 12 Sierpnia
Sławiflor 14 Grudnia
Sławimir 17 Maja
Sławobój 25 Lutego
Sławomiła 3 Marca
Sławomir bł. 5 Listopada
Sławomira 23 Grudnia
Sławosz 25 Lipca
Sławój 9 Czerwca
Sobiebór 9 Września
Sobiesław 20 Sierpnia
Spitogniew 31 Stycznia
Spitosław 11 Listopada
Spitosława 5 Grudnia
Spitymir 26 Kwietnia
Stanisław św. 8 Maja
Stanisław św. 5 Sierpnia
Stanisław R. 18 Listopada
Stanimir 2 Października
Stosław 2 Października
Stosław i D. 21 Lipca
Strachota 9 Lipca
Strzeżymir 22 Kwietnia
Strzeżysław 2 Stycznia
Strzeżysław 15 Maja
Sudomir 2 Kwietnia
Sulimir 30 Maja
Sulisław bł. 7 Lutego
Swatosz 12 Marca
Świętobój 26 Marca
Świętobór 6 Kwietnia
Świętochna 11 Lutego
Świętomir 28 Lipca
Świętopełk 1 Czerwca
Świętopełk 25 Września
Świętorad 17 Lutego
Świętosław 7 Stycznia
Świętosław 3 Maja
Świętosława 31 Sierpnia
Świętosława 2 Sierpnia
Szczęsław 15 Lutego
Szczęsny św. 30 Sierpnia
Szukosław 30 Marca
Szulisław 2 Grudnia

T

Tolimir bł. 12 Lipca
Tomiła bł. 10 Lutego
Tomir 27 Listopada
Tomira 24 Maja
Tomisław bł. 21 Grudnia

U

Unisław 18 Lipca

W

Wacław bł. 15 Kwietnia
Wacław św. 28 Września
Wanda 23 Czerwca
Warcisław 1 Listopada
Wawrzyniec 10 Sierpnia
Welisław 4 Lipca
Wislimir 3 Grudnia
Wisław bł. 7 Czerwca
Wisława bł. 22 Maja
Wit św. 15 Czerwca
Witomił 27 Października
Witosław 22 Stycznia
Witosław 4 Lutego
Witymir 2 Maja
Witymir 2 Listopada
Wiarosława 27 Lutego
Więcymił 26 Mają
Więcysław 25 Marca
Wieńczysław 4 Maja
Wieńczysław 16 Maja
Wielosława 18 Lutego
Władybóg 28 Października
Władybój 10 Września
Władymira 9 Stycznia
Władysław 3 Kwietnia
Władysław 13 Grudnia
Własty bór 5 Stycznia
Własty mila 3 Stycznia
Własty mila 26 Sierpnia
Własty mił 25 Czerwca
Własty mir 23 Października
Władysław św. 27 Czerwca
Włodzimierz 16 Stycznia
Włodzimierz 19 Kwietnia
Włodzimira 11 Sierpnia
Wodzimir 14 Listopada
Wodzisław 19 Lipca
Wodzisław 5 Września
Wojsław 6 Marca
Wojciech św. 23 Kwietnia
Wojmir 11 Grudnia
Wojsława 8 Października
Wolidar 12 Grudnia
Wolimir 15 Grudnia
Wrócisława 23 Stycznia
Wróciwój 26 Grudnia
Wrócisława 22 Lutego
Wrzesław 18 Maja
Wszebór 27 Lipca
Wszemil 12 Maja
Wszemil 18 Grudnia
Wszemila 22 Listopada
Wszerad 13 Listopada
Wszewład 6 Listopada
Wyszomir 12 Czerwca
Wyszomir 28 Sierpnia
Wyszosław 8 Czerwca

Z

Zasław 5 Października
Zatysława 17 Października
Zdzisław 17 Marca
Zbigniew 1 Kwietnia
Zbisław 23 Marca
Zbisław 17 Listopada
Zbroisław 28 Czerwca
Zdobysław 30 Lipca
Zdosława 16 Grudnia
Zdzisław 29 Stycznia
Zelimir 22 Września
Ziemisław 13 Października
Ziemomysł 14 Września
Ziemowit bł. 19 Października
Znatysław 1 Października

Ż

Żegota 1 Lutego
Żelisław 23 Lipca
Żyrosław 17 Grudnia
Żytomir 7 Listopada
Żywisław 28 Kwietn

ZNACZENIE IMION MĘSKICH I ŻEŃSKICH

ZNACZENIE IMION MĘSKICH

Abner: Ojciec światła
Abraham: Ojciec wielu
Achilles: Sympatyczny
Adam: Człowiek ziemi
Adalbert: zobacz Wojciech
Adolf: Szlachetny bohater
Adrian: Ciemny
Alan: Harmonia
Albert: Cały jasny
Aleksander: Pomagający ludziom
Aleksy: Obrońca
Alfons: Gotowy do walki
Alfred: Dobry doradca
Algernon: Wąsaty
Ambroży: Nieśmiertelny
Amos: Silny
Andrzej: Mężny
Antoni: Zasługujący na pochwałę
Archibald: Bardzo odważny
Arnold: Silny jak orzeł
Aron: Ten który oświeca
Artur: Szlachetny
Augustyn: Wspaniały
Baldwin: Odważny
Bartłomiej: Syn wojny
Bazyli: Królewski
Benedykt: Błogosławiony
Benjamin: Syn prawej ręki
Bernard: Silny niedźwiedź
Bertram: Roztropny
Borys: Obcy
Cecyl: Niedowidzający
Cyryl: Pański
Cyrus: Jak słońce
Czesław: Żołnierz
Daniel: Boski sędzia
Dawid: Ukochany
Donald: Dumny wódz
Edgar: Chętnie dający
Edmund: Obrońca
Edward: Stróż
Edwin: Uzyskujący szczęście
Elmer: Doskonały
Emanuel: Bóg z nami
Eryk: Dzielny
Ernest: Poważny
Erwin: Jak niedźwiedź
Eugeniusz: Dobrze urodzony
Eweret: Stały
Franciszek: Wolny
Ferdynand: Gwałtowny
Filip: Miłośnik koni
Fryderyk: Pokojowy władca
Gerald: Silny z włócznią
Gilbert: Słynny
Gordon: Szczodry
Grzegorz: Czujny
Gustaw: Wojownik
Harold: Szampion
Hektor: Obrońca
Henryk: Głowa domu
Herbert: Sława armii
Herman: Wojownik
Hiram: Najszlachetniejszy
Horacy: Dzielny przewódca
Hubert: Roztropny
Hugon: Dobroduszny
Irwin: Wojownik
Iwan: Dar boski
Jakub: Wierny
Jan: Dar boski
Jeremi: Święte imię
Jerzy: Posiadający ziemię
Jonatan: Dar Jehowy
Julian, Juliusz: O miękkich włosach
Justyn: Sprawiedliwy
Kalwin: Odważny
Karol: Mężny
Konrad: Zdolny doradca
Korneliusz: Zaszczytny
Krzysztof: Niosący Zbawiciela
Laurenty: Uwieńczony wawrzynem
Leon: Lew
Leonard: Silny jak lew
Leopold: Odważny dla ludu
Luter: Świetny wojownik
Łukasz: Światło
Marek: Młot
Marcin: Wojowniczy
Mateusz: Dar Jehowy
Maurycy: Ciemnej cery
Michał: Jak Bóg
Mikołaj: Zwycięstwo ludu
Milton: Czerwony
Mojżesz: Z wody
Napoleon: Leśny lew
Natan: Podarek
Noe: Wygoda
Norman: Człowiek północy
Oliwer: Zadowolony
Orwil: Spokojny
Oskar: Skaczący wojownik
Oswald: Siła boska
Otton: Olbrzym
Patryciusz: Szlachetny
Paweł: Mały
Piotr: Skała
Ralf: Słynny bohater
Rajmund: Roztropny obrońca
Reginald: Silny król
Robert: Słynny
Ronald: Słynny
Rudolf: Czynny
Rufus: Rudowłosy
Ryszard: Potężny władca
Samson: Wielka uciecha
Saul: Ten o którego proszono
Salomon: Pokojowy
Stanisław: Kamienista łąka
Stefan: Kwiecista korona
Sylwan: Mieszkaniec lasu
Szymon: Chętnie słuchający
Teodor: Dar boski
Tomasz: Bliźniak
Tymoteusz: Bogobojny
Ulekses: Nienawidzący
Walenty: Zdrowy
Walter: Mistrz wody
Wiktor: Zwycięsca
Wincenty: Zwycięski
Wilbur: Dzik
Wojciech: Szlachetny

ZNACZENIE IMION ŻEŃSKICH

Adela, Adelina: Księżniczka
Adrianna: Ciemna
Agata: Dobra
Agnieszka: Czysta
Alicja: Księżniczka
Alda: Bogata
Alma: Dobre serce
Amanda: Godna miłości
Amelia: Ukochana
Angelika: Miła
Anita: Pełna gracji
Anna: Pełna gracji
Antonina: Nieokreślona
Barbara: Dzika
Beatrycja: Szczęśliwa
Berta: Piękna
Brygida: Świetlana
Cecylia: Niedowidzająca
Cyntia: Z góry Cynt
Debora: Pszczoła
Diana: Boska
Dolores: Smutna
Dorota: Dar boski
Edyta: Drogi podarek
Edna: Przyjemność
Eleonora: Światło
Elżbieta: Uproszona u Boga
Emilia: Energiczna
Estera: Szczęśliwa
Eunice: Szczęśliwe zwycięstwo
Ewa: Życie
Ewangelina: Dobra nowina
Felicja: Szczęście
Flora: Kwiaty
Florencja: Kwitnąca
Genowefa: Spokojna
Gertruda: Wierna
Gloria: Sława
Helena: Światło
Hilda: Pomagająca
Honorata: Zaszczytna
Hortensia: Lubiąca ogród
Ida: Jak bogini
Irena: Pokój
Irma: Niewinna
Jadwiga: Głowa domu
Janina: Dziecię boskie
Judyta: Chwalona
Julia, Julianna: Z mięk. włosami
Laura: Wawrzyn
Leona: Odważna
Lilian: Lilijka
Loretta: Czysta
Ludwika: Odważna
Łucja: Urodzona przy zachodzie słońca
Magdalena: Wspaniała
Małgorzata: Perła
Maria: Gwiazda morza
Marta: Pani domu
Matylda: Bohaterka
Mildred: Mówiąca łagodnie
Milicent: Słodka śpiewaczka
Miranda: Podziwiana
Natalia: Podarek
Nina: Młoda
Norma: Z północy
Olga: Święta
Patrycja: Szlachetna
Pryscyla: Starodawna
Prudencja: Roztropna
Rachela: Jagnię
Ramona: Zabezpieczona
Rebeka: Czarująca piękność
Sara: Księżniczka
Shirley: Miła
Sybilja: Wróżka
Sylwia: Z lasu
Stella: Gwiazda
Teresa: Niosąca zboże
Weronika: Wierna
Wiktoria: Zwycięstwo
Wiola: Skromna
Wirginia: Czysta
Zofia: Mądrość
Zuzanna: Lilia

Odległość Pomiędzy Miastami w Stanach Zjednoczonych

Najkrótszą linją kolejową w milach. Według tabeli departamentu wojny.

Z / Do	New York	Chicago	Philadelphja	St. Louis	Boston	Baltimore	Cleveland	Buffalo	San Francisco	Pittsburgh	Cincinnati	New Orleans	Washington	Minneapolis
Albany	145	832	236	1,028	202	333	480	297	3,106	567	724	1,517	1,142	1,252
Atlanta	876	733	785	611	1,106	688	736	919	2,805	805	492	496	648	1,158
Baltimore	188	802	97	934	418	......	474	398	3,076	334	593	1,184	40	1,222
Bostonu	217	1,034	321	1,230	......	418	682	499	3,308	674	926	1,602	458	1,454
Buffalo	442	525	416	731	499	398	183	......	2,799	270	427	1,256	438	945
Chicago	912	......	821	284	1,034	802	357	525	2,274	468	298	912	790	420
Cincinnati	757	298	666	341	926	593	244	427	2,572	313	......	829	553	718
Clevelandu	584	357	493	548	682	474	......	183	2,631	135	244	1,073	437	777
Columbus, Ohio	637	314	546	428	820	511	138	321	2,588	193	116	935	471	734
Denver	1,934	1,022	1,843	916	2,056	1,850	1,379	1,537	1,371	1,490	1,257	1,347	1,810	884
Detroit	693	272	669	488	750	649	173	251	2,546	321	263	1,092	655	692
Duluth	1,391	479	1,300	728	1,513	1,281	701	1,004	2,238	947	777	1,447	1,269	162
El Paso	2,310	1,465	2,219	1,245	2,414	2,179	1,703	1,915	1,287	1,866	1,586	1,195	2,139	1,521
Galvestonu	1,792	1,144	1,691	860	2,012	1,594	1,408	1,591	2,157	1,481	1,157	410	1,554	1,340
Grand, Rap's, Mich.	821	178	815	462	878	796	332	379	2,452	462	308	1,090	764	598
Helena	2,452	1,540	2,361	1,549	2,574	2,342	1,897	2,065	1,250	2,008	1,838	2,152	2,320	1,119
Indianapolis	825	183	734	240	965	704	283	466	2,457	381	111	888	664	603
Jacksonville, Fla.	983	1,097	892	975	1,213	795	1,085	1,193	3,098	1,057	841	618	755	1,517
Kansas City	1,342	458	1,251	277	1,466	1, 211	755	967	1,981	898	618	880	1,171	573
Los Angeles	3,149	2,265	3,058	2,084	3,273	3,018	2,562	2,774	475	2,705	2,425	2,007	2,978	2,301
Louisville	871	304	780	274	1,040	703	358	541	2,468	427	114	778	663	724
Memphis	1,157	527	1,066	311	1,387	969	738	921	2,439	807	494	396	929	897
Milwaukee	997	85	906	369	1,119	887	442	610	2,359	553	383	997	875	335
Minneapolis	1,332	420	1,241	586	1,451	1, 222	777	945	2,096	888	718	1,285	1,210	......
Mobile	1,231	929	1,140	647	1,461	1,043	1,029	1,212	2,623	1,098	785	141	1,003	1,233
Montreal	386	841	477	1,051	330	574	623	434	3,115	704	826	1,655	614	1,125
Newark, N. J.	9	903	82	1,056	226	179	575	405	3,177	435	748	1,363	219	1,323
New Haven	76	980	167	1,141	140	264	628	445	3,254	520	833	1,448	304	1,400
New Orleans	1,372	912	1,281	699	1,602	1,184	1,073	1,256	2,482	1,142	829	......	1,144	1,285
New Yorku	......	912	91	1,065	217	188	584	442	3,186	444	757	1,372	228	1,332
Ogden	2,496	1,494	2,315	1,414	2,528	2,296	1,851	2,019	780	1,962	1,792	1,891	2,284	1,316
Omaha	1,405	493	1,314	413	1,527	1,295	1,750	1,018	1,781	961	791	1,080	1,283	381
Philadelphia	91	821	......	974	321	97	493	416	3,095	353	666	1,281	137	1,241
Pittsburgha	444	468	353	621	674	334	135	270	2,742	......	313	1,142	302	888
Portland, Maine	332	1,149	436	1,345	115	533	797	614	3,423	789	1,041	1,717	573	1,569
Portland, Ore.	3,204	2,292	3,113	2,212	3,326	3,094	2,649	2,817	772	2,760	2,590	2,746	3,082	2,042
Providence	190	1,034	281	1,230	45	378	682	499	3,308	634	926	1,562	418	1,454
Quebec	530	1,013	621	1,343	402	718	795	612	3,287	876	1,039	1,827	786	1,438
Richmond, Va.	343	879	252	918	573	155	553	553	3,153	417	581	1,046	115	1,299
Rochester, N. Y.	373	603	361	799	430	354	251	68	2,877	338	495	1,324	394	1,023
St. Joseph, Mo.	1,392	470	1,301	327	1,474	1,261	875	1,058	1,867	948	668	941	1,221	485
St. Louis	1,065	284	974	......	1,230	934	548	731	2,194	621	341	699	894	586
St. Paul	1,322	410	1,231	576	1,444	1,212	767	935	2,086	878	708	1,275	1,200	10
San Antonio	1,943	1,204	1,852	920	2,150	1,755	1,468	1,651	1,911	1,541	1,217	571	1,715	1,320
San Francisco	3,186	2,274	3,095	2,194	3,308	3,076	2,631	2,799	......	2,742	2,572	2,482	3,064	2,096
Seattle	3,151	2,239	3,060	2,332	3,273	2,941	2,596	2,764	957	2,707	2,537	2,931	3,029	1,818
Spokane	2,812	1,900	2,721	1,932	2,934	2,702	2,257	2,425	1,205	2,368	2,198	2,535	2,690	479
Springfield, Mass.	139	935	230	1,131	99	327	583	400	3,209	583	827	1,511	367	1,355
Tampa, Fla.	1,195	1,309	1,104	1,187	1,425	1,007	1,297	1,405	3,310	1,269	1,053	828	967	1,729
Toledo	705	244	615	437	795	595	113	296	2,518	261	203	1,032	595	1,664
Washingtonu	228	790	137	894	458	40	437	438	3,064	302	553	1,144	......	1,210

CMENTARZE ŻOŁNIERZY AMERYKAŃSKICH POLEGŁYCH W WOJNIE ŚWIATOWEJ W EUROPIE

Cmentarz St. Mihiel American, No. 1213; Thiacourt, Meurthe-et-Moselle, Francja.

Cmentarz Suresnes American, No. 34; Suresnes, Paryż, Francja.

Cmentarz Meuse-Argonne American No. 1232; Romagne-sous-Montfaucon (Meuse), Francja.

Cmentarz Aisne-Marne American, No. 1764; Belleau, Aisne, Francja.

Cmentarz Oise-Aisne American, No. 608; Seringes-et-Nesles, Aisne, Francja.

Cmentarz Flanders Field American No. 1252; Waereghem, Belgja.

Cmentarz Brookwood American, No. 107-E; Brookwood, Surrey, Anglja.

Na cmentarzach tych pogrzebanych jest 30,812 poległych żołnierzy amerykańskich.

Cmentarz Somme American, No. 636; Bony, Aisne, Francja.

TABELKA PORÓWNAWCZA TERMOMETRÓW

Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur
212	100.	80.	122	50.	40.	32	0	0
210	98.9	79.1	120	48.9	39.1	30	— 1.1	— 0.9
208	97.8	78.2	118	47.8	38.2	28	— 2.2	— 1.8
206	96.7	77.3	116	46.7	37.3	26	— 3.3	— 2.7
204	95.6	76.4	114	45.6	36.4	24	— 4.4	— 3.6
202	94.4	75.6	112	44.4	35.6	22	— 5.6	— 4.4
200	93.3	74.7	110	43.3	34.7	20	— 6.7	— 5.3
198	92.2	73.8	108	42.2	33.8	18	— 7.8	— 6.2
196	91.1	72.9	106	41.1	32.9	16	— 8.9	— 7.1
194	90.	72.	104	40.	32.	14	—10.	— 8.
192	88.9	71.1	102	38.9	31.1	12	—11.1	— 8.9
190	87.8	70.2	100	37.8	30.2	10	—12.2	— 9.8
188	86.7	69.3	98	36.7	29.3	8	—13.3	—10.7
186	85.6	68.4	96	35.6	28.4	6	—14.4	—11.6
184	84.4	67.6	94	34.4	27.6	4	—15.6	—12.4
182	83.3	66.7	92	33.3	26.7	2	—16.7	—13.3
180	82.2	65.8	90	32.2	25.8	0	—17.8	—14.2
178	81.1	64.9	88	31.1	24.9	— 2	—18.9	—15.1
176	80.	64.	86	30.	24.	— 4	—20.	—16.
174	78.9	63.1	84	28.9	23.1	— 6	—21.1	—16.9
172	77.8	62.2	82	27.8	22.2	— 8	—22.2	—17.8
170	76.7	61.3	80	26.7	21.3	—10	—23.3	—18.7
168	75.6	60.4	78	25.6	20.4	—12	—24.4	—19.6
166	74.4	59.6	76	24.4	19.6	—14	—25.6	—20.4
164	73.3	58.7	74	23.3	18.7	—16	—26.7	—21.3
162	72.2	57.8	72	22.2	17.8	—18	—27.8	—22.2
160	71.1	56.9	70	21.1	16.9	—20	—28.9	—23.1
158	70.	56.	68	20.	15.	—22	—30.	—24.
156	68.9	55.1	66	18.9	15.1	—24	—31.1	—24.9
154	67.8	54,2	64	17.8	14.2	—26	—32.2	—25.8
152	66.7	53.3	62	16.7	13.3	—28	—33.3	—26.7
150	65.6	52.4	60	15.6	12.4	—30	—34.4	—27.6
148	64.4	51.6	58	14.4	11.6	—32	—35.6	—28.4
146	63.3	50.7	56	13.3	10.7	—34	—36.7	—29.3
144	62.2	49.8	54	12.2	9.8	—36	—37.8	—30.2
142	61.1	48.9	52	11.1	8.9	—38	—38.9	—31.1
140	60.	48.	50	10.	8.	—40	—40.	—32.
138	58.9	47.1	48	8.9	7.1	—42	—41.1	—32.9
136	57.8	46.2	46	7.8	6.2	—44	—42.2	—33.8
134	56.7	45.3	44	6.7	5.3	—46	—43.3	—34.7
132	55.6	44.4	42	5.6	4.4	—48	—44.4	—35.6
130	54.4	43.6	40	4.4	3.6	—50	—45.6	—36.4
128	53.3	42.7	38	3.3	2.7	—52	—46.7	—37.3
126	52.2	41.8	36	2.2	1.8	—54	—47.8	—38.2
124	51.1	40.	34	1.1	0.9	—56	—48.9	—39.1

PORÓWNANIE TERMOMETRÓW

Są trzy rodzaje termometrów czyli ciepłomierzy różniące się skalą stopni, a mianowicie: Najczęściej używany Fahrenheita, Reaumura i Celsiusa. Punkt marznięcia i punkt wrzenia wyrażone stopniami, w trzech wyż wspomnianych termometrach wykazują następującą różnicę:

Nazwa termometru	Punkt marznięcia wody	Punkt wrzenia wody
Fahrenheit	32	212
Reaumur	0	80
Celsius	0	100

Chcąc przemienić stopnie jednego na stopnie drugiego termometru postępuje się jak następuje:

Zamieniając Fahreinheita na Reaumura odciąga się od stopni Fahrenheita liczbę 32 a pozostałość mnoży przez 4/9 n.p. Termometr Fahrenheita wskazuje 68 stopni a chcemy się dowiedzieć ile jest stopni Reaumura więc od 68 odciągamy 32 pozostaje nam 36 te mnoży przez 4/9 i otrzymamy 16.

Przemieniając stopnie Fahrenheita na stopnie Celsiusa odciągamy od nich liczbę 32 a pozostałość mnożymy przez 5/9.

Przemieniając stopnie Reaumura w Fahrenheita mnożymy je przez 9/4 i dodajemy do iloczynu liczbę 32.

Stopnie Reaumura na Celsiusa zamieniamy mnożąc je przez pięć czwartych.

Celsiusa na Fahrenheita mnożąc przez 9/5 i dodając do iloczynu 32.

Celsiusa na Reaumura mnożąc przez 4/5.

Tabelka Porównawcza Wag i Miar w Ameryce i w Polsce

Poniżej najważniejsze informacje o miarach metrycznych w Polsce oraz tabelka porównawcza miar i wag w Stanach Zjednoczonych i w Polsce.

Miary metryczne są przyjęte i używane w całej Europie już od wielu lat. Są one oparte na systemie dziesiętnym. Nas głównie obchodzą miary długości i wagi, przeto te podajemy poniżej:

Metr wynosi 39.37 cala, a zatem w przybliżeniu 39 i jedna trzecia cala. Metr ma 100 centymetrów; w jednym calu mieści się mniej więcej dwa i trzy czwarte centymetra.

Kilometr ma 1,000 metrów — 10 kilometrów stanowi sześć i pół mili amerykańskiej.

Kilogram ma w przeliczeniu na system amerykański mniej więcej 2 funty i ćwierć. Kilogram ma tysiąc gramów; niecałe trzy gramy stanowią jedną uncję. — Wiele rzeczy kupuje się w Polsce na dekagramy. Dekagram ma 10 gramów i stanowi trochę więcej jak trzy uncje.

Zboże w Polsce mierzy się obecnie nie na korce, ale na metry sześcienne. Metr zboża waży 100 kilogramów. Metr zboża nazywa się centnar. Obie nazwy są używane.

Litr płynu równa się około 1 i ćwierć amerykańskiej kwarty.

Wielu rodaków ma kłopot z przeliczaniem miar i wag używanych w Polsce. Obliczenie to ułatwi nam przypuszczalnie poniższa tabliczka.

Starsi może nie wszyscy będą umieli mnożyć przez ułamki dziesiętne (decimal fractions), ale w każdym domu znajdzie się ktoś, co to potrafi. Dla przykładu, ktoś z kraju napisze, że waży 60 kilogramów, albo w skróceniu: kilo. Ile to wynosi na nasze funty? Zajrzyjmy do tabliczki, która podaje, że aby zamienić kilogramy na funty, trzeba je pomnożyć przez 2.-2046, to znaczy przez 2 i 2046 dziesięcio-tysięcznych. Mnożymy więc 60 razy 2.2046 i dostajemy liczbę 133,2760, czyli 133 funty i 2760 dziesięciotysięcznych funta, czyli okrąglej mówiąc: 133 i ćwierć funta.

Zamienić	na	pomnożyć przez
milimetry	cale	0.0393
centymetry	cale	0.3937
metry	stopy	3.2808
metry	yardy	1.0936
kilometry	mile	0.6213
metry sześcienne	yardy sześc.	1.3079
litry	kwarty płyn.	1.0567
litry	galony	0.2642
hektolitry	buszle	2.8378
kilogramy	funty	2.2046
dekagramy	uncje	0.3505
hektary	akry	2.4710
metryczne tony	tony 2,000 lbs.	1.1023
metryczne tony	tony 2,400 lbs.	0.9842
cale	milimetry	25.4000
cale	centymetry	2.5400
stopy	metry	0.3048
yardy	metry	0.9144
mile	kilometry	1.6093
yardy sześcienne	metry sześc.	0.7646
funty	kilogramy	0.4536
uncje	dekagramy	2.8305
kwarty	litry	0.9463
galony	litry	3.7853
buszle	hektolitry	0.3524
tony 2,000 lbs.	hektary	0.4047
akry	tony metr.	0.9072
tony 2,400 lbs.	tony metr.	1.0160

Program 1-go koncertu Chopina w Paryżu

STANY ZJEDNOCZONE PÓŁN. AMERYKI

GEOGRAFIA I KLIMAT

Stany Zjednoczone zajmują najpodatniejszą do zamieszkania i najżyźniejszą część lądu Ameryki Północnej. Obszarem równają się prawie całej Europie, zajmując przestrzeń 3,602,900 mil kwadratowych. Ludność, podług cenzusu z 1934 r., była 126,564,000. Na północy graniczą one z Kanadą, na wschodzie sięgają Oceanu Atlantyckiego, na południu Zatoki Meksykańskiej oraz granic Meksyku, na zachodzie zaś brzegów Oceanu Spokojnego (Pacific).

Cały kraj składa się z 48 Stanów, Dystryktu Kolumbijskiego (District of Columbia), posiadłości wyspiarskich Porto Rico, Wysp Filipińskich, oraz terytorjów Alaska i Hawaii.

Wielkie rzeki amerykańskie nadają się do żeglugi na setki mil w głąb kraju i rzeki te dostarczają również siły pociągowej do pędzenia maszyn, wytwarzania elektryczności i oświetlenia miast.

Stany Zjednoczone są krajem wielkich bogactw naturalnych. Posiadają one rozległe kopalnie węgla, żelaza, miedzi, srebra i złota. Lasy pokrywają przestrzeń 500 miljonów akrów. Uprawny obszar kraju wzrósł olbrzymio na zachodzie, skutkiem wprowadzenia nowego systemu nawadniania. Pomimo obfitości innych bogactw, rolnictwo stanowi największą część bogactwa krajowego. Na roli pracuje 35 procent ogółu ludności. Skutkiem olbrzymiego obszaru i różnic klimatycznych, produkty rolne przedstawiają olbrzymią rozmaitość, począwszy od pomarańcz i bawełny, a skończywszy na pszenicy i wełnie.

RZĄD STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Stany Zjednoczone Północnej Ameryki tworzą **"Federalną Republikę,"** w skład której wchodzi 48 Stanów, jeden dystrykt, jedno terytorjum i wyspy. Stany są niezawisłymi, lecz złączonymi w jedną całość. Rząd kraju opiera się na prawie fundamentalnem pisanem, które zwie się konstytucją, stanowiącą najwyższe prawo kraju.

Konstytucja została przyjęta w mieście Filadelfji, w roku 1787, gdy po uwolnieniu się od panowania Anglji, delegaci trzynastu kolonij zebrali się celem opracowania formy rządu. Z tych **"oryginalnych trzynastu"** liczba stanów wzrosła obecnie do 48.

W Stanach Zjednoczonych są dwa rodzaje rządu: Rząd ogólnokrajowy, czyli federalny i rząd stanowy, i tym systemem naród rządzi krajem przez pośrednictwo przedstawicieli wybieralnych przez ogół obywateli.

W zakres rządu federalnego wchodzi:—stosunek z innymi krajami, wypowiadanie wojny i zawarcie pokoju, nadzór nad armją i marynarką, poczta, określenie stosunku pomiędzy stanami, utrzymanie usługi granicznej, nakładanie i zbieranie cła, bicie monety, druk banknotów, udzielanie patentów, ustanawianie miar i wag, imigracja, naturalizacja i sprawy bankructw.

Rząd stanów poszczególnych załatwia wyłącznie sprawy we własnym stanie, czyli wewnętrzne.

RZĄD FEDERALNY

Zakres władzy rządu federalnego rozdzielony jest na trzy Wydziały (Departments): **Wykonawczy** (Executive), **Prawodawczy** (Legislative) i **Sądowniczy** (Judicial).

Prezydent jest przedstawicielem władzy wykonawczej. Ubiegać się o ten urząd mogą wyłącznie obywatele urodzeni w tym kraju i liczący nie mniej, niż 36 lat życia. Wybory na prezydenta odbywają się co 4 lata. — Obowiązkiem jego przedewszystkiem jest wykonywanie praw uchwalonych przez Kongres. Jest on naczelnym wodzem siły zbrojnej lądowej i morskiej. Naznacza członków swego gabinetu, swych doradców, kierujących poszczególnymi departamentami rządu, którzy są tylko przed nim odpowiedzialni za swe czynności. Ma on prawo obsadzania wielu ważnych urzędów; poleca Kongresowi uchwalanie praw potrzebnych i pożytecznych; załatwia wszelkie sprawy zagraniczne i zawiera traktaty z obcymi mocarstwami. Posiada z pewnemi ograniczeniami władzę odmówienia sankcji prawom przez Kongres uchwalonym.

Wszystkie postanowienia prezydenta podlegają koniecznie zatwierdzeniu przez senat.

Departament **prawodawczy** ustanawia prawa. Departament ten składa się z dwóch izb: Senatu i Izby Reprezentantów. Senat wraz z Izbą Reprezentantów tworzą razem **Kongres.**

Departament Sądowniczy składa się z czterech poszczególnych działów. Najważniejszym jest **Sąd Najwyższy** (Supreme Court).

ADMINISTRACJE STANOWE

Każdy z 48-miu stanów ma sobie pozostawione prawo ustanawiania konstytucji i stanowych praw statutowych, oraz kompletny samorząd wewnętrzny. Władze wszystkich stanów są mniej więcej podobne do siebie i egzystują wszędzie na mocy swoich konstytucyj, określających je nawet bardziej szczegółowo, aniżeli to dzieje się w konstytucji związkowej. Instytucje te można podzielić na **centralne** instytucje stanowe i **lokalne**, należące do mniejszych jednostek administracyjnych, jak naprzykład gminy, powiaty lub miasta i miasteczka, albo wsie. Cała różnica jest ta, że stan jako jednostka państwowa sam stwarza swe instytucje. Instytucje zaś pomniejszych podziałów stanu, jak n. p. powiaty, lub gminy, egzystują na mocy przywilejów nadanych tym powiatom, lub gminom przez legislatury stanów lub też przez trybunały, upoważnione przez nie do tego.

Władzą **prawodawczą** stanu jest legislatura, składająca się z dwóch izb: — Senatu i Izby delegatów. W senacie przewodniczy **zastępca gubernatora**, w Izbie — **mówca** (Speaker).

Władzą **wykonawczą** stanu jest gubernator (Governor), a w razie jego ustąpienia zastępca (Lieutenant-Governor). Gubernator posiada w swoim stanie atrybucje władzy, podobne do władzy prezydenta. Gubernator i jego zastępcy są wybierani bezpośrednio przez lud.

Władzą **sądowniczą** są sądy stanowe.

W większości stanów zazwyczaj urzędują: **sekretarz stanu, skarbnik, doradca główny, kontroler i kierownik szkolnictwa.** — Czas urzędowania i płace są najrozmaitsze, stosownie do zaludnienia stanu.

ADMINISTRACJE LOKALNE

Administracja lokalna w Stanach Zjednoczonych jest ustanowiona przez każdy ze stanów niezależnie. W tych warunkach siłą rzeczy istnieją niezliczone odrębności i różnice w organizacji i w zakresie władzy czynników administracji w różnych stanach.

POWIAT (COUNTY)

Między dystryktami administracji lokalnej w Stanach Zjednoczonych najpospolitszym jest powiat. Każdy stan podzielony jest na okręgi, zwane powiatami. Przy wielkich różnicach organizacji i kompetycji

władz powiatowych, są jednak ważne rysy wspólne, które nadają administracji powiatowej cechy fundamentalnego podobieństwa w całych Stanach Zjednoczonych.

Powiat amerykański zajmuje zupełnie inne miejsce w ogólnym planie administracji publicznej, niż dystrykty lokalne w krajach europejskich. — Nazwa "County" wskazuje na historyczny związek z "hrabstwem" angielskiem, z którego rozwinął się powiat amerykański.

Jest około 3,000 powiatów w Stanach Zjednoczonych. Przeważna ilość większych stanów ma od 60 do 100 powiatów każdy. Najwięcej powiatów ma stan Texas, bo 243; najmniej mają Rhode Island — pięć i Delaware — trzy.

Co do obszaru i liczby ludności powiaty wykazują wielkie różnice, lecz na ogół powiaty amerykańskie są znacznie mniejsze, zarówno pod względem obszaru jak liczby ludności, od hrabstwa w Anglji, departamentów we Francji, i prowincji w Prusiech, w Belgji, Włoszech i Hiszpanji. Około dwie trzecie powiatów ma od 300 do 800 mil kwadratowych. Najczęściej spotyka się powiaty o obszarze od 400 do 600 mil kwadratowych. Przeszło połowa powiatów ma od 10,000 do 30,000 ludności, lecz w północnych stanach nadatlantyckich przeszło połowa powiatów ma ponad 50,000 ludności, podczas gdy w stanach południowych i w stanach, leżących na zachód od regjonu suchych równin, wiele powiatów ma mniej niż 10,000 ludności.

Dziewięć dziesiątych powiatów ma wybitnie rolniczy charakter, lecz znaczna liczba powiatów zawiera wielkie miasta, i najważniejszymi powiatami są te, które obejmują największe miasta — jak miasto New York (składające się z czterech powiatów). Chicago, Philadelphia, St. Louis, Boston, Baltimore, San Francisco i Denver. W niektórych z tych powiatów administracja powiatowa jest częściowo włączona w administrację miejską.

Nietylko miejscowe władze powiatowe, lecz nawet główne czynniki rządu stanowego wybierane są w każdym powiecie z osobna i poddane są małej, lub nieskutecznej kontroli rządu centralnego w stanach. Rząd Stanów Zjednoczonych niema żadnej kontroli nad urzędnikami powiatowymi, lub innymi lokalnymi urzędami z wyboru.

PODATKI I ASSESSMENTY

Powiat we wszystkich stanach z wyjątkiem dwóch trzecich stanów Nowej Anglji, jest dystryktem o wielkiem znaczeniu w administracji finansowej. Nakłada on podatki i spełnia wiele ważnych funkcji. — W większości stanów urzędnicy powiatowi działają także, jako agenci do pobierania dochodów stanowych, a często także do pobierania dochodów drobniejszych dystryktów lokalnych. W stanach południowych i zachodnich majątek bywa szacowany dla opodatkowania przez urzędników powiatowych, a w wielu innych stanach urzędnicy powiatowi mają pewną kontrolę nad lokalnymi podatkami.

Wielka liczba urzędników, wybieranych w każdym powiecie, czyni powiat ważnym dystryktem wyborczym. Powiat jest także zawsze jednostką dla obliczania głosów na urzędników większych okręgów, jak stanowych, lub posłów do Kongresu. Na znaczenie powiatu, jako okręgu wyborczego wskazuje wielkie znaczenie komitetów powiatowych partji politycznych w wielu stanach.

WŁADZE POWIATOWE

Regulaminy dla spokoju i bezpieczeństwa w powiecie są uchwalane przez "**konwencje powiatowe**", albo przez "**komisarzy powiatowych**", którzy mają władzę wykonawczą i zawiadują budynkami powiatowymi, mostami, więzieniami, szkołami i drogami bitemi.

Każdy powiat posiada swego sekretarza (Clerk), który prowadzi akty urodzeń, śmierci, podatków, listę głosujących i t. p.

Szeryf — jest wykonawcą wyroków sądowych.

Skarbnik — przyjmuje i wypłaca pieniądze uchwalane przez komisarzy.

Koroner — bada wypadki, nagłej lub gwałtownej śmierci, w celu określenia przyczyny i w potrzebie oddaje winnego sądom.

Oprócz tego są w powiecie: **prokurator, kontroler, komisja nadzorcza** (Supervisor).

Sądy są: okręgowe, apelacyjne, wyższe, sieroce i spadkowe.

WŁADZE MIEJSKIE

Władzą **wykonawczą** jest burmistrz (Mayor), który w wielkich miastach ma swój doradczy gabinet i zarządza policją.

Władzą **prawodawczą** są radcy miejscy (aldermani). Przewodniczącym rady miejskiej jest mayor.

Rada miejska ma prawo nadawania koncesji, zaprowadzenia ulic, mostów, wodociągów, parków i zawiaduje majątkiem miasta.

Ciałem **sądowniczem** miasta są różne sądy — tak zwane miejskie (**municipal**), sądy pokoju (**Justice of the Peace courts**). W niektórych miastach są specjalni sędziowie policyjni (**police magistrate**). Sędziowie są albo obierani przez obywateli, lub też mianowani przez władze miejskie, jak burmistrz, lub rada miasta.

LINJA WYBRZEŻY STANÓW ZJEDNOCZONYCH W MILACH MORSKICH

Wybrzeże Atlantyku	1,773
Zatoka Meksykańska	1,607
Puerto Rico	269
Wybrzeże Pacyfiku	1,571
Alaski	4,123
Wysp Hawajskich	628
Guam	80
Midway	20
Wysp Samoa	83
Północnych jezior i rzek	3,041
Zachodnich rzek	4,344
Filipin	11,444
Razem	28,983

WYSOKOŚĆ GÓR W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Alaska	
McKinley	20,300
St. Elias	18,024
Arizona	
San Francisco Peak	12,611
Kalifornja	
Whitney	14,502
Fisherman Peak	14,448
Shasta	14,380
Corcoran	14,093
Kaweah Peak	13,752
Brewer	13,886
Lyell	13,090
Colorado	
Elbert	14,420
Blanca Peak	14,390
Harvard	14,375
Gray's Peak	14,341
Lincoln	14,297
Uncompahgre Peak	14,289
Long's Peak	14,255
Princeton	14,196
Yale	14,187
Pike's Peak	14,180
Holy Cross	14,170
Idaho	
Hyndman Peak	12,078
Montana	
Granite Peak	12,850
Wood	12,750
Cold	12,610
Villa	12,200
Hague	12,000
Snobank	12,000
New Mexico	
N. Truchas Peak	13,306
Nevada	
East Peak	13,145
Oregon	
Hood	11,225
Utah	
King's Peak	13,498
Mount Emmons	13,428
Gilbert Peak	13,422
Lovenia	13,250
Tokewanna Peak	13,200
Wilson Peak	13,095
Washington	
Rainier	14,408
Adams	12,470
Wyoming	
Gannett Peak	13,785
Grand Teton	13,691
Cloud Peak	13,165

ŚWIĘTA W STANACH ZJEDNOCZONYCH

W Stanach Zjednoczonych mamy 8 świąt, które przez prawie wszystkie stany są obchodzone.

1. **Nowy Rok.**

2. **Urodziny Washingtona,** 22 lutego, obchodzone są uroczyście przez wszystkie stany, ponieważ Washington był twórcą Stanów Zjednoczonych. Washington urodził się w roku 1732 w Bridge Creek, Va., a zmarł w roku 1799 bez potomstwa.

3. **Decoration Day,** Dzień Wieńczenia grobów, obchodzony jest uroczyście dnia 30 maja w celu wieńczenia grobów tych bohaterów, którzy polegli na polu walki podczas wojny domowej. Stany północne prowadziły wojnę przeciw stanom południowym i dlatego uroczystość ta do stanów: **Florida, Louisiana, Mississippi, North Carolina i Texas nie odnosi się wcale.** Wieńczenie grobów poległych bohaterów zczasem zamieniło się na dekorowanie grobów własnych krewnych, coś w rodzaju naszych "Zaduszek".

4. **Independence Day,** Dzień Niepodległości, 4-go lipca (Fourth of July) — jest największem świętem w Stanach Zjednoczonych, obchodzonem na pamiątkę wywalczenia niepodległości kraju. Akt niepodległości przedłożony został Kongresowi 4-go lipca, 1776, chociaż na podpisy wszystkich delegatów było trzeba czekać aż do dnia 2-go sierpnia, ponieważ niektórzy reprezentanci czekać musieli na instrukcje od swoich wyborców.

5. **Labor Day,** Dzień Robotników, obchodzony w pierwszy poniedziałek miesiąca września. Urzędy federalne są dnia tego pozamykane a organizacje robotnicze paradują po ulicach i odbywają swe zgromadzenia. Jest to święto robotnicze, zaprowadzone staraniem organizacji robotniczej zwanej "American Federation of Labor".

6. **Columbus Day,** Dzień Kolumba, obchodzony 12-go października na pamiątkę odkrycia Ameryki. — Dnia tego, roku 1492 odkrył Kolumb pierwszą wyspę niedaleko brzegów Ameryki, którą nazwał San Salvador. Święto Kolumba nie jest obchodzone przez wszystkie stany Ameryki.

7. **Dzień Pułaskiego** 11 listopada.

8. **Thanksgiving Day,** — Dzień Dziękczynny, jest ustanowiony do składania Bogu podzięki za błogosławieństwo i za urodzaje całoroczne. Jest to właściwie uroczystość rolnicza, proklamowana przez prezydenta i przez gubernatorów, jako święto legalne. Dzień Dziękczynny zaprowadzony został w roku 1621 w mieście Plymouth. Przypada on zawsze na ostatni czwartek w miesiącu listopadzie. — Niektórzy Amerykanie nazywają Dzień Dziękczynny żartobliwie "Turkey Day", ponieważ tego dnia stoły w każdym amerykańskim domu zastawione są pieczonymi indykami, a conajmniej kurami.

8. **Christmas Day,** Boże Narodzenie, 25-go grudnia.

SZTANDAR STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Sztandar Stanów Zjednoczonych posiada trzynaście równoległych pasów — na przemian siedm czerwonych i sześć białych, i niebieskie pole prostokątne zajmujące czwartą część sztandaru od góry, ze strony drzewca, aż do czwartego czerwonego pasa, licząc od góry. Na tem niebieskiem polu znajdują się białe gwiazdy o pięciu promieniach, umieszczone w sześciu równoległych podłużnych rzędach i w czterech rzędach pionowych. Każda gwiazda przedstawia jeden stan, obecnie więc gwiazd tych jest 48. W razie przyjęcia nowego stanu do Unii, liczbę gwiazd powiększa się zacząwszy od 4-go lipca, po przyjęciu nowego stanu.

Sztandary narodowe, z wyjątkiem sztandarów wojskowych, mają być następujących rozmiarów:

Szerokość sztandaru dowolna (1).

Długość — 1.9 szerokości sztandaru.

Szerokość niebieskiego pola — 7/13 szerokości sztandaru.

Długość niebieskiego pola—0.16 szerokości sztandaru.

Szerokość każdego pasa — 1/13 szerokości sztandaru.

Sztandar Stanów Zjednoczonych może być wystawiony na dworze tylko od wschodu słońca do zachodu słońca. Sztandar ma się podnosić w górę prędko, opuszcza się go zaś powoli. Podczas pochodu, jeżeli niesie się także jakikolwiek inny sztandar, sztandar St. Zj. ma być z prawej strony. Dotyczy to także gdy sztandary są oparte lub przymocowane do ściany. Gdy jest więcej różnych sztandarów, sztandar St. Zj. ma być w środku grupy z przodu, lub w środku na najwyższem miejscu.

Przy podnoszeniu sztandarów zawsze sztandar St. Zj. podnosi się pierwszy, a opuszcza ostatni. Przy wystawianiu sztandarów cudzoziemskich, muszą one być wszystkie jednakowej wielkości i na drzewcach jednakowej długości. Międzynarodowe prawo zabrania wywieszania podczas pokoju, sztandaru jednego państwa ponad sztandarem drugiego państwa.

Jeżeli sztandar ma być wywieszony do połowy drzewca, na znak żałoby, ma się go podciągnąć najpierw do szczytu drzewca, a później opuścić do połowy. Tak samo wieczorem przy opuszczaniu sztandaru, ma się go najpierw podnieść aż do szczytu drzewca, a potem powoli opuścić.

Przy użyciu sztandaru na trumnie, niebieskie pole ma znajdować się nad lewem ramieniem i nad głową nieboszczyka. Przed spuszczeniem trumny do grobu należy sztandar zdjąć tak by nie dotykał ziemi.



NAJWYŻSZE BUDYNKI W NEW YORKU

	Piętr	Stóp
Empire State	102	1,248
Chrysler	77	1,046
RCA Rockefeller Center	70	850
William	66	846
Bank of Manhattan..	65	838
Woolworth	60	792
66 Pine Street	63	763
393 Lexington Avenue	80	755
Farmers Trust	59	746
Metropolitan Life	50	700
500 Fifth Avenue	58	697
16 William Street	55	686
Chamin	56	680
Fifth Ave. & 34th St.	55	670
Lincoln	53	638
Irving Trust	50	627
Waldorf Astoria	47	626
Sherry-Netherlands	43	620
10 East 40th Street	44	617
Singer	41	612
New York Life	34	610

Ogółem w New Yorku jest około sto budynków posiadających 30 piętr lub więcej, a około 500 budynków posiadających ponad 20 piętr.

ILOŚĆ GWIAZD W PRZESTWORZU

Wedle obliczeń astronomów, gołem okiem można zobaczyć tylko około 7,000 gwiazd. Przez teleskop od 70,000,000 do 100,000,000. Najnowsze obliczenia wskazują, że ilość gwiazd dochodzi do zawrotnej cyfry 1,600,000,000.

GŁÓWNE WULKANY NA ŚWIECIE

Wulkan i Kraj	Stóp
Sahama, Boliwia	21,000
Pomarape, Chile	20,500
Cotopasil, Ecuador	19,550
Arequipa, Peru	19,200
Demawend, Persja	18,000
Popocatepetl, Meksyk	17,843
Sangay, Ecuador	17,124
Ararat, Persja	17,000
Mauna Loa, Hawaii	13,675
Santa Maria, Guatemala	12,500
Fuego, Guatemala	12,500
Fudżijama, Japonia	12,390
Erebus, Ocean Spokojny	12,365
Semeru, Jawa	12,000
Kirunku-Cza Gunga, Afryka	11,300
Trazu, Costa Rica	11,200
Turri Alba, Costa Rica	10,900
Terror, Ocean Spokojny	10,884
Etna, Włochy	10,755
Ontake, Japonia	10,000
Fateyama, Japonia	10,000
Ruapehu, Nowa Zelandia	9,008
Haalalai, Hawaii	8,275
Coseguina, Nikaragua	5,830
Asa-San, Japonia	5,600
Mont Pelee, Martynika, Indie Zachodnie	5,200
Hekla, Islandia	5,110
Kilauea, Hawaii	4,400
Wezuwiusz, Włochy	4,300
Soufriere, St. Vincent, Indie Zachodnie	4,050
Stromboli, Włochy	3,040
Skaptal, Jokul, Islandia	2,790



ZE ZESZŁOROCZNEGO OBCHODU KONSTYTUCJI 3-GO MAJA W CHICAGO. Urzędnicy Z. N. P. z prezesem Rozmarkiem na czele i innych organizacyj polonijnych przed kościołem Św. Trójcy.

1880—DIAMENTOWE—1955 GODY ZW. NAR. POL.

(Wyjątki z Historii Z. N. P. w Streszczeniu Karola Piątkiewicza)

75 Lat Temu Powstał w Trudzie i w Ciężkim Mozole Związek Nar. Pol. i Bezustannie Pracuje Dla Polski i Dla Podniesienia Duchowego Polonii Amerykańskiej.

Zaraz w pierwszych latach osadnictwa polskiego na ziemi amerykańskiej, poczęły zarysowywać się wśród naszej Polonji dwa zdecydowanie odmienne i różne odłamy. Pierwszy, to obóz zdecydowanie kościelny, wysuwający wszędzie i zawsze na pierwszy plan sprawy, interesy i dobro kościoła katolickiego — a drugi obóz to masy uświadomione narodowo, które były dobrymi katolikami i pragnęły zakładania i utrzymania parafij polskich w Ameryce, ale sprawy narodowe polskie, pracę dla odbudowy niepodległości Polski, konieczność utrzymania polskości wśród młodych pokoleń stawiały na plan pierwszy ponad wszystko inne.

O ile pierwsi osadnicy należący do obozu katolickiego skupili się w "Organizacji Polskiej w Ameryce" i "Zjednoczeniu Polsko-Rzymsko Katolickim", o tyle narodowcy skupili się w "Gminie Polskiej" a nie znalazłszy w lokalnej tej organizacji ujścia dla swych poglądów i zamiarów stworzenia zrzeszenia pokrywającego całą Amerykę czekali odpowiedniej chwili gdy taki związek towarzystw powstanie, by się do niego pod jednym wspólnym sztandarem włączyć.

Był już wprawdzie pierwowzór, gdyż w roku 1843 powstała w New Yorku pierwsza polska narodowa organizacja pod nazwą "Towarzystwo Polaków w Ameryce", założone przez partję byłych żołnierzy z powstania z roku 1831. Głównym jej organizatorem był Henryk Kałussowski. Należeć do niej mógł każdy emigrant bez względu na stan i wyznanie, było więc to towarzystwo, liberalne, którego konstytucja podkreślała, na pierwszym miejscu braterstwo i wzajemną pomoc, nie wyjawiając swej opinji, jakiej drogi politycznej się trzymać. Organizatorów tego towarzystwa było 63 wśród nich znajdujemy nazwiska W. Lange, Bazyli Jaroszynski, H. Pajenski, Izydor Czarnowski i Kałussowski. W roku 1844 towarzystwo to urządziło pierwszy polski obchód narodowy z okazji 14 rocznicy Powstania Listopadowego w sali Stuyvesant Institute, przy współudziale wielu towarzystw skandynawskich i włoskich, które przybyły ze swymi chorągwiami. Przeszło 1,000 osób wzięło udział w tym obchodzie, wśród których byli Zabryscy i wielu wybitnych Amerykanów. Mowy wygłosili Sedgwick po angielsku, Kałussowski po polsku, Foresti po włosku, Harings po niemiecku, Howe i Wierzbicki po angielsku. Kiedy towarzystwo to upadło — nie wiadomo. Niema żadnych w tej materii zapisków. W roku 1852 zawiązała się w Nowym Yorku druga organizacja pod nazwą "Towarzystwo Demokratyczne Wygnańców Polskich w Ameryce" zasługujące z tego względu na uwagę, że organizacja ta wzięła udział w pracach nowej amerykańskiej partji politycznej republikańskiej, która jak wiadomo w kilka lat później doprowadziła do wojny domowej. Kiedy to towarzystwo się rozwiązało też niema żadnych wiadomości.

W wojnie domowej brało udział kilkuset Polaków. Wspomina o nich Ludwik Żychliński, oficer w służbie armji Stanów Zjednoczonych w swych pamiętnikach, podając wiele szczegółów z życia obozowego naszych polskich żołnierzy.

POWRÓT DO POLSKI

Na wieść o powstaniu w roku 1863, wielu Polaków wyjechało z powrotem do Polski, by tam walczyć o oswobodzenie ziem Rzeczpospolitej. Po upadku powstania napłynęła nowa fala rozbitków politycznych, a między nimi znaleźli się organizatorzy polskiego ruchu narodowego i założyciele Związku Narodowego Polskiego. Polska narodowa myśl polityczna rozwijała się tu stopniowo i przybierała coraz jaskrawsze kształty. Wyraziły się one w coraz bardziej

ożywionym programie towarzystwa "Gmina Polska" w Chicago, która nietylko pielęgnowała śpiew polski, nietylko wypłacała pośmiertne, ale utrzymywała bibljotekę, czytelnię, urządzała wycieczki krajoznawcze oraz obchody narodowe i przedstawienia amatorskie. Duszą prac Gminy byli wówczas Ignacy Wendziński, S. Kociemski, Michał Majewski, F. Gryglaszewski Major Zaremba, poetka Samolińska, — wszyscy później czynni w Związku Narodowym Polskim.

Nieco później w Nowym Yorku powstało towarzystwo na wzór, "Gminy Polskiej" w roku 1870, pod nazwą "Związek Narodowy Polski" oraz drugie "Zjednoczenie Polaków w Ameryce", dążące do skupienia pod jednym sztandarem istniejących już mniejszych towarzystw. Jednak akcja ich się nie powiodła.

Polonia Amerykańska aczkolwiek jeszcze rozbita i nieskupiona, mając w swym gronie wielu wybitnych patriotów, żywo interesowała się sprawami polskimi i utrzymywała kontakt z Macierzą a przedewszystkim z Muzeum i Skarbem Narodowym w Rapersvillu, w Szwajcarji, z którym korespondowały nasze towarzystwa jak "Gmina Polska" w Chicago i "Zjednoczenie Polaków w Nowym Yorku a od roku 1874 i "Zjednoczenie Polaków z Kalifornii". Podczas wojny-rosyjsko-tureckiej w roku 1877 i 1878 hrabia Plater w Rapersvillu otrzymał mandaty od narodowych towarzystw w Ameryce, aby reprezentował je jako przedstawiciel Polski wobec rządów i ludów Europy. Podczas złotego jubileuszu pracy literackiej znakomitego pisarza polskiego J. E. Kraszewskiego w roku 1879 "Gmina Polska" w Chicago zakupiła i wysłała jubilatowi srebrny puhar.

W roku 1879 w tygodniku nowojorskim "Ogniwo" ukazał się artykuł znanego patrjoty polskiego Agatona Gillera, zatytułowany "Organizacje Polaków w Ameryce" wzywający do zgody, jedności i działania dla spraw ojczyzny. Artykuł ten był tak silny, tchnął takim ogromem patriotyzmu, że wywołał ogromne wrażenie wśród wszystkich Polaków w Ameryce i rozbudził chęć czynu. Uświadomił bowiem szerokie masy, że muszą przystąpić złączone do pracy pod jednym sztandarem narodowym jako wolni obywatele bez narzuconej im zgóry opieki z możnością wypowiedzenia osobistych przekonań . . .

Bezpośrednio spowodował założenie Związku Narodowego Polskiego fakt, że z końcem roku 1879 Śląsk Polski został nawiedziony klęską głodową i że wezwania o pomoc nadeszły do nielicznej Polonji amerykańskiej. Chciała ona pospieszyć z pomocą, lecz zdawała sobie sprawę z tego, że poszczególne osady rozdzielone były ogromnemi przestrzeniami, nie było żadnej centrali do wspólnej pracy i często poszczególne osady nie wiedziały o swych współbraciach, mieszkających w sąsiedztwie.

POWSTANIE Z. N. P.

Wówczas grono wybitnych patriotów zebrało się w d. 15go lutego, 1880 we Philadelphii dla naradzenia się nad sposobem dopomożenia biednym braciom na Śląsku oraz nad sposobem zcentralizowania pracy narodowej na ziemi amerykańskiej. Na zebraniu tym przewodniczył obywatel Juljusz Andrzejkowicz, który poruszył myśl, rzuconą z poza oceanu przez Agatona Gillera i zaproponował, aby wszystkie towarzystwa polskie w Stanach Zjednoczonych połączyć w jedną ligę pod ogólną nazwą "Związku Narodowego Polskiego." Związek miał być oparty na zasadach federacyjnych, czyli że każde towarzystwo, któreby przystąpiło do Związku miało mieć zupełny samorząd wewnętrzny. Na posiedzeniu tym byli obecni:

Juljusz Andrzejkowicz
Juljan Szajnert
Juljan Lipiński
Wincenty Domański
Jan Białyński
Antoni Wojczyński
Jan Popieliński
Jan Błachowski
Teofil Kucielski i
Piotr Beczkiewicz.

Oni więc byli rzeczywistemi założycielami Z. N. P. zaś Philadelphia, kolebka wolnści amerykańskiej, jest też kolebką Z. N. P.

Natychmiast przystąpiono do pracy organizacyjnej. Rozpisano listy do prasy i do towarzystw, których nazwy i adresy były znane. Na rozesłany okólnik zaczęły napływać odpowiedzi. Pierwsze towarzystwa które przystąpiły do Związku Narodowego Polskiego były następujące:

Towarzystwo Gmina Polska w Chicago
Towarzystwo Rzemieślników Polskich w Chicago
Towarzystwo Harmonia w Chicago
Towarzystwo Polskich Krawców w Chicago

Towarzystwo Polaków z Kalifornii w San Francisco

Towarzystwo Św. Jerzego w Shenandoah.

Później przystąpiły następujące towarzystwa:

Związek Narodowy Polski w Philadelphii, Gwiazda Kościuszki, w Nanticoke, Pa., Bratnia Pomoc z Grand Rapids, Mich., Klub Polski w Chicago, Gwardia Kościuszki z Milwaukee, Towarzystwo Pułaskiego z Brooklyn, Tow. Opieka z New Yorku, Tow. Lutnia z New Yorku, Tow. Kościuszki z Philadelphii, Gwardia Warszawska z Shenandoah, Pa., Gwardia Pułaskiego z Northheim, Wis., i Tow. Polsko Narodowe z LaCrosse, Wis.

Tak więc powstała w Ameryce organizacja polska wolna, niezależna i prawdziwie narodowa. Pierwsze miesiące jej istnienia poświęcone były pracom przygotowawczym, układaniu ustaw, konstytucji, rozpisywaniu listów, i porozumiewaniu się wzajemnemu. Gdy prace te zostały ukończone, ob. J. Andrzejkowicz zwołał na dzień 20go września, 1880, czyli 60 lat temu pierwszy Sejm młodziutkiej naszej organizacji do Hotelu Palmer House w Chicago.

PIERWSZY SEJM.

W Sejmie tym wzięli udział następujący: J. Andrzejkowicz, Stanisław Kociemski, Fran. Gryglaszewski, K. Małłek, M. Kucera, W. Domański, J. Burchart, K. Wendziński, E. Odrowąrz, J. Rewerski, J. Główczyński, F. Sowacki, R. Stobiecki, W. Dyniewicz oraz wielu innych rodaków, przybyłych na wieść o Sejmie narodowym. Delegatów było więcej, niestety, dokładnej ich liczby i wszystkich nazwisk nie posiadamy, gdyż protokół z tego Sejmu zaginął.

Natomiast ze zapisków reporterskich prasy ówczesnej dowiadujemy się że na Sejmie tym postanowiono, że Związkiem Narodowym Polskim ma kierować Komitet Centralny. Nazwę tę zmieniono następnie na Rząd Centralny a później na Zarząd Centralny. Postanowiono dalej, że Zarząd Centralny ma składać się z owego komitetu oraz z Cenzora, spełniającego funkcje najwyższego urzędnika Związku, kontrolującego wszystkie czynności komitetu i baczącego na to, aby wniczem nie przekraczano ustaw, postanowionych przez ciało prawodawcze, jakiem są Sejmy Związkowe.

Nie podajemy listy najwyższych urzędników przez Sejmy wybieranych, gdyż te znajdą czytelnicy na innem miejscu.

Aczkolwiek pierwsza konstytucja, której projekt opracował J. Andrzejkowicz przechodziła na następnych Sejmach szereg zmian, ulepszeń, to jednak zasadnicze cele Związku w niej określone pozostały takimi, jakie były przyjęte na Sejmie pierwszym w Chicago. Cele te są tak szlachetne a zarazem umiarkowane, że każdy prawy Polak musiał się na nie zgodzić.

Artykuł drugi mówi o celach Związku i w paragrafie pierwszym stwierdzał: "Starać się o rozwój moralny i materjalny żywiołu polskiego w St. Zjednoczonych za pomocą funduszu żelaznego, jako stałej i niepodzielnej własności Związku. Do rzędu takich instytucji należą domy polskie, szkoły i wogólé zakłady dobroczynności i przemysłu polskiego.

§2. Opieka nad wychodźtwem polskim.

§3. Uregulowanie polityczne wychodztwa polskiego jako obywateli Stanów Zjednoczonych, za pomocą organu Związkowego oraz przez wejście w stosunki z dziennikami amekańskiemi dla obrony naszych interesów. Każdy członek, przystępujący do Związku, postara się o papiery obywatelstwa St. Zjednoczonych.

§. Obchody pamiątkowych rocznic ku czci Polski i spełnianie obowiązku, który nam zaleca honor narodowy.

Artykuł trzeci, par. 2. — "W roztrząsanie spraw religijnych Z. N. P. nie wdaje się, bo jest to rzeczą Stolicy Apostolskiej i biskupów.

§3. Ponieważ naród polski ma w sobie także pewną liczbę Polaków innych wyznań, idąc więc w ślady Konstytucji 3go maja, 1792 zapewniamy im poszanowanie ich wyznań i przypuszczamy ich, jako Polaków-obywateli, do pracy w rzeczach politycznych około dobra polskiego.

Ten ostatni paragraf był powodem zaciętych walk między kilkoma księżmi polskimi w Ameryce a Związkiem. Walka ta rozgorzała na dobre po Sejmie Clevelandzkim w roku 1895, kiedy to wyrzucono z konstytucji Związkowej paragraf, wzbraniający należenia do Związku socjalistom i członkom kościoła narodowego. Sejm Clevelandzki wykreślił paragrafy o religji i otworzył szeroko bramy swej organizacji oświadczając, "że Związek Narodowy Polski przyjmuje wszystkich Polaków, Litwinów i Rusinów bez różnicy ich przekonań politycznych, religijnych i społecznych, chociaż urzędowo nabożeństwa mają odbywać się w kościele rzymsko-katolickim."

"ZGODA"

Na Sejmie pierwszym uznano potrzebę posiadania własnego organu Związkowego, wychodząc z założenia że Związek musi mieć propagatora swojej idei. A ponieważ nie stać go było wówczas na założenie swego własnego organu, obrano za wykładnik swych myśli i zamiarów tygodnik "Ogniwo", wychodzący wówczas w Nowym Yorku.

Na Sejmie natomiast drugim w Nowym Yorku, jaki odbył się w dnach od 21go do 24go wrześna, 1881 uchwalono wydawać swój własny organ, któremu nadano nazwę "Zgoda", i który był drukowany w Nowym Yorku pod redakcją E. Odrowąża.

W roku tym Związek Narodowy Poski na wiadomość, o zamordowaniu prezydenta St. Zjednoczonych Garfield'a wystosował do narodu amerykańskiego adres kondolencyjny, następującej treści:

> **"The Delegates of National Polish Alliance in convention assembled in New York City resolved to express in the name of the Polish nation which has no voice, their deepest sorrow at the untimely death of the America's great chief and martyr, President Garfield and the horror at the abominable crime to which he fell a victim."**

Adres ten powtórzyły wszystkie pisma w Nowym Yorku i w wielu innych miastach, dając znać tem samem narodowi amerykańskiemu o istnieniu naszej organizacji. Drugi sejm polecił postaranie się o polskiego agenta emigracyjnego w Castle Garden, gdzie wówczas przybywały okręty z emigrantami. Na skutek tych starań rząd zamianował jednym z urzędników imigracyjnych takiego, który mówił dobrze po polsku.

Aczkolwiek pierwsze początki Związku Narodowego Polskiego nie podobały się małej części duchowieństwa, jednak mimo to, pewna część kleru polskiego okazała dużo sympatji Związkowi Narodowemu Polskiemu. Na Sejmie trzecim, odbytym w roku 1882 ponownie w Chicago, przeniesiono redakcję "Zgody", gdyż z powodu trudności finansowych nie można jej było utrzymać w Nowym Yorku. Zajęty walką z wielu przeciwnikami i konstytuowaniem naszej organizacji, Zarząd Centralny nie zapomniał jednak o sprawach narodowych. Zakupił kilkadziesiąt egzemplarzy dzieła Sobolewskiego p. t. "Poets and Poetry of Poland" i rozesłał je do bibliotek w Ameryce i Anglji. Następnie wydał odezwę do Rusinów, wzywając ich do jedności z Polakami i uchwalił urządzenie uroczystego obchodu dwu wiekowej rocznicy zwycięstwa Jana III pod Wiedniem.

W nowej konstytucji, przyjętej na Sejmie Nadzwyczajnym w Chicago, w roku 1884 nie widzimy już żadnej wzmianki o religji i to spowodowało, że ostra walka przeciw Związkowi ucichła, na czem Związek skorzystał i w krótkim czasie wzrósł w członków i kapitały, wywalczając sobie prawa obywatelstwa.

POŚMIERTNE W Z. N. P.

Założyciele naszej organizacji na swym zebraniu we Filadelfii postanowili wprowadzić w Z. N. P. kasę wsparć pośmiertnych. Z powodu jednak powolnego rozwoju organizacji, Sejm 2gi uchwalił znieść to pośmiertne. Sėjm 3ci postanowił znowu wprowadzić je w życie, lecz uchwała ta napotkała na opór wielu towarzystw, gdyż podatek obciążający wszystkich członków, był dla wielu zbyt wygórowany. Zwołano wobec tego Sejm Nadzwyczajny w Chicago w roku 1884 który zniósł jeszcze raz tę uchwałę. Dopiero Sejm 6, ze względu, że liczba członków wzrosła do tego czasu poważnie postanowił ostateczne wprowadzenie pośmiertnego. Na tem też Sejmie ogłoszono drukiem konstytucję Z. N. P. i rozesłano ją wszystkim członkom Z. N. P.

W pracach narodowych dzierżył Związek Narodowy Polski, ustawicznie prym, podnosząc i utrzymując ducha poskiego szeregiem obchodów, pamiątek narodowych, starając się o ułatwienia emigracyjne masom rodaków przybywających do Ameryki. Po Sejmie w Wilkes Barre wprowadził Z. N. P. komisje: oświaty, przemysłu i handu, emigracji i kolonizacji, a był już wydział wsparć dla członków dotkniętych nieszczęściem. Praca narodowa od czasu powstania Związku zakwitła tak wysoko, że wobec ostrej krytyki pytała wówczas "Zgoda":

"Niech ci, którzy czynią nam zarzuty, spytają się naszych braci Związkowych, kto ich nauczył kochać matkę Polskę, kto im wykazał że są Polakami, kto wpajał w nich potrzebę łączenia się myślą i czynem z tym starym i biednym krajem?"

Rozwija się też Związek szybko i na 6ym Sejmie liczył już 60 delegatów Sejmowych jako przedstawicieli 44 towarzystw, z 48 istniejących, liczących 1893 członków. Na wniosek Ks. Majera,, Sejm 6ty uchwalił protest przeciw

gwałtom wyrządzonym Polakom pod Zaborem Pruskim i przesłał go do Berlina, Wiednia i do Lwowa.

Dzięki energicznej akcji, jaką ob. F. Gryglaszewski rozwinął w roku 1886, jeżdżąc od osady do osady, od miasta do miasta, głosząc wszystkim Polakom słowo o Związku Narodowym Polskim, liczba członków podniosła się w ciągu roku niemal w dwujnasób, bo do 3210 członków.

W roku 1887 Rząd Centralny Założył Skarb Narodowy pod opieką Z. N. P. który później w roku 1895 przelano do Rappersvillu, zasilając go jednak przez długie, długie następne lata datkami pieniężnymi. Gdy w roku 1886 powstało w Detroit Seminarjum Polskie za staraniem Ks. Dąbrowskiego, Związkowcy nałożyli na siebie dobrowolny podatek od członka, ażeby utrzymać to Seminarjum i wykształcić na ziemi amerykańskiej kadry polskich duchownych, krzewiących Słowo Boże w polskim języku. Sejm 8my, odbyty w roku 1889 w Buffalo, był przełomowym w dziejach Związku o tyle, że uczestniczyło w nim poraz pierwszy 3ch polskich kapłanów jako delegatów, mianowicie: Ks. D. Majer, Ks. W. Domagalski i Ks. J. Wójcik. Ale na Sejmie księża ci zaproponowali aby z konstytucji wyrzucić niektóre słowa tyczące przyjmowania nowych członków i żądali aby nie przyjmować "notorycznych bezwyznaniowców i żydów". Wniosek ten upadł. Wobec tego księża-delegaci opuścili salę. Na tym Sejmie na miejsce J. Morgenszterna wybrano sekretarzem generalnym A. Małłka. Gdy ten po Sejmie przybył do Chicago dla objęcia archiwum i kasy, okazało się, że Morgensztern zbiegł, nie pozostawiając gotówki. Na dobitek nieszczęścia nowo obrany wicecenzor K. D. Nowak, wyzyskując swoje stanowisko zaczął w imieniu Związku wyłudzać pieniądze od Polaków w Buffalo pod różnymi pretekstami. Trzy te fakty spowodowały falę nowych ataków na Związek, którego położenie stało się krytyczne. Ocaliła go jednak energja Rządu Centralnego, który usunął natychmiast z urzędu Nowaka, wytoczył proces poręczycielom Morgenszterna i uzyskał sumy jakie mu się należały.

Ale z latami gdy przybywało członków Związkowi, ataki, ze strony rozmaitych wrogów ustawały i słabły.

ROZDZIAŁ III.

ROZKWIT ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO.

Jak małe było w Stanach Zjednoczonych zrozumienie, co to jest patriotyzm, polskość, ojczyzna i praca dla Polski, dowodzi tego fakt, że w roku 1889 znajdujemy w tygodniku "Wiarus" artykuł p. t. "Dumania po Sejmie" w którym autor, tak pisze:

"Tu w Ameryce dla Ojczyzny i Polski miejsca nie ma. Jeżeli w Polsce wybuchnie powstanie, my stąd się nie wyruszymy bić Prusaka i Moskala. My nie wrócimy nawet do Polski, chociaż Polska odzyska niepodległość, gdyż tam jest, i będzie bieda i nędza."

Wobec tego Związek Narodowy Polski wziął na swe wyłącznie barki sprawę uświadomienia narodowego szerszych rzesz polskich w Ameryce. Jakby w odpowiedzi na powyższe słowa wydał rozprawę znakomitego filozofa polskiego K. Libelta "O Miłości Ojczyzny." Nadto wysłał "Zgodę" wszystkim towarzystwom polskim w Ameryce i na wychodztwie w Europie, oraz urządził olbrzymi obchód w roku 1891 z okazji setniej rocznicy uchwalenia wiekopomnej konstytucji trzeciego maja. W Chicago obchód ten odbył się specjalnie uroczyście, zaczynając pochodem towarzystw wojskowych i cywilnych po głównych ulicach miasta a kończąc się wieczorem koncertem i odczytem w Central Music Hall, na które przybyło tyle osób, że sala była natłoczoną do ostatniego miejsca a tysiące osób, nie mogło się dostać do środka.

Ponadto Związek wydał w tym roku broszurę p. t. "Rys i Znaczenie Konstytucji Trzeciego Maja" i rozesłał wszystkim członkom i wybitnym Amerykanom.

Na odbytym w tym roku (1891) Sejmie 9tym Z. N. P. w Detroit zjawiło się 92 delegatów, jako przedstawiciele 85 towarzystw, stwierdzając ogromny wzrost Z. N. P. w ostatnich paru latach. Na nabożeństwo przedsejmowe przybył biskup detroicki Ks. Foley, oświadczając w kazaniu, że zdaje sobie sprawę z tego iż niektórzy księża prześladują Związek ale prosi aby na to nie zważać, gdyż także pomiędzy księżmi znajduje się źli ludzie, wobec czego wszelkie gołosłowne zarzuty prędzej czy później upaść muszą.

Do Sejmu tego Związek wypłacił już $49,000 pośmiertnego.

Bezsprzecznie najważniejszym zdarzeniem na tym sejmie było odczytanie listu Dr. Kalusowskiego z Washingtonu, w którym sędziwy patriota donosi, że ofiaruje Związkowi Narodowemu Polskiemu bibliotekę swą wartości $7,000.00 oraz zbiór ważnych dokumentów, tyczących się spraw narodowych i dziejów wychodztwa, pod warunkiem, że Związek utworzy z tego bibliotekę publiczną i muzeum narodowe i będzie łożył na ich utrzymanie. Sejm 9ty przyjął z największą radością dar i warunki szlachetnego ofiarodawcy. Utworzył bibliotekę i muzeum. Później z braku miejsca muzeum zostało przeniesione do Szkoły Związkowej w Cambridge Springs, Pa., gdzie wraz z budynkiem szkolnym spłonęło doszczętnie. Bibljoteka zaś powiększana z roku ná rok nowymi książkami istnieje do dnia dzisiejszego w Chicago. Sejm 10ty znaczył dalszy rozwój Związu. Zebrał się w sali Pułaskiego w Chicago w roku 1892 ze względu na odbywającą się w Chicago wystawę wszechświatową t. zw. Kolumbijską. W roku tym Związek liczył już 167 towarzystw, członków 5654 zaś w kasie miał gotówki niemal $20.000.00. Mimo więc walk i przeciwności, intryg, kalumni rzucanych pod nogi, Związek stale rósł i nic go już w tym wzroście wstrzymać go nie mogło. Coraz większy rozwój wymagał nowej reformy konstytucji i wobec tego Sejm 9ty zajął się szczegółową jej rewizją. W roku tym redakcja "Zgody" przechodzi w inne ręce. Redaktorem zostaje wybrany F. H. Jabłoński a sekretarzem Zgody J. Chrzanowski. W następnym roku Związek zakupił dzieło J. Chociszewskiego p. t. "Podręcznik Geografji Ojczystej" i rozesłał go wszystkim grupom, prosząc by dbały o oświatę nietylko swych członków lecz wogóle wszystkich rodaków, albowiem tylko przez oświatę i przez wpajanie zrozumienia obowiązków obywatelskich można dopiąć oswobodzenia ojczyzny.

Ponieważ w tym czasie panował w St. Zjed. ogólny kryzys w przemyśle i handlu, Zarząd Centralny stworzył Komitet Dobroczynności który zajął się niesieniem pomocy bezrobotnym.

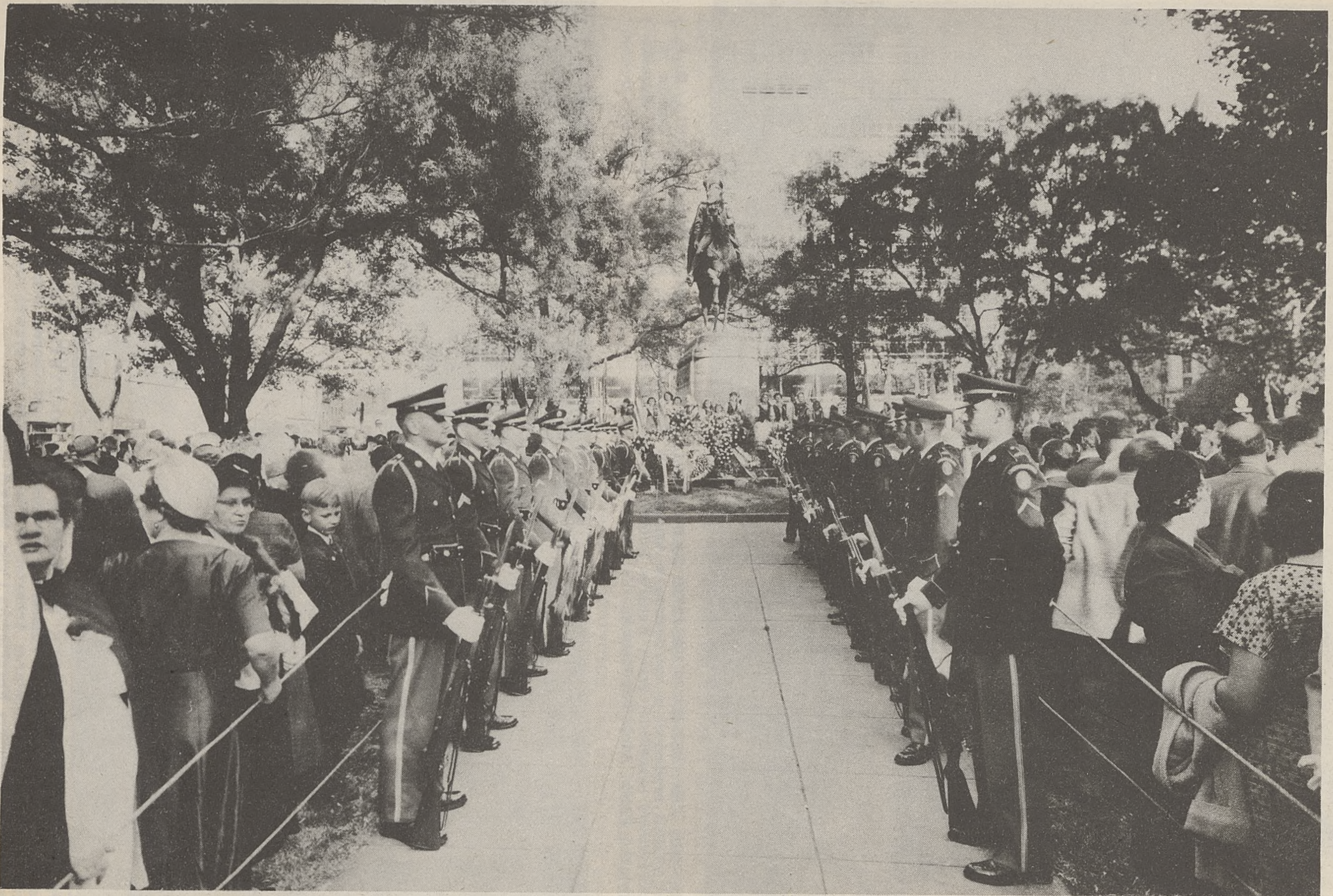
SEJM W CLEVELAND, O.

Rok 1894, jako rok Kościuszkowski przeżyli Polacy w Ameryce przy wzmożonym napięciu uczuć patrjotycznych i powiększonej akcji narodowej. Dowodem tego były liczniejsze i wspanialsze obchody oraz wzmożona ofarność na rzecz skarbu narodowego w Rappersvilu. W roku tym wypadała 70 rocznica urodzin znakomitego pisarza Zygmunta Miłkowskiego (TT. Jeża) który szczególnie ożywioną agitację na rzecz Skarbu Narodowego prowadził na całym świecie. Jego to uczcił w roku 1894 Związek Narodowy Polski wspaniałym obchodem. Niedługo potem przybyli do St. Zjedn. dwaj delegaci europejscy, reprezentanci Związku Wychodztwa Polskiego, Zygmunt Balicki i Karol Lewakowski, rozwijając na gruncie amerykańskim energiczną akcję narodową szeregiem wieców i przemówień publicznych i przedstawiając Polonji amerykańskiej zasady i postulaty stronnictwa demokratyczno-narodowego w Polsce. Przyszedł rok przełomowy dla ZNP. Na Sejmie 11-tym w Cleveland, w roku 1895 uchwalono przedewszystkiem wybudować swoją własną siedzibę Związkową p. n. 1406-08 W. Division St., w Chicago. Ponadto na Sejmie tym przeprowadzono uchwałę usuwającą paragraf w konstytucji, który niedozwalał przyjmowania socjalistów do Związku. Oparto się na ostatnim programie Związku Socjalistów Polskich, który wyraźnie zaznaczał, że uważają się oni za Polaków i dążą do odbudowania Polski. Sejm ten, patriotyczny w nastroju uchwalił trzy paragrafy dodając je do konstytucji do artykułu IIgo a mianowicie: aby:

"Rozwijać patriotyzm wśród członków oraz podnosić i wzmacniać umysłowo, społecznie i materjalnie tę część ludności St. Zjednoczonych, która zrodziła się na ziemiach Polski, Litwy i Rusi.

"Upamiętnić odpowiednimi obchodami główne rocznice Polski, podtrzymywać i rozwijać ducha narodowego ludu polskiego.

"Związek Narodowy Polski jest i ma być wieczystem uosobieniem protestu przeciw systematycznym wysiłkom tępienia języka polskiego, litewskiego i rusińskiego, zwyczajów, swobody politycznej i wolności sumienia, z ziem Rzeczpospolitej Polskiej przez ciemiężycieli europejskich.



Z UROCZYSTOŚCI POLSKICH W WASHINGTONIE. Złożenie wieńców pod pomnikiem Kazimierza Pułaskiego w stolicy kraju na obchodzie, urządzonym przez Kongres Polonii Amerykańskiej.

CENZOR ZNP, SĘDZIA WYŻSZEGO SĄDU APELACYJNEGO STANU PENNSYLVANIA, B. F. GUNTHER przemówił w amfiteatrze w Arlington w Washingtonie do zgromadzonych tłumów na uroczystości urządzonej przez Kongres Polonii Amerykańskiej. Po lewej stronie siedzi prezeska Związku Polek, Adela Łagodzińska.



PREZES KAROL ROZMAREK PRZEMÓWIŁ NA UROCZYSTYM OBCHODZIE dla uczczenia 175 rocznicy zgonu Kazimierza Pułaskiego, urządzonym przez Kongres Polonii Amerykańskiej w wielkim amfiteatrze na cmentarzu Arlington, w Washingtonie. Po prawej stronie siedzi prezes Zjednoczenia PRK Kazimierz Kozakiewicz i gen. Drexel-Biddle.

Adam Olszewski

Ideały Emigracyj Polskich Spowodowały Powstanie Związku Narodowego Polskiego

Stał Się On Ogniwem Łączącym Przeszłość z Przyszłością w Walkach o Niepodległość Narodu Polskiego

W 1955 roku Związek Narodowy Polski obchodzić będzie jubielusz swej 75-letniej pracy, na niwie narodowej, społecznej, politycznej i oświatowej, na terenie Stanów Zjednoczonych.

Jubileusze Związku — to już nie kamienie milowe, jakimi są Sejmy. To okresy zawierające pracę jednego pokolenia. To jakby wielkie latarnie, oświetlające drogi, po których szedł rozwój tej dziś największej organizacji polskiej w wolnym świecie.

Tragiczne dzieje Polski, jej zrywy wolnościowe, walki o przywrócenie niepodległości narodowi, wyludniały najlepsze elementy z Kraju, w każdym porozbiorowym pokoleniu. Jedni umierali w walce z wrogami. Innych pędzono na dalekie śnieżne obszary Sybiru. Jeszcze inni szli na tułaczkę do obcych krajów, aby tam pracować dla narodu, dla wyzwolenia Polski.

Dzieje emigracji politycznych zaczęły się jeszcze przed rozbiorami Polski. Po bitwie połtawskiej (1709) — emigracja zwolenników Stanisława Leszczyńskiego udała się do Turcji.

Przedrozbiorową emigrację, przeważnie do Francji, utworzyli uchodźcy, uczestnicy Konfederacji Barskiej, — a w tym i Kazimierz Pułaski.

Pierwsze fale emigracyj porozbiorowych rzucały rozbitków beznadziejnych ale koniecznych walk powstańczych, do krajów wolnych, sympatycznie ustusunkowanych do Polski — jak Francja, Anglia, Szwajcaria, a w tym czasie i Saksonia. W Dreźnie emigranci polscy organizowali Powstanie Kościuszkowskie. Od tego czasu, powstają w krajach Zachodu organizacje polityczne i wojskowe.

Po trzecim rozbiorze — Dąbrowski tworzy Legiony — dzieje których tak obrazowo i tragiczniei maluje Żeromski w "Popiołach". Po upadku Napoleona i związanych z nim nadziei sprawa walki przechodzi w ręce Łukasińskiego, który walczył pod Napoleonem, a po ustanowieniu Królestwa Kongresowego — bez zwłoki wstępuje do wojska polskiego, organizuje Tow. Patrioityczne, prowadzi szeroko rozgałęzioną akcję spiskową pod wszystkimi trzema zaborami i poza granicami Polski — wśród emigracji we Francji i innych krajach.

Pierwsze Apele Do Polaków w Ameryce.

Po upadku Powstania Styczniowego — znów wyludnia się Polska z patriotów. Zaczyna się nowa akcja wyzwoleńcza poza granicami Polski. Powstaje Skarb Narodowy w Rapperswilu, Liga Narodowa i różne organizacje demokratyczne. Przywódcy tych organizacji, jakby proroczym duchem natchnieni — zwracają oczy na Amerykę. Z Europy, a ściślej wyrażając się — z Francji i Szwajcarii — idą pierwsze apele do Polaków w Ameryce, aby dla dobra Polski, zorganizowali się na podłożu narodowym.

Po upadku Powstania Listopadowego wielka fala emigracji politycznej z Polski rozlewa się po całej Europie zachodniej — sięgając aż do Turcji. We Francji powstaje Towarzystwo Demokratyczne, w którym—między innymi—działali tacy ludzie — jak Lelewel, Mickiewicz i Mierosławski. Towarzystwo to staczało zacięte boje słowne z grupą konserwatystów z hotelu Lambert.

Podczas wielkich ruchów wolnościowych, jakie wstrząsały Europą w latach 1846—48, przypada wśród emigracji działalność Mierosławskiego, rewolucjonisty, który organizował siły przeciw Rosji. W czasie Wojny Krymskiej Mierosławski próbował organizować legion polski w Turcji.

Wezwanie do stworzenia takiej organizacji, które przyczyniło się do powstania Związku Narodowego Polskiego, nadesłał były członek Rządu Narodowego z czasów Powstania Styczniowego — Agaton Giller, ogłoszone przez "Gazetę Polską" w Chicago, we wrześniu 1879 roku. Jest rzeczą stwierdzoną, że apel ten wywołał wielkie wrażenie w Ameryce i pobudził elementy patriotyczne do działalności.

Związek Narodowy Polski, który w założeniu swym przyjął hasło walki o niepodległość Polski, łączy wysiłki z dawnymi wysiłkami emigracji polskich i wiąże przeszłość z przyszłością, jednocząc duchowo emigrację St. Zjednoczonych z emigracją europejską.

W ten sposób — przez nawiązane kontakty z emigracją polską w Europie — ZNP staje się ogniwem w łańcuchu wielu organizacji, które za swój cel wybrały sobie walkę o wolność i niepodległość Polski. Staje się spadkobiercą ideałów i działań tych organizacji, które niejako przejmowały przewodnictwo narodowe, nawiązując kontakty z rządami różnych państw w dążeniu do odbudowy niepodległości Polski, i łącząc wysiłki przeszłości z nowymi formami, zależnymi od zmiany sytuacji międzynarodowej, z akcją w przyszłości.

Największym Sukcesem Polaków Była Ameryka.

Związek Narodowy Polski, powstały w największym skupisku Polaków, jakim stały się Stany Zjednoczone — z chwilą swego powstania — przejmuje sprawę walki o niepodległość Polski, ujmując ją we wstępie do swego statutu.

Aby nadać akcji tej stałości, łączy ją Związek — zgodnie z pojęciem prawa rozwoju społecznego, z podstawą gospodarczą — ubezpieczeniem, a wstęp do Konstytucji— staje się tej podstawy nadbudową polityczno-ideologiczną.

Wstęp do Konstytucji, przyjęty przez założycieli Związku, pozostał niezmieniony. Głosi on, że Związek Narodowy Polski, założony dla celów "doskonalszego zespolenia Ludu Polskiego na Wychodztwie, zapewnienia mu możności należytego rozwoju pod względem moralnym, umysłowym, ekonomicznym i społecznym i uchronienia języka ojczystego oraz kultury i obyczajów narodowych od zaniku i skuteczniejszego działania wszelkimi godnymi środkami, na korzyść przywrócenia i utrzymania niepodległości ziem polskich w Europie."

Taki testament ideowy pozostawili założyciele Związku Narodowego Polskiego na przyszłość i wykonywany był i jest, do dnia dzisiejszego.

Klęska Głodowa Na Śląsku i Polonia w Ameryce.

Powstanie Związku wiąże się również z klęską głodową, jaką przechodził z początkiem 1880 roku Śląsk. Wiadomość o tej klęsce dotarła do świadomości Polaków w Ameryce i pobudziła do akcji pomocy. Trudna to była sprawa, gdyż aczkolwiek już dość liczni Polacy w St. Zjednoczonych, jednak rozrzuceni byli na olbrzymich przestrzeniach, a nie posiadali żadnej spójni, któraby ich łączyła i kierowała ich sprawami.

To też na zebraniu zwołanym w celu pomocy rodakom na Śląsku, takie się odbyło w Philadelphia, Pa., w dniu 14go lutego, 1880 roku, — (podług St. Osady, "Historia Związku Narodowego Polskiego", wydana w roku 1905, a 15 lutego tegoż roku, — jak podaje broszura "Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej", wydana na pamiątkę Stuletniej Rocznicy Powstania Kościuszkowskiego, przez Zarząd Związku Narodowego Polskiego w roku 1894, napisana przez A. Małłka),—powstała myśl i decyzja, założenia organizacji patriotyczno-narodowe i nazwania jej Związek Narodowy Polski."

Inicjatorzy założenia ZNP — Juilusz Szajnert, Julian Lipiński, Wincenty Domański, Jan Bratyński, Antoni Wojczyński, Jan Nep. Popieliński, Jan Błachowski, Teofil Kucielski, Piotr Beczkiewicz i przewodniczący zebraniu Juliusz Andrzejkowicz, gorąco przejęli się tą sprawą i oni są rzeczywistymi założycielami ZNP.

Inicjatorzy założenia ZNP — byli ludźmi czynu. Już w dniu 26 lutego, 1880 roku — ukazał się artykuł "O potrzebie organizacji Polaków w Ameryce", napisany przez J. Andrzejkowicza w "Gazecie Polskiej" w Chicago. Niedługo potem ukazała się odezwa w piśmie "Ogniwo", wychodzącym w New Yorku, napisana przez J. Andrzejkowicza, pod którą widniały również podpisy: J. Lipiń-

skiego, J. Szajnerta i J. E. Popielińskiego. **Poparcie od A. Gillera, J. I. Kraszewskiego i hr. W. Platera.**

W dniu 29 lutego ogłoszony został pierwszy okólnik w "Gazecie Polskiej", wzywający do jedności wszystkie patriotyczne towarzystwa polskie. Okólnik podpisali J. Andrzejkowicz i J. Szajnert.

W tym samym czasie rozesłane zostały listy do Agatona Gillera i do wielkiego pisarza polskiego J. I. Kraszewskiego — z prośbą o rady i wskazówki.

Odpowiedzi nadeszły nie tylko od A. Gillera, J. I. Kraszewskiego, ale i obszerny list od Zarządu Muzeum w Rapperswilu, podpisany przez założyciela Muzeum — hr. W. Platera. Listy popierały gorąco inicjatywę i zawierały uwagi pożyteczne dla mającej powstać organizacji.

Jednocześnie w "Gazecie Polskiej", ukazały się listy T. M. Helińskiego, E. Wilkaszewskiego, E. Odrowąża i innych, — wyrażające poparcie utworzenia ZNP. Niezadowolenie jedynie okazała "Gazeta Katolicka", która zaprzeczyła prawa do założenia takiej organizacji zbiorowej, — "bo nad tym pracowali od dawna księża".

W pierwszych dniach czerwca organizatorzy zamieścili w "Gazecie Polskiej" zarys Statutu ZNP, z którego dużo paragrafów w różnych formach weszło do późniejszej Konstytucji ZNP, a niektóre przetrwały do dnia dzisiejszego.

Dnia 20 czerwca 1880 roku ukazał się okólnik Komitetu Organizacyjnego Zw. Nar. Polskiego, ogłoszony w "Gazecie Polskiej" w Chicago" i w "Ogniwie" w New Yorku, w którym zaznaczono, że do organizacji zgłosiło się 14 towarzystw.

W ogólniku z dnia 14go lipca — Komitet Organizacyjny ogłosił, że jedenaście towarzystw wybrało delegatów i zarządza głosowanie na cenzora. W tym czasie przybyło jeszcze 5 towarzystw.

W sobotę wieczorem 17 lipca, 1880 roku, zebrali się delegaci towarzystw polskich w Chicago, w lokalu M. Majewskiego, późniejszego wieloletniego skarbnika ZNP, na którym zamianowano cenzorem Juliusza Andrzejkowicza i jako najstosowniejsze miejsce zjazdu, zarekomendowano Chicago.

W dniu 10 sierpnia — cenzor J. Andrzejkowicz wydał pierwsze Orędzie — ogłaszając w nim, że Związek Narodowy Polski został zawiązany, że przystąpiło do niego 18 towarzystw. Cenzor zaznaczył jednocześnie, że o dniu Zjazdu — zawiadomi deelgatów listownie.

Wobec tego data 10 sierpnia, 1880 roku, jest dniem założenia Zw. Narodowego Polskiego.



TŁUM OSÓB ZEBRANYCH W AMFITEATRZE na uroczystości urządzonej przez Kongres Polonii Amerykańskiej na cmentarzu Arlington w Washington, D. C. dla uczczenia 175 rocznicy zgonu Kazimierza Pułaskiego.

MŁODZIEŻ UCZĘSZCZAJĄCA NA KURS INSTRUKTORSKI W CAMBRIDGE SPRINGS, PA., popisywała się polskimi tańcami ludowymi.

OGÓLNY WIDOK NA ZBIÓRKĘ KURSAKÓW I KURSACZEK wielkiego kursu instruktorskiego młodzieży ZNP, urządzonego w szkole związkowej w Cambridge Springs, Pa., w lipcu, 1954 roku.



Kolegium Związkowe Oraz Instytut Techniczny Z. N. P. Jest Chlubą Całej Polonii Amerykańskiej

W rozwijanej przez Polonię Amerykańską działalności kulturalnej na przestrzeni kilkudziesięciu lat Kolegium Związkowe w Cambridge Springs, Pa., stanowi bezwątpienia jedno z największych osiągnięć zbiorowego wysiłku na polu naukowym i dowód szlachetnych, pożądanych w tym kraju aspiracji.

W ocenie znaczenia wyższej uczelni Związku Narodowego Polskiego dla ogółu obywatelstwa amerykańskiego polskiego pochodzenia należy pamiętać, że osiągnięcie wysokiego poziomu w edukacji zawdzięcza się tu przeważnie prywatnym instytucjom naukowym i hojnej ofiarności.

Polacy w tym kierunku nie mogli pozostać na szarym końcu. Zbudowali własnymi siłami szkolnictwo elementarne po swych parafiach i sporą liczbę szkół średnich (high schools). Poczęli wspinać się wyżej.

Brać związkowa przed przeszło czterdziestu laty powzięła śmiały plan zbudowania własnego kolegium, aby młodzież polsko-amerykańska mogła w nim zdobywać wyższe wykształcenie i jednocześnie uzupełnić je poznaniem swego pochodzenia — wkładu polskiego narodu do chrześcijańskiej cywilizacji i naszej demokracji.

Trudno bowiem uchodzić za człowieka światłego, skoro się nie zna własnego pochodzenia. Amerykanie innego pochodzenia całkiem naturalnie spodziewają się, że ich współobywatele krwi polskiej powinni coś więcej od nich wiedzieć o wysokiej kulturze polskiej i zasługach narodu polskiego w Europie, jak i w Ameryce.

Kolegium Związkowe odpowiada zupełnie swemu zadaniu, po przejściu różnych prób w swoim rozwoju i utrwalaniu podwalin natury materialnej i naukowej. Dzisiaj jest ono pełnym 4-letnim kolegium, akredytowanym w całych Stanach Zjednoczonych — członkiem Middle States Association of Colleges i członkiem Association of American Colleges.

Warunki zdobycia wyższego wykształcenia w Kolegium Związkowym są bardzo przystępne, bodaj najprzystępniejsze w kraju, dzięki stałym subsydiom z opłat członkowskich ZNP. Nauka, mieszkanie i stołowanie w uczelni związkowej kosztuje tyle, ile kosztuje w wielu równorzędnych szkołach sama tylko nauka — bez utrzymania.

Miasteczko Cambridge Springs, w połowie drogi między Buffalo, Pittsburgh i Cleveland — leży w malowniczej okolicy nad rzeką French Creek. Najbliższe dwa większe miasta, Meadville i Erie, odległe są tylko kilkanaście mil. "Kampus" Kolegium Związkowego należy do najpiękniejszych gruntów szkolnych w Stanach Zjednoczonych. Składa się z doskonale urządzonych boisk do gier sportowych, przyległego lasu, stawów, rozległych zagajników świerkowych i pięknego parku od strony miasta na stoku pnującego nad okolicą wzgórza.

Przy właściwym Kolegium Związkowym (Alliance College) o 4-letnim kursie nauk, znajduje się także Instytut Techniczny (Alliance Technical Institute), postawiony na stopie wymagań kolegialnych z 2-letnimi kursami nauk technicznych.

Kolegium Związkowe jest szkodą koedukacyjną — przyjmowani są młodzieńcy i dziewczęta z ukończoną szkołą średnią (high school), jak i studenci z innych akredytowanych kolegiów pragnący ukończyć swoje studia w uczelni związkowej.

Po ukończeniu 4-letnich kursów, abiturienci Kolegium Związkowego otrzymują stopnie naukowe: "bachelor degree" (bakałarza, czyli magistrą), a abiturienci Instytutu Technicznego dyplomy świadczące o ukończeniu swych wydziałów technicznych.

Młodzieńcy i dziewczęta zainteresowani Kolegium Związkowym mogą otrzymać w każdej porze roku szczegółowe informacje i ilustrowany katalog, skoro zwrócą się listownie do: Alliance College, Cambridge Springs, Pa.

Stopnie naukowe w Kolegium Związkowym — "Bachelor of Arts" i "Bachelor of Science" — można uzyskać w zakresie: języka angielskiego, nauk społecznych, chemii, biologii, matematyki i tym podobnych przedmiotów głównych, obranych przez studentów i studentki. Ponadto młodzieży polsko-amerykańskiej opłaci się przybyć także na pierwsze dwa lata kursów: medycznych, dentystycznych, prawniczych, inżynierskich i innych z uwagi na wymienione wyżej zalety uczelni związkowej i nieograniczone sposobności pokonania najtrudniejszych dwóch lat na drodze do wyższego wykształcenia wprost w idealnych warunkach bytowania.

W stosunku do wielkich amerykańskich kolegiów, liczących tysiące lub dziesiątki tysięcy studentów, Kolegium Związkowe jest mniejszą uczelnią liczy studentów tylko na setki, co stanowi jej atut i przedstawia wielkie dobrodziejstwo dla młodzieży. Albowiem w jego murach student czy studentka nie jest traktowana jako "numer," ale jest osobą znaną całemu fakultetowi, mając nieograniczony dostęp do swoich profesorów. Korzysta z bogatej biblioteki, najbardziej nowoczesnych laboratorów. Ma wielkie pole do popisów osobistych w klubach studenckich. Staje się, jednym słowem, członkiem zżytej rodziny studenckiej, pochodzącej z całego kontynentu, owianej jednym duchem i o jednakowych ambicjach naukowych.

Z innego punktu widzenia Kolegium Związkowe stało się tylko ośrodkiem naukowym, w którym poznaje się, kształci, urabia swego ducha i zaciąga na całe życie koleżeńskie węzły młodzież polsko-amerykańska z całego kraju, ale odgrywa jeszcze bardzo ważną rolę: stało się poważnym źródłem wiedzy o Polsce i Polakach dzięki posiadaniu już dużych zbiorów polskich dzieł historycznych i naukowych. Stało się taką instytucją w amerykańskim świecie naukowym, jakiej poprzednio brakło i której brak odbijał się ujemnie na reputacji całego ogółu amerykańskiego obywatelstwa polskiego pochodzenia.

Dziś w Cambridge Springs czerpie potrzebne informacje już wielu naukowców i działaczy amerykańskich, a z biegiem czasu będzie korzystało coraz więcej.

Z biegiem czasu Polonia Amerykańska będzie też coraz więcej dumna z posiadania takiej uczelni i będzie coraz silniej ją popierała. — W. H. T.



PREZES Z. N. P. I PREZES KONGRESU POLONII AM., KAROL ROZMAREK witany serdecznie przez uczestników kursu instruktorskiego młodzieży Z. N. P.

STUDENCI I STUDENTKI KOLEGIUM ZWIĄZKOWEGO W CAMBRIDGE SPRINGS, PA., w sali jadalnej "Alliance College" w czasie obiadu. Na przedzie w środku por. Jarecki.

CENZOR Z. N. P. SĘDZIA B. F. GUNTHER przemawia na zakończeniu kursu instruktorskiego młodzieży Z. N. P. Po lewej widać ś. p. Piotra Kozłowskiego, wiceprezesa Z. N. P. po prawej i p. Wandę Rozmarek, żonę prezesa Karola Rozmarka, która wykładała język polski i historię Polski na kursie.

W Dziesiątą Rocznicę Umów Jałtańskich

W lutym bieżącego roku przypada 10ta rocznica jednego z najbardziej doniosłych i brzemiennych w skutki wydarzeń politycznych najnowszej historii nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale całego świata. Nie jest to wprawdzie rocznica zwycięstwa militarnego, lub triumfu politycznego, któraby napawała nas radością i dumą. Przeciwnie jest to rocznica jednej z największych w dziejach klęsk politycznych Stanów Zjednoczonych, rocznica sprzeniewierzenia się naszym ideałom, rocznica na wspomnienie której każdy uczciwy Amerykanin oblewa się rumieńcem wstydu.

W lutym bieżącego roku przypada 10ta rocznica zawarcia przez rządy Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Rosji Sowieckiej umowy w Jałcie.

Następstwem tej umowy był fakt, że osiągnięte przez aliantów, olbrzymim nakładem krwi i zasobów materialnych zwycięstwo militarne w II Wojnie Światowej, stało się zwycięstwem politycznym tylko dla Rosji Sowieckiej i komunizmu. Sowiety zagarnęły pod swoje panowanie Polskę, Litwę, Łotwę, Estonię, Rumunię, Węgry, Czechosłowację, Bułgarię, Albanię, Chiny i Północną Koreę. Jeśli w 1939 roku Sowiety wykonywały władze nad blisko 200,000 milionami ludności, to dzisiaj Kreml rządzi bezpośrednio lub pośrednio ponad 800,000 milionami ludności. Co więcej opanowanie tych krajów dało Rosji możność podminowywania wolnego świata przez stałe szerzenie zamieszek, niepokojów i wywoływaniu wojny w wielu innych ważnych i żywotnych dla Stanów Zjednoczonych punktach globu ziemskiego. Wystarczy wspomnieć Bliski Wschód, Malaje, Afrykę i t.d.

Jeśli Amerykanie musieli walczyć i przelewać krew w Korei, a Francuzi w Indo-Chinach i jeśli obie te wojny skończyły się klęską dla zachodu, to jest to jednym z następstw umowy Jałtańskiej.

Polonię Amerykańską szczególnie dotknęły postanowienia umowy Jałtańskiej narzucone Polsce. W Jałcie bowiem Polskę pozbawiono prawie połowy jej terytorium, a jedną trzecią jej ludności oddano pod obce i wrogie panowanie. Jednocześnie narzucono Polsce reżim komunistyczny, oddając naród na łaskę i niełaskę Sowietów.

W ten sposób Polska, która chwyciła za broń w walce przeciwko totalizmowi hitlerowskiemu, która była najwierniejszą sojuszniczką przez całą wojnę i która poniosła największe ofiary w tej wojnie została potraktowana gorzej od wrogów.

Krzywdzące te postanowienia zostały powzięte bez wysłuchania nawet legalnego przedstawiciela narodu polskiego, jakim był wówczas rząd polski w Londynie, uznany przecież przez Stany Zjednoczone. Wydano w ten sposób wyrok w sporze polsko-rosyjskim bez wysłuchania tych, którzy mieli pełne prawo do obrony swoich interesów.

Dziś 10 lat po podpisaniu umów Jałtańskich trzeba stwierdzić, że Stany Zjednoczone stoją w obliczu największego w swoich dziejach niebezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek zagrażało naszemu krajowi. Jałta bowiem dała Rosji Sowieckiej podstawę wyjściową pokuszenia się o zrealizowanie swego naczelnego celu: Narzucenia komunizmu reszcie wolnego dziś jeszcze świata.

Dziś w 10 lat po podpisaniu umów Jałtańskich trzeba stwierdzić, że przez postanowienia tych umów zostały pogwałcone amerykańskie ideały wolności i sprawiedliwości. Przez podpisanie tych umów Stany Zjednoczone złamały swoje zobowiązania wyrażone w Karcie Atlantyckiej z 14 sierpnia 1941 roku i w Deklaracji Narodów Zjednoczonych z dnia 1 stycznia 1942 roku.

Przecież to w początkowej fazie wojny prezydent Roosevelt i premier Churchill uroczyście się zobowiązali w postanowieniach Karty Atlantyckiej między innymi do tego, że zarówno Stany Zjednoczone, jak i Wielka Brytania: "Nie dopuszczą do żadnych zmian terytorialnych, które nie będą w zgodzie ze swobodnie wyrażoną wolą ludności na tych ziemiach zamieszkałej," oraz, że: "Uznają prawo każdego narodu do wybrania sobie formy rządu, pod którego władzą pragnęliby żyć, oraz że pragnieniem ich jest

przywrócenie suwerenności i własnych rządów tym wszystkim narodom, które zostały jej siłą pozbawione."

A jeszcze nawet w czasie konferencji w Jałcie, premier brytyjski Churchill w czasie jednego z licznych posiedzeń poświęconych sprawom polskim oświadczył: "Nasze zainteresowanie się sprawą Polski, jest dla nas sprawą honoru. Podjąwszy wojnę w sprawie Polski przeciwko brutalnemu atakowi Hitlera, nie możemy nigdy się zgodzić na jakiekolwiek rozwiązanie, przy którym Polska nie byłaby wolnym, niezależnym i suwerennym państwem."

Jak potem dotrzymano danych w tragicznym dla Anglii 1941 roku przyrzeczeń w Karcie Atlantyckiej i jaką wartość ma pojęcie honoru Wielkiej Brytanii, reprezentowanej przez Churchilla, wykazały później postanowienia umowy Jałtańskiej.

W głębkoim poczuciu krzywdy wyrządzonej Polsce przez umowy Jałtańskie, oraz uświadamiając niebezpieczeństwa wynikające dla Stanów Zjednoczonych z tych umów Polonia Amerykańska, po przez swoją naczelną reprezentację Kongres Polonii Amerykańskiej pierwsza podniosła protest przeciwko tym umowom, oraz domagała sie ich unieważnienia.

Na przestrzeni 10 lat Kongres Polonii Amerykańskiej prowadził wytrwałą i niewdzięczną początkowo, ze względu na oficjalny kurs polityki amerykańskiej, pracę zmierzającą do uznania przez Stany Zjednoczone tej umowy, jako nieobowiązującej. Kongres P. A. rozsyłał do prasy liczne komunikaty w tej sprawie, a jego przedstawiciele poruszali ją przy każdej okazji zarówno z czynnikami rządowymi, jak również z senatorami i kongresmanami. Zarówno na Konwencjach Kongresu P. A., jak również na posiedzeniach Rady Naczelnej, oraz zebraniach poszczególnych wydziałów podejmowane były odpowiednie rezolucje, które następnie publikowała prasa amerykańska, a często były one zamieszczane w Congressional Record.

Wynikiem tej mozolnej i wytrwałej pracy jest przeoranie amerykańskiej opinii publicznej, która dziś jest w pełni świadoma niebezpieczeństw politycznych i następstw moralnych umów Jałtańskich.

Odwołanie tych, wielokrotnie przez Sowiety pogwałconych umów, będzie powrotem na drogę zasad moralnych i ideałów amerykańskich z których zeszła polityka amerykańska w ostatniej fazie wojny.



COMMANDER EDWARD BEACH, adiutant Prezydenta Eisenhowera, składa w imieniu Prezydenta wieniec u stóp pomnika Kazimierza Pułaskiego w Washingtonie w 175 rocznicę jego zgonu.



ZE ZJAZDU RADY NACZELNEJ KONGRESU POLONII AMERYKAŃSKIEJ W WASHINGTONIE, na którym to posiedzeniu Zjednoczenie PRK przystąpiło z powrotem do Kongresu. Widok na salę zebrań.

Dziesięć Lat Pracy i Walki Kongresu Polonii Amerykańskiej

Kongres Polonii Amer. Powstał w Przełomowym Momencie. — Ostrzegał Przed Komunizmem. — Podniósł Znaczenie Polonii. — Pomagał Polakom Na Całym Świecie. — Komitety Katyński i Kerstena. — Opinie Obcych. — Wkład Z. N. P.

W roku bieżącym mija 10 lat od powstania Kongresu Polonii Amerykańskiej. Powstanie tej naczelnej reprezentacji Polonii Amerykańskiej nastąpiło w szczególnie ważnym momencie historycznym. Z jednej strony coraz wyraźniej zarysowało się już w tym czasie zwycięstwo aliantów nad Niemcami i Włochami, a z drugiej naskutek błędnej polityki wobec Rosji Sowieckiej można było przewidzieć, że pomimo tego zwycięstwa, świat nie zazna upragnionego pokoju, ale zawiśnie nad nim nowa groźba imperializmu tym razem czerwonego.

Aczkolwiek dążenie do uzyskania sprawiedliwości dla Polski nie było jedynym celem powstania Kongresu Polonii Amerykańskiej, to jednak tragiczna sytuacja, w jakiej znalazł się kraj naszych ojców, zniszczony przez wrogów i zdradzony przez przyjaciół — sprawiła, że w ubiegłym dziesięcioleciu Kongres prawie wszystkie swoje wysiłki poświęcił sprawie polskiej. Nie znaczy to jednak, by służąc sprawie polskiej Kongres Polonii Amerykańskiej zaniedbał swoich obowiązków wobec naszej ojczyzny — Stanów Zjednoczonych, albo zaniedbał obrony interesów Polonii Amerykańskiej, jako całości, tam gdzie tego okoliczności wymagały.

Nie sposób tutaj omówić całości dorobku Kongresu Polonii Amerykańskiej w ubiegłym dziesięcioleciu. Potrzebne do tego byłoby już dziś obszernych rozmiarów osobne wydawnictwo.

Trudne Początki

Początki działalności nie były łatwe, a atmosfera w jakiej wypadało działać wcale nie sprzyjająca. Podnosząc od pierwszych chwil swego istnienia głos ostrzegawczy przed niebezpieczeństwem komunistycznym, w okresie gdy Sowiety były sprzymierzeńcem Ameryki, Kongres Polonii Amerykańskiej narażał się niejednokrotnie na zarzuty, że działa wbrew interesom Stanów Zjednoczonych. Zarzuty te zresztą nie ustały i po zakończeniu wojny, gdyż były często podnoszone przez sympatyków komunizmu i Sowietów. Trzeba było dopiero późniejszych wypadków na terenie międzynarodowym, by udowodnić jak dalece przewidujące i jak bardzo słuszne i mądre było stanowisko Kongresu P. A. Wówczas jednak trzeba było mieć odwagę i wolę przeciwstawienia się powszechnie niemal panującym nastrojom przyjaznym wobec Sowietów, wytworzonym przez wspólny wysiłek wojenny a podtrzymywany przez piąte kolumny komunistyczne.

Patrząc wstecz na minionych dziesięć lat działalności należy stwierdzić, że swoją działalnością Kongres Pol. Amer. dowiódł niezbicie, że jest organizacją potrzebną i konieczną, zarówno dla dobra samej Polonii Amerykańskiej, jak i skutecznego działania na rzecz Stanów Zjednoczonych i sprawy polskiej. Pomimo trudności i przeszkód Kongres P. A. skupił w swoich szeregach wszystkie czynne i patriotyczne elementy polonijne na terenie całego kraju. Dziś nie ma większego skupiska polonijnego, gdzieby Kongres nie sięgał i nie miał swoich członków i przedstawicieli.

Wzrosło Znaczenie Polonii

Działalność Kongresu Pol. Amer. podniosła znaczenie Polonii Amerykańskiej w świecie amerykańskim. Wystarczy przejrzeć prasę amerykańską za jakiś okres, by się przekonać, że sprawie polskiej i Polonii Amerykańskiej wszystkie pisma, od największych do najmniejszych poświęcają sporo

miejsca. A większość tych artykułów, wzmianek i notatek jest bezpośrednio związana z działalnością Kongresu P. A., lub niejednokrotnie przez niego inspirowana.

O wzroście pozycji Polonii w świecie amerykańskim mówi też fakt, że sprawa polska jest często omawiana zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie Stanów Zjednoczonych. Sprawy te są podnoszone nie tylko przy okazji rocznic polsko-amerykańskich, lub polskich, jak rocznica urodzin Pułaskiego, czy też rocznica Konstytucji Trzeciego Maja, ale w aktach i protokółach zamieszczane są przemówienia przywódców polonijnych, liczne rezolucje i uchwały naszych organizacyj polonijnych, a w szczególności także memoriały i rezolucje Zarządu Wykonawczego Kongresu P. A. i poszczególnych jego Wydziałów.

W San Francisco i w Europie

Na przestrzeni minionych lat nie działo się nic w sprawie polskiej bez udziału Kongresu Polonii Amerykańskiej. Wystarczy wspomnieć o udziale delegacji Kongresu P. A. z prezesem Rozmarkiem na czele na konferencji Narodów Zjednoczonych w San Francisco, dokąd wówczas została zaproszona przez sekretarza stanu Stettiniusa. Było to tym ważniejsze, że na tej konferencji nie był reprezentowany rząd polski, wówczas jeszcze uznawany rząd sprzymierzony. Na tej też konferencji delegacja Kongresu Polonii Amerykańskiej zmusiła ministra spraw zagranicznych Mołotowa do przyznania, że szesnastu przywódców Polski Podziemnej zostało aresztowanych przez Rosjan i wywiezionych do Moskwy.

Było to o tyle ważne, że aczkolwiek ani rząd polski w Londynie, ani też nikt z Polaków nie wątpił, że przywódcy polskiego podziemia zostali w podstępny i zdradliwy sposób pod pozorem odbycia konferencji z marszałkiem Żukowem, aresztowani przez bolszewików, to jednak nie było na to niezbitych dowodów, ażeby przekonać o tym opinię publiczną świata. Dopiero na skutek nacisków delegacji Kongresu P. A. na sekretarza stanu Stettiniusa i presji tego ostatniego na Mołotowa, los 16-tu wybitnych Polaków stał się wiadomy.

A potem w 1946 roku przychodzi wyjazd delegacji Kongresu P. A. znowu z prezesem Rozmarkiem na czele do Europy, by tam na odbywającej się wówczas konferencji w Paryżu pilnować interesów polskich, a jednocześnie zebrać materiały konieczne dla forsowania w Stanach Zjednoczonych ustawy o dopuszczenie polskich wysiedleńców i żołnierzy do tego kraju. Delegacja odbywa szereg rozmów w Paryżu z sekretarzem stanu James Byrnesem, któremu złożono memoriał w sprawie Polski. Pozatym udzielono licznych wywiadów prasowych, oraz odbyto rozmowy z politykami francuskimi, angielskimi i z innych krajów. Kontynuacją tych wysiłków, zmierzających do zastępstwa niedopuszczanych legalnych przedstawicieli Polski, były późniejsze konferencje w Londynie, oraz na terenie Belgii i Niemiec Zachodnich.

Pomoc Rodakom

Odcinkiem o charakterze polityczno-humanitarnym, na którym Kongres P. A. położył ogromne zasługi, była niewątpliwie akcja, zmierzająca do umożliwienia przybycia do tego kraju tysiącom polskich wysiedleńców i żołnierzy, poniewierających się w obozach w Niemczech, Włoszech i Francji. — Owocem długich i żmudnych wysiłków i zabiegów, oraz dzięki współpracy kongresmanów polskiego pochodzenia był tak zwany "DP Act of 1948", dopuszczający do U. S. 205,000 wysiedleńców z Europy. Kto nie zna losu Polaków skazanych na skrajną nędzę, szczególnie na wrogiej ziemi niemieckiej, ten nigdy nie zrozumie, czym było to prawo dla wielu dziesiątków tysięcy Polaków, którzy mogli dzięki niemu, przybyć do Stanów.

Nie koniec na tym. Kongres P. A. przeprowadził potem skuteczne starania o objęcie tą ustawą żołnierzy polskich, z Wielkiej Brytanii, a później jeszcze postarał się o przedłużenie terminu jej działania i zwiększenie kwoty. Wreszcie Kongres nie ograniczył się w swoich wysiłkach do starań o stronę prawną, ale powołał do życia własny komitet, który podjął akcję sprowadzania wysiedleńców i załatwiania związanych z tym formalności.

Zbrodnia Katyńska

Jedną ze spraw, która pochłonięła dużo wysiłków i znaczne koszta, była sprawa

mordu katyńskiego. Ujawnienie całej potwornej prawdy wobec opinii świata przyczyniło się niewątpliwie do wzmocnienia antykomunistycznego frontu w poszczególych państwach i narodach, a z drugiej strony było dowodem zamiarów Sowietów wobec Polski już wówczas, oraz pozwalało przeczuwać, co mają zamiar komuniści uczynić z narodem polskim.

Poczynając od powołania do życia "American Committee for the Investigation of the Katyn Massacre" z byłym ambasadorem w Polsce Bliss Lane na czele, aż po powołanie przez Izbę Reprezentantów specjalnego komitetu inwestygacyjnego z kongresmanem Maddenem na czele, Kongres P. A. nigdy, ani przez chwilę, nie zaniechał starań, ażeby sprawę tę popierać i forsować. Dzięki tym staraniom kilku kongresmanów, a między innymi kongresmani: Sheehan, Flood, Kerstein, Madden i Machrowicz wnieśli rezolucję z żądaniem ustanowienia specjalnego komitetu Kongresowego, któryby zbadał zbrodnię katyńską. Jak wiadomo, komitet taki powstał, przeprowadził inwestygację i złożył raport, w którym stwierdza, że zbrodnia ta została dokonana przez Sowiety.

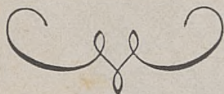
Podjęte starania o przekazanie sprawy zbrodni katyńskiej Organizacji Narodów Zjednoczonych są nadal kontynuowane.

Komitet Kerstena

W ostatnim roku Kongres P. A. podjął starania, by istniejący już od jakiegoś czasu Komitet Kongresowy dla zbadania sprawy zagarnięcia Państw Bałtyckich przez Rosję Sowiecką, objął również swoją inwestygacją i Polskę; oraz inne narody za żelazną kurtyną opanowane przez Sowiety po 2-ej Wojnie Światowej. Starania te również zostały uwieńczone sukcesem i w dniu 3 maja ub. roku, w rocznicę Konstytucji 3-go Maja odbyły się pierwsze przesłuchy w tej sprawie w Chicago. Zeznawali wówczas między innymi: prezes Rozmarek, przywódcy polskiego podziemiapp. K. Bagiński i S. Korboński, ambasador Lipski, jeden z nowszych uchodźców dr. M. Korowicz i inni.

Wszystko, o czym pisaliśmy nawet w bardzo małej części nie wyczerpuje prac i dorobku Kongresu P. A. Wymienione sprawy to są właśnie raczej bardziej znane i głośne. Niesposób natomiast omówić niezliczonych interwencyj u władz amerykańskich w sprawie polskiej. Wystarczy wspomnieć, że gdziekolwiek na przestrzeni ubiegłych lat odezwał się głos któregoś z reprezentantów Stanów Zjednoczonych, któryby rzucał wątpliwość co do prawności przynaelżności Ziem Odzyskanych do Polski, natychmiast następowała interwencja ze strony Kongresu Polonii Amer. Tak było po przemowie ówczesego sekretarza stanu Byrnesa w Stuttgardzie w 1946 roku, albo po oświadczeniu ówczesnego Wysokiego Komisarza w Niemczech, Johna McCloy w 1951 roku.

Nie tylko zresztą w sprawie Ziem Odzyskanych, ale w każdej sprawie, gdzie zagrożone były interesy Polski, albo jej dobre imię, natychmiast następowała reakcja ze strony Kongresu Polonii Am. I przeciwnie — gdziekolwiek rozległ się głos dla Polski przychylny i sprawie polskiej pomocny, Kongres Pol. Am. natychmiast śpieszył go zarejestrować i dawał temu publiczny wyraz, by w ten sposób przyjaciół dla polskiej sprawy zyskiwać i ich z nią wiązać.



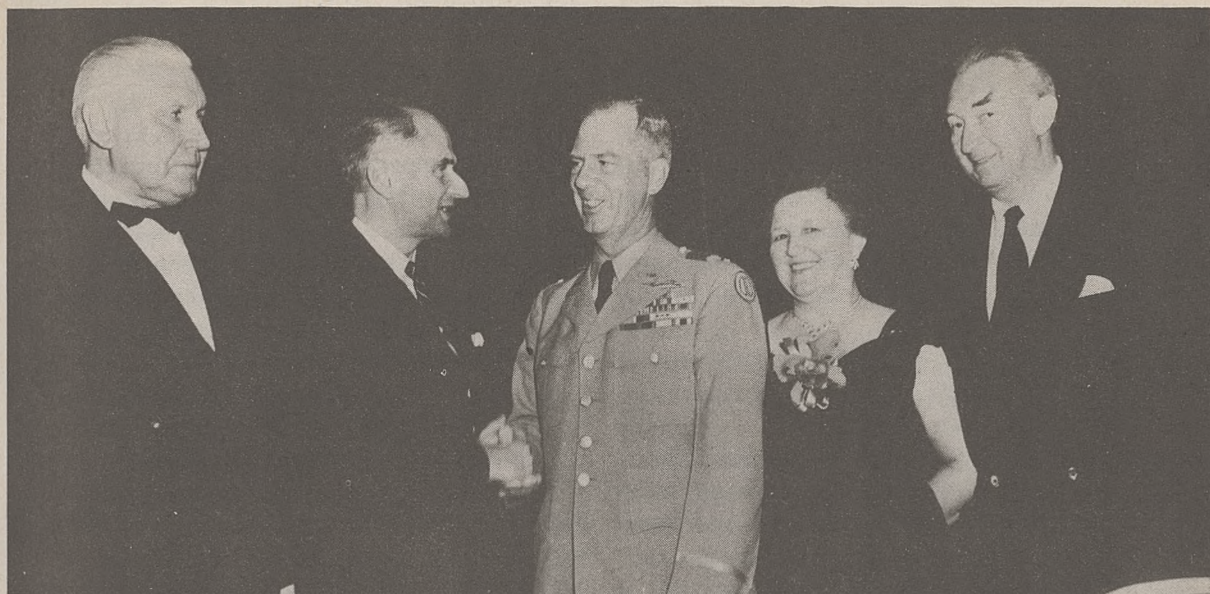






Delegaci, Goście z Polski i Komitet Wykonawczy Kongresu N. P. w Waszyngtonie.

Dolny szereg (od lewej): A. Pasterz, S. Rzepecki, W. Skołyszewski, Dr. A. Lisiewicz, Prof. S. Majerski, Panna Z. Suligowska, Mec. A. Suligowski, Dr. W. Lewicki, J. Okołowicz.
Drugi szereg (od lewej): M. Wojtecki, N. K. Złotnicki, M. Sakowska, H. Ossowicz, A Schreiber, T. Siemiradzki, S. K. Sass, M. B. Stęczyński, Dr. K. Żurawski, S. Dangel, Z. Rzepecki, M. Kmieciak, W. Studnicki, Dr. W. Kuflewski.



JEDNĄ Z PROGRAMOWYCH MÓW na bankiecie ku czci Generała Pułaskiego w Hotelu Sherman, wygłosił Generał Brygady Wm. E. Carraway, asystent komendanta 31-ej dywizji piechoty armii amerykańskiej, którego widzimy w otoczeniu, odlewej do prawej—Henryk Banach, skarbnik Wydziału Kongresu PA; dr. Marek Korowicz; gen. Carraway; p. Franciszka Dymek, wiceprezeska ZNP i przewodnicząca Komitetu Uroczystości ku czci Pułaskiego; Stefan Korboński, przewodniczący przedstawicielstwa Rady Stronnictw Politycznych Polskich.

Z BANKIETU KU CZCI GEN. PUŁASKIEGO, jaki odbył się w hotelu Sherman z okazji 174ej rocznicy zgonu bohatera dwóch światów. Przy mikrofonie sędzia Tadeusz V. Adesko, sekretarz Gen. Pulaski Memorial Association i Wiceprezes Zarządu Głównego Kongresu Polonii Amerykańskiej; p. Franciszka Dymek, wiceprezeska ZNP i prezeska Gen. Pulaski Memorial Association; dr. Marek Korowicz i senator Stanów Zjednoczonych Everett Dirksen.

Najstarsza Osada Polska w Michigan

Jeszcze nie przebrzmiały skromne obchody stulecia pierwszej osady polskiej w Panna Maria, Texas, gdy na widownię Polonii w Ameryce wchodzi nowa, historyczna data, stulecie osady polskiej w Parisville, Michigan.

Sto lat temu, t.j. w r. 1854, stanął na tej ziemi Antoni Sławik z powiatu Strzeleckiego, na Śląsku, Jan Wojtalewicz i Amroży Czuchnowski. Przybyli oni drogą przez Hamburg do Quebec, Canada, a stamtąd szlakiem emigrantów szkockich i niemieckich, przybyli do Michigan. W roku 1885 przybywa Franciszek Polk, który zamieszkał u Antoniego Sławika. Te trzy pierwsze rodziny wraz z przybyłym w następnym roku Polkiem, dały podwaliny do pierwszej osady, która przetrwała aż po dni nasze w czystości języka polskiego i obyczaju. W tych samych latach przybywają licznie Polacy do Quebec, ale z braku funduszów na zakupno ziemi w Michigan, skłaniają się do chwilowego pobytu na terenie Kanady. Większa grupa, bo składająca się z 17 rodzin, przebywa najpierw w Sherbrocke, Q., a następnie zatrudnieni przez agentów The German Railroad Agency, pracują przez blisko trzy lata przy budowie pierwszej kolei Grand Trunk Railway, która idzie z Quebec do Sarni, Ontario. Te rodziny w liczbie 17, po skończonej pracy, przedostają się w roku 1857 do Parisville i łączą się z pierwszą grupą osadniczą.

Teren, na którym osiedli Polacy, był puszczą. Mieszkali tu Indianie szczepu Chippewa, z którymi osadnicy współżyli zgodnie przez przeszło 20 lat, kiedy ci ostatni pod naporem białych przenieśli się na teren górnego półwyspu Michigan. Osadnicy polscy przybywali z Kanady do małego portu Forestville, Michigan, nad jeziorem Huron, a stamtąd pieszo poprzez lasy do Parisville Stefan Pawłowski, jeden z zasłużonych pionierów polskich w Parisville, tak opisuje swoją pierwszą wizytę w Parisville. "Wylądowałem w Forestville, Sanilac County, z narzędziami i zaopatrzeniem, które niosłem na swoich plecach. Trza było przechodzić przez rzeki, omijać trzęsawiska, które ciągnęły się wszrz. Drogą do Parisville była właściwie ścieżką z nacięciami na drzewach by nie pobłądzić. Tą ścieżyną 18-milową będą wędrować mieszkańcy Parisville przez lata całe do Forestville po zakupy. O Parisville i tej drodze wspomina ks. Kajsiewicz w roku 1865-tym: "Jest ich tam przeszło 100 rodzin . . . wielka tam dziczyzna, nawet konno wszędzie nie można przejechać . . . Biedny ludek, wór mąki zakupiony w Forestville na barkach cały dzień dźwiga."

Początki osadników były bardzo trudne. Mężczyźni w okresie zimy pracowali przy wyrębie lasów, otrzymując zapłatę 1 dolara za dzień pracy. Po pięciu latach osadnicy zdobywają się na zakupno bydła. O koniach przez długie lata nikt nie marzy. Osadę nawiedzają pożary w latach 1871 i 1881. Nic nie zniechęca osadników, ale z uporem chłopskim rozpoczynają po każdej katastrofie budowę nowego życia. Wprawdzie ziemia była tania, za jeden akr płacono 25 centów, ale trzeba było ją wykarczować własnoręcznie. Samemu pobudować dom, który był jedną izbą z drzewa nieciosanego.

Dziesiejsza nazwa Parisville, jest nazwą nową. Początkowo przez pierwsze pięć lat określano tę miejcowość jako leżącą w gminie 14, sekcji 15-ej. Przez długie lata toczy się bowiem walka o nadanie nazwy tej osadzie. Jedna z grup upiera się przy nazwie Kraków, inna przy nazwie Paris. Większość wreszcie zwycięża i miejsowość otrzymuje nazwę Paris, a w latach późniejszych Parisville.

Jedną z najgłówniejszych trosk osadników polskich była kwestia kościoła i kapłana. Przez siedem lat nabożeństwa odprawiane były przez przygodnych kapłanów w domach Antoniego Sławika i Wojtalewicza. Budowa kościoła szła powoli z powodu niesnasek. Partia mniejszości chciała kościoła na "Krakowie", większość w Paris. Nastąpiło rozdwojenie i obie partie rozpoczęły wyścig, rozumiejąc, że kto pierwszy zbuduje

kościół, ten zatrzyma i nazwę i władzę. Niestety, kiedy "Krakowianie" podciągali budowę już pod dach, piorun zniszczył całe dzieło. Poczytano to za karę Bożą i złączono się wspólnie, by budować większy i obszerniejszy kościół w Paris. Pierwszy kościół w Parisville stanął w roku 1867. Zniszczony pożarem w roku 1871, powstaje drugi, który ulega również pożarowi w r. 1881. Pobudowano trzeci w roku 1882, który stoi po dzień dzisiejszy. Druga troska, to otrzymanie stałego duszpasterstwa, nastręczała również wiele trudności. Początkowo obsługiwali przygodnie Parisville księża z Detroit, przyjeżdżał tu również ks. Julin Maciejewski, ks. Krutel-Czech. Do stałej obsługi został wysłany przez Biskupa z Detroit, ks. Piotr Kluk, który przybył z archidiecezji poznańskiej. Przybył do Parisville w roku 1858, ale nie zamieszkał w parafii, tylko od czasu do czasu zjawiał się, by odprawić nabożeństwo. Zapiski i tradycja przekazała wiele o nim, jako typowym misjonarzu, przemierzającym cały półwysep Thumb na koniu z paramentami kościelnymi w sakwach i ze strzelbą. Życie jego było pełne poświęcenia. Żył ubogo bo i jego parafianie mieli nie więcej. Zachowała się wzmianka, że wędrując po osiedlach nad jeziorem Huron, zatrzymał się u rybaków, dla których za pokutę w spowiedzi św. nakazywał przyniesienie ryb!

Po nim przybył do Parisville ks. Wieczorek i ks. Wołkowski, późniejszy pierwszy organizator parafii w Chicago. Przybyli oni z Rzymu ze Zgromadzenia XX. Zmartwychwstańców. Oni założyli pierwszą szkołę w r. 1868. W pierwszych jednak chwilach doszło do starcia na temat języka wykładowego. Ks. Wołkowski mając instrukcje od ks. Funkena, prowincjała z Kanady, dążył by szkoła miała język angielski, — oparła się temu osada z ks. Wieczorkiem.

Oprócz tych pierwszych proboszczów przesunęło się przez Parisville wielu misjonarzy jak ks. Breitkopf, ks. Szulak. Po ks. Wieczorku pełni obowiązki ks. Dziurowicz, a następnie księża: Musielewicz, Gratza, Domagalski, Sułek, ks. Leopold Moczygemba z Panny Marii Texas, ks. Rodowicz, Walaytys. Mueller, Folta, Dziuk, ks. Koper..., a obecnie ks. Wołoszyk.

W r. 1889 ks. L. Moczygemba sprowadza do Parisville Siostry Feilcjanki, które prowadzą po dzień dzisiejszy szkołę. Niestety od kilku lat z powodu sprzeciwu jednego z proboszczów zaprzestano nauczania języka polskiego. Sprawa nauczania języka polskiego przeszła wtedy do domu. Ilekroć bowiem starano się wyrzucić język polski ze szkoły, tylekroć osadnicy w piątym czy szóstym pokoleniu podejmują inicjatywę i uczą w domach, by go zachować. W kościele parisville rozlegają się po dzień dzisiejszy pieśnie polskie, żyje tradycja polska. Polskość w Parisville była oryginalna i samoistna, jak samoistne i oryginalne było życie tej osady w okresie stu lat.

Dorobek ludu parisvillskiego jest wielki Pozostawił ten lud, pierwszego wychodźtwa polskiego w Michigan, pomnik swej nieugiętości i trwania przy wierze ojców, tradycji i języka polskiego. — X. F. L.



Parisville St. Mary Church Today



Z BALU STOWARZYSZENIA DOBROCZYNNOŚCI Z. N. P., jaki odbył się w sobotę, 13-go listopada w sali balowej hotelu Sherman. "Polonez" prowadził p. Włodzimierz Belland, dyrygent Chóru Młodzieżowego Z. N. P. W pierwszych parach kroczyli j. n. od lewej do prawej:—Franciszka Dymek, prezeska Stow. Dobroczynności i wiceprezeska Z. N. P.; dr. Stefan Lisowski, wiceprezes Z. N. P.; Alicja Lisowska, żona wiceprezesa; adw. Alojzy A. Mazewski, dyrektor Z. N. P.; Stefania Gondek, dyrektorka Z.N.P.; Michał Mokrzycki, komisarz Okr. 12-go Z.N.P.; Katarzyna Ziemba-Dienes, dyrektorka Z. N. P.; J. S. Świerczyński, zarządca Wydawnictw Z. N. P. W drugim rzędzie zauważymy wśród innych: Rozalia Wójcik, komisarka Okr. 13-go Z. N. P.; W. Andrzejewski, prezes Gm. 3; Aleksander Moll, prezes Gm. 178; Bronisława Walacha, skarbniczka Stow. Dobroczynności; Józef Witwicki, marszałek Okr. 13-go; Józef Tragarz, wiceprezes Gm. 120.

Modlitwa Pielgrzyma



Fragment pomnika A. Mickiewicza w Paryżu.

Panie Boże Wszechmogący!

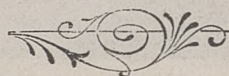
Dzieci narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce bezbronne z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalń syberyjskich i ze śniegów kamczackich i ze stepów Algeru i z Francji, ziemi cudzej.

A w Ojczyźnie naszej, w Polsce wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości myślą i łzami.

Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich! Boże Kościuszków! Zlituj się nad Ojczyzną naszą i nad nami! Pozwól nam znowu modlić się do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy z bronią w ręku, przed ołtarzem zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych, rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych.

A także niech się stanie nie nasza wola, ale Twoja. Amen.

Z „Ksiąg Pielgrzymstwa" Adama Mickiewicza



Z Srebrnego Jubileuszu Grupy 2535 Z.N.P., odbytego 21-go lutego, 1954.



25-LECIE GRUPY 2535 Z.N.P. W DETROIT, MICH.—Wiceprezeska Zarządu Centralnego Z.N.P. przemawia na Bankiecie Srebrnego Jubileuszu Tow. Pierwsza Brygada, Gr. 2535 Z.N.P. w Detroit, Mich. Przy głównym stole od lewej: S. Leśniewicz, redaktor "Dziennika Polskiego"; Jakób Lewandowski, Prezes Gminy 15 Z.N.P.; Maria Odrobina, (żona Komisarza); Wład. Drozdowski, Prezes Gr. 2535 Z.N.P. i toastmistrz bankietu; Fran. Odrobina, Komisarz Okręgu 10-go Z.N.P.; Józefa Wolas, Komisarka Okręgu 10-go; Józef Krawulski, Przew. Komitetu Jubileuszowego i Józef Rychlicki, Prezes Gm. 54 Z.N.P.

Historia Powstania Pierwszych Osad Polskich w Ameryce

Do roku 1870-go przybywała do Stanów Zjednoczonych jedynie tylko inteligencya polska. Kroniki waszyngtońskie podają, że w r. 1659 do ówczesnej osady holenderskiej, gdzie obecnie rozsiadło się miasto New York, sprowadzono polskiego profesora, aby kształcił młodzież holenderską. Do innych osad przybywali także uczeni polscy, których ówcześni Amerykanie przyjmowali z otwartemi rękami, tem bardziej, że sława ówczesna Polski, jako jednego z najpotężniejszych mocarstw w Europie, rozchodziła się na świat cały. Amerykanie mieli sobie za zaszczyt, jeśli w swem gronie mogli znaleźć Polaka. Później przybywali z Polski tacy mężowie jak Kościuszko, Pułaski i dziesiątki innych oficerów polskich. Kościuszko stworzył Amerykanom inżynieryę i konną artyleryę wojskową, Pułaski natomiast konnicę, które to dwa rodzaje broni głównie się przyczyniły do pobicia Anglików.

Jeśli się doda jeszcze, że wraz z tymi bohaterami przybyli do Ameryki Polacy tej miary jak poeta Julian Ursyn Niemcewicz, przyjaciel późniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych Tomasza Jeffersona, nic dziwnego, że przybysze polscy musieli zdobyć sobie nie tylko szacunek, ale i wdzięczność Amerykanów, którzy też wysilali się jak mogli, aby Polakom się odwzajemnić. Dlatego też pobyt nawet późniejszej emigracyi polskiej w Stanach Zjednoczonych, nie był wcale ciężki. Wygnańcy polscy, otoczeni opieką i szacunkiem, prędko dorabiali się poważnych fortun lub znaczniejszych stanowisk, ale właśnie dlatego, że im było dobrze, że nie szli przebojem, zapomnieli rychło o swej Ojczyźnie, za której wolność broń podnieśli. Amerykanie nie tylko rozbierali ich pomiędzy siebie, ale nawet po roku 1831 kongres waszyngtoński osobną uchwałą oddaje dla emigracyi polskiej znaczne przestrzenie ziemi w stanie Virginia. Jednakże z donacyi tej Polacy nie korzystali. Kilkunastu zaledwie osiadłszy na oddanym im gruncie, wkrótce go opuściło śpiesząc do

ECHO z POLSKI

RÓWNOŚĆ! WOLNOŚĆ! NIEPODLEGŁOŚĆ!

NASZE HASŁO.
Znaj najprzód
Ojczyste sprawy -
I Jej klęski
I Jej sławy!

Redakcya
R J Jaworowski
926 Broadway New York NY
Drukarnia
Jozef Schriftgiesser i Picker
75-77 Nassau St New York NY

№ 1. New York, 1 Czerwca, 1863. Rok I.

Pierwsze polskie czasopismo w Stanach Zjednoczonych

miast, gdzie też uległo zupełnemu wynarodowieniu. Zaledwie tu i ówdzie pozostały resztki jako tako utrzymane, ale dzisiaj należą one do białych kruków, a szkoda wielka, gdyż mogli oni być przywódcami polskiego ludu z tytułu starszeństwa i obeznania się z tutejszymi stosunkami. Mogli oni udzielić przyszłej fali emigracyjnej polskiej cennych wskazówek, mogli ten lud polski ochraniać, mogli go skupiać w więcej korzystnych miejscach i stać się prawdziwymi fundatorami przyszłej Polski w Stanach Zjednoczonych.

Widocznie inne były wyroki Opatrzności i lud polski, przybyły do Ameryki, nie zastał tu nikogo, ale chociaż oddany był własnemu losowi, nie zmarniał, bo przybył gromadnie a w gromadzie jest siła i przepotężna odporność.

Doskonałą jednakże próbkę zapatrywań reprezentantów tej właśnie emigracyi, przedstawia następujący obrazek. Było to w samych początkach powstania kolonii polskiej w mieście Buffalo, a zatem około roku 1870. Obywatel Grabowski, na miejscu, gdzie dzisiaj rozbudowała się osada polska, miał większą farmę. Nie mogąc jednakowoż oddać się w zupełności gospodarstwu, postanowił farmę sprzedać, tembardziej, że przedsiębiorcy gruntowi dawali mu bardzo korzystne warunki. Celem ostatecznego załatwienia aktu sprzedaży, wybrał się do śródmieścia, poczem, aby się posilić, wstąpił do jednego z lepszych hoteli, zdarzyło się bowiem, że spotkał dawnego swego znajomego, także farmera, z którym łączyły go nawet ściśle związki przyjaźni z lat szkolnych i kampanii węgierskiej.

Nie krępując się obcem otoczeniem, swobodnie rozmawiali o dawnych czasach i boleli nad upadkiem ostatniego powstania polskiego. Zupełnie zajęci przeszłością, nie spostrzegli nawet, jak zbliżył się do nich jakiś wysoki, tęgo zbudowany jegomość, pomimo siwizny o twarzy czerstwej i zdrowej. Dłuższy czas przysłuchiwał się rozmowie, ale spostrzegłszy, że rozmawiający zwrócili w końcu na niego uwagę, bez ceremonii usiadł do stołu i przedstawiwszy się tylko, że jest Polakiem jak i oni, wdał się w rozmowę, która potrwała kilka godzin.

Mówiono o wszystkiem, co mogło interesować tułaczy polskich. Kilkakrotnie nieznajomemu zabłysły łzy w oczach, ale twarda natura żołnierska opanowała wzruszenie. Z rozmowy dowiedział się Grabowski, że nieznajomy znajduje się lat 30 w Ameryce, że był jednym z wyższych oficerów w wojnie Polski z Rosyą w roku 1831, i że przeszedł na stronę polską, przyłączając się do oddziału Dembińskiego, służbę bowiem odbywał w wojsku rosyjskiem. Gdy Dembiński przedzierał się przez Litwę, nieznajomy dowodząc jedną z tylnych straży, został odcięty od armii i na własną rękę wraz ze swym oddziałem musiał szukać ratunku. Po wielu potyczkach, z zaledwie trzydziestu kilku ludźmi znalazł się nad granicą austryacką, którą przeszedł i broń złożył. Władze austryackie aresztowały go, uwięziły, ale wkrótce nieznajomy więzienie opuścił, wraz z kilku towarzyszami broni wyjechał do Tryestu, a następnie do Stanów Zjednoczonych. Znalazłszy się w Nowym Yorku, nieznajomy wstąpił do amerykańskiego wojska i poszedł walczyć do Florydy, gdzie toczono wojnę z Indyanami szczepu Seminolów. Po ukończeniu tej wojny, w której Seminole zostali pobici, nieznajomy udał się do Filadelfii, a następnie osiadł w Buffalo, przybrawszy obce nazwisko z powodów, których nie chciał wyjawić. Już była 4-ta godzina po południu, gdy nieznajomy wstał, aby z towarzystwem się pożegnać. Jakoś mu ciężko było rozstać się z niem, zdobywszy się jednak jakby na wysiłek niezwykły, przedstawił się pod imieniem Stanley Jacquard i zaprosił wszystkich do swego domu.

Powozem p. Jacquarda ruszyli wszyscy i zajechali do wspaniałego pałacyku przy ul. Summer. Wszędzie przebijał dostatek a tu i ówdzie widniały herby Jastrzębców. Ze względu jednakowoż, że herbem tym pieczętuje się wiele rodzin, trudno było odgadnąć właściwe nazwisko tajemniczego p. Jacquard'a. Przy kolacyi p. Stanley przedstawił swą żonę, Amerykankę i dwóch synów. Żaden z nich nie mówił po polsku, chociaż starszy zapewniał, że rozumie cokolwiek i wskazując na bogatą biblioteczkę, łamaną polszczyzną wyliczał polskich autorów, których czasami z ojcem czytuje. Żegnając się z towarzystwem, p. Jacquard w następujące o-

dezwał się słowa: "Zapewne panów dziwi, że ukrywam swoje nazwisko. Ciężko i mnie z tem bardzo, ale sam wymierzyłem sobie tę zasłużoną karę. Zaledwie przez pół roku pracowałem w mem życiu dla ojczyzny i dla swoich, będąc w powstaniu. Lepiej byłoby, gdybym był został na placu boju, niż żył tak długo i myślał tylko o sobie, zapomniawszy o obowiązkach, jakie ciążą na mnie względem utraconej ojczyzny. Nie chcąc, by przyszłe pokolenia rzuciły na mnie kamieniem potępienia, sam postanowiłem wykreślić się z listy żyjących Polaków, bo za stary jestem, abym się na co przydał, a majątek zdałem już na synów. W chwili ocknienia starałem się ratować synów, ale było już zapóźno. Może jest jeszcze w nich jaka iskierka polskości, ale ja już rozdmuchać jej nie potrafię. Może nowe czasy przypomną im ojczyznę rodzica, może dla pamięci ojca, który zawsze nad swym czynem zaprzańca boleje i stara się wśród Amerykanów pracować dla swych rodaków, dorzucą oni cegiełkę pod nowy gmach ojczyzny ich duchowej, ale już tego nie dożyję. Jestem straceńcem wraz z kilkoma tymi, co postąpili jak ja, zwątpiwszy we wszystko. Wierzajcie mi, że ani ja, ani inni mnie podobni, nie przypuszczali, że po nas przyjdą nie tak jak my, rozbitki, ale masy ludowe, dla których warto żyć inaczej, by nami nie wzgardziła potomność. Obowiązkiem naszym było stać się pionierami, a myśmy o wszystkiem zapomnieli, myśląc tylko o sobie. Dlatego lepiej, że panowie nie dowiecie się mojego nazwiska i innych mnie podobnych. Lepiej, że czas zapomnienia przejdzie nad naszemi głowami, gdyż raz zwątpiliśmy w zwycięstwo i przegrali, a później zwątpili w przyszłość narodu i o nim zapomnieli. Niech zatem wszyscy o nas zapomną, bo nie dorośliśmy do wielkości zadania, ale karłami się okazali."

Obrazek powyższy jest wystarczającym dowodem wynarodowienia się względnie zamerykanizowania się początkowej emigracyi polskiej. Nie przysposobiła ona realnego gruntu dla przyszłych mas napływowych polskich, ale przysposobiła jak najlepsze dla nich sympatye wśród społeczeństwa amerykańskiego, które z początku witało emigracyę zarobkową polską z otwartemi rękoma. A jakiemi drogami szła ta emigracya chłopska, że się tak wyrażę, jest również godnem zaznaczenia.

W latach od 1820 do 1840 w Stanach Zjednoczonych silna okazała się dążność w kierunku uprzemysłowienia młodej Rzeczypospolitej, która niemal każdy produkt fabryczny sprowadzać musiała z Europy. Przybywało coraz więcej zdolnych przemysłowców, którzy znajdując na miejscu oparcie finansowe, mogli zapoczątkować niejedną gałąź wielkiego przemysłu. Potrzebne maszyny importowano z Anglii i Francyi, ale zabudowania fabryczne trzeba było stawiać na miejscu. I tu właśnie wyłoniła się poważna trudność, gdyż w Stanach Zjednoczonych za mało było murarzy, obeznanych ze stawianiem wysokich kominów fabrycznych. Zwrócono się więc w tej sprawie do fabrykantów europejskich, którzy nawiasem mówiąc, poważne kapitały lokowali w powstające przedsiębiorstwa amerykańskie, a ci dostarczyli murarzy budowniczych Szlązaków, rzecz naturalna Polaków ze Szlązka.

Przybyło ich kilkunastu, a zarabiając świetnie, uznało za stosowne sprowadzić swe rodziny i pozostać na stałe w Ameryce. Ta pierwsza grupa wychodźców zarobkowych nie pozostała bez wpływu na otoczenie, w którem dawniej żyła. Już to dla pochwalenia się, jużto z pobudek faktycznego zadowolenia z pobytu w Ameryce, która obsypywała ją złotem, szły listy do kraju, na Szlązk, nie mające dość słów zachwytu dla Ameryki. Za murarzami więc poszła znaczna garść rzemieślników, a za nią dopiero ruszyła się pierwsza fala wychodźtwa rolnego ludu polskiego, który dużo słysząc o świetnem zarobkowaniu innych, skusił się na złoto.

Pierwsza emigracya włościańska, złożona z Górnoślązaków, przybyła w roku 1857 do Texas. Przybyło ich nie wielu, ale za tą garścią emigrantów włościan, przybyły dalsze gromady. Amerykanie przyjmowali ich z wielką życzliwością, a bywało obdarzali ziemią a nawet funduszami na pierwsze początki. Jednakże polski emigrant ze Szlązka poznawszy miasto, nie rad osiadał na roli, i z licznych gromad, jakie napłynęły do Texas i innych stanów, zaledwie kilka przetrwało do dzisiaj osad polskich. Szlązacy, chociaż rolnicy, zaznajomieni już byli z prze-

mysłem fabrycznym, a ponieważ w ówczesnym czasie przemysł ten coraz większych zaczynał nabierać w Ameryce rozmiarów, więc olbrzymia większość Szlązaków porzucała ziemię i uciekała do miast. To raziło cokolwiek Amerykanów, dopóki nie poznali pracowitego i sumiennego chłopa polskiego, rolnika z zawodu.

Spodobał się on im pod każdym względem, więc postanowili go mieć jak najwięcej, tembardziej, że rąk roboczych był brak wielki, a wartość robotnika polskiego była dobrze już znaną, ze Szlązka bowiem i niemieckich rejonów fabrycznych coraz większe masy polskiego robotnika szły do Ameryki i po miastach poważne już stanowiły grupki. Aby tych sił roboczych mieć jak najwięcej, rozpuszczono setki agentów po Polsce, którzy lud wieśniaczy i rzemieślniczy zaczęli namawiać do wędrówki za ocean, obiecując mu złote góry.

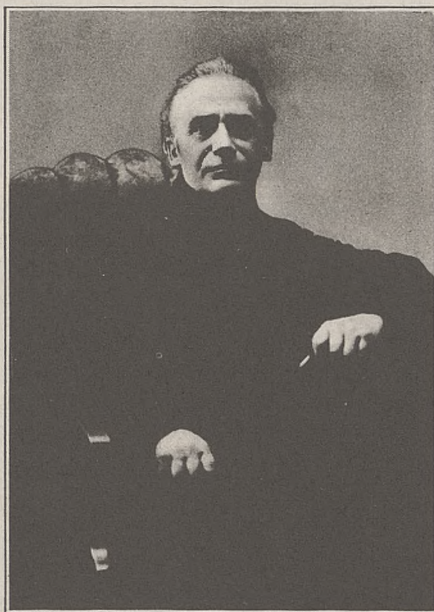
Dziwny nastąpił zbieg okoliczności. Interes fabrykantów amerykańskich i właścicieli przewozowych linii okrętowych zbiegł się tu z interesem ludu polskiego. Właśnie w tych czasach rabunkowa gospodarka rządu austryackiego w Galicyi, który tylko darł skórę z ludności polskiej, ale nic w zamian nie dawał, tak, że kwitnącą i względnie bogatą tę część Polski zubożył całkowicie — dalej ucisk okropny w zaborze rosyjskim i polityka Bismarka wraz z jego prawami majowemi w zaborze pruskim, dokonały tego, że nie tylko lud rolny, ale i rękodzielnicy zaczęli tłumnie wyjeżdżać do Ameryki, bo rządy zaborcze dokładały wszelkich starań, aby Polakom odebrać ostatni kęs chleba, aby ich możliwie najszybciej zniszczyć i całkowicie ujarzmić.

Pierwszym wychodźcom ciężko i trudno było w obcym kraju, ale robotę dostawali łatwo. W miarę jednakże napływu coraz większych mas, stosunki w Ameryce zaczęły się zmieniać dla emigracyi polskiej na gorsze. Względnie dawno a licznie tu osiedli Niemcy, którzy mieli już dosyć czasu dojść do znacznej zamożności i wpływu w poszczególnych osadach i miastach, a nienawidzący z całej duszy Polaków, zabrali się do nich z całą zawziętością. Dopóki emigracya składała się z ludu ślązkiego, poznańskiego lub pruskiego, Niemcy amerykańscy zachowywali się względem niej dosyć przyjaźnie, gdyż emigrant powyższy nie rozumiejąc języka angielskiego, z konieczności wszystko załatwiał u Niemca, którego język znał, z którym od dziecka się stykał. Nienawiść za krzywdy doznane, jaką nosił w sercu, rychło go opuszczała, gdyż po pierwsze Polak prędko przebacza, i zawziętość nie leży w jego naturze, a po drugie stosunki amerykańskie same przez się zmuszały do wytężania myśli i czynu w kierunku przyszłości a przeszłość stawiały poza nawias codziennego trybu życia. Żył więc Polak z zaboru pruskiego z Niemcem dosyć przyjaźnie a nawet wstępował do organizacyj niemieckich i stawał się parafianinem niemieckim. Z biegiem czasu to wspólne pożycie wyrobiło daleko idące zbliżenie. Powstałe pierwsze parafie polskie silnie ciążyły ku Niemcom, księża importowani lub na własną rękę przybyli ze Szlązka przeważnie, stawali się narzędziem dowolnem w ręku silnego już po dyecezyach kleru niemieckiego, a nawet w myśl tego wspólnego pożycia odznaczali się silną dążnością germanizacyjną. Polityka krajowa rzuciła Polaków w ręce niemieckie, a proboszczowie poszczególnych parafii polskich z przekonania i ducha Niemcy, a tylko z nazwiska i parafialnego interesu Polacy, stali się niewzruszonymi poplecznikami politycznych postulatów niemieckich, idąc ławą za partyą demokratyczną, która w ówczesnych czasach była konikiem politycznym niemczyzny w Stanach Zjednoczonych.

Tak się działo w Buffalo, w Cleveland, w Toledo, w Detroit, a zwłaszcza w Chicago. Początkowe parafie polskie stały się twierdzami demokracyi, której podówczas przywodzili Niemcy, a księża polscy po tych parafiach byli wielbicielami wszystkiego, co Niemczyzna niosła ze sobą. Wskutek tego i pożycie polsko-niemieckie w Ameryce było pokojowe.

Było to jednakże w latach 1865 do 1880, po którym to czasie pomiędzy emigracyą polską a niemiecką otwarta zaczęła powstawać wojna. Przedewszystkiem do miast zaczęły napływać coraz potężniejsze fale z rdzennie polskich okolic Wiel. Księstwa Poznańskiego, a także z Galicyi i Królestwa Polskiego, niosąc ze sobą poczucie znacznej odrębności narodowej, a do tego świeżo do-

tknięte krzywdami, doznanemi w kraju ojczystym. Inny charakter narodowy świeżego napływu, rażąco odbijający od potulnego i na pół zgermanizowanego Szlązaka, musiał radykalnie wpłynąć na stosunek polsko-niemiecki w Stanach Zjednoczonych. W dodatku nadchodzące do Ameryki echa bezprawi niemieckich w Europie, wśród Niemców amerykańskich wywoływały nie rumieniec wstydu, ale przeciwnie poklask dla prawa pięści, rozbudzając całą nienawiść, brutalność i pragnienie znęcania się nad słabszym od siebie przeciwnikiem. Nie pozostało to bez skutku. Po fabrykach, zakładach przemysłowych i warsztatach rzemieślniczych powstała walka na dobre, która bardzo często krwawe przybierała rozmiary. Z fabryk przenosiła się ona na ulice miasta, na których pałki, kamienie,a nawet rewolwery poczesną odgrywały rolę. Polacy musieli chodzić większemi gromadami, albowiem w pojedynkę chodzić było niebezpiecznie. Kierownicy fabryk, lub przełożeni poszczególnych departamentów, Niemcy, utrudniali Polakom zarobkowanie, jak mogli. Rzecz naturalna, że nienawiść wzajemna olbrzymiała wskutek tego i dzieliła obie strony na wrogie sobie obozy.



Ś. p. ks. Józef Dąbrowski.

Walka, z początku dla Niemców zwycięska, wkrótce zakończyła się ich porażką. Przedewszystkiem dobry, zdolny a pilny robotnik polski, mimo nienawiści Niemców, dostawał pracę, gdyż taki robotnik dla każdego przedsiębiorstwa przedstawia wielką wartość produkcyjną. Po drugie, w paru latach Polacy tak liczebnie wzrośli, że zaczynać z nimi stawało się dla Niemców bardzo niebezpiecznem. Kilka tego rodzaju doświadczeń przy starciach czynnych przekonało ich, że lepiej nie zaczepiać Polaka.

O ile jednakże naprawiły się z latami stosunki na zewnątrz, o tyle pogorszyły na wewnątrz kół i osad polskich. Powodem bezpośrednim stali się ci sami księża, którzy z jednej strony położywszy znaczne zasługi przy organizowaniu i utrzymaniu parafij, tych pierwszych poważnych zrzeszeń polskich na obczyźnie, z drugiej nie chcieli zrozumieć nowych prądów, jakie owładnęły masami. Pod wpływem bowiem ustawicznie napływających świeżych tysięcy emigrantów, którzy z każdym rokiem niosły ze sobą coraz silniejsze poczucie narodowe, i lud polski, dawniej tu osiadły, a ciążący raczej ku Niemcom, poczuł swą odrębność i stał się polskim, a nawet na wskroś polskim. W miarę wzrastającego w nim poczucia narodowego, wzrastały i jego pragnienia w kierunku patryotycznym. Pisma polskie, które w każdej większej osadzie zaczęły wychodzić, jeszcze bardziej podnosiły to uczucie, wydawane bowiem w duchu narodowym, rozbudziły śpiącą na dnie każdej polskiej duszy tęsknicę ku ideałom, które poznawać, kochać i ku nim zdążać uczyły masy ludu polskiego.

Zwiększająca się coraz bardziej fala emigracyjna, wyrzucała na brzeg amerykański oprócz zastępów siermiężnej rzeszy, sporo inteligencyi różnych stopni i różnych poglądów. Pewna część tych inteligentów nie znalazłszy dla siebie odpowiedniego punktu oparcia, zeszła na bezdroża, żyjąc sprytem oszusta, naiwnością dobrodusznych, którzy ufając surdutowcom, jak ich powszechnie nazywano, wpadali w zręcznie nastawione przez nich sidła. Druga jednakże część inteligencyi jęła się pracy, wypłynęła na powierzchnię, a wsparta tęgim i zdrowym elementem polskiej klasy rzemieślniczej, pod względem narodowym uświadomionej należycie, weszła w masy polskie i zaczęła w nich działać.

Niemal równocześnie do osad polskich rozrzuconych po wielkich obszarach Stanów Zjednoczonych coraz liczniej napływać zaczęli księża polscy, których brak wielki wszędzie dawał się odczuwać.

Zygmunt Krasiński

ZNÓW WRACA WIOSNA

Znów wraca wiosna — przeszłe wraca życie
I dawna radość i dawna podnieta:
Patrz, w śnie pamięci razem po błękicie
Znów płyniem w stronę Mola di Gaeta!

Rankiem schodzimy w cytrynne ogrody
I, przechadzając się nad morza tonią,
Róż i cyprysów upojeni wonią,
Dziękujem Bogu za świat ten urody.

Każda nam chwila dobra i szczęśliwa,
Milczenie nawet nam pieśnią, co śpiewa.
Z skał zstępujemy na wodne lazury
I z barki naszej znów patrzym na góry.

I, patrząc, pijem z przestrzeni pucharu
Złotym powietrzem gór błękitnych zdrowie;
Słońca promieńmi wieńczeni na głowie,
Pierś poim w świetle i falach nektaru.

W wieczór wracamy pod rozkwitłe gaje;
Po nich błyszczące w rój wiją się muszki
Jakby róż śpiących uwolnione duszki...
Na zmierzchnim niebie Mars i Wenus wstaje.

Mars krwawą zbroją błyska i czerwieni
I z giermkiem-gwiazdką sunie się w przestrzeni,
Aż księżyc wejdzie i czarem spojrzenia
Świat dnia przebłędni w świat złoty marzenia.

Ty, patrząc w górę, pytasz się żałośnie:
„Duch nasz na miarę bezmiaru czy wzrośnie
Czy będziem kiedy, my smutni, wiedzieli,
Jacy mieszkają po gwiazdach anieli?"

Skrą ciekawości czoło twoje płonie —
Wspinasz się wzrokiem w eterowe tonie...
I drżysz, i pragniesz — to ufna — namiętna,
To znów w zwątpieniu, trwóg pełna i smętna.

A ja cię pieśnią kołyszę nadziei,
Ja ci zwiastuję lot ducha przepłynny
Przez ciąg podstępnych wszechświata kolei,
I świat nareszcie wieczny — Boży — inny.

O, pojmiesz kiedyś i obaczysz okiem,
Jak wieczność płynie tych fal — gwiazd potokiem;
Z słońca na słońce, coraz wyżej trzeba
Tym, co umarli, wdzierać się do nieba!

Bóg, co nas stworzył, stworzył nas na bogi
I stopom naszym poddał mleczne drogi —
Duch, co nam dzisiaj już tu w piersiach gości,
Nie duchem ziemi, lecz nieskończoności!

I przez te wschody świata diamentowe
Wstępować będziesz na królestwo nowe...

HODOWLA KARTOFLI W AMERYCE



Przy pracach hodowlanych w Kalifornii używa się traktorów.

Pakowanie kartofli odbywa się maszynowo.



Święci i Błogosławieni polscy

My Polacy, których cechą charakterystyczną jest gorący temperament i wielka pobożność, posiadaliśmy nie tylko pełnych zapału bojowników na licznych polach bitew za Wiarę św. i Ojczyznę, ale i świętym ogniem miłości Bożej płonących mężów i niewiasty. Jednak nie umieliśmy promienistą glorią sławy otaczać swoich wybrańców, nadawać ich szlachetnym uczynkom wszechświatowego rozgłosu. Stąd tak małą stosunkowo liczbę Polaków beatyfikowanych notują spisy Świętych w Rzymie. Niewątpliwie o wiele większa ich liczba zapisana jest w księgach niebieskich, gdzie oku Boskiemu nie uszła żadna cicha zasługa, ani, pominięte uwagą otoczenia, bohaterstwo duszy i serca.

Świetlanemu pocztowi znanych i nieznanych Świętych Polskich przewodniczy Matka Boska Częstochowska, czczona w całej Polsce pod postacią kilkudziesięciu cudownych, koronowanych obrazów i posągów.

Pierwszymi świętymi, o których wspominają kroniki, to są ci legendarni aniołowie, którzy przyszli w gościnę do kołodzieja Piasta na postrzyżyny synka jego — Ziemowita. Byli nimi prawdopodobnie dwaj misjonarze słowiańscy, św. Cyryl i św. Metody.

Pierwszym już historycznym świętym w Polsce chrześcijańskiej, to *św. Wojciech,* zamordowany przez dzikich Prusów, którego ciało król Bolesław Chrobry na wagę srebra wykupiwszy, umieścił w pięknym sarkofagu w katedrze gnieźnieńskiej. Za Bolesława Chrobrego wsławiło się jeszcze śmiercią męczeńską pięciu świętych pustelników, tak zwanych *Pięciu Braci Polskich,* oraz z tego zarania dziejów naszych zachowało się wspomnienie błogosławionego biskupa-pustelnika — *Bogumiła.* Starał się on zorganizować wielką pracę misyjną wśród sąsiednich pogańskich Prusów, co gdyby zostało uskutecznione, — wywarłoby wielki wpływ na całe dzieje Polski, bo wówczas ks. Konrad Mazowiecki nie sprowadziłby Krzyżaków.



Bolesław Chrobry wita św. **Wojciecha** przybywającego do Gniezna

Trzecim świętym biskupem polskim był św. *Stanisław Szczepanowski,* biskup krakowski, obrany za patrona Polski, który według podania wskrzesił Piotrowina, aby dał świadectwo prawdzie. Został on zamordowany przez bohaterskiego, lecz zapalczywego króla Bolesława Śmiałego, którego upominał za rozwiązłe życie.

W następnych wiekach promienna aureola świętych dziwnie misternie splata się ze złotymi koronami królowych naszych. *Święta Jadwiga,* żona Henryka Brodatego, księcia śląskiego, a matka Henryka Pobożnego, który zginął w bitwie z Tatarami pod Legnicą, zajaśniała cnotą wielkiego miłosierdzia względem ubogich, a według legendy, na znak widomej łaski Boskiej, jałmużna, którą niosła w płaszczu, zamieniła się w wiązankę wonnych róż.

Święte powinowactwo krwi i dusz łączy w tym czasie tron polski z węgierskim. Córka błogosławionej Grzymisławy, żony Leszka Białego, a matki Bolesława Wstydliwego — *św. Salomea,* jest żoną księcia węgierskiego, a następnie halickiego — Kolomana, a owdowiawszy nie chce być nawet ksienią w założonym przez siebie klasztorze i ostatnie lata życia spędza samotnie w pustelni na twardym, w skale wykutym, łożu, które do dziś dnia oglądać można koło Ogrodzieńca, nad rzeką Prądnikiem, w Kieleckim.



Święta Jadwiga Śląska
wspiera ubogich i dogląda chorych

Bratowa jej, królewna węgierska, a polska królowa — *św. Kinga* sprowadza cudownie sól z Węgier do Polski, a po śmierci męża dokonuje życia w ufundowanym przez się klasztorze w Nowym Sączu.

Jej siostra — *św. Jolanta,* żona księcia wielkopolskiego, Bolesława Pobożnego, a następnie ksienia Klarysek w Gnieźnie, łączy w sobie szczytne zadania matki, żony i działaczki społecznej, które spina klamrą nieustającej modlitwy. Wszystkie one cztery stanowią mistyczny wieniec róż i lilij Bożych.

W tych bogobojnych czasach zajaśniał też cnotami i nauką kronikarz i biskup krakowski — *Wincenty Kadłubek;* zaś zacny i możny ród Odrowążów wzbogacił kraj nasz całym szeregiem wielkich świętych. Choć nie kanonizowany, ale za świętego uważany był ogólnie, biskup krakowski i kanclerz królewski — *Iwo Odrowąż.* Wielką świętością zajaśniał bratanek jego

Daty imion Świętych i Błogosławionych polskich

21 luty — *bł Andrzej Bobola m.*, kapłan T. J., w Janowie na Podlasiu, umarł śmiercią męczeńską w 1658 roku

4 marca — *św. Kazimierz w.*, królewicz, umarł w Wilnie 1434 roku.

8 marca — *bł. Wincenty Kadłubek w.*, biskup krakowski, Cysters w Jędrzejowie, umarł 1223 roku.

15 marca — *bł. Klemens Dworzak w.*, Redemptorysta w Wiedniu, umarł 1820 roku.

17 marca — *bł. Jan Sarkander m.*, kapłan w Skoczowie na Śląsku, umęczony w r. 1620.

23 kwietnia — *święty Wojciech m.*, biskup praski, Benedyktyn, poniósł śmierć męczeńską w 997 r.

8 maja — *św. Stanisław m,* biskup krakowski, umarł 1079 r.

1 czerwca — *bł. Jakób Strzemię w.*, arcybiskup lwowski, Franciszkanin, umarł 1409 r.

2 czerwca — *bł. Sadok* z towarzyszami mm., Dominikanie w Sandomierzu, umarł 1260 r.

10 czerwca — *bł. Bogumił,* arcybiskup gnieźnieński, umarł 1182 r.

15 czerwca — *bł. Jolanta,* Klaryska w Gnieźnie, umarła 1298 r.

16 lipca — *św. Jędrzej Żórawek w.*, umarł około 1011 r. i *Benedykt,* pustelnik, umarł około 1014 r. (Pierwsi dwaj Polacy, którzy byli kanonizowani.)

18 lipca — *bł. Szymon z Lipnicy w.*, Bernardyn w Krakowie na Stradomiu, umarł 1482 r.

20 lipca — *bł. Czesław w.*, Dominikanin we Wrocławiu, umarł 1242 roku.

24 lipca — *bł. Kunegunda,* Klaryska w Starym Sączu, umarła 1292 r.

17 sierpnia — *św. Jacek Odrowąż w.*, Dominikanin w Krakowie, umarł 1257 r.

1 września — *bł. Bronisława,* Norbertanka w Krakowie, umarła 1259 r.

7 września — *bł. Melchior Grodziecki m.*, kapłan T. J., umarł 1619 r.

25 września — *bł. Władysław z Gielnowa w.*, Bernardyn w Warszawie, umarł 1505 r.

1 października — *bł. Jan z Dukli w*, umarł we Lwowie 1484 r.

16 października — *św. Jadwiga,* księżna śląska, matka Henryka Pobożnego (zginął pod Legnicą w roku 1241), założyła klasztor cysterski w Trzebnicy, umarła 1243 r., Patronka Śląska.

20 października — *św. Jan Kanty w.*, kapłan i profesor Uniw. Jagiellońskiego w Krakowie, umarł 1473 r.

12 listopada — *św. Benedykt, Jan, Mateusz, Izaak Chrystian* mm., Kameduli, pustelnicy, umarli 1005 roku

13 listopada — *św. Jan Kostka w.*, nowicjusz Tow. Jez. w Rzymie, umarł 1568 r.

14 listopada — *św. Józefat Kuncewicz m.*, Bazylianin arcybiskup połocki w Witebsku, umęczony 1623 r.

17 listopada — *bł. Salomea,* Klaryska w Krakowie, umarła 1268 r.



Święta Kinga
sprowadza sól z Węgier do Polski

Hiacynt, zwany *św. Jackiem,* pierwszy Dominikanin polski i założyciel tego zakonu w Polsce, a niestrudzony rycerz Maryi i nieustraszony misjonarz.

Apostołując na Litwie, Rusi i w krajach nadbałtyckich, rozszerzając owczarnię Pańską — rzuca on jednocześnie podwaliny pod przyszły wielki gmach potęgi polskiej i przygotowuje szlaki, po których się ona rozszerzy. Św. Jacek wprowadza też do Polski modlitwę różańca świętego oraz włoskie orzechy, zwane od jego imienia, jackami.

Krewnym jego i towarzyszem był Dominikanin, *św. Czesław,* przeor klasztoru we Wrocławiu — wielki kaznodzieja i cudotwórca, który przepowiedział najazd Tatarów, a gdy nadeszli i oblegali miasto, mocą modlitwy odrzucił ich i zmusił do cofnięcia się w popłochu. Krewniaczką św. Jacka była też *św. Bronisława,* zakonnica sióstr Norbertanek na Zwierzyńcu pod Krakowem, czczona jako patronka dobrej sławy. — Duchowymi synami św. Jacka było też *Czterdziestu Dziewięciu Męczenników-Dominikanów,* z przeorem *Sadokiem* na czele,



Czterdziestu Dziewięciu Męczenników
czyta zapowiedź swego męczeństwa

których wymordowali Tatarzy w kościele św. Jakuba w Sandomierzu. Zapowiedź tej męki, przeczytali rano, ognistymi literami wypisaną w księdze żywotów świętych.

Doczekał się wkrótce kanonizacji św. Jan Kanty — profesor Wszechnicy Jagiellońskiej, którego każdy wykład był nauką świętości. Jemu to zawdzięcza Polska, że modli się za nią świat cały, gdyż papież Klemens XIII w bulli



Św. Jan Kanty w gronie żaków krakowskich

kanonizacyjnej wstawił na dzień jego święta modlitwę za Polskę.

Następnym świętym tego okresu jest królewicz *Kazimierz Jagiellończyk,* patron Litwy, któremu przypisują ułożenie pieśni łacińskiej na cześć Matki Boskiej: „Omni die — dic Mariae" — drugim zaś świętym młodzieniaszkiem

Złote Myśli

Jeśli sam siebie doskonale zwyciężysz, łatwiej zwyciężysz wszystko.

Wielkie umysły rządzą światem, wielkie serca go zbawiają.

Rozpacz jest łatwiejsza od spokoju.
(St. Brzozowski)

Kto pochlebstwem gardzi i sam nie schlebia, ten tylko ze wspaniałą dumą i z rzeczywistą wielkością będzie mógł odtrącić od siebie tyranię, gwałt i podłość przemocy. (Żeromski)



Królewicz Kazimierz
modli się nocą u wrót Katedry wileńskiej

naszym, to ukochany patron młodzieży polskiej — św. *Stanisław Kostka.* Dzieciństwo jego od najmłodszych lat otacza aureola świętości i choć ojciec jego, dumny magnat, o wielkiej karierze marzy dla swych synów, nie dla doczesnych zaszczytów przeznacza Bóg niebiańską duszyczkę małego Stasia. „Do większych rzeczy jestem stworzony" — mówi on sam o sobie. Więc w sekrecie przed rodziną, która była przeciwna jego powołaniu, pieszo, o żebraczym chlebie, udaje się on do Rzymu, gdzie zostaje przyjęty do od niedawna istniejącego zakonu Jezuitów. Urok jego ujmującej postaci i delikatnego obejścia jedna mu serca całego otoczenia. Niedługo jednak ojcowie i bracia cieszą się obecnością cudownego chłopięcia. Po paru miesiącach, w sam dzień Wniebowzięcia Matki Bożej — 15 sierpnia o świcie umiera, jak to przepowiedział sobie i o co gorliwie się modlił. „Gotowe serce moje, gotowe" — to są jego ostatnie słowa. I anioł odleciał do Nieba, a cały Rzym z naręczami kwiecia biegnie złożyć hołd u stóp „świętego, małego Polaka" i rozrywa strzępki odzieży jego, jako relikwię.



Św. Stanisław Kostka
ukazuje się nad polem bitwy pod Chocinem

Patroném Unii stał się biskup unicki *Jozefat Kuncewicz,* zamordowany przez dyzunitów. Otaczał on swą opieką bohaterskich unitów, którzy dzięki niemu zdobywali siłę do wytrwania w walce z potężnym caratem, chcącym narzucić im prawosławie.

Wśród świętych z połowy XVII w. najbardziej znanym i czczonym jest *Andrzej Bobola,* Jezuita, który całe swe życie spędził jako misjonarz na Podlesiu i został tam w okrutny sposób umęczony przez kozaków. Uważany on jest za drugiego patrona Polski, a to ze względu na przepowiednię Jej wskrzeszenia, uczynioną w



Św. Andrzej Bobola
przepowiada wielką wojnę i wskrzeszenie Polski

1817 roku za pośrednictwem ks. Korzenieckiego, Dominikanina z Wilna.

Zjawiwszy się w jego celi, jako widmo, ukazał mu przez okno wizję pola bitwy, na którym walczyły z zaciekłością narody Europy i rzekł: „Kiedy ludzie doczekają się takiej wojny, za przywróceniem pokoju nastąpi wskrzeszenie Polski, a ja zostanę uznany Jej głównym patronem". Przepowiednia ta przez sto lat niewoli krzepiła naród polski.

* * *

Prócz tych Świętych i Błogosławionych, wielu jeszcze innych naszych Rodaków i Rodaczek w różnych czasach prowadziło żywot świątobliwy. Choć z pewnością znajdują się u tronu Bożego — do uznania ich za godnych publicznej czci na ziemi potrzeba specjalnych znaków z nieba, to znaczy cudów uczynionych przez Boga za ich wstawiennictwem. — W tej chwili, w Rzymie, u Stolicy Apostolskiej czynione są starania o uznanie za Świętych lub Błogosławionych kilku naszych Rodaków. Oto oni:

Królowa Jadwiga, żona Władysława Jagiełły. Za jej przyczyną w roku 1387 Litwa przy-

jęła chrzest i wiarę katolicką. Dla sprawy Bożej zrezygnowała z małżeństwa z Wilhelmem, którego kochała, a poślubiła Jagiełłę, by i jego i cały naród litewski zdobyć dla Chrystusa.

Adam Chmielowski, artysta-malarz, bojownik o wolność w czasie powstań. Porzucił świat, sławę i wygodne życie i jako *brat Albert* poświęcił się biednym, opuszczonym, chorym i bezdomnym. Pozostał z nimi do końca życia, by w nich służyć Chrystusowi. Zmarł w roku 1916.

Aniela Salawa, służąca w Krakowie. Zasłynęła wielką pobożnością i poświęceniem się dla bliźnich, zwłaszcza dla chorych. Zmarła w opinii świętości w roku 1922.



Królowa Jadwiga

Ojciec Maksymilian Kolbe, franciszkanin, wielki czciciel Marii Niepokalanej. Apostoł nowoczesny przez prasę katolicką, w skali światowej. Działalność swą prowadził w Polsce i Japonii. Dzięki niemu powstaje pod Warszawą wielki ośrodek propagandy katolickiej — Niepokalanów. Uwięziony przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, dobrowolnie idzie na śmierć wzamian za wyznaczonego na śmierć ojca rodziny. Zginął śmiercią głodową zamknięty w bunkrze.

Wszyscy ci Święci, Błogosławieni i ludzie bogobojni, przez zaparcie się siebie i służbę dla Boga i bliźnich stali się bohaterami, przynoszącymi chlubę Kościołowi i Ojczyźnie. U tronu Bożego zażywają dziś chwały wiecznej i wstawiają się za nami, gdy ich o to prosimy. Imiona ich nadają rodzice polscy swym dzieciom, aby oni im patronowali z nieba i przykładem swego życia im przyświecali.

Złote Myśli

Jako obręcz utrzymuje beczkę w całości, tak zgoda trzyma królestwa. (Ks. Skarga.)

Gdy rzeczy znalezionej nie oddasz właścicielowi, to jakbyś ją ukradł. (Św. Augustyn.)

Bez pracy nie ma odpocznienia — bez walki nie ma zwycięstwa. (Św. Tomasz z Akwinu.)

Polacy mimo męstwa naród płochy. Wytrwałości nie ma, zabawę woli, niż pracę, życie sobie niewiele ceni. Dać je w chwili zapału, poświęcić majątek — to u nich łatwo. Fantazji dużo, ale gdy się na słowa wyczerpią, do czynu ochoty i sił brak. Sekretu nie zachowa; mówić dużo lubi, czynić mało. (Król Stefan Batory.)

Kto występnym przebacza, ten niewinnych będzie kiedyś karał. (Słowacki.)

Bo cierpliwością, tą panią niedoli, gmach nasz stworzymy z niczego powoli. (Zygmunt Krasiński.)

Indywidualność narodowa podatną być musi zmianom i przekształceniom już przez to samo, że zmieniają się i przekształcają warunki fizyczne zamieszkiwanego przez nią punktu ziemi, a wychowanie historyczne, które otrzymuje, zmienia też, przekształca i rozmnaża psychiczne jej właściwości. (Eliza Orzeszkowa)

Spory nie trwałyby długo, gdyby brak słuszności był tylko po jednej stronie. (La Rochefoucauld)

Małe dobro wielkiego zła nie naprawi, a małe zło wielkie dobro zepsuje. Garścią piołunu zepsujesz beczkę dobrego napoju. (A. M. Fredro.)

Nieuczciwy i zły człowiek nie cierpi uczciwości drugich. (Szekspir.)

Próżniak jest niepożytecznym ciężarem i szkodliwym pasożytem, który pożytecznym roślinom soki zabiera. Próżniak zawsze je chleb cudzy, bo tylko pracą na własny chleb się zarabia. (Sailer.)

Czas i cierpliwość zamieniają liść morwy w jedwab. (Przysłowie wschodnie.)

Znam kogoś, kto ma więcej rozumu, niż Napoleon, Wolter i wszyscy ministrowie — jest to opinia publiczna. (Talleyrand.)

Nigdy żadna wojna nie była dobrą, ani żaden pokój złym. (Franklin.)

Wszystko na świecie zależne jest od woli. (Diszachi)

PIĘKNO MIAST AMERYKAŃSKICH



Widok Nowego Yorku z nad East River.

Gmach "Merchandise Mart" w Chicago nad rzeką Chicago w nocy.

Jan Kochanowski

P I E Ś Ń

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, których nie masz miary?

Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem nie pragniesz: bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.

Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad to przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotymi gwiazdami ślicznie uhaftował.

Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznymi.

Za Twoim rozkazaniem w brzegach morze stoi
A zamierzonych granic przekroczyć się boi.

Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki Wiosna rodzi;
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu Lato chodzi;

Wino Jesień i jabłka rozmaite dawa;
Potem do gotowego gnuśna Zima wstawa.

Z Twej łaski nocna rosa na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie.

Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności,
A Ty każdego karmisz z Twej szczodrobliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.

Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi,
Jeno zawżdy niech będziem pod skrzydłami Twymi!

ARCYDZIEŁA SZTUKI W AMERYCE



Dzieła Rubensa i Van Dyck'a w galerii Muzeum Sztuki w New Yorku.

W galerii Muzeum Sztuki w New Yorku widnieje obraz Caravaggio przedstawiający muzykantów.

ZABAWA WE FRENOLOGIĘ

Napisał A. W.

OBSERWUJĄC dokładnie kształt czaszki jakiegoś człowieka oraz rysy jego twarzy, możemy wyrobić sobie zdanie często bardzo trafne o jego charakterze i usposobieniu.

Spróbujmy zabawić się we frenologa i fizjognomistę, aby się przekonać, czy nas obserwacje nie zawiodły.

KSZTAŁT CZASZKI

Zaczniemy od kształtu czaszki. Uważać musimy, aby nas gęstość czupryny nie zwiodła. Jeżeli więc czaszka pochyla się ku tyłowi i tworzy spadzistość, a nie jest okrągła jak kula wskazuje na brak koncentracji. Jeżeli przy tym mózg i móżdżek są silnie rozwinięte, dowodzi to wielkiej uczuciowości i wrażliwości. Przy takiej budowie czaszki silny kark daje pewność sprawności fizycznej.

Głowa o bardzo szerokiej czaszce. to dowód utalentowania, genialności. Czaszka zaś okrągła jak kula mówi o dobroduszności, łagodności, a często i jowialności.

Głowa o czaszce kwadratowej znamionuje pedanterię, zamiłowanie porządku, drobiazgowość. Czaszka wydłużona, ku górze zwężona, doskonałą pamięć przy braku silnej woli i chwiejność.

CO MÓWI LINIA CZOŁA

Przy obserwacji profilu bardzo ważną jest linia czoła. Jeżeli czoło jest wypukłe, sklepione wyraźnie nad oczami, jest oznaką uczuciowości (przede wszystkim u kobiet), skłonności do afektacji przy nastawieniu romantycznym. Prosta i szlachetna linia czoła zdradza jasny i zrównoważony sposób myślenia.

Ludzie o silnie zarysowanych brwiach, które przecinają czoło, to świetni, niezwykle bystrzy obserwatorzy. Jeżeli przechyla się łagodnie ku tyłowi, znamionuje impulsywność, szybkość decyzji i przedsiębiorczość. Ludzie o takim właśnie czole potrafią wyzyskać dla siebie jak najlepsze koniunktury i szybko przyzwyczajają się do nowych warunków i zmian.



Łatwe do prowadzenia dziecko, harmonijna linia czoła wskazuje na prostotę i łagodność. Dziecko o takiej budowie pozwala sobą kierować i wpływać na siebie. Nadmierna koncentracja i spokój graniczący z powolnością. Wiele łagodności i delikatności.



Głowa chłopca trudnego do wychowania. Charakter samolubny. Czaszka bardzo wypukła wykazuje upór i złośliwość. Typ taki należy w młodości przełamać, aby nie przysparzał trosk. Trzeba wiele stanowczości w wychowaniu.



Typ wybitnie przestępczy. Wąska, do tyłu cofnięta czaszka, niskie czoło, szeroki nos i silna broda wykazują nieopanowaną namiętność i silnie rozwinięte instynkty.



Głowa i twarz człowieka wyjątkowo niepraktycznego. Linie graniczne głowy i twarzy są zbyt bliskie siebie i nieznacznie tylko zarysowane. Ludzie o takiej czaszce uciekają od rzeczywistości, lubują się w marzeniach, boją się przeciwności, ale są dobrzy i łagodni. Łatwo ulegają wpływom.



Silna czaszka, twarz wysunięta nadmiernie i ostro zarysowana broda wskazują na człowieka silnego o wybitnie despotycznym charakterze. Wyjątkowa energia, upór, przedsiębiorczość. Słowem człowiek czynu.



Typowa głowa człowieka słabej woli, mało skoncentrowanego. Uczuciowość i intelekt równoważą się. Łagodność i powolność — oto główne cechy.



Człowiek o takiej budowie bywa często (o ironio!) zdobywcą losu. Silny, krótki kark wskazuje na ogromną siłę fizyczną ale i na brutalność. Ruchliwość, praktyczność, przedsiębiorczość to cechy zasadnicze tego typu.



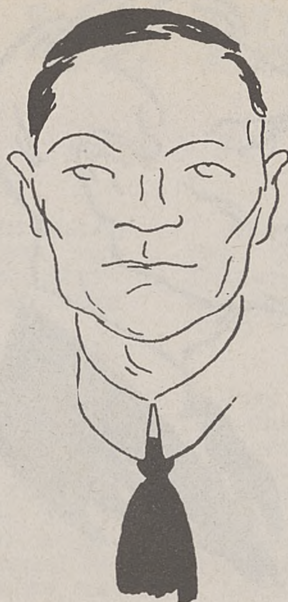
Uduchowniona twarz kobieca z szlachetnie wygiętą szyją. Życie duchowe silnie rozwinięte. Marzycielskość, łagodność i dobroć uzupełniają się.



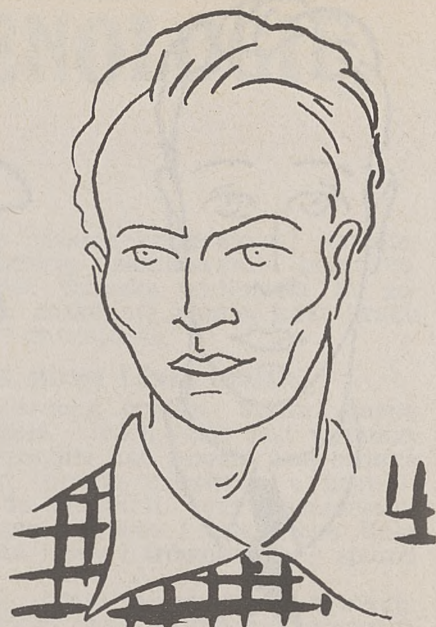
Typ kobiety energicznej, brutalnej, popędliwej, materialistycznej i upartej. Silna zmysłowość. Typ ten potrafi tyranizować innych i nie poddaje się nigdy, chcąc zawsze panować nad otoczeniem.



Kobieta zimna, wyzbyta uczuciowości, skąpa, złośliwa i niemiła.



Głowa człowieka harmonijnego, praktycznego, inteligentnego. Wie, czego chce i zdobywa łatwo. Lubi wygodnie żyć i otaczać się zbytkiem przy wielkiej oszczędności.



Głowa artysty. Harmonijne rysy znamionują czystość charakteru, wybitne zdolności i niepraktyczność życiową. Nieco neurastenii i uporu.

Ludzie o bardzo silnie rozwiniętym czole odznaczają się brakiem poczucia rzeczywistości, nie potrafią się nagiąć do trudności i przeciwności losu. Sposób ich myślenia jest bardziej abstrakcyjny aniżeli konkretny. Trudno przebywają rozczarowania, często są zgorzkniali i melancholijni.

WYMOWA OCZU

Najwymowniejsze z całej twarzy to oczy. Nie potrzeba być specjalnie bystrym obserwatorem, aby z wyrazu oczu wyczytać usposobienie, a nawet charakter człowieka. Istnieje jednak kilka cech charakterystycznych nie tyle w wyrazie, ile w rozmieszczeniu oczu, które warto zapamiętać.

Oczy zrośnięte w kącikach znamionują ostrożność, wstrzemięźliwość i bojaźliwość. Oczy, które przy uśmiechu wznoszą się silnie ku górze, charakteryzują zawsze człowieka złośliwego. Oczy wielkie i czyste znamionują człowieka szczerego i ofiarnego. Oczy rozstawione natomiast mówią o usposobieniu materialistycznym człowieka, oczy bardzo zbliżone do siebie o fanatyźmie.

ZNACZENIE NOSA WE FRENOLOGII

Nawet kształt nosa daje możliwość ciekawych obserwacji. Nos mały w pełnej, pucołowatej twarzy wskazuje na osobę lubiącą wygody, skłonność do objadania się. Nosek mały, nieco zadarty ciekawość, filuterność i wesołość. Wielki zaokrąglony nos wskazuje chwiejność, brak wewnętrznej równowagi. Długi i cienki nos znamionuje złośliwość, skąpstwo, chytrość, i wścibstwo. Nosy proste, foremne mają osoby zrównoważone, cierpliwe, choć nieraz wybuchowe. Im bardziej zresztą nos jest rozwinięty, tym dobitniej wykazuje indywidualność danego osobnika.

USTA

Jakżeż rozmaite są kształty warg ludzkich. Można śmiało powiedzieć, że nie napotka się dwojga ludzi o takim samym wykroju warg. Tak samo niemal wymowne jak oczy są usta. Przypatrzmy się im dokładnie. Kobiety o małych, wąskich ustach są złośliwe i skłonne do kłótni. Usta drobne, lecz pełne mają osoby dobre, wesołe o łagodnym usposobieniu. Usta grube, mięsiste wykazują brak równowagi i opanowania. Usta ostro zarysowane z kącikami jakby wyżłobionymi, to uparciuchy. Kąciki ust opuszczone mają histerycy.

Usta wypukłe i kształtne zdradzają temperament zmysłowy. Wargi obwisłe ludzi nieporządnych i żarłoków.

KSZTAŁT BRODY — MIARĄ SIŁY

Twarz bez silnie zarysowanej brody nie posiada wyraźnego charakteru. Broda silna, kwadratowa, wysunięta oznacza upór, silną wolę i przedsiębiorczy charakter. Broda łagodna, nikła — chwiejność, dobroć i łagodność. Kobiety o silnie wystającej brodzie to egoistki, samowolne i despotyczne.

Pierwsze "Virtuti Militari"

Nie przebrzmiały jeszcze radosne echa Konstytucji Majowej, kiedy nad południową granicą Rzplitej zaczęły się gromadzić chmury.

W odpowiedzi na patriotyczny odruch zdrowej części społeczeństwa polskiego, jakim były uchwały sejmu czteroletniego, grupa malkontentów zawiązała konfederację w Targowicy, mającą na celu obalenie nowej Konstytucji. Za plecami Targowicy stanęła silna armia rosyjska: 60,000 korpus Kachowskiego, wracający ze zwycięzkiej kampanii krymskiej.

Armia polska, po uchwałach kwietniowych "doprowadzona do skutku i zupełności" na papierze 100 tysięczna, nie liczyła w praktyce więcej jak 20 tysięcy źle uzbrojonego, młodego, niedoświadczonego żołnierza. Tej młodej armii przypadł w udziale obowiązek obrony Konstytucji.

Znamy przebieg kampanii.

Ustawiczny odwrót, wśród bohaterskich walk z przeważającymi siłami i ostateczna przegrana bez rozstrzygającej bitwy na rozkaz króla, podpisującego przystąpienie do konfederacji targowickiej.

Krótka ta wojna zapisała jednak złotymi zgłoskami bohaterstwo żołnierza — Zieleńce Ks. Józefa Poniatowskiego i Dubienkę Kościuszki.

Wojna ta wreszcie pozostawiła nam w spuściźnie najpiękniejsze odznaczenie bojowe "Virtuti Militari".

Właśnie po bitwie pod Zieleńcami przesyła król naczelnemu wodzowi 20 złotych krzyżów, "za tę pierwszą od króla Jana batalię wygraną przez samych Polaków".

Nie długim życiem cieszyły się pierwsze odznaczenia.

Już uniwersałem z lipca 1792 r. generalność targowicka uznała odznaczenie "za czcze i niebywałe" a "jeśliby kto się takowe nosić ważył — in capacitate et muniorum sądzony być ma".

— Chociaż wojsko zaprotestowało energicznie, przemoc Targowicy, poparta bagnetami rosyjskimi, utrzymała zakaz w mocy.

Ks. Józef, pierwszy odznaczony, po otrzymaniu na własne żądanie — pełnej dymisji z wojska polskiego, wyjeżdża do Wiednia i jako najpiękniejsze odznaczenie, nosi publicznie pomimo zakazu króla, przy klapie cywilnego surduta "Virtuti Militari". Na żądanie zdjęcia krzyża odpisuje królowi odmownie. "Chyba z życiem" — pisze w liście do króla, "a jeśli kiedy będę miał dzieci, zostawię im ten znak na pamiątkę, jako najpiękniejsze dziedzictwo".

W międzyczasie Konfederacja targowicka gotowała się do uroczystego zniszczenia rękami kata stempla, którym pobito pierwsze krzyże Virtuti. Chaos polityczny, jaki panował w ostatnich latach niepodległości Rzplitej, zgotował jednak inną niespodziankę. Sejm grodzieński (1793) zniósł zakaz targowicki i przywrócił prawo noszenia odznaczenia. Chociaż cały sejm był reżyserowany przez ambasadora rosyjskiego, sprawa krzyża napozór błaha, uszła jego uwagi. — Krzyż, niemiły dla carowej, jako odznaczenie za męstwo w walce przeciwko wojskom rosyjskim, spowodował w następstwie odwołanie posła rosyjskiego i nową nagonkę na odznaczonych.

Pod groźbą represji materialnych w stosunku do matki, oraz na ponowne usilne prośby króla, Ks. Józef odsyła swoje Virtuti wraz z innymi odznaczeniami, między innymi i Orła Białego. Była to demonstracja, którą król czuł się dotknięty, generalność targowicka obrażona.

Dopiero po latach, w okresie Księstwa Warszawskiego, dekretem Komisji Rządzącej z grudnia 1807 r. Virtuti Militari zostaje przywrócone, jako oficjalne odznaczenie bojowe.

Odtąd Ks. Józef nie rozstawał się nigdy z krzyżem. Z Virtuti Militari na piersiach, najbardziej ukochanym przez siebie odznaczeniem, ginie pierwszy bohater Virtuti w nurtach Elstery.

HODOWLA KAWY W BRAZYLII



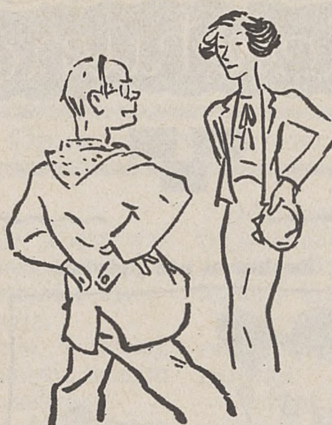
Tak wygląda kawa na drzewie. Około 2,000 ziaren rośnie na jednym drzewie dając 1 funt kawy palonej.

Ziarna kawy muszą być zbierane ręcznie, suszone, czyszczone. Żmudna to praca.

MALARZ POSZUKUJE MODELKI...



Za gruba



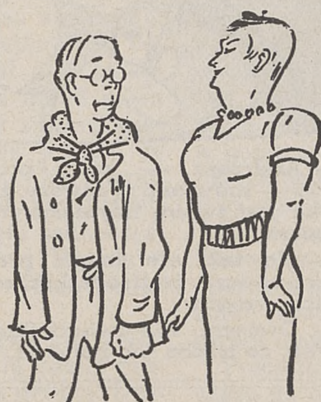
Za cienka



Za mała



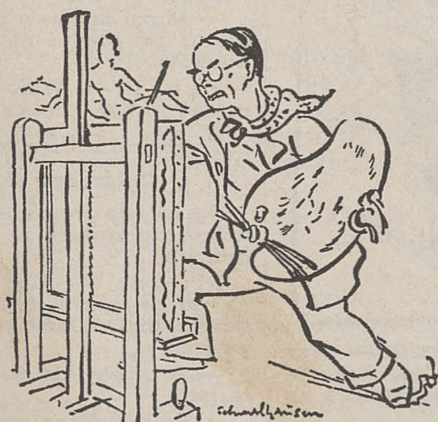
Za wielka



Za szeroka



Ach, to jest właściwa



Teraz powstanie arcydzieło



Oto ono: „Płowowłosa Venus“



Stronica humoru



Rosjanin w Rzymie

W Rzymie przewodnik oprowadza po mieście bogatego Rosjanina.

— Jak się panu podoba ten gmach? — pyta przewodnik.

— Phi... u nas w Moskwie mamy takich tysiące.

— Taak? Możliwe, bo to szpital dla wariatów.

Przed międzynarodowym zlotem harcerzy



Jaś przejęty był bardzo wyjazdem starszego brata na międzynarodowy zlot harcerzy. Pyta go o najróżniejsze sprawy, aż wreszcie rzuca pytanie.

— No dobrze, ale po jakiemu ty będziesz mówił z innymi skautami? Umiesz tylko po polsku i po francusku.

— Jakiż z ciebie frajer! A alfabet Morse'a to co? — odpowiada mądry brat.

Na kolejach reżimowych

Towarzysz podróżny do towarzysza naczelnika stacji:

— Towarzyszu naczelniku! Po cóż dopiero rozkłady jazdy, jeżeli pociągi stale się spóźniają...

— Towarzyszu podróżny! Przecież z tego powodu mamy poczekalnie na dworcach dla wygody podróżnych...

Kochać a nie połykać



— Andrzeju — karci proboszcz — mówiłem ci zawsze, że wódka jest twoim największym wrogiem.

— No tak; ale ksiądz proboszcz naucza, że trzeba kochać swoich wrogów.

— Owszem, nie twierdziłem jednak, że trzeba ich połykać.

Kapelusz



Żona (do męża): — Czy nie świetnie mi w tym kapeluszu. Leży mi jak rękawiczka na ręce.

Mąż: — Wolałbym, ażeby ci pasował jak kapelusz na głowie.

Trzy powody

— Pijesz wódkę?

— Nie piję.

— Dlaczego?

— Dla trzech powodów: po pierwsze doktór mi zabronił; po drugie — przed chwilą wypiłem, a po trzecie — nalej, to... wypiję.

Zamiast składki



Podczas składki na dom dla alkoholików zbliża się do pewnej pani kwestarz i prosi:

— Może łaskawa pani też się czymś przyczyni na dom alkoholików.

Pani: — Weź, pan mego męża!

Oszczędny sługa

Pan (do sługi): — Gdy pójdziesz do miasta to kupisz termometr...

Sługa: — Ależ proszę pana, to nie pora kupować teraz termometr, należy zaczekać do zimy...

— A czemu do zimy? — pyta pan.

— Bo wiadomo przecież, że w lecie termometry idą do góry, ale za to zimą spadają — odpowiada oszczędny sługa.

MIECZYSŁAW CZAPLIC

SZCZEPAN Z MATNI

Opowieść Niesamowita

— No i co teraz będzie?

Przez dłuższą chwilę bezradnie wpatrywał się szofer w niespodziewaną przeszkodę. Splunął wreszcie i zdecydował się wysiąść z samochodu, by zbliska zobaczyć sytuację.

Istotnie przedstawiała się fatalnie. Ni mniej, ni więcej tylko mostek na dość sporym, leśnym strumyku był do fundamentów rozebrany.

O przejechaniu samochodem na drugi brzeg nie mogło absolutnie być mowy.

Z grubych, niekorowanych, sosnowych żerdzi zaporą przegrodzona, z wielką pośrodku, dla naszego wehikułu niezgłębioną przerwą, napróżno pociągała nas i kusiła szosa swą białą, gdzieś w nieskończoność, w głąb ciemnych borów wijącą się wstęgą. Pozostawał nam zatem odwrót sromotny do opuszczonego przed kilku godzinami miasteczka i nocleg w zapluskwionym żydowskim zajeździe. Pewien jestem, że perspektywa spędzenia nocy na karmieniu krwią własną nikczemnych owadów, w tej chwili jak żywa wszystkim nam stanęła jednocześnie przed oczyma. To też pierwsza Wanda z właściwą sobie energją zaczęła obmyślać środki zaradcze.

Twierdziła kategorycznie, że o dwa kilometry wstecz, po prawej stronie zauważyła gdzieś prosto w las spuszczającą się z nasypu dróżkę. Droga ta, wmawiała w nas Wanda, pozwoli nam gdzieś bokiem objechać ten strumyk i da możność znów kilka lub kilkanaście kilometrów za mostkiem zpowrotem wychylić się na szosę.

Nie powrócimy przecież do Warszawy spowodu tak w gruncie rzeczy błahej przyczyny.

Porucznik Wołczarski, zawsze we wszystkiem Wandzie ulegający, natychmiast poparł jej zdanie.

Spróbowałem, zresztą bez wiary w zwycięstwo, stawić krótki opór. Wtrąciłem też skromną tylko uwagę, że niezadługo się ściemni i możemy zabrnąć licho wie dokąd.

Zrobiłem to jednak raczej dla zasady czy sportu, bo i mnie nie nęcił nocleg w brudach kresowej mieściny.

Zakrzyczano mnie jednak natychmiast.

Pojedziemy ostrożnie. Jeśli okaże się, że droga niemożliwa, to się cofniemy. Nie można się znów tak zaraz zgóry wszystkiego obawiać.

Machnąłem ręką i pojechaliśmy na poszukiwanie nowych dróg.

W gruncie rzeczy było mi wszystko jedno, czy będę dziś tu, czy gdzieindziej.

Od tygodnia przecież tłukliśmy się tak we troje samochodem po wschodnich kresach Rzeczypospolitej w poszukiwaniu zwłok mego poległego brata, Kazimierza, rotmistrza ułanów.

Wyprawę zainicjowała i zorganizowała narzeczona ś. p. brata mego, panna Wanda Cierzańska.

Ona też była faktyczną kierowniczką całego przedsięwzięcia.

Zarówno ja, jak i porucznik Wołczarski, przyjaciel i były podkomendny nieboszczyka, obaj, nie wierząc na zasadzie posiadanych przez nas danych w możliwość odnalezienia najmniejszego bodaj śladu od dwóch lat zaginionego bez wieści oficera, dawaliśmy sobą całkowicie powodować, by okazać zrozpaczonej kobiecie dobrą wolę z naszej strony.

Na uczynioną mi propozycję wzięcia udziału w poszukiwaniach porzuciłem natychmiast moich pacjentów i zaofiarowałem do dyspozycji mój czas i samochód.

I oto podnosimy kurz na szosach i traktach, któremi według bardzo problematycznych przypuszczeń mogły się w czasie lipcowego odwrotu cofać resztki, jeszcze za Słuczą rozbitego szwadronu mego brata.

Postanowiłem sobie poświęcić dwa tygodnie czasu na te poszukiwania, i gdyby nie straszny brud, z którym nam tu wypadało na każdym stykać się kroku, wycieczka sama przez się nie pozbawiona była nawet swoistego uroku.

Był zaledwie początek września. Pogoda nagół wymarzona. Towarzystwo niesłychanie miłej, powiem nawet pięknej, choć głęboko smutnej kobiety i zacnego porucznika nie ciężyło mi bynajmniej.

Chcą, bym jechał, to jadę i wieźć się pozwalam dokąd chcą.

To też, gdy szofer odszukał wreszcie wąziutką drożynę, w zwisających gałęziach olbrzymich świerków całkowicie zagubioną, i z trudem sprowadził samochód z wysokiego nasypu szosowego, z całą obojętnością zagłębiłem się w myślach, od miejsca i czasu oderwanych, zdając się całkowicie na wolę i instynkt kierowcy i siedzącego przy nim porucznika.

Mocno zbudowany był mój Cadillac, skoro wtedy, na tych korzeniach nie połamaliśmy go na kawałki. Samochód z coraz większą trudnością przeciskał się wąziutką wśród drzew szczeliną.

Słońce już dobrze musiało pochylić się ku za-

chodowi, gdy z ulgą stwierdziliśmy wreszcie, że drzewa przed nami rzedną, zwiastując kończący się las.

— Będzie teraz niewątpliwie wieś i dopytamy się o drogę — pocieszała nas Wanda.

Wyjechaliśmy też niebawem na olbrzymią, nieuprawną wśród borów polanę.

Gdzieniegdzie widniały tu ślady jakichś starych, wąziutkich, wypukłych zagonów, być może jakąś prasochą jeszcze oranych. W promieniach zachodzącego słońca wyraźnie występowały tu i tam pozostałe jeszcze, do samych niemal konarów ogniem poosmalane, czarne sylwetki obumarłych sosem i świerków, u których stóp napół mchem i darnią porośnięte drzemały odwieczne kamionki.

Wszędzie, jako okiem sięgnąć, pustka. Ugory tylko i odłogi, ni to płazowiny, ni to zadziczałe pola.

Dróżka tam w lesie między drzewami wyraźna, teraz tu, na pastwiskach, jak bicz dziadowski rozpełzła się na szereg splątanych, poprzerywanych kolein.

Stanęliśmy w niepewności, którędy jechać i czem się w tem bezdrożu kierować.

— Tędy jakoś, jakby droga trochę wyraźniej była przetarta — zauważył wreszcie porucznik.

Kazał jechać mniej więcej równolegle do kierunku szosy.

Dróżka się nagle urwała.

Jechaliśmy teraz zupełnie bez drogi, po zagonach i bruzdach, jedynie starając się, o ile możności, nie przecinać ich wpoprzek.

I znów zamajaczyły przed nami jakieś koleiny przez czas i deszcz zatarte. Usiłowaliśmy podążać ich śladem.

W ten sposób, poniekąd wbrew naszej woli zbliżyliśmy się do przeciwległej ściany lasu, by, nie mając wyboru, znów skręcić w napotkany, ongiś przez drzewostan przecięty, dziś całkowicie trawą zarosły dukt.

W lesie na tyle było już ciemno, że musieliśmy zapalić reflektory.

Pomyślałem sobie, że tym razem, zdaje się, nie minie nas nocleg w lesie. Podzieliłem się tem przypuszczeniem głośno.

— Ranki bywają chłodne — dorzuciłem na złość Wandzie, która z filozoficznym spokojem kuliła się w rogu siedzenia.

— To trudno — wzruszyła ramionami.

Wyjechaliśmy ze starodrzewiu na jakieś bardziej otwarte miejsce.

Trzeba było teraz jechać bardzo powoli, bo droga niegdyś dylowana spowodu wyboi, była już dziś prawie nie do przebycia.

Nagle na niespodziewanym ostrym zakręcie światła reflektorów odbiły się od jakiejś lśniącej powierzchni.

— To woda naokoło nas — zauważył ktoś ze zdziwieniem. — Tfu, gdzieśmy to zajechali! Toż my groblą jakąś jedziemy i to tak wąską, że jeden ruch fałszywy, wpakujemy się w bagno.

— Głupia historja. Możeby zawrócić?

— Aha! Teraz już ja nie potrafię — odburknął szofer.

Jechaliśmy, a raczej pełzaliśmy po jakiejś bez końca grobelce.

Gdzieniegdzie grobelka się rozwidlała na dwie lub trzy odnogi, to znów krzyżowała się z innym takim wąziutkim, sztucznym wśród bagien nasypem.

W takich razach stawaliśmy bezradni zupełnie.

— Trzymajmy się zatem stale lewego odgałęzienia — doradziła Wanda.

Był to istotnie jedyny sposób orjentowania się w tym labiryncie.

Zastosowaliśmy się i to możliwie najściślej do tej wskazówki.

Jasno dotąd świecące latarnie automobilu zmatowiały. Światło z trudem przesączało się przez tumany białej mgły, której lekki wiaterek nawiewał na nas coraz nowe fale.

— Przyznam się, że wyczekiwanie ranka na tych groblach do przyjemności trudno będzie zaliczyć — nie wytrzymałem wkońcu.

— Istotnie, nim słońce wzejdzie, mgła przemoczy nas do kości — przytaknęła z flegmą Wanda.

Nie przeczę, że miałem szczerą ochotę poszukać sprzeczki z niedoszłą bratową, jako z istotną winowajczynią naszej przygody. Zrównoważony ton jej odpowiedzi dziwnie utrudnił mi natarcie. To też po dwóch, trzech nieśmiałych próbach ataku, dałem zupełnie za wygraną.

Siedziałem odęty w swoim kącie z oczyma wlepionemi w rozpościerającą się przed reflektorami zasłonę rozpylonego mleka.

Chwilami tylko, gdy mgły się przed nami rozrzedzały, posuwaliśmy się naprzód o kilka obrotów koła. Przeważnie jednak wytrwale tkwiliśmy w miejscu.

Podczas takich przymusowych postojów dochodziły nas z obu boków dziwne, nieokreślone klaskania, cmokania, pluskania, a chwilami silniejsze jakieś kipienie czy kotłowanie się wody. Jeśli nie z lekkim niepokojem, to w każdym razie z pewnem zdumieniem wsłuchiwaliśmy się w te zgoła niesamowite odgłosy nocne.

Dopiero nagle, gdzieś w odległości kilkunastu zaledwie od nas kroków, w tonie głębokiej troski, w bezkreślną dal rzucone kwaknięcie naprowadziło nas na odkrycie przyczyny intrygujących nas szmerów. Oto ze wszystkich stron byliśmy otoczeni przez stada żerujących dzikich kaczek, a być może gęsi, a nawet łabędzi.

Gdzieś ponad naszemi głowami raz i drugi załopotały liczne, jakieś niewidzialne skrzydła, zagotowała się woda od zsiadających się "na plos" wypasionych cielsk ptasich.

To znów o uszy nasze uderzył smutny, duszę przejmujący klangor, gdzieś pod gwiazdami ciągnących żórawi.

Już dobrze po północy rozróżniliśmy poszczekiwanie psów dalekich.

— Te psy są znacznie bliżej nas, niż się to wydaje. Mgła nadzwyczaj silnie tłumi dźwięki — z krótkim wykładem akustyki wystąpił milczący dotychczas porucznik.

— Jedźmy zatem, jeżeli to możliwe, na ten głos — postanowiliśmy zgodnie.

Rzecz dziwna, jak ten psi głos daleki zelektryzował nas wszystkich.

Poprawiliśmy się na siedzeniach. Wstąpiła w nas nieokreślona bliżej nadzieja jakiegoś na suchem sianie w chłopskiej stodółce noclegu.

Ujechaliśmy jeszcze kilkaset kroków groblą i nagle z mgły wyłonił się jeden, a w mgnieniu oka później drugi, o zatartych konturach jakiś kształt zwierzęcy.

W przytłumionem świetle reflektorów wyraźnie teraz zarysowane apokaliptyczne bestje psim głosem, z dziką zażartością jęły oszczekiwać nasz samochód.

— Zaprowadźcie nas, pieski, do waszego pana — słodkim głosem, lecz bezskutecznie przymilała się Wanda.

Grobla nagle się urwała.

Wjechaliśmy w jakiś piach bezdenny.

Samochód, wyjąc pierwszym biegiem, zaczął się piąć po lekkiej pochyłości.

Mgła nagle znikła.

Wśród rzadkich, olbrzymich sosen, wieńcem stożków siana okolona stała tu niska, z niezmiernie wysokim, ostrym dachem, jakaś nędzna chałupina.

Słabo strzegły jej powykrzywiane z pojedyńczych żerdzi klecone, na wszystkie strony pokręcone płoty.

Przed tem lichem, samotnem, a jednak człowieczem osiedlem szofer bez rozkazu zatrzymał motor.

Raz, drugi przeraźliwie ryknęła nasza trąba pneumatyczna.

Gdzieś z dachu, jakby z samej czeluści komina zerwał się wystraszony jakiś olbrzymi ptak nocny i bezszelestnie rozwinął do lotu swe skrzydła.

Psy ani na jedną chwilę nie przestawały ujadać.

Dzielnie sekundował im jakiś trzeci psi, zachrypnięty tenor, gdzieś za domostwem ukryty, przy akompanjamencie zgrzytu nerwowo po drucie suwanego łańcucha.

W maleńkiem okienku chałupki błysło światełko i zda się zgasło, by ukazać się znów w szczelinach drzwi.

Na progu pojawiła się olbrzymia, w samo tylko płótno spowita, biała postać chłopa, z płonącem łuczywem wysoko nad głową trzymanem.

— Hej! A gdzieśmy to zajechali, ojcze! — głośno zawołał porucznik.

— Wy w Matni, panoczku.

Dźwięk jego głosu wydał mi się dziwnie drewniany.

Muszę też przyznać, że wiadomość o fakcie dostania się w matnię zrobiła pewne wrażenie na mych towarzyszach podróży.

Co do mnie, domyśliłem się odrazu, że miejscowość tak musi się nazywać. Porucznik jednak chciał prowadzić dalszą indagację. Szczęściem nie dopuściła do tego Wanda.

— Niech będzie nie Matnia, ale piekło nawet — przerwała rezolutnie — musimu tu nocować. Jest tu pewnie jaka stodoła, bo siana widzę nie brakuje. Może gorącej wody do herbaty dostaniemy?

Objęła według zwyczaju rządy w ręce.

— Stodoły nijakiej niema. Woda śmierdzi — po polsku, ale z silnie białoruskim akcentem i przeciąganiem starał się jeszcze chłopisko uwolnić od niespodziewanego najazdu.

— Nie chcecie do stodoły, dawajcie siano do izby! No, dalej, marsz! — nieznoszącym oporu głosem zakomenderował porucznik.

Dla niego zakwaterowanie się w cudzym domu, wbrew woli gospodarza, nie było żadną nowością.

Zdecydowana postawa oficera odniosła też natychmiastowy skutek. Pokasłując i stękając, cofnął się chłop do wnętrza, odsłaniając wejście.

Wtargnęliśmy za nim wszyscy, nie wyłączając szofera.

W izbie gorąco biło od pieca i panował zwykły, nocny zaduch. Przez pozostawione otworem drzwi wdarła się razem z nami fala chłodnego, parą wodną przesyconego powietrza. Chłop leniwym ruchem obsadzał łuczywo w kunie na piecu.

Uderzyło mnie, że przy tej sposobności niejako mimochodem i nieznacznie, dość jednak szczegółowo, o ile na to wogóle pozwalało słabe światło łuczywa, zlustrował on od stóp do głowy porucznika. Jak ten egzamin wypadł, nie zdążyłem sobie zanotować, bo twarz chłopa pogrążyła się natychmiast w mroku niedostatecznie oświetlonej izby. Słyszałem, że warknął coś sobie pod nosem.

— Jeszcze względnie tu nie najbrudniej — zauważył ktoś z nas półgłosem. — Pomieścimy się.

Była wprawdzie w domu tylko jedna izba, ale wprost olbrzymia.

Stał tu jakiś stół, ława, stołki i dwa rozgrzebane łóżka.

Na jednem ktoś chrapał.

Na środku izby, głową prawie niskiej powały sięgając, sterczał olbrzymi gospodarz.

Znać było, że pomimo wielkiego myślowego wysiłku nie zdołał on jeszcze opanować faktu naszego pojawienia się w jego progach. Stał, obrzucając nas pełnem nieufności, zpodełba wejrzeniem.

— Drogę chyba wiedziawszy, że tu trafiwszy — mruknął ni to do siebie, ni do nas.

— Mostek na drodze zdjęty, chcieliśmy obje-

chać, i ot, zbłądziliśmy aż tutaj — wytłumaczył mu szofer.

Stary chłop bacznie przez chwilę utkwił oczy w szoferze.

— Gadaj sobie co chcesz, a ja temu nie wierzę — zdał mi się wyraźnie mówić jego wzrok.

— Mało kto chyba tędy przejeżdża? — rzucił pytanie porucznik. — Żydy chyba czasem po rybę?

— Tu, panoczku, nie bywali ni Moskale, ni Niemcy, ni bolszewiki.

— A wy kto jesteście? — indagował niestrudzenie porucznik.

— Rybak, panoczku. Tu stawów i zaliwów osiemset dziesięcin będzie. Jeszcze przed wojną nieboszczyk pan Worszyłło inżynierom tak kazał zrobić, a mnie rybę pilnować tu w Matni posadził. Tu tylko ja z wnuczką, dwoma krowami i temi psami żyjący jestem. Był koń, ale podechł — nadspodziewanie się rozgadał. — Wnuczka durna, bo ludzi nie widziawszy. W kościele nawet od urodzenia nie była. Daleko.

Rzuciłem okiem na ścianę. Nigdzie w kącie nie dojrzałem nieodzownej tu w każdem ludzkiem osiedlu “ikony”. Natomiast na ścianie, nad łóżkiem, majaczyły jakieś obrazy. Przy chwiejnem świetle łuczywa nie mogłem się zorjentować, co zacz były.

— Dobrze po polsku mówicie — rzuciłem uprzejmie staremu. Bogiem a prawdą nie zasługiwał on zupełnie na ten komplement.

Wyraźnie jednak tem odezwaniem się ująłem nam chłopa.

— Ja katolik, panoczku, i nie chłop, a szlachcic—powiedział z jakąś niezwykłą godnością.

— No, to mamy nadzieję, że i przyjmiecie nas ze staropolską gościnnością — przerwała mu trochę obcesowo Wanda.

Od tego jednak momentu, rzec można, zmienił się zasadniczo stosunek starego rybaka do nas.

Za chwilę też gruba warstwa siana pokrywała gliniane klepisko izby.

Przed udaniem się na spoczynek wydobyliśmy nasze obfite zapasy.

Poczęstowałem kieliszkiem wódki naszego gospodarza. Jako niepijący, grzecznie ale stanowczo odmówił.

Zaspokoiwszy głód, pokotem legliśmy na sianie.

Gdy się obudziłem, słońce było już bardzo wysoko na niebie. Starego nie było już w izbie. Pod piecem mała, mizerna, rozczochrana, do niemożliwych granic obdarta dziewczynina blaszaną łyżką skrobała kartofle.

— A dokąd dziad poszedł? — zwróciłem się do dziecka.

Spojrzała na mnie zdumionemi, przerażonemi, blado-niebieskiemi oczami i natychmiast, bez odpowiedzi jeszcze niżej pochyliła główinę nad swą robotą.

— Durna wnuczka — przypomniały mi się wczorajsze słowa starego.

Zbudziła się właśnie Wanda i, po umyciu się przy studni, zabrała się do rozczesywania przed małem składanem lusterkiem, swych, rzeczywiście pięknych warkoczy.

Dziewczynka przyglądała się jej ukradkiem, nie odrywając, zda się, oczu od swych ziemniaków.

Pewien jestem, że żaden ruch Wandy nie uszedł jej uwagi.

— Pani z obrazka — niespodzianie cichym, cienkim głosikiem przemówiła dotychczasowa niemowa, na jedną chwilę nie przerywając swych gospodarskich czynności.

Parsknąłem głośnym śmiechem, tak ubawiło mnie rzeczywiście trafne, a samorzutne u dziecka określenie rodzaju urody panny Cierzańskiej.

— Z jakiego, mówisz, ta pani jest obrazka? — próbowałem nawiązać z małą rozmowę. — Gdzieś ty widziała taką panią na obrazku?

Nie zostałem jednak zaszczycony odpowiedzią, pomimo kilkakroć najsłodszym głosem ponawianych pytań. Zaofiarowanie cukierka minęło również bez wrażenia.

Odezwanie się dziewczyniny mimowoli zwróciło moją uwagę na obrazy świętych na ścianach rozwieszone.

Był tam stary, dość nawet dobrej roboty obrazek Matki Boskiej Kodeńskiej, święty Antoni Padewski i kilka innych obrazów świętych bez podpisu, których rozeznać nie potrafiłem. Nie było między temi bohomazami absolutnie nic takiego, coby w najmniejszym bodaj stopniu usprawiedliwiało określenie dziecka.

Dokonywując tego przeglądu dewocjonalij, nie bez zdziwienia dostrzegłem trzy grube ołowiane siekańce, głęboko w drzewie ściany utkwione.

Ściana była w tem miejscu jakby czemś opryskana. Wydało mi się, a czemu — sam tego nie wiem, że muszą to być ślady krwi, czy też wytryśniętego z czaszki mózgu.

— Do kogo tu strzelano? — zupełnie odruchowo zwróciłem się do dziecka, ręką wskazując na tkwiący w ścianie ołów.

— Wiadomo: w oficera... — było to powiedziane zupełnie prosto, bez żadnego namysłu, z niezmąconym spokojem.

— Jakiego oficera?

Tym razem w odpowiedzi pogardliwe przeraźliwie chudych ramionek wzruszenie i znów bodaj jeszcze pilniejsze ziemniaków skrobanie.

Porucznik i szofer żywo zainteresowali się mojem odkryciem.

Strzał niesłychanie bliski, bo drewno ściany osmalone, a ot tu w szczelinach między balami nawet ziarnka niespalonego prochu.

— Hm... to więcej niż bardzo szczególne. W naboju było z pewnością więcej niż trzy siekańce — zupełnie słusznie zauważył kompetentny w tym względzie oficer.

A zatem...

No, oczywiście, reszta utkwiła w celu, do którego strzelono. Pytanie, co służyło za cel? Co za dramat się tu rozegrał?

Zainteresowaliśmy się wszyscy tym zagadkowym faktem.

— O jakim to "ona" mówiła oficerze?

— A prawda...

Obstąpiliśmy "ją" dokoła, wciąż skrobiącą swe ziemniaki.

Bezgraniczne, zwierzęce przerażenie odmalowało się w jej oczach, na jeden fragment sekundy na nas skierowanych.

Wybuchnęła płaczem i, jak naparty przez charty szarak, między naszemi nogami uskoczyła precz z izby.

— Nie można tak obcesowo. Nie umiecie postępować z dziećmi — surowo zgromiła nas Wanda.

— Hm... wiecie, że jestem bardzo zaciekawiony całą tą sprawą...

— Jeśli dziewczyna powiedziała prawdę, że strzelono tu do oficera, to bynajmniej nie jest wyłączone, iż był to polski oficer.

Skinąłem potakująco głową.

— Wszak stary sam powiedział nam wczoraj, że nie dotarli tu ani Moskale, ani Niemcy, ani bolszewicy.

— Nadzwyczaj ciekawa sprawa.

— Majstruj pan przy samochodzie — zwróciłem się do szofera — niby się tam coś w nim popsuło. Musimy mieć czas rozejrzeć się bliżej w tej sprawie.

Wanda, odkryciem naszem, a głównie wyprowadzonemi z niego wnioskami, poruszona, nie założyła jakoś swego veto co do przedłużenia naszego pobytu w Matni.

Zabrał się tedy szofer do gruntownego oczyszczenia samochodu. Nawiasem mówiąc, po odbytych ostatnio drogach był to przy naszym ciężko doświadczonym wehikule ze wszech miar celowy zabieg.

My troje wyszliśmy tymczasem przed domostwo dla zlustrowania okolicy.

Na dość wysokiej piaszczystej wydmie, niewiadomo jak i kiedy wśród błot niezmiernych powstałej, setką pra-sosen porośniętej, znalazła oparcie uboga sadyba rybacka.

Na południowej pochyłości wydmy tulił się skrawek gruntu ornego. Wyżej wegetowały na nim spalone przez słońce ziemniaki, niżej zaś z nader słabym wynikiem zasadzono trochę kapusty.

Leżał też tu i czekał na moczenie świeżo wyrwany len.

Niedostatek wyzierał z każdego niemal kąta.

Cały widnokrąg zajmowała, w obramowanie sinych ścian borów ujęta, płytką wodą zalana równina...

Wyraźniej występowały niebieskie dziś płachty wody przy groblach, dalej znać wyparły je tataraki, sitowia czy trzcina.

Zielone jeszcze teraz ich łany delikatnie falowały za najlżejszym wiatru powiewem.

Miejscami resztki karłowatych, przez nadmiar wilgoci niedomęczonych jeszcze sosenek wskazywały na pierwotne pochodzenie terenu. Nie ulegało wątpliwości, że przez spiętrzenie wód jakiejś rzeczki czy strumyka zalano olbrzymią powierzchnię rojsztu.

Liczne groble i grobelki, przecinające się z sobą w regularnych odstępach, tworzyły tu całą sieć, istny labirynt wąskich, ciemniejszych pasków na tle wody i zieloności szuwarów.

Wszędzie w dużym promieniu rzucała się tu w oczy olbrzymia ilość ptactwa wodnego i błotnego. Przelatywały z miejsca na miejsce liczne stada cyranek, krzyżówek, podgorzałek, to pojedyńczo krążyły kulony, kszyki, bąki, bekasy, perkozy.

Porucznik tymczasem uważnie badał mapę sztabową tych okolic.

— Co za niedokładność! Cała ta olbrzymia powierzchnia figuruje jako bagno leśne. Żadna z tych grobli nie jest tu zaznaczona. Nie mogę też znaleźć nawet śladu tego wzgórza, na którem się teraz znajdujemy.

Poważnie zafrasował się oficer brakami kartografji.

Mnie tymczasem co innego napełniło pewną troską. Nie chciałbym, by dziewczyna odszukała starego i wspomniała mu o naszych indagacjach. Podzieliłem się memi obawami.

— Nieprzezornie to było zrobione — przytaknął mi porucznik.

— Dziewczyna kopie kartofle — zwróciła nam uwagę Wanda — a rybaka widać doskonale ot tam, na grobli.

Podała mi lornetkę. Ujrzałem wyraźnie, jak na dłoni, naszego gospodarza, poprawiającego coś przy mnichu.

Nagle chłop, jakby poczuwszy na sobie mój wzrok, przerwał robotę. Obrócił się twarzą ku grobli i zaczął rękami wykonywać jakieś nieokreślone gesty. Zdaleka czyniło to wrażenie gestykulacji.

— Z kim to on może rozmawiać, bo ja nie widzę przy nim nikogo — zwróciłem się do Wandy o rozwiązanie zagadki.

— Jest niewątpliwie absolutnie sam — potwierdziła moją obserwację.

— Ależ on się z kimś ząb za ząb kłóci... O, teraz z głębokiem lekceważeniem machnął ręką i idzie prędko w naszą stronę. Zabawna jakaś historja...

Zaproponowałem, by rozmowę z gospodarzem odbyć w izbie, w obliczu tkwiących w ścianie siekańców i krwawych śladów.

Zgodnie z moją wskazówką, obaj z porucznikiem zajęliśmy miejsca pod oknem, tyłem do światła, by swobodniej obserwować grę fizjonomji badanego. Wanda, nie mając zamiaru mieszania się do naszych indagacyj, stanęła na

uboczu, w snopie słonecznych promieni, wpadających przez przeciwległe okno.

Pogrążyła się w porządkowaniu drobiazgów w podróżnym swym neseserze.

Zadudniły szybkie kroki. Do izby nie wszedł, a wpadł prawie nasz rybak.

Na widok Wandy stanął jak wryty. Z wyrazem bezmiernego zdumienia w pomarszczonem i spalonem obliczu, jak w nagłą zjawę wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

Aż mnie, przyznam się, mocno to zaniepokoiło.

— Pańska prawda... ta sama będzie — jakimś przybitym głosem, do kogoś bliżej nieokreślonego, nareszcie z siebie wykrztusił.

Ociężałym krokiem, jak inny już człowiek, posunął się ku nam, na sam środek izby.

Przez chwilę trwało milczenie.

Chłop stał się już jak głaz spokojny.

— Powiedzcie, ojcze, co to za oficera zastrzelono tu w tem oto miejscu? — dość niepewnym głosem rzucił porucznik zawczasu przygotowane, wstępne pytanie.

— A tego samego, co go szukacie — odparował dziad z całą flegmą.

Poderwaliśmy się i natychmiast zpowrotem usiedliśmy obaj, tak daleką od nas była podobna możliwość.

Przez dłuższą chwilę nikt nie zabrał głosu.

— Skąd on może wiedzieć, poco myśmy tu przyjechali? — trzeźwiąco mignęło mi przez głowę.

To też dobitnie, z mimowolnem jednak w intonacji głosu niedowierzaniem, zapytałem go, kto mu powiedział o celu naszego przyjazdu.

— On-że sam... rotmistrz!

— A któż go zabił? — prowadziłem dalszą indagację, choć, jako lekarz, zorjentowałem się odrazu, że mam do czynienia z jakimś nienormalnym osobnikiem.

— Ja.

— A dlaczego zabiliście go? — pytałem ze wzrastającem zaciekawieniem, choć z coraz mniejszą jednocześnie wiarą w prawdę słów tego dziwnego samo-oskarżyciela.

— Dlaczego zabiłem? — zaciął się na dłuższą chwilę, kręcąc w garści szeroką rozwichrzoną swą brodę. Z widocznem w twarzy skupieniem wysilał się starczym swym mózgiem nad rozwiązaniem tego, nigdy widać przedtem nie nastręczającego mu się zagadnienia.

Skupieni, pełni uwagi, nie przeszkadzaliśmy mu w tem, obcem dlań, intelektualnem ćwiczeniu.

— Ubił grabieża radi — wyrzucił wreszcie z siebie, jakby jeden nieco przydługi jakiś wyraz.

Popatrzyliśmy na siebie porozumiewawczo z pod oka, my sędziowie śledczy.

W oczach Wandy i porucznika nie wyczytałem nic, prócz pełnej niewiary w zasłyszane od tego szaleńca rzeczy.

— A jak się nazywał ten tu zabity rotmistrz? — sformułowałem nowe pytanie.

— On, panoczku, tego nie mówił. Rotmistrz, ta i tyle. Reperuję ja dziś przed chwilą mnich na łosiej grobli i myślę sobie, że mi do domu zajść przecie trzeba, a tu patrzę: stoi przy mnie rotmistrz. Od wiosny nie był...

— "Szczepanie", mówi "idźcie natychmiast do domu i opowiedzcie tam, jakeście to mnie ze wszystkiego oprawili".

— A to poco?

— Mnie tu szukać przyjechali.

— A właśnie to im tylko w głowie...

— To idź, durniu, i zobacz, czy nie przyjechała pani z fotograficznej karty.

— Rzuciłem robotę, idę. Patrzę. Ta sama, żywa stoi — wskazał oczami na białą już jak kreda Wandę. — Taki dokazał ty pan swego — wyszeptał z głęboką nienawiścią, zupełnie znać zmiażdżony. — Ale cóż robić, kruti ne werti... treba pomerti — po chwili milczenia już ustosunkował się filozoficznie.

Wandzie, mimo jej jakiegoś, nam nerwy szarpiącego nad sobą panowania, zrobiło się nagle słabo.

Porucznik skoczył ją ratować.

Przyznaję, że dopiero teraz zaczęło mi się cośniecoś w głowie rozjaśniać.

Postanowiłem sobie z możliwym spokojem i objektywizmem prowadzić dalszą indagację.

— Siadajcie — wskazałem staremu pusty stołek.

Chłop nie usłuchał, lecz klęknął na środku izby tam, gdzie stał.

— Ja, Kain, Bogu Wszechmogącemu na niebie, ludziom sprawiedliwym na ziemi kajam się z grzechów moich... — bił się kułakiem w pierś szeroką.

— Opowiedzcie wszystko, prawdę, jak było, nic nie tając — przerwałem mu twardo początek jakiejś religijnej ekstazy.

Pozostał na klęczkach i nadal.

Z nieskładnych słów tej półpolskiej, półbiałoruskiej spowiedzi, gęsto naszemi pytaniami przerywanej, a ciągnącej się niesłychanie długo, po odrzuceniu z niej całego olbrzymiego balastu zbędnych szczegółów, udało się nam wypośrodkować taki mniej więcej przebieg rozegranego dramatu w Matni:

Gdzieś w połowie lata w dwudziestym roku do osady rybaka w Matni przybył polski oficer ułański z jednym tylko szeregowcem.

Jak się oni tutaj przedostali, tego stary dziad do dziś dnia nie rozumie, jak nie może mu się w głowie pomieścić, że my bez jego współudziału potrafiliśmy przebrnąć przez tę szachownicę stawów.

Coś na drugi dzień po zakwaterowaniu się wojskowego w jego domu, od szeregowca dowiedział się stary samotnik ciekawych, a nowych dla siebie rzeczy.

Więc przedewszystkiem kraj od kilku dni za-

lany był przez bolszewików. Armja polska rozbita, ścigana przez nieprzyjaciela, cofała się i znajdowała się już o kilka marszów na zachód od Matni.

Szwadron, dowodzony przez rotmistrza, został zniesiony doszczętnie, a niedobitki rozproszyły się po lasach.

Rotmistrz, zdaje się, nie wyrzekł się usiłowań, by koło siebie skupić choć tych kilkunastu ludzi. Będąc sam dość ciężko rannym, nie mógł wydalać się z Matni.

Często natomiast wysyłał na zwiady żołnierza.

Szczepan wystarał się o chłopskie ubranie i w tych ekskursjach służył za przewodnika po bagnach.

Podchodzili tak we dwóch z żołnierzem pod wsie i trakty, zdaleka przyglądali się przemarszowi wojsk.

Stary dziad, w dodatku człowiek miejscowy, znający na wylot okolicę, a przedewszystkiem rodowity Białorusin, nie wzbudzał w krasnoarmiejcach podejrzenia.

Natomiast słowa po białorusku nie umiejący ułan, na wieki pozostał pod grubym dębem, w pobliżu którego nastąpiło niefortunne spotkanie.

Rotmistrz silnie zaalarmował się i rozdrażnił śmiercią swego jedynego towarzysza. Zaczął najwidoczniej podejrzewać rybaka o rozmyślne wciągnięcie żołnierza w zasadzkę.

Początkowo łagodny i grzeczny, teraz, grożąc rewolwerem, najsurowiej zabronił Szczepanowi krokiem wydalać się z Matni.

Najbliższej też zaraz nocy obaj ze Szczepanem porozkopywali w kilku miejscach te groble, któremi można było dostać się do siedziby rybackiej.

Zabronił też rotmistrz gotowania we dnie strawy, by dym z doskonale wśród sosen zamaskowanego komina, nie zdradził obecności istoty ludzkiej na tej, wśród moczarów zagubionej kępie.

— Żyli my tak z rotmistrzem niedziele dwietrzy — żalił się Szczepan. — Ciężki był człowiek. Wciąż tylko słucha, a ogląda się, czy nie idą po niego krasnoarmiejcy. Napaliła wnuczka któregoś dnia w przypołudnie w piecu. Obiad, wiadomo, gotować chciała.

Rotmistrz zobaczył. Za rewolwer zaraz. Ledwom ją wyprosił. Chciał strzelać. Powiedziałem sobie wtedy: nam dwom z tej chacie nie żyć razem. Jednemu taki musi przyjść koniec.

Drzemał sobie kiedyś wieczorem rotmistrz tu pod oknem, na ławie. Pas z rewolwerem, co go na jedną nie opuszczał chwilę, ot tu, na tym gwoździu powiesił, rozpiął mundur, nogi na środek izby wyciągnął. Fajka zgasła, a on chrapie.

Wydobyłem ze stoga kapiszonkę, co ją na ten wypadek przed tygodniem siekańcami porządnie nabiłem...

Jak kot pocichutku wkradłem się do izby. Siedzi sobie z głową wtył odchyloną. Chrapie sobie, a poświstuje...

Tak ja mu tu, ot stąd, o dwa kroki, w te otwarte usta wypalił, aż mózg rozniosło po całej ścianie...

— O Boże, Boże! — wyrwało się udręczonej Wandzie.

Chłop ponuro się na nią obejrzał i zamilkł.

Przez długie lata mego lekarskiego zawodu dużo na świecie widziałem i nauczyłem się panować nad wzruszeniami.

Choć czułem, że mi w tem miejscu głos może odmówić posłuszeństwa, chciałem za wszelką cenę wyświetlić sobie istotne motywy zbrodni.

— A zatem rotmistrz dokuczał wam i zabiliście go, by się od niego uwolnić? — podjąłem po chwili nanowo.

— O, nie, panoczku — żywo zaprzeczył. — Zabił ja jego, jaże już wprzódy mówił: "grabieża radi". Rotmistrz, zanim ja z żołnierzem wtedy ostatni raz szedłem, tu na tym stole pieniądze przeliczał. I marki były i ruble prawdziwe, carskie. Dużo, dużo ich było. A i zegarek u niego złoty. Bies podkusił, obrał ja go ze wszystkiego... do czysta obdarł.

Za to on i do mnie przystał i odczepić się nie chce...

Ja go zabił. Na sążeń w ziemię zakopał, a on z chałupy i krokiem się nie ruszył... Wracam wtedy do domu, jego w piasek głęboki zagrzebawszy, a on, patrzę, siedzi tu znów przy stole. Głowa u niego we krwi cała, a on się śmieje.

"Już ja w tem, stary durniu, że tobie z tych pieniędzy nic nie przyjdzie" — zaraz wtedy mówił do mnie.

— I prawdu każe, panoczku. Nim ja się z tych pieniędzy markę wydać ośmielił, one całkiem, jak śnieg stopniały. Dziś i cielaka za nie nie kupi, a one u mnie wciąż w kufrze leżą.

Czasem w długie zimowe wieczory, jemu na złość, siadam, pieniądze liczę, ot, fotografję tej pani oglądam, albo pierścionki przymierzam, a on siedzi, patrzy i tylko ze mnie się wyśmiewa.

Konia niezłego miałem, to go w nocy widłami czy gwoździem w brzuch dźgnął, że koń w dwa dni kopyta wyciągnął.

Łysej krowie mleko odebrał, a mnichy na groblach nockami raz wraz psuje.

I wciąż mi w głowę kładzie: "Idź, a wyznaj, coś ze mną uczynił!"

— Latem to gdzieś widać odchodzi. Robotę ma jakąś. Dzień dłuższy. Ale zimy toż on u mnie obie przy tym stole czy pod piecem przesiedział. Latoś na Zielone Świątki dopiero odszedł, bo cały czas do wielkanocnej spowiedzi mnie namawiał.

"Idź i idź" ciągle mi powtarzał. To znów: "Krzyż mi postaw w tem miejscu, gdzieś ciało moje zakopał".

— A jabym i wyciosał krzyżyk jaki, ale się boję, bym miejsca znacznem nie uczynił. Posta-

wię krzyż — mówię — to ty mnie wydasz. A on wtedy tylko się wciąż ze mnie śmieje.

Nie było go już, rachować, ze cztery miesiące. Dziś jest — przyszedł.

— No, teraz pańskie na wierzchu — warknął w stronę pustej w tej chwili ławy pod oknem.

Ciarki nas przeszły.

Szofer, który w trakcie spowiedzi starego niepostrzeżenie wsunął się do izby, wyskoczył na dwór jak kamień z procy wyrzucony.

Rybak błagalnie wyciągnął do nas ręce.

— W kajdany zakujcie, ale mnie weźcie z tego miejsca precz. Ja z nim tu dłużej nie zostanę.

Na kolanach podszedł do stojącego w rogu izby zielonego w czerwone desenie kufra i wydobył z niego w tabaczkową chustkę zawinięty plik papierów, zegarek, pugileres i gabinetową, niesłychanie wysmoloną fotografję Wandy.

Żadnej nie było już wątpliwości o kim mowa.

— Pani z obrazka — szepnął, wskazując palcem na Wandę i na jej podobiznę.

Domyśliłem się jak nieludzkie katusze sprawiać musiał Wandzie widok tych wszystkich przedmiotów. Dałem jej znak błagalny by odeszła. Przecząco pokręciła głową i została na dalszą swą mękę.

Zauważyłem, że od pewnej chwili dziad uporczywie znów się jej przypatruje.

Coś jakby cień współczucia przemknęło przez twarz jego.

— Kab znaw, że u niego żinka, czy niewiasta, nie strzelałby ja do niego, a ot fotograficzną kartę ja tylko później widział. A lubił, lubił rotmistrz na tę kartę popatrzeć...

Co wieczór musiał mu ja ją dla niego z kufra wydostać. Jak sobie na nią popatrzy, to i mnie już cały wieczór zostawia. Oj, uśmiechał się do swej doni, a kartę do serca tulił a całował...

— Ot, teraz do niej się uśmiecha — zezem spojrzał na pustą ławę.

Porwała się z miejsca Wanda, Nie wytrzymały widać napięte nerwy dalszej mimowolnej wiwisekcji dziada. Wybiegła przed dom. Niemniej prawie od niej wzburzony porucznik podążył ją uspakajać.

Zostaliśmy ze Szczepanem i pustem na ławie miejscem we trzech w izbie.

Mimo całego panowania nad sobą nie mogłem się już zdobyć na dalsze zadawanie pytań.

Wyszedłem i ja przed dom.

Świeże powietrze na zaczadziałą mą głowę jak zwykle podziałało trzeźwiąco.

Spróbowałem z porucznikiem i Wandą złożyć radę wojenną i postanowić coś odnośnie dalszych kroków i posunięć. Byliśmy jednak tak wszyscy, nie wyłączając mnie, zdenerwowani, że z nikogo nic pozytywnego nie mogłem wydobyć.

Postanowiłem tedy działać na własną rękę. Zdecydowałem, że spędzimy jeszcze jedną noc w Matni.

Mieliśmy z sobą żywność, nie przedstawiało to zatem większych trudności.

Należało się zająć, jeśli nie ekshumacją zwłok, to w każdym razie sprawdzeniem, czy się znajdują we wskazanem miejscu.

Tę pracę trzeba było odłożyć do jutra rana, gdyż zaczynało się ściemniać. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że niemal cały dzień zajęły nam rewelacje Szczepana.

Dziad widocznie czekał, że go natychmiast pozbawimy wolności. Uważał to za całkiem naturalne i nie wychodził przez jakiś czas z izby, by nam wszystkie co do swej osoby zarządzenia możliwie ułatwić.

Myśmy jednak w tym względzie nic nie przedsięwzięli.

Zagadnięta przezemnie Wanda, co do dalszych jego losów, czysto, po kobiecemu ustosunkowała się do tego zagadnienia:

— Niech go już Pan Bóg osądzi i ukarze...

Narazie nie mogłem się pogodzić z takiem stanowiskiem, ale w miarę tego, jak się nachłodno zastanawiałem nad sytuacją, mimowoli nie mogłem nie przyznać jej pewnej dozy słuszności.

Musiał się istotnie zbrodniarz ten prześladującą go wszędzie zjawą, jak potępieniec męczyć, skoro zdecydował się na wyznanie tak szczere i całkowite.

Przez znaczną część nocy nikt z nas nie zmrużył oka.

Korzystając z wyjątkowo ciepłej i pogodnej nocy, rozłożyliśmy ognisko w lesie opodal chaty.

Dom, w którym popełniono morderstwo, mierził nas.

Przez nikogo nie wzywany Szczepan z własnego impulsu rąbał drwa do naszego ogniska, nie zbliżał się jednak do nas.

Dopiero nad rankiem sen nas zmorzył.

Obudziliśmy się zmarznięci, ale dziwnie nerwowo odświeżeni.

Ma już to do siebie bezpośrednie zetknięcie się człowieka z przyrodą, że wyczerpane ludzkie tkanki nerwowe, jak pod wpływem cudownego balsamu odzyskują swą prężność.

Wybraliśmy się do wskazanego przez Szczepana miejsca, celem dokonania ekshumacji zwłok.

Zdaleka zobaczyliśmy starego rybaka, oczekującego już nas na grobie.

Stał zgarbiony i bezradny jakiś. Dopiero gdy na kilka kroków podeszliśmy do niego, zorjentowaliśmy się, że to jest już trup Szczepana...

Powiesił się o trzy cale nad ziemią, na tym samym łańcuchu, którym jeszcze przedwczoraj, w chwili naszego przyjazdu tak hałaśliwie przeciągał i zgrzytał po drucie pies podwórzowy.

Staliśmy długo, zaskoczeni tym nowym wypadkiem.

— Przebacz mu, Boże! — pierwsza przemówiła Wanda.

A. CZARLIŃSKI

Nowela osnuta na tle prawdziwego zdarzenia

Zemsta mumji

"AMMON-RA", dahabija firmy Cook and Son, podniosła kotwicę i ruszyła zwolna wgórę rzeki w kierunku drugiej katarakty i Haify, końcowej stacji naszej wycieczki, skąd mieliśmy już pociągiem pojechać dalej do Khartumu. Była to więc ostatnia noc na Nilu.

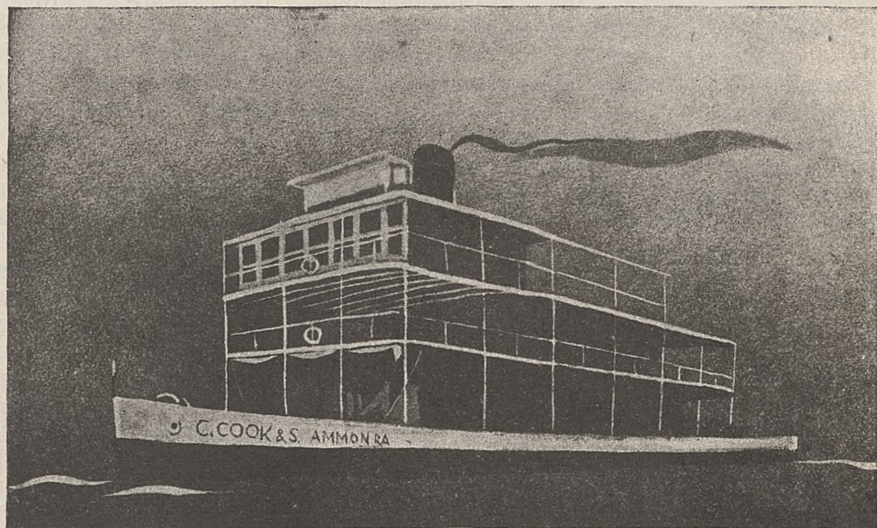
Statek miał niewielu pasażerów. Wszyscy zajęci byli spożywaniem wieczornego posiłku i słuchaniem oklepanych opowiastek zacnego "rais'a" (kapitana) o potędze klątwy Faraonów, która dosięgła członków ekspedycji wykopaliskowej lorda Carnervona. Wiadoma rzecz, tylko jeden, chorowity (ciekawe) Howard Cater, jeszcze żyje...

Byłem sam na pokładzie i przyglądałem się gigantycznym konturom świątyni Abu-Simbel, oblanej rudym blaskiem księżyca. Jeszcze nigdy nie widziałem architektury podobnej do tej potężnej, ze skały wykutej budowli nubijskiej. Statek posuwał się cicho, jakby w skupieniu ze czci i lęku zrodzonem, od czterech dwudziestometrowych posągów płaskorzeźbnych Ramzesa Wielkiego, olbrzymów z fosforyzujących nurtów świętej rzeki.

Wtem ujrzałem stojącego wpobliżu Mr. Johna P. Widok tego człowieka zirytował mnie. Poznałem go dopiero onegdaj w Wadi Saboa, w "dolinie lwów", gdzie fotografowaliśmy grupę szesnastu sfinksów koło drogi, prowadzącej do tamtejszej świątyni. Potem fotografowaliśmy wspólnie resztki fortecy rzymskiej w Kasr Ibrim. Wreszcie dał on mi się niemile we znaki tu w Abu-Simbel, podczas zwiedzania małej świątyni Hathor, gdzie zamierzałem sfotografować wnętrze komnaty w skale wydrążonej, która podobno zawierała ongiś bibljotekę kapłanów egipskich, a której ściany były pokryte pięknemi hieroglifami. Mr. John P. wyrwał mi wówczas kodak z ręki i zaklinał mnie, bym zdjęć nie robił. Miał przytem minę tak wystraszoną, że istotnie zaniechałem zamiaru. Lecz teraz byłem na niego nadąsany z tego powodu. Widocznie przeczuwał to, bo nie rzekł ani słowa i trzymał się zdala.

Zwróciłem się do niego, aby usłyszeć wyjaśnienie jego postępowania, o którem nie miałem wątpliwości, że stało ono w jakimś związku z zabobonami na tle legend o zemście Faraonów.

— Czy wierzy pan w istnienie związku przyczynowego między tak zwaną klątwą Faraonów a tajemniczemi wypadkami, które dotknęły lorda Carnervona i jego towarzyszy? — zapyta-



"Ammon-Ra" podniosła kotwicę.

łem ze sceptycznym uśmiechem pana P. — Wszak jesteś pan fotografem z zawodu i nie sądzisz chyba, aby mechaniczny proces utrwalania jakiegoś widoku na filmie mógł podlegać jakimś wpływom dynamicznym, mającym swoje źródło w koncentracji woli najznakomitszych choćby magów z przed pięciu tysięcy lat?

Mr. P. pokazał mi w odpowiedzi zniekształconą jakimś wypadkiem dłoń swej prawej ręki.

— Widzisz pan tę rękę? Oto nauczka Faraonów. Nauczka, przyznaję, bardzo jeszcze oględna. Jeżeli to pana nie znudzi, opowiem panu historję, którą sam przeżyłem. Historję o zemście Faraonów, która nie jak Tutankhamena, pogrążyła trzydzieści ofiar, lecz o munji, która swoją profanację pomściła ofiarą hekatomby istnień ludzkich. Uratowałem się niby cudem, sam nie wiem jak.


Na granatowem niebie świeciła rdzawa plama księżyca.

— Zaciekawił mnie pan ogromnie — rzekłem. — Proszę, niech pan opowiada.

Rozłożyliśmy się wygodnie na leżakach, na pustym tylnym pokładzie statku i zapaliliśmy fajki. Mój towarzysz milczał przez chwilę, wodząc oczami po ciemnych wodach Nilu, rozkołysanych ze snu kadłubem naszej dahabiji i zerkających ku nam gniewnie zielonkawo-miedzianemi błyskawicami. Na granatowem niebie świeciła rdzawa, do stężałej krwi podobna plama księżyca. U brzegów rysowały się samotne grupy smutnych, czarnych palm, pochylonych trwożnie, jakby zastygłych z rozpostartemi w przestrachu ramionami, jakby uśmierconych w chwili błagania o litość. I cisza dokoła, cisza bezwietrzna, ciemna, straszna, gęsta, duszna, cisza dźwięcząca w uszach niesamowicie, przesycona upiorną potęgą martwej napozór, zaklętej nocy.

Przerwał ją głos mojego towarzysza, który zaczął opowiadać:

— Było to w roku 1904-tym. Szedłem właśnie przez Backer Street w Londynie, gdy spotkałem mego dobrego przyjaciela, kolegę po fachu, który przy tej ulicy miał swój zakład fotograficzny. Był bardzo podniecony.

— Wyobraź sobie, — powiada — pani W. poleciła mi odfotografować mumję księżniczki egipskiej. I co się okazuje? Na kliszy niema mumji, lecz jest twarz żywej kobiety, wykrzywiona w złośliwym uśmiechu.

Nie chciałem wierzyć. Sądziłem, że mój kolega był przepracowany, że nie dopisywały mu nerwy. Poszedłem z nim i obejrzałem zdjęcia. Istotnie, fotografje przedstawiały biust młodej kobiety w antycznym stroju egipskim, o wyrazie twarzy szyderczym, niesamowitym. Lecz pomimo, że mój przyjaciel przysięgał, że nikt prócz niego nie dotykał się negatywów, wierzyłem w jakiś naturalny zbieg okoliczności.

Dopiero w kilka dni później zelektryzowała mnie wieść o nagłej śmierci tegoż fotografa, która nastąpiła wśród tajemniczych okoliczności. I wówczas dowiedziałem się o całej serji katastrof i wypadków, które dotknęły wszystkie osoby, mające jakąkolwiek styczność z mumją. Więc Mr. D., który ją znalazł, uległ dziwnemu wypadkowi. Wziął do ręki fuzję, która eksplodowała bez przyczyny tak, że musiano mu amputować prawe ramię. W niespełna rok potem umarł. Inny członek ekspedycji, który się przyczynił do odnalezienia mumji, zmarł wskutek ukąszenia skorpjona, straciwszy przedtem cały swój majątek. Trzeciego zastrzelił w Kairze niewykryty sprawca. Czwartego zabił piorun. Nikt nie uszedł z życiem.

Mumję odziedziczyła pani D., siostra kierownika ekspedycji, która poleciła memu koledze, o którym już wspomniałem, sfotografowanie tego okazu. Od tej chwili nawiedziła jej rodzinę serja nieszczęść i wypadków, które wreszcie skłoniły ją do oddania mumji muzeum brytyjskiemu.

Kierownictwo muzeum zwróciło się do mnie z prośbą, abym ten nowy nabytek sfotografował. Nie wierząc jeszcze w niesamowity splot wydarzeń, udałem się z moim asystentem na miejsce. Lecz oświetlenie było w tym dniu niekorzystne. Postanowiłem więc dokonać zdjęcia dnia następnego. Wracając do domu koleją podziemną, w chwili gdy zamierzałem opuścić pociąg, zatrzasnęły się nagle drzwiczki same i zmiażdżyły mi prawą rękę. W tym samym czasie mój asystent zastał u siebie w domu jedyne swoje dziecko, pięcioletnią córeczkę, w kurczach przedśmiertnych.

Przyznam się, że przejął mnie lęk przed fatalną mumją. Zaniechałem fotografowania

mumji i zawiadomiłem o tem kierownictwo muzeum. Dowiedziałem się, że w muzeum wybuchła istna rewolucja pałacowa. Wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób stykali się z mumją, ponosili jakieś niewytłumaczone straty, ulegali katastrofom lub marli. Dwaj woźni, którzy przewozili mumję z domu pani D., która już leżała na łożu śmiertelnem, do muzeum, utonęli następnego dnia, zaś szofer złamał nogę w tym samym dniu jeszcze. Dozorcy muzealni stawili wreszcie kierownictwu ultimatum, żądając usunięcia mumji, pod groźbą gremjalnego porzucenia pracy. Podobno zrobiono wówczas kopję mumji, a oryginał umieszczono w podziemiach muzeum.



Rozwinął i otworzył. . . wieko trumny nieszczęsnej mumji z British Museum.

Lata mijały. Zapomniałem już prawie o tej niesamowitej historji. Wtem zaskoczyła mnie wiadomość o śmierci pewnego krewnego w Ameryce, która zmusiła mnie do wyjazdu do Stanów, w sprawach rodzinno-majątkowych. Zamówiłem więc miejsce na nowym olbrzymie oceanicznym, który niebawem miał wyruszyć w pierwszą podróż transatlantycką.

Na dwie godziny przed odjazdem ulokowałem się w przepysznej kabinie, radując się spodziewanemi uciechami podróży na najpiękniejszym i największym w świecie okręcie. Kabina moja była dwuosobowa. Krótko po mnie przybył mój towarzysz podróży. Gdy się przedstawił, ucieszyłem się bardzo. Znałem go już bowiem z prasy naukowej jako świetnego historyka sztuki i czołowego w Ameryce egiptologa.

— Statek jest tak przepełniony — rzekł do mnie — że nie mogłem już znaleźć osobnej kabiny. Mam nadzieję, że nie będziemy panu zawadzali i że odbędziemy podróż morską w wesołej kompanji.

Te słowa zdziwiły mnie nieco.

— Pan mówi w liczbie mnogiej — odrzekłem. — To przecież jest kabina na dwie osoby tylko?

— Nic nie szkodzi, — odparł z uśmiechem. — Moja przyjaciółka nie będzie panu zawadzała!

— Przyjaciółka?

— Oto ją właśnie wnoszą...

Ustawił staranie pakunek podobny do niewielkiej szafy, rozwinął i otworzył... wieko trumny nieszczęsnej mumji z British Museum.

— Zna ją pan?

— Znam ją! — odrzekłem skonfundowany. — Skąd pan ją ma?

— To ciekawa historja — odrzekł ze śmiechem Amerykanin. — Przyjechałem kilka tygodni temu do Londynu, aby zobaczyć tę mumję. Pokazują mi falsyfikat. Zaraz się na nim poznałem i zrobiłem awanturę. Wówczas naczelny dyrektor British Museum poprosił mnie do siebie i wtajemniczył w całą historję. Jakieś tam strachy, tajemnicze zgony i wypadki i tak dalej. Zaprowadził mnie do podziemi i pokazał oryginał. Zaproponowałem mu odrazu kupno tej mumji dla Ameryki. Pertraktacje trwały dwa tygodnie, dolary szły szybciej. Ostatecznie nabyłem ten okaz i wiozę go do Wuja Sama, który do przesądów Europejczyków nie przywiązuje wagi. Mam przeto zaszczyt przedstawić panu, według katalogu British Museum, księżniczkę niewiadomego nazwiska z rodu Faraonów, zarazem kapłankę boga Ammon-Ra. Dama nie jest już pierwszej młodości, urodziła się bowiem jakieś 1600 lat przez Narodzeniem Chrystusa.

Zrobiło mi się jakoś dziwnie. Amerykanin krzątał się około swoich walizek. Spoglądałem ukradkiem na sztywną postać księżniczki z rodu Faraonów i zdawało mi się, że widzę w zeschniętych rysach mumji drgawki złośliwego uśmiechu, który widziałem na zdjęciach mego zmarłego kolegi.

Niezdecydowany wyszedłem na pokład. Z trudem odszukałem kapitana i przedstawiłem mu rzecz, prosząc o pozostawienie mumji w porcie, celem przewiezienia jej statkiem towarowym lub przynajmniej o ulokowanie

"TITANIC".*)



*) *"Titanic", jak wiadomo, uległ w drodze do Ameryki strasznej katastrofie, najechawszy na górę lodową. W katastrofie tej zginęło około 2,000 osób.*

jej gdzieindziej.

Kapitan przekonał mnie jednak z wyszukaną grzecznością o tem, że ma ważniejsze obowiązki do spełnienia. Czas mijał szybko. Już tylko godzina dzieliła nas od odjazdu.

Wróciłem na ląd, wziąłem taksówkę i popędziłem do dyrekcji agentury żeglugowej. Dyrektorzy zajęci. Musiałem czekać. Wreszcie dotłoczyłem się. Perswadowałem, tłumaczyłem, błagałem. W odpowiedzi nalegano, bym pośpieszył zpowrotem, aby się nie spóźnić na statek. Im bardziej się denerwowałem, tem wyraźniej odczuwałem drwiący posmak mających mnie uspokoić odpowiedzi.

O mało co, a byliby mnie nazwali manjakiem i hipochondrykiem, nadużywającym cierpliwości tych panów.

Wróciłem na statek. Już musiała tam krążyć wśród rozbawionego tłumu pasażerów wieść o dziwaku, który obawiał się sąsiedztwa mumji. Stłumione śmiechy, niedomówione dwuznaczniki i żartobliwe oferty o zamianę miejsca chłostały moje uszy i nerwy. Nie namyślałem się długo i już nie wahałem. Gdy zahuczał drugi znak syreny kazałem wynieść moje kufry zpowrotem na przystań. Byłem głuchy na docinki i nie zważałem na perswazje.

Odetchnąłem dopiero, gdy siadłem do stolika przed przybrzeżną restauracją. Kazałem sobie podać wody sodowej z cytryną, dziwiąc się sam mej stanowczości i odporności.

Półprzytomnym jeszcze wzrokiem śledziłem, jak statek odpływał od przystani. Okrzyki pożegnalne i wiewanie chustkami ciżby na pokładach stłoczonej wydawały mi się szyderstwem, zwróconem umyślnie ku mnie. Twarze oddalających się pasażerów zdawały się zlewać w jeden grymas złośliwego uśmiechu mumji...

Wypiłem duży haust wody sodowej z whisky, chcąc stłumić jakieś nieokreślone uczucie zażenowania, że nie umiałem zapanować nad nerwami! Spojrzałem raz jeszcze za odpływającym olbrzymem.

Tysiączny tłum pasażerów zlał się już w jedną falującą masę bezimienną. Jedynie imię statku świeciło jeszcze wdali wielkiemi, złocistemi literami: "T I T A N I C"...

MARJA KONOPNICKA

BOGARODZICA

Nigdym ja ciebie, ludu nie rzuciła,
nigdym ci mego nie odjęła lica,
ja po dawnemu moc twoja i siła!
LUD: *Bogarodzica!*
Rzeszom ja swoim skroś zmierzchów hetmanię
jako w zaranie.

Przed tobą idę i przed tobą stoję,
z bojowem hasłem, z piór orlich szelestem,
a kiedy ducha bierzesz na pierś zbroję,
tarczą ci jestem...
I w klęsce nawet w blask odziewam złoty
poległe roty.

Sztandar ja niosę ponad ziemię wzbity,
iżby go oczy gasnące widziały,
a iżby znak mój powiewał w błękity,
jak za dni chwały,
sztandar ja niosę, a nie puszczam z ręki
mimo wiek męki.

A choć go dzisiaj wiatr nie żenie chyży,
co Orły Białe porywał na boje,
choć poczerniały u mogił, u krzyży
proporce moje,
lecz żołnierzowi sztandar i zwinięty
drogi a święty!...

Żołnierze sąście zawołania mego
i mej chorągwi towarzysze wierne,
a poprzez wieki rubieży mych strzegą
duchy pancerne...
Żołnierze sąście, sąście kość orłowa,
rycerzy słowa!

A ja was wiodę i stawiam, gdzie trwoga,
przez sioła, grody, a przez ziemie rolne...
i tak sprawuję dane mi od Boga
hetmaństwo polne...
Od mej buławy idzie rozkazanie
szumem po łanie.

A ja was wiodę, niewiasty i męże,
na mury fortec i na twierdzy bramy,
bo choć dziś inne bronie i oręże,
lecz bój ten samy!
A przebojowan musi być i będzie
w mojej komendzie.

Ten tylko bowiem lud upada w cienie,
który sam sobie nie dochował wiary,
temu, co stracił sztandaru widzenie,
na nic sztandary!
Mocnym i wiernym duchom ja przewodzę
w wolności drodze.

A wy nie czujcie się jak luza marna,
co krzykiem trwogi przed bojem wybucha,
lecz jako zwarta chorągiew i karna
na żołdzie ducha,
i jak rycerstwo, któremu hetmani
Niebieska Pani.

Tak odnowione jest zaprzysiężenie
hetmaństwa mego i rycerskiej wiary...
A teraz — wznieście nad groby i cienie
Światła sztandary!
LUD: *Bogarodzica!*

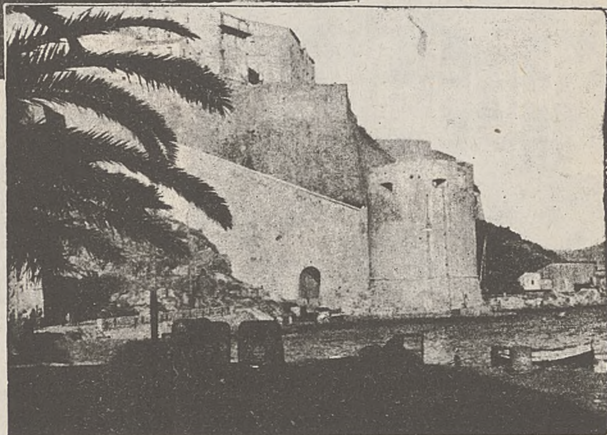
KORSYKA I KORSYKANIE

KORSYKA — kraj słońca, gór, skał i romantycznej legendy. Ojczyzna Napoleona. Należąca do Francji, ta wyspa jest jednym z najpiękniejszych i najciekawszych zakątków starej Europy. Wzgórza, pokryte gąszczem krzewów, ciche zatoki, stare fortece i mury średniowieczne składają się na oryginalny i malowniczy krajobraz tego kawałka ziemi, będącego wspomnieniem licznych walk i rewolucyj, jakie miały tam miejsce od niepamiętnych czasów. Różne koleje przechodziła Korsyka przez szereg stuleci. Byli tu Rzymianie w okresie swego największego rozkwitu, byli niszczycielscy Wandale, rościli sobie prawa do Korsyki Hiszpanie, długi czas mieli ją w posiadaniu Genueńczycy. Dopiero dobrowolne przyjęcie przynależności do Francji w XVIII stuleciu położyło kres przechodzeniu Korsyki z rąk do rąk.

Teraz potomkowie dawnych Korsykan prowadzą spokojne życie rybaków, rolników hodowców trzód kóz lub owiec i wytwórców słynnych win korsykańskich. Ci zaś, którzy nie oddają się żadnemu z wspomnianych zawodów, budują hotele i letniska i oczekują na "sezony", które corocznie sprowadzają na Korsykę tysiączne tłumy turystów i letników.



Obok: Ogólny widok górnej części miasta Calvi na Korsyce.



Część starej fortecy Calvi.

Korsyka jest ojczyzną 'vendetty' — zemsty idącej z pokolenia w pokolenie, póki wojujące z sobą rody nie wyginą. W szesnastym wieku, w okresie ciągłych rozruchów i anarchji prawo vendetty faktycznie rządziło Korsyką. Dochodziło w owych czasach do tysiąca zabójstw rocznie. Obecnie jednak stosunki zmieniły się zupełnie, a krwawe opowieści są przeważnie sztucznym pokarmem dla żądnych sensacji cudzoziemców, którzy kupują na pamiątkę tandetne nożyki z napisem: "Morte al nemico" — śmierć wrogowi. Nożyki te są przeważnie wyrabiane jako artykuł masowy w Niemczech i Włoszech.

Bandytyzm jest jeszcze w dzisiejszych czasach mocno rozpowszechniony na Korsyce. Inni są jednak dzisiejsi korsykańscy bandyci niż ci z przed stulecia, którzy wspierali ubogich, oddając im zabierane bogaczom mienie, i uchodzili za pewnego rodzaju bohaterów. Dzisiejszy bandyta korsykański niczem nie różni się od zwykłego rabusia, uprawiającego swój proceder z bezwzględnością i sprawia żandarmerji francuskiej niemało kłopotu, gdyż bandyci grasują nietylko pojedyńczo, ale nawet w całych bandach w pełnem uzbrojeniu, pod wodzą wytrawnych złoczyńców.

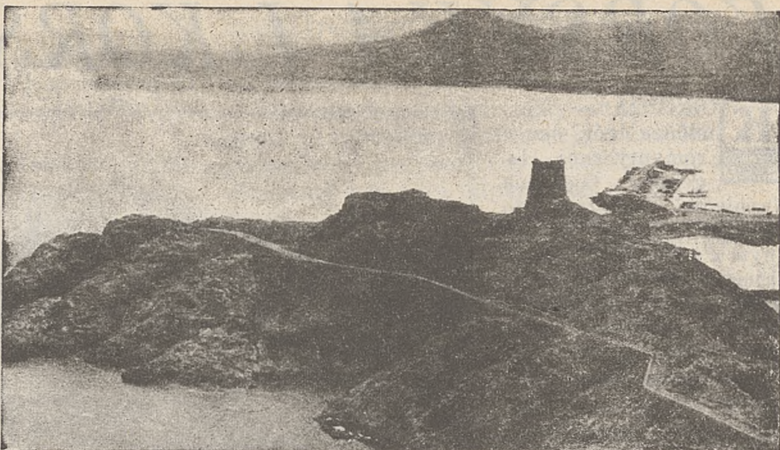


Najpiękniejsza ulica Calvi. Kawiarnie na wybrzeżu.

Najpiękniejszą porą roku na Korsyce jest kwiecień i maj, okres kwitnienia drzew i krzewów. Roślinność tej wyspy jest

różnorodna. Z drzew wysuwają się na pierwszy plan olbrzymie kasztany, z których owocu wyrabiano niegdyś mąkę. Teraz Korsyka wywozi owoc kasztanów zagranicę w surowym stanie, a część idzie na użytek ludności jako pokarm dla ludzi i pasza dla trzód. Dalej idą oliwki, pinje, wiąz, jesion, cedr, eukaliptus i drzewo korkowe.

Drapieżnych zwierząt ani gadów jadowitych na Korsyce wcale niema. Zdarzają się bardzo rzadko skorpjony, których też mieszkańcy bardzo się wystrzegają, a z pośród owadów dokuczliwie dają się we znaki czerwone mrówki, których ukąszenie bywa mocno bolesne, chociaż nieszkodliwe dla zdrowia.



Isle Rousse, z malowniczą latarnią morską, w pobliżu Korsyki.



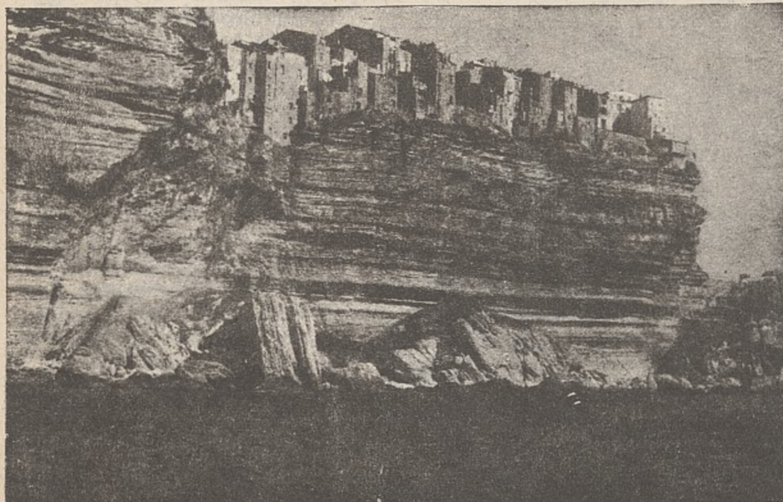
Ajaccio. Dom, w którym urodził się Napoleon Bonaparte.

Z okolic położonych dalej od miast wszelkie przewożenie owoców i produkty gospodarskie odbywa się na osiołkach, na których też jeżdżą i mieszkańcy, a przeważnie kobiety. Zabawny jest widok jadącej na osiołku Korsykanki z koszami pełnemi winogron, fig lub pomidorów, podążającej na targ do najbliższego miasta.

Głównemi miastami Korsyki są: Bastia, stolica handlowa, Calvi, port i bardzo stare miasto, składające się z dwóch miasteczek o zupełnie odrębnym charakterze, z których jedno ma wybitne cechy średniowiecza, otoczone odwiecznym fortecznym murem, z uliczkami wąziutkiemi i pochyłemi, walącemi się ze starości kamiennemi domami. Dalej idzie Ajaccio, gdzie urodził się Napoleon Bonaparte, licznie odwiedzane przez turystów z całego świata. Przechował się do dnia dzisiejszego dom, w którym urodził się Napoleon, wraz z całkowitem urządzeniem z czasów dzieciństwa wielkiego cesarza Francji. Bonifacio, miasto-forteca na wzniesieniu białych, wapiennych skał nadmorskich. Wzdłuż skały wykute schody, zwane Aragań-



Bonaparte
Uliczka w Ajaccio.



Malowniczy widok starej fortecy w Bonifacio na Korsyce.

skiemi, starożytne mury warowni i ślady zwodzonego mostu. Wszystko nosi na sobie wyraźne cechy średniowiecza i wymownie świadczy o ciągłych wojnach i przewrotach, jakie przez szereg stuleci odbywały się na wojowniczej Korsyce. Jedyną w swoim rodzaju osobliwością miasta Bonifacio jest słynna grota Stragonato. Przez otwór w skałach wpływa się do wnętrza groty, gdzie światło pada zgóry przez sklaną szczelinę. Woda jest tam niepokalanie czysta i pozwala obserwować każdy najmniejszy szczegół na samem dnie. Widzi się każdą muszlę, kamyki, meduzy, setki najrozmaitszych ryb i raczków morskich, a wszystko to cudownie wygląda na tle zielonych wodorostów i sprawia wrażenie przecudnie tkanego kobierca. Mieszkańcy Bonifacio pysznią się swą niezwykłą grotą i chętnie wożą do niej turystów, aby poza wynagrodzeniem za przewóz, słyszeć głośne wyrazy zachwytu cudzoziemców.



Wejście do starożytnej fortecy w Bonifacio.



Port rybacki w Bastji.



Obok: Przed wyjazdem na połów ryb.

Porty Korsyki mają swój odrębny charakter. Ruch w nich panuje jak w każdym porcie rybacko-owocowym. Skrzynie brzoskwiń, migdałów, winogron, owoców cedru, piętrzą się w oczekiwaniu na załadowanie. W powietrzu unosi się specyficzna woń ryb, czosnku i gnijących odpadków. Na brzegach schną sieci rybackie a w knajpach i barach portowych gromady marynarzy popijają "grenadine" — jasne piwo z sokiem granatowym, i tańczą ochoczo, przeważnie mężczyźni z mężczyznami.

Domy stare, z wejściami, obłożonemi kawałkami marmuru i nieodstępnemi kołatkami w kształcie wiszących młotków. Przy drzwiach potężne zamki z wielkiemi kluczami. Nad schodami arkady. Przed oknami mnóstwo klatek z ptakami. Wszędzie porozwieszane wieńce cebuli i czosnku. Na sznurach powiewają, niby barwne chorągiewki, kolorowe koszule i sukienki, suszące się po praniu. Wszędzie brudno nie do opisania. Ulice zaśmiecone, domy odrapane i zaniedbane. Wielojęzyczny gwar na uliczkach portowych — oto obraz korsykańskiego portowego miasta.

Marynarze korsykańscy, rybacy żołnierze i malarze w zawadjackich kapeluszach, tłumami przechadzają się po porcie i coraz to wstępują na grenadinę do barów, gdzie usługują niezmiennie gospodynie i dziewczęta w czerwonych sukniach, ze złotemi kołami w uszach, z wpiętemi kokieteryjnie w czarne włosy fantastycznych kształtów grzebieniami.

A wgłębi kraju, gdzie całe przestrzenie ziemi pokryte są zaroślami, skrzętni rolnicy wydzierają przyrodzie kawałki uprawnej roli, wypalając zarośla i zaorywując powstały stąd popiół. Ziemia ta jest dosyć urodzajna i przez kilka lat daje niezłe plony bez dodawania nawozu, o ile jest odpowiednio nawodniona. Ludność korsykańska nie zalicza się do bardzo zamożnych. Większość Korsykan ciężką prowadzi walkę o zdobycie środków na utrzymanie. Tylko posiadacze ziemi w pobliżu najurodzajniejszej części Korsyki, w okolicy Cap Corse, są ludźmi zamożnymi, stamtąd bowiem wychodzi największa ilość wywożonych owoców, wina i wczesnych warzyw.

O. Henry

URATOWANY HONOR

Nowela

POŁOWĘ tego opowiadania możecie przeczytać w archiwum urzędu śledczego w New Yorku, drugą zaś w księdze kasowej jednego z najpoczytniejszych naszych dzienników.

Pewnego popołudnia, a było to mniej więcej w dwa tygodnie po zamordowaniu znanego miljonera Rufusa Norcrossa, morderca, przechodząc przez ludny i gwarny Broadway, wpadł, że się tak wyrażę, w otwarte ramiona agenta policji Barnarda Woodsa.

— Kogo ja widzę! To ty, Johny Kernan! — zawołał detektyw z radosnem zdziwieniem.

— Ja, bracie, w mojej własnej osobie — odrzekł serdecznie Kernan. — A ty, bracie, toć przecie jesteś Barnardem z lubego i kochanego miasta San-Yo? A to dopiero trafunek! Cóż to, czy przyjechałeś w pościgu za jakim frajerem z Zachodu?

— Jestem w New Yorku już od pięciu lat — rzekł Woods — i służę w policji jako detektyw.

— Doskonale, bracie, doskonale! — zawołał Kernan, klepiąc detektywa przyjaźnie po ramieniu.

— Wiesz co, zajdźmy na chwilę do kawiarni — zaproponował agent policji. — Usiądziemy w zacisznym kąciku i pogadamy. Dobrze?

Nie było jeszcze czwartej. Biura i sklepy nie wysypały na ulice wielotysięcznej rzeszy pracowników. Nietrudno było o wygodny i zaciszny stolik w kawiarni Millera. Kernan, bajecznie ubrany, imponujący zimną krwią, która go nigdy, nawet w najkrytyczniejszych momentach nie zawodziła, zajął miejsce nawprost mizernego i niebardzo wykwintnie ubranego detektywa, skubiącego nerwowo kilka włosów pod nosem i świdrującego sąsiada swemi małemi czujnemi oczkami.

— W jakiej-że branży teraz pracujesz? — zapytał Woods. — O ile mnie pamięć nie myli, wyjechałeś z San-Yo o rok przedemną.

— Ja? Ja, bracie pracuję w akcjach miedzi. Za kilka dni otwieram kantor. No, no, mój stary, zacny przyjaciel Barnard jest teraz w policji, jako detektyw... Przypominam sobie, że zawsze marzyłeś o podobnej posadzie i uśmiechało ci się stanowisko detektywa...

— No tak. Zanim zacząłem tu pracować byłem półtora roku z wami. Ale nie poto cię tu przyprowadziłem, żeby o tem mówić. Przedewszystkiem muszę ci powiedzieć, że miałem na oku twoją działalność począwszy od kradzieży w Grand-hotelu w Saratodze zeszłego roku. Ale mokra robota, o ile mi wiadomo, to u ciebie pierwszyzna. Poraz pierwszy zrobiłeś użytek ze spluwy... Powiedz mi, Johny, poco ci było tak się wkopywać? Dlaczego zabiłeś tego biednego Norcrossa?

Kernan, bynajmniej nie stropiony, przyglądał się uważnie skórce cytrynowej pływającej po wierzchu cocktailu. Nagle podniósł na detektywa bystre oczy, w których zajaśniał wesoły, a równocześnie niesamowity jakiś ognik.

— A jakże ty to odkryłeś, bracie drogi? — zapytał. — Zdawało mi się, że robota była gładko wykonana, że nikt...

Woods położył na stoliku ołówek w złotej oprawie, ozdobiony małemi breloczkami.

— Podarowałem ci ten ołówek na Boże Narodzenie, pamiętasz, ostatniego roku w San-Yo. Mam jeszcze brzytew, którą wzamian od ciebie wtedy dostałem. Więc, widzisz bracie, ołówek ten znalazłem przypadkowo na dywanie w sypialni Norcrossa... Teraz muszę cię uprzedzić, że wszystko co powiesz, będzie powtórzone w sądzie. Bardzo mi cię żal, Johny, ale teraz już nie wykręcisz się sianem... Nasza stara przyjaźń to jedna rzecz, a to znów inna. Za zamordowanie Norcrossa posiedzisz sobie bracie na fotelu elektrycznym.

Kernan zaczął się śmiać swobodnie.

— Nie bój się, mój drogi! Moje szczęście nigdy jeszcze mnie nie zawiodło. Ale ktoby to pomyślał, że mój stary przyjaciel Barnard będzie mnie tak prześladował...

Nagle ręka jego skryła się pod marynarkę. Ale w tej samej chwili rewolwer Woodsa, szybki jak błyskawica, dotknął lufą jego czoła.

— Nie rób głupstwa, bracie, — rzekł Kernan nie drgnąwszy nawet. — Poprostu chciałem cię wypróbować. Teraz już wiem... Jak to powiadają: trzeba aż siedmiu krawców, żeby zrobić jednego dżentelmena, ale jeden wystarczy krawiec, aby dżentelmen przestał być dżentelmenem. Popatrz, dziurawa kieszeń. Schowaj swoją spluwę, Barnardzie i wysłuchaj mnie. Ołówek wsunąłem do kieszeni przed wejściem do starego, żeby przypadkiem nie zgubić go wrazie szamotania... I ot, widzisz, że to na nic się nie zdało... Norcross wyciągnął pistolecik, maleńki jak zabawka. Nie było rady, musiałem go uciszyć...

— Uprzedziłem cię, abyś mi nic nie opowiadał — rzekł detektyw.

— Et, głupstwo! Co tam! — odrzekł Kernan. — Cały bagaż mam w walizie w hotelu. A teraz powiem ci, dlaczego tyle gadam, nie krępując się twoją obecnością. Bo, widzisz bracie, wiem,

że mam do czynienia z człowiekiem, którego znam jak zły pieniądz. Jesteś mi winien tysiąc dolarów i wiem, że póki nie zwrócisz mi tego długu, mogę być całkiem spokojny, że nic złego mi nie zrobisz.

— Pamiętam o tym długu — odezwał się Woods. — Dałeś mi wtedy dwadzieścia pięćdziesiątek, nie żądając nawet rewersu. Byłem wtedy w wielkiej potrzebie. Kiedy wróciłem do domu, komornik już wystawiał meble na ulicę.

— I dlatego ty, Barnard Woods, człowiek honoru, o ile są i tacy na świecie, nie zrobisz mnie, swemu wierzycielowi, żadnej krzywdy. Żeby nie zginąć marnie, muszę znać się na ludziach równie dobrze, jak na zamkach i kasach. Siedź więc spokojnie i pozwól mi zawezwać kelnera. Od kilku lat męczy mnie straszne pragnienie, którego nie mogę zaspokoić. Jeżeli mnie kiedy przyskrzynią, to chyba stanie się z winy raczej sznapsa niż policji. Tymczasem jestem jeszcze tak ostrożny, że bezpośrednio przed robotą stronię od pijatyki. Zresztą pal djabli wszystko, cieszę się niewymownie, że mogę wypić zdrowie starego Barnarda. Czego się napijesz?

Kelner przyniósł zamówione napoje. Gdy się wycofał, Woods, bawiąc się ołówkiem na stoliku, rzekł smutnym głosem:

— Masz rację, Johny. Nie mogę ci nic zrobić. Gdybym nie był ci dłużny, żadna rzecz na świecie nie powstrzymałaby mnie od aresztowania cię. Ale teraz... Ciężka to dla mnie chwila, Johny... Moja karjera... Wszystko...

— Rozumiem — zauważył Kernan z akcentem triumfu w głosie. — Znam przecie Barnarda Woodsa... A teraz, zdrowie twoje, bracie...

Woods drgnął gwałtownie. Poczem, mówiąc jakby do samego siebie, rzekł półgłosem:

— Tak, gdybym ci był zwrócił ten dług, gdyby nie było między nami tych pieniędzy, wszystkie kapitały banków newyorskich nie zdołałyby wstrzymać mnie od spełnienia obowiązku. Aresztowałbym cię bez najmniejszego wahania.

— Wiem o tem i doskonale rozumiem — potwierdził Kernan — i dlatego właśnie jestem zupełnie spokojny.

— Są ludzie — podjął detektyw — którzy pogardzają zawodem detektywa. Nie uznają go za sztukę lub za za przyzwoity sposób zarabiania na utrzymanie. Ale ja, uważasz, jestem dumny ze swego stanowiska. I naraz — znalazłem się w pułapce. W tym wypadku detektyw musi ustąpić dłużnikowi... Nie mam wyboru: jako dłużnik muszę wypuścić cię z rąk. Karjera moja jest zwichnięta. Spróbuję szukać innego zajęcia... może w porcie czy gdziekolwiek... Nieprędko zatem odzyskasz swoje tysiąc dolarów, mój chłopcze...

— O, nie szkodzi, mogę poczekać — odrzekł Kernan ze śmiechem. — Chętnie nawet skwituję się z tobą. Przypuszczam jednak, że odmówisz. Ale muszę ci powiedzieć, że od czasu jak dałem ci tę pożyczkę, szczęście zaczęło mi naprawdę dopisywać. Dosyć o tem. Kropka. Jutro jadę na Zachód pierwszym pośpiesznym pociągiem. Znam takie miejsce, gdzie z łatwością potrafię spieniężyć całą biżuterję. Wychyl kieliszek, Barnardzie, i nie zagryzaj się nadaremnie. Wiesz co, bracie drogi, urządzimy sobie dziś pierwszorzędną wstawę! Niech tymczasem sławetna wasza policja tropi mordercę miljonera Norcrossa. Czuję dziś djabelne pragnienie, ale nie boję się zalewać go alkoholem, skoro jestem pod opieką zacnego przyjaciela Barnarda...

Kolejki następowały jedna po drugiej bez końca. Kernan, lekceważąc niebezpieczeństwo, począł zwierzać się detektywowi z bezwstydną fanfaronadą, jaką pobudził w nim trunek. Opowiedział ze wszystkiemi szczegółami o całej serji rabunków.

— Nie, nie mogę ci nic zrobić... Tak, to nie ulega wątpliwości — odezwał się wreszcie Woods, gdy urwał się potok przechwałek Kernana. — Ale lepiej będzie dla ciebie, jeżeli znikniesz na jakiś czas. Gazety zajmują się poważnie sprawą Norcrossa. I tak oddawna się już skarżą, że policja drzemie, a statystyka przestępstw rośnie z tygodnia na tydzień.

Wzmianka o gazetach wtrąciła Kernana w prawdziwą wściekłość.

— Gazety?! — krzyknął. — Gwiżdżę na twoje gazety! Jakby to świat nie wiedział, że połowa tych zadrukowanych szmat to płatne reklamy, druga zaś najzwyczajniejsza bujda i blaga. Czy zresztą jest jaki pożytek z tej całej pisaniny? Wiadoma rzecz, że policja często się blamuje, ale powiedz mi, czego kiedy dokazały te brudne szmaty? Wysyłają na miejsce zbrodni szczury reporterskie, a te przynoszą do redakcji nędzną fotografję kelnerki z pobliskiej knajpy, w której siedzieli cały czas i sączyli cocktaile. Podają ją za narzeczoną jakiegoś gościa z sąsiedztwa, który słyszał "niesamowite odgłosy". Nie bój się, Barnardzie, nie takie to zuchy, żeby wytropić "rycerza majchra i spluwy" jak się wyrażają w swoich artykułach o zbrodni.

— No, nie przesadzaj — zaprzeczył Woods spokojnie. — Są gazety, które znakomicie ułatwiają pracę policji. Naprzykład "Gwiazda Poranna". Niejeden już ślad odgrzała w wypadkach, gdzie policja pozwoliła wcześnie ostygnąć.

— "Gwiazda Poranna"! — warknął Kernan, podnosząc się pompatycznie z krzesła. — Poczekaj, bracie, zaraz ci pokażę, co warta jest twoja "gwiazda"...

W odległości trzech kroków od stolika była kabina telefoniczna. Kernan wszedł do niej i, nie zamykając drzwi, aby Woods mógł słyszeć co mówi, usiadł przy aparacie.

Odszukał w książce telefonicznej numer redakcji "Gwiazdy Porannej".

Woods wpatrywał się pilnie w twarz mordercy, który tymczasem wszczął rozmowę przez telefon:

— Hallo... Czy to redakcja "Gwiazdy Porannej"? Proszę połączyć mnie z naczelnym redaktorem. Kto mówi?... Proszę powiedzieć, że tu mówi morderca miljonera Norcrossa... Ach, to pan, panie redaktorze? Bardzo mi przyjemnie... Tak jest, to ja, zabójca Norcrossa... Chwileczkę, niech pan jeszcze nie zawiesza słuchawki... Nie, nie jestem jednym z tych zbzikowanych narwańców, co to oskarżają się o niepopełnione zbrodnie. Bo i cóż ja ryzykuję... Właśnie mówimy o tem z jednym detektywem, moim dawnym przyjacielem... Jutro będzie piętnaście dni, jak zastrzeliłem tego dziada, o pół do trzeciej nad ranem... Chce pan napić się ze mną? E, panie redaktorze, nie rób pan z siebie błazna... Czy naprawdę nie potrafi pan odróżnić poważnego interesanta, który może się przysłużyć redakcji, policji i ojczyźnie, od półgłówka, intrygującego ludzi przez telefon. Mój adres? No, to chyba byłoby za wiele, mój panie. Dlaczego telefonuję? Bo powiadają mi, że pan jesteś specjalistą od rozwikływania tajemniczych zbrodni... Niech no pan poczeka, to jeszcze nie wszystko... Chcę panu oświadczyć, że ta wasza idjotyczna szmata wraz z wszystkiemi waszemi szczurami reporterskiemi i panem, nie potrafi nigdy wytropić prawdziwego zbrodniarza. Co pan mówi?... Nie, panie redaktorze, to nie konkurent pański chce nabić pana w karafkę... To ja, słyszy pan? Ten, który zabił Norcrossa. Całą biżuterję mam u siebie w hotelu, w walizce. Jutro może pan napisać "adres hotelu jest chwilowo jeszcze nieznany". To przecież wasz ulubiony zwrot, prawda? Bawi pana, że znakomity zbrodniarz dzwoni do pana, aby powiedzieć, że ta pańska gazeta, ten "najpotężniejszy organ ładu i sprawiedliwości", jak to powtarzają wasi idjotyczni czytelnicy, to nędzny, łajdacki i bezużyteczny świstek... Słyszę, że pan się śmieje... Ale przyznaje pan, że mam rację... Poznaję z pańskiego głosu... Teraz powiem panu redaktorowi szczegół, który pana olśni... Wasi zachwycający reporterzy nie mają nawet pojęcia o tem, że oderwałem guzik z nocnej koszuli mamy Norcross... Otóż zachowałem ten guzik na pamiątkę... Jak się to stało? Prosta rzecz: chciała mi przeszkodzić ściągnąć jej z palca pierścionek z granatem, który brałem za rubin, więc...

Zwracając się nagle do Woodsa, Kernan rzekł:

— Połączył się z centralą przez inny aparat i zapytał z jakim numerem rozmawia. Powiem mu jeszcze dwa słówka, a potem damy nogę...

Znów ujął słuchawkę:

— Hallo... Tak, to jeszcze ja. Może pan redaktor myśli, że chcę zwiać z obawy przed pańskim brudnym świstkiem, który utrzymuje się z szantażu i korupcji? Co? Będzie mnie pan miał przed upływem czterdziestu ośmiu godzin? Tere fere kuku! Nie, przyjacielu, patrzy pan za wysoko... Niech się pan zajmuje rozwodami miljonerów, zaginionemi suczkami i opisami przyjęć urodzinowych... Niech pan drukuje spokojnie wszelkie obrzydliwości, które was utrzymują, ale mnie, bratku, mieć, to już nie! Nie dla psa kiełbasa! Mam ochotę przyjść tam do waszej spelunki i pogadać z wami osobiście. Bo gdzież mógłbym być bezpieczniejszy, jak w tem gnieździe głupoty i naiwności? No, ta, ta!

— Wścieka się jak kotka, która wypuściła myszkę — rzekł Kernan odchodząc od telefonu. — A teraz, przyjacielu Barnardzie, rozpocznie się prawdziwa zabawa. Potrwa bez przerwy aż do samego rana, a potem w drogę, przyjacielu!

Zjedli razem obiad w restauracji na Broadwayu... Kernan w doskonałym humorze, w najwyższym stopniu zadowolony z siebie, szastał pieniędzmi bez zastanowienia. Po obiedzie spędzili kilka godzin w kinie na sensacyjnym filmie. Kolacja z szampanem była godnem zakończeniem tych libacyj.

Nad ranem obaj znaleźli się w nocnej restauracji w dzielnicy, gdzie co krok była redakcja jakiegoś pisma. Morderca nie przerywał swych przechwałek, Woods zaś, myśląc o zwichniętej karjerze wpadał w coraz większe przygnębienie. Naraz jakaś myśl strzeliła mu do głowy i napełniła go otuchą.

— Gdybyż to było możliwe! — szepnął do siebie. — Ach, gdyby to było możliwe!

Ulica rozbrzmiewała już pierwszemi odgłosami dnia. Zrazu przejawiały się w rzadkich krzykach, rozdzierających ciszę nocną; potem w zgiełku tramwajów, turkocie wózków mleczarskich, ogrodników, w przeraźliwych wrzaskach sprzedawców gazet, biegnących po świeże z pod prasy dzienniki. Troski, zmartwienia i trudy świata, który budzi się do swych codziennych zadań...

Woods wcisnął pięć centów zaspanemu chłopakowi.

— "Gwiazdę Poranną" — rzekł.

Rozwinął wilgotny jeszcze, pachnący farbą drukarską arkusz, rzucił przelotne a badawcze spojrzenie na pierwszą kolumnę, poczem błyskawicznie wyrwał białą kartkę z notesu i zaczął gwałtownie coś gryzmolić.

— Co piszesz? — zapytał Kernan, zataczając się ze znużenia.

I pomału odsylabizował słowa, które Woods w jego oczach pisał ołówkiem:

"Do Administracji "Gwiazdy Porannej": — Proszę wypłacić Johnowi Kernan tysiąc dolarów, jako przyrzeczoną nagrodę za wykrycie mordercy Norcrossa.

Barnard Woods".

W tej samej chwili detektyw nałożył kajdanki na ręce zbrodniarza.

— Teraz — rzekł — ponieważ jesteśmy skwitowani, John Kernan, pójdziesz ze mną do biura policji!

A. N.

SKANDAL NA AKADEMJI

HUMORESKA

PROFESOR doktór Knot był na imieninach. Nic więc szczególnego, że urznął się. Urznął się, czy inaczej mówiąc "ululał się" należycie, dokładnie, zupełnie i kompletnie.

Fakt ten sam w sobie nie jest niczem godnem specjalnej uwagi. Wypadki urznięcia się zdarzają się nierzadko. W najporządniejszych rodzinach. Najsolidniejszym ojcom rodzin. Zdarzają się we wszystkich sferach, ludziom wszelkiego wieku i płci.

Jeżeli urznie się przeciętny szary człowiek, to dla potomności jedynym śladem tego będzie najwyżej protokół policyjny, niezapłacony rachunek w knajpie, albo parę zbitych luster i potłuczonych kieliszków.

Ale to urznął się nie zwykły, przeciętny śmiertelnik, ale profesor doktór Knot. Znakomity myśliciel i wynalazca. Filozof. Chluba nauki. Świecznik społeczeństwa. Filar wiedzy. As. Człowiek ogólnie znany, niemal tak, jak trzeciorzędna gwiazda filmowa.

* * *

Na drugi dzień po owych tragicznych imieninach, które spowodowały fatalne urznięcie się profesora doktora Knota, znakomity uczony i myśliciel, oblany rumieńcem wstydu wspominał sam sobie swoje pijackie wyczyny.

— Byłem wprost niemożliwy — myślał. — Naraziłem się na pośmiewisko i obraziłem w stanie nietrzeźwym kilka wybitnych osób. Pod wpływem przeklętego alkoholu powiedziałem kilku dygnitarzom słowa prawdy i jasno oznajmiłem im co o nich myślę. Chcieli obrócić wszystko w żart, ale widziałem, jak bardzo byli oburzeni na mnie. Dziwna rzecz...

Jak błyskawica przeleciała mu przez mózg myśl:

— Hm... jeżeli alkohol wywiera taki wpływ, to czy nie możnaby tego naukowo wykorzystać? Czy nie możnaby z alkoholu i innych silnych narkotyków sporządzić jakiegoś środka, który, nie pozbawiając ludzi przytomności, jak to czyni często sam alkohol, zmusiłby ich do wypowiadania prawdziwych myśli? Czy nie możnaby wynaleźć środka, któryby bez wiedzy człowieka i bez jego woli paraliżował komórki mózgowe rządzące kłamstwem i zmuszał do mówienia bezwzględnej prawdy? Hm... Przecież ja sam pod wpływem alkoholu mówiłem nic więcej, jak tylko prawdę... Trzeba spróbować!

Profesor doktór Knot usunął się zupełnie z życia towarzyskiego, w którem dotychczas brał żywy i czynny udział. Zamknął się w swem zacisznem laboratorjum i nie widując nikogo, pracował niezmordowanie.

Pracował tydzień, drugi, miesiąc, lata całe. Po dwóch latach prób, błądzeń, doświadczeń i dociekań, praca profesora doktora Knota została uwieńczona znakomitym wynikiem. Przedewszystkiem wypróbował nową kombinację na sobie samym. Po próbie odetchnął z ulgą:

— No, tym razem musi to już być to, czego tak długo szukałem. Lekarstwo na blagę, obłudę, gałsz i kłamstwo. Płyn, który nazwę "Prawdolinem". Zanim jednak oddam mój wynalazek na usługi całej ludzkości, muszę przeprowadzić jeszcze próbę na kim innym.

Włożył buteleczkę z "Prawdolinem" do pudełeczka, schował troskliwie do kieszeni, włożył palto i kapelusz i opuścił laboratorjum, z zamiarem wypróbowania cudownego płynu.

W kupionej na ulicy gazecie profesor doktór Knot przeczytał między innemi wiadomościami następującą notatkę:

"W dniu dzisiejszym w sali Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbędzie się uroczysta akademja na cześć Ewarysta Pudela, który obchodzi jubileusz czterdziestoletniej pracy dla dobra ludzkości. Kim jest Ewaryst Pudel, jakie są jego zasługi wobec ludzkości i kraju, nie potrzebujemy wspominać. Nie wątpimy, że najszersze sfery naszego społeczeństwa nie omieszkają stawić się na akademję, aby swą obecnością oddać zasłużony hołd temu wielkiemu człowiekowi i uczonemu".

* * *

Najszersze sfery społeczeństwa nie zawiodły zaufania autorów notatki w przeczytanej przez profesora doktora Knota gazecie.

Wielka i wspaniała sala Towarzystwa Przyjaciół Nauk była wypełniona po brzegi. Towarzystwo zebrane na sali było różnorodne. Byli tam wytworni, rasowi arystokraci a obok nich szara brać robotnicza. Najmodniejsze fraki dyplomatów z dyskretnemi odznakami orderów ocierały się o siermięgi i sukmany poczciwych prostaczków wiejskich, kmiotków, którzy z najdalszych stron kraju przybyli w delegacjach, aby uczcić jubileusz wielkiego człowieka. Świecące brylantowemi spinkami wielkości korka od butelki gorsy przedstawicieli przemysłu i finansów sąsiadowały z podniszczonemi garniturkami inteligentów. Luksusowe perfumy walczyły o lepsze z wonią siermięg, guń i sukman, z ostrym zapachem naftaliny, dolatującym od oświętnych, odwiecznej mody tużurków wąsatych delegatów mieszczaństwa z prowincji. Sfery społeczeństwa były tam licznie reprezentowane.

Na godzinę przed rozpoczęciem akademji profesor doktór Knot wsunął się chyłkiem do gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk i niespostrzeżony przez woźnych, przedostał się do sali wejściem, przeznaczonem dla prezydjum akademji. W sali nie było jeszcze nikogo. Rozejrzawszy się bacznie dokoła, profesor doktór Knot wyjął z kieszeni maleńkie pudełeczko, wydobył z niego buteleczkę z "Prawdolinem" i wlał kilka kropel do stojącej na stole estradowym karafki z wodą. Poczem wymknął się z sali tylnem wyjściem i jak przyszedł, równie nie widziany przez służbę gmachu wydostał się na ulicę.

* * *

Estrada tonęła w zieleni. Przy stole, nakrytym wzorzystym kilimem, siedziało łyse, siwe, to pomarszczone jak pieczone jabłka, to znów lśniące i czerwone jak pomidor, dostojne prezydjum.

Pośrodku, na honorowym fotelu siedział jubilat, Ewaryst Pudel. Sam w swojej własnej osobie. W oryginale. W naturalnej wielkości. Osobiście. Dobrotliwy uśmiech igrał na dostojnem obliczu jubilata. W sali panował nastrój poważny.

Akademję zagaił prezes Wzdęcki. Wśród ogólnej ciszy chrząknął, skinął głową publiczności i dźwięcznym głosem przemówił do Ewarysta Pudla:

— Czcigodny jubilacie! Z sercami przepełnionemi uczuciami wdzięczności i oddania, zebraliśmy się tu, w tym tak uroczystym dla całego społeczeństwa naszego, co mówię... dla całego świata, dla całego wszechświata nawet, pięknym dniu, aby ci, czcigodny jubilacie, oddać hołd za twą czterdziestoletnią pracę na niwie służby ciężkiej, żmudnej, trudnej, znojnej i twardej, a tak skromnej i ofiarnej dla dobra ludzkości! Czterdzieści lat stałeś niezłomnie na szańcu, broniąc z oddaniem i samozaparciem się niezłomnem tych ideałów, któreśmy po wielkich ojcach i dziadach naszych odziedziczyli, któreśmy z piersi matek naszych wyssali...

Przez czterdzieści lat trwałeś, czcigodny jubilacie, na stanowisku, niosąc krzepką dłonią sztandar, na którym jest wypisane... jest wypisane...

Prezes Wzdęcki zakrztusił się. Sięgnął po stojącą przed nim karafkę, nalał szklankę wody, wypił i ciągnął dalej:

— Na którym jest wypisane: Przedewszystkiem moja ambicja! Ja, tylko ja, muszę być pierwszy! Dla mnie wszystkie godności, zaszczyty, odznaczenia i dla mnie cała sława! Inni — niech w kąt idą! Precz! Ja tylko, ja sam!... Tak! Stara purchawko! To było wypisane na twoim sztandarze, którybyś też chętnie sprzedał najwięcej dającemu, lub którego pozbyłbyś się za byle ochłap popularności!

— Skandal! — wybuchło na sali. — Prezes Wzdęcki zwarjował! Lekarza! Wyprowadzić go! Dosyć!

Powstało zamieszanie. Kilku panów poskoczyło do mówcy. Siłą wyprowadzono go z sali.

Po dłuższej chwili porządek został przywrócony. Zabrał głos następny mówca, wytworny, elegancki, gentleman, znakomity publicysta i polityk, znany krasomówca pan Glenda-Glendalski.

Wytarłszy jedwabną chusteczką usta, pan Glenda-Glendalski zaczął:

— Czcigodny jubilacie! Pozwól, że wytrę łzę wzruszenia, która mi się zakręciła pod powieką... — jedwabna chusteczka z bocznej kieszonki świetnie skrojonego fraka uniosła się ku oczom Glendy-Glendalskiego. — Niech ta łza, łza rozczulenia, którą otarłem, będzie ci najlepszych dowodem uczuć, jakie dziś wszyscy żywimy...

— Czcimy cię, dostojny i czcigodny jubilacie, i co więcej... kochamy... Kochamy, jak ojca i przyjaciela. Kochamy, boś nam dał niezmierny skarb twych najszczytniejszych myśli i drogocenny znój twej bezinteresowanej pracy! Patrząc dziś na twą dostojną postać, myślimy wszyscy: oto ten, który...

Glenda-Glendalski sięgnął po karafkę, nalał szklankę wody i wypił jednym tchem.

— ...oto ten — ciągnął dalej donośnym głosem — który nas nudził i zawracał nam głowy przez całe lat czterdzieści! Ten pęcherz nadęty zarozumiałością i głupotą! Ten stary piernik, zmurszały grzyb, kretyn, który nie pojmuje własnej głupoty i tępoty...

Czcigodny jubilat zbladł, potem zaczerwienił się od fali krwi, która mu do głowy uderzyła, zerwał się z honorowego fotela i zatrzepotał rękami. Aby oprzytomnieć, wypił nieco wody. Ciężko dysząc odpowiedział Glendzie-Glendalskiemu:

— Ty łobuzie wyperfumowany! Ty wyelegantowany chamie! I wy wszyscy tu zebrani! Wy durnie i hołoto! Wiedzcie, że mam was wszystkich w... — znowu wypił trochę wody. — Nie! Omal nie powiedziałem czegoś, co jest fizyczną niemożliwością! Co jest, niestety, niewykonalne! Więc powiem tylko: Mam was wszystkich w pogardzie, nędzna hołoto, któraś mi nie dorosła do pięt i nigdy mnie zrozumieć nie potrafisz!

Na sali wybuchła burza. Przybyła policja ledwo uratowała dostojne prezydjum i czcigodnego jubilata z rąk szerokich sfer społeczeństwa...

Akademja ku czci Ewarysta Pudla zakończyła się niesłychanym skandalem.

* * *

— Zdaje mi się, że nieco zadużo "Prawdolinu" dolałem do karafki z wodą na stole prezydjalnym — powiedział do siebie profesor doktór Knot, po powrocie z akademji do domu. Nieco zadużo...

CMENTARZ Przedhistoryczny w Polsce

W SIERPOWIE, w powiecie łęczyckim, w niewielkiej odległości od toru kolejowego, prowadzącego z Gdyni do Łodzi na niewielkiej polanie leśnej odnaleziono niedawno prastare, bo kilka tysięcy lat liczące sobie cmentarzysko. Na wieść o napotkaniu na tak starożytny zabytek, polscy archeologowie zorganizowali specjalną wyprawę, która dokonała pod kierownictwem znakomitego uczonego, profesora uniwersytetu warszawskiego Władysława Antoniewicza, całego szeregu niezmiernie ciekawych odkryć.



Wykopaliska w Sierpowie. Groby z urnami zmarłych.

Plon pracy wyprawy archeologicznej był bardzo obfity. Odkopano około 170 grobów z przed przeszło trzech tysięcy lat i mnóstwo urn i "przystawek". Z wykopalisk tych uczeni stwierdzili niezbicie, że w owych zamierzchłych czasach nie grzebano umarłych, lecz zwłoki palono na stosach, a popioły zsypywano do urn. Obok urn ze spalonemi kośćmi stawiano w grobach często małe garnuszki, nazwane przez archeologów przystawkami, napełnione jadłem i napojem. Grób zaś cały obwarowywano kamieniami.



Grobowiec biedaków. Urn niema, popioły poprostu zsypane do jamek.

Wykopaliska w Sierpowie pochodzą wyraźnie z epoki tak zwanej bronzowej, to jest z czasów, kiedy nie znano jeszcze żelaza, a posiłkowano się jedynie wyrobami z bronzu czyli mieszaniny miedzi z cynkiem. Z tego też metalu porobione są wszystkie ozdoby i narzędzia znalezione między popiołami zmarłych w grobach Sierpowa.



Ogólny widok przedhistorycznego cmentarzyska w Sierpowie.

Urny, zawierające popioły są robione ręcznie z gliny. Nie znano podówczas kółka garncarskiego. Urna ma zwykle kształt donicy o szerokim otworze z gładką szyją, rozszerzającą się stopniowo ku dołowi w wypukły brzuch, poczem zwęża się w płaskie denko. Na brzuchu urny widać ozdoby wyciskane w postaci zagłębień i rowków.

Pierwsze okazy podobnych urn znaleziono w przedhistorycznem cmentarzysku w Łużycach pod Berlinem i dlatego archeolog niemiecki,

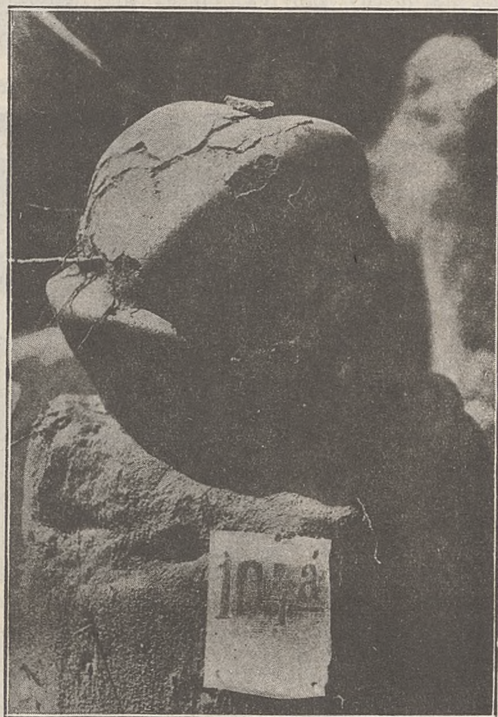
profesor Virchow, nazwał kulturę owoczesną — kulturą łużycką. Wyroby gliniane tego rodzaju znajdowano w całej Europie środkowej. W Polsce najwięcej takich urn glinianych napotyka się na Śląsku, na Mazowszu i w Wielkopolsce południowej.

Wyprawa naukowa w Sierpowie. Przygotowywanie śniadania przed pracami archeologicznemi.

Uczeni całego świata zgadzają się na to, że musiał w owych czasach istnieć jakiś odrębny lud, który stworzył tę kulturę. Skąd ten lud pochodził, jakie były jego początki i jaki koniec — dotychczas uczeni nie stwierdzili, pomimo, że nad rozwiązaniem tego zadania pracują liczni archeologowie, tak polscy jak i obcy.

Uczeni niemieccy usiłują dowieść, że były to ludy pochodzenia germańskiego. Archeologowie polscy i czescy dopatrują się w nich Słowian, którzy w bardzo dawnych czasach zajmowali całe obszary dzisiejszych Niemiec. Oni to mieli dać początek kulturze łużyckiej.

Ta kwestja sporna, traktowana napozór czysto naukowo, w rękach uczonych niemieckich nabiera znaczenia politycznego. Chcą bowiem Niemcy narzucić światu pogląd, że pierwotnymi mieszkańcami Polski i Europy środkowej byli Pragermanie, co wobec niezbitych dowodów archeologicznych i licznych zabytków zamierzchłej starożytności nie zgadza się z prawdą.



Wykopaliska w Sierpowie. Urna z popiołami, przykryta połową drugiej urny.

Z wykopalisk znajdowanych w starożytnych grobowcach, kurhanach i podziemiach uczeni wyprowadzają wnioski co do ówczesnego ustroju społecznego. Okazuje się, że przed tysiącami lat na ziemi naszej panował ustrój patrjarchalny to znaczy, że władza spoczywała w rękach głów rodzin. Dalej stwierdzono, że już wówczas istniała własność i rozmaite były stopnie zamożności poszczególnych osób. Dowody tego znajdują się w odkopywanych grobach. Ludzie zamożniejsi prowadzili bezwątpienia życie wygodniejsze, a po śmierci ciała ich palono i popioły zsypywa-

no do urn mniej lub więcej ozdobnych, zależnie od ich stanu majątkowego. Biedaków zaś, którzy jako przedhistoryczni proletarjusze nie posiadali żadnych majątków, palono i spopielałe ich kości wrzucano poprostu do dołków w ziemi, które przykrywano kamieniami. W niektórych wypadkach wsypane do ziemi popioły przykrywano glinianemi krążkami. Były to widocznie popioły takich zmarłych, których rodziny nie mogły pozwolić sobie na sprawienie urny, a nie chciały, by popioły zmarłego pozostawały tylko pod zwykłym kamieniem.



Sierpów. Jama z popiołami i kośćmi, przykryta krążkiem glinianym.



Grób, odkopany w Sierpowie. Dwie urny, z popiołami zmarłych.

Prace wykopaliskowe, dokonywane pod kierunkiem archeologów, gdziekolwiek są prowadzone, mają doniosłe znaczenie dla wiedzy ludzkiej. Przez badanie wykopalisk, wśród których znajdują się często narzędzia lub sprzęty i broń danej epoki, uczeni łatwiej mogą wyświetlać rozwój kultury człowieka, pochodzenie narodów i ewolucje, jakie przechodziła ludzkość przez tysiące lat, póki nie doszła do teraźniejszego, tak wysokiego stopnia kultury i cywilizacji. To też rządy wszystkich państw świata nie szczędzą wydatków i chętnie finansują wyprawy archeologiczne, wzamian za co archeologowie dostarczają muzeom obfitego materjału wykopaliskowego, służącego za podstawę do dalszych badań nad rozwojem ludzkości.

St. Kowalski

POKRZYŻOWANE PLANY

Nowela

PAŃSTWO Kazimierz i Lucyna Mielewscy byli, jak się to zwykle mówi, przykładnem małżeństwem. Tak przynajmniej wyglądało ich pożycie. Nie złączyła ich wprawdzie płonąca namiętność, ale w każdym razie można powiedzieć, że pobrali się z miłości lub tak im się zdawało. Poznali się gdzieś na wieczorku tańcującym, czy na ślizgawce, ona spodobała się jemu, on znów, jako kawaler przystojny, młody i elegancki, na wysokiem stanowisku, bogaty, a przytem nie liczący się z każdym groszem, wywarł na nią wrażenie więcej niż dodatnie. Przelotna znajomość rychło zamieniła się na ściślejszy stosunek i po upływie kilku miesięcy "narzeczeństwa" stanęli przed ołtarzem.

Pan Kazimierz po pierwszym szale miodowych miesięcy ostygł jakoś i oziębł, ale zawsze okazywał małżonce tyle miłości, ile według jego przekonania wystarczało do dobrego pożycia i wspólnego gospodarstwa. W podobny sposób postępowała i pani Lucyna. W odpowiednich dozach wymierzała mu swą miłość i pozornie była zadowolona z tak ułożonych wzajemnych stosunków.

Między małżeństwem nie dochodziło nigdy do poważniejszych wstrząsów, do scen rozpaczliwych lub wybuchów zazdrości. Małżonkowie żyli sobie spokojnie, umiarkowanie i niejednokrotnie byli stawiani za wzór małżeńskiego pożycia.

Pan Kazimierz całował żonę gdy rano wychodził do biura. Całował ją także i popołudniu, kiedy wracał na obiad, pytał się uprzejmie o jej zdrowie, chodził z nią od czasu do czasu do teatru i bez awantur i szemrania płacił rachunki u krawcowej lub modniarki.

W niedziele wyjeżdżali zwykle własnym samochodem na wycieczki podmiejskie, zabierając z sobą koszyk z prowiantami, które spożywali na łonie przyrody, w cienistym lesie wielkiego folwarku nad rzeką lub w odległej leśniczówce, zamieszkanej przez dawnego sługę rodziny pana Kazimierza.

Przed wieczorem powracali do domu, gdzie niezmiennie składał im wizytę pan Czesław Korwinowski, jeden z podwładnych pana Kazimierza w ministerstwie i administrator jego kamienic. Pan Czesław był młodym człowiekiem, o bardzo ujmującej powierzchowności, znającym dokładnie wszystkich i wszystko w całem mieście. Nikt też nie potrafił lepiej od niego opowiadać o skandalikach towarzyskich i nikt nie miał tak wielkiego zapasu ploteczek, które z upodobaniem szerzył w kołach swych znajomych.

W oczach statecznego pana Kazimierza, Czesław Korwinowski był zwykłym lekkoduchem i trzpiotem. Nie przeszkadzało to jednak pewnemu rodzajowi wdzięczności, jaką żywił małżonek pani Lucyny dla swego referenta i administratora, że ten przyczyniał się do uprzyjemniania i rozweselania niedzielnych wieczorów małżonki. Panu Kazimierzowi bowiem rzadko udawało się rozweselić panią Lucynę, podczas gdy miły i uprzejmy gość potrzebował tylko usta otworzyć, by oczy Lucyny zajaśniały blaskiem wesela a twarz, zwykle poważna i skupiona, krasiła się żywym uśmiechem.

Taki stan rzeczy trwał dosyć długo i nigdy ani przez myśl nie przemknęło panu Kazimierzowi, że między jego żoną a panem Czesławem może istnieć ściślejszy jakiś węzeł, poza pozorami zwykłej przyjaźni towarzyskiej. Pani Lucyna zaś także nie bardzo zdawała sobie sprawę, że przekłada towarzystwo Czesława i jego żarty od wiecznie poważnego i zamyślonego męża. Zresztą kochała męża. Dlaczegóż zresztą nie miała go kochać? Przecież wszystkie jej przyjaciółki zazdrościły jej szczęścia małżeńskiego...

Należy jednak stwierdzić, że pan Kazimierz był naprawdę bardzo dobrym mężem, ale... złym kochankiem! A Lucyna, śliczna, rozpieszczona, mała Lucyna, chciała przecież czegoś więcej, niż porządnego męża, który ją uprzejmie i konwencjonalnie całował, nazywał pieszczotliwie "moja koteczka" i zabierał co niedzielę na spacer. Chciała czegoś więcej i jakoś nie potrafiła mu tego powiedzieć. Zresztą na co przydałoby się jej powiedzenie? Wysłuchałby jej spokojnie i cierpliwie, pozwoliłby się wygadać, może nawet wypłakać, pogłaskałby po główce jasnowłosej a potem powiedziałby:

— Jesteś nerwowa, moja koteczko. Idź do lekarza albo wybierzmy się gdzieś w podróż. Podróże dobrze robią na nerwy u młodych kobiet... -- lub coś podobnego.

A gdyby przyszło na ostre i postawiłaby mu propozycję rozwodu, nigdy by się nie zgodził.

Szukała tedy pani Lucyna pociechy na innych drogach. I pewnego dnia zdarzyło się to, o czem pan Kazimierz nawet nie śnił...

Gdy pewnego dnia wrócił do domu z biura, znalazł w swym gabinecie na biurku wonny liścik, zaadresowany pismem żony. List był do niego. Zdziwiony do najwyższego stopnia rozdarł kopertę i zaczął czytać:

— "Drogi Kaziu! Strasznie mi przykro, że muszę Cię zmartwić. Wybacz mi, ale inaczej postąpić nie mogłam. Stało się,

co się stać musiało. Dlaczego tak mało troszczyłeś się o mnie? Dlaczego lepiej na mnie nie uważałeś? W chwili, gdy będziesz czytał ten list, ja będę daleko... Będę na drodze do wolności i szczęścia z Czesławem Korwinowskim, może już po tamtej stronie granicy. Nie goń mnie i nie próbuj zmuszać do powrotu. Byłoby to daremne. Czesław odziedziczył spadek po zmarłym wuju i potrafi zapewnić mi byt dostateczny. Żal mi bardzo, że nie mogłam zabrać z sobą Azorka, ale Czesław powiedział, że pies mógłby przeszkadzać nam w drodze. Zostawiam Ci więc to kochane stworzenie na pamiątkę i polecam go Twojej opiece.

Lucyna.

P. S. Nie zapomniej powiedzieć Joasi, żeby codziennie karmiła kanarka".

Pan Kazimierz padł ciężko na głęboki, miękko wyścielany fotel klubowy, stojący przed biurkiem. W głowie mu zaszumiało.

— A więc Lucyna dała się uwieść takiemu młokosowi i uciekła z nim zagranicę! Któżby to mógł przewidzieć! Ha, trudno, stało się...

Przeczytał list raz i drugi, złożył, znów przeczytał. Wreszcie podarł różowy papier na drobniutkie kawałeczki i wrzucił je do otwartego kominka, na którym wesoło trzaskały wysuszone polana sośniny. Poszedł do kredensu i nalał sobie kieliszek koniaku. Wypił jeden i drugi, zapalił papierosa i znów nalał koniaku. Następnie zadzwonił na pokojówkę, Joasię.

Dziewczyna ukazała się w drzwiach gabinetu.

— Słucham jaśnie pana...

— Kiedy pani... wyszła?

Pokojówka z najniewinniejszą w świecie miną odpowiedziała z dygnięciem:

— Zaraz popołudniu, proszę jaśnie pana.

— Czy przyjechał po panią pan Korwinowski?

— Tak. Przyjechał samochodem. Widziałam, to nowy, mały ale bardzo ładny samochód — odrzekła i na skinienie pana Kazimierza wyszła z gabinetu.

Pan Kazimierz począł chodzić wielkiemi krokami po pokoju. Po kilku minutach chodzenia tam i spowrotem, nagle zatrzymał się przed biurkiem. Z gorączkowym pośpiechem zaczął szukać czegoś między papierami i nie znalazłszy w jednej szufladce, wyciągnął drugą i trzecią. Wreszcie po kilku minutach poszukiwań wydobył spomiędzy papierów książeczkę w sztywnej okładce i skwapliwie schował ją do kieszeni marynarki.

Ubrał się w palto, wziął kapelusz i wyszedł z domu, kierując się ku stojącej w ogrodzie zajezdni samochodowej. Po minucie pędził pan Kazimierz swoim ośmiocylindrowym samochodem przez szosę w kierunku granicy czechosłowackiej. Po dwóch godzinach tej szalonej jazdy, na szosie pojawiło się mdłe czerwone światełko drugiej maszyny. Pan Kazimierz westchnął z ulgą. Był prawie pewny, że dopędził uciekających, a rozporządzając znakomitą maszyną z łatwością dogoni ich i prześcignie.

Z każdą minutą zmniejszała się odległość między dwiema maszynami, aż wreszcie poznał pan Kazimierz małe auto Czesława, nabyte przed kilku dniami.

Widocznie kierowca pierwszego samochodu spostrzegł, że jest ścigany, bo teraz i jego maszyna poczęła zwiększać szybkość. Daremne jednak były jego wysiłki. Potężny motor ośmiocylindrówki zawarczał głośniej i rychło zakończył się niebezpieczny wyścig. Hucząc przeraźliwie syreną swej maszyny pan Kazimierz wyminął uciekających i w odległości kilkuset metrów przystanął na chwilę, by skręcić swój samochód i zatarasować nim drogę.

Czesław, on to był bowiem, zaledwie zdążył nacisnąć hamulce i w ten sposób uniknął katastrofy. Maszyna jego stanęła o kilka kroków przed ustawionym wpoprzek drogi samochodem Mielewskiego.

Pan Kazimierz wysiadł ze swego wozu i spokojnym krokiem zbliżył się do małego kabrjoletu uciekinierów.

Chwila była straszna...

Pani Lucyna, drżąca, jak listek osiki, wyciągnęła przed siebie ręce, chcąc jakby zasłonić się przed gniewem zdradzonego męża, który stał przed nią i obrzucał ją wraz z kochankiem jakiemś niesamowitem spojrzeniem.

Nagle pan Kazimierz postąpił krok i włożył szybko rękę do kieszeni. Kochankowie zadrżeli... Strach odjął im mowę i świadomość wszystkiego.

Wśród niesamowitej ciszy, przerywanej tylko dalekim poświstem wichru, rozległ się równy, spokojny głos pana Kazimierza:

— Że też zawsze musisz zapomnieć czegoś ważnego! Wybierasz się zagranicę i zapomniałaś wziąć paszport. Oto jest! — podał jej wyjętą z kieszeni książeczkę paszportową i skłoniwszy się uprzejmie odszedł do swej maszyny.

Po chwili zawarczał silnik ośmiocylindrówki, samochód cofnął się i zręcznie nawróciwszy, popędził w kierunku powrotnym.

Na drugi dzień, już dobrze popołudniu, w porze, kiedy pan Kazimierz wracał z ministerstwa, weszła do gabinetu pani Lucyna. Twarz jej nosiła ślady łez i nieprzespanej nocy.

— Jak się czujesz, moja droga? — spytał pan Kazimierz i jak zwykle, pocałował ją w czoło.

— Kaziu... Kaziu... ja myślałam... ja chciałam...

— Domyślam się, droga moja, czegoś chciała... No, dajmy pokój temu. Wiedziałem, że przyjdziesz dziś jeszcze. Bo widzisz, twój paszport powiedział mi, że cały ten list nie był pisany na serjo. Chciałaś spłatać mi figla, prawda? Zaniepokoić męża, co?

Od tego pamiętnego dnia pożycie małżeńskie państwa Mielewskich podobno znacznie się pogorszyło. Tak przynajmniej mówią znajomi pani Lucyny.

Jan Kazimierz Nowiński

PRIMA APRILIS

Nowela

PANI Eufrozyna Żółtkiewicz była właścicielką wielkiej kamienicy o kilkunastu mieszkaniach, które przynosiły jej spory dochód miesięczny. Kamienica ta miała pierwotnie trzy piętra, ale pani Eufrozyna dobudowała czwarte, na którem wzdłuż korytarza mieścił się szereg pojedyńczych pokoików kawalerskich, które zapobiegliwa gospodyni wynajmowała umeblowane lub też bez mebli.

Pani Eufrozyna była osobą już w pewnym wieku, przekroczyła bowiem czterdziestkę, ale bynajmniej nie uznawała się za poważną matronę; przeciwnie, udawała młodą kobietkę, co jej się ostatecznie jakotako udawało, gdyż była wstanie opłacać masażystki i poddawać się częstokroć kosztownym zabiegom najmodniejszego "salonu piękności". To jednak nie należy do rzeczy.

Otóż owe kawalerskie pokoje na czwartem piętrze kamienicy pani Eufrozyny były zwykle wynajmowane samotnym panom, którzy, chociaż nie zawsze bywali punktualni w płaceniu komornego, ale zwykle potrafili udawać zachwyconych osobą g o s p o d y n i. Wprawdzie zdarzało się od czasu do czasu, że niewypłacalny lokator czwartaka wynosił się, zostawiając po sobie przykre wspomnienie w postaci niezapłaconego za szereg miesięcy komornego i, co gorsza, wynosił się, poróżniwszy się z gospodynią, która przestawała być w jego pojęciu rozkoszną wdówką, a stawała się wściekłą sekutnicą i nieznośnym babsztylem.

Byli jednak i tacy, którzy płacili co miesiąc, ale na gospodynię nie zwracali najmniejszej uwagi. Kłaniali się grzecznie, spotykając ją na schodach, ale najwidoczniej unikali wszelkich rozmów z panią Eufrozyną. Tych nie cierpiała pani Eufrozyna narówni z lekkoduchami niepłacącymi, ale tolerowała ich w swej kamienicy z racji stałego i pewnego dochodu.

Raz tylko, niewytłumaczonym jakimś sposobem wynajęła najmniejszy pokoik na czwartem piętrze, klitkę, na którą trudno było znaleźć amatora, jakiejś panience biurowej, maszynistce czy stenotypistce, Magdalenie Barwickiej. Panna była młoda, miła i przystojna, a nawet piękna. Z tych też powodów od pierwszej chwili zapałała do niej gospodyni nieukrywaną niechęcią, która stopniowo zmieniła się w jawną nienawiść. Byłaby ją najchętniej wyrzuciła z zajmowanego pokoiku, ale cóż, kiedy panna Barwicka zapłaciła komorne na sześć miesięcy zgóry i ani myślała o zmianie mieszkania.

Nie omijała pani Eufrozyna żadnej sposobności do dokuczania niepożądanej lokatorce. Z początku miała nadzieję, że młoda lokatorka będzie przyjmować wizyty młodych panów, jak to często się zdarza, szczególnie w wielkich miastach. Byłaby to znakomita sposobność pozbycia się jej z kamienicy i wygłoszenia przy tem paru energicznych zdań o osobach niemoralnego prowadzenia, które kalają uczciwy i porządny dom, do jakiego je wpuszczono. Ale panna Barwicka, jak się okazało, nie przyjmowała absolutnie nikogo, żyła bardzo skromnie i przykładnie i żadną miarą nie zasługiwała na miano "osoby niemoralnej".

Zawiedziona na tej drodze, gospodyni zmieniła taktykę i usiłowała wejść w przyjaźń z panną. Odwiedziła ją kilka razy i chciała ją uszczęśliwić małym kotkiem. Nie ulega wątpliwości, że zwierzątko zapomniałoby się może na pięknie woskowanych schodach i byłaby awantura o zanieczyszczanie dywanów. Ale gdzietam! Panna Barwicka podziękowała za kotka i powiedziała, że kotów nie lubi. Zawiedziona gospodyni poszukała innej drogi spowodowania awantur i pozbycia się z domu niepożądanej lokatorki. Drogą okrężną, bo przez żonę dozorcy kamienicy, podsunęła pannie Barwickiej młodego pieska. Ale i tu spotkał ją srogi zawód. Lokatorka psa nie przyjęła, a dla odwiedzającej ją gospodyni coraz mniej miewała czasu, tłumacząc się nawałem pracy. Nawet fortepianu nie miała ani gramofonu.

Ostatecznie pani Eufrozyna zmiarkowała, że nie poradzi nic i musi trzymać "pannicę" przez całe pół roku, to jest do czasu, do kiedy komorne było zgóry zapłacone.

— A potem — myślała — jeżeli zechce dalej mieszkać, niech płaci o połowę więcej.

Bo trzeba wiedzieć, że szanowna posiadaczka czteropiętrowej kamienicy łasa była nietylko na mężczyzn ale i na złotówki.

Płynęły tedy tygodnie po tygodniach i minęło już prawie całe pół roku bez awantur i scen, zwykłych między gospodarzami a lokatorami. Wprawdzie pani Eufrozyna często-gęsto szukała zaczepki z panną Barwicką, ale nic z tego nie wychodziło.

—Zostawiła pani okno otwarte w pokoju. Deszcz zalał podłogę, że aż przeciekało na trzecie piętro — napadła ją raz na schodach.

— Tak? Bardzo żałuję, ale z drugiej strony nie przypusz-

czam, by przez otwarty lufcik mogło napadać tyle wody, żeby aż przeciekała — brzmiała spokojna odpowiedź lokatorki.

Za kilka dni znów oburzenie i pretensja:

— Wracałam wczoraj wieczorem z kinematografu. Było już po jedenastej, a u pani jeszcze się świeciło. Zgodziłam się odnając pani pokój z oświetleniem, ale skoro pani przesiaduje do późnej pory, muszę podnieść komorne przed upływem sześciu miesięcy, za które pani zapłaciła; światło drogo mnie kosztuje... Musi pani dopłacić po dziesięć złotych miesięcznie.

— To był wyjątkowy wypadek że tak długo siedziałam. Miałam do przepisania bardzo pilną robotę i musiałam ją skończyć. Zwykle kładę się spać znacznie wcześniej.

— Tak pani mówi. Zresztą, jeżeli pani nie może płacić więcej, mogę zwrócić pieniądze za pozostały czas i poproszę o zwolnienie pokoju. Sama pani zrozumie, że nie mogę dokładać do pani...

— Cóż mam robić! Jeżeli pani powiada, że wypalam światła za dziesięć złotych więcej, niż mam do tego prawo, muszę, choć z przykrością, dopłacić pani. Proszę, oto dwadzieścia złotych za dwa miesiące.

— Zgadza się pani? Ha, jeżeli panią stać na ten wydatek, proszę bardzo — odrzekła właścicielka domu.

Pani Eufrozyna zeszła ze schodów w stanie silnego podrażnienia i zdenerwowania, którego nawet połowiczny triumf wydarcia nienawistnej lokatorce dwudziestu złotych nie był wstanie złagodzić. Na drugiem piętrze jednak uspokoiła się a gdy znalazła się przed drzwiami mieszkania na pierwszem piętrze, twarz jej przybrała wyraz łagodności i spokoju.

Mieszkanie na pierwszem piętrze wynajmował za wieloletnim kontraktem rejent Roman Chylicz, najulubieńszy lokator pani Eufrozyny. Pan Chylicz rychło stał się dla niej panem Romanem, najgorętszem zaś pragnieniem gospodyni było, by mogła nazywać go poprostu Romciem. Pani Eufrozyna bowiem śniła o połączeniu dochodów z kamienicy z pokaźnemi wpływami kancelarji rejentalnej pana Chylicza, a połączenie to miało się dokonać drogą najprawowitszego, najnierozwiązalniejszego małżeństwa.

Niestety, upragniony rejent nie chciał w stosunku do przymilającej się gospodyni wykroczyć poza granice chłodnej, ściśle poprawnej uprzejmości. Nie obdarzył nigdy pani Eufrozyny serdeczniejszem słówkiem czy uśmiechem. Wyrazami lodowatej wdzięczności przyjmował wszystkie jej starania, a gdy pewnego razu zaziębił się i nie wychodził z domu, odmówił wypicia szklaneczki grogu, którą przysłała mu do mieszkania, usłyszawszy przez drzwi jego kaszel.

Teraz, wracając od panny Barwickiej, zadzwoniła do jego mieszkania. Pan Chylicz był w przedpokoju i właśnie zamierzał wyjść z domu, wobec czego nawet nie poprosił gospodyni by weszła. Musiała, stojąc w progu, zawiadomić go, że listonosz szukał go rano, gdyż miał doręczyć list polecony.

— Pani będzie łaskawa powiedzieć mu, żeby list przyniósł do mojej kancelarji — odpowiedział pan Chylicz. — Jeżeli mnie niema w domu, w biurze zawsze bywa któryś z panów.

Z całym spokojem pan Chylicz zamknął drzwi wejściowe na klucz, skłonił się lekko gospodyni, mijając ją, i po schodach zszedł nadół.

Wieczorem tego samego dnia pani Eufrozyna omal nie przewróciła się ze zdumienia, spotkawszy na pierwszem piętrze pannę Barwicką, wychodzącą z mieszkania rejenta. Skoczyła za nią jak tygrysica, uradowana, że przecież będzie mogła zarzucić lokatorce, że bywa w mieszkaniach panów, gdy otrzymała natychmiast uspokajające wyjaśnienie.

— Pan rejent nie znosi,— krzyczała — żeby go nachodzono. Czego pani chciała w jego mieszkaniu?

Młoda lokatorka zbyt była zdziwiona tym napadem, aby mogła w należyty sposób odeprzeć go. Pokazała tylko gruby zeszyt, który trzymała w ręce, a którego pani Eufrozyna nie zdążyła zauważyć w zacietrzewieniu.

— Pan rejent wezwał mnie do siebie i prosił, żebym przepisała dla jego biura ten rękopis. Nic więc dziwnego w tem, że byłam w jego mieszkaniu. Pozatem pana rejenta znam od dawna, gdyż pracowałam w biurze jednego z jego kolegów, dokąd często przychodził. Nieraz już przepisywałam dla niego i mam nadzieję, że nieraz jeszcze będę dla niego pracować.

Pani Eufrozyna zawstydziła się cokolwiek i rzekła:

— Przepraszam panią, ale pytałam się dlatego, że pan Chylicz prosił mnie bardzo o bronienie jego mieszkania przed wszelkiemi odwiedzinami...

To jednak dało gospodyni wiele do myślenia i wzmogło niechęć do lokatorki. Nie zważając już nawet na podwyżkę komornego, postanowiła wymówić mieszkanie pannie Barwickiej i w ten sposób ochronić rejenta przed niebezpieczną pokusą. A właśnie za kilkanaście dni kończył się termin, na który panna Barwicka wynajęła pokoik. Od pierwszego kwietnia panna Barwicka powinna wynieść się z kamienicy i nie psuć krwi pani Eufrozynie.

Wprawdzie istnieją pewne przepisy, zmuszające gospodarzy domów do wymawiania mieszkań lokatorom przynajmniej na miesiąc przed ewentualnem zwolnieniem mieszkania, ale pani Eufrozyna była zdecydowana ominąć ten przepis i za wszelką cenę usunąć lokatorkę z pokoju i zapobiec możności stosunków z rejentem.

Wnet też nadarzyła się znakomita sposobność zrobienia

lokatorce awantury i domagania się opróżnienia pokoiku na dzień pierwszego kwietnia. Oto do panny Barwickiej na kilka dni przed pierwszym przyszło kilkoro dzieci. Była to niedziela. Po obiedzie zaczęły się zabawy w cichym zwykle pokoiku panny Barwickiej. Do uszu zgorszonej do najwyższego stopnia gospodyni dochodziły odgłosy wesołej wrzawy dziecięcej, śpiewy i śmiechy, wśród których wyraźnie odznaczał się głos znienawidzonej lokatorki. Pani Eufrozyna poczerwieniała na twarzy z zadowolenia, że przecież ma powód do "wyrzucenia" lokatorki i napuszona, czerwona jak burak, pośpieszyła na czwarte piętro.

Odsapnąwszy kilkakrotnie, groźnie zapukała w drzwi pokoiku.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich panna Barwicka.

— Ach, to pani gospodyni! Proszę bardzo... Czemże mogę służyć szanownej pani?

— Co się tu dzieje? — krzyknęła gospodyni. — Co za hałasy i krzyki w tym spokojnym i uczciwym domu?! Nie, proszę pani, ja tego tolerować nie będę! Wymawiam pani mieszkanie, bo nie chcę, żeby moi lokatorowie znosili coś podobnego. Tupoty, krzyki, śpiewy! Jak pani śmie urządzać tu coś podobnego! Od pierwszego, od pierwszego ma się pani wynieść! A jeżeli pani dobrowolnie nie usunie się z pokoju, znajdę środki zmuszenia pani. Mam świadków... Przez policję...

— Niechże się pani uspokoi — odrzekła zimno panna Barwicka. — Nie mam zamiaru niepokoić ani szanownej pani, ani też lokatorów tego domu. Nie widzę także nic zdrożnego w tem, że te dzieci bawią się w moim pokoju. Nie biegają i nie krzyczą, a że pośpiewają trochę ze mną, to także nic strasznego. Niemniej, mogę panią zapewnić, że pokój pani będzie opróżniony jeszcze przed pierwszym. Właśnie chciałam to pani zakomunikować...

Pani Eufrozyna zdębiała. Chciała wprawdzie lokatorkę wyrzucić, ale nigdy jej na myśl nie przyszło, by panna Barwicka sama wypowiedziała jej mieszkanie. Odpowiedziała więc tonem jeszcze ostrzejszym:

— Tak?... Bardzo dobrze. Niechże więc pani jaknajprędzej opuści ten dom...

— O, nie! — odrzekła z uśmiechem panna Barwicka. — pokój opuszczę, jak powiedziałam, ale nie dom. Mam zamiar na dłuższy czas w nim zamieszkać. A teraz, pozwoli pani, że zamknę drzwi, bo chłodno i dzieciaki jeszcze się poprzeziębiają...

— Ma pani zamiar mieszkać w tym domu! Niedoczekanie pani! — pyskowała pani Eufrozyna. — Za żadną cenę! Rozumie pani? Za żadną cenę nie oddałabym pani mieszkania!

— Ja zaś myślę, że pani zmieni zdanie. Ale dopiero od pierwszego kwietnia...

Gospodyni, uderzona spokojnym tonem głosu lokatorki, szeroko otwarła oczy i już miała wybuchnąć nanowo, gdy panna Barwicka, mile uśmiechnięta mówiła dalej:

— Bo widzi pani, pierwszego kwietnia rano odbędzie się mój ślub z panem Romanem Chyliczem i tegoż jeszcze dnia zamieszkam na pierwszem piętrze tej kamienicy... jako pani Chyliczowa...

W tej chwili rozległy się na schodach kroki i przed panią Eufrozyną stanął rejent, skłonił się z przesadną grzecznością i rzekł swym poważnym, zimnym tonem:

— Tak proszę pani... Moja narzeczona, panna Barwicka, zrobiła pani niespodziankę. Widocznie przechowuje się u nas stara tradycja "prima aprilis"... A ponieważ mój kontrakt na mieszkanie kończy się dopiero za cztery lata, spodziewajmy się, że jeszcze niejednej niespodzianki doczeka się pani w dniu pierwszego kwietnia...

— A to szelma — mruczała pod nosem pani Eufrozyna, wracając do swego mieszkania na parterze. — Wszystkiego się spodziewałam, tylko nie tego, żeby taka lafirynda zdołała usidlić tego bałwana. Ha, prima aprilis!

NEMO

Prima Aprilis

Był czas, gdy ludzie kochali się społem
Jak jedna wielka światowa rodzina,
Gdyś u bliźniego mógł zasiąść za stołem,
A przyjmowano cię jak gdyby syna.
Był czas, gdy człowiek z drugim się nie wadził,
Bo już zamarła w nim "anima vilis",
Gdy nikt bliźniego nie podszedł, ni zdradził...
Prima Aprilis!

Był czas, gdy wszystko stało się znów tanie,
Mąka czy krupy, kaczka czy kogucik,
Gdyś za pół setki kupić mógł ubranie,
A za dwadzieścia koron piękny bucik,
Był czas, gdy pisarz w pięknem chodził futrze,
Czy to był baran krymski, soból czy lis,
Gdy nie gnębiły cię troski o jutrze...
Prima Aprilis!

Był czas, gdy kłamstwa nie znała kobieta,
Krew z krwi mężczyzny i kość z jego kości,
Lecz była — jakto powiada poeta —
Cudnem zwierciadłem prawdy i miłości,
Był czas, gdy wierną była ci kochanka,
Czy nazywała się Ligja czy Filis,
Czy całkiem polska Zosia albo Janka...
Prima Aprilis!!

Adam Sieniawski

POSĄG NIOBY

NOWELA

— Zaprawdę, powiadam panom, że to jest sprawa najokropniejsza, jaka w mej długoletniej praktyce kiedykolwiek się zdarzyła — rzekł komisarz policji — najwyszukańsze morderstwo, wymyślone kiedykolwiek przez rozum ludzki i zarazem najfantastyczniejsze wyzyskanie wiedzy technicznej dla celów zbrodniczych...

Dwóch urzędników policyjnych przebiło właśnie cienką ściankę, odgradzającą małą izdebkę za pracownią rzeźbiarską Ralfa Sulliwana i wkroczyło poprzez gruzy do komórki. Drzwi nie było, widocznie zamurowano je szczelnie.

Za urzędnikami postępowali członkowie komisji śledczej i artysta. Rzeźbiarz stał obojętnie przed ogromną wanną drewnianą, jakby wszystko, co się działo dokoła niego, wcale go nie obchodziło. Zielonawo-niebieski rozczyn witrjolu miedzi lśnił złowrogo w promieniach słońca, które, wpadając przez szklanny dach, rzucało jaskrawe błyski na biało tynkowane ściany. Dokoła na podłodze stały baterje galwaniczne, wpoprzek wanny, opierając się na krawędziach, leżały grube pręty ze szkła.

Urządzenie tej ukrytej komórki, najwidoczniej przeznaczone dla galwanoplastyki, rozpraszało ostatecznie wszelkie najmniejsze ślady wątpliwości. Tu, na tem miejscu, popełnił rzeźbiarz potworną zbrodnię, która wstrząsła całym krajem.

—Niech pan mówi, jak pan to zrobił — rzekł sędzia śledczy surowym tonem.

Ralf Sullivan powiódł ręką po czole, jakby się musiał dopiero zastanawiać, lecz wygląd jego okazywał raczej roztargnienie, aniżeli jakiekolwiek inne uczucie. Na ogolonej gładko twarzy, cokolwiek pobladłej w więzieniu, nie było widać najmniejszej troski, skruchy czy wzruszenia.

Komisarz policji, wytrawny znawca zbrodni, posiwiały w walce z przestępcami, dobrze wiedział, że często najniebezpieczniejsi zbrodniarze mają niewinny wygląd młodych panieniek.

Rzeźbiarz zaczął opowiadać. Słuchano go w napięciu, choć sprawa była już szeroko znana w całym kraju. Wszak wszystkie pisma codziennie umieszczały długie artykuły o Ralfie Sulliwanie i jego Niobie.

— Jest to najwyższy triumf nowoczesnej techniki — rozpoczął rzeźbiarz z całym nieukrywanym cynizmem.

— Mów pan do rzeczy — szorstko przerwał komisarz.

Tu Sulliwan szczegółowo opowiedział jak od dwóch lat bywał częstym gościem w domu Johna Lubock'a, króla miedzi. Córka miljardera, Maud, jedna z najpiękniejszych panien kontynentu, zakochała się na zabój w młodym, nie znanym prawie artyście. Sprzysięgła się z nim przeciw woli ojca, który ani słyszeć nie chciał o takiem małżeństwie dla córki i z punktu odpalił Sulliwana, gdy ten odważył się poprosić go o rękę córki.

— Skoro pan będzie najsławniejszym rzeźbiarzem świata, panie Sulliwan — mówił miljarder — bo, jak słyszałem zamierza pan dojść do tego... może się pan wtedy powtórnie zgłosić z podobną prośbą. Narazie jest pan...

Uczynił tylko lekki ruch ręką, wymowniejszy od tysiąca słów.

Przyszło do gwałtownej sprzeczki. Padły słowa ostre i ubliżające. Król miedzi stał się gwałtowny, obrażający i nie liczył się ze słowami, a Sulliwan równą odpłacał mu monetą.

— Pożałuje pan tego! — zawołał wreszcie drżący z gniewu rzeźbiarz, opuszczając gabinet, w którym toczyła się rozmowa.

W trzy dni potem Maud Lubbock znikła bez śladu, jakby ją ziemia pochłonęła. Policja poszukiwała gorączkowo młodej panny po całym kraju, w każdym zakątku, gdzie tylko można była mieć cień nadziei. Wszystko nadaremnie, znikła bez śladu, tajemniczo, jakby rozwiała się w mgłach lub rozpłynęła w obłokach.

Zniknięcie Maud wywarło ogromne wrażenie. Dzienniki wypełniały po brzegi swe łamy, pisząc o niezwykłym wypadku zniknięcia córki znanego miljonera. Sullivan stał się prawie sławnym, ale wkrótce zapomniano o nim, nie wspominając o jego nazwisku przez trzy miesiące, dopóki nie wystawił swej ostatniej rzeźby "Niobe".

Była to rzeźba o niezwykłej sile ekspresji. Skamieniała boleść na obliczu kobiety, wijącej się pod nadmiarem cierpień fizycznych i moralnych. Widzowie stali wstrząśnięci do głębi przed tem niezwykłem dziełem sztuki. Potem zaczęto potajemnie szeptać sobie na ucho i niesamowite pogłoski obiegały całe miasto.

Pewnego dnia na wystawę sztuk pięknych przyszedł także i Lubock, przygnębiony jeszcze i złamany po zniknięciu jedynej córki. Zobaczywszy rzeźbę Nioby, stanął jak wryty i pobladł: to oblicze, wykrzywione przeogromnem cierpieniem, ucieleśniało z niesamowitem podobieństwem twarz jego zaginionej córki, jedynaczki.

Miljarder runął bez przytomności przed rzeźbą Nioby.

O tem wszystkiem rychło rozeszły się wiadomości po mieście. Dzienniki doniosły wkrótce w olbrzymich artykułach o zemdleniu miljonera i aresztowaniu artysty-rzeźbiarza, Ralfa Sulliwana.

— "Najstraszniejszy triumf techniki nowoczesnej!

— "Największa zbrodnia bieżącego stulecia! — krzyczeli po ulicach miasta roznosiciele gazet.

We wszystkich pismach ilustrowanych, w dziennikach i tygodnikach można było widzieć podobizny rzeźby "Niobe", obok zaś reprodukcje fotografij zaginionej panny Lubock oraz Ralfa Sulliwana.

Gdy Sulliwan o tem opowiadał i nareszcie doszedł do strasznej treści przesłuchów, wszedł do pracowni artysty John Lubock. Wysoki i ogromny, opierając się na złotej gałce grubej laski, stanął przez przebitą ścianą. Słysząc w jak okropny sposób zakończyć musiało życie jego jedyne dziecko, szukać musiał oparcia o ścianę, by nie zachwiać się i nie upaść.

Rzeźbiarz opowiadał o tym wypadku takim tonem, jakby rozmawiał o najzwyklejszem zdarzeniu codziennego życia.

— Żaden artysta nie zdołałby stworzyć czegoś podobnego, jak moja Niobe — mówił chełpliwie. — Uwziąłem się, by zostać naprawdę najsławniejszym artystą-rzeźbiarzem całego świata, jak żądał tego w swoim czasie mister Lubock. Chciałem stworzyć arcydzieło, jakie nie znalazłoby równego sobie. Ucieleśnienie cierpienia. Z pomocą lub bez pomocy Maud Lubock. Gdy ojciec jej mnie wypędził, rozmawiałem z nią raz jeszcze tylko. Tu w mej pracowni. Odwiedziła mnie tu na moje usilne prośby. Długo rozmawialiśmy z sobą.

Rzeźbiarz przestał na chwilę i ciągnął dalej:

— Błagałem, zaklinałem Maud na wszystko, by ze mną uciekła, lecz odmówiła. Nie chciała... Inna była teraz, zmieniona, zimna. Była posłuszna ojcu bez zastrzeżeń. O jakiejkolwiek miłości między nami słyszeć nie chciała nawet. Błagałem... zaklinałem... Nadaremnie! Maud pozostawała nieubłaganą. Była jakby bryłą lodu czy kamienia. Odchodziłem od zmysłów. Bezgraniczna wściekłość opanowała mnie. A potem...

— Wtedy zamordował pan tę kobietę — przerwał komisarz.

— Nie... Zagalwanizowałem!

Miljarder postąpił krok naprzód. Pięść jego kurczowo ściskała ciężką gałkę laski.

— Zagalwanizowana!...

— Tak! Żywą przykryłem ją miedzią. Tu na miejscu. Zmusiłem ją przemocą, by weszła do tego basenu z roztworem witrjolu miedzi. Przeprowadziłem prąd elektryczny przez jej ciało i gdy ona wiła się w okropnych cierpieniach, ginąc powoli najstraszliwszą śmiercią, coraz grubsza powłoka miedzi zamykała się szczelnie dokoła jej młodego ciała... Zakląłem niewysłowione cierpienie w czerwony metal, moi panowie!

Miljarder wydał ryk wściekłości. Z podniesioną laską rzucił się na rzeźbiarza i niechybnie zabiłby go na miejscu. Komisarz na czas temu przeszkodził.

Prasa zapełniała całe płachty papieru opisami tej potwornej niesłychanej zbrodni.

W tydzień potem jednogłośnym wyrokiem sądu przysięgłych skazano rzeźbiarza Ralfa Sulliwana na śmierć w krześle elektrycznem.

Reporterzy największych pism całej Ameryki zjechali się do New Yorku, by być świadkami wykonania wyroku i mieć możność opisania ostatnich chwil sławnego rzeźbiarza.

Do tego jednak nie przyszło.

John Lubock, król miedzi, miljarder wszechmocny, a ojciec nieszczęśliwy, od owego dnia przesłuchów nie opuszczał swego domu. Przy spuszczonych grubych zasłonach przesiadywał całe dnie i noce w bibljotece. Do nikogo nie mówił, nikogo nie chciał widzieć. Doniesiono mu o skazaniu Sulliwana na śmierć. Zdawał się nie słyszeć i nie rozumieć. Zupełnie był złamany na ciele i na duchu.

Na kilka dni przed oznaczonym terminem wykonania wyroku, drzwi bibljoteki otworzyły się cichutko. Dwoje miękkich ramion łagodnie objęło szyję miljardera.

— Mój drogi ojczulku!

Miljarder krzyknął z przerażenie.

Przed nim stała córka jego, Maud. Żywa i cała.

Położyła mu dłoń na ustach.

— To była tylko reklama, ojczulku — rzekła z przymileniem, uśmiechając się filuternie. — Wybacz, ojczulku drogi, my tak kochamy się, tak bardzo kochamy się z Ralfem. Czyż on nie jest genjalny? Czyż nie jest teraz najsławniejszym rzeźbiarzem nietylko w Stanach Zjednoczonych, ale na całym świecie? Tak przecie chciałeś. On uformował Niobę z gipsu i galwanicznie pokrył ją powłoką miedzi. Ja służyłam tylko za model. Ale — tu zarumieniła się mocno — nigdy nie wyglądałam tak zrozpaczona, jak ten posąg. To on wszystko wykombinował i stworzył z własnej wyobraźni...

W sześć tygodni później miss Maud Lubock wyszła zamąż za Ralfa Sulliwana, największego artystę-rzeźbiarza całego świata.

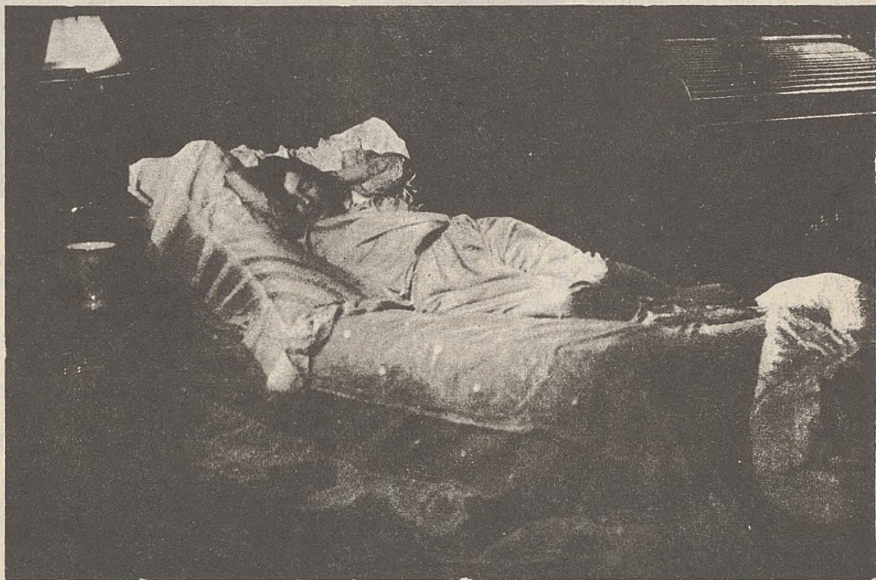


JAK LUDZIE ŚPIĄ

CZĘSTO słyszymy, jak ktoś, powstawszy z długiego i twardego snu, powiada: Spałem jak kamień! I każdemu też zdaje się, że skoro uśnie, leży godzinami w jednej pozycji. Tymczasem w rzeczywistości nikt nie śpi zupełnie spokojnie. Znakomity polski fizjolog, doktór Szymański, przeprowadził niedawno szereg niezmiernie ciekawych badań nad snem ludzkim i w wyniku tych badań okazało się, że człowiek podczas normalnego, ośmiogodzinnego snu zmienia pozycję przeciętnie aż 35 razy. Nie były to łatwe badania, gdyż doktór Szymański musiał zrobić kilka setek tysięcy drobiazgowych obserwacyj, które zabrały pięć lat czasu. Obserwacje przeprowadził nad snem 150-iu osób obojga płci.

Po stwierdzeniu, że każdy zdrowy człowiek podczas normalnego snu tak często zmienia pozycję, doktór Szymański począł szukać powodów tych zmian i po wielu dociekaniach ustalił, że głównym powodem zmieniania pozycji w czasie snu jest dążenie mięśni i ścięgiem, znajdujących się w ciągu dnia w naprężeniu, do odprężenia.

Początkowe badania przeprowadzał nasz fizjolog przy pomocy bardzo prostego aparatu, przytwierdzonego do łóżka, znaczącego na papierowej taśmie każdy ruch śpiącej osoby. Potem dopiero zastosował aparat kinematograficzny, który zupełnie wiernie zdejmował ruchy i zmiany położenia ciała. Okazało się, że zmiany następują po sobie w nierównych odstępach czasu i niejednakowo u poszczególnych osób. U niektórych zmiany następują po sobie szybko, co kilka lub kilkanaście minut, u innych w większych odstępach czasu, a zdarza się, że pozycja śpiącej osoby pozostaje bez zmiany przez całą godzinę, ale to już należy do rzadkości.



Pozycja, w której śpimy najdłużej.



Zdawałoby się, że to bardzo wygodna pozycja, a jednak osoba śpiąca zmienia ją już po dwóch lub trzech minutach snu.

Używanie aparatu kinematograficznego do zdjęć podczas snu natrafiło na spore trudności. W ciemności zupełnej zdejmować nie można, a częste używanie sztucznego światła na krótką chwilę, przeszkadzało spokojnemu spaniu osób, pozostających pod obserwacją. Nie pozostawało zatem nic innego, jak przyzwyczaić ludzi do spania przy pełnem świetle, przy lampach elektrycznych o sile 150 kilowat. Początkowo musiano przewiązywać im oczy opaskami, lecz po kilku nocach osoby, które obserwano, przyzwyczaiły się do snu przy świetle. Potem fotografowanie pozycyj ramion, tułowia i nóg wymagało, by badane osoby spały bez przykrycia. W tym celu musiano w poko-

ju doświadczeń utrzymywać ciągle jednakową, umiarkowaną temperaturę. Zdjęć dokonywano w sposób bardzo pomysłowy. Aparat kinematograficzny znajdował się w przyległym pokoju, a tylko soczewka była umieszczona w specjalnym otworze w ścianie. Ilekroć śpiąca osoba poruszyła się na łóżku, zmienione obciążenie łóżka wprawiało w ruch przyrząd włączający aprat, który natychmiast poczynał działać. Każda, nawet najmniejsza zmiana pozycji była tym sposobem utrwalona na filmie.

Obok: Pozycja wygodna, ale trwa zwykle tylko 3 lub 4 minuty.



Jedna z najwygodniejszych pozycyj. Można wytrwać w niej 15-20 minut.

Kinematograficzne zdjęcia człowieka podczas snu wykazały, że człowiek śpiący nigdy długo nie leży nawznak. Przekonanie, że ta pozycja jest najzdrowsza, jest zatem mylne. Waga ciała bowiem nigdy nie jest równomiernie rozdzielona na obydwie strony. Pozycje skurczone trwają najdłużej i żadna z nich nie daje całkowitego odprężenia mięśni. Jedna grupa mięśni wypoczywa, podczas gdy druga pozostaje w natężeniu. Zupełne odprężenie wszystkich mięśni spowodowałoby ściśnienie się narządów wewnętrznych, a to sprowadzałoby przerwy w śnie.

Z badań doktora Szymańskiego wynika, że śpiący człowiek musi mieć dosyć wolnego miejsca do zmiany pozycji. Spanie w ciasnem, wąskiem łóżku nie może dać odpowiedniego wypoczynku, jak i spanie więcej osób w jednem łóżku, gdyż druga osoba do pewnego stopnia krępuje ruchy i przeszkadza odpowiednim zmianom pozycyj.

Ciekawą jest rzeczą, że jeden i ten sam człowiek podczas nocy niespokojnej porusza się w śnie równe dwa razy tyle, co podczas spokojnej nocy.

Od ilości zmian pozycji podczas normalnego snu zależy stopień wypoczynku całego ustroju. Ludzie zmieniający podczas snu pozycję częściej, po wstaniu czują się mniej wypoczęci od tych, którzy rzadziej się poruszają w łóżku.

Liczba poruszeń podczas snu zależy także w znacznym stopniu od stanu żołądka. Człowiek obładowany pokarmami, mający zatem żołądek wypełniony, śpi gorzej i niespokojniej od osób wstrzymujących się od przyjmowania większych ilości pokarmów przed udaniem się na spoczynek. Sen takich osób jest więcej pokrzepiający i pożyteczniejszy. Nadmierny wysiłek fizyczny także ujemnie wpływa na sen człowieka i należy go unikać przed udaniem się na spoczynek.



Po zbyt częstych zmianach pozycyj w czasie snu, człowiek czuje się zmęczony i zaspany.

Gdy człowiek, nie przyzwyczajony do większych wysiłków fizycznych, zmęczy się czy to pracą czy choćby rozrywką, zdaje mu się, że skoro się położy do łóżka, zaśnie twardo i prześpi noc całą. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie. Po zmęczeniu przeważnie długo nie można zasnąć, a gdy wreszcie sen ogarnie człowieka, nie jest spokojny: dopiero po kilku godzinach mięśnie odprężają się i pozwalają spoczywać. Bardzo wielki wpływ na sen mają uczucia i silniejsze wrażenia. Człowiek zmartwiony, którego spotkało jakieś nieszczęście, czy oczekujący ważnej jakiej zmiany w trybie życia, czy wreszcie ogromnie uradowany czemś szczęśliwem dla niego, spać nie może, jak w zwykłych warunkach. Gniew, irytacja, żal, tęsknota, radość i wszelkie uczucia, występujące silniej, są wrogami spokojnego snu jak zmęczenie fizyczne i dolegliwości nerwowe.

Brak snu jak i nadmiernie wysypianie się odbija się fatalnie na stanie zdrowia. Ustrój nasz wymaga ośmiu godzin snu na dobę i wszelkie uchylenia od tej normy mogą być szkodliwe dla zdrowia.

Stanisław Brandowski



DLACZEGO SIĘ NIE OŻENIŁEM?



HUMORESKA

JUŻ temu lat wiele. Miałem wtedy mniej kłopotów na głowie, zato dużo fantazji w sercu, bo proszę tylko posłuchać:

Wśród rozmaitych napadów warjacji, jakie każdy normalny człowiek przechodzić powinien, przyszedł na mnie też okres ekonomji i domatorstwa, które polegały na tem, że co drugi dzień chodziłem do hali targowej na placu Bernardyńskim i tam kupowałem sobie jaja, masło, ser owczy, miód, wiejski chleb, powidła i inne posilne artykuły które potem stanowiły moją kolację.

Aby zaś nie narażać na szwank mej literackiej powagi, brałem, idąc po te zakupy, futerał od skrzypiec i w nim lokowałem moje życiodajne skarby.

Raz, gdy zamyślony niosłem moje pudło eolskie przez ulicę, weszło mi w drogę dziewczę o rzymskim nosku, greckim podbródku i z czołem, jakgdyby było segmentem z etruskiej wazy. A na domiar wszystkiego cerę miała jak brzoskwiniowy meszek.

Tyle pokus na dwudziestu kwadratowych centymetrach powierzchni!

To też gdy weszła do składu papieru, ja za nią. Ona kupiła zeszyt do francuskich preparacyj, a ja dziesięć arkuszy papieru na nuty. Wyszliśmy ze sklepu już w najlepszej komitywie i harmonji. Pozwoliła się odprowadzić do seminarjum na Krzywą ulicę. Po drodze wmawiałem w nią, że Pallas Athene mogłaby być jej służebną, a Minerwa powinna za nią nosić książki do szkoły i kalosze. Ona zaś przyznała mi się, że umiałaby kochać tylko tenora albo skrzypka.

W ten sposób osiągnęliśmy zupełne porozumienie co do naszych aspiracyj życiowych, a w tydzień potem dusze nasze tak pasowały do siebie, jak dwie połówki brzoskwiń w miłosnej legendzie.

Do sztambuchu wpisałem jej taki wierszyk:

"Dlaczego Eos nie wschodzi różowa?
Czemu Afrodis w głębi mórz się chowa?
Czemu zwątpiła w swą potęgę Fryne?
Czemu porzucił Pluto Prozerpinę?
Czy wiesz, dlaczego olimpijskie lasy
Brzmią jednym smutkiem i bólu chorałem?
Bo ty boginie odarłaś z ich krasy
I w niej królujesz nad Olimpem całym!

To był silny szlager. Od tego czasu już przybrałem ponurą minę Gandolfa, a ona objawiła zamiar wstąpienia do klasztoru bosych karmelitek. Ubocznie zaś dowiedziałem się, że mój wiersz w całem seminarjum wywołał niebotyczną furorę i u wszystkich pensjonarek stałem się legendarną postacią, rodzajem artystycznego centaura, skombinowanego na pół z Kubelika, a na pół z Petrarki.

Pamiętam jak dziś — było to w Wielki Piątek. Wracałem z placu Bernardyńskiego, trzymając w ręku mą podręczną śpiżarnię, na święta wielkanocne godnie wyładowaną. Było tam wszystko, nawet kwargle, bryndza i cebula, a jaj istne zatrzęsienie.

Wtem — na ulicy Akademickiej spotykam całe seminarjum, idące parami na Boże Groby. Aniela (Angela) w środku. Spostrzeżono mnie, i bez drutu roztelegrafowano tę wiadomość od pierwszej do ostatniej pary. Za krótką chwilę wszystkie oczy panieńskie zawisły na mnie, jak perłowe konchy na morskiej skale...

Stanąłem na skwerze ogrodowym w takiej pozie, że i dziesięciu Barączów nie odlałoby mnie w gipsie. Poza moja musiała być dziełem błyskawicznego natchnienia, jakiejś klasycznej indywinacji. A miałem na ramionach coś w rodzaju arabskiego burnusa o migdałowym kolorze, na głowie zaś "szlaphut", jaki w swoim czasie nosili socjaliści, ale który wówczas markował nadczłowieczeństwo. Do tego w ręku mój futerał od skrzypiec, symbol artyzmu i władztwa tonów...

A przede mną ciągły pary panieńskie, płynęły spojrzenia podziwu pełne i tajonym sentymentem drżące, dochodziły mnie westchnienia, niby dusz czyścowych, wydzierających się do raju, słyszałem prawie masowy krach tych serc, trawionych pożądliwością ku mnie — gdy nagle to sobacze pudło, najwidoczniej zbytnio przeładowane, otwiera mi się w ręku, a z niego sypią się do błota sery, jaja, cebula, bryndza — jakgdyby się przekupce stragan do góry nogami przewrócił!...

Jestem bardzo chudy i flegmatyczny. Temu zapewne zawdzięczam, że mnie podówczas nagła krew nie zalała. Miałem nawet tyle jeszcze przytomności, żem się wykręcił w mgnieniu oka na pięcie i wpadłem do kasyna miejskiego.

Angela do końca kursu chodziła z podpuchniętemi od płaczu oczyma. Tak słyszałem, bo po tym odmęcie wielkanocnym unikałem jej jak Pandory.

A futerał jeszcze mam. Służy mi on teraz za kuferek do przeprowadzania mych ruchomości, gdy mnie z mieszkania za niepłacenie komornego wylewają.

Szaleństwa Jana Wilczury

Napisał Zygmunt Troniewski

NA przeciwległych drzwiach widniał wybitny bilet wizytowy. Grube czcionki głosiły: Apollo Rojacki, profesor sztuki stosowanej.

Wilczura nie wiedział co o tem sądzić. Wyciągnął machinalnie swój niepokaźny bilecik, na którym umieścił był swego czasu odniechcenia: Jan Wilczura, ulica Krucza 18, i oglądał się za pluskiewką do przytwierdzenia go, bo, widać, tak wypadało w tym pensjonacie, lecz znalazłszy jedynie kilka żywych pluskiew, zdyskwalifikował je, jako nienadające się dla zrealizowania powziętego zamiaru, usiadł na krawędzi łóżka i pograżył się w smutnej zadumie. Deszcz nierytmicznie zacinał w szybę. Szarość obsiadła dzień.

— Zakopane — wmawiał w siebie Wilczura, napróżno starając się wywołać treść tej nazwy, — Zakopane, — powtórzył bezradnie i splunął.

Oznaczało to stan wyraźnej nierównowagi wewnętrznej.

— Drugi dzień urlopu ...fiuut — uprzytomnił sobie, pogłębiając niechęć do świata.

Podniósł wzrok i przez niedomknięte drzwi swego pokoju ujrzał w tem miejscu, gdzie uprzednio widział fascynujący bilet, również fascynującą głowę. Profesor Apollo Rojacki, mąż wyniosły, aczkolwiek niskiego wzrostu, o bujnej, przeświecającej gdzie niegdzie łysiną czuprynie, o pszenicznych ościstych wąsach, stał w całej swej okazałości przed Janem Wilczurą (Krucza 18).

Wilczura machinalnie wstał.

Profesor przyjął z uznaniem ten gest uwielbienia i chrząknął, otwierając tem samem szranki rozmowie.

Wilczura posunął się o krok w stronę drzwi.

Wtedy profesor ruchem toreadora wyciągnął rękę i z pod okapu złotawych jego wąsów popłynęły nizane w składne okresy zdania:

— Jestem Rojacki, profesor i akademik. Nazwisko moje, oczywiście, nie jest panu obce?! Siedzę tutaj — ciągnął tonem zwierzenia — bo tu jest spokój, warunek nieodzowny dla twórczości. Spokój jest jeszcze na szczytach — wskazał ręką sufit — ale słońce niezawsze bywa łaskawe nawet dla wybranych. Wczoraj, naprzykład, byłem z grupą moich uczniów na Nosalu i nagle spadł deszcz. Wytrzymaliśmy mężnie około czterdzieści cztery minuty, Staram się dociągnąć wszystko w mojem życiu do tej liczby; niewiadomo, komu dane będzie spełnić słowa wieszcza. Otóż, wracając do Nosala, po czterdziestu czterech minutach dałem hasło do odwrotu i w najlepszym porządku zeszliśmy nadół. Ale studja przepadły...



Apollo Rojacki, profesor sztuki stosowanej.

— To bardzo, bardzo przykre, w istocie — plątał się oczarowany Wilczura. — Panowie, oczywiście jak się domyślam, przeprowadzali badania meteorologiczne...?

— Reprezentuję sobą szkołę malarską — wycedził profesor wyniośle — nowy kierunek, który nazwę swojem imieniem. Specjalność — maluję szarotki. Żegnam.

Wilczura stał zawstydzony. Lecz niespodziewanie profesor przystanął i zapytał:

— Pan... już bywał w Tatrach?

— Tak... to jest, właściwie, nie... ale miewałem zamiar niejednokrotnie — usprawiedliwiał się Wilczura.

— Więc pan pierwszy raz? Zapewnie nie orjentuje się pan jeszcze w turniach, szczytach, żlebach, kominach, rysach, rozpadlinach i trzaskach. Lubię wprowadzać ludzi w ten podniebny świat! — dodał patetycznie. — Chce pan przyłączyć się do nas?

— Panie profesorze, ależ... zbyt wiele łaski... dziękuję... boję się przeszkadzać... nie jestem malarzem... — jąkał się Wilczura.

— To nic. Nigdy niewiadomo, kogo dotknie iskra boża. Zaznaczam, trudności będą duże, aleśmy potomkowie rycerzy. Więc... spotkanie jutro o zachodzie w Morskiem Oku. Proszę stawić się w pełnym rynsztunku turystycznym. Tymczasem zaś — a rivederlá!

Profesor znikł. Wilczura przecierał oczy. Na drzwiach tkwił bilet wizytowy z szlachetnie brzmiącym napisem:

"Apollo Rojacki, profesor sztuki stosowanej".

* * *

Wilczura dowlókł się do pomnika Chałubińskiego i przystanął. Musiał wyglądać obłędnie w swym świeżo skompletowanym rynsztunku wysokogórskim, bo przechodnie zatrzymywali się, a góralki żegnały się pobożnie na jego widok. W istocie, zażądał był w sklepie z przyborami turystycznemi kompletu, usłużny zaś subjekt żądanie to skrupulatnie wypełnił, pakując przytem po dwie sztuki "każdej rzeczy" na wszelki wypadek.

Wilczura przyjął to z wdzięcznością, protestował tylko gwałtownie przeciw dwom czekanom i postawił na swojem, biorąc tylko jeden.

— Którędy do Morskiego? — spytał mężnie, pomimo nieznośnego ciężaru z trudem wstrzymując się od komentarza: — mam się tam spotkać z mistrzem Rojackim.

Uprzejmi przechodnie wskazywali mu drogę z szacunkiem, graniczącym z przerażeniem. Wilczura pomijał z początku kwestję odległości, gdy jednak stwierdził, że szosa wyciąga się w nieskończenie długą linję, zapytał jakiegoś turysty:

— Przepraszam, czy nie byłby pan szanowany tak pełen uprzejmości objaśnić mnie łaskawie...

— Dwadzieścia kilometrów, a z gadaniem trzydzieści — odrzucił tamten, nie czekając końca pytania.

Wilczura przyjął do wiadomości pierwszą z podanych cyfr i siły go opuściły.

— Nie dojdę — stwierdził z przerażeniem, próbując, śladami Jozuego, zatrzymać słońce w biegu.

Zniechęcony niepowodzeniem, usiadł. Wtem z poza zakrętu wyskoczyło auto. Zdeterminowany Wilczura zasygnalizował ręką i powstał tak gwałtownie, że ciężar plecaka powalił go na jezdnię.

Z poza kierownicy wynurzyła się postać sportowca (wiek nieokreślony). Ręce w rękawiczkach chwyciły Wilczurę za łokcie, pomagając mu wstać.

— Nic mi nie jest — oprzytomniał Wilczura.

— Zawsze pomagam turystom — oświadczył gentleman. — Pan w stronę Morskiego?

—Tak jest, istotnie.

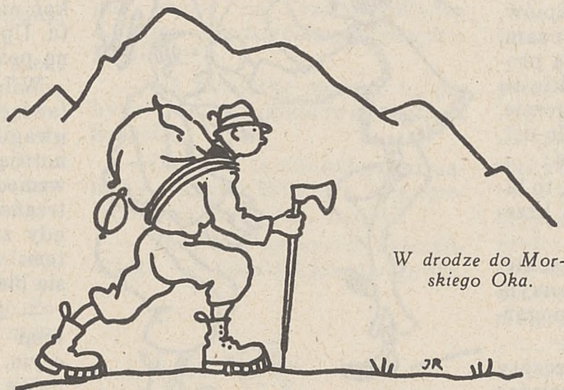
— Więc proszę uprzejmie — wskazał wnętrze limuzyny. — A może pan zechce objaśnić memu towarzyszowi jakie to szczyty widać, bo sam nie jestem zawodowym wspinaczem.

Wilczura spostrzegł bladego młodzieńca.

— Szczyty? — biedził się, sam spostrzegłszy dopiero teraz kontury gór nad lasem. — Nigdy tam nie byłem.

— Ach, tak, oczywiście, dla pana to mięta. Pan odwiedza zapewne tylko najdziksze turnie?

— Przeważnie — odparł Wilczura, nabierając nagle kontenansu. — Nosal jest jednym ze szczytów, na który wspinam się bez wysiłku — dodał, przypominając sobie rozmowę z profesorem.

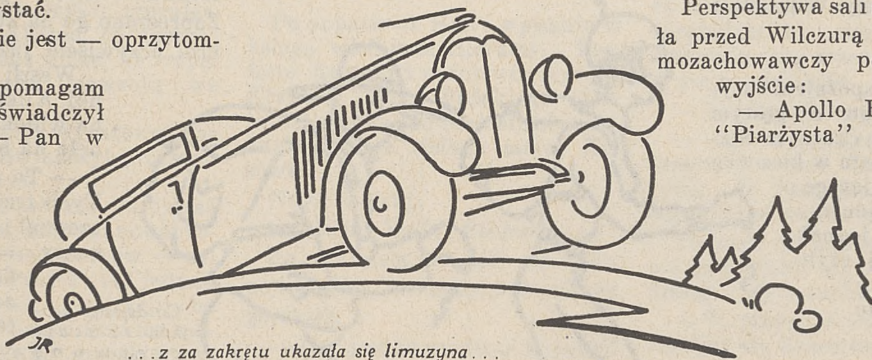


W drodze do Morskiego Oka.

— Więc niechże mam zaszczyt przewieźć znakomitego taternika — uśmiechnął się nieznajomy, zasiadając przy kierownicy.

Wilczura z lubością poddawał się wykwintnemu kołysaniu. Teraz zdąży napewno.

Wtem zgrzytnęły hamulce. Patrzy: Ręce w rękawiczkach obracają gwałtownie kierownicę. W oknie spienione pyski końskie. Zgiełk! Trrach! Poderwane auto zatacza się, staje. Konie biją kopytami szosę. Gentleman wyskoczył, macha rękami. Górale krzyczą. Atakują. Pęka świetne sportowe ubranie... Blady młodzian przypadł do ramienia Wilczury:



...z za zakrętu ukazała się limuzyna...

— Niech go pan ratuje!

Biedny Jan Wilczura! Jeśli bił się kiedykolwiek, to z własnemi myślami. Poci się w rozterce. Bić górali? ... co powie Tetmajer? Bić sportowca — co powie wrodzona lojalność. Nagle — myśl salomonowa. Wilczura będzie rozjemcą. Ma dar godzenia ludzi. Tylko... trochę rubaszności. Klepnąć górala po ramieniu! Przemówić do rozsądku!

Podbiega zboku i kładzie rękę na plecach zacietrzewionego gazdy. I nagle, nagle, trzaśnięty mocarną pięścią, odlatuje do rowu.

— Psiawiara! Skiela to se wzion? Zdechlak!

Zostawiają półnagiego sportowca i walą się na niego. Czuje ich żylaste ręce bezapelacyjnie wyszukujące żeber pod znakomitym rynsztunkiem. Zapach gorzały bucha.

— Zginął w walce ze zbójnikami — widzi Wilczura własny nekrolog.

Aż odpadli. Auto drżało. Gentleman startował. Rzucili się ku niemu, Wilczura skoczył do drzwiczek (dziwnie lekki był teraz plecak) i, zanim zdążył się usadowić, rwali już pod górę, zostawiając za sobą wrzeszczącą grupę. Sami uwozili pogięte błotniki, oraz próbki pierwszorzędnego materjału ze sportowego ubrania.

— Pozwoli pan, że zanotuję sobie pańskie nazwisko i adres — powiedział gentleman, gdy się żegnali przy Morskiem Oku. — Kto wie co nas czeka?

Perspektywa sali sądowej stanęła przed Wilczurą i instynkt samozachowawczy podszepnął mu wyjście:

— Apollo Rojacki, willa "Piarżysta" — wyrzekł drżącym głosem.

Uścisnęli sobie dłonie.

* * *

Nazwa "Morskie Oko" nasuwa pewne wątpliwości. Można uznać przymiotnik "Morskie" za dość udatny ze względu na niebywałą ilość pudełek od sardynek, zdobiących brzegi jeziora, oraz ze względu na to, że woda w okolicach schroniska jest nieco słona. Zato upodobnienie jeziora do oka rozmija się z logiką, bo jeśli wzięto pod uwagę okrągły

jego kształt, to właściwsze byłyby nazwy: "Morski talerz", "Morskie koło" albo wreszcie "Morska łysina" gdyby już koniesznie chodziło o czerpanie porównań z anatomji.

Nie zastanawiając się nad temi rzeczami krążył Jan Wilczura nad wodą w poszukiwaniu profesora. Pierwsze jego przejście wzbudziło entuzjazm zgromadzonych gapiów, lecz gdy zaczął chodzić tam i sam, zamiast drapać się wprost na prostopadłą ścianę, czego oczekiwali przybyli wprost ze stolicy goście, złośliwe uwagi poszły z ust do ust, a ktoś nawet rzekł z powagą:

— Jeśli pan szuka Mnicha, to łatwiej go znaleźć na tamtym brzegu.

— Szukam profesora Rojackiego — odpowiedział tym samym tonem Wilczura, odczuwszy pogardę dla tłumu.

Słońce właśnie barwiło szczyty jaskrawemi kolorami, zostawiając doliny w cieniu, a serce Wilczury w zwątpieniu.

— Napewno źle trafiłem — pomyślał — to chyba nie Morskie Oko.

I zapytał spotkanego turysty w sposób dyplomatyczny, by nie zdradzić swej nieświadomości:

— Czy tu w pobliżu jest jeszcze jakieś inne jezioro?

— A jest! Ta ścieżka do potoku, potem wgórę za czerwonemi znakami...

— Dziękuję z serca — odparł zawsze uprzejmy Wilczura i ruszył.

* * *

Jacyś dwaj spóźnieni turyści znaleźli go o gęstym zmierzchu nad Czarnym Stawem, uwikłanego w kosówkę i sporządzającego rachunek sumienia.

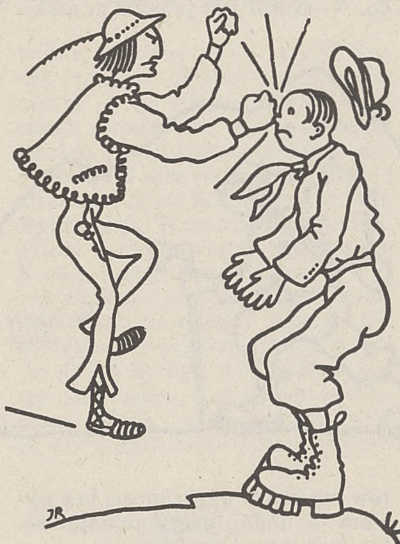
Nie zdążył jednak dokończyć tej czynności, bo sprowadzono go do schroniska.

— Już nigdy... — przyrzekał sobie, siedząc w autobusie, mknącym do Zakopanego.

* * *

— Aa, profesor! — wyrwał się okrzyk z ust Wilczury, zdążającego do Orbisu.

— Witam pana, witam — mówił profesor, nie zatrzymując się, co zmusiło Wilczurę do podążania za nim. — Cóż? Zdradził pan nas? Ale, ma pan wcale niezły rynsztunek...



... z kiela sie wzion... psiawiara!

Wilczura zaczął się gorąco usprawiedliwiać.

— Obszedłem całe Morskie Oko dokoła, przysięgam!

— Siedzieliśmy tuż koło jazzbandu — rzekł chłodno profesor.

Wilczura osłupiał. Więc to "Morskie Oko" w Zakopanem, ów popularny dancing miał na myśli profesor.

— Szukałem państwa nad jeziorem — wyjąkał zmaltretowany.

— Któż popełnia takie głupstwa! Zresztą, Morskie — to żaden punkt wyjścia. Na Rysy? Zbyt popularne. Przełęcz pod Chłopkiem? Jesteśmy, chwała Bogu, arystokracją duchową. Mnich jest za niski na to, by ryzykować dlań zdrowie, a Żabi koń nie przedstawia już problematu. Uprzedzono nas — dodał z miną poszkodowanego przez los.

Wilczura nawet nie zauważył, łowiąc chciwem uchem bezcenne uwagi taternistyczne profesora i notując je skrzętnie w pamięci dla wzmocnienia swojej reputacji tatrzańskiej po powrocie na niziny, gdy znaleźli się przed pensjonatem. Z mroku drzew wynurzyła się biała postać.

— Ach! Charmante! — wykrzyknął profesor z gestem zaborczym, który wnet zaokrąglił, dodając tonem salonowca: — pan Wilczura, nasz niedoszły towarzysz, choć doszedł do Morskiego Oka. Panna Szarotka N. ozdoba wycieczki, której przewodniczę...

— No, profesorze, proszę bez komplementów — odrzekła rezolutnie Szarotka, — i oświadczam zgóry, że jeśli barometr wciąż spada, to ruszamy jutro w góry bez profesora. Już ja to urządzę. A pan z nami, oczywiście? — zwróciła się do Wilczury z uśmiechem uroczego dziecka.

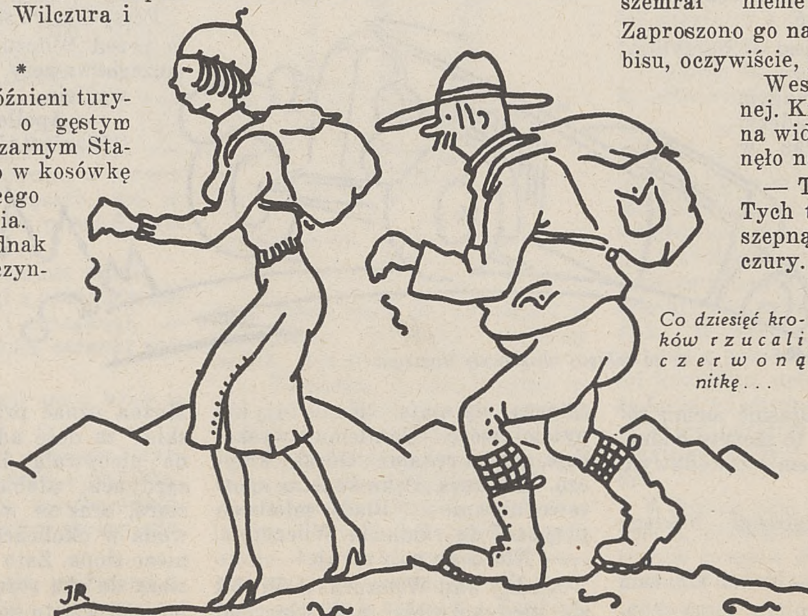
Wilczura stopniał, poczem wyszemrał nieme podziękowanie. Zaproszono go na kolację. Do Orbisu, oczywiście, już nie poszedł.

Weszli do sali jadalnej. Kilkanaście postaci na widok profesora stanęło na baczność.

— To moi uczniowie. Tych trzymam ostro — szepnął profesor do Wilczury. — Szarotka — dodał — jest naszem "enfant terrible".

Poczem, siadając na miejscu prezydjalnem, obwieścił:

— Jutro, skoro świt, wychodzimy w góry. Trasę naszego pochodu wytknąłem przez Halę Gąsienico-



Co dziesięć kroków rzucali czerwoną nitkę...

wą, Krzyżne, Roztokę. Proszę zwrócić uwagę na obuwie, apteczki podręczne i porcje żelazne! Kto się nie czuje na siłach — może zostać!

Przy stole zawrzało.

* * *

Słośne promienie wstającego słońca lśniły w menażkach i kubkach. Profesor, zaaferowany, udzielał ostatnich instrukcyj:

— Pan Wilczura będzie szedł pierwszy, ponieważ ma za sobą Czarny Staw. W miejscach trudnych zastąpię go. Zwykle idę ostatni, bacząc na całość. Pani przy mnie — dodał ciszej do Szarotki — według umowy, proszę — nalegał, gdy protestowała.

Lecz wymarsz został opóźniony, bowiem profesor przypomniał sobie, że nie zawiadomił jeszcze Pogotowia Tatrzańskiego o kierunku marszu.

Gdy pojechał to załatwić, panna Szarotka podeszła do Wilczury.

— Pan "zrobił" Czarny Staw? — zapytała, wyrażając się jak wytrawny wspinacz.

— Tak, niechcący — rumienił się Wilczura.

— Mój Boże, to dla pana taka bagatela — dziwiła się nabożnie.— a dla mnie... to jeszcze marzenie. Bo widzi pan, profesor...

I zaczęła utyskiwać na profesora. Profesor taki, profesor owaki. Wilczura najpierw zlekka protestował, po chwili jednak ostrożnie potakiwał, a w gruncie rzeczy odczuwał pewne zadowolenie. Powrót profesora przeciął te wynurzenia. Ruszyli w szyku, rzucając, po zniknięciu Kuźnic, co dziesięć kroków czerwoną nitkę, na wypadek konieczności powrotu we mgle.

— Te nitki mogą wyratować nas od śmierci — oświadczył profesor. — To mój pomysł.

Wilczura, chcąc mu dorównać w pomysłowości, zaproponował zostawianie co tysiąc kroków — zapasu żywności. Projekt ten jednak nie doczekał się realizacji, bo nikt nie chciał liczyć kroków, pomimo przekonywań projektodawcy, iż kapitan Scott postępował tak podczas wyprawy do bieguna.

Na postoju Wilczura chciał zbliżyć się do panny Szarotki, ale profesor ofuknął go:

— W marszu nie należy mieszać szyków. Niepotrzebne chodzenie tam i napowrót absorbuje nasze siły...

Wilczura wrócił posłusznie na czoło, ale gdy ruszyli, wyjął lusterko i chwytał w niem odbicia końca pochodu, zauważając, że profesor ułatwia własnoręcznie Szarotce przezwyciężanie nawet minimalnych trudności

Reszta wycieczki przypominała stado owiec. Zresztą było jej z tem do twarzy.

— Stop! — krzyknął profesor, gdy weszli na Przełęcz Między Kopami. Tu usypiemy kopczyk z kamieni!

— Na pamiątkę naszego tu pobytu — zadeklamowała panna Szarotka.

— Czy nikt tu nie był przed nami? — zapytał Wilczura, lecz, spostrzegłszy ślady kół, zamilkł.

— To dla Pogotowia Tatrzańskiego — objaśnił kwaśno profesor.



ukazało się kilku policjantów na małych górskich konikach...

Po popasie na Hali i wpisaniu w księgę wielkiemi literami: Profesor Rojacki i uczniowie jego na Krzyżne, Roku Pańskiego 1930, brnięto dalej pod omszałemi smrekami i przez zielone morze Kosówki.

Nagle krzyki:

— Hallo! Hallo! Stójcie!

Za zakrętem ukazało się kilku policjantów na małych konikach górskich.

— Czy jest tu profesor Rojacki?

Profesor zbladł. Pytanie zamarło na jego ustach.

— No, dzięki Bogu, że dogoniliśmy pana — cieszył się przodownik. — Jest pan wezwany do Nowego Targu jako główny świadek w sprawie gazdy Jontka Walisana przeciw doktorowi Kakaduczkowi o nieostrożną jazdę. Musimy się śpieszyć, sprawa zaczyna się za trzy godziny!

— To pomyłka. — To kapitalna pomyłka! — krzyczał profesor. — Nigdy nie widziałem żadnego doktora Kakaduczka!

— Proszę o dokument. Apollo Rojacki, profesor — sprawdzał przodownik. — Ten sam, No... jak pan nie chcesz po dobrej woli?... — nacierał koniem.

— Zaraz, zaraz, wrócimy wszyscy razem — bronił się profesor.

— Nie można. Tu jest koń dla pana. Siadaj pan!

— Do licha — jęczał profesor. — Djabli mnie skusili zostawiać ślady po sobie.

— Siadaj pan bez gadania — krzyczał przodownik, podsadzając profesora, który pakował w strzemię niewłaściwą nogę, zdziwiony uporczywością, z jaką podstawiał mu się malowniczy skądinąd ogon.

— Wracajcie na-tych-miast! Za czerwonemi nitkami! — ryknął profesor i, chwiejąc się na koniu jak trzcina, znikł z oczu.

* * *

Wycieczka wracała w popłochu. Jedynie panna Szarotka szła dalej, a Wilczura posuwał się za nią jak zahipnotyzowany.

Chmury zniżały się powoli, zakrywając wspaniałą scenerję gór.

— Kurtyna zapada — myślał Wilczura, nastrojony teatralnie.

Deszcz zaczął padać wielkiemi kroplami. Byli wśród głazów, zwanych maliniakami w narzeczu taternickiem, a Wilczura myślał o tem, że usta jego towarzyszki są właśnie jak maliny. Szarotka rozglądała się niespokojnie, aż wskazała ręką czarny otwór, nieco w górze od ścieżki.

— Koliba! Schowajmy się tam!

— Tam mogą być węże — wyszeptał trwożnie Wilczura, ale tak cicho, że Szarotka nie usłyszała tego przez szum deszczu.

Podeszli do koliby i owładnęli nią bez trudu, nie zastawszy tam nikogo. Była sucha.

— To przynajmniej przygoda — cieszyła się Szarotka — słyszałam o życiu w kolibach. Trzeba naciąć kosówki ułożyć podłogę, a potem można spać.

Wilczura przykucnął pod głazem, oszołomiony niesamowitością chwili i milczał.

— No, czemu pan nie układa podłogi?

Człowiek, dla którego słowo kobiety było zawsze rozkazem, rzucił się do roboty.

— Układa sobie łoże rozkoszy — szeptała lękliwie nadzieja.

Pracował jak Waligóra. Wyszarpywał wrośnięte w teren głazy z dziką pasją. On — Jan Wilczura — któremu życie nigdy nie dało sposobności do intymniejszych przeżyć — w takiej sytuacji! Triumfował.

— Brawo — chwaliła Szarotka. — Teraz dostanie pan nagrodę — rzekła słodko.

I, gdy oczekiwał z bijącem sercem, a kolana zaczęły się pod nim uginać, wyjęła z plecaka rzetelną kromkę chleba z masłem i serem.

— Świetny — zapewniała, częstując go.

Wilczura przełknął zawód i przekąsił chlebem. Szarotka zaczęła wyciągać koc i swetry.

— Teraz położymy się, bo niema co robić.

Zawinęła się szczelnie, wsunęła plecak pod głowę i leżała, oddychając rytmiczne.

Wilczura postanowił być subtelnym. Ociągał się z urządzeniem posłania, to przysuwając, to znów odsuwając swój koc. Odległość dłoni wydała mu się nieuzasadniona, więc odsunął się ku ścianie, lecz tam zaciekało.

— Niech pan położy się bliżej — rzekła sennie Szarotka.

Zadrżał. Wypełnił skrupulatnie polecenie. Leżał nieruchomy i wyczekujący.

Woda tymczasem zalewała świat. Wilczurę ogarnął błogostan. Rozsmakowywał się w chwili, która była przedsionkiem nieznanej mu świątyni upojeń. Gdyby mógł, żłobił by swe wrażenia scyzorykiem lub kawałkiem kamienia, by je uwiecznić... On, romantyczny z natury, a z dziwną zajadłością izolowany przez życie od wszelkiego kontaktu z niewiastami, doczekał się oto momentu, który wynagrodzi mu wszystkie nieziszczone dotychczas tęsknoty...

— Tuż obok — myślał — leży ona i marzy podobnie. O czem może marzyć, jak nie o pieszczotach, co spłyną z jego ust i rąk.

— Trzeba być czynnym — postanowił i zaczął oddychać w tempie przyśpieszonem, namiętnie i sugestywnie.



Szarotka spała zaróżowiona, śliczna...

Obok wciąż było słychać rytmiczny oddech Szarotki.

— Śpi — stwierdził rozczarowany. — Co tu robić? Przecież tak cała noc może minąć i nic...

Wymacał ręką małe kamyczki i zaczął rzucać niemi o ścianę, chcąc w delikatny sposób zbudzić śpiącą, lecz dostał rykoszetem w nos, co stanowiło poważną przestrogę, by zaprzestać tego sposobu.

Niepokój go ogarniał coraz większy. Każda upływająca minuta była sygnałem alarmowym: "Noc szybko mija"... Wreszcie w panicznym strachu, by nie zmarnować wszystkiego, wyciągnął zaborczą rękę i nagle poczuł, że jest mokra od potu. Cały był w siódmych potach.

— To nie tak łatwo — stwierdził. — I dlaczego ja się właściwie boję?

Postanowić ochłonąć trochę i na zimno rozpocząć grę. Irytowała go niewrażliwość tej kobiety.

Myśli rozpraszały się i oczy powoli zaczęły się kleić.

Jan Wilczura zasnął.

Śniło mu się, że całuje Szarotkę i ma ją w ramionach.

Obudziło go wulgarne słońce. Szarotka wciąż spała, zaróżowiona i śliczna.

Wilczura targnął się z rozżalenia za własną czuprynę. Stało się najgorsze — noc minęła. — W dzień nie odważy się za nic na takie szaleństwo. W przystępie rozpaczy pochylił się nad śpiącą, hipnotyzowany wykrojem czerwonych ust. Wahał się jeszcze chwilę, zbliżając swe usta, gdy nagle na twarz Szarotki wpełznął obcy cień i znieruchomiał.

Wilczura podniósł głowę.

U wejścia do koliby stał człowiek o bujnej, aczkolwiek przerzedzonej łysiną czuprynie i ościstych, pszenicznych wąsach.

Był to profesor Apollo Rojacki.

Nazajutrz w dzienniku miejscowym pojawiła się następująca wzmianka:

"Ekspedycja ratunkowa znalazła zaginioną parę nad ranem w gnieździe skalnem, jak przytuleni do siebie grzali się ciepłem własnych ciał.

"Ratunek swój zawdzięczają znanemu taternikowi, malarzowi Apollo Rojackiemu, który, odłączywszy się na chwilę od ekspedycji, przypadkiem natrafił na miejsce schronienia. Profesor, widocznie ze wzruszenia, zaniemógł na serce i musiano odstawić go do Zakopanego. Na szczęście stan zdrowia znakomitego taternika nie budzi poważniejszych obaw i jest nadzieja, że po krótkim wypoczynku będzie on mógł znowu wkroczyć w umiłowane swe góry".



TATERNICTWO

Wyraz "taternictwo" ukuty jest, jak brzmienie jego wyraźnie wskazuje, od gór naszych Tatr. Kraje alpejskie mają "alpinizm", co znaczy — badanie gór Alpejskich, zwiedzanie ich i docieranie na najwyższe szczyty. U nas w Polsce taternicy odpowiadają alpinistom tych krajów Europy, gdzie są Alpy.

Dlaczego i poco wspinają się ludzie często z narażeniem życia na szczyty gór, skoro żadnej korzyści materjalnej z tego nikt nie osięgnął? Czyż sam widok wysokiego szczytu górskiego, widziany zdołu, z bezpiecznego i wygodnego miejsca, nie powinien wystarczyć człowiekowi? Widocznie, że nie.

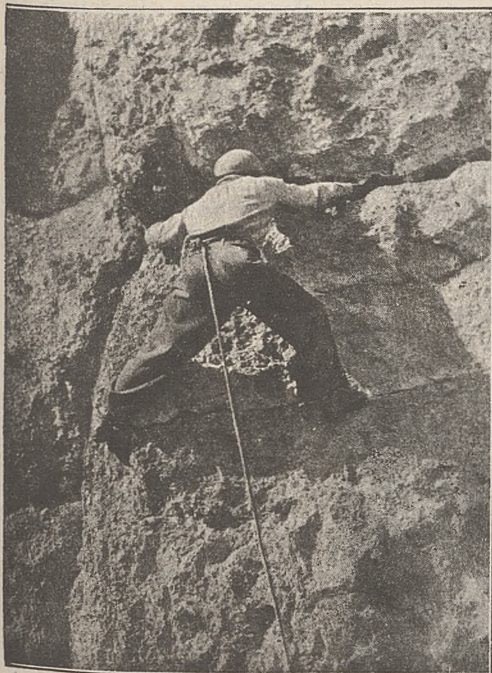
Wysokie góry zawsze budziły w człowieku pewną grozę, pewien strach, jak coś tajemniczego, niezbadanego, jak bóstwo jakieś potężne, a niedostępne. To też w najdawniejszych czasach góry były uważane za siedziby bóstw, a wiara ta przechowała się jeszcze do dzisiejszych czasów w niektórych zakątkach świata. Najwyższa góra na świecie, Mount Everest, nazywa się po tybetańsku "Czomolungmo" co znaczy "Bogini, Matka Gór". Po niemym pierwotnym strachu i ślepej wierze w góry jako siedziby bóstw, nastąpił okres rozważania: poco góry wogóle istnieją i skąd się wzięły? Jaki jest cel ich, skoro na nich ani zboża uprawiać nie można, ani trzód wypasać, gdyż składają się z surowych, poszarpanych skał. Nastały czasy przypuszczeń, że na szczytach wysokich gór znajdują się skarby. I nastąpił okres zapuszczania się w góry w celach odkrycia skarbów. W poszukiwaniu drogich kamieni wdzierali się zuchwali pionierzy taternictwa na niedostępne szczyty, przeszukiwali rozpadliny skalne i wracali, o ile potrafili przezwyciężyć grożące im na każdym kroku niebezpieczeństwa, z próżnemi rękoma.



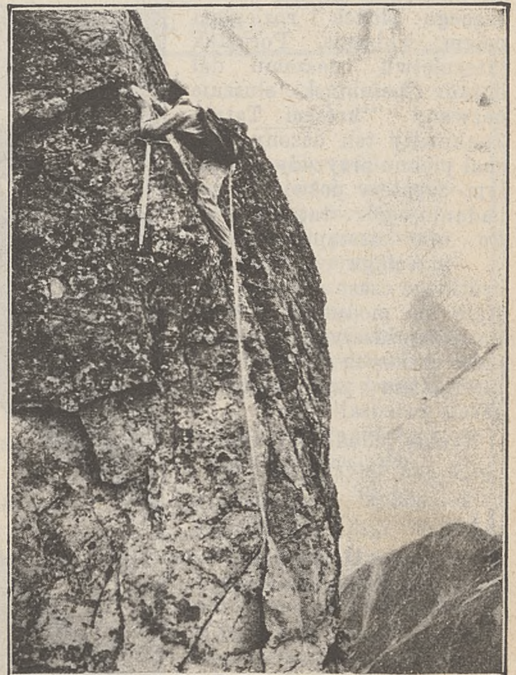
Typowa ściana tatrzańska. Mała Buczynowa Turnia.

Z biegiem stuleci wygasła wiara w możność znajdywania skarbów na szczytach gór, ale ludzkość odkryła i zaczęła podziwiać ogólne piękno górskiej przyrody. Rozpoczęły się wędrówki w góry już wyłączenie w celu rozkoszowania się pięknem przyrody, a rychło potem nastąpiły wyprawy w celach naukowych, dla badania formacji gór i ustalenia przyczyn ich powstania.

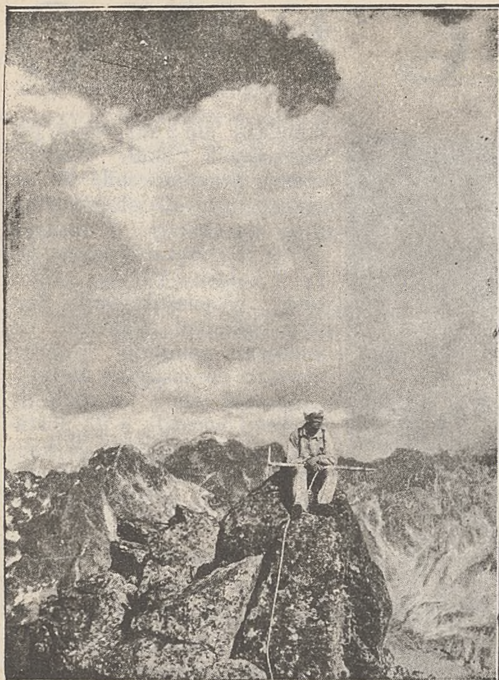
Taternik, czyli turysta tatrzań-



Wprawnemu taternikowi wystarczają skąpe chwyty i oparcia.



Wspinaczka przepaścistą grzędą.

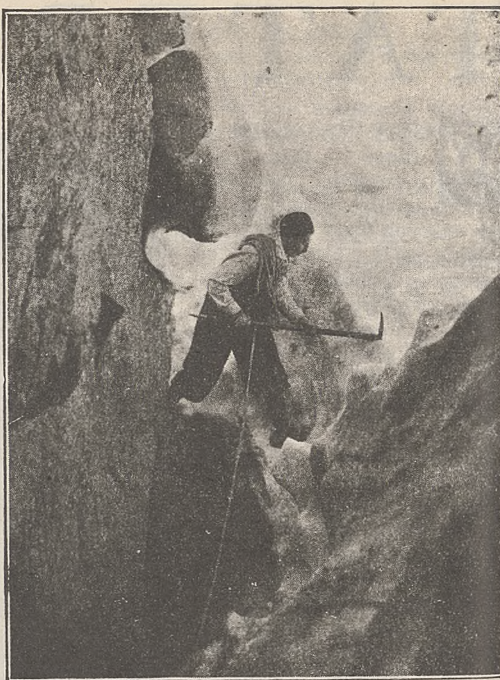


Ze szczytowej turni Krywania roztacza się szeroki widok prawdziwie tatrzański.

szą drogą, ale przez taką czy owaką ścianę, określoną zgóry granią lub urwiskiem.

Podczas gdy w dawniejszych czasach chcąc zwiedzać Tatry wystarczało zaopatrzyć się w długie buty, zniszczony strój i ciupagę i uzbroić się w posłuszeństwo góralowi - przewodnikowi, o którym najniesłuszniej myślano, że jest zżyty z górami, teraz sportowiec - turysta dysponuje całym arsenałem środków pomocniczych, stworzonych wyłącznie dla "taternictwa". Najważniejszym z tych środków jest lina, o której "wszyscy wiedzą", ale fałszywie. Linie przypisuje się rolę sztucznie w skały wkutych klamer i łańcuchów, to znaczy rolę pomocy przy wspinaniu. Tymczasem ona ma inne zadanie: ubezpieczanie podczas wspinaczki. Taternicy wiążą się wzajemnie liną: gdy jeden się wspina, drugi go asekuruje, to jest musi liną tak manewrować, aby w razie odpadnięcia towarzysza od skały, co bywa wypadkiem wcale częstym i bynajmniej niezbyt groźnym, aby zawisł na tej właśnie linie. W miejscach łatwiejszych wystarcza przełożyć linę przez jakiś blok czy występ skalny lub nawet ubezpieczać z wolnej ręki; gdzie skała jest jednak bardzo gładka i zbyt pionowa, miejsce bloku lub ręki musi spełniać hak, potężny hak z pierścieniem, który wbija się w odpowiednią szczelinę, przyczepiając do pierścienia karabinek stalowy, a przezeń dopiero przepuszczając linę.

Technika trafnego posługiwania się hakami jest trudna i wymaga sporo doświadczenia. W dzisiejszym sporcie taternictwa haki odgrywają coraz większą rolę. Niektórzy sportowcy-turyści dochodzą do tego, że wybierają się na wyprawy z mnóstwem narzędzi ślusarskich.



Przekraczanie szczeliny brzeżnej między skałą a śniegiem.

ski wędruje dolinami i zanim zapuści się na górę, podziwia piękność jej zdołu. Nasyciwszy się jej widokiem, pnie się coraz wyżej i za wszelką cenę stara się dostać aż do wierzchołka. Tam napawa się przecudnemi widokami wschodzącego lub zachodzącego słońca i rozległem polem widzenia. Początek taternictwu naszemu dał doktór Chałubiński, słusznie nazwany "królem Tatr". Znakomity ten uczony ukochał piękno przyrody i z całym zapałem poświęcił się badaniu gór tatrzańskich. Po nim nastąpili inni i w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu taternictwo stało się modne. Z całej Polski zjeżdżały się gromady ludzi chciwych wrażeń i pod kierunkiem przewodników-górali zwiedzali Tatry.

Rychło jednak nie wystarczały już taternikom same tylko widoki. Zadrgała w ludziach żyłka zdobywcza, sportowa. Rozpoczęły się wspinania na najniebezpieczniejsze miejsca — "zdobywania szczytów". Zapaleni taternicy stawiali sobie zadania dostania się na ten czy ów szczyt nie najłatwiej-

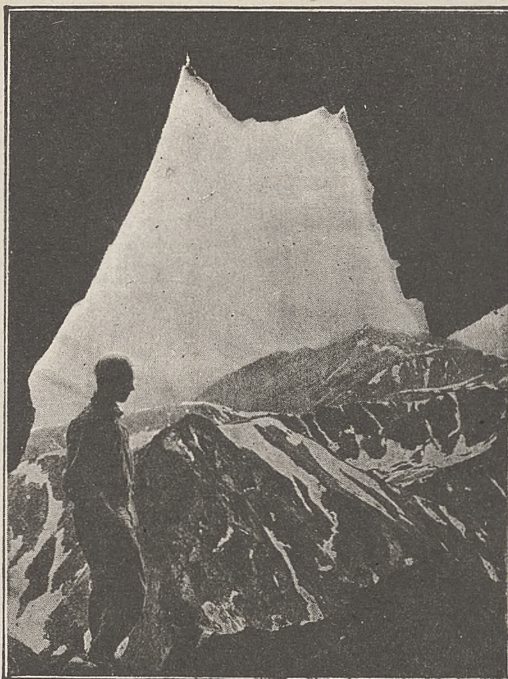


Spadziste płaty śniegu często prowadzą pod ścianę.

Marsz po zlodowaciałych śniegach ułatwiają taternikom "raki" (żelazne zęby na buty) i czekan; wspinaczkę skalną umożliwiają tak zwane "trzewiczki" o gumowej lub sznurowej podeszwie. Od słońca chronią oczy okulary śniegowe, od dżdżów i chłodu nieprzemakalny skafander lub tak zwane "wiatrówki".

Obozowanie w górach umożliwiają namioty i worki do spania. Umiejętność ścisłego współżycia z przyrodą i obrony przed jej mroźną surowością jest jednym z głównych warunków prawdziwego taternictwa.

Oto krótka wyprawa taternika: Wczesna godzina ranna, taternik jest już w drodze. Pogrążoną jeszcze w cieniu percią doliny, przez piargi i śnieg podskalny, niezmordowanie idzie ku swemu celowi. Nieraz przedzierać się musi przez gęste zarośla kosodrzewia, przez zwały olbrzymich głazów (maliniaków) lub posuwać się ku górze w grząskiem, miałkiem szutrowisku. Wreszcie staje pod upatrzoną ścianą: ostatnie przygotowania, jeszcze, zazwyczaj, pokonanie szczeliny brzeżnej, to znaczy odparzeliny pomiędzy ścianą, a śniegiem u jej stóp, nieraz na kilka metrów szerokiej, a bardzo głębokiej i oto sama wspinaczka, wspaniałe napięcie nerwów i mięśni. Tu nowe niebezpieczeństwa i trudy: powikłanie terenu, trudności czysto techniczne, spadające nierzadko kamienie i zdradliwa kruchość skały.



Przecudny widok z Gąsienicowej Turni ku Zatworom.

Dobrze jeszcze, jeżeli taternik idzie "drogą" już wyszukaną, mając do dyspozycji materjał przewodnikowy, doskonale w Tatrach wypracowany. Jeśli jednak szuka drogi własnej, wspina się urwiskiem stopą ludzką jeszcze niedotkniętem, wtedy jest skazany tylko na własne siły, inteligencję i intuicję. Oczywiście takie zadania nęcą tylko najwybitniejszych taterników, bo do pokonania tych trudności wiele trzeba doświadczenia, siły i ducha sportowego.

A kiedy taternik dostanie się wreszcie na upragniony szczyt i wypocznie cokolwiek, czeka go droga powrotna, bynajmniej nie prostą, prędka lub łatwa.

W dziejach taternictwa zapisane są przełomowe wyczyny najznakomitszych taterników, którzy "pokonali" najważniejsze szczyty Tatr. Nie obyło się przytem bez tragicznych wypadków i ofiar w ludziach, ale pomimo niebezpieczeństw, grożących śmiercią sportowcom-turystom, z każdym rokiem zwiększają się ich zastępy i obecnie na wszystkie już, nawet najniebezpieczniejsze szczyty Tatr dotarli nasi taternicy.

WINCENTY POL

TATRY

Jak potopu świata fale,
zamrożone w swoim biegu,
stoją nagie Tatry w śniegu,
by graniczny słup zuchwale!
Biodra Tatrów las osłania,
ponad niemi stoi chmura,
a po halach wiatr przegania
uronione orle pióra.
Świat to chłodny, a Łomnica
świeci naszej ziemi do dnia
nad Tatrami jak pochodnia,
a na pełni — jak gromnica.

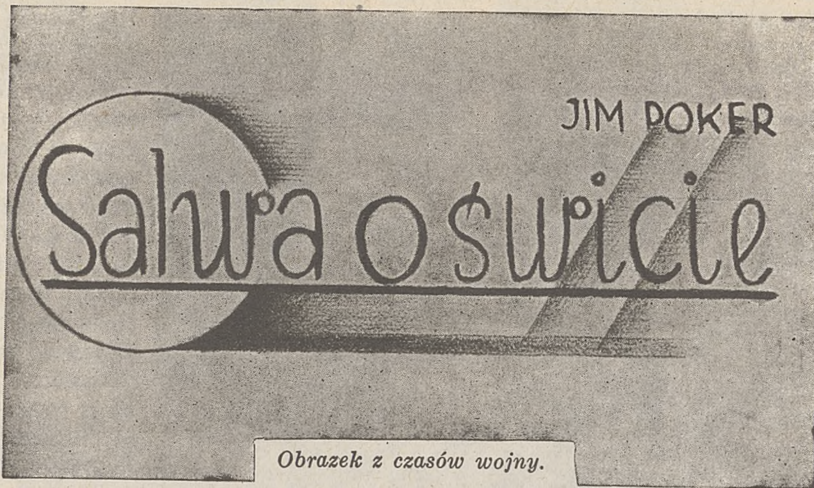
Każda skała z tobą gada,
wiatr, co w równiach ledwo wieje,
z nóg tam ścina, deszcz co pada,
to już w turniach śniegiem sieje.
A powyżej... wyżej jeszcze
pływa sobie orlę wieszcze;
gdy wyleci i zawiśnie
na błękicie bez obłoku,
i dokoła okiem błyśnie,
widne stamtąd jego oku
okolicznych wieżyc dachy,
polskie puszcze i ziemice,
krakowskiego zamku gmachy
i węgierskich gór winnice.

Czeladź górska też niepodła:
lud wysmukły niby jodła,
niby górski potok szybki,
jak ptak lekki, jak pręt gibki,
wiecznie niby dziarski młodzian!
Strój ma krótko ukasany,
topór jasno nabijany,
a sam wszystek wełną odzian.

Czysty, ludzki, szczeromowny,
strojny, dbały i budowny,
zna się dobrze i na ziołach,
i na gwiazdach, na pogodzie,
śmiały w skałach i na wodzie,
a radniejszy, niż lud w dołach.
Ziemia jego mało rodzi,
więc też luźno człek nie chodzi:
gdy opędzi zimę snopkiem,
idzie w równie za zarobkiem.
Do topora lud to sprawny
i do kosy jaki sławny!
Jaki wesół i ochoczy,
gdy na kośbę w równie rusza!
Jak przyśpiewa i wyskoczy,
jaka to tam w tańcu dusza!

Na świętego, na Wojciecha
u nas w polu już pociecha,
ale w górach ledwo taje,
i zaledwie jar nastaje;
a na Świątki, na Zielone
szumią majem świeże lasy,
owce w góry wypędzone,
w halach schodzą się juhasy,
stary baca rej im wodzi,
pies liptowski strzeże owiec,
a przez lato juhas zbrodzi
każdy potok i manowiec.





Obrazek z czasów wojny.



PRZEWODNICZĄCY sądu polowego, austrjacki brygadjer, wstał i włożył czapkę. Zadzwoniły ostrogi, rozległ się hałas odsuwanych krzeseł, tu i owdzie szczęknęła pochwa szabli. Potem zapadła grobowa cisza, w której monotonny mamrot przewodniczącego czynił zaledwie dostrzegalny wyłom.

—... Tatjana Sadko... wina dowiedziona... szpiegostwo... — brzmiały urywki zdań—... skazana na karę śmierci...—zakończył nieco głośniej brygadjer.

Obecni na sali oficerowie wyszli pośpiesznie, radzi, że niemiła ceremonja się skończyła. Tatjana Sadko, kobieta około lat trzydziestu, o wybitnie ukraińskim typie, ale też niezwykle piękna, wyszła między dwoma żandarmami. Przy odczytaniu wyroku silnie pobladła, ale potem szybko odzyskała dawną swobodę wraz z zalotnym uśmiechem.

Brygadjer zwrócił się do obecnego na sali porucznika żandarmerji:

— Na jutro rano pluton egzekucyjny. Rozstrzelanie, jak zwykle o świcie. A propos, poruczniku, kto ma służbę?

— Polacy, panie pułkowniku.

— Djabła! Niebardzo to mi się podoba. Każ pan do egzekucji wyznaczyć pluton Honwedów, a ewentualnie zrób pan to swoimi żandarmami. No, i pilnować tej dziewki jak oka w głowie. Za ładna jest. Mogłaby z tego skorzystać...

— Rozkaz! — wyprężył się porucznik.

* * *

— No, i co? — zagadnął Tatjanę kapral Ćwiek, dziewiętnastoleetni legun, kiedy drzwi aresztu przy wartowni zamknęły się za żandarmami.

— Jak przewidywałam... — westchnęła kobieta. — Cóż robić? Psie życie, psia śmierć.

Kapralowi dreszcz przeszedł po krzyżu. Żołnierz nie kat. Sam śmierć zadaje, ale w równej walce. A to kobieta. I taka ładna, miła, jakby stworzona do pieszczot miłosnych.

— Po co pani lazła w tę aferę? — pytanie odruchowe, bezsilne w swej głupocie.

Kobieta uśmiecha się na pół smutno, pół ironicznie:

— Pan by na mojem miejscu zrobił to samo. To nie hańbi pracować dla ojczyzny. A zresztą żyć też trzeba. Mam w Moskwie dwoje dzieci... Mąż mnie rzucił dla innej... Ale po co ja panu to wszystko opowiadam? Niech pan idzie... Jest pan jedynym człowiekiem, który się do mnie tu po ludzku odezwał... Dziękuję panu.

Ćwiek wychodzi. W drzwiach staje na chwilę, jakby się jeszcze o coś chciał zapytać. Ale widać pytanie nie chce mu przejść przez gardło, bo nagłym, zdeterminowanym ruchem zatrzaskuje ciężkie odrzwia. Kobieta, która już się była poruszyła ku niemu, opada teraz na tapczan z wyrazem niekłamanej trwogi w czarnych, przepaścistych oczach.

Myślom jej towarzyszy miarowe stąpanie wartownika, którego bagnet defiluje raz po raz przed kratą więzienia.

* * *

— Ach, to pan... A ja myślałam, że już...

Ćwiekowi robi się nieprzyjemnie. Właściwie sam nie wie, dlaczego tu wszedł.

Do obowiązków podoficera inspekcyjnego należy wprawdzie dozór nad aresztantami, w żadnym jednak wypadku rozmowa z nimi.

Mała, kopcąca lampka oświetla słabo tapczan i leżącą na nim kobietę, której długie, hebanowe włosy spływają aż na ziemię. Z pod podróżnego kostjumu wygląda nieskromnie para przepysznych nóg. Tatjana nie okrywa ich nawet. Czego ma się wstydzić... w takiej chwili?

Kapral stoi teraz w milczeniu. Jest mu strasznie głupio. Pytanie kobiety zaskoczyło go. Wreszcie rozpaczliwie brnie dalej:

— Dopiero dziesiąta, proszę pani. Do świtu daleko.

— Wolałabym, żeby było już po wszystkiem.

— Przyjdzie do pani ksiądz...

— Dziękuję. Nie chcę katolickiego księdza.

Ćwiek milczy.

— Powiedziałam panu, że jest pan jedynym człowiekiem, który przemówił do mnie po ludzku. Niechcę spowiednika. Ale jeśli chce pan spędzić ze mną ostatnie chwile mego życia — tu uśmiech pół sarkastyczny pół brawurowy — będzie mi niezmiernie miło... Chyba mi pan nie odmówi... nie odmawia się bowiem skazanym... Chciałabym przed śmiercią pomówić z kimś, kto ma serce. A pan ma serce, młody człowieku...

* * *

— Niech pan siada tu bliżej... na tapczanie. O, niech pana nie krępuje mój negliż. Za parę godzin te wszystkie "śliczności", jak pan sam zauważył, będą żerem dla robaków. Cóż pan jeszcze chce o mnie wiedzieć?

— Jakże mąż pani mógł?...

— Ach, nie mówmy o tem. Nie zna pan mężczyzn, bo pan młody i dobry. Nie wie pan, do jakiej perfidji są zdolni. Kochałam go, dogadzałam mu... — tu głos kobiety załamuje się w rozpacznym skowycie — a on... Mówi pan, że trudno o piękniejszą ode mnie. Komplement. Ale choćby tak było, nie to ładne, co ładne... Mąż mój miał gust specyficzny i moralnie... No, lepiej nie wspominać... Gdyby to wszystko można było odrobić... Niech mi pan wierzy, zaczęłabym nowe życie... Ale dość o mnie. Wie pan już wszystko lepiej od spowiednika. Mówmy raczej o panu. O, niech się pan nie lęka zdradzić tajemnicy wojskowej. Zaniosę ją chyba do piekła...



I usta kobiety wpiły się w blade, ściągnięte usta chłopca.

— Moje sprawy nic panią nie obchodzą.

— Przeciwnie. Niech pan zdejmie czapkę... Ma pan z pewnością ładne czoło. Zgadłam... Takie śliczne włosy... I takie oczy... Hm... szkoda.

— Czego szkoda, proszę pani?

— Nic. Ma pan takie mądre, myślące czoło i oczy, przez które przeziera serce, i usta do pocałunków stworzone. Całował pan już kiedy?

— Naturalnie — odpowiada Ćwiek, przypominając sobie jednocześnie, że prócz kuzynki Maryli i pokojówki Tereni żadnej kobiety w życiu nie całował.

— No, to niech mnie pan pocałuje, na... powiedzmy... dobranoc. Widzi pan, mnie już nikt całować nie będzie... nigdy. A pan taki ładny i dobry... No... co? Odmawia pan... lęka się pan?... Zaraz... niech pan czeka...

I usta kobiety wpijają się w blade, skurczem

niepokoju ściągnięte usta chłopca.

* * *

Mury celi, ba, świat cały tańczy w oczach kaprala. Jest mu i dobrze i źle zarazem. I ból i rozkosz rozpierają ciało. Czuje się, jak wtedy, kiedy koledzy upoili go po raz pierwszy fasowanym rumem. Tylko, że tamto nie było takie przyjemne, ani takie wzniosłe... O, jakie to dziwne. Świat się kończy, czy co...? I ta kobieta... On ją kocha... Wie już teraz napewno... O, tak! Kocha ją! Musi ją wyrwać z objęć śmierci... A potem ożenić się z nią... Będą szczęśliwi całe życie, tak jak dzisiaj... Biedna mała Tania... Niewinna... Kochanie moje... zaraz, zaraz... co tu robić?... Kto to powiedział, że miłość nie zna przeszkód, że wszystko może?...

— Czas leci, chłopcze mój drogi. Ile nam jeszcze chwil szczęścia pozostało?

— Pierwsza w nocy. Do świtu cztery godziny. Poczekaj tu na mnie. Zaraz wrócę.

* * *

Na wartowni pachnie zgnilizną, wilgotnemi płaszczami, potem ciał żołnierskich, swędem naftowej lampy. Ćwiek, jak pijany, słania się między narami. Co robić?



...dlaczego ich porucznik ukląkł nad przydrożną mogiłą i modlił się długo pod spróchniałym krzyżem...

— Jak tam szpieg? — pyta kiepską polszczyzną żandarm, nastroszywszy wąsy.

Ćwiekowi robi się czegoś nieprzyjemnie. To też odpowiada z widoczną niechęcią:

— Siedzi.

Poczem, zdusiwszy przekleństwo, wychodzi na dwór. Noc jest ciemna. Wiatr studzi rozpalone czoło. Ale czas leci. Trzeba wejść do Tatjany.

* * *

— ...Daj mi tylko płaszcz i rynsztunek żołnierski. Byle się stąd wydostać. Znam drogę. Gdyby nas kto zatrzymał, powiesz, że prowadzisz mnie służbowo do okopów. Hasło znasz z pewnością. Front nie jest tu ciągły. Znam miejsce, gdzie będziemy mogli się schować. Potem prześlizgniemy się. Wszystkie ścieżki między Radomiem a Iwangrodem są mi znane. Przez Wisłę nas przeprawią. A tam już nasi... Zobaczysz, jak będziemy szczęśliwi...

— Jakto, więc namawiasz mnie do zdrady?...

— Jakaż tu zdrada? Tyś przecie Polak, a nie Niemiec czy Austrjak. Tobie trzymać ze Słowianami. Przecież w naszych szeregach tylu walczy Polaków, a żaden nie zdradza... Car odbuduje Polskę... Będziemy się kochali, tak jak dzi-

siaj, albo jeszcze więcej. Świat będzie do nas należał... Prędzej, bo czas leci... No, rusz że się... Inaczej powiem, żeś służalec i... nie kochasz mnie. Żeś żołdak austrjacki, a nie syn wolnego narodu...

— Idę — odpowiedział Ćwiek.

* * *

Uf, mimo jesiennej, wietrznej nocy, jakże jest gorąco. Zobaczymy naprzód, czy Czech-żandarm jeszcze siedzi. Poszedł sobie, no, to i lepiej. Zaraz, skąd wziąć płaszcz i rynsztunek? Aha, z lazaretu. Dobrze. Która to godzina? Trzecia. Boże, jak ten czas leci.

Ciemno, choć w pysk daj. Uciekać będzie łatwo... Ale gdzie ten lazaret? Aha, jest i latarnia. Co to miałem na myśli? Zdrada?! Czy to jest zdrada? Tania ma rację. Może rzeczywiście miejsce Polaków po tamtej stronie, ze Słowianami... Ba, ale jacy to Słowianie?... Car wskrzesi Polskę?... Hm... wątpliwe... Tania w to wierzy... Ale naprawdę, na dwoje babka wróżyła... Był jakiś manifest... A potem rzeź na placu Teatralnym, szarża na procesję, tysiące zesłanych na Sybir...

Ćwiek był małym chłopcem, pamięta jednak doskonale lance kozackie, unurzane we krwi warszawian... No, pewno, Austrjakom wiele więcej też wierzyć nie można. Ale jego obowiązek nie politykować, lecz słuchać.

Oto i lazaret. Sień duszna i mroczna. Na kołkach ekwipunek chorych i rannych. Jest płaszcz, akurat będzie dobry na Tatjanę... Owijacze, pas, bagnet... Więcej nie trzeba... W nocy się obejdzie... O jej! Zapomniałby przecież o czapce. Jest i czapka. Byleby była dobra... Tania ma przecież takie bujne włosy...

Zegar na kościele wybił kwadrans na czwartą. Jak ten czas lec! Teraz prędko przez podwórzec do wartowni... Już wie co zrobi: zagada wartownika, Tania wyjdzie, odprowadzi ją za okopy, choćby go zastrzelić mieli. Ale do Moskali nie pójdzie. Co to—to nie! Dezerterem ani zdrajcą nie będzie. Pożegna się z Tanią i powie, żeby nań czekała. Jeśli nie polegnie, spotkają się po wojnie i wtedy będą szczęśliwi... Ona napewno zaczeka... Kocha go przecież... Wojna chyba już długo nie potrwa. Ludzi by zabrakło... No, teraz tylko tak wejść, żeby nikt nie widział jak poda płaszcz do aresztu...

— Obywatel Ćwiek!

Prosta, wysoka sylwetka dowódcy kompanji rysuje się ostro w żółtej smudze światła latarni podwórzowej. Pod kapralem uginają się nogi.

— Chodźcie do mojej kwatery!

Parę minut i obaj są w malutkiej chłopskiej izdebce, oświetlonej wbitą na bagnet łojówką. Kapitan, patrząc w oczy kaprala, mówi:

— Dokąd nieśliście ten płaszcz, Ćwiek?

A wtedy młody kapral, co w bagnetem w ręku szedł, nie mrugnąwszy na lance kozackie, na moskiewskie kartaczownice i armaty — zanosi się nagle płaczem jak małe dziecko. Łzy lecą mu gradem z oczu, choć pięty trwają na baczność i korpus tkwi w zasadniczej postawie. Oj, jak mu źle, jak źle...

— Miałem na was oko, boście młodzi — mówi dowódca. — Żandarm mnie zresztą uprzedził, że coś za długo z tą kobietą przesiadujecie. Opowiedzcie wszystko.

Ćwiek przez łzy opowiada długo, jak rodzonej matce.

— No, — mruczy dowódca. — Nie jest jeszcze tak źle, skoro sami nie chcieliście zwiać. Ale to cwana baba. Przed trzema miesiącami nakryli ją już Austrjacy. I co powiecie? Zwiała, zbałamuciwszy jakiegoś "oficera-aspiranta" od strzelców cesarskich. Biedak myślał zapewne, że po tamtej stronie czekają go niebiańskie rozkosze, a powędrował prosto do obozów syberyjskich. Przeszkadzałby przecież w robocie... Ta historja z mężem i dziećmi też zmyślona... Przed wojną była szansonetką w Odesie...

Szeroko wytrzeszczonemi oczyma patrzy Ćwiek na swego dowódcę. Zaczyna powoli świtać w zamroczonej głowie chłopca. Boże... bądź miłościw!

— No, obywatelu, — kończy wreszcie dowódca — idźcie teraz i pamiętajcie, że dwie rzeczy są dla żołnierza, gdziekolwiek by służył, święte: Honor i Ojczyzna. A wszystko inne, z babami razem — furda, moi drodzy.

Ćwiek skruszony i jakoby odrodzony salutuje i wychodzi. W chwili gdy staje na podwórzu, blady świt zaczyna rysować szczyty dachów i drzew na ciemnem tle nocy.

* * *

Żołnierze jednego ze zwykłych pułków legjonowych wolnej i odrodzonej Rzeczypospolitej, przeciągając w pięć lat później przez lesiste wzgórza Garbatki, dziwili się bardzo, dlaczego ich porucznik, zsiadłszy z konia, ukląkł nad przydrożną mogiłą i modlił się długo pod spróchniałym krzyżem...



wyprawa fetysza.

napisał Mieczysław Jarosławski

PORTFEL!

Wypchany, z czerwonego safjanu portfel!

W lśniącym okuciami przedziale pierwszej klasy — portfel!

Na czerwonych pluszowych poduszkach — jeno ten gruby portfel...

Poza oknem przyśpieszony ruch uchodzących głów ludzkich, a we wnętrzu błyszczącego mahoniami przedziału pierwszej klasy ich dwoje: zapóźniona i zabłąkana Inka i zapomniany portfel. Inka, biedna, ostatnim groszem goniąca panna i niezależny, rozepchany banknotami portfel; Inka, inteligentka bez pracy i opasły, rozwalony portfel beztroskiego bogacza. Nie... Inka w szponach nędzy, i bezpański, czerwony kadłub pełen nasytu...

W jednej chwili oszałamiająca fala pomyśleń. Wzrok rozbiegany, wyciągające się pragnieniem dłonie, drżące kolana...

Słuch?... Z tumultów — nawoływań, turkotu wózków peronowych, syku parowej maszyny .. Inka wychwytuje tylko jeden głos... krzyk własnego sumienia: "podnieść i oddać!"

W jednej ręce trzyma wytartą tekturową walizeczkę, w drugiej ściska kurczowo safjanowy portfel. Chce zawołać, chce biec, ale głos nie może się wydobyć z krtani, nogi odmawiają posłuszeństwa.

Konduktor,

Inka momentalnie ukrywa portfel pod płaszcz. Idzie. Opuszcza głowę i oczy. Lęk cicho szepce:

— A jeżeli konduktor spyta?

Inka zaraz wybiegnie na peron, do hali dworca, odnajdzie tego "kogoś" i odda mu. Tak, odda mu zapomniany portfel. Źrenice szukają już w tłumie... lękliwie... skrycie... Może nie znajdą?....

Inka zbiega po kamiennych schodach — niema! Niema tego co zostawił portfel? Więc pobiegnie ulicą, może go dopędzi i odda.... Tak — odda.

Wsiąknęła ją ulica, porwała, poniosła niby wzburzona fala powodzi wyrwane z korzeniami drzewko. Sumienie walczy, podsuwa rady. Decyzja stanowcza,, nieodwołalna: pojedzie prosto do "Kurjera", da ogłoszenie, a portfel zdeponuje.

Tramwaj sunie tak szybko, jakby chciał dopomóc w uspokojeniu sumienia Inki. Ludzie wsiadają, tłoczą się, jakby chcieli zobaczyć tę, która znalazła portfel. Alarmuje dzwonek, zaglądają do wnętrza tramwaju domy, rzucają się natarczywie w



Na białej kartce niepewnie układa ogłoszenie...

oczy bogactwa witryn wystawowych, reklamują się, zapraszają różnokolorowe szyldy. W mózgu Inki chaos: gdzieś w kącie kwili przydeptane sumienie, wszystkiemi pulsami tętni chęć przytłumionego życia.

Wysiadła. Po chwili stanęła przed okienkiem. Nie. Jeszcze nie namyśliła się dostatecznie. Cofnęła się i na białej kartce niepewnie układa litery.

"Zostawiony w wagonie pierwszej klasy portfel — do odebrania"...

Inka gryzie obsadkę. Czy miała wogóle prawo "znaleźć" portfel w wagonie? I jeżeli go "znalazła", dlaczego nie oddała go natychmiast władzom kolejowym?

Zmięta, nawpół zapisana karta spadła do kosza. Na następnej te same, tłoczące się niechętnie litery.

... odebrać można...

Nowa zmięta kartka spadła do kosza.

Inka nie ma jeszcze pewnego adresu. Zresztą cały dzień musi uganiać się po mieście, aby znaleźć posadę, bo w woreczku kołacze się już zaledwie kilka złotych. Zdaje się Ince że przyglądają jej się natarczywie ludzie. Więc pisze:

"Znająca języki, młoda, uczciwa, z dobrego domu panna szuka lekcyj, ...oferty..."

— I myśli: — gdyby ktoś do "Kurjera" zgłosił się po zdeponowany portfel, nie dowiedziałby się zapewne o tem, że osoba, która go znalazła, nie ma z czego żyć.

Dopiero dnia następnego ukazało się w "Kurjerze" drobne ogłoszenie o znalezieniu portfelu. Na pierwszej stronie w tymże numerze zamieszczono ogłoszenie poszukującego. Dwa te ogłoszenia nie przeczuwały wszakże wzajemnie swej obecności na łamach tegoż samego dziennika.

Inka w ciągu tygodnia zdarła zelówki, schudła o dwa kilogramy i wydała ostatnie grosze. Wszystko to zdecydowało o konieczności zajrzenia do znalezionego portfelu. I teraz dopiero Inka przeraziła się, stwierdziwszy, że wnętrze jego zawiera ponad trzy tysiące dolarów. Inka nie znalazła w sobie dosyć odwagi, aby zmienić jeden z banknotów studolarowych.

Nie mogła wszakże oprzeć się pokusie wyjęcia z portfelu małej, rzeźbionej w onyksie figurynki. Z czarnej, przeciętej białą żyłką twarzy patrzyły rubinowe oczy; usta rozciągały



Inka poznała piękną panią w wieku, który się zwykle przezornie ukrywa...

się w tajemniczym uśmiechu; na podwiniętych, krótkich nóżkach opierały się cztery zrośnięte ręce.

Bożek ten najwyraźniej strzegł skarbu swego pana. Rubinowe oczy urzekły Inkę, zahypnotyzowały ją. Zazdrośnie owinęła pokraczną figurkę w małą, koronkową chusteczkę i schowała ją za stanik. Czuła, jak mały potworek zaciężył pomiędzy stożkami jej piersi. Nie mogła już z nim się rozstać. Spała z onyksowym fetyszem, śniła o nim, jeno, że fetysz we śnie był inny. Cerę miał ogorzałą, oczy stalowe i nie siedział na podwiniętych nogach, lecz pochylał się nad śpiącą Inką i szeptał coś, czego nie mogła zrozumieć.

Obudzono ją wczesnym rankiem. Nareszcie zjawił się ktoś w sprawie ogłoszenia. Inka kurczowo przycisnęła do piersi bóżka z rubinowemi oczami. Był ciepły, ożywiony i przeistoczony jej marzeniami. Nie była już w stanie z nim się rozstać, zwrócić go właścicielowi...

Ale zjawiający się "ktoś" nie zgłaszał się po portfel, lecz w sprawie ogłoszenia młodej, inteligentnej i t. d. panny.

Inka odetchnęła, a w dwie godziny potem poznała ładną panią w wieku, który się zwykle przezornie ukrywa. Pani ta nudziła się. A nudząc się, chorowała. Choroba bowiem upoważnia do wyjazdu. Ładna pani postanowiła wziąć ze sobą w tę podróż Inkę, dlatego, że Inka wyglądała skromnie, nie znała stosunków stołecznych, a więc i stosunkowo pięknej pani.

— Więc pani mnie nie zna? — zagadnęła odrazu.

— Nie, proszę pani —przeraziła się Inka.

— Jestem po raz pierwszy w Warszawie.

Ta krótka wymiana zdań zdecydowała o losie Inki.

— Dostanie pani 200 złotych miesięcznie i pojedziemy do Grecji.

Inka drżała.

— Oczywiście — ciągnęła dalej piękna pani — musi pani za te warunki spełniać pewną rolę. Będzie pani mi towarzyszyć. A właściwie — nam.

Inka nie wahała się, byleby tylko nie być zmuszoną do zmiany znalezionych dolarów.

*

Piękna pani spotkała się w Atenach z pięknym panem. O, był tak piękny, jak widziany we śnie bożek — z szafirowemi oczyma. Piękny pan nie widział wszakże Inki. Musiał być zbyt zajęty piękną panią i jej kaprysami. Nie widział jej nawet wtedy, kiedy wobec niedyspozycji swej towarzyszki zasiadł w wytwornej restauracji sam na sam z Inką do kolacji. Zdawał się być zmęczony czy przygnębiony. Dopiero kiedy weszli jacyś jego znajomi, zwrócili się do Inki z rzeczową uwagą:

— Proszę, niech pani usiłuje ze mną uprzejmie rozmawiać.

Inka uśmiechała się o ile pozwalało jej na to zażenowanie, a piękny pan pochylał się nad nią, dolewał jej wina, coś mówił — jednem słowem wszystko czynił tak, jakby chciał pokazać, że Inką jest zajęty.

Wtedy w Ince zagrała miłość. Zagrała beznadziejnie, niby biedny lutnista na ocembrowanem wysokiemi murami podwórku. Rzuca mu się zawinięte w papierki groszaki, choć go się widzi z okien wysokich pięter — nie widzi się jego rozmarzonych oczu, nie słyszy się westchnień...

Piękny pan był zadowolony z Inki. Następnego dnia słyszała, jak mówił do pięknej pani.

— Byli przekonani, że włóczę się z tą dzierlatką. Możesz być spokojna, że za kilka dni mąż twój będzie miał o mnie odpowiednie relacje.

— Dla pewności musisz jednak pokazać się z nią jeszcze kilkakrotnie — zdecydowała piękna pani.

I znów pan z efektownie ubraną Inką objeżdżał modne restauracje. Kiedy znalazł w jednej z nich swych znajomych — pozostał.

Wtedy Inka spytała:

— W jakim celu ta komedja?

— Czyżby pani nie była wtajemniczona przez panią Helenę?



I znów kilka wieczorów spędziła z pięknym panem...

— Nie — odparła Inka w zażenowaniu.

Piękny pan zajrzał wprost w oczy młodej dziewczynie. I zobaczył uciekające pod powieki lśniące źrenice i drgające na nich wzruszeniem firanki łez. Zobaczył rozdymające się chrapki zgrabnego noska i płomień na policzkach, a w kącikach ust świeżych hamowany skurcz płaczu. Zdziwił się jeszcze bardziej, zdziwił się, bo zobaczył właściwie dziś po raz pierwszy piękność Inki. Więc spytał natarczywie:

— Przepraszam... nie zastanowiłem się nad tem, że ta komedja może sprawić pani przykrość... W takim razie jednak... — przerwał.

Inka milczała. Rumieńce uciekły. Na twarz wystąpiła matowa bladość. Ogarnął ją lęk, że dzięki swej nieuprzejmości po raz ostatni pozostawała sam na sam z pięknym panem. Coś się w niej łamało. Coś załamywało się pod nią, wokoło niej. Nieznacznym ruchem przycisnęła do piersi onyksowego fetysza.

— Gdzie pani dotychczas była? — pytał głosem cichym piękny pan. — Gdzie pani była, żem pani nie zauważył?

Inka odsłoniła oczy na sekundę i w tej sekundzie spotkały się ich wejrzenia.

W oczach Inki był wyrzut, w oczach pięknego pana prośba o przebaczenie.

I piękny pan zadumał się.

A dnia następnego z niepewną miną usprawiedliwiał się przed panią Heleną:

— Chyba muszę pokazać im się jeszcze kilka razy w towarzystwie tej panny, żeby już nie mieli najmniejszej wątpliwości...

— Obawiam się, że i ty powziąłeś już pewne wątpliwości — podejrzliwie zauważyła piękna pani.

I znów kilka wieczorów spędziła Inka sam na sam z pięknym panem.

Znajomi zaś jego zdecydowali:

— Inżynier Jaszczołt włóczy się zdecydowanie z tą dziewczyną...

— Ta dama musi jednak być wymagająca, bo wyjeżdżając pożyczył nawet tysiąc dolarów — zauważyła pulchna jakaś dama.

— A pisał już do banku o nową pożyczkę — dodał godnie jej satelita.

— Patrzcie-no! — podchwycił wytworny grubas. — Szkoda chłopa. Może się zmarnować. Słyszałem, że od jakiegoś czasu nie wiedzie mu się. Po-

dobno nawet okradziono go?

— No, no... okradziono! —zaśmiała się pulchna dama. — Oczywiście stracił na nią. Patrzcie, panowie, jaki nią zajęty.

Od tego oglądania suchemu satelicie, aż kość adamowa jęła chodzić pod brodą, co widząc, pulchna dama zawyrokowała:

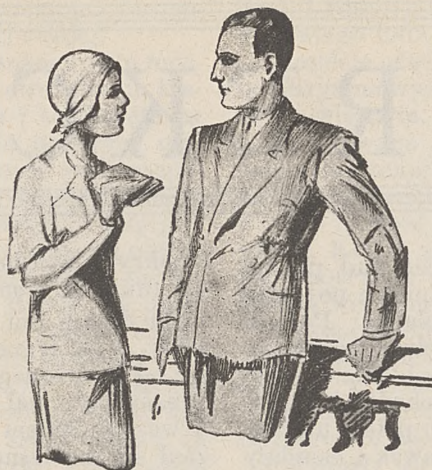
— Co za zgorszenie.. żeby tak z jakąś cudzoziemką!...

Wstała i demonstracyjnie wyprowadziła za sobą obu panów. Ale inżynier Jaszczołt nie zauważył tego. Istotnie, coraz bardziej był pochłonięty Inką. I coraz bardziej smutny, że poznał ją w takiej właśnie sytuacji. Bo i cóż miał jej powiedzieć ten zdyskredytowany bankrut? Palił go wstyd i żarł ból serdeczny.

I oto nagle podejrzliwa pani Hela postanowiła:

— Pojedziemy we dwoje do Kairu, a tę pannę Inkę dziś jeszcze wyślemy do Warszawy. Nikt nam już nie będzie przeszkadzać i nikt nie będzie śledzić.

— Niestety, i ja również muszę wracać do Warszawy — odparł zgryziony Jaszczołt, a przyciśnięty oświadczył wprost, że jest zrujnowany, choć nie powiedział szczerze,



...A rankiem zaproponowała Jaszczołtowi pożyczkę trzech tysięcy dolarów...

że męczy go już towarzystwo zbyt kosztownej kochanki.

Piękna pani dostała spazmów, a przerażona Inka pytała Jaszczołta:

— Dlaczego pan opuszcza panią Helenę tak nagle?

Zasępił się i, patrząc głęboko w oczy Inki, odparł z gorzką ironją:

— Jestem bankrut, muszę wracać, aby się ratować.

Inka przez całą noc nie spała, naradzając się ze swym fetyszem. A rankiem zaproponowała Jaszczołtowi pożyczkę kilku tysięcy dolarów.

Zdębiał, przeraził się i odmówił kategorycznie.

— Niech pan przyjmie — nalegała Inka — to są szczęśliwe pieniądze...

Nie rozumiał.

Znalezione — wyjaśniła Inka i wydostała z woreczka safjanowy portfel. — Jestem pewna, że uratują pana...

Jaszczołt zbladł. Poznał swoją zgubę. Patrzył w oczy zażenowanej dziewczyny i widział w nich prośbę, lęk i cichą nadzieję. Ujął ją za obie drżące dłonie i spytał cicho, wnikliwie:

— I nic więcej nie znalazła pani razem z temi pieniędzmi?

Spłonęła.

— Może pani znalazła w tym portfelu onyksowego fetysza z rubinowemi oczyma?

Inka spojrzała przerażona. W szeroko rozwartych jej oczach zalśniły się łzy zrozumienia. Sięgnęła ręką za stanik i wydobyła zwiniętą koronkową chusteczkę. Ledwie poruszyły się ściśnięte żalem jej wargi:

— Myślałam, że mi.. pan tego nie odbierze...

Jaszczołt uśmiechnął się i przycisnął rączkę Inki do ust.

— Pod warunkiem, że pani nie odbierze mi tej — rączki, którą onyksowy fetysz tak podstępnie doprowadził aż do mych ust.

HEN, NAD WILJĄ, WISŁĄ, WARTĄ...

Hen, nad Wilją, Wisłą, Wartą...
tam są wszyscy moi,
lasy, łąki, pola, niwy,
lud, co ból ukoi.

Bóg tam mieszka w białych chatach
i chleb dzieli z nimi,
i w kościele, i przy drodze,
wszędzie jest w tej ziemi.

I Bóg słucha, jak lud śpiewa,
ptasząt świegot słyszy,
szum lip starych, przy świątyni
wśród grobowej ciszy.

Ten sam Bóg tam był przed laty,
słuchał ojce, dziady,
strzegł od wojny, ognia, nieszczęść,
chronił od zagłady.

I te same były pola,
szły tak samo wody,
sosny borów tak szumiały
i świat czuł się młody.

Płyną wody — nie przepłyną...
ludzie wciąż odchodzą,
lecz miejsc próżnych nie obaczym,
bo nowi się rodzą.

My odejdziem, przyjdą inni...
czy się przez to smucim?
Niechaj tylko to kochają,
co my im porzucim.

BOLESŁAW GALEK.

Janina Doba

REZUREKCJA

NOWELA

Sinawy świt rozsiadał się nad polami coraz szerzej i dalej. Na niebie pojawiły się różowawe pasma i blaski. Powoli, majestatycznie snuło się przędziwo szarych obłoków na zamglonym jeszcze błękicie, niby fantastyczne jakieś kłęby, co chwilę kształty swoje zmieniające. Nad zoranem polem unosiły się w powietrzu stada wron i kawek i osiadały raz po razu na twardych, sterczących skibach, by szukać pożywienia w niedawno zoranej ziemi. Przesuwały się zwolna mgły lekkie, pędzone powiewem wiosennego wiatru i odkrywały bezlistne jeszcze krzaki, zarośla przydrożne i bór zdaleka czerniejący.

Drogą, prowadzącą środkiem pól, gdzieniegdzie tylko wybitą kołami lub kopytami koni, szedł powolnym, ciężkim krokiem, człowiek w średnim wieku. Idąc, rozglądał się dokoła, jakby w obawie, żeby go kto nie zobaczył. Głowę miał pochyloną ku ziemi i tylko z pod oka spoglądał na wszystkie strony. Znać było, że człowiek ten szedł już z daleka. Brudne łachmany, stanowiące jego odzienie, nosiły na sobie wyraźne ślady długiej przeprawy przez lasy i pola, zdarte obuwie, zabłocone i zniszczone, wskazywało, że właściciel jego od wielu już dni w drodze się znajduje.

Jan Koban szedł jakby z wysiłkiem, ostrożnie i pomału stawiając zmęczone nogi, i od czasu do czasu z piersi jego dobywały się ciężkie westchnienia, którym często zawtórował bolesny jęk, gdy noga trafiła na kamień lub koleinę na drodze. Tymczasem słońce wzbiło się wyżej i złociste jego promienie oblały blaskiem przydrożne pola, dotykały wierzchołków niezbyt odległego już boru i oświeciły zmęczoną i smutną twarz idącego.

Mijał pola, pokryte zieloną runią oziminy, czarne, dopiero co zorane ugory i łąki rozległe, ale z każdym krokiem wolniej stawiał nogi, z każdym przebytym kawałkiem drogi bardziej był zmęczony i coraz ciężej oddychał. Tak doszedł do samego lasu. Tu nogi już odmówiły mu posłuszeństwa. Poczuł zupełny brak sił i przystanął na miejscu. Dokoła cisza panowała zupełna. Tylko lekki szelest poruszanych wiatrem gałęzi i dalekie krakanie wron dochodziły jego uszu. Rozejrzał się dokoła i jakby powziął nagłe postanowienie, skręcił z drogi w las i wszedł w gęstwinę.

Ostatkami sił przedarł się przez gęste krzaki i ujrzawszy niewielką polankę wolną od zarośli i pokrytą gęstym, miękkim mchem, rzucił się jak długi na ziemię i przymknął oczy.

Od dwóch dni nie miał nic w ustach prócz wody, a od tygodnia oka nie zmrużył, uciekając od potwornego koszmaru, który od lat kilkunastu trzymał go w bezlitosnych szponach. Z westchnieniem niewysłowionej ulgi rozciągnął się na leśnem posłaniu i po kilku chwilach zapadł w twardy, niespokojny sen.

Koban uciekał z bolszewickiego więzienia, w którem trzymano go już od lat piętnastu. Uciekał do rodzinnych swych stron, hen, do Polski, do dalekiej, cichej wioski, gdzie żyli może jeszcze jego rodzice. Skazany na dożywotnie więzienie za to, że schwytany w mundurze polskiego żołnierza, nie chciał przejść do armji bolszewickiej, spędził te długie lata w męce ustawicznej i tęsknocie do swoich. Nieraz przychodziła mu myśl, by zerwać jednym zamachem pasmo cierpienia i przeciąć życie, które tak straszny los mu zgotowało. W takich chwilach jednak w głowie jego powstawała nadzieją, że może przecież uda mu się wyzwolić z więzów i powrócić do swoich. Latami całemi czekał na sposobność ucieczki, aż wreszcie błogosławiona ta chwila nadeszła. Potrafił zmylić czujność straży i pewnego ciemnego wieczora, przepiłowawszy kraty, wydostał się z celi i szczęśliwie przebył wysoki mur, dzielący więzienie od świata.

I oto uciekał o głodzie i chłodzie, sam jeden, wyczerpany długoletnim pobytem w wilgotnych murach, słaby i wynędzniały, a sił dodawała mu tylko ta myśl, że rychło już przedostanie się za granice Bolszewji i ujrzy dom swój rodzinny.

Nie łatwo mu przyszło zdobycie narzędzi potrzebnych do przepiłowania żelaznych krat. Przez dwa lata oddawał jednemu z współwięźniów, zatrudnionemu w kuźni więziennej, połowę swej ubogiej strawy aresztanckiej w zamian za dostarczenie pilnika i zachowanie w tajemnicy jego zamiaru ucieczki.

Tydzień już upłynął od chwili, kiedy Koban wymknął się z więzienia. Przez ten czas zbliżył się już do granicy Polski i tylko jeszcze najwyżej dwa dni drogi przez terytorjum rosyjskie dzieliły go od upragnionej ojczyzny.

Usypiając na leśnym mchu, pomyślał jeszcze, że niedługo skończy się jego męczeństwo, bo oto las ten ciągnie się już aż do granicy, a potem już wolna, umiłowana Polska, gdzie nie będzie

się już obawiał zbirów bolszewickich i bezpiecznie przedostanie się do wioski swojej.

A gdy sen go ogarnął, na tkankach jego mózgu odbiły się straszne obrazy z owej chwili, kiedy zawieziono go do więzienia i zamknięto za nim na całe życie ciężkie wrota ponurych murów. Przyszły wspomnienia senne owej rozpaczy i żalu za życiem, chwile niewysłowionej tęsknoty, a potem okres ostatecznego zwątpienia. I słyszał w śnie krzyki i wymyślania okrutnych dozorców, skręcał się pod razami batów, któremi smagali go strażnicy. Rzucał się przez sen pod trapiącą zmorą, aż po jakimś czasie uspokoił się i zapadł w spokojniejszy sen.

I znów w śnie usłyszał potężny dźwięk dzwonów kościelnych i widział strzelistą wieżę kościółka swej rodzinnej wioski. Zdało mu się, że stoi nad błękitną wstęgą rzeczki, która przepływała przez jego wieś i patrzy na drogę, prowadzącą do kościoła. A dzwony biły i biły coraz mocniej, coraz potężniej i donioślej, głosząc światu i ludziom wielką, radosną nowinę Zmartwychstania...

— Na rezurekcję... na rezurekcję! — unosiły się w powietrzu okrzyki tysięcy ludu, a on wołał wraz z temi tłumami i razem z niemi się cieszył.

Przerwał się złoty sen i Koban obudził się. Dreszcz przejął jego słabe ciało. Przetarł ręką oczy i zdziwiony rozejrzał się dokoła siebie. Po chwili dopiero uprzytomnił sobie, gdzie się znajduje i oczy jego zalśniły dziwnym, radosnym blaskiem.

— Na rezurekcję... — wyszeptał niedosłyszalnie, ledwie poruszając wargami. — Do swoich... na rezurekcję!...

Próbował wstać i iść dalej, do celu swych pragnień.

Ale wycieńczone głodem, bezsennością i długim pochodem ciało sił mu odmówiło. Zaledwie na kolana potrafił się unieść, gdy znów opadł ciężko na mech i chwilę z piersi jego wydobywał się szybki, zmęczony oddech.

— Muszę jeszcze odpocząć — pomyślał, — przespać się jeszcze, żeby sił do dalszej drogi nabrać. Dziś Wielki Czwartek... jeszcze dwa dni do rezurekcji... zdążę na czas. Jeszcze dwa dni, a potem...

Uśmiech szczęścia rozjaśnił twarz jego. Przymknęły się strudzone powieki i Jan Koban usnął ponownie.

I znów posłyszał w śnie głos dzwonów i ujrzał tłumy ludu, płynące drogą ku kościołowi. Szeroka i prosta była droga do kościoła... Przed otwarte wierzeje świątyni widać było blask oświetlonego ołtarza. Przy wejściu zgromadził się już wielki tłum i ludzie przeciskali się do wnętrza, a nowe tłumy nadchodziły.

A ludzie idący drogą spoglądali na niego i każdy się uśmiechał, witał go spojrzeniem i ruchem ręki wskazywał na widniejący zdala kościół. I ruszył z miejsca, zmieszał się z gromadą wiejskiego ludu i znalazł się w kościele.

Rzęsiście oświetlony był wysoki ołtarz. Z góry Chrystus wyciągał z krzyża litościwe ramiona ku wiernym. Cisza była uroczysta w kościele, przerywana jeno szeptem modlitwym i gorącemi westchnieniami niezliczonych tysięcy ludzi. Mały wiejski kościołek zdawał się mieścić w sobie ludność ze wszystkich okolicznych wiosek. A Koban stał tuż przed ołtarzem i przez łzy wpatrywał się w znany mu z dzieciństwa jeszcze wizerunek Zbawiciela.

Wyszedł proboszcz w złocistym ornacie i stanął na stopniach ołtarza. Dzwony biły coraz silniej, że w powietrzu uczynił się jakby jeden nieustający grzmot spiżu, idący ku błękitnym sklepieniom wiosennego nieba.

Podniosły się dymy kadzidła i przysłoniły ołtarz przed oczyma ludu. A Koban za dymami temi ujrzał odległe kontury murów więziennych, znikające w niebieskawej mgle, stopniowo ustępujące miejsca złocistym ornamentom ołtarza.

— Wesoły nam dziś dzień nastał... — rozległ się czysty i donośny głos księdza.

Chwila zupełnej ciszy, a potem jak huragan wstrząsnęły murami kościoła dalsze słowa pieśni zmartwychstania, z siłą i wzruszeniem wyrzucone z piersi tłumu. Jasność jakaś zrobiła się w kościele, jakby promienie słońca przedarły się — przez kolorowe szyby i blaskami tęczy oświeciły Chrystusa na krzyżu, ołtarz, księdza i wiernych. I popłynęły potężne słowa pieśni z mocą niepowstrzymaną, wstrząsały sklepieniami świątyni i szły ku niebu.

—... tego dnia Chrystus zmartwychstał... Allelluja! — nabrzmiałym łzami głosem śpiewał z ludem Jan Koban i dusza jego rozpływała się w szczęściu. Czuł oto, że i on zmartwychstał, że wyszedł z zimnego grobu więzienia i stoi między swymi i na zawsze już tu pozostanie.

Senne widzenie było tak prawdziwe, z taką mocą rzeczywistości przeniosło Kobana w zaczarowany świat marzenia, że po twarzy śpiącego spłynęły wielkie, gorące łzy szczęścia i zwolna stoczyły się na szare posłanie mchu bolszewickiego lasu.

A sen szczęścia trwał dalej.

Oto z tłumu, otaczającego Kobana i patrzącego nań tysiącem powitalnych spojrzeń wysunęła się nagle wątła, pochylona postać siwej staruszki i wyciągnęła ku niemu stare, drżące ręce...

Zdumiał się Koban i bacznie przyjrzał się staruszce. Przez chwilę mrugał oczyma, jakby nie mogąc rozpoznać jej twarzy. Stał drżący i czuł, że wielkie, nieogarnione szczęście go jeszcze czeka, aż dosłyszał płynące ku niemu ciche słowa staruszki:

— Tyżeś to mój synu... Janku mój biedny... dziecię moje. Długo, długo czekałam na ciebie

aż oto w dzień Zmartwychstania Pańskiego przyszedłeś... synu...

Rzucił się ku matce Koban i pochwycił twardą jej, spracowaną i wyschłą rękę, aby przycisnąć ją do ust, które w niewysłowionej błogości powtarzały bezwiednie jedno tylko słowo:

— Matko... matko...

Pochylił się do ręki matki i poczuł, że na głowę jego spadają gorące, ciężkie krople... Łzy matki, płaczącej ze szczęścia nad odzyskanym synem.

I ujrzał, że w tej chwili ksiądz czyni nad głowami ich znak krzyża i posłyszał słowa pacierza, padające z ust kapłana wśród uroczystej ciszy:

— I odpuść nam nasze winy, jako i my je odpuszczamy...

W tej chwili zapomniał o wszystkich swych krzywdach, o latach cierpień, spędzonych w więzieniu, o głodzie i bólu. Zapomniał i przebaczył swym nieprzyjaciołom.

— Matko... matko... matko... — szeptał ciągle i objął kolana rodzicielki, by uścisnąć je z całą mocą synowskiej miłości...

Nagle silne uderzenie zbudziło śpiącego. Zerwał się ze snu i błędnemi oczyma spojrzał przed siebie. Znikło cudne widzenie, rozpłynął się sen szczęścia. Znikł kościół z tłumami ludu, rozwiała się postać Chrystusa, las tylko ponury szeleścił smutno gałęziami.

Przed Kobanem stało trzech ludzi. Dwóch w mundurach żołnierzy bolszewickich, trzeci w skórzanem cywilnem ubraniu, krępy, o dzikiem a równocześnie drwiącem spojrzeniu małych, zjadliwych oczek, z rewolwerem w ręku.

— Nu, brat, nie udało się, co? — cedził zwolna cywilny, patrząc zgóry na przerażonego Kobana. — Wot i co... pticzka... Wstawaj, miłyj!...

Koban przetarł oczy i błędnie spojrzał na mówiącego.

— Nu, wstawaj — zawołał groźnie agent, mierząc z rewolweru do Kobana. — Tak i popałsia, durak! Niczewo, pojedziemy spowrotem tam, skąd udało ci się wydostać!

Kopnął Kobana w bok i dał znak żołnierzom.

— Bierzcie go i na bryczkę!

Pochwycili żołdacy nieszczęśliwego i pociągnęli ku drodze, na której stała bryczka, zaprzężona w parę koni. Jak snopek słomy wrzucili go na tylne siedzenie, na którem usadowił się obok niego agent z rewolwerem w ręku. Sami usiedli na przedniem siedzeniu i konie ruszyły.

W milczeniu pochylił głowę napół przytomny Koban i pogrążył się w ponurej zadumie. Wiedział, że straszny los go czeka i zadrżał na myśl iż resztę życia musi spędzić w niopisanych męczarniach. A potem zaczął się zastanawiać, jak stać się mogło, by agent i żołnierze znaleźli go w lesie, tuż nad granicą Polski, w oddaleniu setek wiorst od więzienia, z którego uciekł. Czuł się przecież już zupełnie bezpieczny, tak blisko już miał do ocalenia...

Z zadumy tej wyrwały go słowa agenta, który ozwał się z szyderstwem:

— A co, to ty, Polaczok, myślałeś, że potrafisz wyprowadzić w pole nas? Ot, durak prawdziwy! A czy ty wiesz, że jeszcze zanim przepiłowałeś kraty w oknie, my już wiedzieliśmy, że masz pilnik?

Koban spojrzał osłupiałym wzrokiem na mówiącego.

— Tak, tak, brat. Mogliśmy nie dopuścić do twej ucieczki, ale poco? Wszak twój towarzysz, ten właśnie, który dał ci pilnik, odrazu nam powiedział, jaki jest twój zamiar, kiedy uciekniesz i którędy pójdziesz. My cię, ptaszku, ciągle mieli na oku, żeby cię właśnie w tem miejscu złapać... Ot co... Żeby ci się zdawało, że już napewno przejdziesz granicę...

— Mierenin... — szepnął Koban. — Mierenin, któremu oddawałem wszystko, dla którego głód cierpiałem... zdrajca...

— No i tak się stało — ciągnął dalej śmiejąc się agent. — A jaką ty miał zadowoloną minę, kiedy spałeś! Poprostu śmiał się przez sen, swołocz...

— Zemścić się... zginąć, a zemścić się — szumiało w głowie schwytanego zbiega. — Mierenin... zapłaci mi za to...

I zaczął rozmyślać jak zemści się na zdrajcy. Myśl o zemście dodała mu sił i w głowie jego zaczęły się rysować plany wykonania zemsty. Zresztą nie trudno było podburzyć innych więźniów przeciw zdrajcy. Złoczyńcy potrafią karać tych, którzy dla zyskania łask dozorców wydają współtowarzysza w ich ręce. Tak, powie tylko innym więźniom o łotrostwie Mierenina...Zabiją, zakatrupią jak psa...

Nagle stanął mu w pamięci niedawno prześniony sen. Przymknął oczy i przeżył wszystkie momenty widzenia. Znów posłyszał głos matki i wyrazy księdza:

— I odpuść nam nasze winy, jako i my je odpuszczamy...

I poniechał Koban zamiaru zemsty.

Podniósł rękę do góry i zakreślił w kierunku Polski znak krzyża.

A w tej chwili błogość jakaś i ukojenie wstąpiło do zbolałej jego duszy. Serce tylko kołatało się gwałtownie w piersi jego i słabość rozlewała się po całem ciele. Nie wytrzymało wzruszenia wynędzniałe ciało. Lata więzienia, niewypowiedziane trudy dni ucieczki i przebyte wzruszenia wraz ze znikającą nadzieją odzyskania wolności, zabiły biedaka. Koban osunął się z siedzenia i stoczył się ciężko na dno bryczki, pod nogi łapacza.

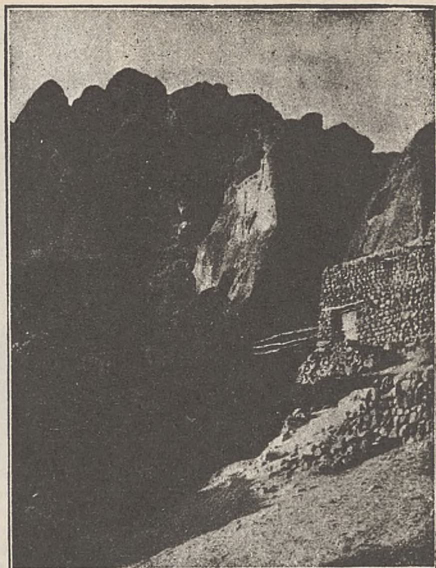
A w ostatniej chwili w uszach jego znów rozległ się dźwięk dzwonów resurekcyjnych i okrasił rzewnym uśmiechem zbolałe rysy.

OSOBLIWOŚCI PERSJI —

MIASTO JASKIŃ — LOTNE PIASKI — POWODZIE

PERSJA jest krajem osobliwości. Już samo to, że w całym wielkim kraju znajduje się tylko jedna linja kolei żelaznej, ogólnej długości kilku mil angielskich jest niemałą osobliwością. Komunikacja w Persji odbywa się zawsze jeszcze w sposób bardzo pierwotny — na grzbietach wielbłądów, osiołków i w pojazdach, ciągniętych przez woły. To też podróże w Persji nie należą do przyjemności. Przebycie przestrzeni kilkuset mil to już kwestja całych tygodni, bo w tym pustynnym i suchym kraju, pomimo stosunkowo dosyć gęstego zaludnienia, nawet zwykłych dróg bitych jest bardzo mało. Z początkiem bieżącego stulecia w całej Persji były tylko dwie szosy, łącznej długości 300 mil. Teraz naturalnie jest ich więcej, ale większość kraju dróg jeszcze nie posiada i arterjami komunikacyjnemi są zwykle ścieżki stepowe i górskie, dostępne jedynie dla pieszych i osiołków jucznych. Bo nawet wozem, zaprzężonym w woły można jeździć tylko po jakich takich drogach.

Otóż w północno-zachodniej części Persji, w niewielkiem oddaleniu od wielkiego, bo około 250,000 mieszkańców liczącego miasta Tabrisu, znajduje się kilka pasm górskich, których szczyty wiecznemi są pokryte śniegami. Deszcze rzadko padają w tym kraju, i tylko dzięki kilku rzekom i sieci sztucznego nawodnienia okolice te nie są zupełną pustynią. Wieczne śniegi z gór zasilają rzeki, strumyki i kanały i umożliwiają uprawę ziemi, hodowlę drzew owocowych i gospodarstwo rolne w ogólności. Ale żyzne niwy, zieloność i sady owocowe widzi się tylko w pobliżu rzek i sztucznych kanałów. Już w promieniu kilku mil od wody roztacza się szara, spalona i beznadziejna pustynia.



Grupa "domów" w Kenduwanie.

U podnóża gór Sehendu, których szczyty zdaleka jaśnieją bielą wiecznego śniegu, jest kilka większych osad tybylców. Ludność w nich uboga, gnieżdżąca się w marnie kleconych lepiankach z kamieni i gliny, żyjąca z uprawy ziemi w urodzajniejszych dolinach i z hodowli owiec. Nic ciekawego nie napotka tu oko podróżnego, a podróż do tych miejscowości długa jest i uciążliwa, pomimo, że do Tabrisu jest stamtąd zaledwie 25 mil angielskich.



Ruiny klasztoru Inam-Zade i modlący się derwisz.

Jedna tylko z tych osad, Kenduwan, nazywana przez tubylców "miastem" jest rzeczywiście godna widzenia i stanowi niezwykłą osobliwość dwudziestego stulecia. Krajowcy dumni są z tego miasta i, skoro trafi im się sposobność, co zdarza się bardzo rzadko, z dumą pokazują Kenduwan przybyszom z Europy.

Na pierwszy rzut oka Kenduwan wygląda jak zbiorowisko ogromnych kamiennych głów cukru. Jeden przy drugim piętrzą się potężne stożki piaskowcowe, które są w rzeczywistości domami mieszkalnemi. Po bliższem przyjrzeniu się, widać w kamiennych stożkach okna i drzwi, wykute w skale, schody w zboczach i wejścia do tych dziwacznych obelisków. Kamienne przybudówki łączą po

kilka stożków w jedne grupy, niby w połączone zagrody gospodarskie. Wysoko między temi pierwotnemi siedzibami ludzkiemi widać mostki z cienkich belek i desek, wiążące poszczególne skały. Na piętrach znajdują się izby mieszkalne, na parterze kuchnie, piekarnie i składy gospodarskie.



Zabudowanie gospodarskie w dolinie.

Historja Kenduwanu łatwa do odgadnięcia. Głównym budowniczym skał kenduwańskich była niewątpliwie woda. Przez wieki wydrążyła w zwartej masie piaskowca szczeliny, porobiła stożki, wyżłobiła korytarze, groty i oddała wszystko na usługi człowieka. Położenie na osiedle dla ludzi idealne, bo i obronne, i bezpieczne przed zalewami, rzeka w pobliżu, więc i roślinność wspaniale rozwinięta, zwierząt moc w górach. Osiedlili się tedy tysiące lat temu ludzie w tych skałach i prowadzili spokojny żywot jaskiniowców. Mijały wieki. Ludzi przybywało i mieszkania skalne już nie mogły pomieścić coraz to nowych przybyszów naturalnych. Coraz mniej też było zwierzyny i myśliwstwo nie wystarczało na zaspokojenie potrzeb mieszkańców osady. Z biegiem czasu pojawiły się narzędzia metalowe i ludzie zaczęli w miękkim piaskowcu ciosać coraz dalsze i wygodniejsze izby, aż powstało całe "miasto" jaskiń. Pierwotne pługi i sochy poczęły uprawiać okoliczne doliny, zakwitły ogrody owocowe, na skłonach gór pojawiły się stada owiec, osłów i koni, hodowanych przez mieszkańców kendywańskich jaskiń.

I tak przetrwały jaskinie kamienne Kenduwanu przez tysiąclecia aż do dzisiejszych czasów. Mieszkańcy tych grot są ludźmi spokojnymi i choć ta przedhistoryczna osada znajduje się w niewielkiej odległości od Tarisu, nie mieszają się do spraw zewnętrznego świata i pędzą żywot odosobniony. Chętnie jednak widzą przybyszów, zwiedzających ich siedzibę, przyjmują ich gościnnie i z dumą oprowadzają po zakątkach swej jaskiniowej osady. Jako



Mieszkania w skałach Kenduwanu.



Na lewo: Grupa jaskiń zamieszkanych od tysięcy lat.



Góra Sultan-dah.



Ogólny widok ruin dawnego klsztoru derwiszów Imam-Zade.

prawowierni muzułmanie są bardzo religijni i pysznią się, że w pobliżu Kenduwanu, na miejscu, gdzie przed wiekami



Miasto jaskiń. Mieszkania budowane ręką natury.



Dom mieszkalny, budowany ręką ludzką.

spoczywał i umarł zięć Mahometa, sułtan Ossamet-Iban-Sejda, są zwaliska starodawnego klasztoru szyickich derwiszów. Miejsce to uważają za święte, a choć rząd perski kilka lat temu pozamykał klasztory derwiszów, w Imam-Zade, jak się nazywa to święte miejsce, do dziś jeszcze tajemnie przebywają derwisze i bezustannie modlą się wśród kamiennych płyt przed pochyloną kolumną dawnego klasztoru.

Na górze przed zwaliskami klasztoru Imam-Zade głazy i olbrzymie płyty kamienne są ułożone w ogromne piramidy i wały. Kto je układał i kiedy, o tem dzisiejsi mieszkańcy Kenduwanu nie wiedzą. Ale do miejsca tego przywiązują dziwną wiarę, opartą na tysiącletniej tradycji. Oto na szczycie góry stoi kolosalny sześcian, zbudowany z kamieni, a w nim wąski otwór, prowadzący na wylot. Otwór ten stanowi przejście, najeżone ostremi kamieniami i kantami głazów. Krajowcy, a szczególnie derwisze, przedostają się przez ten otwór na drugą stronę sześcianu, a komu uda się przedrzeć, uważa się za szczęśliwego, gdyż, jak wierzą, kto za życia przedostanie się przez to trudne i uciążliwe przejście, ten po śmierci z łatwością przejdzie przez most, łączący ziemię z niebem a tam będzie go czekać wieczne szczęście raju.



Powódź w Tabrisie. Pierwsze fale.

Imam Zade stoi na krawędzi potężnego urwiska; widok stąd rozległy: piętrzą się szczyty gór, bieleją wieczne śniegi, w głębokich dolinach, widnych zdaleka pasą się trzody i zielenieją sady i pola uprawne. A w oddali ciemnieją niewyraźnie zarysy Tabrysu, miasta blisko ćwierćmiljonowego, środowiska wywozowego i wwozowego handlu Persji z Europą i Ameryką.

Wiadomości o Kenduwanie, tej osobliwości dwudziestego stulecia zawdzięczamy polskiemu podróżnikowi, panu Stanisławowi Niedźwiedzkiemu, który w towarzystwie sekretarza polskiego konsulatu w Tabrisie, odbył wycieczkę do tej dziwacznej miejscowości i zwiedził, oraz sfotografował osadę jaskiniową i całą okolicę gór Sehendu.

Persja naogół jest krajem osobliwości i wybryków przyrody. Większa część kraju jest suchą, gorącą pustynią, po której hulają tumany lotnego piasku i wysuszają wszelką wilgoć z ziemi. W dawnych czasach, kiedy Persowie stali u szczytu swej potęgi i chwały, kiedy nawet podbili Egipt, zaprowadzili u siebie olbrzymie baseny i sieci kanałów sztucznych, które rozprowadzały wodę po szerokich obszarach, podtrzymywały rolnictwo i zapobiegały klęskom powodzi, powstającym stosunkowo często spowodu nagłych, ulewnych deszczów w porze letniej. Bo dziwnym wybrykiem kapryśnej przyrody, tam właśnie, gdzie znajdują się lotne piaski i spalone żarem słońca pustkowia, występują od czasu do czasu tak wielkie ulewy, że nieraz zatapiają całe osady i miasta.

Persowie są jednak narodem leniuchów i ciemnoty. Przez wieki, które upłynęły od czasów rozkwitu Persji, jako państwa, nietylko, że nic nie zrobiono w kierunku dalszego kanalizowania kraju, ale przeciwnie, wiele basenów i kanałów zaniedbano i

pozostawiono bez należytej opieki, wskutek czego poznikały sztuczne rezerwuary, jakie mogły pochłaniać wodę w razie wielkich ulew. Zabrakło widocznie tłumów niewolników, którzyby tysiącami marli w upalnych promieniach słońca przy budowie, basenów, tam i kanałów, a rząd perski nie jest dosyć sprężysty, aby prawdziwie troszczyć się o dobro swych poddanych. Dlatego też w Persji nędza panuje i niedostatek.

Państwa europejskie, starające się o wpływy w Persji bynajmniej nie czynią tego w zamiarze podniesienia kultury i dobrobytu tego kraju. Anglji czy Niemcom chodzi wyłącznie o eksploatację naturalnych bogactw Persji, a dowiedzioną jest rzeczą, że im ciemniejszy i bardziej zacofany jest kraj, tem łatwiej można jego mieszkańców wyzyskiwać.



Powódź w Tabrisie. Żywe tamy, formowane z żołnierzy perskich.

Drugie z rzędu pod względem wielkości miasto w Persji, Tabris, wielokrotnie już dotkliwie odczuło klęski powodzi. Woda, dobrodziejstwo dla suchych okolic, jak wróg najzaciętszy rzucała się na miasto olbrzymiemi falami i szerzyła zniszczenie. Dopiero ostatnia powódź, która wyrządziła nieobliczalne prawie szkody w Tabrisie, zbudziła radę miejską z długowiecznej drzemki i zabrano się do budowania tamy od strony rzeki.

Powódź, z której zdjęcia wyraźnie mówią o rozmiarach klęski, spadła na Tabris niespodziewanie. Podczas upalnego, jasnego dnia ukazała się nagle na niebie czarna ściana chmur. Tłumy mieszkańców, nauczone doświadczeniem z poprzednich powodzi i świadome zbliżającej się katastrofy, z trwogą spoglądały na coraz gęściejsze chmury i ze drżeniem oczekiwały ulewy. Władze miejskie zmobilizowały policję, komenda wojskowa postawiła cały garnizon na nogi. Tłumy ludzi uciekały w popłochu na przyległe wzgórza, aby ratować przynajmniej życie, skoro mienie ich było wystawione na pewną zgubę. I nagle z czarnych chmur lunęły strumienie deszczu. W przeciągu kilkunastu minut po ulicach miasta rozszalały się wzburzone fale i rozpoczęły dzieło zniszczenia. Kruche, budowane z lekkiej, na słońcu suszonej cegły domy, zaczęły się chwiać i walić. Zdawało się, że całemu miastu grozi zagłada, gdy do walki z rozszalałym żywiołem wystąpiły oddziały wojska wraz z policją i cywilną ludnością. Żołnierze budowali tymczasowe zapory przed narożnemi domami, aby powstrzymać pęd wody i w ten sposób ocalili śródmieście od ruiny.



Scena z powodzi w Tabrisie. Samochód na jednej z ulic miasta.

Ostatnia powódź w Tabris trwała tylko trzy godziny, a-

le straty były olbrzymie. Ofiar w ludziach nie było, lecz zrujnowane domy, poniszczone składy kosztownych towarów i żywności sięgały miljonów dolarów. Po trzech godzinach powódź ustąpiła i pozostało po niej zaledwie kilka małych strumyków, które wnet wsiąkły w lotny piasek, rychło wysuszony gorącemi promieniami słońca.



Ulicach Tabrisu zamieniły się na bystre rzeki.

Persja leży w Azji zachodniej i obejmuje 628,000 mil kwadratowych obszru. Liczba mieszkańców tego kraju sięga niespełna 10,000,000. W tej liczbie jest połowa wieśniaków, zajmujących się uprawą roli, ogrodnictwem oraz hodowlą bydła i owiec, dwa i pół miljona mieszkańców miast i miasteczek, reszta zaś składa się z plemion koczowniczych, przenoszących się stale z miejsca na miejsce ze swemi trzodami. Persowie są wyznawcami Islamu.

Na czele kraju stoi król, zwany szachem. Do roku 1906-go szachowie perscy posiadali władzę w najwyższym stopniu despotyczną i autokratyczną. Dopiero szach Muzaffar-el Edin wydał w roku 1906 dekret, zwołujący zgromadzenie narodowe, czyli Mejliss, które uchwaliło pierwszą perską konstytucję. Następny szach jednak rozwiązał zgromadzenie narodowe i dopiero pod naciskiem ze strony państw europejskich przywrócił konstytucję.

Persja dzieli się na 33 prowincje, z których każda jest rządzona przez generalnego gubernatora, odpowiedzialnego tylko przed władzami centralnemi. Prawo wybierania posłów do parlamentu posiadają w Persji wszyscy mężczyźni w wieku dojrzałym. Zgromadzenie narodowe składa się ze 120 posłów.

Wymiar sprawiedliwości stoi w Persji na bardzo niskim poziomie. Władza sądownicza spoczywa w rękach gubernatorów, najwyższego kapłana i duchowieństwa mahometańskiego, które kieruje się przy wydawaniu wyroków tak prawem niepisanem, jak przepisami Koranu, co powoduje fatalne zawikłania w wymiarze sprawiedliwości. Pozatem wśród szafarzy sprawiedliwości panuje wszechwładnie łapownictwo i przekupstwo.

Siła zbrojna Persji składa się z żołnierzy krajowców w liczbie około 120,000, których dowódcami są przeważnie oficerowie z armji europejskich. Pomimo długoletnich wysiłków nie udało się dowódcom europejczykom zaprowadzić w armji perskiej karności i subordynacji wojskowej, wobec czego armja jest na niskim stopniu organizacji, a dla braku pieniędzy w skarbie perskim nie posiada odpowiedniego wyposażenia w nowoczesne środki wojenne.

Wywóz z Persji jest nieznaczny. Poza słynnemi na cały świat dywanami perskiemi, wyrabianemi przeważnie ręcznie przez wieśniaków, posługujących się pierwonemi krosnami, Persja wywozi na rynki zagraniczne pewne ilości drogich kamieni, pereł i wyprawnych skór zwierzęcych. Pomimo bogatych pokładów minerałów i metali, przemysł kopalniany Persji jest słabo rozwinięty z przyczyny trudności komunikacji i braku dróg żelaznych i zwykłych.

W KWIETNIĄ NIEDZIELĘ

KAZIMIERZ LASKOWSKI

Słonko wstało pogodą
Jakby w letnie przyparki...
Nad zdrojową, nad wodą
Grają wierzby — fujarki!

Strojne w welon puszysty,
Postrzyżoną gnąc głową,
Grają wierzby — ligawki
Na Niedzielę Palmową!

Słonko wstało pogodą
Wietrzyk ucichł i nie tnie..
Nad zdrojową, nad wodą
Grają wierzby jak fletnie!

Postrzyżoną gną głową,
Roniąc pęki puszyste
Na Niedzielę Palmową!
Na cześć Twoją, o Chryste!

Słonko wstało pogodą...
Grają dzwony od rana...
Jak te wierzby nad wodą
Lud ugina kolana!

Jak te wierzby puszyste,
W dzień Niedzieli Palmowej,
Pod kościelnem sklepieniem
Obnażone w rząd głowy!

Płoną oczy, jak słonko
Popod niebios błękitem!
Jak te wierzby — fujarki
Grają serca zachwytem!

Jak z tych drzewin nad wodą
Płyną dźwięki strzeliste...
O Niedzieli Palmowej
Na cześć Twoją, o Chryste!

Wiliam Locke

NIEDOŁĘGA

NOWELA

DWAJ panowie siedzieli przy deserze. Obaj w średnim wieku, bliżsi pięćdziesiątki niż czterdziestki. Poza tą równością wieku wszelako nie zachodziło pomiędzy nimi żadne podobieństwo. Jeden był otyły, miał kwitnącą zdrowiem cerę i białe, pulchne ręce; ubranie jego doskonale było skrojone, a bielizna wykwintna i cienka. W tej chwili nawet twarz jego zabarwiła się szkarłatem, zdradzającym hojnie dogadzanie sobie w jedzeniu i piciu.

Wieczorowy strój drugiego z biesiadników dobrze musiał być wysłużony. Wieloletnie używanie ujawniało się w lekkiem przetarciu materjału przy kołnierzu. Tanie kościane spinki tkwiły w gorsie marnie upranej koszuli, a czerwone niciane skarpetki i podniszczone półbuciki chromowe grubej roboty, z szarzejącym paskiem niedoczyszczonego błota dokoła podeszwy, rażąco odbijały od cienkich, czarnych jedwabnych skarpetek i wykwintnych lakierowanych półbucików jego towarzysza.

Twarz jego i sposób zachowania się przy stole, równie jak jego strój, nie nosiły znamion dobrobytu. Jego brudno-siwe włosy były rzadkie, niezbyt starannie utrzymane: na policzkach, chudych i zapadniętych, jeżyła się szczecina niedogolonego zarostu; bruzdy zmarszczek żłobiły bladą, bezbarwną jego twarz. Oczy, niegdyś błękitne, zdawały się wypełzłe i z roztargnieniem patrzyły na świat z poza szkieł dla krótkowzrocznych. Wzrost jego, niewielki z natury, pomniejszało jeszcze przygarbienie całej postaci.

Są ludzie, w których krew, jako stały jej składnik, zdaje się wchodzić nędza. Taki właśnie wygląd miał jeden z siedzących przy stole. Wyglądał na człowieka zamorzonego, wynędzniałego i głodnego nietylko chleba, ale wszystkiego, co życie daje.

Patrząc na obu biesiadników, łatwo można było zdać sobie sprawę, że jeden z nich był bogaty, a drugi ubogi; że jednemu wszystko w życiu szło jak z płatka, drugiemu jak po grudzie.

Biedny obiadował przy stole bogatego. Było to pierwsze ich bliższe zetknięcie się po długich latach. W czasach chłopięcych i zamłodu byli serdecznymi przyjaciółmi; potem drogi ich życia rozeszły się do tego stopnia, że wzajem zatracili zupełnie swoje ślady.

W tej chwili Jessop — tak się zwał ubogi biesiadnik — oparty o grzbiet swego krzesła, popijał małemi łykami czarną kawę, nieco przytłoczony poczuciem bogactwa i kontrastem między tą pięknie umeblowaną salą jadalną a własnem swojem, ubogiem mieszkaniem.

Ściany zawieszone obrazami, majaczącemi niewyraźnie w cieniu; ciężkie, dające poczucie bezpiecznego odcięcia od zgiełku i trosk świata fałdy miękkich, grubych kotar; pysznie rzeźbione bramowanie kominka, poniżej którego buzował na palenisku suty ogień; iskierki światełek, tańczące na błyszczącym mosiądzu pogrzebacza i cęgów; pokryty śnieżnym obrusem stół ze swojem spiętrzeniem sreber, wytwornych kryształów i owoców, oblanych ciepłem światłem świec w czerwonych zasłonkach — nadawały całemu pokojowi bogate zabarwienie kolorystyczne. Wypełniający atmosferę pokoju słaby zapach ciętych kwiatów, parującej kawy i kosztownych cygar, przenikał w głąb jego świadomości, nasuwając mu rozważania o człowieku, dla którego to bogactwo i zbytek stanowiły codzienne jego środowisko.

— Czego napiłbyś się? — zapytał go uprzejmy gospodarz, nazwiskiem Van Buren — koniaku czy kminkówki? Radzę ci spróbować kminkówki. To specjalna marka, pochodząca z piwnic cesarskich. Sprowadzam ją sam bezpośrednio. Kosztuje ładny grosz...

Jessop zgodził się na kminkówkę.

— Znakomita — rzekł, smakując z lubością pierwszy łyk. — Nie wiedziałem, że taka istnieje.

Van Buren spojrzał na niego z zaciekawieniem. Dziwnem mu się wydało, aby dorosły mężczyzna mógł nie znać gatunków wódek.

— Nie wiem doprawdy, co mnie pociągnęło do zwiedzenia dawnych miejsc w ubiegły poniedziałek — rzekł gospodarz po chwili milczenia. — Często zdarzało mi się przejeżdżać przez Mincing Lane od czasu mojego powrotu z Ameryki i widywałem mosiężną tabliczkę z napisem: "Todmorden, Filby & Co." bez cienia wzruszenia. Ale może w tej chwili właśnie myślałeś o mnie i przyciągnąłeś i moją myśl... takie rzeczy mają się podobno zdarzać.

— Tak, myślałem — rzekł Jessop. — Często myślałem o tobie.

— Muszę przyznać, że byłeś ostatnią osobą, której widoku w biurze, na tym samym wysokim taburecie, przed tem samem biurkiem i przed tą samą wielką księgą, mogłem się spodziewać. Do pioruna! Ile to już lat minęło od mojego wyjazdu do Ameryki?

— Skończy się dwadzieścia pięć lat 3-go kwietnia. Tego dnia widzieliśmy się po raz ostatni.

— Że też, u licha, zapamiętałeś tak dokładnie tę datę! Z jakiego powodu? — zapytał Van Buren, zatrzymując się na chwilę ruchem zdziwienia przy zapaleniu cygara.

— Sądzę, że moje horyzonty myślowe muszą być bardzo ograniczone i dlatego drobne fakty tak trwale tkwią w mojej pamięci — odpadł Jessop z lekkim odcieniem goryczy w głosie.

— Dwadzieścia pięć lat! Trudno doprawdy wyobrazić to sobie — zawołał Van Buren.

Obaj zamilkli na dłuższą chwilę. Przed oczami duszy każdego z nich przesunęły się jak w migawkowem zdjęciu obrazy ich życia w ciągu ćwierćwiecza.

Van Burenowi lata te przyniosły nieprzerwany szereg powodzeń: majątek, świetne małżeństwo, udane dzieci — wszystko, czego może pragnąć serce mężczyzny. Był zadowolony z samego siebie. Szybko ukończył przegląd lat minionych i prawie nie-

świadomie skierował myśl ku planom przyszłości. Człowiek, którego życie było niezmąconym ciągiem powodzenia, mało żyje przeszłością. Czynią to raczej wykolejeńcy życiowi.

Dlatego też myśl Jessopa nie przestawała wyczarowywać kolejności obrazów minionych dni. Nie dawały mu one spokoju zwłaszcza od ostatniego poniedziałku, kiedy Van Buren wypłynął nagle na widownię jego życia, niby zjawia przeszłości, zbudzona do ponownego istnienia.

Van Burenowi powiodło się na świecie — jemu wszystko poszło na opak. Nadzieja i energja opuściły go na zawsze.

Aż do końca, automatycznie pchać będzie swoją taczkę obowiązków, dzień po dniu, aż dopóki nie załamie się sprężyna wewnętrznej jego maszyny i chlebodawcy jego nie zwolnią go z obowiązków z połową, albo może nawet z ćwiercią gaży, którą będą mu wypłacali do końca jego dni.

Pozostał samotny. Niegdyś miał żonę i dziecko, na krótki jednak tylko czas, oboje bowiem byli słabowici i rychło przenieśli się na tamten świat jedno po drugiem. Nie zaznał nawet rozpaczy po ich śmierci. Musiałaby go łączyć z bliskiemi temi istotami płomienna miłość, gdy w rzeczywistości uczucie jego dla żony było najwyżej opartem na szacunku przywiązaniem. Przyjął też z rezygnacją i te ciosy także, tak samo, jak przyjmował zrezygnowany wszystkie niepowodzenia swojego bytu.

Nikt bodaj jaśniej niż on nie zdawał sobie sprawy z braku w jego usposobieniu cech, zapewniających powodzenie. Był dumny, nieśmiały, uczciwy aż do przesady, był człowiekiem, którego nic nie zdołałoby sprowadzić z uczciwej drogi, a który jednak na tej drodze nie mógł obejść się bez przewodnika, jako że nie miał za grosz samodzielnej inicjatywy.

Raz tylko jedyny zdobył się na nią.

Na tem wspomnieniu zatrzymał się pośród biegu swych medytacyj i spojrzał na przyjaciela, który zdawał się być pochłoniętym śledzeniem kółek dymu cygarowego, wijących się błękitnawemi smugami ku sufitowi.

Nagle przyszło Jessopowi na myśl, w jakim stopniu Van Buren zawdzięcza to swoje powodzenie jemu — tej jedynej śmiałej inicjatywie, która zaznaczyła w jego, Jessopa, życiu początek wszystkich dalszych niepowodzeń.

Przypomniał sobie szkolne swoje dni z Van Burenem, kiedy ów, nieulękniony atleta, był przedmiotem nieśmiałego jego uwielbienia. Odtworzył w swojej pamięci ponure czasy, kiedy firma w City, której obaj ich ojcowie byli spólnikami, zbankrutowała, a potem bezgraniczny jego zachwyt, kiedy on i Van Buren przyjęci byli w charakterze praktykantów do wielkiego domu handlowego "Todmorden, Filby & Co." na Mincing Lane, co przed nimi obydwoma otwierało widoki dalszej karjery handlowej.

Odżyła mu także w pamięci Maggie, jego pierwsza miłość z lat młodzieńczych — jedyna poważna w jego życiu. Nie zwierzył się z nią jednak nikomu, albowiem Van Buren był również zakochany w tej samej dziewczynie, a ona naturalnie nie widziała nikogo poza nim. Byli z sobą zaręczeni i mieli wkrótce się pobrać. Jessop często potem myślał o niej i teraz był nawet nieco rozczarowany, że jej nie widzi. Ale Van Buren powiedział mu, że żona i dzieci są obecnie w nowej, niedawno przez niego nabytej posiadłości wiejskiej, skąd powrócą dopiero za kilka tygodni. Zobaczy ich tedy o tyle, o ile Van Buren zaprosi go jeszcze kiedy do swego domu.

Westchnął na tę myśl. Długie lata dobrowolnego usuwania się w cień uczyniły go bardziej jeszcze nieśmiałym niż był z natury.

Przez te wszystkie wspomnienia przewijała się jednak jaskrawą nicią pamięć jednego, decydującego o całym biegu jego egzystencji, szalonego czynu.

Van Buren dziwił się, że zapamiętał datę 3-go kwietnia z przed dwudziestu pięciu lat. Dziwnem byłoby, pomyślał Jessop ze smutkiem, gdyby mógł kiedykolwiek zapomnieć tej daty.

Był to dzień, w którym Van Buren miał wyjechać do Ameryki, w celu objęcia stanowiska w newyorskiej agencji. Przyszedł wcześnie do biura, aby załatwić ostatnie przygotowania przed wyruszeniem do Liverpoolu. Jessop stawił się również tego dnia bardzo wcześnie, aby móc uścisnąć po raz ostatni dłoń przyjaciela. Wiedział, że kiedy wraz z uderzeniem godziny dziewiątej zastęp urzędników stawi się w lokalu firmy, i on będzie przygwożdżony do swego biurka na całą resztę dnia.

Van Buren i on byli sami w olbrzymiem biurze. Jeden ze spólników był już w swoim gabinecie, w nietylkalnej świątyni, której atmosfera zdawała się przesiąknięta tajnikami bogactwa i olbrzymiej potęgi pieniądza i której progu niewolno było przekraczać żadnemu z urzędników, chyba tylko na specjalne wezwanie szefów. Ilekroć też zjawiał się który na takie wezwanie, drżał przejęty lękiem i szacunkiem.

Do tej świątyni wezwany został Van Buren po ostatnie instrukcje. Po chwili, jak gdyby czemś zmieszany, wyszedł stamtąd wraz z Filbym, głównym dyrektorem, który, poleciwszy mu przejrzenie jakichś papierów, wyszedł śpiesznie głównem wyjściem na ulicę.

— Ach, zapomniał dać mi ten list — mruknął Van Buren, przerzucając plikę papierów trzymanych w ręku. — Pójdę do gabintu i zobaczę, czy nie leży na biurku.

Rzekłszy to, znikł za drzwiami gabinetu i natychmiast powrócił, blady, ledwie zdolny opanować podniecenie.

— Co się stało, Van? — zaniepokoił się Jessop.

— Co się stało? — powtórzył Van Buren. — Stała się nadzwyczajna rzecz. Okazja zrobienia majątku! Firma może zarobić miljony, o ile potrafi zakrzątnąć się w porę.

— W jaki sposób? — zawołał Jessop, któremu udzieliło się podniecenie kolegi.

W owych czasach z dumą identyfikował się jeszcze z firmą "Todmorden, Filby & Co.", nic dziwnego więc, że podnieciła go perspektywa zarobienia przez firmę miljonów.

— W jaki sposób — powtórzył. — Opowiedzże dokładnie!

— Kablogram z Ameryki. Spostrzegłem niebieski papier. Leżał, rzucony przez nieostrożność widocznie, na podłodze. Nie byłem jednak pewny. Wszedłem do gabinetu powtórnie, żeby się przekonać. Utworzył się potężny, rozporządzający olbrzymiemi środkami syndykat, który ma wykupić wszystko będące na rynku indygo. Ten kablogram to pierwsze echo wielkiej afery. Todmordenowi nie pozostaje nic

innego, jak kupić ile się da, a ceny podskoczą odrazu jak szalone...

— Radzę ci zapomnieć, że wiesz o tem — poradził mu przerażony Jessop.

— I ty także zapomnij! — odparł Van Buren.

Rozmawiali jeszcze chwilkę, poczem Van Buren pośpiesznie pożegnał się z nim. Było to ostatnie ich widzenie się.

* * *

Dzień minął bez żadnych szczególnych wydarzeń. Jessop pamiętał tylko, że tego wieczora poszedł do teatru ale nie bawił się. Brak mu było towarzystwa przyjaciela. Nazajutrz z rana, przeglądając dział giełdowy w porannej gazecie, stwierdził nagle ogromne podskoczenie cen indygo. Uśmiechnął się, świadomy ukrytych sprężyn tej machinacji. O ile dyrekcja jego firmy rzuci na rynek nabyte wczoraj zapasy, zyska ogromne pieniądze.

Przejęty myślą o powodzeniu firmy, snuł złote rojenia przyszłości, widząc siebie w roli przyszłego spólnika, posiadacza bezcennych tajemnic handlowych, kablowanych mu z za oceanu.

W różowym, wywołanym temi rojeniami nastroju, powiesił palto i kapelusz w szatni biurowej i zajął zwykłe miejsce, aby zabrać się do pracy. Zaledwie jednak zdążył umoczyć pióro w atramencie, kiedy niecierpliwy dzwonek wezwał go do sanktuarjum dyrektorów.

Przestąpiwszy próg, spotkał się na środku pokoju z samym panem Filbym, który z chmurą na czole zapytał go ostro:

— Przeglądał pan dzisiejsze gazety?

Pytanie to było rzucone z nagłością i gwałtownością wystrzału karabinowego.

— Tak, panie dyrektorze.

— Widział pan ceny indygo?

Coś nie było w porządku. Jessop wyczytał to w rozwścieczonym wzroku dyrektora. Myśl o wczorajszym kablogramie ostrzem noża przeszyła Jessopowe serce, powstrzymując jego bicie. Wybąknął:

— Tak — głosem skruszonego winowajcy.

— Przystąpię odrazu, bez wstępów do rzeczy — rzekł Filby. — Van Buren i pan byliście tutaj sami wczoraj rano. Jeden z was, nie wiem który, wszedł do gabinetu i zapoznał się z treścią kablogramu. Który z was to był?

Jessop milczał. Zdawało mu się, że stoi tak już od godziny przed swoim szefem. Nawet teraz, po dwudziestu pięciu latach, myśląc o tym krytycznym momencie swojego życia, przycisnął dłonie do oczu, odrzuciwszy okulary na czoło. W ciągu tych kilku minut skoncentrowała się w nim cała gorycz jego losów. Jak w nagłem olśnieniu zrozumiał co się stało. Van Buren z właściwą sobie lekkomyślnością wygadał się z sekretu przed obcymi. Wynikiem tej jego nieostrożności było zakupienie przez inne firmy wielkich ilości indygo, co naraziło Todmordena, Filby'ego & Co. na utratę nieobliczalnie wielkiego zarobku.

W uszach nie przestawało mu brzmieć zadane przez szefa pytanie:

— Który z was?

O ile będzie usiłował obronić samego siebie, musi być siłą rzeczy uznana wina Van Burena. W pojęciu Jessopa, sądzącego sprawy z niepokalaną czystością uczciwego, nietkniętego brudem życia młodzieńca, wydalenie z firmy Todmorden, Filby & Co. z zaszarganą opinją, równoznaczne byłoby z ruiną całego życia. Stał odrętwiały na samą myśl o czemś podobnem. A Maggie? Miała wkrótce jechać do Ameryki i wyjść tam zamąż za Van Burena...

Dwa istnienia byłyby w ten sposób zagrożone. Przyjaciel był mu drogi, ale szczęście Maggie tysiąckrotnie droższe. Wrażenie, myśl, impuls pobiegły jedno za drugiem z błyskawiczną szybkością. I wnet ustąpiło wszystko w duszy jego miejsca zalewowi bohaterskiej, gotowej do poniesienia wszelkich ofiar przyjaźni i miłości, ogarnęło go wszechpochłaniającym ogniem zapału i na jedną chwilę przeistoczyło w męczennika-bohatera.

Był to dla niego moment ekstatycznego szału, jeden z tych momentów, kiedy człowiek przestaje być człowiekiem i staje się jak Bogiem, zdobywając się na wzniosły akt, za który z chwilą, gdy powraca do ludzkich swych słabości, wypada mu płacić drożej, aniżeli za tysiące czynów pospolitych.

— To ja wszedłem po wyjeździe Van Burena i przeczytałem kablogram — rzekł martwym głoem.

— A z kim podzielił się pan swojem odkryciem?

— Z kilkoma przyjaciółmi przy śniadaniu...

— Ach, nieszczęsny idjoto! — krzyknął jego szef, patrząc na niego z takim wyrazem wstrętu i pogardy, że przez długie jeszcze miesiące wspomnienie to nie przestawało palić policzków Jessopa rumieńcem wstydu. — Nieprawdopodobny, niemożliwy idjoto!

W jaki sposób przeżył kilka następnych dni, nie umiałby sam powiedzieć. Ogarnęło go martwe otępienie, czyniące go zupełnie nieporadnym wobec bezpośrednich konsekwencyj heroicznego jego szaleństwa. Wreszcie po jakimś czasie zawieszenia go w czynnościach, oznajmiono mu, że kierownicy firmy postanowili darować mu straszną winę ze względu na osobę jego ojca.

Powrócił więc do biura i pozornie poszła cała sprawa w zapomnienie. W rzeczywistości jednak okazało się, że zapamiętano ją na zawsze.

Upływały miesiące, potem lata, a on zawsze i niezmiennie siedział na tem samem miejscu, przy tem samem biurku, nad tą samą księgą, pełniąc tę samę nieodpowiedzialną robotę, podczas gdy młode gryzipiórki prześcigały go rychło w awansach służbowych. Z początku usiłował odzyskać zaufanie firmy podwojeniem gorliwości w pracy. Wziął się z niesłychanym zapałem do tego zadania, przychodził o wiele wcześniej od innych do biura i przesiadywał przy księgach do późnej nocy. Przekonawszy się jednak, że w ten sposób staje się tylko pachołkiem swoich kolegów, którzy wyzyskiwali tę jego gorliwość i spychali na niego, co się tylko dało, nie wyłączając ich własnej roboty, zniechęcił się rychło.

Po trzech czy czterech miesiącach bezowocnych wysiłków wyrzekł się na zawsze nadziei i zrezygnował z wszelkiej dążności do przełamania spiętrzonych na jego drodze nieprzebytych zapór. Człowiek, posiadający większy zasób energji, byłby jednak wkońcu pokonał przeciwstawione mu, zresztą uzasadnione uprzedzenie. Zręczniejszy, mający większego tak zwanego "nosa" do interesów, uchwyciłby niejedną przelotną okazję, jakich tyle zdarza się w wielkiem mieście i potężnym domu handlowym.

Ale Jessop nie posiadał ani niewyczerpanej energji, ani zręczności lub sprytu. Nie miał też daru wykorzystania niepowodzenia, jako odskoczni, pozwalającej na wzięcie większego rozpędu. Brak mu było nawet zdolności zwykłego człowieka czynu.

Cały zasób energji, tkwiący na dnie jego słabej natury, wyekspensował się na ten jeden jedyny w życiu wysiłek woli.

I tak mijały szare, posępne lata, dzień każdy jako zwiastun identycznego swojego następcy i powtórzenie niemniej identycznego poprzednika. Nawet zawarcie związków małżeńskich nie dało mu silniejszej emocji. Żona jego i on zeszli się razem, jako dwoje rozbitków życiowych, sami właściwie nie wiedząc w imię czego to czynią. Pod względem uposażenia w dobra świata ona stała na tym samym stopniu ubóstwa co i on, jeszcze mniej bogata od niego w cnoty, umożliwiające ludzkim istotom wytrwanie w walce życiowej. Jedynie tylko firma, dowiedziawszy się o jego ślubie, podniosła mu nieco pensję. Łaska ta wszelako ofiarowana mu była z tak mało ukrywanem szyderstwem, że, poza pieniężną wartością, wyrażającą się bardzo skromnie, nie mógł dopatrzyć się w niej żadnej innej.

Po utraceniu żony i dziecka nie przyszło mu nawet z wielką trudnością powrócenie do dawnych nawyków kawalerskiego życia. Był bardzo samotny. Ci z pośród jego przyjaciół, których mógł nazwać tem imieniem, uważali go za zbyt bierną jednostkę, aby się z nim liczyć. Zapraszali go czasem w ostatniej chwili na obiad czy na wieczerzę, aby zastąpił któregoś z gości, który nie dopisał i wypełnić nim powstałą w ten sposób lukę przy stole. Jego własne ulubione zajęcia aż nadto wyraźnie świadczyły o niepraktycznym kierunku jego umysłu.

Pasją jego była heraldyka, jedyna gałęź wiedzy, niezasługująca na tę nazwę i niewarta żeby się jej poświęcać. Nawet i w tym zakresie jednak, gdyby dusza jego nie była zakażona jadem bierności i nieporadności, mógłby dojść do jakiegoś stanowiska, bowiem jego znajomość tego przedmiotu była głębsza i dokładniejsza, niż innych, cieszących się opinją uznanych autorytetów. Nie dbał jednak o to.

Gdyby z samego początku jego szefowie nie uprzedzili się do niego, byliby traktowali go życzliwie i uprzejmie, a wówczas jego natura, potrzebująca ciepła uczucia, rozwinęłaby się jak kwiat w promieniach słońca. Nadzieja dopomogłaby mu do pokonania trudności życiowych. Nieszczęsne wszelako, wytworzone przez niego samego warunki życia uczyniły z niego tylko wiecznego niedołęgę i wykolejeńca.

Czy żałował kiedykolwiek swego czynu? Czy żałował, że broniąc Van Burena, na siebie wziął ciężar, który tak strasznie gniecie go całe życie?

Sam nie umiałby na to odpowiedzieć. Zawsze mu się zdawało, że to, co uczynił, zrobione było pod wpływem bezwiednego, koniecznego impulsu. W każdym razie myślał o swoim czynie bez goryczy, czasem nawet z pewną dumą, jak zbiedniały szlachcic, dotykający na swoim palcu sygnetu, danego jego przodkowi przez króla.

* * *

Van Buren strząsnął długi kawał popiołu z cygara.

— Często myślałem z ciekawością, co się z tobą stało — rzekł bardziej uprzejmie niż szczerze. — Nie stąpaliśmy po różach w owych dniach.

— List, zaadresowany na Mincing Lane byłby mnie znalazł — odparł Jessop. — Siedziałem tam przez cały czas, z wyjątkiem krótkiego corocznego urlopu...

— Do licha ciężkiego! Jak ci już to wszystko musi tkwić kością w gardle!

— Przywykłem. Stało się to drugą moją naturą. Straciłbym się, gdyby zasadzono mnie teraz do czego innego. Ostatecznie, zarabiam na kawałek chleba, co nie każdy może o sobie powiedzieć w dzisiejszych czasach.

— Hm... To zależy od tego, czy wystarcza ci twój kawałek chleba. Mnie nigdy mój nie wystarczał. Zawsze dążyłem do smaczniejszego, do takiego, jaki mam teraz na obecnem mojem stanowisku.

— Niektórzy ludzie są jak gdyby urodzeni do powodzenia w życiu — westchnął Jessop. —

— Już w szkole wyprzedzałeś kolegów we wszystkiem. Tkwiło to widocznie w tobie.

— Myślę, że tak — przyznał Van Buren z zadowoloną miną.

Kwitnąca jego twarz była gładko wygolona w celu uwydatnienia regularnych rysów, z których był niemało dumny. Nie spostrzegł jednak, że szybko nabierać zaczął tuszy, co nadawało policzkom jego wyraz ociężałości.

— Cała rzecz wiedzieć, czego się chce — dodał tonem pouczającym — i w jaki sposób osiągnąć to, czego się chce. A jak się nie spuszcza ani na chwilę z oka jednego i drugiego celu, nie może nam się wymknąć żadna nadarzająca się korzystna sposobność. Mnóstwo ludzi traci najlepsze okazje przez niedbalstwo i safandulstwo. Także przez ślepotę. Nie umieją poznać się na najlepszych sposobnościach, które same włażą im w ręce. A tyle jest szans — tylko oczy trzeba mieć szeroko otwarte i sprawne palce, żeby je przytrzymać we właściwej chwili.

Jessop roześmiał się nietyle z filozofji Van Burena, ile z żywego jego sposobu wykładania jej.

Ufność w siły własne, władczy ton głosu, stanowczy, nakazujący ruch ręki — wszystko to było najdokładniejszą kopją przeszłości. Jessop czuł się na nowo magnetycznie pociągnięty do przyjaciela, tak samo, jak ongiś.

— Nic się nie zmieniłeś. Mówisz i dowodzisz zupełnie tak samo jak dawniej — rzekł.

— Nie miałem powodu starać się zmienić. Cała różnica polega na tem, że, będąc chłopcem, jednem okiem tylko patrzyłem w przyszłość, z czasem jednak przekonałem się, że zaledwie oba na to wystarczą.

— Mam na myśli twój sposób mówienia i gestykulowania — wyjaśnił Jessop. Zauważył, że przyjaciel nie zupełnie dobrze go zrozumiał.

— O! — roześmiał się Van Buren. — Źródło zawsze jest to samo. I dlatego sądzę, że mało się zmieniłem także i zewnętrznie.

— Poznałem cię odrazu — przyznał Jessop.

— Nie mogę tego powiedzieć o tobie. Zmarszczki porządnie poorały twoją twarz, mój przyjacielu.

— Tak, nigdy nie byłem Adonisem, w najlepszych nawet czasach — odparł Jessop ze smętnym swoim uśmiechem. — A teraz wyobrażam sobie, że musiałem się stać starem straszydłem. Co mnie to jednak obchodzi? Dawno już wyrosłem z chęci podobania się panienkom.

— O, gamoniu, niedołęgo! Nie masz jeszcze przecież pięćdziesiątki! — zawołał wesoło Van Buren. — Przed tobą jeszcze cała przyszłość otworem. Kpij sobie z tego. Jestem mniej więcej w twoim wieku, a czuję, że stanąłem dopiero na progu życia. Że czeka mnie niejedna jeszcze przygoda. Trzeba się koniecznie rozruszać. Tak długo pleśniałeś w tej naszej dawnej wspólnej budzie, że sam stałeś się jakimś zabytkiem. Musisz wyleźć z tej skorupy, bywać w świecie,

spotykać się z ludźmi, bawić się. Nie pojmuję, jak mogłeś dotychczas wegetować w ten sposób...

— Życie zwróciło się do mnie nie najróżowszą swoją stroną — westchnął Jessop. — Nie miałem też nigdy okazji zaznania tego wszystkiego, o czem mówisz.

— Głupstwa gadasz! — oburzył się Van Buren. Okazje stwarza się samemu. Każdy może stworzyć je sobie. Gdybym chodził po świecie z zamkniętemi oczyma i uszami zatkanemi watą, czy myślisz, że stałbym się tem, czem jestem? Wszystko, co mam i czem jestem, zawdzięczam sobie samemu wyłącznie — od początku do końca.

— Ciekawy jestem, od czego zacząłeś. Jaki był twój pierwszy krok na tej drodze?

— Chętnie ci powiem, chociażby dla pouczenia cię. Czy pamiętasz ów ranek w dniu mojego wyjazdu do Ameryki?

— Trzeci kwietnia? — uśmiechnął się Jessop.

— Przypominasz sobie moje podniecenie spowodu przeczytanego kablogramu, który nasz stary niedołęga Filby rzucił otwarty na podłogę?

— Tak — wzdrygnął się Jessop. — Pamiętam. Doskonale pamiętam.

— Wyraźna wskazówka — stworzenie syndykatu celem wykupienia indygo. Pamiętasz?

Boże! Kraj nasz jest pełen gamoniów. Wyobraź sobie Amerykanina, który zrobiłby coś podobnego! Który nie skupiłby wszystkiego natychmiast, jak tylko otrzymał kablogram! To była zbrodnia ze strony firmy!

— Czekali na wyraźniejsze potwierdzenie wiadomości — starał się Jessop usprawiedliwić swoich szefów.

— Niedołężne, stare baby! Ale dobrze im tak. Grubo zapłacili za swoje niedołęstwo! Stracili najmniej z pół miljona. Na mnie natrafili. Ubiegłem ich. Możesz mi wierzyć, że nie pozwoliłem trawie zarosnąć pod mojemi nogami.

Zatarł z ukontentowaniem ręce i zachichotał na wspomnienie sprytnie urządzonego kawału.

Po plecach Jessopa przeszedł zimny dreszcz.

— Nie pojmuję cię — rzekł. — Co rozumiesz przez to: "ubiegłem ich"?

Van Buren spojrzał na niego rozbawiony.

— Co przez to rozumiem? O głowo do pozłoty! Więc wyobrażasz sobie, że mógłbym może natrafić na taką sposobność i nie skorzystać z niej? Niepoprawny jesteś. Mówię ci, że ich uprzedziłem. Pojechałem prosto z biura do Levisona, w owym czasie nie stał jeszcze nie świeczniku. Mało kto o nim wiedział, z wyjątkiem tych, którzy poznali się na jego wartości i ja do tych należałem. Wiedziałem, że posiada gotówkę, której ja nie miałem.

Pojechałem więc wprost do niego, potargowałem się trochę o wysokość prowizji od przyszłego jego zysku i dzięki temu, znalazłszy się po tamtej stronie oceanu zainkasowałem pięć tysięcy dolarków! Tak, widzisz, chwyciłem okazję za kark!

Jessop oparł się o grzbiet krzesła. Dreszcz, który zrazu przebiegł tylk wzdłuż jego pleców, rozszerzył się na całe ciało. Zimna sieć, utkana z nieskończenie drobnych oczek, dławiła jego serce. Zrazu słowa Van Burena wydały mu się czemś mętnem, niezrozumiałem. Dopiero po kilku chwilach pochwycił ich sens. Wpatrzył się w ogień na kominku i z wyrazem nieopisanego bólu słuchał dalszych słów Van Burena. Ale nie słyszał ich, nie rozumiał.

Nigdy w ciągu tych dwudziestu pięciu lat nie przyszło mu na myśl, aby Van Buren mógł w ten sposób wykorzystać ów kablogram na swój rachunek i z olbrzymią stratą dla firmy. Dlatego też, pragnąc uratować go od hańby i ruiny, wziął wówczas całą winę na siebie. A tymczasem okazuje się, że klęska, którą ściągnął dobrowolnie na swoją głowę, posłużyła Van Burenowi jako podwalina do jego majątku i powodzenia...

Wargi Jessopa drgnęły żałośnie. Dlaczego Bóg pozwolił mu poświęcić życie dla niewartego takiej ofiary człowieka?

Nagle Van Buren przestał mówić i Jessop, jak człowiek budzący się ze snu, odzyskał świadomość i wzdrygnął się jakby z obrzydzeniem.

— Mam nadzieję, że nie znudziłem cię mojem gadulstwem — rzekł Van Buren, zapalając nowe cygaro. — Wszystko to nasunęło mi wspomnienie dawnej wspólnej naszej przeszłości. Boże mój, jak szybko minął czas! Wydaje mi się, że to dopiero wczoraj tak gracko urządziłem naszą firmę Ale, ale, czy pamiętasz Maggie?

— Pamiętam — rzekł Jessop, nie mając odwagi podnieść oczu na przyjaciela.

— Coś mi się zdawało, że nie byłeś obojętny na jej wdzięki? — badał dalej Van Buren.

— Tak... trochę... w samej rzeczy... Sądzisz, że pamięta mnie jeszcze? Przykro mi, że nie mogę jej u ciebie teraz zobaczyć...

— Jakto u mnie? Nie rozumiem cię!

— No, przecież jest twoją żoną... panią Van Buren.

— Moją żoną! A to paradne! Wiesz, w ramki cię oprawić! Skąd ci to na myśl przyszło? Nie, rozumie się, że nie. Ale muszę ci powiedzieć, jak farsowo wszystko się ułożyło. Jak tylko dostałem się do Ameryki, z miejsca zakochałem się w obecnej mojej żonie i oświadczyłem się jej właśnie wówczas, gdy Maggie była już w drodze za ocean, aby połączyć się ze mną węzłem małżeńskim. Byłem w nielada ambarasie. Co tu robić? Przecież nie mogłem zaślubić obu... No, i jak ci się zdaje, przeznaczenie rozwiązało ten trudny do zgryzienia problemat?... Przybywszy do przystani, aby spotkać Maggie, zastałem ją zupełnie tak samo stropioną, jako że podczas podróży i ona także zakochała się w jednym z pasażerów i zaręczyła się z nim! Doskonały kawał! Prawda? Ale co ci się stało, mój drogi? Wyglądasz, jakbyś z tamtego świata wrócił!? Czy ci niedobrze?

Jessop dźwignął się z wysiłkiem z krzesła i patrząc na Van Burena wystraszonemi oczyma, niesamowicie świecącemi na bladej jego twarzy, szepnął:

— Słabo mi... Muszę wrócić do domu. Ciepło tego pokoju, wino... cesarska kminkówka... Nędzarz, taki jak ja, nie jest przyzwyczajony do cesarskiej kminkówki...

Wypowiedział te słowa, zatoczył się i padł zemdlony.

Kiedy następnego dnia Jessop przywlókł się do biura, z trudnością poznali go koledzy. W przeciągu jednego wieczoru, w czasie opowiadania Van Burena postarzał się. pochylił do reszty, do reszty stał się tem, czem był przez całe życie — niedołęgą...

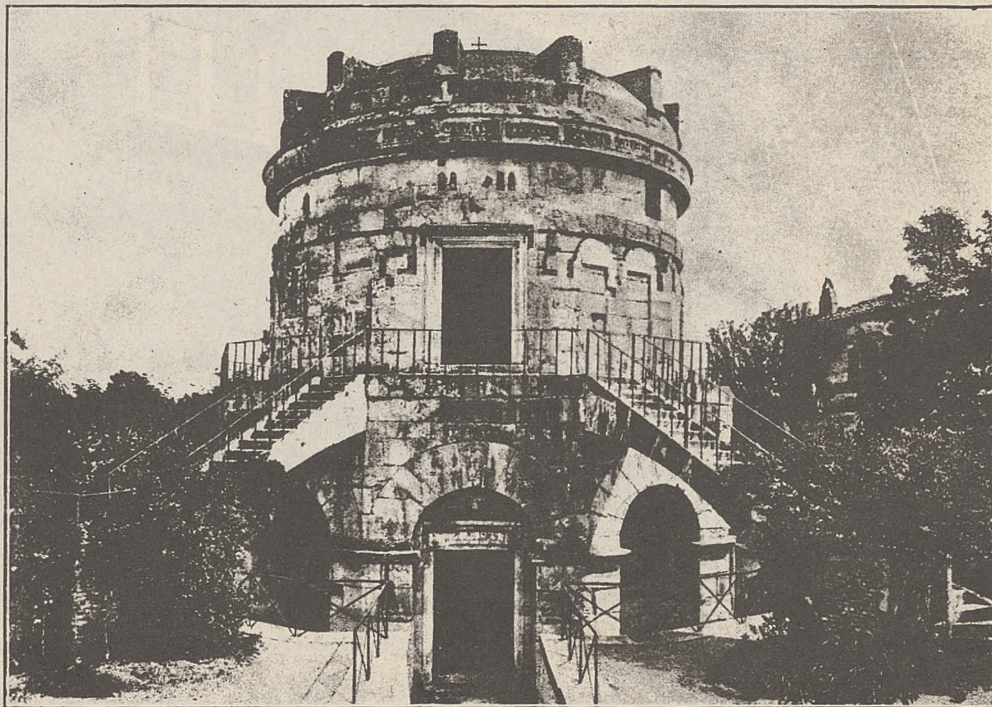
Spojrzenie jego jednak było czyste i jasne, jak czysta była biedna jego, niedołężna dusza.

MIASTO GROBOWCÓW I ŚWIĄTYŃ

MIASTA włoskie są w większej części skarbnicami bezcennych dzieł sztuki starochrześćjańskiej i muzeami zabytków starożytności. Jedne z nich są więcej, inne mniej znane, a wszystkie pociągają ku sobie turystę urokiem dawnej chwały i śladami przeszłości.

Do rzędu miast mniej znanych, a posiadających liczne zabytki z przed wieków, należy Rawenna. Leżąca na uboczu, zdala od głównych szlaków, któremi dążą turyści do Włoch, Rawenna jest miastem umarłem, jak Piza, Pawja lub uczona Padwa.

Na tysiąc lat przed Chrystusem Rawenna była małą osadą grecką nad morzem Adrjatyckiem. Później przeszła pod panowanie Etrusków, poczem dostała się w ręce Rzymian. Cesarz August założył w Rawennie port wojenny, a po śmierci Teodozjusza Wielkiego, który podzielił olbrzymie państwo rzymskie między dwóch synów, Rawenna była stolicą cesarstwa zachodniego. Ostatnim blaskiem chwały opromienił ją król Ostrogotów, Teodoryk Wielki, który zrobił z Rawenny swą rezydencję. Od VI-go wieku zaczął się upadek Rawenny i od tego czasu głucho jest o niej w historji.



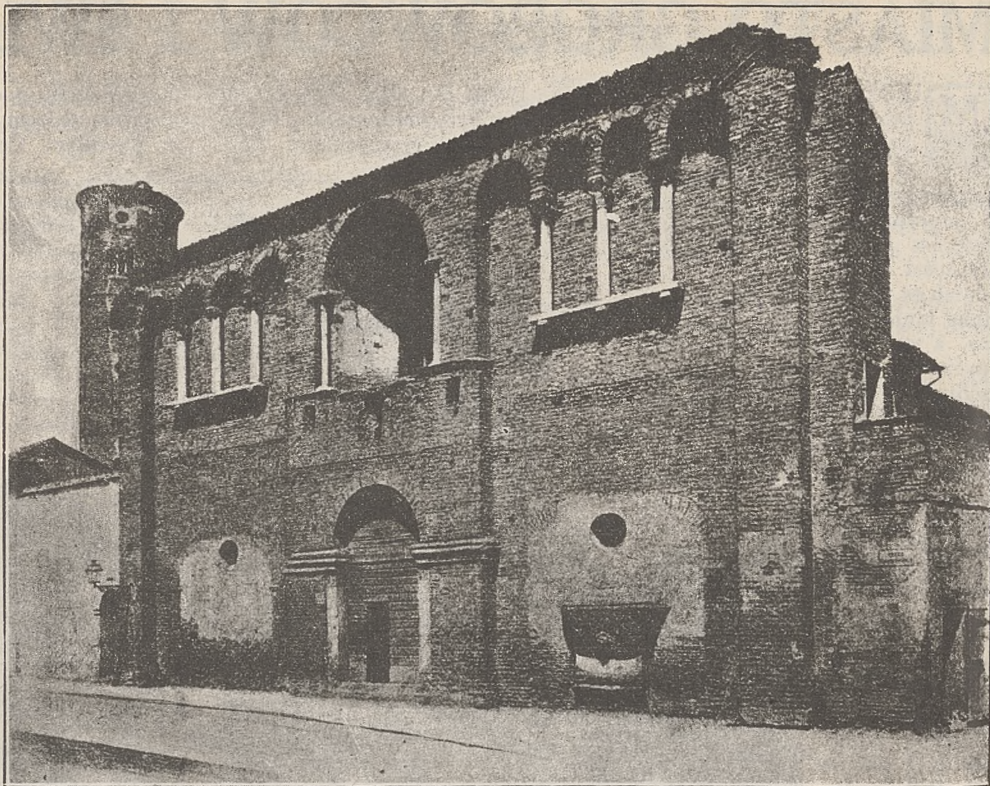
Rawenna. Grobowiec Teodoryka Wielkiego.



Bazylika świętego Apolinarego w Rawennie.

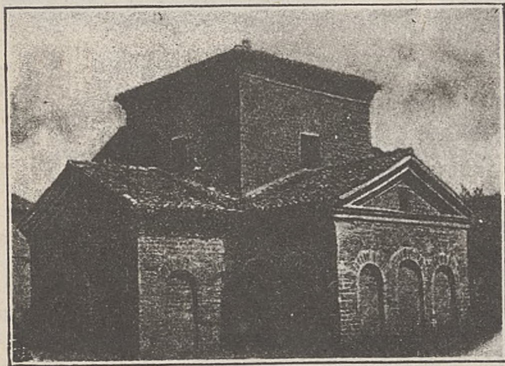
Rawenna leżała niegdyś tuż nad morzem

i posiadała wygodny port, ale z biegiem czasu Adrjatyk zaczął się cofać, piaski zamuliły przystań i dziś Rawenna jest oddalona od morza o kilka mil, a równina, na której leży, coraz więcej staje się bagnem i moczarem.



Rawenna. Ruiny pałacu Teodoryka Wielkiego.

Miasto liczy zaledwie 20,000 mieszkańców do najwyższego stopnia dumnych ze starożytności swej siedziby i pyszniących się licznemi świątyniami i wspaniałemi historycznemi grobowcami. Mieszkańcy Rawenny utrzymują się prawie wyłącznie z tego, co zostawiają w mieście turyści i zwiedzający zabytki starożytności. Starają się też wszelkiemi siłami, żeby najwięcej turystów przybywało i celu tego dosięgają umiejętną reklamą i uczciwem traktowaniem przybywających. Znawcy stosunków w miastach włoskich, zwiedzanych przez turystów, utrzymują, że najmniej zdzierstwa i naciągania obcych napotyka się w Rawennie.



Mauzoleum cesarzowej Galli Placydji.

Najstarszą i największą świątynią Rawenny jest katedra, zbudowana w roku 400-nym i później przebudowana. Oprócz licznych zabytków starożytnej sztuki budowlanej i zdobniczej jest w katedrze raweńskiej grobowiec jednego z arcybiskupów, cały pokryty rzeźbionemi tablicami z kości słoniowej. Obok katedry stoi niewielka, okrągła świątynia, która przed wiekami służyła za chrzcielnicę.

Dalej jest katedra arjańska, zbudowana przez króla Teodoryka w VI-ym wieku, nazwana dziś kościołem świętego Apolinarego. Teodoryk, który przebywał 18 lat w Bizancjum jako zakładnik, zdobył tam ogładę i wykształcenie, ale zarazem przejął wyznanie arjańskie i pozostał przy niem do śmierci.

Córka jego Amalazunta wzniosła mu w Rawennie wspaniałe mauzoleum w kształcie wielkiej okrągłej baszty, którą do dziś można oglądać.

Teodoryk nie dbał widocznie o przepych, gdyż zrujnowany jego pałac w Rawennie był niewielki i wcale nie wyglądał na rezydencję potężnego monarchy.

W przeciwieństwie do świątyń średniowiecznych i renesansowych, jaśniejących zdala od posągów, marmurów i wszelkich ozdób, kościoły w Rawennie odznaczają się surową prosotą. Zato wnętrza olśniewają niebywałym przepychem

Maūzoleum Galli Placydji, zewnątrz niepozorne i skromne, w środku jest wyzłocone jak szkatułka i aż do nadmiaru przeładowane cennemi ozdobami. Dziwne były koleje losu tej córki, siostry i matki cezarów. Alaryk, wódz Ostrogotów, zdobywszy Rzym w roku 410-ym, wziął ją do niewoli i zmusił do prowadzenia swego konia, przy triumfalnym wjeździe do Rawenny. Zmuszona poślubić króla barbarzyńców Ataulfa, w rok powróciła do Rawenny i została żoną Konstancjusza, wodza legij rzymskich. Brat jej, Honorjusz, dał jej tytuł cesarzowej, a po bezpotomnej jego śmierci rządziła państwem rzymskiem w imieniu małoletniego syna, Walentynjana III-go.

Włodzimierz Perzyński

PRZYJACIELSKA PRZYSŁUGA

NOWELA

TOMICKI mówił tak rozentuzjazmowanym tonem, jakby miał do oznajmienia wyjątkowo radosną nowinę.

— Pistolety z muszkami, dwadzieścia kroków, z podwójną wymianą strzałów...

Zbielski wywierał wrażenie najspokojniejszego człowieka pod słońcem. Siedział niedbale rozparty w głębokim klubowym fotelu, powoli palił cygaro i bawił się ciężkim, bronzowym przyciskiem, przedstawiającym sfinksa. Nagle przymknął oczy, otworzył usta i odłożył przycisk na biurko. Uczuł, że mając sfinksa pod ręką, nie wytrzyma i ciśnie nim przyjacielowi w głowę.

— Jestem ci bardzo wdzięczny — odezwał się po chwili.

— Ano, mój kochany, na kogóż mógłbyś liczyć w takich wypadkach, jak nie na mnie. Znamy się przecież od smarkaczy. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak ja to wszystko wziąłem do serca. Słowo honoru, rok życia bym oddał, żebyś tamtego błazna postrzelił i to porządnie tak, żeby kilka miesięcy nie mógł się wylizać.

Zbielski znów poczuł przypływ nienawiści do przyjaciela. Był przesądny i obawiał się, że złe życzenia, słane przeciwnikowi, mogły na niego samego sprowadzić nieszczęście. Żeby się więc zabezpieczyć od uroku, wolał myśleć, że sam dostanie kulkę. Ale ponieważ był bardzo wrażliwy, więc słabo mu się odrazu zrobiło, gdy tylko sobie to wyobraził.

Tomicki pochwycił wyraz nienawiści w jego oczach i, roześmiawszy się wesoło, uderzył Zbielskiego w kolano.

— Wiesz, co mnie tak cieszy?

— Nie — wycedził Zbielski, resztkami siły woli wstrzymując się od wybuchu.

— Miałeś przed chwilą takie spojrzenie, po którem odrazu poznałem, że będziesz stać jak mur. Zacięta z ciebie sztuka. Teraz już jestem spokojny i dlatego mogę ci się przyznać, że bałem się trochę, czy ci nerwy nie odmówią posłuszeństwa.

— Bydlę! — odpowiedział mu w myśli Zbielski, wpijając się kurczowo w poręcz fotelu. Od kilku chwil doznawał dziwnego uczucia. Przyjaciel z dziecinnych lat, który przed nim siedział, wydawał mu się tak obcym, jakgdyby go pierwszy raz w życiu widział. Logiczny bieg myśli przerywało mu wrażenie nieokreślonego zdumienia.

— Skąd ten człowiek się tu wziął? Dlaczego ja z nim rozmawiam?

Tomicki zerwał się nagle na równe nogi. Było w tym ruchu coś pajacowatego. Zdawało się, że nie powstał sam, tylko został przez sprężyny wyrzucony w powietrze. I na ten widok Zbielski uprzytomnił sobie, że od trzydziestu lat jak się znali, Tomicki nie potrafił wykonać żadnego ruchu tak, żeby to nie wyglądało na konwulsyjną drgawkę. Pod wpływem tej refleksji ogarnęła go głucha rozpacz i wściekłość na samego siebie. Przecież to już zdradzało charakter człowieka. I on, warjat, powierzył Tomickiemu poważną sprawę!

— Muszę uciekać! — wykrzyknął Tomicki — wieczorem jeszcze zatelefonuję do ciebie.

— Dobrze.

— A jutro rano, punktualnie o trzy na ósmą jesteśmy.

— Będę gotów. Na Bielany trzeba liczyć z godzinę drogi.

— Tak — odparł krótko Tomicki i po raz pierwszy zabrzmiało w jego głosie coś w rodzaju niezadowolenia.

Po odejściu sekundanta Zbielski zadzwonił na lokajczyka i posłał go do apteki po dwa proszki bromu. Ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania, ale nad zdenerwowaniem i uczuciem ciągłego, łaskoczącego niepokoju górowała głucha złość na głupotę przesądów ludzkich.

Wplątać się w najidjotyczniejszą pod słońcem awanturę. Na przyjęciu u Winterów, gdzie była taka zbieranina, że trzy czwarte zaproszonych osób nie znało się wzajemnie, w pewnej chwili w buduarze obok salonu znaleźli się we czworo: on, pani Ela, pani Marja i niesłychanie dziwaczne i zabawne indywiduum, które obie panie nazywały panem Gosiem. Był to młody człowiek, nieśmiały, niezgrabny i, jak się zdawało, najwidoczniej zawstydzony tem, że jeden jedyny pośród mężczyzn miał na sobie żakiet. Obie panie kpiły z niego bezlitośnie, a pan Goś potulnie słuchał i czasami tylko zdobywał się na jakąś naiwną odpowiedź, którą wybąkiwał przyciszonym głosem. Zbielski dostroił się odrazu do tonu kobiet i mimo, że pierwszy raz w życiu widział owego młodzieńca, zaczął go także odrazu nazywać panem Gosiem i ostrzyć na nim swój dowcip. Paniom widocznie się to podobało, a zwłaszcza pani Marji, o której względy Zbielski zaczynał się ubiegać. Sadził się więc na żarty coraz złośliwsze.

Pan Goś nie umiał mu się odcinać i tylko od czasu do czasu zdradzał niezadowolenie przelotnym grymasem twarzy. Kiedy panie odeszły, zostawiwszy ich samych, pan Goś miał przez chwilę taką minę, jakgdyby chciał prosić Zbielskiego o zmiłowanie. Zbielski zmierzył go pełnem pogardy spojrzeniem. Wtedy pan Goś się zbliżył i chwyciwszy Zbielskiego za ręce z taką siłą, jakiej nie można w nim było się spodziewać, zaczął nim trząść i najokropniej wymyślać, podnosząc głos tak, że to już słychać było w sąsiednim pokoju. Ściągnęło to odrazu do buduaru kilka osób z Tomickim na czele. Trafili na chwilę, gdy pan Goś, puściwszy ręce Zbielskiego, zamierzył się, aby go spoliczkować. Zbielski zdążył odskoczyć, ale obelga została obelgą. Co gorsza, okazało się, że pozornie potulny pan Goś, mimo młodego wieku, zajmował już poważne stanowisko w nauce. Nie można było potraktować go jak niepoczytalnego awanturnika, który wywołał skandal na zebraniu. I pan Goś zresztą ani słuchać nie chciał o przeproszeniu Zbielskiego. Przeciwnie, z logiką uczonego żądał jeszcze, żeby Zbielski go przeprosił.

Sprawy nie udało się polubownie załatwić. Tomicki wziął ją bardzo gorąco do serca.

— Przyjaciel — mruczał ironicznie Zbielski, spacerując gorączkowo po pokoju, — poświęcił się... został w Warszawie, choć miał chorą żonę na wsi, bo takich przysług się nie odmawia. I poprostu robił sobie zabawę z pojedynku. Zamiast mu dodawać ducha do oparcia się przesądom, myślał tylko o tem, żeby wszystko jak najdokładniej urządzić. Prawdziwy przyjaciel starałby się właśnie nie dopuścić do pojedynku. W ostateczności dałby znać policji...

— Policji... — powtórzył w myśli Zbielski, marszcząc nagle brwi. I zatrzymał się w pośrodku pokoju. Znać było, że się nad czemś zastanawia i waha. Trwało to jednak tylko mgnienie oka. Zdecydowanym ruchem podszedł do biurka i szybko zaczął przerzucać kartki książki telefonicznej. Znalazłszy numer, którego szukał, podniósł słuchawkę do ucha, ale odłożył ją, nim jeszcze telefonistka zdążyła się odezwać. Znów namyślał się przez chwilę, poczem ujął słuchawkę i opryskliwym tonem kazał się połączyć z jednym z numerów urzędu śledczego.

— Wydział śledczy — rozległ się w telefonie donośny, gruby głos.

— Kto mówi?

— Dyżurny przodownik.

— Proszę pana — odezwał się przyciszonym bezwiednie głosem Zbielski — ja chciałem donieść, że jutro o pół do dziewiątej rano w okolicach Warszawy, na Bielanach, ma się odbyć pojedynek.

Przy ostatnich słowach Zbielski rozejrzał się trwożliwie dokoła, chociaż wiedział, że nikt go nie mógł podsłuchiwać.

— A kto to mówi? — zapytał przodownik.

Zbielski się zawahał. Przyszło mu na myśl, że bezimienne doniesienie policja mogłaby zlekceważyć. Wahanie jego nie trwało jednak nawet pół sekundy.

— Mówi obywatel ziemski Tomicki — odparł drżącym cokolwiek głosem. — Oczywiście nazwisko tylko dla informacji panów. Ale ponieważ dowiedziałem się o tem zajściu, więc uważam za swój obywatelski obowiązek, żeby zameldować. Warunki pojedynku są bardzo ostre, może zakończyć się śmiertelnie, panowie nie powinni dopuścić.

— Zna pan nazwiska tych, którzy się mają pojedynkować?

Zbielskiego niemile dotknął suchy i obojętny ton głosu przodownika. Spodziewał się trochę żywszego zajęcia swoją informacją.

— Jeżeli oni wszystkie sprawy tak traktują... — pomyślał z rozgoryczeniem i rzekł cokolwiek podniesionym głosem: — Ma się rozumieć, że znam. Inaczej nie dzwoniłbym do panów.

I wymienił swoje nazwisko i pana Gosia, dorzucając jeszcze dla wszelkiej pewności adresy.

— Zamelduję komisarzowi — odparł niezmiennie obojętnym tonem przodownik.

Zbielskiego aż podrzuciło przy telefonie ze złości.

— Ale pan nie wie, gdzie ma być pojedynek! — wykrzyknął, nie mogąc już zapanować nad zdenerwowaniem i zaraz się przestraszył, że tem objaw złego humoru mógł zniechęcić do niego przodownika. Na szczęście policjant z jednakowym spokojem traktował wszystkie odcienie uczuć Zbielskiego.

— A gdzież ma być? Przecież mówił pan przed chwilą, że na Bielanach.

— Aha, powiedziałem. Nie pamiętam — zaczął się tłumaczyć zawstydzony Zbielski. Odszedł od telefonu w nieokreślonym stanie ducha, na który się składały powikłane uczucia zadowolenia i wstydu. Ale bardzo szybko zadowolenie zapanowało nad wstydem. Był pewien, że już do pojedynku nie przyjdzie. Wieczorem zapewnił Tomickiego, który według obietnicy telefonował do niego, że jest w jak najlepszym humorze i mówił szczerą prawdę. Był rzeczywiście w doskonałym humorze. Rano Tomicki uściskał go z radości.

— Nie spodziewałem się, że będziesz miał tak świetną minę. Zuch z ciebie! Tfu, tfu, tfu, żeby nie urzec, ale jestem pewien, że tamten dostanie.

Zbielski nie uczuwał już przesądnego lęku. Szybko zeszli na dół do samochodu, w którym oczekiwał lekarz i drugi sekundant. Zbielski zaimponował wszystkim dobrym humorem. Widać było, że to nie jest nadrabianie miną ani fanfaronada, ale prawdziwy dobry humor, na jaki tylko zupełnie spokojny człowiek może się zdobyć, Tomicki uśmiechał się triumfująco do drugiego sekundanta i lekarza.

— A co? Nie mówiłem, że dzielny chłop z niego!

— Zajęty rozmową Zbielski nie zwracał uwagi na okolice, przez które jechali. Nagle jednak spojrzawszy machinalnie przez okno, doznał wrażenia, że droga, którą jechali nie prowadziła na Bielany.

— Jak my jedziemy? — zwrócił się zaniepokojony do Tomickiego.

— Dobrze.

— Ale to jest droga do Wilanowa!—wykrzyknął Zbielski, pochylając się gorączkowo ku oknu.

— Tak. Zmieniliśmy miejscowość. Będziecie się strzelali w lasach wilanowskich.

Zbielski oniemiał. Po dłuższej chwili dopiero zdołał wykrztusić:

— Dlaczego?

—Widzisz — odparł poważnie Tomicki — ja mam dziwny jakiś przesąd co do Bielan. Pamiętam kilka pojedynków, które się tam odbywały i wszystkie kończyły się nieszczęśliwie. To mi nie dawało spokoju. Gdyby cię, broń Boże, spotkało co złego, do końca życia miałbym wyrzuty sumienia. Dlatego wczoraj wieczorem przeprowadziłem jeszcze to, że zmieniliśmy teren.

— Wczoraj wieczorem — powtórzył głucho Zbielski. — A dlaczegoś ty mi o tem nie zatelefonował?

— Bo ty nie jesteś przesądny. Byłbyś mnie wyśmiał i uparł się przy Bielanach. Co ci się stało? — dorzucił, spoglądając niespokojnie na Zbielskiego.

— Nic — odburknął opryskliwie Zbielski .

Ale wyglądał jak człowiek, któremu grozi apopleksja. I nagle odwrócił się gwałtownie i wychylił głowę przez okno. Chciał uniknąć dalszych rozmów i pytań. Był zresztą prawie nieprzytomny z oburzenia.

— Przyjaciel! Serdeczny przyjaciel z dziecinnych lat! — huczało mu w mózgu.

Przez sekundę czepił się myśli, że przecież i on także miał prawo być przesądnym. Mógł się uprzeć co do Bielan, skoro było postanowione, że mieli się strzelać na Bielanach. Już cofał głowę, żeby wszcząć tę kwestję, ale zdjął go lęk, że upierając się teraz przy Bielanach, samby się wobec wszystkich zdradził. Zaczął więc w duszy przeklinać policję. Przecież powinni byli stać przed domem. Na to podał im adres. Powinni byli wpaść do mieszkania, związać go. Zamknąć w areszcie. Wszędzie na Zachodzie w cywilizowanych krajach takby napewno policja postąpiła.

Samochód zatrzymał się nagle.

— Stąd już niedaleko — odezwał się Tomicki.

Zbielski ogarnął wzrokiem szmat pola, dzielący ich od lasu i pomyślał, że było bardzo daleko, zwłaszcza, gdy wyobraził sobie, że za pół godziny mogli go okrwawionego nieść tą samą drogą. Wściekły ruszył naprzód, nie oglądając się na towarzyszów. Droga biegła między plantem kolejki i podobnem do długiego wału wzgórzem. Powietrze było niesłychanie świeże i czyste. Szaro-zielony wiosenny pejzaż, rozświetlony białym puchem kwitnących krzaków tarniny, rozbudził nagle w pamięci Zbielskiego jakieś podobne obrazy z dziecinnych lat. I nieznacznie splunął trzy razy. Dziecinne wspomnienia w tej sytuacji wydały mu się bardzo złą wróżbą.

Tomicki przyśpieszył kroku i zrównał się z nim.

— Panuj nad nerwami.

Zbielski miał ochotę go kopnąć. Na szczęście Tomicki skręcił odrazu w bok, zobaczywszy wśród drzew przeciwników, którzy już byli na miejscu.

Zbielski spojrzał na pana Gosia i zdał sobie sprawę, że z zupełnie innem uczuciem brałby pistolet do ręki, gdyby nawprost niego stał nie Goś, a Tomicki. Całą duszę wtedy by włożył, żeby zastrzelić tego łajdaka. I czuł, jakby w jakimś momencie jasnowidzenia czuł, że trafiłby go.

Niemrawy pan Goś wydał mu się w tej chwili nawet sympatycznym. Bezwątpienia był rozumnym człowiekiem i gdyby nie Tomicki, na pewno znalezionoby jakąś inną formę satysfakcji. Ale Tomicki urządzał sobie zabawę z pojedynku. Zbielski odwracał oczy, żeby go nie widzieć. Było to jednak trudne, bo Tomicki niewiadomo poco rzucał się i biegał po całej polance. Wciąż jak pajac wyskakiwał w innem miejscu.

Zbielski nagle uczuł, że mu się nerwy uspokoiły zupełnie. Nie odwracał już oczu od Tomickiego. Przyglądał mu się natarczywie z zimną, aż rozkosz mu sprawiającą nienawiścią. Automatycznie stanął na pozycji.

Usłyszał, jak Tomicki zaczął komenderować podnieconym, zhisteryzowanym głosem:

— Raz... dwa...

I potem krótki krzyk. Tomicki nie zdążył dokończyć komendy, bo upadł, trafiony kulą Zbielskiego.

— Masz, łajdaku, pojedynek — mruknął Zbielski.



Warszawa.—Kościół Wizytek.

A. Czechow

PO OMACKU

HUMORESKA

NIEWIELKA mucha dostała się do nosa podprokuratora, radcy dworu Gagina. Gnana wściekłością czy lekkomyślnością zwykłej muchy, czy też poprostu przypadkiem, dostała się do podprokuratorskiego nosa dlatego, że w pokoju było ciemno, dosyć, że spory w rozmiarach narząd powonienia nie mógł znieść obecności obcego ciała i dał sygnał do kichania. Podprokurator Gagin więc kichnął raz i drugi, a kichnął tak serdecznie, z przeraźliwym świstem i sykiem, że aż drgnęło łóżko, wydając długi jęk zaniepokojonej sprężyny.

Małżonka podprokuratora, Marja Michajłowna, rosła, pełna blondynka, również drgnęła i obudziła się. Spojrzała zaspanemi oczyma w ciemną przestrzeń pokoju, westchnęła i przewróciła się na drugi bok. Poleżała chwilę. Po kilku minutach przewróciła się raz jeszcze, mocniej przymknęła powieki i usiłowała usnąć, ale sen jakoś nie wracał. Znów westchnęła, znów się przewróciła z jednego boku na drugi. Wreszcie podniosła się, przelazła przez męża, jako że spała od ściany, włożyła pantofle i podeszła do okna.

Na dworze było ciemno zupełnie. Przebijały tylko niewyraźnie sylwetki drzew i dachy zabudowań. Wschód nieco przybladł, lecz i tę bladość usiłowały zakryć nadciągające chmury. Dokoła, w sennem i spowitem w gęstniejącą mgłę powietrzu panowała cisza. Milczał nawet stróż nocny, który otrzymywał pieniądze za naruszanie ciszy nocnej pukaniem lub nawoływaniem; milczał derkacz, jedyne stworzenie, które nie stroniło od sąsiedztwa miejskich letników.

Ciszę przerwała nagle małżonka podprokuratora, tajnego radcy dworu, Marja Michajłowna. Patrząc przez okno na podwórze głośno krzyknęła. Miała wrażenie, że od strony ogródka, składającego się z kilku suchotniczych, poobłamywanych topólek. przekradła się jakaś ciemna postać. W pierwszej chwili myślała, że to krowa lub koń. Przetarłszy jednak oczy, zaczęła zupełnie wyraźnie rozróżniać sylwetkę ludzką. Potem zdawało jej się, że ciemna postać podeszła do kuchennego okna, w niepewności chwilę się zatrzymała i, oparłszy nogę o występ w murze, przedostała się do ciemnego otworu okna.

— Złodziej... — przemknęło jej przez myśl.

Twarz jej okryła się trupią bladością.

W jednej chwili w jej wyobraźni stanął obraz, którego tak bardzo lękają się zawsze letnicy: złodziej włazi do kuchni, z kuchni do jadalni... srebrna zastawa stołowa w szafie... dalej siekiera... sypialnia... rozbójnicza twarz... biżuterja... Ugięły się kolana pod Marją Michajłowną i ciarki przeszły po ciele.

Podbiegła do łóżka.

— Wasia! — szarpnęła męża. — Wasia! Ach, Boże święty, śpi jak zabity! Obudźże się bałwanie!

— M-m-m-phhh — stękał prokurator, nabierając powietrza i mlaskając ustami.

— Obudź się, na rany Chrystusa! Do kuchni naszej zakradł się złodziej! Stałam przy oknie i widziałam, że ktoś włazi do kuchni! Z kuchni przedostanie się do stołowego, a tam srebrne łyżki w kredensie! Bazyli! Do mieszkania Wiery Jegorowny w zeszłym roku także się zakradli...

— Co... kto... czego!

— Chryste Panie! On nie słyszy! Zrozum-że jołopie, że przed chwilą widziałam, jak do naszej kuchni właził jakiś człowiek. Pelagja zlęknie się i... srebro jest w kredensie!

Podprokurator rozbudził się. Siadł na łóżku i wytrzeszczył oczy na małżonkę. Kilka razy łypnął powiekami, ziewnął i kładąc się na nowo, rzekł:

— Bzdury!

— Bazyli! To nie do zniesienia! Ja ci mówię o niebezpieczeństwie, a ty chcesz znów spać i chrapać! Czegoż ci jeszcze trzeba? Chcesz, żeby nas okradli i pozarzynali!

Podprokurator podniósł się powtórnie, usiadł na łóżku i żaczął przeraźliwie ziewać.

— Co za ludzie, do pioruna! — mruknął. — W nocy nawet człowiekowi nie dadzą spokoju. O byle głupstwo budzą...

— Ależ, przysięgam ci, Bazyli, że na własne oczy widziałam, jak ktoś właził przez okno do kuchni!

— No i co z tego? Niech sobie włazi. Z pewnością do Pelagji przyszedł jej strażak.

— Co-o-o-o! Coś ty powiedział?!

— Powiedziałem, że to do Pelagji przyszedł jej strażak.

— Tem gorzej! — krzyknęła Marja Michajłowna. — To gorsze, niż złodziej! Ja w swoim domu nie zniosę... cynizmu!

— Co za cnotliwość, pomyślałby kto!... Nie zniosę cynizmu... Czy to jest cynizm? Po cóż to, ni przypiął, ni przyłatał, pakujesz zagraniczne wyrazy, których znaczenia nie rozumiesz? Od początku świata dzieje się tak, kochanie; to jest uświęcone tradycją. Od tego jest strażakiem, żeby do kucharek chodzić po nocach.

— Co to — to nie, Bazyli. Nie znasz mnie widać! Nie mogę nawet spokojnie pomyśleć o tem, żeby w moim domu takie... coś... W tej chwili idź mi do kuchni i każ mu się wynosić! Ale w tej chwili! A jutro powiem Pelagji, żeby mi się więcej nie ważyła na takie bezeceństwa. Coś podobnego! Po mojej śmierci możecie sobie na takie cynizmy pozwalać, ale teraz ani mi się ważcie! A teraz idź-że do kuchni!

— Psiakr... — bąknął wściekły podprokurator, tajny radca dworu, Bazyli Gagin. — Słuchaj, osądź-że swoim ptasim, babskim mózgiem: po kiego licha ja tam pójdę?

— Bazyli... mdleję... mdleję!

Gagin splunął, włożył pantofle, jeszcze raz splunął i poszedł do

kuchni. Ciemno było, że choć oko wykol. Podprokurator musiał więc posuwać się po omacku. Po drodze namacał drzwi pokoju dziecinnego i obudził niańkę.

— Wasyliso! — zwrócił się do niej — wzięłaś wieczorem mój szlafrok do czyszczenia. Gdzież go podziałaś?

— Oddałam, proszę jaśnie pana, Pelagji.

— Cóż to za porządek! Zabierają, a na swoje miejsce nikt nie położy. Łaź-że teraz po nocy bez szlafroka!

Wszedłszy do kuchni skierował się wprost do miejsca, gdzie na kufrze, pod półką z rondlami, sypiała kucharka.

— Pelagjo! — zawołał na nią, namacawszy ramię i szturgnąwszy ją. — Hej, Pelagjo! No, czego udajesz? Przecież nie śpisz! Kto przed chwilą właził do ciebie przez okno?

— Mmm... Przez okno... A kto miał włazić? — mruczała Pelagja.

— No, no... niema co oczu mydlić! Powiedz lepiej swojemu chłystkowi, żeby się stąd natychmiast wynosił, póki ma kości całe! Słyszysz? On tu nie ma nic do roboty!

— A niech-że się pan przeżegnają! Masz ci... Głupią znaleźli... Cały boży dzień człek tyra jak opętany, biega, lata jak ten wściekły pies, spokoju mu nie dadzą, a w nocy jeszcze budzą i z takiemi słowami... Za cztery ruble na miesiąc, na własnym cukrze i herbacie, a oprócz takich, za przeproszeniem, świńskich słów, nic dobrego od nikogo nie usłyszysz! U kupców byłam, a takiego wstydu nie miałam...

— Ty... ty... nie udawaj mi tu niewiniątka! W tej chwili żeby mi twojego strażaka nie było! Słyszałaś?

— Jak się pan Boga nie boją! — zapierała się Pelagja, a w głosie jej dały się odczuć zły. — Państwo wykształcone... ślachetne to, a nie mają zrozumienia, że juścić przy naszej biedzie... przy ciężkiem życiu naszem...

Rozbeczała się na dobre.

— Można nas krzywdzić. Nie ma się kto za krzywdę ująć — jęczała dalej.

— No, no... mnie przecież wzystko jedno! Mnie tu pani przysłała. Dla mnie możesz sobie samego djabła wpuścić przez okno, nic mnie to nie obchodzi, ale pani...

Podprokuratorowi nie pozostawało nic innego, jak przyznać się, że nie miał w tym wypadku racji i wrócić do oczekującej nań połowicy.

— Słuchaj-no, Pelagjo — dodał jeszcze, — tyś brała mój szlafrok do czyszczenia. Gdzież on jest?

— Ta jest, proszę pana, przepraszam, zapomniałam położyć go na krzesełku przy łóżku. Wisi tam na gwoździu koło pieca...

Podprokurator omackiem znalazł wiszący koło pieca szlafrok i cichutko wrócił do sypialni.

Małżonka jego, po wyjściu męża, położyła się do łóżka i czekała. Jakieś dwie minuty leżała spokojnie, potem jednak zaczął ją dręczyć niepokój.

— Tak długo nie przychodzi! — pomyślała. — Dobrze, jeżeli tam jest tylko ten... cynik, no, a jeżeli złodziej?

Bujna wyobraźnia znowu nasunęła jej straszny obraz: mąż wchodzi do ciemnej kuchni... dostaje obuchem siekiery w głowę... umiera, nie wydając nawet jęku... kałuża krwi...

Upłynęło pięć minut, pięć i pół, wreszcie sześć... Zimny pot wystąpił na jej czoło.

— Bazyli! — zapiszczała w najwyższem przerażeniu. — Bazyli!

— Czego się drzesz? Jestem... — usłyszała głos i kroki męża. — Zarzynają cię, czy co?

Podprokurator podszedł do łóżka i siadł na krawędzi.

— Nikogo tam niema — powiedział. — Przyśniło ci się... Nie bój się, twoja durna Pelagja jest tak samo cnotliwa, jak i jej pani. Ależ tchórz z ciebie!...

Zaczął sobie pokpiwać z żony. Tak się rozbawił, że spać mu się odechciało.

— Ależ tchórz z mojej żony... kpił śmiejąc się. — Jutro zaraz idź do doktora, niech cię wyleczy z halucynacji. Psychopatka jesteś!

— Dziegciem czuć... — przerwała mu żona. — Dziegciem, albo czemś w rodzaju cebuli... barszczem.

— Hm... tak... Jest coś takiego w powietrzu istotnie... Sen mnie odleciał! Wiesz co? Zapalę świecę. Gdzie są zapałki? Przy tej sposobności pokażę ci fotografję prokuratora izby sądowej. Wczoraj żegnał się z nami i każdemu ofiarował swoją podobiznę z własnoręcznym podpisem.

Gagin potarł zapałkę o pudełko i zapalił świecę. Ale zanim jeszcze zrobił jeden krok by pójść po fotografję owego prokuratora izby sądowej, usłyszał za sobą przeraźliwy krzyk. Obejrzawszy się, zobaczył dwoje wielkich, zwróconych na siebie oczu żony, w których malowało się zdumienie, przerażenie, gniew i oburzenie.

— Tyś zdejmował w kuchni swój szlafrok? — zapytała go, blednąc.

— Bo co?

— Spójrz na siebie!

Podprokurator, tajny radca dworu, Gagin, spojrzał i jęknął. Zamiast szlafroka, miał na sobie... płaszcz strażacki...

Skąd on się na nim wziął? Podczas gdy starał się rozwiązać zagadkę, w wyobraźni żony powstał nowy obraz straszny, nie nadający się do pomyślenia: mrok, cisza, szept... szelest i tak dalej i tak dalej...

KAZIMIERZ PRZERWA TETMAJER.

POZDROWIENIE

Z ponad wiślanych leci fal
Wiosenny chłodny wiatr,
Leci ku mojej ziemi wdal,
Ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! Nad wzgórza, pola nieś
Me pozdrowienie stąd,
Rodzinną moją pozdrów wieś
I dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków las,
W ogródkach każdy kwiat,
I wszystkie łąki pozdrów wraz,
I ludzi z wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróć,
Ku stawom, halom gnaj,
I pozdrów mi po tysiąckroć
Mój cały górski kraj!

Guy de Maupassant

KULASKA

NOWELA

TAKŻE dziwne są te dawne wspomnienia, ścigające człowieka bezustannie, że niepodobna im się opędzić...

To, o którem chcę mówić, jest tak stare, że pojąć wprost nie mogę, jak zdołało tak żywe i uporczywe przechować się w mej pamięci. Ot owych czasów widziałem tyle rzeczy ponurych, wstrząsających i okropnych, że się zdumiewam, dlaczego nie mija ani jeden dzień, by stara Kulaska nie jawiła mi się przed oczami, jaką ją znałem ongi, dawno, bardzo dawno temu, gdy miałem lat dziesięć czy dwanaście.

Była to stara szwaczka, która raz tygodniowo, każdego wtorku przychodziła naprawiać bieliznę u moich rodziców. Rodzice mieszkali w jednym z tak zwanych zamków wiejskich, będącym poprostu domem staroświeckim, o śpiczastym dachu. Do domu tego należały cztery pobliskie folwarki.

Wieś, bardzo rozległa, ciągnęła się na przestrzeni kilkuset metrów, stłoczona przy kościele z czerwonych cegieł, zczerniałych pod wpływem czasu.

Otóż każdego wtorku stara Kulaska przychodziło koło siódmej rano i natychmiast wchodziła na poddasze do szwalni, by zabrać się do roboty.

Była to kobieta wysokiego wzrostu, chuda, brodata, a raczej włochata, gdyż całą twarz miała owłosioną, począwszy od brody, uderzającej na pierwszy rzut oka, która porastała nieprawdopodobnemi kępkami, jakby szaleniec jakiś rozsiał je po całej tej ogromnej twarzy kobiety, podobnej raczej do żandarma w spódnicy. Kępki te wyrastały jej na nosie, pod nosem, koło nosa, na policzkach; rzęsy jej, niezwykle grube i długie, całkiem siwe, krzaczaste, zjeżone, najzupełniej sprawiały wrażenie wąsów, umieszczonych przez pomyłkę na niewłaściwem miejscu.

Kulała mocno, nie tak, jak zwykle kuleją kalecy, chwiała się raczej, jak okręt zarzucający kotwicę. Gdy na zdrowej swej nodze opierała ogromny korpus, kościsty i rozchwiany, zdawało się, że się rozpędza, by skoczyć na jakąś falę potworną, poczem nagle zanurzała się, jakby miała zniknąć w otchłani czy zapaść się w ziemię. Chód jej przypominał burzę, tak się kołysała za każdym krokiem, a głowa, przybrana zawsze w ogromny biały czepec o wstążkach fruwających po plecach, zdawała się za każdym ruchem przecinać widnokrąg od południa ku północy i od północy ku południu.

Ja uwielbiałem starą Kulaskę. Zaraz z rana co prędzej biegłem do szwalni, gdzie zastawałem ją przy szyciu, z fajerką pod nogami. Skoro tylko wszedłem, zmuszała mnie, bym siadał nad tą fajerką, mającą chronić mnie od przeziębienia w tej dużej, chłodnej izbie na poddaszu.

— Inaczej byś ty skrepnął — mawiała.

Opowiadała mi bajki i historje, ani na chwilę nie przestając naprawiać bielizny długiemi palcami, pokrzywionemi lecz zręcznemi; oczy jej z poza powiększających okularów, gdyż skutkiem lat podeszłych miała wzrok osłabiony, wydawały mi się jakieś olbrzymie, dziwnie głębokie, jakby podwójne.

O ile mogę sobie przypomnieć historje, które mi opowiadała, do głębi poruszając dziecięceme serce, była ona kobietą prostoduszną, o sercu wspaniałomyślnem. Widziała wszystko, w zarysach wielkich i prostych. Opowiadała mi zdarzenia wiejskie, o krowie, która uciekła ze stajni, a którą odnaleziono nazajutrz przed młynem Prospera Maleta, zapatrzoną w obracające się skrzydła wiatraku, albo o jajku w dzwonnicy kościelnej, zniesionem tam przez niewiadomo jakiego ptaka, albo o psie Jana Pilosa, co w odległości dziesięciu mil szukał spodni swego pana, skradzionych rzekomo przez jakiegoś włóczęgę, gdy spodnie te suszyły się najspokojniej przed domem po deszczu.

Pewnego wtorku, spędziwszy cały ranek na słuchaniu historyj starej Kulaski, poszedłem ze służącym zbierać orzechy w pobliskim lasku, poczem nów chciałem wrócić do szwalni. Pamiętam to wszystko tak dokładnie, jakby się działo wczoraj.

Aż tu, otworzywszy drwi poddasza, ujrzałem starą szwaczkę na ziemi, obok krzesła, twarzą do podłogi, z ramionami wyciągniętemi, trzymającą jeszcze w jednej ręce igłę, a w drugiej moją koszulę. Jedna z jej nóg, prawdopodobnie ta dłuższa, w błękitnej pończosze, wysunęła się z pod krzesła, a okulary potoczyły się daleko od niej, aż pod ścianę.

Uciekłem, wydając przeszywające krzyki. Zbiegli się ludzie i po upływie paru minut dowiedziałem się z żalem, że stara Kulaska umarła nagle.

Nie potrafiłbym wyrazić tego wzruszenia głę-

bokiego, bolesnego, strasznego, jakiem ścisnęło się moje dziecinne serce. Drobnemi kroczkami zszedłem do salonu i ukryłem się w ciemnym kącie, w głębi olbrzymiego staroświeckiego fotelu, na którym płakałem klęcząc. Musiałem tam być bardzo długo, gdyż wyszedłem stamtąd dopiero późnym wieczorem.

Wniesiono nagle lampę, lecz nie dostrzeżono mnie, a rodzice zaczęli rozmawiać z lekarzem, którego poznałem po głosie.

Zawezwano go bowiem jak najszybciej, a on wytłumaczył bezpośrednią przyczynę wypadku. Nic z tego zresztą nie rozumiałem. Następnie usiadł, by wypić kieliszek likieru z biszkoptami.

Ciągle przytem mówił, a słowa jego wyryły mi się w pamięci i nie zatrą się do końca życia. Zdaje mi się, że dosłownie prawie potrafię powtórzyć to, co wówczas powiedział.

— Ach — mówił poprostu — biedna kobieta! Była moją pierwszą pacjentką w tej miejscowości. Złamała nogę w dzień mego przybycia tutaj, bo nie miałem jeszcze czasu do obmycia rąk po podróży, gdy mnie zawezwano w sprawie nagłej i niebezpiecznej.

Miała wówczas lat siedemnaście i była bardzo ładną dziewczyną. Nieprawdopodobne, hę? Co do jej historji, to nigdy jej jeszcze nie opowiedziałem nikomu i z wyjątkiem mnie i jeszcze jednego człowieka, którego zresztą od dawna niema już w kraju, nikt jej nie zna. Teraz, gdy zmarła, z czystem sumieniem mogę wszystko opowiedzieć.

Otóż owego czasu mieszkał we wsi młody pomocnik nauczyciela, młodzieniec o ładnej twarzy i zgrabnej postawie wojskowego. Wszystkie dziewczęta za nim biegały, a on udawał nieprzystępnego, głównie z obawy przed swym zwierzchnikiem, ojcem Grabu, który często bywał w kwaśnym humorze.

Wówczas już piękna Hortensja, którą po owym nieszczęśliwym wypadku przezwano Kulaską, zajęta była u ojca Grabu jako szwaczka. Młody nauczyciel zaczął oczkować z piękną dziewczyną, której niewątpliwie pochlebiało, że ten niezwyciężony młodzieniec ją jednak wyróżnił. Bądź co bądź, pokochała go i pewnego dnia wieczorem po ukończonej robocie, wyznaczyła mu pierwszą schadzkę na strychu szkolnym.

Udała więc, że odchodzi jak zwykle do domu, lecz zamiast zejść z piętra, wbiegła na strych, by się ukryć w sianie i tam czekać na kochanka. Stawił się rychło na miejscu schadzki i zaczął właśnie zawracać jej głowę, gdy drzwi od strychu otwarły się nagle i w nich ukazał się kierownik szkoły, pytając:

— Co pan tam robi, panie Zygmuncie?

Widząc się prawie schwytanym, młody nauczyciel, całkiem ogłupiały, wyjąkał:

— Wszedłem tu, by odetchnąć trochę na sianie, panie Grabu.

Strych był bardzo obszerny i całkiem ciemny, więc Zygmunt pchnął przerażoną dziewczynę wgłąb, szepcąc:

— Usuń się, ukryj! Mogę stracić posadę... skryj się, uciekaj!

Kierownik szkoły, posłyszawszy szept, spytał ponownie:

— Z kim pan jest na strychu?

— Sam, panie Grabu, zupełnie sam...

— Nieprawda. Wszak pan mówił do kogoś.

— Ależ przysięgam panu, że jestem sam.

— Zaraz się o tem przekonam — odparł stary i zamknąwszy drzwi strychu na klucz, poszedł do mieszkania po świecę.

Wówczas młody człowiek, tchórz, jak to często się zdarza, całkowicie stracił głowę i wpadłszy w nagły gniew, powtarzał:

— Ukryjże się, żeby cię nie znalazł. Przez ciebie stracę chleb... zniszczysz mi całą przyszłość... Ukryj-że się do licha... Przez ciebie...

Znów klucz zgrzytnął w zamku.

Hortensja podbiegła do okienka, wychodzącego na ulicę i, otworzywszy je szybko, rzekła głosem cichym lecz stanowczym:

— Przyjdziesz mnie podnieść, gdy on odejdzie...

I wyskoczyła.

Ojciec Grabu nie znalazł nikogo i wrócił do siebie mocno zdziwiony.

W piętnaście minut później młody nauczyciel przyszedł do mnie i opowiedział mi swoją przygodę. Dziewczyna leżała pod ścianą domu, nie mogąc się podźwignąć. Wszak skoczyła z drugiego piętra. Deszcz lał jak z cebra, gdy przenosiliśmy nieszczęśliwą do mego mieszkania. Miała prawą nogę złamaną w trzech miejscach tak strasznie, że kości, rozszarpawszy ciało, przedostały się nazewnątrz. Nie skarżyła się, powtarzając tylko z rezygnacją:

— Jestem ukarana, jestem ukarana!

Zawezwałem ludzi do pomocy, a także rodziców dziewczyny, którym opowiedziałem zmyśloną na prędce bajkę, że wóz ją przejechał i okulawił przed mojem mieszkaniem.

Uwierzono, a żandarmerja przez cały miesiąc napróżno szukała sprawcy nieszczęśliwego wypadku.

Oto i wszystko! A ja nie waham się powiedzieć, że ta kobieta była bohaterką, z rodzaju tych, co spełniają najpiękniejsze czyny historyczne.

Była to jedyna jej miłość. Umarła dziewicą. To prawdziwa męczennica, wielka dusza, wzniosła ofiarnica! I gdybym nie żywił dla niej tak głębokiego szacunku, nie byłbym państwu opowiedział tej historji, o której za życia jej, z przyczyn łatwo zrozumiałych, nie wspominałem nikomu.


Lwów—Fontanna Neptuna na rynku lwowskim.

Zdzisław Kleszczyński

DIADEM

NOWELA

ŚLUB Leszka Szczerby! Któż tego nie pamięta!

Warszawskie Quartier Latin, Montmartre etc. (wymawia się twardo: "Mała Ziemiańska") szaleje. Dwunastu literatów mniejszych i czterech większych, ponadto malarzy pięciu, karykaturzystów dwóch, jeden rzeźbiarz, jeden architekt, jeden muzyk, jeden ginekolog — cała cyganerja warszawska — szlocha!

— Szkoda Leszka!

Prócz cyganerji szlocha żywioł niewieści...

— Szkoda Leszka!

Bo Leszek Szczerba się żeni. Nieodwołalnie. O szóstej popołudniu. U Karmelitów. Z kobietą! To znaczy, z panną. Autentyczną. Z dobrego domu. Bez posagu. Bez grosika. Nadomiar złego, ładna...

— Czy nic już nie da się zrobić?

Kajetan — Hannibal Bizoński, futurysta, najbliższy przyjaciel Leszka macha beznadziejnie ręką:

— Mat.

Ktoś próbuje jeszcze powątpiewać:

— Ale jakże on to sfinansuje?

Bizoński śmieje się gorzko, satanicznie, poczem mówi przez zęby:

— Widziałem na własne oczy, jak brał zaliczkę z redakcji "Kurjera Południowego"... Ha, ha, ha... Potem poszedłem z nim do redakcji "Kurjera Powszedniego". Tam mu też dali grubszą forsę! Ale nie koniec na tem. Myśleliśmy wszyscy, nieprawdaż? Że to niemowlę! Metternich, powiadam wam! Szczwany lis! Wziął jeszcze zaliczki z "Gońca Mazowieckiego', z "Latarni i "Lunety". Tak!

Opowiadanie Bizońskiego robi piorunujące wrażenie. Przy stoliku zapanowywuje cisza. Ciszę tę przerywa po chwili architekt, człek wielce nieufny:

— A jednak może się rozmyśli...

Bizoński syczy:

— To wiedzcie, że sam-em był przy tem, jak kupował dwie kołdry. Z popeliny!

Milczenie.

Potem szmer żałośliwych westchnień, tym razem niewątpliwie szczerych:

— Szkoda go! Miał talent...

* * *

Niemniejszą rozpacz po stracie Leszka ujawnia płeć piękna. Jakże inaczej jednak wypowiada się ta rozpacz!...

— No i powiedz, moja kochana! Taki śliczny chłopak, taki zdolny!

— Cudowne wiersze pisał.

— A jak umiał całować...

— O!?

Osoba, do której skierowane było to "O!?" rumieni się zlekka, ale wyznaje z tupetem:

— A żebyś wiedziała!

Zresztą, co warte jest milczenie mężczyzn? Nic. Jest to rzecz zbyt pospolita. Zato milczenie kobiet... Rzadki klejnot, perła, rodząca się raz na sto lat...

— Szkoda Leszka!

* * *

Tak, pamiętamy wszyscy ten ślub. I to, jak się Kajetan — Hannibal Bizoński z żalu upił, i to, jak przyszedł do Karmelitów w dziwnym stroju, bo frak kładł jeszcze na trzeźwo, ale resztę — nie!

Że zaś, jako futurysta, wszystko czynił naopak, więc i tym razem, ubierając się na ślub przyjaciela, wdziewał najniezbędniejszy szczegół garderoby męskiej — na końcu.

Ukazanie się Bizońskiego wywołało w przedsionku kościoła to, co gdzie indziej kwalifikuje się jako "szmer na sali".

— Bo jakże? Frak, biała kamizelka, biały krawat i... spodnie w kratki!

Dwóch innych przyjaciół Leszka, poetów, inną go poczęstowało niespodzianką. Gdy bowiem orszak weselny (kondukt — mruczał mało przytomny Bizoński) wsiadł do karet — tak jest — kierując się w stronę mieszkania rodziców panny młodej, a młoda para, starodawnym zwyczajem, machnęła się na kwadransik w Aleje — zasadzili się obwiesie gdzieś koło skrzyżowania tychże Alej i Pięknej, zaczem, widząc wracającą już od strony Belwederu karetę nowożeńców, wypadli z dzikim rykiem:

— Zdrada!!!

Konie byłyby poniosły, gdyby nie to, że remizy warszawskie używają tylko wałachów w wieku od lat piętnastu do dwudziestu...

Dopuścił się tego figla niejaki kolega Szporkowski i niejaki kolega Burkat. Pierwszy, używający wśród braci piszącej partyjnego pseudonimu "Ostroga", drugi zasię pseudonimu "Aldebrandini".

Uczepili się drzwiczek karety i byliby wreszcie spowodowali jakiś kryminał, ale Leszek wychylił się bezceremonjalnie z okna pojazdu, zasłonił sobą napoły przerażoną, napoły roześmianą oblubienicę i huknął ostro:

— Paszoł, Aldebrandini!

Działy się inne jeszcze rzeczy, a wszystkie niesamowite! Po kolacji wygłosił architekt przemówienie, z którego wynikało, że Leszek jest podlec i kajdaniarz, ale że miał talent, więc w imieniu literatury ojczystej... i t. d.

Matka młodziutkiej pani Leszkowej, niezupełnie jeszcze przyzwyczajona do artystycznych egzageracyj, spłakała się, jak rosa, nad tą rewelacją, że Leszek jest "podlec".

Trzeba było poczciwą kobietę uspakajać, że to tylko kwiecistość stylu, nic więcej.

Odznaczył się i ginekolog, bo coś koło północy, wykropiwszy sam jeden trzy flachy alkoholu, zaproponował jąkającym się głosem, że gotów jest pouczyć nowożeńców o różnicach anatomicznych... i fizjologicznych... które...

Na szczęście stracił wątek.

Aldebrandini zasnął jak gołąb. Ostrogę położno na kanapie...

Finish, jak zwykle, zdobył Kajetan — Hannibal Bizoński, proponując matce panny młodej, żeby się dała pocałować... w nogę

Tak, wszyscy pamiętamy ten ślub.

II

Nie sprawdziły się pesymistyczne przewidywania przyjaciół Leszka Szczerby. Pani Leszkowa nie "spętała skrzydeł" ani nie "okaleczyła ducha" swego młodego męża.

Żył sobie tedy Leszek Szczerba ze swoją Muszką, jak w raju. Jeżeli czasami bywał melancholijny — zwykła to była melancholja: poetycka...

Wiadomo przecież... Człek rozsądny smutnieje, gdy mu weksel protestują, albo gdy na towarze stracił... Inaczej, poeta!

Po za tem, jak się rzekło, Leszek nie miał przejść.

Talent jego zmężniał.

Dawniej łatwo popadał w stany podniecenia twórczego. Snuł wówczas melodje wdzięczne, miłe... Rymował nietyle sercem, ile skórą: taki jest sposób rymowania.

Powstawały z tego rzeczy piękne, a czasem nawet bardzo piękne. To też po niejakim czasie raczyła "mężnienie" Leszka zauważyć Wysoka Krytyka, pasując go zrazu na wachmistrza, potem na podchorążego — czy jak tam — poezji polskiej.

Wynikały z nowych konjunktur niebylejakie splendory.

Przyznać jednak należy, gwoli zupełnej ścisłości, że gotówka z tego... nie wynikała.

Gdyż złej poezji u nas, dzięki Bogu, nie czytają, ale dobrej zato, dzięki Bogu, także nie...

Będąc coraz częściej w tarapatach finansowych, postanowił poeta wziąć się do jakiegoś pobocznego fachu. Rozumował przytem w taki sposób:

— Doba ma dwadzieścia cztery godziny. Na sen trzeba przeznaczyć osiem. Na jedzenie — dwie. To dziesięć. Pozostaje zatem czternaście. Moc czasu! Starczy na poezję, na pracę zarobkową, zostanie jeszcze dużo czasu dla Muszki...

Ale to była teorja.

W praktyce okazywało się, że można wprawdzie dostać posadę w banku czy innem jakiemś biurze, że jednak praca taka wymaga "całkowitego oddania się".

Słyszał to już wprawdzie Leszek dawniej, kiedy jeszcze nie był żonaty...

Jakaż różnica!

Żądały wtedy "całkowitego oddania się" pani Róża, z którą poznał się był w Zakopanem, pani Iza, którą poznał w Warszawie, pani Mima, z którą poznał się... za kulisami.

— Ha, ha, ha!

Można jeszcze wybaczyć to kobiecie, choćby była głupiutka, jak kukułka.

Ale dyrektor banku, żądający czegoś podobnego?... Albo szef departamentu?...

— Nie martw się, Leszku, — pocieszała go poczciwie żona — w tym roku przyznali nagrodę Nobla Reymontowi. Za kilka lat przyznają ją tobie. Pomyśl! Sto tysięcy złotych, czy coś takiego... ładny grosz!

I zaczynali się śmiać, jak dzieci.

Obliczali, że jak tylko dostaną te sto tysięcy, kupią sobie malutką posiadłość pod Warszawą. Ot, drobiazg. Kilkanaście morgów. Ale z parkiem, koniecznie z parkiem...

Ale to dopiero część pieniędzy. Z drugiej części — część poświęcą na podróże. Pojadą do Indji, na Ceylon, na Madagaskar, do Japonji, do Australji...

Gdy dochodziło do Australji, wybuchała zazwyczaj jakaś skandaliczna sprzeczka.

Ot, chociażby ta ostatnia — o kangury!

Leszek nie dosłyszał, że Muszka mówi o kangurach. Myślał, że o strusiach... Więc nagle:

— Głuptasku! Co ty bredzisz? Strusie noszą swoje małe na piersiach? Ha, ha, ha!

Na to Muszka naburmuszyła się zupełnie poważnie:

— Czy ty mnie masz za kompletną idjotkę, Leszku?

Skończyło się na tem, że w przededniu otrzymania owej nagrody Nobla, w przededniu niechybnego werdyktu, mającego ufundować bogactwo Szczerbów, oboje państwo — mistrz Leszek i Leszkowa — zaczęli raptem skakać, naśladując kangury...

Ale i o Akademji Literackiej nie zapomniano.

Z reszty nagrody Nobla miała powstać wieczysta fundacja imienia Muszki Szczerbiny. Fundacji dla młodych poetów, pod zarządem Akademji...

III.

Olbrzymią rozkosz sprawia czasem posiadanie talentu. Taką samą rozkosz może sprawiać świadomość posiadania młodej, dobrej i ślicznej żony!

To też sielanka poetyckiego stadła była ustrojona wszystkiemi blaskami szczęścia.

Nie dokuczał im jeszcze zbytnio brak pieniędzy, gdyż mieli, doprawdy, małe potrzeby. Nie martwiła ich skromność mieszkania, albowiem, właśnie w tej skromności w filozoficznej prostocie, taiły się mnogie rozkosze...

Leszek Szczerba niczego nikomu nie zazdrościł. Wierzył, że we właściwym czasie będzie bogaty... Skoro uśmiechnęło się do niego szczęście — czemuż nie miałoby się uśmiechnąć kiedyś i złoto?

Nie posiadali przytem — bodaj to młodość — tak zwanej kultury.

Mowa o kulturze, stroju, smaku, słuchu...

Mało wiedzieli o nieziemskich — podobno — rozkoszach, jakich doznaje człowiek na widok pysznych ostryg, podanych w olśniewająco białym, miałko potłuczonym lodzie... Mało wiedzieli o czarach, płynących z szanownej flaszy dostałego Burgunda... O urokach zamrażanych pasztetów... O srebrnej grze autentycznych kryształów...

Nadewszystko—nie wiedzieli nic o pokusach, śpiących w jedwabiach, morach i brokatach...

Pani Leszkowej było we wszystkiem do twarzy. Wystarczyło, żeby włożyła na siebie skromniuchną sukieneczkę domową, kreacyjkę jakiejś panny Feli czy Karoliny — a wyglądała prześlicznie.

— Diana! Diana! — wołał rozentuzjazmowany Leszek, orjentując się w tem, że jego żona ma na sobie nowy kostjum. — I powiedz mi, jakim cudem ty się tak elegancko ubierasz?

Diana rumieniła się — jak się umieją czasem rumienić niezepsute, dwudziestoletnie mężatki i odpowiadała z powagą:

— To z tej wełny, Leszeczku, którą dostałam od mamusi na imieniny.

Albo:

— Kupiłam gotowy...

Wyłaniała się czasem kwestja ceny. Ileż w tem było powodów do radości!

Leszek otwierał szeroko oczy, a pani Muszka rozprawiała:

— Widzisz, można się ubrać zupełnie tanio, tylko trzeba mieć trochę gustu. Niktby nie uwierzył, ale to kosztuje tylko pięćdziesiąt złotych!

W rezultacie byli oboje zachwyceni.

* * *

Przyszedł jednak dzień, w którym zachwyt — ściślej, nieprzerwany stan zachwycenia — doznał mocnego i bolesnego ciosu.

Dziwna rzecz, spadł ten cios nie na panią Muszkę, tylko właśnie na Leszka.

Na Leszka, mężczyznę, poetę, marzyciela...

Powinienby się był w tem zorjentować po pani Muszce, boć mężczyźni w tych sprawach nigdy nie grzeszyli bystrością... Ale, czy to, że kochając szczerze swoją żonę, miał wogóle wysoce na jej punkcie wysubtelnioną wrażliwość, czy to z innego powodu, dość, że odczuł cios wpierw Leszek, potem dopiero Muszka.

Działo się to na jakimś dancingu.

Chadzali czasem na dancingi razem i bawili się znakomicie.

Muszka miała na takie okazuje bardzo piękną i bardzo efektowną suknię z żorżety, leciutko zahaftowanej koralikami, do tego pończoszki ze sztucznego jedwabiu i chrabąszczowe pantofelki.

Robiła furorę.

Tego wieczora nie zrobiła jednak furory...

— Patrzajno, patrzaj — usłyszał w pewnej chwili Szczerba — Leszkowa znowu w tej swojej nieśmiertelnej sukienczynie z koralikami! Zdaje się, że już ją widzę w tej toalecie po raz ósmy...

Spłonął. Obejrzał się dyskretnie. Rozmawiało dwóch jego przyjaciół, literatów.

Więc nawet nie baby...

Czuł się zażenowany.

Pod wpływem zażenowania przestał na chwilę tańczyć i zaczął ukradkiem studjować wygląd swojej żony.

Pani Leszkowa tańczyła właśnie bostona. Boston, to trudny taniec. To też kręciło się po sali zaledwie kilka par.

Leszek mimowoli zaczął porównywać. I oto serce poety ścisnął raptownie nieznośny, ostry żal...

— Tak, powiedzieli prawdę. Jest źle ubrana!

Jedna z danserek, bostonujących w pobliżu pani Muszki, miała na sobie pyszną toaletę różową, przybraną strazami... Inna znów olśniewała suknią z osobliwego brokatu, modelującego się, jak ornat bizantyjski... Trzecia wreszcie lśniła, cała spowita w kosztowną robę, obszytą koronkami...

Oczy mężczyzn były zwrócone na te panie. Tylko na te panie. Leszek spostrzegł to wyraźnie.

Jakże biednie, niemodnie, nieładnie, wyglądała w tej chwili Muszka!...

To prawda, że miała główkę jak z obrazka i wdzięk wiosny. Ale gdzie się podziała jej lekkość, jej smukłość, jej powab niewieści?...

Zagryzł usta Leszek i zupełnie stracił humor.

— Stanowczo, tamte panie są stokroć efektowniesze!

Wiedział o tamtych paniach dużo rzeczy niekoniecznie pochlebnych.

Dama ornatowa rozwiodła się niedawno z trzecim mężem i wychodziła zamąż za czwartego; dama w koronkach nie rozwiodła się jeszcze ani razu, ale miała ponoć kilkunastu kochanków i wszystkich idjotów; dama w strazach...

— Co tam!

Wgłębił się Szczerba w tajemnicę pięknego wyglądu. Zadumał się nad tajemną wymową miękkich, lśniących, kosztownych tkanin...

I zrozumiał naraz, że najpiękniejsza kobieta

zyskuje niezmiernie wiele, gdy ma stosowną "oprawę"...

IV.

Nie określono dotychczas ciężaru własnego tak zwanej miłości. Nie obliczono, ile w tym dziwnym fenomenie pokutuje sprzeczności, ile w nim żyje niepokojów, zamętów, niespodzianek, zazdrości, iście ewangielicznej pokory i iście szatańskiej pychy! Miał oto przekonać się Leszek, że kochał dotychczas miłością niedojrzałą, niejako dziecinną. Opadły go, jak sto dokuczliwych os, utrapienia całkiem nowe.

Doznał głodu — tak, głodu — pieniędzy. Zapragnął ustroić swoją Muszkę we wszystkie bogactwa ziemi...

— Mój Boże!

Wertował odtąd żurnale mód, rubryki mody, informował się ostrożnie u znajomych jak wyglądać powinna, ich zdaniem, kobieta naprawdę wykwinta; przeprowadzał wywiady u czynników miarodajnych, to znaczy u dam, uchodzących za wyrocznie w sprawach szyku.

Każda informacja, każdy taki wywiad pogłębiały jego wewnętrzny niepokój, jego niedosyt...

Okazywało się, że to wszystko kosztuje, kosztuje, kosztuje!

Do wykwintnej toalety trzeba mieć taką samą bieliznę, takie same obuwie, takie same pończoszki... A płaszcz, a strój głowy?

Zrozumiał młody poeta, czem było niegdyś poszukiwanie kamienia filozoficznego. O, właśnie, o to chodziło! O pieniądze, pieniądze, pieniądze!

Bohater nasz zesmutniał, przymizerniał i osowiał. Dawniej zdawało mu się, że dość jest wyciągnąć rękę po szczęście, a nagnie się ono posłusznie i przyjdzie, jak posłuszne stworzonko do ręki.

Teraz pojął, że zbliska życie trochę inaczej wygląda. Przedewszystkiem jednak zrozumiał, że może składać pod stopy swej ukochanej Muszki dywany, z rymów utkane i pieścić ją muzyką swoich wierszy, ale, że to wszystko nie zastąpi jej dobrego... krawca.

* * *

W tym okresie zaczął Szczerba szukać dróg porozumienia pomiędzy swojemi rymami a owym krawcem.

Napisał tomik niesłychanie słodkich i niesłychanie erotycznych mazgajstw, za który zapłacono mu honorarjum "królewskie".

Zachęcony powodzeniem, napisał drugi tomik, tym razem już zupełnie wyraźnie na handel.

Tomik ten miał jeszcze większe powodzenie.

Opus pierwsze i opus drugie pozwoliły Leszkowi na pewne ekstrawagancje.

Kupił pani Muszcze sukienkę paryską — model od Poireta, zdaje się, obszytą futerkiem chinchilla... Dla futerka tego, jak wiadomo, rokrocznie rozchodzi się w samej Europie sto tysięcy małżeństw i tyleż żon, wiernych mężom, przyprawia im rogi...

Po owem futerku, powiedzmy po owym cyrografie djabelskim, podpisanym krwią prawie serdeczną (zawsze tam było trochę Leszka Szczerby w owych migdałowych wierszach) — rozniecił w nim istną łunę pożądania inne, niemniej niebezpieczne pokusy...

Zatęsknił za jedwabną bielizną dla swojej pani, za prześlicznemi koszulkami i drobiażdżkami z crepe de chine, o których można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są szpetne...

Sfinansował to, pisząc na obstalunek powieść o tendencji wyraźnie kretyńskiej, miał wprawdzie kilka prac z dawnych, lepszych czasów, ale tego nie chciał nabyć żaden wydawca. Jedne wiersze były podobno zbyt brutalne, inne zbyt subtelne...

I powieść poszła w świat.

* * *

Pani Muszka nic o tem wszystkiem nie wiedziała. Była zbyt młoda, zbyt naiwna i zbyt niedoświadczona. Chinchille i co tam jeszcze było, przyjęła ze łzami wzruszenia, jako dowód niezwykłej dobroci Leszkowej.

Z wartości tych sprawunków nie zdawała sobie sprawy. Nic jej o tem Leszek nie mówił, bo był z natury delikatny. A gdyby nawet był wymienił ową zawrotną sumę złotych polskich, byłaby się Muszka najwyżej roześmiała radośnie. O wartości pieniędzy też niewiele jeszcze wiedziała.

Sądziła, że skoro takie śliczności dostała, to widać Leszek pieniądze ma.

I nie byłaby się zapewne długo jeszcze domyśliła prawdy, gdyby nie pewne drobne, napozór nic nie znaczące zdarzenie.

Zdarzenie śmieszne a zarazem zbawienne w skutkach.

* * *

Była sobota. Młode małżeństwo wybierało się na jakąś szczególnie elegancką redutę. Wiadomo było, że na tej reducie spotka się cały wielki świat stolicy.

Pani Leszkowa cieszyła się z tego wieczoru, jak pensjonarka. Biegała po dwóch pokoikach mieszkania, nucąc wesoło. Suknia, w którą miała się ubrać — pół powieści Leszka, małe cacko z morelowej tafty — leżała na łóżku w sypialni, na jednej z dwóch historycznych, popelinowych kołder.

Leszka nie było w domu, bo wyszedł na miasto po ważny, nieodzowny sprawunek: Muszka nie miała diademu, a chodziło o diadem. Malutki, wąski diadem z paryskich strazów... Zapamiętali go sobie w jednej z wystaw sklepowych i postanowili kupić. Ściślej postanowił Leszek, a Muszka przyjęła to z radością do wiadomości.

— Muszko — powiedział przed dwiema go-

dzinami — idę do redakcji "Kurjera Południowego". Obiecali mi tam dać trochę floty na rachunek feljetonów. Wstąpię potem po diadem i będę za godzinkę w domu.

— Doskonale, Leszeczku! Strasznie się cieszę! —

I Muszka zarzuciła ramiona na szyję męża, nucąc:

— Jak mi będzie ładnie, jak mi będzie ładnie!

Leszek uśmiechnął się i wyszedł.

* * *

Muszka zrobiła manicure, uczesała się, potem jeszcze raz zrobiła manicure.

Leszek nie wracał.

Spojrzała na zegarek. Oho, już ósma!

Zaczęła się wolno ubierać. Wolno, wolniusieńko... Tak lubiła, gdy jej przy tem pomagał mąż...

Wybiła godzina dziewiąta.

Muszka zaczęła się niepokoić. Coś musiało zajść. Ale co? Leszek jest zazwyczaj wzorem punktualności...

O pół do dziesiątej rozpłakała się po raz pierwszy. Niebardzo... Tak, troszeczkę... Ze strachu i obawy o Leszka.

Ale starła natychmiast niemądre łzy, zapudrowała.

— Jakże! Musi dobrze wyglądać. A potem Leszek śmiałby się z niej.

O dziesiątej, cała drżąca, cała rozdygotana z niepokoju, odważyła się zatelefonować do redakcji "Kurjera Południowego". Nigdy tego przedtem nie czyniła, bo wiedziała, że panowie w redakcjach bywają zazwyczaj wściekli, gdy się do nich dzwoni...

Oczywiście nikt nie odpowiedział: "Kurjer Południowy" robią w dzień, nie w nocy.

Wówczas Muszka, sama już nie wiedząc, co począć z niepokoju, zalała się łzami.

Zaczęła biegać po mieszkaniu i załamywać ręce. Przyszło jej do głowy, że może Leszek ją zdradza...

Myśl była potworna, ale w serdecznym strachu o Leszka mogły się były pomieścić jeszcze większe potworności...

* * *

Wybiło na dużym zegarze w "jadalni" pół do jedenastej.

Muszka chwyciła się oburącz za serce...

W tej samej chwili jednak zgrzytnął w zatrzasku klucz, wszedł Leszek i Muszka zawisła na jego szyi, pytając głosem, drżącym ze wzruszenia:

— Leszeczku, co się stało? Mów całą prawdę! Ja wszystko zniosę, tylko nie zniosę dłużej tej niepewności... Leszeczku!

Leszek był zmieniony na twarzy i trochę smutny. Może nawet bardzo smutny.

Powiedział cicho, matowym, stłumionym głosem!

— Nie przyniosłem ci, Muszko, djademu...

Muszka nic nie zrozumiała. Zapomniała zupełnie, poco Leszek wogóle wychodził na miasto. W obliczu jej niedawnej niedoli, jej troski serdecznej o Leszka, zatarły się drobiazgi z przed kilku godzin.

Złapała tyko męża za szyję jeszcze raz, jakgdyby ruchem tym można było odwrócić wyimaginowane niebezpieczeństwo.

Prawie, że krzyknęła teraz:

— Czego nie przyniosłeś, Leszku?!

Leszek uczuł akcent przestrachu w głosie Muszki. Zrozumiał go trochę inaczej. Chwilę zaciskał zęby, chcąc po męsku opanować gorzki żal i smutek — ale nie mógł, niestety, nic poradzić.

Tak. To bieganie po redakcjach, żebranina o te kilkadziesiąt złotych, tak go rozstroiły...

Przełknął raz i drugi i... niespodziewanie — duże, gorące łzy pociekły z jego oczu.

Wyjąkał:

— Byłem w pięciu redakcjach, Muszko... Wszędzie mi odmówili... Taki wyjątkowy pech. Wstępowałem do paru kolegów... Żadnego z nich nie zastałem. I... nie mogłem ci kupić tego diademu... ze strazów...

Teraz dopiero Muszka zrozumiała.

Przez sekundę, przez króciutką sekundę wpatrywała się w oczy Leszka.

Wzrok jej wyraził naprzód osłupienie. Potem wzruszenie. Potem rozrzewnienie.

Potem — nagle — przestrach. Szalony przestrach. A na końcu — może wyraził jeszcze coś — w czem było i wzruszenie, i rozrzewnienie — i przestrach, tak, ale słowa tego nie wypowiemy, bo się je, niestety, zbyt często słyszy, zbyt nadużywa — a to słowo jest wielkie i właściwie — bardzo wstydliwe...

Wtedy Muszka nagle dojrzała. Stała się w jednej chwili — kobietą.

Dorosłą, dużą kobietą.

Porywczo, niejako obronnie — zasłoniła swojego męża dłońmi...

Wtuliła twarz w jego piersi i zawołała stłumionym głosem, ale bardzo przenikliwie:

— Leszku, głupi!

Leszek zaczerwienił się jak żak i połknął ostatnią łzę. Jednocześnie poczuł jak mu się huraganem wlewa do serca wart gorącej radości.

— Muszka!

Ukląknął przed nią, objął ją za kolana, przycisnął do siebie...

A Muszka gładziła go po bujnej, płowej czuprynie, głaskała drżącemi palcami i szeptała mu coś do ucha, pierwszy raz w życiu używając macierzyńskich akcentów:

— Taki duży i taki...

* * *

Leszek Szczerba pisze znów śliczne i mocne, szczere wiersze.

Nie kupił swojej żonie diademu, o którym była mowa.

— Przepraszam!

Jest w tem stadle diadem: noszą go oboje.



PORCELANA



DZIEJE porcelany, tak bardzo dziś rozpowszechnionej po całym świecie, są bardzo stare, zaczynają się bowiem już w drugim wieku przed narodzeniem Chrystusa. Początek swój miała porcelana w Chinach, gdzie przez długie wieki wyrabiano ją w tajemnicy i nawet w Azji nie znano sposobu wyrobu porcelany aż do XVI-go wieku, kiedy pojawiły się, pierwsze japońskie wyroby porcelanowe. Tak długo potrafili Chińczycy ustrzec tajemnicy.

W czasie, kiedy Japończycy zaczęli wyrabiać porcelanę, rozpoczęli też i Włosi w Europie, w pracowniach Ferrary, Florencji i Wenecji robić próby naśladowania prześlicznych wyrobów chińskich i odtąd w Europie powstawało coraz więcej wytwórni porcelany tak zwanej "miękkiej", czyli wyrabianej bez kaolinu, który jest głównym składnikiem porcelany chińskiej. Pierwsze porcelany miękkie ukazały się we Francji w roku 1673-im, jako wynalazek garncarza z Rouen, Ludwika Poterat.

Porcelana miękka godna jest ze wszech miar uwagi. Poczytywano ją przez długi czas za typową porcelanę francuską, a zbieracze dają jej jeszcze teraz nazwę "królowej porcelany". Wyroby z niej zawsze były i są najpiękniejsze i najbardziej podziwiane. Porcelana miękka bowiem posiada zalety, które są wynikiem jej wad. Jest bardzo delikatna, pęka pod wpływem silniejszego gorąca i nawet po wypaleniu daje się krajać ostremi narzędziami, przez co nadaje się tylko jako materjał do wyrobu ozdób. Spowodu jednak właśnie tej delikatności, jak i spowodu silnej porowatości poddaje się łatwiej działaniu barwników, a glazura wsiąka w nią do tego stopnia, że tworzy z nią niemal jedno ciało. Stąd właśnie możliwość otrzymywania barw głębokich, aksamitnych, o zachwycającej subtelności, jakich nigdy nie wykaże



Porcelana chińska z roku 1630-go.



Posążek tańczącego Buddy. Porcelana francuska z roku 1725-go.

porcelana kaolinowa, używana do wyrobu zastaw stołowych i naczyń. Porcelana miękka jest przytem w dzisiejszych czasach bardzo rzadka i szczególnie poszukiwana przez zbieraczy, którzy płacą za nią nieraz na wagę złota.

Wyrabiano więc w europejskich wytwórniach wyłącznie porcelanę miękką, ozdobną, z której figurki, naczynia i dekoracje do dziś dnia można oglądać w muzeach i w zbiorach prywatnych zbieraczy. Fabrykanci porcelany wiedzieli, że do wyrobu właściwej, trwałej i odpornej porcelany potrzeba kaolinu, ale tego w Europie nigdzie znaleźć nie było można. Kaolin jest rodzajem białej gliny, która powstaje skutkiem wietrzenia skał pod wpływem czasu i powietrza. Składa się z 545-ciu części krzemianu glinki na 425 części glinu i 30 części potasu wapnia.

Dopiero przypadek umożliwił w Europie wyrób porcelany kaolinowej. Oto pewien fryzjer w Saksonji znalazł w rowie podczas przechadzki za miastem jakiś biały proszek, który wydał mu się doskonały do pudrowania peruk, noszonych w owym czasie. Zabrał więc pewną ilość tego proszku i użył go do pudrowania peruki słynnego alchemika na dworze króla Augusta Mocnego. Alchemik ów, Boettger czując, że jego peruka jest cięższa niż zwykle, zwrócił na to uwagę swemu służącemu, który przypisał winę nowemu proszkowi do pudrowania. Boettger, wiecznie w poszukiwaniu materjałów, z których dałoby się wydobyć złoto, poddał puder dokładnej analizie i stwierdził z nieopisaną radością, że jakkolwiek biały proszek nie zawiera złota, jest jednak proszkiem kaolinu, tak bardzo poszukiwanego podówczas w Europie.

Boettger zawiadomił na-



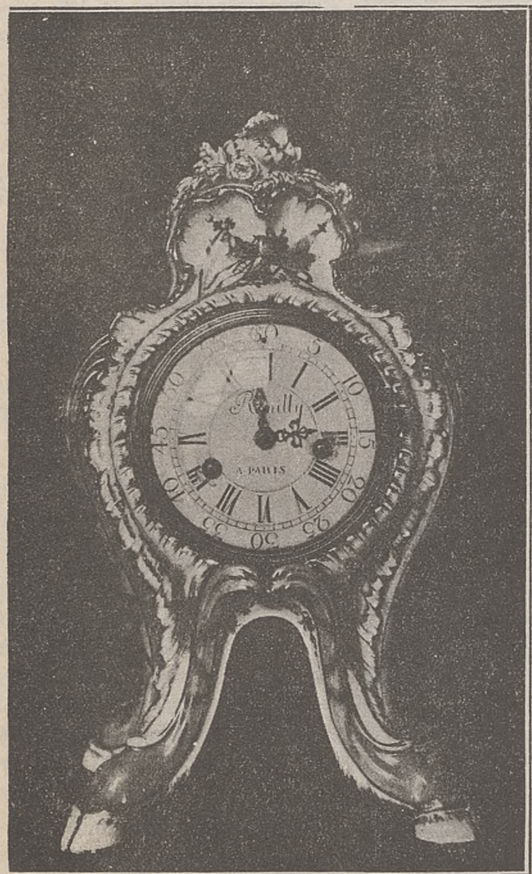
Wazon z porcelany włoskiej, rok 1770-ty.



Porcelana z Limoges. Tło białe, obramowane złotem, w medaljonie kwiaty i owoce.

tychmiast króla o swem odkryciu. Wiecznie zadłużony monarcha rychło poznał ważność odkrycia i nie zwlekając, polecił otworzyć fabrykę w Miśni i stosować do wyrobu porcelany zdobyty kaolin. Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania. Kaolinowe wyroby porcelanowe fabryki w Miśni przyniosły skarbowi króla nie mniej, niż mogłoby przynieść złoto, gdyby alchemikowi udało się przetwarzać na ten metal inne materjały.

Fabryka w Miśni stała się twierdzą porcelany saskiej. Wyrób porcelany otoczono najgłębszą tajemnicą. Alchemik Boettger stanął na czele fabryki, jako główny jej dyrektor, ale po jakimś czasie wpadł w niełaskę króla i dostał się za kraty więzienne. Próbował uciekać, ale zbyt pilnie był strzeżony, aby wydostać się na swobodę. Ostatecznie dni swoje skończył w zapomnieniu i niedostatku, chociaż za jego tylko przyczyną



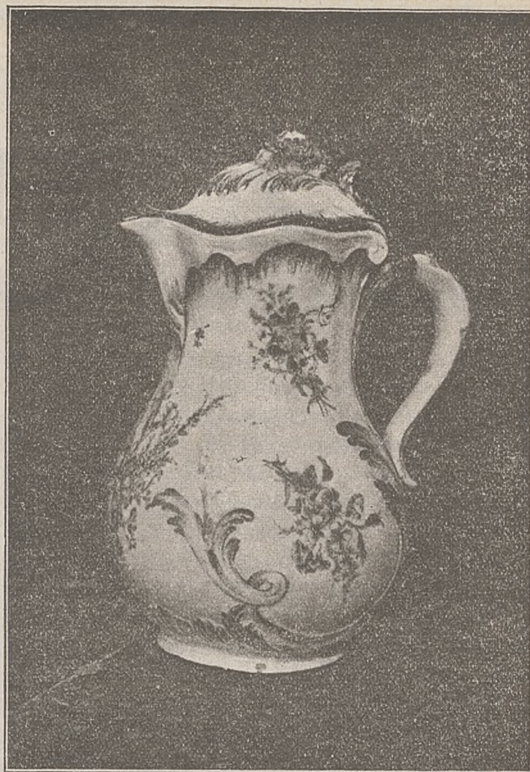
Zegar porcelanowy z Vincennes. Rok 1737-my.



Porcelanowy dzban i miska w kształcie liścia. Wyrób francuski.



Porcelanowy dzban na wodę z roku 1806-go.



Porcelana z fabryki francuskiej pod protektoratem Marji Antoniny, z roku 1775-go. Obramowanie różowe i złote.

skarb królewski czerpał obfite dochody z fabryk porcelany kaolinowej w Saksonji.

Robotnicy, którzy pracowali w tych fabrykach, musieli składać przysięgę, że zachowają do śmierci tajemnicę fabrykacji. Strzeżono ich bacznie i za najmniejszą niedyskrecję skazywano na dożywotnie więzienie w podziemiach Koenigsteinu. Pomimo tych wszystkich środków zachowania tajemnicy, w kilka lat po powstaniu fabryki w Miśni, wychodźca saski Stoebzel założył w Wiedniu fabrykę konkurencyjną, a w przeciągu następnych kilkudziesięciu lat powstały nowe fabryki porcelany kaolinowej i w innych krajach. Odkryto pokłady kaolinu w Niemczech i we Francji i od roku 1751-go francuskie wyroby porcelanowe zaczęły przewyższać porcelanę saską.

Pierwsze europejskie wyroby porcelanowe były sprzedawane po bardzo wysokich cenach i pojawiały się tylko w domach panujących i magnatów. Obok nich trafiała na rynek europejski i porcelana chińska, bardzo wysoko ceniona, a za nią przywędrowała i japońska, znacznie tańsza, chociaż równie trwała.

Po odkryciu pokładów kaolinowych we Francji, w niedługim czasie ogromnie rozwinął się przemysł porcelanowy w tym kraju. W jednych fabrykach, jak Limoges lub Vincennes wyrabiano porcelanę stołową, słynną ze swej dobroci i trwałości, w innych, jak sławna do dzisiejszych czasów fabryka w Sévre, przedmioty ozdobne jak statuetki, posążki, grupy, medaljony, wazy do dekoracji i tym podobne rzeczy.

W miarę rozwoju przemysłu porcelanowego w Europie powstawały fabryki wszędzie, gdzie można było zdobyć kaolin. Najwybitniejsi artyści dostarczali fabrykom wzorów i modelów gdyż fabrykanci starali się, aby wyroby porcelanowe nietylko posiadały trwałość i odpowiednie kształty, ale by odznaczały się także formami i wyglądem artystycznym.

Dziś porcelana stała się artykułem pierwszej potrzeby i znajduje się niemal w każdym domu. Cena jej spadła do poziomu przystępnego dla wszystkich klas społeczeństwa i zastawy porcelanowe, jakie przed dwustu laty można było spotkać tylko na stołach panujących i bogaczy, dziś znajdują się i w domach ludzi pracy. Bo każdy chętnie nabywa zastawę porcelanową, jako hygieniczniejszą od innej, a przytem miłą i ponętną dla oka.

Prawdziwą i dobrą porcelanę rozpoznaje się choćby potem, że pomimo swej zwięzłości jest cokolwiek przeźroczysta. Nie można wprawdzie przez porcelanowy talerz dojrzeć żadnego przedmiotu, ale patrząc pod światło, wyraźnie widzi się lekkie przeświecanie, podczas gdy przez talerz fajansowy lub z masy kamiennej żadne światło się nie przedostanie.



ANTONI CZECHOW

ZEMSTA

LEW Sawicz Tumanow, zwykły śmiertelnik i posiadacz poważnego kapitaliku, młodej żony i błyszczącej łysiny, grał raz w karty na imieninach u swego przyjaciela. Po dość sporej przegranej, przy której nawet potem się oblał, przypomniał sobie nagle, że od dwóch godzin nie pił już wódki. Wstał z miejsca i na palcach, kołysząc się poważnie, przesunął się między krzesłami, przeszedł przez salon, gdzie z zapałem tańczyła młodzież, z miłym uśmiechem, pobłażliwie, prawie po ojcowsku poklepał po plecach młodego prowizora aptecznego i czmychnął przez boczne drzwi do bufetu.

Stały tam na okrągłym stoliku butelki, karafeczki z wódką i kieliszki. Przy nich, wśród innych zakąsek, leżał na talerzu, zieleniąc się od cebulki i pietruszki, śledź, z którego połowę już zjedzono.

Lew Sawicz Tumanow nalał sobie kieliszek, wykonał w powietrzu ruch palcami, jakby miał zamiar wygłosić przemówienie, wypił i zrobił przy tem męczeński grymas, poczem dziobnął widelcem dzwonko śledzia. Niósł już widelec do ust, gdy naraz dobiegły jego uszu głosy z za ściany:

— Dobrze, dobrze — mówił ożywiony głos kobiecy. — Tylko gdzie i kiedy?

— Moja żona! — poznał Lew Sawicz. — Ciekawa rzecz z kim ona rozmawia?

— Kiedy zechcesz, moja droga — odpowiedział za ścianą niski, soczysty bas męski. — Dziś... niebardzo mi na rękę, jutro znów cały dzień będę zajęty...

— To Bałamutnikow — poznał Tumanow jednego z przyjaciół po głosie. — To tak?! A to dopiero szelma baba! Czyżby i jego już złapała? Co za podła, nienasycona kobieta! Jednego dnia nie wytrzyma bez pokątnego romansu!

— Tak, jutro jestem zajęty — ciągnął bas za ścianą — ale jeżeli chcesz, napisz do mnie kilka słów jutro... Będzie mi bardzo miło... Tylko powinniśmy jakoś zorganizować naszą korespondencję. Trzeba coś wymyśleć. Poczta... nie, to niezupełnie bezpieczne. Jeżeli ja co ciebie napiszę, to twój indor może list przyłapać u listonosza, jeżeli zaś ty napiszesz do mnie, to moja połowica odbierze w mojej nieobecności i na pewno otworzy i przeczyta, a wtedy...

— Więc jak to zrobić?

— Trzeba wymyślić jaki sposób. Przez służbę posyłać nie można, gdyż twój Sobakiewicz zapewne mocno trzyma w karbach pokojówkę i lokaja... Gra teraz w karty?

— Tak. I wiecznie, bałwan, przegrywa!

— Pewno mu się za to powodzi w miłości — zaśmiał się Bałamutnikow. — Ot, posłuchaj, fortel wymyśliłem... Jutro, punktualnie o szóstej wieczorem, wracając z biura będę przechodził przez ogród publiczny, gdzie mam zobaczyć się z naczelnikiem. Więc wiesz co, moja droga? Postaraj się koniecznie przed szóstą, nie później, włożyć liścik do marmurowego wazonu, stojącego na lewo od winogronowej altanki.

— Wiem, wiem...

— To będzie i poetycznie i tajemniczo, zupełnie coś oryginalnego i nowego. Nie dowie się ani twój tłuścioch, ani moja połowica. Zrozumiałaś?

Lew Sawicz wypił jeszcze dwa kieliszki i wrócił do karcianego stolika. Odkrycie, które dopiero co zrobił, nie oszołomiło go, nie zdziwiło, ani nawet nie oburzyło Dawno już minął czas, kiedy się oburzał, zazdrościł i urządzał żonie gwałtowne sceny. Machnął ręką i przez palce patrzał na flirty i romanse swej lekkomyślnej połowicy. Było mu jednak grubo nieprzyjemnie. Wyrażenia jak "indor", "tłuścioch" lub "Sobakiewicz" obrażały jego miłość własną.

— Jakaż to jednak kanalja ten Bałamutnikow — myślał, zapisując przegrane. — Przy spotkaniu w biurze czy na ulicy udaje takiego serdecznego przyjaciela, wyszczerza zęby, klepie po ramieniu, a za oczami, jakie to słowa puszcza! W oczy nazywa druhem kochanym, a za oczy jestem dla niego "indorem" i "tłuściochem"!...

Im więcej przegrywał, tem dotkliwsze stawało się uczucie zniewagi.

— Młokos... — rozpamiętywał, łamiąc kredkę z wściekłością. — Smarkacz... nie chce mi się tylko z tobą paskudzić, ale pokazałbym ci "Sobakiewicza"!

Podczas kolacji nie mógł obojętnie patrzeć na bezczelną twarz Bałamutnikowa, a ten, jakby umyślnie niepokoił go pytaniami: czy wygrał, dlaczego jest taki smutny? czyżby

czuł się niedobrze? i tak dalej. Przyszedł nawet do takiego zuchwalstwa, że w roli przyjaciela głośno zrobił wymówkę jego żonie, że za mało dba o zdrowie męża. A małżonka, jakby nigdy nic, patrzyła na męża słodkiemi oczyma, śmiała się wesoło i paplała w najniewinniejszy sposób, tak, że sam djabeł nie mógłby posądzić ją o niewierność.

Po powrocie do domu Lew Sawicz był zły i niezadowolny, jakgdyby podczas kolacji zamiast cielęciny, zjadł stary kalosz; może być, że przemógłby się i zapomniał, ale szczebiot żony i jej uśmieszki co chwilę przypominały mu "indora", "tłuściocha" i "Sobakiewicza".

— Po pysku dałbym temu łotrowi... skompromitowałbym go publicznie — przesuwało mu się przez głowę. Myślał sobie teraz, że dobrze by było wytłuc Bałamutnikowa, postrzelić go w pojedynku, zabić, wysadzić z posady... Nagle przyszedł mu do głowy pomysł: gdyby tak włożyć do owego wayć do owego wazonu coś cuchnącego, nieprzyzwoitego... naprzykład zdechłego szczura... Nieźle też byłoby wykraść z wazonu list żony, a na jego miejsce włożyć jakie nieprzyzwoite wiersze z podpisem 'Twoja Akulka" lub coś w tym rodzaju.

Lew Sawicz Tumanow długo chodził po sypialni i napawał się tego rodzaju marzeniami. Nagle stanął i uderzył się ręką w czoła.

— Brawo! Znalazłem! — zawołał i twarz rozjaśniła mu się zadowoleniem. — To będzie znakomita zemsta! Doskonale. Doo- skoo- nale!

Gdy małżonka zasnęła, usiadł przy biurka i po długim namyśle, zmieniwszy charakter pisma, nakreślił, co następuje:

"Do kupca Dolinowa. Szanowny Panie! Jeżeli do szóstej wieczór, dziś 15 lipca, nie włoży pan dwieście rubli do marmurowego wazonu w ogrodzie miejskim, na lewo od altanki winogronowej, będzie pan zamordowany, a pański sklep galanteryjny wyleci w powietrze." Za podpis wyrysował trupią czaszkę i dwa skrzyżowane golenie.

Skończywszy list, Lew Sawicz aż podskoczył z zachwytu.

— Ot, to pomysł! — mruczał, zacierając ręce. — Cudownie! Lepszej zemsty sam djabeł nie mógłby wymyśleć. Rozumie się, że kupczyna zlęknie się i zaraz da znać policji, a policja urządzi zasadzkę w ogrodzie we właściwej porze i capnie ptaszka, kiedy ten polezie po list... Wyobrażam sobie jak się przestraszy! A zanim sprawa wyjaśni się, posiedzi kanalja w kozie. Brawo, doskonale!

Lew Sawicz nalepił markę na list i osobiście zaniósł go do skrzynki pocztowej. Wróciwszy do domu, położył się i zasnął z błogim uśmiechem na ustach. Spał tak słodko, jak mu się już od dawna nie przydarzyło.

Obudziwszy się rano i przypomniawszy sobie swój koncept, zamruczał wesoło i nawet pogładził niewierną żonę po podbródku. Idąc do biura i później, siedząc w kancelarji, uśmiechał się błogo cały czas, przedstawiając sobie w wyobraźni przerażenie Bałamutnikowa, kiedy wpadnie w zasadzkę. Po piątej nie mógł już wytrzymać i pobiegł do miejskiego ogrodu, by na własne oczy napawać się widokiem rozpaczliwego położenia swego wroga.

Z niezmiernem zadowoleniem zauważył, że po ogrodzie kręciło się kilku policjantów.

— Aha... — pomyślał — już czekają.

Doszedłszy do altanki winogronowej, usiadł opodal na ławce pod krzakiem i skierowawszy natężony wzrok na wazon, czekał. Niecierpliwość jego nie miała granic.

Punktualnie o szóstej zjawił się Bałamutnikow. Młody ten człowiek był widocznie w najlepszym humorze. Kapelusz miał zawadjacko zasunięty na tył głowy, rozpiętą zarzutkę, w butonierce czerwony kwiatek. Palił cygaro, poświstywał i wywijał laską.

— Poczekaj, złodzieju, zaraz dowiesz się, co może "indor", "tłuścioch" i "Sobakiewicz" — mruczał pod nosem, nie spuszczając oka z Bałamutnikowa.

Ten zbliżył się tymczasem do wazonu i niedbale wsunął weń rękę...

Lew Sawicz wstał i wpił się w niego wzrokiem...

Bałamutnikow wyciągnął z wazonu niewielki pakiecik, obejrzał go ze wszystkich stron, wzruszył ramionami i z wahaniem otworzył. Znów wzruszył ramionami, a na twarzy jego odmalowało się niezwykłe zdumienie...

W pakieciku były dwa sturublowe papierki.

Długo przyglądał się Bałamutnikow tym papierkom. Wreszcie, nie przestając wzruszać ramionami, wsunął je niedbale do kieszeni i wyrzekł półgłosem:

— Dziękuję...

Nieszczęsny Lew Sawicz Tumanow słyszał to "dziękuję". Przez cały wieczór stał naprzeciwko sklepu Dolinowa, wygrażał pięściami szyldowi i mruczał z oburzeniem:

— Podlec! Wstrętny tchórz! Zląkł się i dał dwieście temu złodziejowi! Ot, kanalja!



M. G.

NAJSZCZĘŚLIWSZY CZŁOWIEK W LONDYNIE

Nowela z dawnych czasów

MŁODY lekarz ciężkie miał zadanie w dzielnicy we wschodniej stronie Londynu. Ciężko tam było zapracować na skromne nawet utrzymanie. Chorzy tej dzielnicy, ludzie przeważnie ubodzy, żyjący z twardej pracy rąk, mizernie wynagradzali czas i naukę lekarza.

Nauka jego wzbogacała się coraz większem doświadczeniem, ale nadzieje i pragnienia schodziły do coraz skromniejszych rozmiarów. Wiele nowych rzeczy nauczył się w nędznych mieszkaniach, do których często zachodzić bywał zmuszony.

Dziś, kiedy powracał do domu przez błotniste ulice, starał się zapomnieć o izbie, z której wyszedł przed chwilą, o izbie, w której troje chorych dzieci leżało w jednem łóżku pod opieką pijanej matki. I przyszło mu na myśl, jak też będzie wyglądać jego dom, gdy w nim zamieszka Nora, gdy otwierając dzwi ujrzy ją i ogrzeje się przy ogniu kominka i świetle jasno płonącej lampy.

Wyobrażał ją sobie w sukni białej, w niebieskiej lub czerwonej, stosownie do pory roku i do pogody, siedzącą wśród kwiatów. Wyobrażał sobie blask jej oczu, uśmiech jej usteczek, rumieniec na jej licach.

Tymczasem jednak musiał wejść do ciemnego przedpokoju. Zimno było wszędzie. Zacisnął usta i szepnął do siebie:

— Zczasem jednak wszystko będzie inaczej, lepiej...

Postawił parasol, zdjął palto, wszedł do ciemnego i zimnego pokoju i zadzwonił. Niemłoda kobieta po chwili weszła i przywitała go.

— Ach, proszę pana, ogień wygasł.

— Mniejsza o to — odparł doktór Murray — i tak wyjdę po obiedzie.

— Był tu jakiś stary człowiek i prosił, żeby pan doktór poszedł do jego żony, ale jeżeli pan bardzo zmęczony, to nie dziś, tylko jutro.

— Czy zostawił adres?

— Zostawił, położyłam na biurku. Przyniosę zaraz razem z obiadem.

Po chwili gospodyni znów weszła, niosąc kartkę w ręku. Lekarz przeczytał. Niezgrabne, ale czytelne było przyniesione pismo:

"Proszę, panie doktorze, racz pan przyjść, kiedy panu będzie dogodniej.

Ulica Plevna, 14. John Temple".

Pogoda nie zachęcała do wyjścia, ale słowa: "kiedy panu będzie dogodniej" tak były niezwykłe, że zaraz po obiedzie lekarz włożył palto, wziął parasol i wyszedł.

Deszcz padał, zimno było okropne, na ulicach zupełnie pustki. Lekarz doszedł do wąskiej przecznicy, marnie oświetlonej, hałaśliwszej i brudniejszej od innych i wkrótce znalazł się przed domem, oznaczonym numerem 14-ym.

Na odgłos dzwonka wyszła stara, otyła kobieta i gromada brudnych dzieci. Kobieta zapytała:

— Do kogo?

— Do pana Temple.

— Na górze. Panie Temple! Panie Temple! Doktór przyszedł!

Dom miał tylko dwa piętra. Pan Temple wyszedł na spotkanie lekarza.

— Dziękuję panu bardzo — powiedział.

Doktór Murray nie mógł dojrzeć jego twarzy, ale głos był bardzo miły.

— Proszę pana doktora, tędy.

Pokoik był mały, ubogo umeblowany, ale wesoły. Na kominku płonął ogień, na okrągłym stole stała mała lampa. Jedno tylko było krzesło w pokoju. Na łóżku leżała kobieta. Pan Temple przedstawił ją lekarzowi.

— Moja żona.

Kobieta zwróciła oczy w stronę przybyłego.

— Pragnąłem, by ją pan doktór dziś odwiedził — zaczął pan Temple. — Zdaje mi się że czuje się gorzej. Ale to przecież nie jest nic ważnego, prawda, Lucjo? Zdawało mi się jednak, że będzie dla mnie ulgą, gdy ją pan doktór zobaczy. Miewała dawniej ataki i od tej pory jest sparaliżowana.

Mówił to zupełnie swobodnie, zapewne dlatego, że ją widywał w takim stanie od przeszło dwudziestu pięciu lat.

Lekarz spojrzał na chorą.

Trudno było określić jej wiek, bo była to już ruina. W rzeczywistości była ona młodsza od męża o lat dziesiątek, a on dobiegał siedemdziesięciu. Była zupełnie bezwładna, całe jej ciało i ręce były nieruchome, twarz skrzywiona na bok tak, że z urody, jeżeli kiedy była ładną, nie pozostało ani śladu. Mowę miała utrudnioną i niewyraźną.

— Zdaje mi się — ciągnął dalej pan Temple — że przeziębiła się trochę. Rób co chcesz, a w tym pokoju zawsze wieje, a ona jest bardzo wrażliwa na przeciągi. Nie skarży się nigdy, ale zawsze czuje zimno. Prawda, Lucjo?

Chora zamruczała cos niewyraźnie.

— Tak — powtórzył pan Temple — czuje. I może pan doktór być pewnym, że tak jest, sko-

ro to sama przyznała. O to jedno kłócimy się czasem, że ona nic nie mówi, choć jej co dolega. Strasznie uparta kobieta, ta Lucja...

Sama myśl przypisywania uporu tej nieszczęśliwej kobiecie byłaby rozśmieszyła lekarza, gdyby nie głos pana Temple i wyraz oczu, wpatrzonych w niego.

Te oczy zwracały się zawsze w jego stronę, gdy był w pokoju.

— Kto ją pielęgnuje? — zapytał lekarz po napisaniu recepty i daniu kilku wskazówek mężowi.

— Ja, panie doktorze — odrzekł staruszek. — Nie pozwoliłbym nikomu jej dotknąć. Któżby inny mógł koło niej chodzić? W początku byłem trochę niezgrabny, ale miałem czas nauczyć się wszystkiego, co potrzeba. Teraz wszystko już dobrze robię, prawda, Lucjo?

— Ale pan chodzi do roboty. Cóż wtedy? Czyż zostaje sama?

— No tak, prawdę powiedziawszy, sama. Nie zgodziłbym się na to, gdybym mógł inaczej się urządzić. Ale zanim wyjdę polecam ją Bogu, a Jego opieka nigdy nas dotąd nie zawiodła.

Doktór Murray nienawidził obłudy, ale czuł, że te słowa są szczere i z serca płynące.

— Wstaję rano — mówił dalej Temple — robię śniadanie i ubieram ją. Zanim wyjdę do fabryki, usadowię ją w łóżku tak, żeby nie spadła. Wracam na obiad i jemy razem. Potem, kiedy skończę robotę, wieczór prędko minie. Zawsze jest coś do gotowania, do zmywania i do sprzątnięcia w pokoju.

Staruszek opowiadał o swojem życiu pełnem poświęcenia, nie domyślając się nawet swojego bohaterstwa, a lekarz słuchał z prawdziwem wzruszeniem. Odchodząc, obiecał przyjść nazajutrz. Cierpienie pani Temple było nieznaczne. Mówiła mało i słuch miała mocno przytępiony, ale mąż i ona rozumieli się doskonale bez mówienia.

Po odejściu lekarza staruszek zabrał się, jak zwykle do roboty. Przyniósł do łóżka ciepłej wody, starannie i bardzo delikatnie umył twarz i ręce żony i na głowę włożył jej czysty czepeczek. Rano zwykł ją czesać "jak fryzjer", o czem mówił z dumą. Ustawił przy łóżku świecę, szklankę wody i ciastko. Potem wziął książkę do nabożeństwa i biblję, przeczytał psalmy i modlitwy wieczorne. Dziękował Bogu za dobrodziejstwa doznane w ciągu dnia i za siłę do pracy. Polecił wreszcie żonę i samego siebie boskiej opiece na nadchodzącą noc.

Doktór Murray dotrzymał przyrzeczenia. Przyszedł nazajutrz i od tego czasu przychodził codziennie. Opisał swej Norze staruszków i ucieszył się ogromnie, gdy pewnego dnia Nora przysłała pani Temple trochę kwiatów. Potem przez całą zimę nadchodziły podobne przesyłki i w ubogiej izdebce staruszków zawszy były świeże, kwitnące rośliny.

— Panie doktorze — powiedział pewnego razu Temple do lekarza — nie jestem bogaty, ale mogę i powinienem wynagrodzić pańskie trudy. Zarabia pan na życie, lecząc ubogich, a to nie jest przyjemne zajęcie. Zapłata słusznie się panu doktorowi należy. Zresztą należy mieć na względzie tę kochaną panienkę, pannę Norę. Proszę więc, żeby pan doktór pozwolił mi zapłacić sobie za wizyty. Jeżeli przyjdzie kiedyś czas, że nie będę w stanie płacić, wtedy poproszę pana doktora o pomoc, ale teraz...

Ostatecznie doktór Murray przysłał mu bardzo skromny rachunek, który został sumiennie co do grosza zapłacony. Ale potem lekarz przychodził już jako "przyjaciel". Zresztą wkrótce nie był w stanie nic już uczynić dla pani Temple. Nie było dla niej ratunku ani pomocy.

Lekarz widział, że to mniemane zaziębienie było początkiem końca. Staruszka nikła w oczach i całemi godzinami leżała z zamkniętemi oczyma. Jadła coraz mniej.

Zima była ciężka, bezrobocia sprowadziły nędzę do niejednego domu, dzieci chorowały i marły, a na dobitkę zjawiła się grypa i zabierała liczne ofiary. Lekarz walczył mężnie, pracował po całych nocach i podtrzymywał się myślą o Norze.

Nadeszła wiosna. Nawet i do tej ubogiej izdebki zawitała nadzieja, a tę nadzieję podzielał i potrosze lekarz.

Zbliżał się dzień ślubu doktora.

Przed wyjazdem odwiedził państwa Temple.

— Wyjeżdżam na miesiąc — powiedział i dodał rumieniąc się: — A gdy wrócę, przedstawię wam przyjaciółkę, która będzie was ze mną odwiedzać.

— Panie! — zawołał staruszek i wyciągnął do lekarza rękę. — Niech pana Bóg błogosławi! Nie mógł nam pan doktór sprawić większej radości. Kochana panienka... Zdaje mi się, że już ją znamy, a pewien jestem, że pokochamy szczerze.

— Niezawodnie pokochasz Norę, panie Temple. Wszyscy ją kochają.

— Lucjo, czy słyszysz? Nasz pan doktór żeni się!

Kobieta z trudem otworzyła oczy. Spojrzała na lekarza, a na twarz jej wystąpił wyraz niezmiernej słodyczy. Usta staruszki poruszyły się lekko.

— Ona mówi: "Niech Bóg pana błogosławi". Lucja to mówi. A kiedy ona tak mówi, to naprawdę tak myśli. Ach, my wiemy, jakie to szczęście jest w małżeństwie, prawda, Lucjo? Większa jest wiara, i miłość większa i człowiek lepszy. Stary jestem, ale śmiało mogę powiedzieć, że najlepsza część mego życia — to ona...

Temple położył rękę na jej ręce.

— Panie doktorze — rzekł — nie życzę panu większego szczęścia jak moje. To dosyć. Bo ja jestem najszczęśliwszym człowiekiem w Londynie!

Dziecko, które zabili..

(humoreska)

napisał F. Goetel.



WIOSNĄ bieżącego roku otrzymałem ze stolicy list następującej treści:

"Wielce Szanowny Panie!

Donosimy Panu z prawdziwą przyjemnością, iż w czasie najbliższym, to jest już za tydzień, przystępujemy do wydawnictwa ilustrowanego miesięcznika pod tytułem "Co kto lubi". Miesięcznik będzie zabierał obok bogatego działu artykułów aktualnej treści, także krótkie utwory beletrystyczne pióra pierwszorzędnych pisarzy, ilustrowane przez wysokiej klasy rysowników. Pożądane lekkie nowele lub humoreski objętości do 800 wierszy. Gdyby Pan miał coś podobnego w tece, prosimy o szybkie nadesłanie. Honorarjum nie gra roli.

Licząc na Jego cenne współpracownictwo, kreślimy się (nieczytelnie)

Adres telegraficzny: Colubi."

Był to czas kiedy miałem w robocie jedną bardzo niestrawną powieść, a w przygotowaniu pewną przygnębiającą nowelę pod tytułem "Dziecko, które zabili." Myśl o jakichkolwiek lekkkich kawałkach, a w szczególności o humoreskach była mi wstrętną.

Gdybym był poszedł za głosem serca, odpisałbym temu Colubi-emu, że dostanie coś ode mnie, gdy się sam przestanie lubić. Sztukę życia cenię jednakże niemniej od sztuki władania piórem. Niestety, łatwiej napisać mi kiepski romans od jakiego takiego listu. Minął przeto potężny okres czasu, nim zebrałem się i odpisałem:

PT Wydawnictwo "Co kto lubi"

w Stolicy.

Składam serdeczne życzenia młodemu wydawnictwu, które wypełnia bolesną lukę w naszej próżni kulturalnej. O miesięczniku podobnym myślę od dawna i gdybym był wydawcą, a nie autorem, kto wie, co by się stało. Współpracą służę najchętniej i nawet mam w tece bardzo pocieszną nowelkę pod tytułem: "Dziecko, które zabili", coś ponad 1,000 wierszy, jednakże zaciągnąłem w sprawie tej pewne pertraktacje z bardzo poważnem wydawnictwem, które, przyznać muszę, traktuje rzecz tę nie mniej lojalnie i korzystnie dla mnie. Kontraktu jeszcze nie podpisałem i mógłbym ulec twórczemu rozmachowi Panów, honorarja jednak, mówię to otwarcie, muszą odgrywać rolę kto wie czy nie najgłówniejszą.

Łączę wyrazy eleganckiej czci."

Zrzuciwszy ten tak przykry ciężar z serca, udałem się tego dnia do kawiarni, gdzie oczekiwał mnie referent literacki jednego solidnego, od stu lat istniejącego organu, z którym politykowałem od dawna w sprawie sprzedaży owej ponurej noweli, a to w związku z numerem jubileuszowym, obejmującym wspomnienia pośmiertne o wszystkich zgasłych redaktorach i wydawcach.

— No jakżeż? — przywitał mnie nieufnie. — Skończył pan?

— Już dawno! — odpowiedziałem — zostało mi się jakieś pięć — sześć wierszy zakończenia. Sęk w tem, że wleźli mi w paradę — wyjąłem list od "Colubia" i podsunąłem go niedbale referentowi.



...udałem się do kawiarni, gdzie oczekiwał mnie referent literacki.

— Aha! — ziewnął przeczytawszy. — To moja myśl z przed dwu lat.

— I moja z przed pięciu.

— Ale to się nie uda.

— Obojętna rzecz. Płacą zgóry.

— Pan to wyczytał z tego listu?

— Nie, proszę pana! Z dawnej korespondencji, którą niestety muszę traktować poufnie. Sądzę, że to pana nie obraża.

Referent skinął pobłażliwie głową i zwinąwszy list, oddał mi go ruchem wytwornym.

— Gratuluję — ziewnął powtóre — a propos: czy to pan wymyślił to: "Co kto lubi"?

— Do pewnego stopnia ja.

— Ciekawym, do jakiego stopnia. Bo jest to całkiem idjotyczny tytuł.

— Możliwe. Przypuszczam jednak, że gdyby się pan dobrze zastanowił, wymyśliłby pan coś jeszcze głupszego. Ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia?

— Nic. Nie mogę przecież nazwać pana megalomanem albo snobem. Dla porządku uprzedzam pana, że wczoraj przyniesiono mi dłuższą powieść i jeżeli pan nie skończy rychło...

— No to co?

— No to ją puszczę przed panem.

— Puszczaj pan — odparłem powstając. — Takiego warjata, co by pisał dziś dłuższą powieść, nie znajdzie pan wnet po raz drugi. To jest rzadka okazja!

— Daję panu tydzień do namysłu! — krzyknął referent w ślad za mną.

Nie zareagowałem. Kawiarnię opuściłem z miłą świadomością, że referenta mam conajmniej w ręku. Jemu się śpiesz-

ło a nie mnie. Noweli dopiero co zaczętej nie mogłem tak, czy owak skończyć przed miesiącem. Tembardziej, że brała mnie ochota zabrania się do powieści, zakrojonej na rok.

Złożyło się jednak tak, że już nazajutrz pisałem sztukę do teatru na temat smutno-wesoły. Szukając towarzystwa teatralnych ludzi, zacząłem uczęszczać do "Grandu", bojkotowanego przez redakcję stuletniego organu, a o "Colubim" zapomniałem. Czas upływał mi w przyjemnościach i pożytku. Poznałem amantkę, którą ubierał dyrektor, wobec czego "ubrałem" dyrektora. Akt pierwszy był już gotowy, drugi pomyślany, a trzeci wyczuty, gdy po miesiącu rozrywek otrzymałem ekspres polecony od "Co kto lubi".

"Oczekujemy z niecierpliwością nadesłania manuskryptu. Warunki pańskie przyjmujemy, Termin ostateczny do trzech dni, licząc na pana niezawodnie, pozostajemy..."

— Urznęli się, czy co? — pomyślałem, nie wiedząc, co myśleć. — Nie stawiałem przecież żadnych warunków. A może ja się urznąłem i napisałem jakiś list, bliżej mi nieznany. — Jedno i drugie przypuszczenie odrzuciłem jednakże po głębszym namyśle stanowczo. Nikt się tu nie urznął, nikt listów nie pisał, ani też ich nie czytał. Warunki przyjmują, bo ich nie stawiałem, a oni nie myślą płacić. Tak czy owak zlekceważyli mnie haniebnie i zasłużyli na nauczkę.

Odpisałem:

"Wydawnictwo 'Co kto lubi'
w Stolicy

Bardzo mi przykro, ale ciężkie przejścia natury osobistej zmuszają mnie do podwyższenia warunków na "Dziecko które zabili" o sto procent. Jeżeli Panowie są w stanie zapłacić taką sumę za to dzieło, to gotów jestem przesłać manuskrypt. Do namysłu daję Panom termin półroczny, chyba żeby miesięcznik ukazać się miał wcześniej. O czem proszę donieść w razie pośpiechu na Poste restante.

Ciągle jeszcze ten sam..."

Ale nowelę przejrzałem. Chodziło mi o to, czy ostatecznie przy pewnych zmianach w ujęciu nie dałoby się z niej zrobić humoreski. A nuż ten miesięcznik weźmie na kieł i zapłaci jakąś zaliczkę. Pouczał mnie przecież pewien stary literat, aby pisywać tylko do nowo powstających wydawnictw.

Przebujawszy się parę godzin w fotelu, doszedłem tedy do wniosku, że z "Dziecka" może być całkiem niezła humoreska, nawet bez istotnych zmian w pierwotnym zamyśle. Zmienić kąt widzenia i już. Odkrycie to wstrząsnęło mną głęboko. Zamysł noweli powstał w chwilach głębokiego zastoju na rynku księgarskim i miał być oddźwiękiem skoncentrowanej melancholji, jaka opanowała mnie na wieść, że nakłady moich książek nie są jeszcze wyczerpane, aczkolwiek przeczytali je już wszyscy znajomi. Ile razy wracałem w następstwie myślą do "Dziecka" czułem żółć w gardle, a śledzionę w żołądku. Pękałem poprostu z radości, widząc z jaką zabójczą logiką rozwija się mi ponura fabuła tego utworu. I oto jakieś banalne "Co kto lubi" wmieszało mi się w interes i okazało się że "Dziecko" może być równie dobrze głupim figlem, jak wstrząsającą tragedją.



...Płacić! — rzucił się niespokojnie dyrektor.

Pełen gorzkich myśli o sztuce, twórcach i wydawcach, nie odwiedziłem dnia tego amantki, obiad zjadłem w kuchni dla inteligentów i dopiero niemożliwy już "wyjec moralny" przywiódł mnie do "Grandu". Zastawszy przy stoliku teatralnym dyrektora, usiadłem obok cichy i zimny, jak bomba i jak bomba naładowany.

— No, jakżeż tam pańska sztuka? — zapytał mnie nierozważnie dyrektor.

Machnąłem ręką.

— Przestaję pisywać, mój panie!

— Tak?

— A jakże. Jakby pan wiedział o jakiemś wolnem miejscu dyrektora, to mógłbym ostatecznie reflektować.

— To będzie trudniej. O ile się orjentuję, więcej jest wakansów w literaturze — złośliwie zauważył dyrektor.

— W takim razie może być i posada po garderobiance. Wszystko mi jedno. Żadna praca nie hańbi.

Dyrektor przyjrzał mi się uważniej.

— A cóż się stało?

— Co się stało? Figiel, a wielka rzecz. Doszedłem do wniosku, że, mój panie, literatura...

— No?

— Że literatura, mój panie...

— Wygadajże się pan!

— Że literatura zaczyna się tam, gdzie się kończy sztuka. Rozumie pan? Tak jak pańska amantka zaczyna się tam, gdzie zdycha amor. Tak jak pański teatr...

— Płacić! — rzucił się niespokojnie dyrektor.

— Nie rób pan tego! — opamiętałem się i ująłem go miękko za ramię. — Nie myślę pana obrażać. Pański teatr jest uczciwą, solidną grajzlernią... chciałem powiedzieć, naiwnym bałaganem...

— Płacić! — powtórzył dyrektor.

— A więc pal djabli ten pański teatr. Tylko siedź pan cicho i nie prowokuj mnie pan. Potrzebuję się wywnętrzyć.

— A nie zmusi mnie pan do tego, abym pana wyzwał?

— Nie! Jestem tak usposobiony, że zastrzeliłbym pana, jak jarząbka. A kryminał już mnie nie bawi. Posłuchajże pan więc, co się stało.

Dyrektor westchnął, zamówił syfon wody i wysłuchał. Wysłuchawszy, pokiwał głową, jak człowiek wtajemniczony.

— Tak, tak! Wszyscyśmy to przechodzili. Sztuka... Ho, ho! Nie ma z nią co zadzierać. Ale ja panu powiem, co mi wpadło do głowy od pierwszego pańskiego słowa.

— No? — zapytałem z napięciem.

— Rzecz cała w tem, że "Dziecko, które zabili" nie nadaje się ani na tragiczną nowelę, ani na humoreskę, a tylko na sztukę do teatru.

— Sądzi pan? — wycedziłem ze zdumieniem.

— Jestem przekonany!

— Ależ pan nie ma nawet pojęcia, jaki jest zamysł tego "Dziecka"...

— To detal. Co znaczy zamysł, kiedy "Dziecko" już tu. Tytuł! Rozumie pan? Tytuł jest nawskroś

teatralny. Niech pan sobie dobrze rozważy, co panu powiedziałem, bo z tego może być coś. Ja tę rzecz wystawię! Słowo honoru! Tembardziej, że ta inna sztuka, którą pan pisze...

— Że co?

— Że jest słaba. Nie chciałem panu tego mówić, bo nasza amantka wydrapałaby mi oczy.

— Złote, olbrzymie serce! — szepnąłem wzruszony.

— A jakże! Czyste złoto! Po dolarze gram. Otóż kiedy pan ma tak wspaniały tytuł jak to "Dziecko", rzuć pan tamte ćmojki i bierz się pan do rzeczy. Czuję sukces, jakem dyrektor. "Dziecko, które zabiło"!... — cmoknął ze znawstwem ustami.

— Które zabili, panie!

— Właśnie, właśnie! Które zabili! To jest oczywiście ta fenomenalna pointa. Powtarzam: "Dziecko, które zabito", jest najwspanialszym tytułem, z jakim spotkałem się na deskach scenicznych. No... A teraz zjedzmy kolację! Ja funduję.

Ogarnęło mnie nagle jakieś śmiertelne znużenie.

— Funduj pan! — sięgnąłem po kartę złamany, — ale jeśli pan jeszcze słowo piśnie o tem dziecku, to słowo daję, zażądam ananasa w majonezie. Pomieszało mi się całkiem w głowie i muszę koniecznie zjeść coś z mięsa. Nie posłałby pan przypadkiem po naszą amantkę?

* * *

"Dziecko" przypomniało mi się jednakże raz jeszcze tego dnia, pomimo, iż dyrektor uniknął ananasa w majonezie. Kiedy mianowicie wróciłem po kolacji do domu, zastałem przed drzwiami jakichś obcych dwu panów.

— Pan mieszka tutaj? — zapytał jeden z nich, o panoptikalnym wyrazie oczu.

— Ja?

— Telegram! — wyrzekł drugi, wręczając złożony papierek.

— Aha! — odrzekłem. — Bardzo cię cieszę. Musi być coś ważnego, skoro panowie przybyli w takiej deputacji. Ale czemu panowie nie idą spać? — przystanąłem zdziwiony, widząc, iż jeden z nich włożył szybko nogę pomiędzy próg a drzwi.



— Telegram! — wyrzekł drugi, wręczając złożony papierek.

— Zaraz się pan dowie — odparł intruz. Poczem pchnął mnie do środka, wskoczył za mną i zamknął drzwi za sobą. Jednocześnie usłyszałem przez drzwi szyderski chichot drugiego.

— A to mnie wzięli! — pomyślałem, znalazłszy się oko w oko z bandytą. Był to jakiś większy złodziej, albowiem zachowywał się, jak u siebie w domu. Zapalił światło, obejrzał obrazki na ścianie i usiadł w fotelu. Spokój, z jakim zachowywał się, dodał i mnie otuchy.

— Kradnij pan prędzej, bo mi się chce spać — rzuciłem niedbale, czując, iż nonszalancja najbardziej jeszcze imponuje takim bestjom.

— Proszę przeczytać telegram! — odparł sucho.

— Ten szwindel? Jeśli panu na tem zależy...

Rozdarłem papierek i czytam:

"Odpowiedzieć natychmiast, ile pan właściwie chce za to zabite dziecko. Odpowiedź zapłacona.

Co lubi."

Popadłem w nieprzyjemne osłupienie. Telegram był autentyczny ponad wszelką wątpliwość, no, a ten jegomość?... Naturalnie! Czekał na odpowiedź. Widział poprostu, że mi się chce spać i bał się, że nie odpowiem.

— Wielki Boże — westchnąłem rozrzewniony — więc pan jest jednak z poczty.

— Z policji! Szanowny panie...

— A co, strajk pocztowy?

— Dość tych wykrętów! — Ujął mnie brutalnie za ramię — proszę mi w tej chwili pokazać, gdzie się znajduje to zabi-

Teraz dopiero pojąłem.

— Bardzo mi przykro — odświadczyłem — ale to dziecko nie urodziło się jeszcze.

— A więc zabite w łonie matki?

— Jeżeli już, to w łonie ojca. Niech się pan nie niepokoi. Nie przeszedł jeszcze ani miesiąc błogosławionego stanu i dziecko się dopiero wykluwa. Ten "Colubi" nie ma o tem pojęcia i dlatego wysyła takie głupie telegramy.

— A któż jest ten "Colubi?" — zapytał z głupia frant mój policjant.

— Panie, i on się jeszcze nie urodził. Wogóle cała ta rzecz jest najzupełniej niedojrzała i żal mi pana serdecznie, że się panu wymyka z rąk taka wspaniała okazja. Przekonajże się pan — pokazałem mu napoczęty manuskrypt, — że zaczynam dopiero dłubać koło tego dziecka.

Manuskrypt w części jednakże tylko przekonał agenta. Dopiero pokazanie korespondencji z "Colubim" uspokoiło go zupełnie.

— A to kretyn! — warknął, sięgając po czapkę.

— Kto?

— No, ten telegrafista.

— Prawda? Postąpił, jak skończony policjant. Niech się łaskawy pan nie oburza, gdybym powiedział, że postępuje pan, jak skończony telegrafista... Cóż byłoby w tem złego? A propos: nie ma pan ochoty ujrzeć jeszcze dzisiaj tego telegrafisty?

— Albo co?

— Bo chciałem skorzystać z pańskiej uprzejmości i nadać telegram z odpowiedzią temu handlarzowi żywym towarem.

— Policja nie jest od noszenia telegramów, mój panie!

— Dziwna rzecz! Przed chwilą byłbym przysiągł, że jest!... No, a jak się przedstawia stosunek policji do koniaku? Po jednym? Zrobione! Prima, co? Gwarantowana kontra-banda!... Już piszę telegram. Jeszcze jeden?... Ryp! Odkuwasz się, hycku jeden. A teraz czytaj pan i śmiej się pan razem ze mną:

"Colubi zgadnij pan, Goetel."

* * *

Zaś od ranka dnia następnego siedziałem na sztuką teatralną pod tytułem ''Dziecko, które zabili''. To jest siedziałem dosłownie i w myślach układałem scenarjusz. Dyrektor miał rację. Tytuł był sceniczny do tego stopnia, że już koło południa wymyśliłem zarys dwu czy trzech komedyj i paru dramatów. Obfitość ta niepokoiła mnie coprawda coś niecoś, ale z drugiej strony byłem oszołomiony olbrzymią perspektywą możliwości, jaką otwarło przedemną moje ''Dziecko'' pomyślane scenicznie. Kiedy sobie jeszcze uprzytomniłem, że w prozie związałem na ten temat zaledwie koniec z końcem w marnej nowelce, brało mnie poprostu politowanie nad całą swą dotychczasową działalnością literacką. Albo ta nędzna przeróbka na humoreskę... Stanowczo ''Dziecko'' kwalifikowało się na scenę i koniec! Troszkę mi było żal ''Colubusia'' i troszkę wstyd redaktora, ale zobowiązań nie zaciągałem jeszcze żadnych, ani tem mniej zaliczki.

Z tem czystszem sumieniem ująłem słuchawkę telefonu, zawezwany przez Warszawę do rozmowy międzymiastowej.

— Hallo...

— Nie żadne hallo, ale''Colubi''.

— Witam! Otrzymali panowie depeszę?

— Rzecz bez znaczenia. Chcielibyśmy pomówić z panem na serjo.

— Właśnie. Zaraz tu zawołam policjanta.

— Kogo?

— Policjanta. Nic się pan nie boi?

— Tu ''Colubi''. Kto u telefonu?

— Ten sam. ''Colubi'' już wyszedł?

— Wszystko już gotowe. Czekamy na pański manuskrypt.

— ''Dziecko, które zabili?''

— No przecież.

— Gotowe do odebrania.

— No, to czemu pan nie wysyła?

— Podwyższyłem warunki o sto procent.



Ciężej niż z ''Colubim'' poszła przeprawa z redaktorem poważnego organu.

Panowie sobie nie przypominają?

— Mniej więcej tak.

— A mają panowie pojęcie ile to wynosi od wiersza?

— Nie zupełnie. Nie mógłby pan nam przypomnieć?

— Trzymaj się pan! Złoty od wiersza.

— Przepraszam pana — ile?

— Złoty od wiersza. Jak pan nie ma stolika koło telefonu, to załóż pan sobie radjo. Będzie pan mógł rozmawiać choćby z budy ratunkowej.

Nie wiem, czy ''Colubi'' posyłał po stolik, czy też po ofertę na radjo, dość, że w rozmowie nastąpiła dłuższa przerwa. Chciałem już połączyć się z amantką, gdy usłyszałem znów głos ''Colubia''.

— Chcieliśmy się pana zapytać, czy pan oddawna pisuje?

— A nie moglibyście mi panowie powiedzieć, jak dawno wychodzi ''Colubi''?

— To nie ma nic do rzeczy. Czy pan wie, ile brał Sienkiewicz od wiersza, mając już siwe włosy?

— Nie interesuje mnie to, jestem łysy.

— Warto się jednak dowiedzieć. Po dziesięć kopiejek od wiersza.

— I nie upominał się o więcej?

— Nigdy.

— To zamówcie panowie u Sienkiewicza... — odłożyłem słuchawkę i odszedłem, nie zwracając uwagi na powtarzające się dzwonki. Rozmowa ułożyła się dla mnie jak

— Przypuszczam, że pan wie, jacy byli współpracownicy naszego pisma.

najpomyślniej. Mogłem czuć się obrażony, jak długo mi się podobało. W razie dalszych napaści spuszczać po dziesięć groszy, a w międzyczasie, gdyby się sztuka jednakże nie udała, pisać humoreskę. Prócz nauczki, udzielonej "Colubiemu", zadawalało mnie przytem praktyczne spostrzeżenie, że najlepiej stawiać wydawcom warunki, mając w tece jeno stare korekty. Kto nie ma nic do stracnia, jest na najlepszej drodze do awansu.

Ciężej niż z "Colubim" poszła przeprawa z redaktorem poważnego organu. Gęba nie telefon, a takie od stu lat istniejące pismo gotowe drugie stulecie czekać, jak się na co uprze. Redaktor naczelny we własnej osobie odwiedził mnie w domu, w chwili, kiedy z pięciu pomysłów teatralnej edycji "Dziecka" wybrałem jeden i wziąłem go pod próbną robotę. Czcigodny gość przyniósł mi w upominku miesięcznik "Co kto lubi", pragnąc dowiedzieć się, co o nim myślę. Odrzekłem, że zaczynam myśleć o wydawnictwach dopiero w jedenastym roku ich istnienia.

— Rzadka wytrawność, jak na dzisiejsze czasy — pochwalił mnie redaktor — nie rozumiem tylko — ukazał mi pierwszą stronę miesięcznika — skąd się wzięła ta zapowiedź o jakiejś tam pańskiej humoresce.

— Widocznie i oni nie myślą do jedenastego roku istnienia — odparłem obojętnie. — Wiedzą przecież, że ani ja, ani pan, nie pociągniemy ich do odpowiedzialności. Tembardziej, że ja prasy już nie czytuję.

— Doprawdy?

— A no tak! Co więcej, przestaję pisywać prozą. Przyznam się panu, że jest to niebywale uboga forma artystyczna. Człowiek pisze i pisze, aż się zrobi książka. Idjotyzm!

— Przerzuca się pan na wiersze?

— Na scenę, szanowny panie! I niestety — chciałem z miejsca utrącić rozmowę na temat obiecanej noweli — przerabiam na scenę "Dziecko, które zabili". Przypuszczam, że pan będzie na premjerze, kochany redaktorze.



— *Wyliczył ich pan coprawda tylko pobieżnie...*

Redaktor rzucił okiem na rozłożony przede mną manuskrypt, skinął głową współczująco i jakoś skostniał.

— A czy zdaje pan sobie sprawę — zajechał mnie z nienacka — jak długo istnieje moje pismo?

— Ależ tak, czcigodny panie — zawołałem — sto lat! Pełne sto lat! Pozwoli pan nawet — wstałem uroczyście, — że imieniem całej intelektualnie myślącej Polski...

— Na to przyjdzie czas — sparaliżował mnie redaktor. — Otóż istniejemy sto lat, a nawet sto lat i dwa księżycowe miesiące. Ale to pod obecnym tytułem. Jeżeli jednak wziąć pod uwagę pewne poczynania dziennikarskie w starodawnej Rzeczypospolitej, to oczywiście istniejemy jakie pięćset, sześćset lat...

— Bagatela! — dorzuciłem śpiesznie, zaniepokojony, do czego właściwie zmierza ten infułat.

— Przypuszczam, że pan również wie, jacy byli współpracownicy naszego pisma.

— Nie uważa mnie pan przecież za analfabetę. No... mistrz Kochanowski, mistrz Twardowski... ten... jak mu tam... Skarga, ksiądz Kordecki, Konstytucja 3-go Maja... trzej wieszczowie, trzej królowie... mówię o ostatnich Jagiellonach...

— To niestwierdzone...

— Ale ja panu to mówię. Z bliższych... książę Józef, książe Michał, książę Józef Michał, arcyksiążę Rudolf, namiestnik Pac, ekscelencja Szpac, no i ten nieodżałowanej pamięci habilitowany doktór Kac...

— Otóż to — stwierdził redaktor — wyliczył ich pan coprawda tylko pobieżnie, ale trudno więcej żądać od pana. Jest pan przecież tylko literatem. Nie znaczy to jednak, żeby pan sobie nie zdawał sprawy z obywatelskich obowiązków, jakie każdy piszący w tym nieszczęśliwym kraju ma wobec naszego pisma.

— Zdechł pies! — pomyślałem. — Jak już ktoś zaczyna o obywatelskich obowiązkach, to albo się go z miejsca wyrzuca za drzwi albo oddaje mu się bez słowa mieszkanie wraz z całym majątkiem ruchomym i nieruchomym. A ja dopiero co zapłaciłem czynsz według nowej ustawy i sprawiłem sobie nowy garnitur.

— Złożyłem i ja moją daninę na wielkim ołtarzu panów — odezwałem się pojednawczo, pan sobie przypomni: moje artykuły

przed dwu lat. Po groszu od wiersza w parytecie złotowym, czcigodny panie. Zdaje się nawet, że tam pozostała jakaś niewypłacona reszta. Nie upominałem się nigdy.

— Nie pan jeden! Byli starsi i więksi od pana i też się nie upominali. Zgaśli i otrzymali wieniec od redakcji. Ale pomówmy otwarcie, młody człowieku! — powstał nagle i położył mi dłoń na ramieniu. — Pisarz, który nie dotrzymuje zobowiązań, nie jest dobrym pisarzem...

— Złudzenie! — broniłem się zajadle. — Cała nasza literatura byłaby w takim razie funta kłaków nie warta!

— Nie poruszaj pan wielkich prochów. Powtarzam: pisarz taki nie jest dobrym pisarzem!

— Niechże będzie i tak, zgoda! — usiłowałem chwycić się nowej deski ratunku — nie jestem dobrym pisarzem. Przeczuwałem to oddawna i jestem panu głęboko wdzięczny, że mnie pan ostatecznie uświadomił. Rzeczywiście nie zostało mi już nic, jak tylko teatr.

— Niestety, jest pan dobrym pisarzem. Nie mówię tego nigdy młodym autorom, ale mam wrażenie, że z pana może jeszcze coś być.

— Mówił mi pan przecież, że nie dotrzymuję obietnic.

— Chciałem tylko pana ostrzec przed tem i ostrzegam. Albo pan ogłosi "Dziecko, które zabili" w naszym organie, albo...

— Dokończ pan.

— Albo pan będzie tem dzieckiem, które się samo zabiło. Jest to taka sama prawda, jak to, że nasze pismo istnieje pięćset albo sześćset lat.

Argument ten dobił mnie ostatecznie.

— Więc dobrze — westchnąłem gorzko. — Napiszę panu "Dziecko, które zabili" w jubileuszowej prozie. Chciałbym tylko, aby pan, kiedyś w przyszłości, powiedzmy podczas następnego stuletniego jubileuszu, mógł przyjąć przed historją odpowiedzialność za ten fakt.

— Za ten utwór? — z pewnym niepokojem poruszył się redaktor.

— Więcej jeszcze! Za zwichnięcie mojej karjery twórczości scenicznej! Na kiedyż życzy sobie pan mieć manuskrypt? — powstałem z uśmiechem człowieka, któremu nie pozostało już nic, tylko uprzejmość.

— Kiedy pan zdąży. Nie myślę pana bynajmniej naciskać. W najgorszym razie odłożymy jubileusz. Ale wie pan — posadził mnie z powrotem w fotel — ja nie chciałbym rozstać się z panem w ten sposób. Mam pewną myśl...

— Rezygnuje pan może z tej noweli? — podchwyciłem śpiesznie.

— Nie, ale — tu zatrzymał się, przygważdżając mnie spojrzeniem — ale niech i pan nie rezygnuje ze sztuki teatralnej i humoreski, jeśli już panu tak zależy na tym pretensjonalnym miesięczniku.

— Jakto? — zapytałem, nie rozumiejąc jeszcze.

— No tak! Niech pan napisze — cedził precyzyjnie — nowelę, sztukę i humoreskę pod tym sa-



Zatytułowałem trzy arkusze papieru: "Dziecko, które zabili" z przypiskiem: nowela, humoreska, dramat.

mym tytułem, a choćby i na ten sam temat. A co? — uśmiechnął się olimpijsko na widok mego zdumienia.

— I pan to mówi? — wyjąkałem. — Pan, redaktor istniejącego pięćset lub sześćset lat organu?

— Ja! — spokojnie odparł gość. — Kto się opiera na sześćsetletniej tradycji, nie boi się sięgnąć myślą sześćset lat naprzód.

— Panie, ale rzecz, którą mi pan proponuje, stać się ma dziś!

— To nic. Czasami błysk genjalnego ducha skraca epoki, jak pióro redaktora manuskrypt początkujących pisarzy. Zrób pan, co panu powiedziałem i razem wtedy weźmiemy odpowiedzialność przed historją, która pana tak niepokoi. Żegnam pana! — uścisnął mi dłoń, wyprostował kapelusz, na którym siedział i opuścił lokal.

Pozostałem sam, zaskoczony, zmieszany, oszołomiony. We łbie kręcił mi się propeler myśli, pędzony siłą 360 HP. "Dziecko, które zabili" na trzy sposoby literackie — był to pomysł zbyt szalony, aby mógł oprzeć się mu młody literat. Ta sama rzecz w trzech kątach widzenia. Albo trzyróżne rzeczy pod jednym tytułem. Rękawica, rzucona sztuce sobie samemu, krytykom, wydawcom, całemu światu. Czy tylko nie zakpił ze mnie ten sześćsetletni dziad? Trzeba go było zapytać jak sobie tę rzecz bliżej wyobraża. Przyprzeć do muru i zobowiązać do odpowiedzialności natychmiast, a nie dopiero przed jakąś tam historją.

Porwałem kapelusz i poleciałem pędem za redaktorem. Ujrzałem, niestety, jak ruchem majestatycznym zatrzymał na rogu ruszający już tramwaj, aby, rzuciwszy okiem na attykę pięćsetletniej kamienicy wgramolić się na platformę.

* * *

Nawet gdybym był odrzucił pomysł redaktora, nie pozostawało mi nic innego, jak zerwać kontakt z całym światem. Ale ja nie odrzuciłem pomysłu. Przetrawiłem go przez kilka dni i uległem. Tembardziej należał mi się spokój i wytchnienie. Powzięta decyzja zmieniała przecież zasadniczo mój dotychczasowy stosunek do sztuki, przyznać musiałem, dziecinny i bezmyślny. W obliczu wielkiej próby postanowiłem uprościć swoje życie i ujednostajnić sposób odnoszenia się do świata.

Napisałem więc w pierwszym rzędzie listy do "Colubiego" dyrektora, i redaktora.

"Wielce Szanowny!

Dla dobra pana, mojego i tak drogiej nam obu sztuki, proszę uważać mnie za nieboszczyka. Odchodzę na pewien czas z tego świata, aby urodzić dziecko, które zabili — i to odrazu jako trojaczki. Niech pan przypadkiem nie myśli, że dostałem bzika, albo lepiej, niech pan sobie myśli, co się panu spodoba, a zostawi mnie w spokoju. Przyjdzie czas i zgłoszę się sam z manuskryptem gotowym. Pomówimy wówczas o tem, co się ze mną stało i będzie pan miał dużo sposobności udawać, że pana to coś obchodzi".

Równocześnie do naszej amantki:

''Miła dziecino! Jeśli chcesz widywać się ze mną o godzinie szóstej rano pod klasztorem Kamedułów, to ostatecznie mógłbym Ci służyć. W przeciwnym razie poszukaj sobie na parę miesięcy innego wyznawcy. Nie będę Ci tłumaczył, co mnie skłania do tego kroku, bo nie zrozumiesz, a gdybyś zrozumiała, nie uwierzysz. Na pociechę możesz żądać od dyrektora zaliczki na poczet sztuki, którą dla niego piszę. Nazywa się: ''Dziecko, które zabili''. Nic Ci to nie przypomina?

Twój w zawieszeniu...''

''P. S. Gdybyś jednak nie mogła wytrzymać beze mnie, to możemy ewentualnie zrobić pieszą wycieczkę do źródeł Noteci lub do miejsca urodzenia Wincentego Pola.''

Zaczem do znajomych kartki, że wyjeżdżam na wieś i będę wpadał do miasta tylko wtedy, gdy mi zabraknie pieniędzy.

Narzuciwszy sobie post tak gruntowny, zabrałem się do pracy. Zatytułowałem trzy arkusze papieru ''Dziecko, które zabili'' z przypiskiem: nowela, humoreska, dramat, i rozłożyłem je w równych odstępach i na jednakowo honorowych miejscach na stole. Po raz pierwszy w życiu ułożyłem sobie rozkład godzin, przeznaczając ranek na sztukę, porę poobiednią na humoreskę, a wieczór na nowelę. Rozumowałem bowiem, że tylko pisząc wszystkie trzy kawałki równocześnie, zdołam sprostać zadaniu. Chwilami nęciła mnie coprawda myśl, aby skończyć najpierw jedno, a potem dopiero przystępować do drugiego ale położyłem ją tylko na karb starych i przeżytych przyzwyczajeń.

No i zacząłem. Rano na zimno, popołudniu na wesoło, wieczór na smutno. W djalogu, lekkiej i ciężkiej prozie. Jedno dla ''Colubia'', drugie dla organu, trzecie na scenę. Po kilku dniach tańczenia dokoła stołu doszedłem do wniosku, że jest to jedyna na świecie robota. Mózg mój pracował na trzy motory, które sobie włączałem i wyłączałem, jak skończony awiator. Co wypłakałem przy noweli, wyśmiewałem w humoresce, jedno i drugie krajałem na zimno w dramacie. Bawiło mnie to do tego stopnia, że pisząc w jednej odmianie kombinowałem już myślą, jak to też wypadnie w drugiej. Z czego niestety powstała pierwsza trudność, gdyż intensywność skupienia cierpiała na tych wycieczkach bardzo.

Zdarzało się też i zdarzać się jęło coraz częściej, że rankiem budziłem się smutny, a po obiedzie obojętniałem. Wieczorem figle znowu jakieś przychodziły mi do głowy. Rozkład godzin stał się wobec tego uciążliwą fikcją i po pewnych wahaniach musiałem zdjąć go ze ściany. Z tą chwilą ruszyła niespodzianie humoreska, pozostawiając wtyle nowelę i rzecz sceniczną.

Szczęściem po miesiącu wyszedł drugi numer ''Co kto lubi'', do tego stopnia dobry, nawet bez ''Dziecka, które zabili'', że zasmucił mnie bardzo. Zaczem nastąpił piękny okres rozkwitu noweli. Żal mój dojrzewał tak szybko i przybierał formy tak gwałtowne, że musiałem nawet przeskoczyć środek i przystąpić odrazu do opracowywania finału.

Tu wpadł mi do głowy pomysł, aby wypadek ten wyzyskać dla przeinaczenia dotychczasowego systemu pracy, który właściwie jął się już przeżywać. Pisać mianowicie początek ''Dziecka'' w humoresce, środek w dramacie, koniec w noweli. Z chwilą ukończenia noweli, zacząć ją od środka, dramat od początku, a humoreskę od końca, to jest, ściślej mówiąc, od końca środka. Potem trzecią kombinację. Jednocześnie zakończenie wszystkich trzech utworów, od czego zależała całość przedsięwzięcia, byłoby w ten sposób zapewnione, a umysł mój, wyczerpany już zlekka wałkowaniem jednego i tego samego problemu w trzech warjacjach, uzyskałby wolniejsze pole do żeru.



...w oczach jego zniszczyłem ''Dziecko'' we wszystkich trzech warjantach.

Tak i uczyniłem. Robota ruszyła znowu raźniej z miejsca. Cóż, kiedy zacząłem zapominać. Bywało mianowicie, że godziny całe poświęcałem na rozmyślanie nad końcem noweli i okazywało się potem, że koniec już gotów. Albo trudziłem się początkiem humoreski, która była w środkowej fazie roboty. Lub, co gorzej jeszcze, koniec dramatu przypinałem do środka humoreski. Środek humoreski do początku noweli, którego nie było. Nieistniejący początek dramatu do środka humoreski. Zrozpaczony swojem roztargnieniem chodziłem jak planetnik dokoła stołu, gnany śmiertelnym strachem. Kiedy jeszcze raz i drugi zdarzyło się, że na arkuszu noweli zacząłem pisać dramat, a na dramacie humoreskę — stan mój stał się bliskim obłędu.

Po dwu miesiącach ukazał się trzeci numer ''Co kto lubi'', zapowiadający tuzin utworów beletrystycznych całego polskiego parnasu literackiego. Wiadomość ta niekoniecznie łakoma dla mnie i wesoła, przecież rozerwała mnie, odświeżyła i pobudziła do realnego myślenia. Przejrzałem wszystkie ''materjały'' do humoreski z początku, środka i końca i stwierdziłem, że ma niezłe ustępy, które należało tylko w jaki rozsądny sposób połączyć. W każdym razie rzecz tę należało odłożyć na później.

W tydzień po tem nadszedł list od dyrektora teatru:

''Nieszczęsny Panie!

Bardzo mi przykro, że Pan zlekceważył moje rady i nie wziął się do sztuki, albowiem wczoraj złożył mi kolega pański X. skrypt utworu scenicznego pod tytułem: ''Dziecko, które zabili''. Rzecz jest niezła i wymaga tylko przystosowania do sceny, czem zajmę się osobiście. Nie chciałbym, żeby z tego powodu posądził mnie Pan, jako współautora sztuki o zapożyczenie u Pana tytułu. Daję Panu dyrektorskie słowo honoru, że widok manuskryptu podziałał na mnie jak grom. W pierwszej chwili my-

ślałem nawet, że to tylko pośrednik albo podstawiony przez Pana człowiek. Potem chciałem telefonować po policję, ale aparat nie działał. Dla uniknięcia jednak wszelkich nieporozumień w tej sprawie i zamanifestowania mojej najlepszej woli, proponuję Panu, aby Pan zmienił tytuł rzeczy, nad którą Pan, zgodnie z uporczywemi wersjami pracuje, naprzykład na "Dziecko, które zamordowali". Ja oczywiście z utworu tego skorzystać nie będę mógł, chyba w przyszłym sezonie.

Szczerze przychylny i oddany..."

W liście karteczka od amantki:

"Mój ty biedny chłopczyku! Byłam wczoraj po kolacji pod pomnikiem Mickiewicza i bardzo to nieładnie, że Cię tam nie było. Mogłeś był się domyśleć, że przyjdę tam, a nie do tych Kamedułów i trochę wcześniej, a nie o jakiejś tam szóstej rano. Bardzo się na Ciebie pogniewałam i nawet nie wiem, co z nami dalej będzie. Poznałam niedawno jednego pana (bardzo do Ciebie podobny), który razem z dyrektorem napisał sztukę: "Dziecko, które zabili". Śliczna rzecz! Czy to ta, o której mi pisałeś? Gdybyś był na premjerze, przypatrz się temu panu. Będzie siedział w loży na lewo. Bardzo się cieszę na spotkanie z Tobą, choć mam takie smutne przeczucia.

Twoja nieszczęśliwa..."

Była to już mocniejsza dawka. Zapanowawszy nad atakiem szewskiej pasji i odłożywszy porachunki na później, przestudjowałem zkolei urywki dramatu. Zdawały mi się nędzne — dużo nędzniejsze od humoreski. Kilka bardziej esencjonalnych djalogów nie mogło uratować zwarjowanego melanżu. Właściwie należało rzecz tę zacząć od początku aby z niej coś było. Manusrypt zwinąłem wobec tego w rurę i włożyłem za piec.

Kiedy rychło później otrzymałem jubileuszowy numer pięćsetletniego organu z pierwszym felietonem, zatytułowanym — "Dzieciobójcy — powieść z czasów króla Heroda", uśmiechnąłem się tylko i skrypt noweli zwinąłem, posypałem naftaliną i umieściłem w szafie z zimowemi rzeczami.

Potem pomyślałem o zemście. Pierwszą była myśl, aby wszystkich tych panów, razem z tą "panią" spoliczkować. Drugą: spoliczkować ich moralnie, przez odwołanie się do opinji publicznej. Trzecią: poradzić się adwokata i opublikować posiadany materjał. Czwartą — zignorować nędzników, wypocząć i pisać dalej.

Nim jednak zdecydowałem się na jedną z nich, dojrzało odruchowe życzenie: urżnąć się. Uległem mu, boć to rzecz miła, a nie obowiązuje do niczego.

W mętnem towarzystwie podupadłych literatów, niedohabilitowanych naukowców, kancelistów o zdolnościach ministerjalnych, posłów bez mandatów, pechowych giełdziarzy — jednem słowem bolszewików, spędziłem noc niegodną. Tu, ostatni raz wezbrał we mnie gejzer twórczego zapału. W cudownych słowach, z elokwencją bankruta opisałem za delicyjnym stołem wielkość i oryginalność "Dziecka", nad którem pracowałem i będę nadal pracował, pomimo nikczemny szantaż konkurentów.

Do domu odprowadził mnie jakiś astronom, wsławiony odkryciem baru "Pod ciemną gwiazdą". Człowiek ten zaklinał się, iż na mojem miejscu nie kończyłby "Dziecka, które zabili", a właśnie wydałby początek w humoresce, środek w dramacie a koniec w ciężkiej prozie. Osobiście dodałby jeszcze prolog na kino a epilog na orkiestrę.

Lecz ja nie nadawałem się jeszcze na stałego gościa baru "Pod ciemną gwiazdą". Zaprosiłem astronoma do siebie, kazałem mu wytrzeć buty i wypić szklankę wody, poczem w oczach jego zniszczyłem "Dziecko" we wszystkich trzech warjantach. Gdy pomimo tego rzucił mi się na szyję, nazywając mnie bratnią duszą — musiałem wyrzucić go za drzwi.

Nazajutrz zbudziłem się z głową ciężką i duszą zachwianą Zreasumowawszy wypadki dni ostatnich doszedłem koło południa do wniosku, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko wyjechać w daleki świat, wprost przed siebie, gdzie oczy poniosą. Wieczorem wyjechałem. W jaki sposób znalazłem się w n a j b l i ż s z e m letnisku, jest to już rzecz obojętna. Najprawdopodobniej wysiadłem na pierwszej z rzędu stacji. Jak tam mieszkałem, w czem się kąpałem, jakie piosenki śpiewał lud okoliczny, również do rzeczy nie należy.

Nie bez znaczenia był jednakże fakt, że "Dzieciobójcy — powieść z czasów Heroda" przestała wychodzić w organie już w dwa tygodnie po jubileuszowym numerze. Zaczem z potwornym skandalem przewaliła się premjera "Dziecka, które zabili". Gdy jeszcze amantka wyszła zamąż za fabrykanta musztardy, osądziłem, że rehabilitacja moja jest pełna i wróciłem do miasta.

W domu zastałem listy od redaktora, dyrektora, z fabryki musztardy i od "Colubia". Ostatni brzmiał:

"Wielce Szanowny!

Przypuszczamy, że szan. Pan zapomniał już o dawnych nieporozumieniach i znajdzie coś dla nas w tece. Nie musi to być humoreska, a tem mniej "Dziecko, które zabili", a poprostu cobądź. Powieść, to powieść, kawał, to kawał, w ostateczności może być i wiersz, byle tylko coś dobrego. Przysyłaj Pan, a zapłacimy bez targów.

Colubi."

— Ten "Colubi" się jednakże wyrobił—pomyślałem z rzewną goryczą — i to w tym czasie, kiedy ja zeszedłem na psy. Ale odpisać należało. A nuż znowu on zejdzie na psy, a ja się wyrobię?

Wypoczęty w letnisku umysł spowodował, że list ten pisałem dwa dni i dwie noce. Co zawierał, nie będę już pisał, bo a nuż ukaże się w druku i wszyscy się dowiedzą. Ale "koszulkę", w jaką zaopatrzyłem manuskrypt uchylę, bo a nuż ją "Colubi" zatai.

"Nieoceniony Colubciu!

Przesyłam Ci w załączeniu pouczającą historję "Dziecka, które zabili", abyś wiedział, że w literaturze bywają rzeczy niemożliwe. Jeżeli pomimo tego historja owa będzie utworem, którego Ci potrzeba i który wydrukujesz, zapłaciwszy bez targów, to pamiętaj, że niema niemożliwych rzeczy w literaturze. "Dziecko, które zabili", a które się nigdy nie urodziło, dziecko mordowane w łonie ojca przez trzech oprawców, dziecko rozszarpane przeze mnie na sztuki — ożyło na przekór wszystkiemu i okazało się starym, bezczelnym cynikiem. Gdy nad tem pomyślę, nie wiem, czy cieszyć się, czy płakać, czy może zażądać podwyżki honorarjum. Napisz, co sądzisz o tem, lecz, na Boga, nie żądaj, abym się do uwag Twych stosował. Będą nam się wówczas rodzić dzieci z Ducha świętego.

Amen".

Michał Asanka-Jampołł

TANECZNICA

NOWELKA

Silnemi akordami zagrała muzyka antraktowa. Maszynerje sceniczne zawarczały; powoli opadała posadzka balowej sali, dekoracje wytwornych ścian w stylu cesarstwa, z migotem złoconych tapet, subtelnie cienionych luster, obrazów, zwieszających się u sufitu kwiatów, dyskretnie łączonych w gustowne girlandy.

Zsuwano meble, a posadzkę posypywano zlekka stearyną sproszkowaną, aby baletnice mogły zwinniej obracać wyćwiczonemi nóżkami, obutemi w obcisłe buciki atłasowe. Ustawiono w wazonach i kloszach kwiaty i "jej" bukiet od ulubieńca, zakochanego poety.

Dzisiaj występ "tanecznicy" — jak ją nazywano powszechnie.

Tłumy wielbicieli cisnęły się do okienka kasowego: sala zupełnie wyprzedana.

Elsa van Grooth, cudzoziemka, zaangażowana na gościnne występy do Warszawy, odrazu podbiła sobie widzów swym tańcem "tarantelli", wytwornemi menuetami, oraz rytmicznemi tańcami greckiemi, jej specjalną artystyczną formą oddawania klasycznych ruchów, wprost z etruskiej wazy...

I zakochał się w niej poeta!

Miał w swej twarzy wyraz pierota, dlatego uśmiechem bawił tanecznicę, a łamaną francuszczyzną, patetyczną deklamacją wyuczonych ustępów z Ifigenji Racine'a, oraz nastrojowych wierszyków imponował cudzoziemce. Miała odtańczyć do muzyki Chopina "tarantellę", a dla niego — rozkosznego menueta, który młody poeta uczcił wierszem, jaki w tym dniu zamieściły "Poranne Nowości".

Ale poetę uderzyła ciekawość ócz Elsy, kiedy jej odczytał swój poemat w języku polskim. Odpowiedziała mu po francusku, że ją bawią "dźwięki", a kiedy jej przetłumaczył, w zadziwiający sposób odpowiedziała wyrażonemi słowami uczuć własnych na temat poematu.

Młody rymotwórca wymyślił historję o pięknej tancerce z nad Sekwany, jakoby z czasów Ludwika XVI, która przybyła do Polski, zatańczyła na królewskim dworze w Warszawie, a potem, zakochana w dworzaninie króla Stanisława Poniatowskiego, wyszła zań, spolszczyła się niebawem, a synowie jej ginęli w powstaniach...

Kiedy się antrakt skończył, Elsa pomyślała chwilę o poemacie, jego autorze, aż dzwonek, że już czas, pchnął ją odruchowo przed lustro. Spojrzała, poprawiła upięcia sukni, a ścierając silniejszą czerwień z lewego policzka, poczuła nieznany jej dotąd rumieniec i dreszcz, z cisnącą się myślą: młody poeta wśród widzów... Chciałaby go uściskać, ucałować... A zresztą, poco kłamać uczuciom: "Jestem Polką i nią pozostanę, on mi zdarł maskę"...

Bo Elsa van Grooth była przecież zwykłą sobie Stasią Mikulińską z przedmieścia Wilna, uciekła jako kochanka hrabiego S...., a w obudzonej dumie, kiedy musiała pogrzebać tradycje dziecięcej prostoty, zrazu krawczyni, potem "tanecznica" jak ją przezwał raz napotkany rodak. Od tego czasu w przybranem nazwisku, z wybornym akcentem paryskim udawała cudzoziemkę, aż wreszcie w tej metamorfozie olśniła Warszawę... jako Elsa van Grooth.

Ponieważ taniec jej poprzedzał dziś słynny balet najlepszej miejscowej szkoły tańca, Elsa mogła w bocznej salce raz jeszcze przećwiczyć swoją, zresztą doskonale wyszkoloną rolę.

I oto myśli, jak ten niespodziewany rumieniec, paliły i domagały się swego prawa. Dawna Stasia Mikulińska, a dzisiejsza Elsa van Grooth czuła, że albo jutro na zawsze wyjedzie z Warszawy i z Polski, albo tajemnicę swą odkryje poecie: "Jak w poemacie, jej synowie walczyć będą za kraj..."

Tylko nie z cudzoziemki synowie... tu coś ją tknęło, coś jak głos sumienia... Czternastoletnia Mikulińska, zrazu pokojówka, potem kochanka hrabiego... była jej milszem wspomnieniem, aniżeli triumfy i siła przezwyciężenia tylu przeciwieństw, by dojść do artyzmu i wkońcu błyszczeć triumfem... zawsze... tanecznicy...

W sali bito brawa szkole baletowej.

Muzyka intonowała cicho, ale tak wdzięcznie, jak nigdy dotąd uchu Mikulińskiej, tony poważnego menueta. Zza szerokiego dekoltu wyglądał skrawek papieru... Poemat zakochanego poety, o owej francuskiej piękności, która spolszczyła się, a synowie jej ginęli w powstaniu... Dobrze, że zacieniały go koronki i muśliny.

Tańczyła w myślach swoich ostatni taniec. Z rytmiką tak wyczutych cieni ruchów, że zapatrzona publiczność, zdawała się słyszeć odgłos królewskich kroków, lub niezagłuszoną niczem muzykę serca.

A Mikulińskiej pchały się myśli niepowrotną falą: "Krzyknę, żem Polka"... Lecz nie wstyd czternastoletniej dziewczyny, ale wyrafinowanie z bruku paryskiego, oraz zmysł aktorskiej roli na scenie, hamowało jej wolę i szeptało w głębi serca:

— Wyznam poecie, a synowie moi walczyć będą w szeregach obrońców ojczyzny...

Rzucano bukiety, podano jej dwa wieńce. Zdawała się marzyć o ogrodach, o ślubie. Rzucała bezwiednie po francusku: "Merci" — a przez zęby dławiło się polskie: "Dziękuję"...

Jednak czuła, że tanecznicę i aktorkę Elsę van Grooth grzebią, a jutro Stasia Mikulińska będzie szła z poetą przez Marszałkowską...

A potem wyjadą do Paryża...

I tak szła, wśród niemilknącej burzy oklasków do swego buduaru.

Czekał na nią młody poeta zakochany.

A szczęście śmiało się szczerze w czerwonych makach polnych, jakie jej przyniósł poeta w nagrodę za "polskiego menueta".

H. Duvernois

WESELE

NOWELA

DZIŚ już ludzie nie umieją bawić się. Trzeba było widzieć za moich czasów! Przedewszystkiem myśleliśmy tylko o zabawie. Dzień był przygotowaniem nocy. A nawet i w dzień... Poproszę odrobinę szampańskiego... dziękuję... Ot, naprzykład, pamiętam pewien pojedynek na pałasze, naturalnie udawany, między Durantem a Martinem. Przybywszy na plac boju pozdejmowali z siebie marynarki i to przed ogromną gromadą wystraszonych gapiów, zdejmują koszule, wełniane trykoty, dobywają pałaszów i dalejże młynkować!

Po chwili, na umówiony sygnał jeden z sekundantów, lekarz, wydobywa ze swej torby katarynkę, drugi zaś szarżuje na tłum z... syfonem wody sodowej... Śmiech, wrzawa, krzyki... nagle przeciwnicy padają sobie w objęcia i serdecznie się ściskają, a sekundanci puszczają się w pląsy przy dźwiękach owej katarynki. Cały tydzień pokładaliśmy się ze śmiechu. Ha, bawiono się... A pogrzeb "na niby"... A wesele w Lasku, z całym orszakiem, z drużbami, druhnami, z wszelkiemi szykanami...

Tak mówił Juljan Lefrand. Młodzi jego towarzysze patrzyli na niego z respektem i pewną ciekawością. Szczątek umarłych uciech! Szczątek starannie odmalowany, wypoliturowany, wykosmetykowany, wypomadowany, wygolony i wyperfumowany, z pewnego oddalenia łudzący jeszcze pozorami świeżości. Juljan Lefrand zwiądł, nie zstarzawszy się, na podobieństwo owych młodzieńców, którzy wiele czasu poświęcają zabiegom o utrzymanie pozorów młodości, a nie dbają o rozwój umysłu. Juljan Lefrand udzielał cennych rad wnuczkom swych pierwszych kochanek i przebywał w gronie zamożnych snobów, którzy mu fundowali kolacje.

— Ja bym także urządził takie wesele — wtrącił Jerzy Renard. — Manetta ze mną... bylibyśmy doskonałą młodą parą.

— Och, tak! — zawołała Manetta. — Doskonała myśl, mój drogi! Mamą naszą byłaby pani Sorbier, dama do towarzystwa naszej kochanej Kiki...

Wśród zebranych panienek, siedzących poważnie jak kasjerki w wielkim magazynie mód damskich, Manetta tryskała radością, beztroską, młodością i zdrowiem. Była śliczna z tą minką i wiedziała o tem. Wesoła i rozradowana, objawiała swe zadowolenie szczerze i z prostotą, nie dla galerji, aby się chwalić prześlicznemi ząbkami albo by kłuć sąsiadki swem szczęściem. Zresztą taka już była: od samego rana zaczynała nucić, budziła się, jak ptak, upojony świtem. Manetta nie całowała — muskała dzióbkiem, jak gołąbek; nie chodziła po ziemi — fruwała jak ptaszek. Miłość nigdy nie sprawiła jej najmniejszego zawodu. Bo też miała wyjątkowe szczęście. Jerzy Renard, poczciwy grubasek, miał jedną z tych fortunnych twarzy, mogących wzbudzać jeno przelotne kaprysy Była to twarz gładko wygolona, pełna, rumiana, twarz miłego chłopaka o nieskomplikowanej duszy. Jerzy i Manetta dokazywali wiecznie z sobą, bijali się, jak dzieciaki i nie zawsze potrafili odzyskać powagę, kiedy już śmiać się nie wypadało.

— Trzeba urządzić coś pierwszej klasy — oświadczyła więc Manetta.

— I żeby gazety o tem pisały — dodała Kiki.

Zmiejsca ułożono plan uroczystości. Rozpocznie się w południe sakramentalnem śniadaniem w restauracji, której specjalnością są bankiety i wesela. Potem spacer w Lasku Bulońskim w odkrytych landach. Następnie powrót na obiad do pierwszorzędnej restauracji, w której jadło się śniadanie.

— Ja chcę być w pełnym ślubnym stroju — oświadczyła Manetta. — Włożę białą atłasową sukienkę, białe trzewiczki, wianek pomarańczowy i przyczepię sobie długi welon tiulowy.

Rankiem w dniu oznaczonym Manetta ukazała się towarzystwu tak dziewicza i urocza, że wywołała powszechny zachwyt. Towarzystwo składało się z kilku panów z bardzo zamożnych sfer, z których każdy miał z sobą swą przyjaciółkę. Pani Sorbier, dama do towarzystwa Kiki "robiła" matkę, w kostjumie z liljowego jedwabiu, w czepcu, podwiązanym wstęgami, przybranym różyczkami i strusiemi piórkami. Pan młody, Jerzy Renard, we fraku, z ogromną gardenją w klapie, wyglądał cokolwiek głupkowato. Cały ten orszak przedefilował przed bramą domu Jerzego, pomiędzy dwoma rzędami ciekawych gapiów.

— Panna młoda cacana — zauważył ktoś z przypatrujących się. — Ale pan młody do luftu...

Jeden z panów, korzystając ze sposobności, wygłosił mowę do zebranych widzów, poczem przybrane kwiatami pojazdy ruszyły zwolna. Przed restauracją zjawił się fotograf, proponując swe usługi.

— Proszę o chwileczkę uwagi... Panna młoda z prawej strony, pan młody z lewej, mamusia czcigodna w tem miejscu, papa tu...

Wszyscy ustawili się zgodnie według poleceń fotografa, jedna tylko Zizi nie chciała stanąć obok młodego Gastona.

— Nie myślę narażać się na przykrości — oświadczyła. — Gdyby mój Franciszek zobaczył mnie na zdjęciu obok Gastona, puściłby mnie w trąbę...

Podczas uczty weselnej kierownik restauracji zwierzał się do damy, która pełniła obowiązki kasjerki:

— Osobliwe towarzystwo! Od dwudziestu pięciu lat jak służę w tym lokalu, nie widziałem podobnego wesela. Rozumiem, że ludzie się bawią, ale swoją drogą są pewne zasady. Przedewszystkiem drużbowie posadzili sobie druchny na kolana i całują je w usta. Myśli pani może, że takie zachowanie się dziwi matkę i ojca? Gdzież tam! Przeciwnie, zachęcają ich jeszcze do dalszych zbytków. Ta stara budzi we mnie odrazę. Wciąż sypie oko do tamtego pana przy stoliku na drugiej stronie sali. Osoba, co ma na grzbiecie suknię za pięćset franków! Zgroza! A hałasują, a piją! Popiją się, jak amen w pacierzu, przy deserze zaczną się czubić i wyniknie z tego wszystkiego awantura. Skandal nieunikniony. Panna młoda będzie-

tłukła talerze na głowie swej mamy! Niech pani tylko posłucha, jakie oni piosenki śpiewają! Wstyd słuchać... Króko mówiąc, na miejscu pani, jabym zażądał zapłaty zgóry. Rachunek będzie sążnisty, a jak wybuchnie awantura, kto ich dopilnuje, żeby popłacili!

Pod koniec uczty trzeba było mamę Sorbier położyć na kanapie. Tam też nie zwlekając usnęła i chrapała jak piła w tartaku. Dochodziła już godzina czwarta popołudniu. Stangreci kilkakrotnie już zaglądali, zapytując, co mają robić i jak długo czekać. Wreszcie trzeba było jechać. Z trudem zbudzono panią Sorbier i przemocą prawie wsadzono do powozu. Przed restauracją zgromadziły się tłumy ludzi. Ruszono w stronę Lasku. Nigdy jeszcze tłum nie widział tak ślicznej panny młodej i tak mile przyjmującej żartobliwe życzenia, wyrażane w sposób dość szorstki:

— Uważaj na podwiązki!

— Spodziewam się, że nie będziesz się bardzo nudzić...

— Pomyśl o mnie, gdy wybije dwunasta w nocy!

Towarzystwo promieniało. Jeden z panów wyraził ubolewanie, że nie wziął z sobą harmonijki.

— Bylibyśmy odegrali i zatańczyli tango...

O piątej wstąpiono do restauracji w lasku, gdzie wszyscy uraczyli się ponczem. Tam ubyły kompanji dwie osoby: Kiki, która zemknęła w towarzystwie jakiegoś nieznanego oficera i jeden z panów, któremu zrobiło się niedobrze.

— Jedna Manetta naprawdę rozumie się na tych rzeczach — stwierdził poważnie Juljan Lefrand. — I jaka przytem naturalna! Chodź, dziecko, niech cię uściskam... Ciebie, ciebie jedną bylibyśmy przyjęli do naszego grona z tamtych czasów. Ty umiesz śmiać się... Masz jędrne, świeże policzki i szczerość w spojrzeniu... Puhar szampana nie przeraża cię...

Mocno podchmielony rozrzewniał się:

— A cóż zrobimy teraz? Niepodobna zatrzymywać się w połowie tak pięknej drogi.

Ostatecznie postanowiono przejechać się po Lasku, okrążyć Longchamp i rozjechać się do domów.

— Drogę powrotną — rzekł Lefrand — państwo młodzi odbędą sami we dwoje w swym powozie. My podążymy z tyłu...

Zbliżał się wonny i spokojny wieczór.

— Dobra była zabawa — odezwał się Jerzy, gdy znalazł się we dwoje z Manettą.

— Tak... — przytwierdziła dziewczyna.

— Dlaczego nic nie mówisz?

— Pięknie tutaj... Dobrze mi...

— Czy ci smutno?

— Czegóżbym się smuciła?

— Zdawało mi się.

— Daj mi rękę...

Manetta ujęła dłoń twoarzysza. Konie szły drobnym truchcikiem. Nagle stangret odwrócił się na koźle i oznajmił:

— Jakieś drugie wesele...

Rzeczywiście z przeciwnej strony nadciągał również orszak weselny. Nowożeńcy trzymali się za ręce, jak Jerzy z Manettą. W chwili, gdy pojazdy mijały się, prawdziwa panna młoda spojrzała na Manettę i przesłała jej uśmiech, który jednak pozostał bez odpowiedzi. Tamci za nimi w drugich powozach ryczeli ze śmiechu.

— Okropnie pobladłaś — rzekł Jerzy.

— Zimno mi trochę.

— Każę postawić budę.

— Dobrze.

Gdy budę opuszczono, Manetta ściągnęła welon, zmięła go w ręku i wyrzuciła przez okno. Twarz jej, zwykle wesoła i beztroska, przybrała wyraz głębokiego bólu.

— Co ci jest? — spytał troskliwie Jerzy.

Manetta wybuchnęła płaczem. Wtedy Jerzy zrozumiał. Miękkim, serdecznym ruchem przygarnął ją do siebie.

— Przepraszam cię... Wybacz mi, dziecino moja najdroższa...

Manetta wciąż płakała, przyciskając się do niego kurczowo. W każdym jej uścisku drgała prośba: "Weź mnie... zatrzymaj..." Jerzy odpowiedział długim, mocnym uściskiem. Wówczas Manetta szarpnęła się, lecz on przygarnął ją nanowo. Złocistą jej główkę przytulił do swej piersi i pocałował ją tam, gdzie nigdy jeszcze jej nie całował — w czoło...

* * *

W kilka miesięcy potem pani Sorbier spotkała Juljana Lefrand.

— Aleśmy się zabawili! A jak potem chorowałam! Ach, drogi panie, nikt panu nie dorówna w pomysłowości i w technice wykonania zabawy. I trzeba przyznać, że wszystko odbyło się bardzo przyzwoicie, pomimo, że piliśmy może cokolwiek za wiele... A propos, co się dzieje z Manettą? I z panem Jerzym? Nigdzie ich już nie widuję...

— Co się z niemi dzieje? — powtórzył pan Lefrand.

— Ręczę, że pani nie zgadnie.

— Pogniewali się?

— Niezupełnie.

— Jakto?

— Nie domyśla się pani?

— Przypuszczam, że po owem udanem weselu rozeszli się, każde w swoją stronę.

— Gdzież tam. Niech pani wyobrazi sobie, że pobrali się...

— Na dobre?!

— Na dobre. Któż byłby to przewidział! Urządziliśmy wesele "na niby", ot, żeby się zabawić, a tu...

Pani Sorbier pokiwała głową i zauważyła sentencjonalnie:

— Ha, z temi sprawami niema żartów...



HUMOR — ŚMIECH — SATYRA



PRAWDA.

— Powiedziałeś pan podobno, że moja żona jest starem pudłem, czarownicą, żmiją i jędzą. Czy to prawda?

— Prawda, kochany panie, ale ja tego nigdzie nie mówiłem.

OSTROŻNY.

— W ostatnim akcie — rzecze reżyser do aktora — położy się pan do łóżka, w którem będzie już leżał lew. Będzie to arcykomiczna scena...

— O, panie reżyserze, rezygnuję z tej roli.

— Ależ ten lew nie zrobi panu nic złego — zaręcza reżyser.—To zwierzę jest wykarmione mlekiem w menażerji...

— Proszę pana, i ja także zostałem mlekiem wykarmiony, a jednak lubię wszelkie mięsiwa.

LEKCJA GEOGRAFJI.

Nauczyciel: — Gapski, powiedz mi czy można obejść ziemię dokoła? Naprzykład czy twój ojciec mógłby ją obejść?

Gapski: — Nie, panie profesorze.

— Dlaczego nie?

— Bo wczoraj złamał nogę i nie może chodzić.

PRZEZORNA ŻONA.

— Oho, zaraz znać, że jesteś żonaty. Od dnia ślubu nie brakuje ci nigdy guzików przy ubraniu.

— A tak. Żona zaraz pierwszego dnia nauczyła mnie przyszywać guziki i skoro tylko który się urwie, zaraz biorę się do igły.

— Drogi mój — rzecze amerykańska miljonerka do narzeczonego — ludzie mówią, że bierzesz mnie tylko dla pieniędzy.

— Niech sobie mówią. Cóż nas to obchodzi? Ty wiesz, że kocham cię tylko dla ciebie samej.

— Ale na co mają cię obmawiać? Nie pozwolę na to. Postanowiłam zapisać cały posag Towarzystwu Misyjnemu.

Na te słowa narzeczony wstał i skierował się ku drzwiom.

— Gdzie idziesz? — pyta narzeczona.

— Chcę zostać misjonarzem — brzmi odpowiedź narzeczonego.

— Połóż się teraz Zosiu do łóżeczka, a na dobranoc pocałuj bonę w buzię.

— O, nie, nie pocałuję jej, bo dałaby mi w twarz!

— Cóż to znaczy? Skąd przyszła ci taka myśl do głowy?

— Aha... Niech się mama spyta taty. On dostał wczoraj!

WSZYSTKO STARE.

— Musisz być bardzo szczęśliwy — rzekł ktoś do niedawno ożenionego pana. — Masz stare wino, stare obrazy i stare srebra...

— Tak, ale chcąc to uzyskać musiałem wziąć także starą żonę!

KOBIETY W HAREMACH FEZU

FEZ jest największem miastem francuskiego Maroka. Mimo długoletniego stykania się z europejską cywilizacją, w mieście tem zachowały się do dzisiejszych czasów pradawne mahometańskie wierzenia i formy życia, szczególniej co do życia kobiet. Podczas gdy w Turcji, pod rządami postępowego Kemala-paszy poznikało wiele dawnych zwyczajów, w Maroku po dziś dzień kobiety żyją, jak żyły ich praprababki.

W Fezie niema właściwych haremów, to znaczy niema w domach osobnych oddziałów, przeznaczonych wyłącznie dla niewiast. Mężczyźni i kobiety żyją razem i pod nieobecność obcych, gromadzą się wszyscy w największym parterowym pokoju, otwierającym się na dziedziniec, jedyne źródło światła i powietrza. Wszystkie domy arabskie budowane są według jednego planu: poprzez bramę z cedrowym daszkiem i wąski, ciemny korytarzyk, przynajmniej raz załamany, żeby przypadkiem ciekawy przechodzień nie zajrzał do wnętrza domu, wchodzi się na kwadratowe podwórko, zwane "patio", zawsze bardzo czyste i schludne. Posadzka podwórka bywa z marmurowej lub fajansowej mozaiki, a dokoła biegną kolumny, podpierające balustradę pierwszego piętra. Pod jedną ścianą szemrze wiecznie płynąca, ozdobna fontanna, zastępująca tu nasze zlewy i wodociągi. Z trzech pozostałych stron bądź szerokie drzwi bądź też obszerne otwory w ścianach prowadzą do mrocznych, pozbawionych zewnętrznych okien pokojów. Do pokojów na piętrze wchodzi się z biegącej dokoła galerji górnej. Ściany wszystkich pokojów są wyłożone mozaikami i gipsowemi arabeskami.



Żony zamożnego Araba w typowych strojach.

Pokoje do przyjęć są na dole, mieszkalne na piętrze. Urządzenie jest w każdym pokoju jednakowe: składa się z kilku ułożonych na posadzce materaców i mnóstwa ogromnych, haftowanych poduszek. Czasem tylko jakaś komoda lub skrzynia dopełniają umeblowania. W średnio zamożnych domach napotyka się piękne dywany perskie, ale rodziny bogate wolą fabrykowane w Anglji importowane chodniki, kupowane na metry. Pozatem są jeszcze zegary. I to nie po jednym, ale zależnie od stopnia zamożności domu, po kilka a nawet kilkanaście. Stoją zwykle jeden obok drugiego, rozmaitych kształtów i wielkości. Dziwne uzupełnienie umeblowania! Nawet w świątyniach, czyli meczetach arabskich widzi się po kilka wspaniałych zegarów, ofiarowanych przez wiernych jako wota przywiezione z pielgrzymek.

W większych domach każda osoba ma swój osobny pokój. Dom jest własnością głowy rodziny. Oprócz pana, jego żon, dzieci i niewolnic, mieszkają w nim samotne krewne, ciotki-wdowy, kuzynki i siostrzenice. Religja mahometańska nie pozwala, by w jednym domu mieszkała więcej niż jedna rodzina, ale też rodziny te są nadzwyczaj liczne.

Wychodząc zamąż panna opuszcza dom rodziców i idzie do domu swego męża.



Obok: Herbatka w domu arabskim. U dołu: Zamężne Arabki na ulicy.



Uboga Arabka z dzieckiem.



Teść przyjmuje ją zwykle z otwartemi ramionami, ale teściowa z niechęcią i zazdrością. Koran bowiem każe kochać matkę najwięcej na świecie, więc też każdy objaw uczucia, okazany przez syna żonie, wzbudza zazdrość i oburzenie matki. Biedny małżonek nie ośmiela się w obecności matki spojrzeć czulej na żonę i rujnuje się na podarunki, które musi kupować w dwóch egzemplarzach, żeby nie budzić zazdrości i awantur między żoną i matką.



Wnętrze domu arabskiego. Kobiety przy haftowaniu poduszek.

U dołu: Rodzina zamożnego Araba.



Panny nie wybierają same mężów dla siebie. Sprawę tę załatwia ojciec, który godzi się z przyszłym zięciem co do wysokości sumy, jaką kandydat do ręki córki ma mu złożyć. Pieniądze te, w razie gdyby mąż zechciał się rozwieść, stanowią rodzaj odszkodowania.

Dziewczyna dopiero po ślubie widzi po raz pierwszy swego pana i męża, ale to tylko w teorji. W praktyce napewno zobaczy go przez jakąś szparkę w okienku, z dachu domu lub podczas wędrówki do łaźni. Narzeczony jednak w rzeczywistości nie ujrzy swej wybranki, aż po ślubie. Chociaż bywają wypadki, że sprytny a bardzo ciekawy narzeczony tak umiejętnie manewruje, że udaje mu się nietylko zobaczyć swą narzeczoną, ale nawet przemówić do niej kilka słów. Możliwe to bywa jedynie podczas wieczornych wypraw do kąpieli. Zamożniejsze rodziny wynajmują co jakiś czas łaźnię na całą noc i wtedy wszystkie, znajdujące się w domu niewiasty, nie wyłączając córek, pod opieką niewolnic idą się kąpać. Kiedy panna, otulona w zasłony przechodzi ulicą z domu do łaźni, a jest pewna życzliwości i dyskrecji swych towarzyszek, może się odważyć na odchylenie zasłony i zamianę kilku słówek ze swym przyszłym mężem, ale ryzyko takiego czynu jest bardzo wielkie, i rzadko która zdobywa się stwo.

W rodzinach ana takie bohaterrystokratycznych wszelki kontakt z panną jest wykluczony. W takich domach znajdują się własne łaźnie i pokoje kąpielowe i panna nigdy nie wydala się za progi rodzinnego domostwa i ani marzyć nie może o ujrzeniu choćby tylko na krótką chwilkę swego przyszłego męża. Daleko jest jednak owym pokojom łazienkowym w arabskich domach do łazienek w nowoczesnych domach Ameryki lub Europy. Są to maleńkie pokoiki pozbawione wszelkiego umeblowania, w miejsce którego znajduje się pod ścianą spore korytko czy wanienka. Niewolnica przynosi dwa wiadra wody, ciepłej i zimnej, panna polewa się przyniesioną wodą i na tem kończy się ceremonja kąpieli.



Grobowiec arabski z XIV wieku na cmentarzu w Fezie.

Młode arystokratki nigdy nie wychodzą z domu, nie wolno im odwiedzać swych zamężnych sióstr

ani nawet iść na pogrzeb ojca czy matki. Nie wolno im także wychodzić na tarasy, które posiada każdy dom (na dachu). Dachy tarasu są zarezerwowane wyłącznie dla kobiet, mężczyznom jest na nie wstęp wzbroniony, niema więc możliwości, by je kto zobaczył, a jednak pannom i tam nawet wchodzić nie wolno.



Zamężne Arabki na tarasie swego domu.

Arabskie dziewczęta w Maroku wychodzą zamąż w wieku lat 15-tu do 17-tu. Wychowywane w starej wierze mahometańskiej nie uczą się niczego i wszystkie, bez wyjątku nie umieją czytać ani pisać. Od rana do nocy nic nie robią, gdyż wszelkie prace domowe są wykonywane w zamożniejszych domach przez niewolnice. Panny spędzają większą część dnia na ubieraniu i strojeniu jak i na nakładaniu barwideł na twarze. Dla kogo i naco się stroją, skoro prócz rodziców, najbliższych krewnych i niewolnic, nikt ich nie widuje — to już pozostaje ich tajemnicą. Gdy panna bardzo się nudzi, bierze się do haftowania sobie wyprawy, której głównym składnikiem są niesłychanie mozolnie wyszywane poduszki, zawsze jednakowemi kolorami i wszystkie w jeden deseń. Nie pracują też i mężatki, których mężowie są natyle zamożni, że mogą trzymać po kilka lub kilkanaście niewolnic.



"Patio". Podwórko w domu arabskim w Fezie.

Zamężne Arabki mają cokolwiek więcej swobody. Tym wolno wychodzić na taras, odwiedzać krewne i w piątki przed południem chodzić na cmentarz. Żadna jednak szanująca się mężatka nie wychodzi poza próg domu bez towarzystwa jednej lub dwóch niewolnic.

Pomiędzy młodymi Arabami, którzy zetknęli się z cywilizacją francuską, jest wielu postępowo wyślących ludzi, którzy chętnie daliby więcej swobody swym żonom, ale kobiety arabskie nie są jeszcze do tego przygotowane. Były wypadki, że postępowy mąż namawiał żonę, by sama poszła do miasta i kupiła w magazynie materjału na suknię. Oburzona Arabka odpowiedziała, że nie jest niewolnicą, by sama spacerowała po mieście, a do kupowania tkanin ma dosyć służących, których obowiązkiem jest załatwianie wszelkich zakupów. Wobec takiej odpowiedzi małżonek daje za wygranę i pozostawia rzeczy po dawnemu.

Możnaby pomyśleć, że wobec tak surowego zamykania kobiet i zasłaniania ich twarzy, nieznana jest niewierność małżeńska wśród Arabek. Tymczasem owijanie się w prześcieradła i zasłanianie twarzy nie zapobiegają zdradom małżeńskim, gdyż tak mężczyźni jak kobiety arabskie odznaczają się niezwykle gorącym temperamentem i skoro nadarzy się sposobność, chętnie puszczają się na przygody miłosne. Jak potrafią nawiązywać znajomości, tego nikt dociec nie potrafi, niemniej jednak wśród małżeństw arabskich stosunkowo często zdarzają się rozwody, spowodowane zdradą małżeńską ze strony żony. Bo co do mężczyzn, tym wolno zdradzać swą żonę czy żony i nikt im tego za złe nie bierze.

Jakkolwiek koran pozwala prawowiernym na posiadanie tylko czterech żon, majętni Arabowie mają ich po kilkanaście, a oprócz tego miewają dzieci z niewolnicami i służącemi, przebywającemi w ich domach.

Prawo mahometańskie wobec dzieci nieślubnych jest bardzo wspaniałomyślne: noszą one nazwisko ojca, dziedziczą po nim i pod każdym względem są uważane za dzieci legalne. Dlatego też ślub nie ma w Maroku tak dużego znaczenia jak u nas i Arabowie nie żywią uprzedzenia do kobiet, które obywają się bez tej ceremonji. Ten stan rzeczy nie wynika z żadnych nowoczesnych poglądów, ale tłumaczy się bardzo prosto: kobieta jest lekceważona, więc ważne jest tylko, kto jest ojcem dziecka, a mniejsza o to, kim jest matka, arystokratką, niewolnicą czy służącą o czarnej skórze.

Ślubów nie wydaje w Maroku kościół ani żadna władza. Idzie się poprostu do rodziców panny młodej, ofiarowuje się pewną sumę, panna kąpie się siedem razy, rodzice zapraszają gości, odbywa się uczta i cała parada skończona. Wobec prawa śluby takie są ważne i obowiązujące.

Edward Sas

MĘCZENNIK REKLAMY

NOWELA

MISTER Whitehall był bogatym właścicielem największego przedsiębiorstwa reklamowego nietylko w New Yorku, lecz i w całych Stanach Zjednoczonych. Kierując olbrzymiem tem przedsiębiorstwem, rozwijał nadzwyczajną nawet w Nowym Świecie pomysłowość. Opiekuńcza jego dłoń sięgała na najwyższe szczyty skał, dostępne tylko dla najzuchwalszych alpinistów, a z drugiej strony na dno najgłębszych przepaści. Urządzał najwspanialsze ognie sztuczne, by ognistemi głoskami wypisywać nocą na aksamicie nieba wezwania, że trzewiki kupować należy tylko w firmie Shopkins and Company, 132-nd street. Zatrudniał młode, piękne damy, które ze szczególniejszem upodobaniem krążyły po najbardziej ożywionych ulicach i robiły oko tylko do gentlemenów o wydatnej łysinie. A gdy ośmielony tem łysek poczuł niewczesne zapały, zaraz ochłonął, posłyszawszy z ust uroczej kusicielki lodowate słowa:

— Nie wstydzi się pan?! Jak można, mając tak kompromitującą łysinę, zaczepiać kobiety? Niechże pan kupi wpierw i użyje znakomitego środka na porost włosów "Helios"... A potem zobaczymy...

* * *

Mister Whitehall, król reklamy, siedział pewnego dnia w swym gabinecie i rozmyślał, jakby to zareklamować cudowny balsam odmładzający. Nadczodził już wieczór, a Mr. Whitehall napróżno oczekiwał wciąż na natchnienie, gdy nagle z dolnego piętra doszedł go tajemniczy jakiś szelest.

— Cóż to znaczy? — przestraszył się. — Złodziej?

Sięgnął po rewolwer i zbiegł po żelaznych schodach o piętro niżej. I tu przy kasie pancernej spostrzegł podejrzanego osobnika, który z największym spokojem wykładał na stół banknoty z otwartego już skarbca.

Na widok Whitehalla złodziej usiłował dać nogę, lecz powstrzymał go rewolwer i okrzyk:

— Stać! Ręce do góry!

— Stoję już i jestem do rozporządzenia szanownego pana. Czem mogę służyć? — odparł rzezimieszek z całym spokojem.

A Mr. Whitehall zapytał:

— W jaki sposób zdołał pan tu wtargnąć? I jak potrafił pan otworzyć tę kasę? Przecież to patentowany, gwarantowany wyrób najlepszej firmy w Stanach!

— Widzi pan teraz, ile wart ten patent i ta ich gwarancja. Czytałem ich prospekt i przyniosłem z sobą najlepsze swe narzędzia zgoła niepotrzebnie. Absolutnie pewny i bezpieczny ten zamek, jak zapewnia prospekt, pękł jak zepsuty orzech.

— Tak, ale pod pańską tylko ręką, mój drogi panie. Poznaję cię teraz. Widziałem pańską fotografję w albumie policyjnym. Jestem z całem uznaniem dla pana, mister Blackwood. Jest pan pierwszorzędnym fachowcem. Włamanie u mnie byłoby niebyle jaką reklamą dla mego przedsiębiorstwa.

— No, proszę, więc okazuje się, że właściwie chciałem oddać panu przysługę. I nie moja wina, że się to nie udało. Ale czy pozwoli mi pan opuścić ręce?

— Ależ proszę bardzo — odparł Mr. Whitehall i schował rewolwer do kieszeni, albowiem zaświtała mu genjalna wprost myśl, która powinna, jak wierzył, stworzyć nowe możliwości w dziejach reklamy.

— Mój panie — zawołał, podając po przyjacielsku dłoń włamywaczowi, — czy nie zechciałby pan, o ile mu czas pozwoli, pofatygować się na górę do mego gabinetu? Chciałbym zaproponować panu pewien interes.

— Owszem. Dziś nie mam już nic do roboty.

W chwilę potem siedzieli wygodnie w fotelach klubowych, paląc doskonałe cygara.

— Tak, taki mały odpoczynek nie jest do pogardzenia. Tamtego lata była ta wystawa w San Francisco, nie mogłem więc wyjechać jak zwykle nad morze. Tyle było do roboty...

— Oddawna pan pracuje w tym zawodzie?

— Od najwcześniejszej młodości. Zawsze miałem zamiłowanie i zdolności do tej karjery. Rodzice usiłowali zrazu wybić mi to z głowy, podobnie jak kiedyś Owidjuszowi poezję. Na szczęście jednak nie udało się.

— Ale pomówmy teraz o interesie — podjął Mr. Whitehall. — O każdem pańskiem włamaniu rozpisują się szeroko wszystkie dzienniki. W ten sposób wypływa na łamy pism firma, zaszczycona pańskiemi odwiedzinami. Poprostu, nie zdając sobie z tego sprawy, oddaje pan obrabowanemu niemałą przysługę: wbija pan ludziom w pamięć daną firmę. Słowem pracuje pan dla jej reklamy. Cóżby pan powiedział, gdybym zaproponował panu serję włamań dla celów reklamowych? Rozumie się, musiałby pan ograniczyć swe odwiedziny tylko do takich firm, któreby zamówiły włamanie.

Mr. Blackwood wyjął cygaro z ust i spojrzał z podziwem na genjalnego szefa biura reklamowego. A ten, nie przerywając sobie, rozwijał dalej niezwykły swój pomysł:

— Nasi agenci wyszukają odpowiednie firmy, by zawiadomić je, że mogą zamówić u nas śmiałe włamanie, rozumie się w oznaczonym ściśle terminie i po stałych cenach. Jeżeli firma jest strzeżona, stróżów należy związać i zakneblować im usta, dzięki czemu zwykłe włamanie przemieni się we włamanie rabunkowe, a więc opłacone odpowiednio drożej. Dzienniki podniosą gwałt, zamieszczają zdjęcia, piszą o niedołęstwie policji, żalą się, że bezpieczeństwo publiczne w Ameryce jest gorsze, aniżeli w Azji...

Mr. Blackwood, przyszły współpracownik Mr. Whitehalla, poklepał go po ramieniu z uznaniem.

— Głowę ma pan niebylejaką — rzekł. — Pomysł doskonały!

— Więc jakże podoba się panu moja propozycja?

— Owszem. Przyjmuję ją.

— Każdy członek pańskiej bandy staje się pracownikiem mej firmy, otrzymuje stałą pensję i określony udział w zyskach. Pan odpowiada za swoich ludzi, by podejmowali włamanie tylko tam, gdzie mi za to zapłacono.

— Rozumie się! Nic darmo! Zostaje jeszcze tylko jedno pytanie, co będzie na wypadek, gdyby któryś z moich ludzi, albo gdybym ja sam wpadł w ręce policji?

Mr. Whitehall uśmiechnął się:

— Pocóż przypuszczać niemożliwości?

— Słusznie. A jednak w umowie znajdzie się ustęp tej treści, że jeśli ktokolwiek z naszych pracowników będzie zmuszony wycofać się na czas dłuższy z publicznego życia, wówczas po odcierpieniu kary otrzyma stosowne wynagrodzenie. Sądzę, że nie ma pan nic przeciwko temu?

Niebawem okazało się, że wykonanie pomysłu w praktyce nie zawiodło nadziei nowych wspólników. Wystarczyła rozsądna rozmowa w cztery oczy, ażeby każdy kupiec zamówił większe lub mniejsze włamanie. Dobrze wiedzieli, że czytelnik o wiele chętniej czyta opis śmiałego włamania, aniżeli najstaranniej obmyślane i wydrukowane ogłoszenie. Wszak żaden reporter nie oparł się pokusie, żeby wyliczyć jakie towary skradziono. Nawiasem mówiąc "niewyśledzeni sprawcy" musieli w myśl umowy zwrócić w każdym wypadku cały łup poszkodowanej firmie.

Nowy ten sposób reklamy przypadł do smaku również i tym firmom, które stojąc na progu bankructwa, zamawiały włamania, by wprawne ręce przeniosły im towar w bezpieczne przed komornikiem sądowym miejsce.

Nastąpiła tedy serja wspaniałych włamań na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Prasa szalała z oburzenia, oskarżając policję, żądając ogłoszenia sądów doraźnych, a nawet podniosły się głosy dopominające się stosowania samosądu. Nie przeszkadzało to wcale "niewyśledzonym sprawcom", a kupcy robili doskonałe interesy. Zwłaszcza fabryki kas pancernych i zamków patentowych, które należały do najlepszych klientów Mr. Whitehalla.

Pewnego dnia na Mr. Whitehalla spadła niby piorun z jasnego nieba straszna wieść. Przyniósł ją jeden z jego urzędników:

— Okropne nieszczęście, Mr. Whitehall. Mr. Blackwood wpadł dziś w nocy w ręce policji. Złapano go na gorącym uczynku, gdy wykonywał zamówienie firmy jubilerskiej Dicksona. Znajduje się w areszcie...

Straszliwie odczuł ten cios Mr. Whitehall. Jego przyjaciel od serca, jego prawa ręka, poprostu dusza całego przedsiębiorstwa — w więzieniu! Niezbyt miła sprawa nietylko dla niego samego, ale i dla firmy Mr. Dicksona, doskonałego klienta...

* * *

Nietrudno sobie wyobrazić, jak zdenerwowani byli obaj ci panowie wchodząc do sali sądowej, gdzie miała rozpocząć się rozprawa przeciwko groźnemu włamywaczowi. Wszak sprawa mogłaby przybrać fatalny obrót, gdyby Mr. Blackwood złamał się w ogniu krzyżowych pytan i zdradził tajemnicę poważanej dotychczas firmy Whitehall and Company.

Wprowadzono Mr. B l a c k w o o d a. Mr. Whitehall podniósł palec do oka i nieznacznie roztarł łzę. Patrzył na biednego przyjaciela z głębokiem wzruszeniem i trwogą.

Słynny włamywacz tymczasem rozejrzał się z zadowoleniem po sali, zapełnionej do ostatniego miejsca doborową publicznością, którą powołała tu wielka jego sława. Oczy jego znalazły też wspólnika i Mr. Dicksona i zdziwiły się na widok strapionych twarzy obydwu. Mr. Blackwood wpatrzył się więc w jednego i drugiego z miłym uśmiechem, jak gdyby chcąc dodać im otuchy.

A potem skłonił się najuprzejmiej, oddając hołd wysokiemu trybunałowi i kładąc rękę na sercu, przemówił:

— Wysoki sądzie! Siedząc w więzieniu śledczem, z najgłębszą skruchą rozmyślałem o niecnym swym postępku. Żałuję z całego serca, że uległem podszeptowi szatana i pragnę teraz złożyć wyczerpujące zeznanie.

Król reklamy i jubiler słysząc to, byli bliscy omdlenia.

A włamywacz mówił spokojnym, równym głosem:

— Tak, nie przeczę wcale, że dopuściłem się haniebnego włamania do firmy jubilerskiej James Dickson przy Edison street numer 546. Wiedziałem dobrze, że można było spodziewać się tam niebylejakiego łupu. Wszak firma ta od

szeregu lat cieszy się zasłużoną sławą w całej Ameryce. I nie zawiodłem się bynajmniej...

Na sali panowała niczem nie mącona cisza, Publiczność wprost wstrzymywała oddech by nie uronić jednego słówka z mowy podsądnego. Prokurator, adwokaci i sędzia z niejakiem zdziwieniem patrzyli na pogodną twarz niezwykłego mowcy.

— Gdy wyłamałem żelazne drzwi, wiodące do skarbca, stanąłem jak olśniony... Miałem przed sobą najwspanialsze w świecie okazy sztuki jubilerskiej. Najskromniejsza szwaczka mogłaby kupić tam po najprzystępniejszych cenach prześliczne klejnociki, najbogatsza małżonka króla kolei stanęłaby jak wryta, olśniona przecudnym blaskiem najwspanialszych kolij brylantowych, najcudniejszych pereł, naszyjników, istnych arcydzieł sztuki złotniczej. Zrozumiałem wtedy, dlaczego Mr. Dickson ma tak rozległą klientelę...

Mr. Whitehall i Mr. Dickson spojrzeli na siebie i pokiwali głowami z błogim uśmiechem. A w sercach ich rósł podziw dla bohaterskiego Mr. Blackwooda. Jakiż to nadzwyczajny charakter! Nawet tu, stojąc przed sądem jako oskarżony o ciężką zbrodnię, czując nad karkiem miecz ślepej sprawiedliwości, szlachetny ten mąż nie zapominał o obowiązku! I jak go wypełniał!

A mężny męczennik reklamy mówił w dalszym ciągu:

— Panowie, musiałem zamknąć oczy, olśniony tym nieporównanym widokiem. I doprawdy nie wiedziałem od czego zacząć. Czy od przepysznych zegarków szwajcarskich z dziesięcioletnią gwarancją, czy od najpiękniejszych łańcuszków i naszyjników, które tak miło otrzymywać paniom w podarunku urodzinowym od męża czy przyjaciela... Cały ten przepyszny skarbiec radbym był zagarnąć, niczego nie zostawić, bo każdy drobiazg, każda najmniejsza drobnostka, wszystko miało cechy najlepszego smaku artystycznego, a świetny blask i ogień brylantów świadczył o tem, że Mr. Dickson, właściciel tej firmy, jest najlepszym ich znawcą na świecie. Nic też dziwnego, że firma ta ma tyle zamówień ze wszystkich stanów naszego kraju, a wywiązuje się z nich niezwykle punktualnie, mając przytem ceny wprost bezkonkurencyjnie niskie... I gdy...

Panowie Whitehall i Dickson rozpływali się z zachwytu. Z trudem wstrzymywali się, ażeby nie poskoczyć ku oskarżonemu i nie chwycić go w przyjacielskie objęcia.

A on, nie przerywając "zeznań" rzucał im kiedy niekiedy triumfujące spojrzenia.

Sąd skazał Mr. Blackwooda na trzy lata więzienia, przyjął bowiem za okoliczności łagodzące szczere wyznanie i widoczną skruchę oskarżonego.

Mr. Whitehallowi udało się tuż po wyroku pomówić ze skazanym przyjacielem, którego uścisnął serdecznie, z trudem wstrzymując cisnące się do oczu łzy żalu.

— Dajmy pokój sentymentom — powiedział wówczas Mr. Blackwood. — Wie pan dobrze, że wypadek mój jest przewidziany w naszej umowie. Odsiedzę teraz spokojnie te trzy lata i za odszkodowanie, które mi pan wypłaci, kupię sobie farmę, gdzie będę zażywać zasłużonego spoczynku po wieloletnich trudach mego zawodu...

Wracając potem do domu, Mr. Whitehall, głęboko wzruszony, powiedział do Mr. Dicksona:

— Zachował się jak prawdziwy bohater... Rachunek za tę nadzwyczajną reklamę, drogi przyjacielu, pozwolę sobie przesłać panu w najbliższych dniach.



ADAM MICKIEWICZ

ODA DO MŁODOŚCI.

Bez serc, bez ducha—to szkieletów ludy:
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem,
I obleka nadzieję w złote malowidła!—

Niechaj, kogo wiek zmroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemnia
Obszar gnuśności, zalany odmętem:

To ziemia!—
Patrz, jak nad jej wody strupie 1)
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb' wali,
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali:
A wtem, jak bańka prysnął o szmat głazu!—
Nikt, nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota 2)
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę,
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele. 3)
Jednością silni; rozumni szałem,
Razem młodzi przyjaciele!—
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, 4)
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabosć bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

1) Patrz, jak na jej wody grupie.

2) Młodości! tobie jest nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi w dziele:
Serca niebiańskie nie pói wesele,
Kiedy je razem nić powiąże cnota.

3) W szczęściu wspólnem wszystkich cele.

4) I ten szczęśliwy, kto wśród zawodu
Legł świetnym wiedzion zapałem:
Bo jeśli poległ on ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu.

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze, 1)
Ten młody—zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!—
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie,
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jak piorun twoje ramię! 2)

Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!—
Dalej z posad bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory, 3)
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednem "stań się" z Bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie,
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią:

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha 4)—
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.
Oto miłość ogniem zionie:

1) Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Młodzieńcem, zdusi Centaury;
Ten piekłu ofiary wydrze,
Do nieba sięgnie po laury.

2) A jako piorun twe ramię!

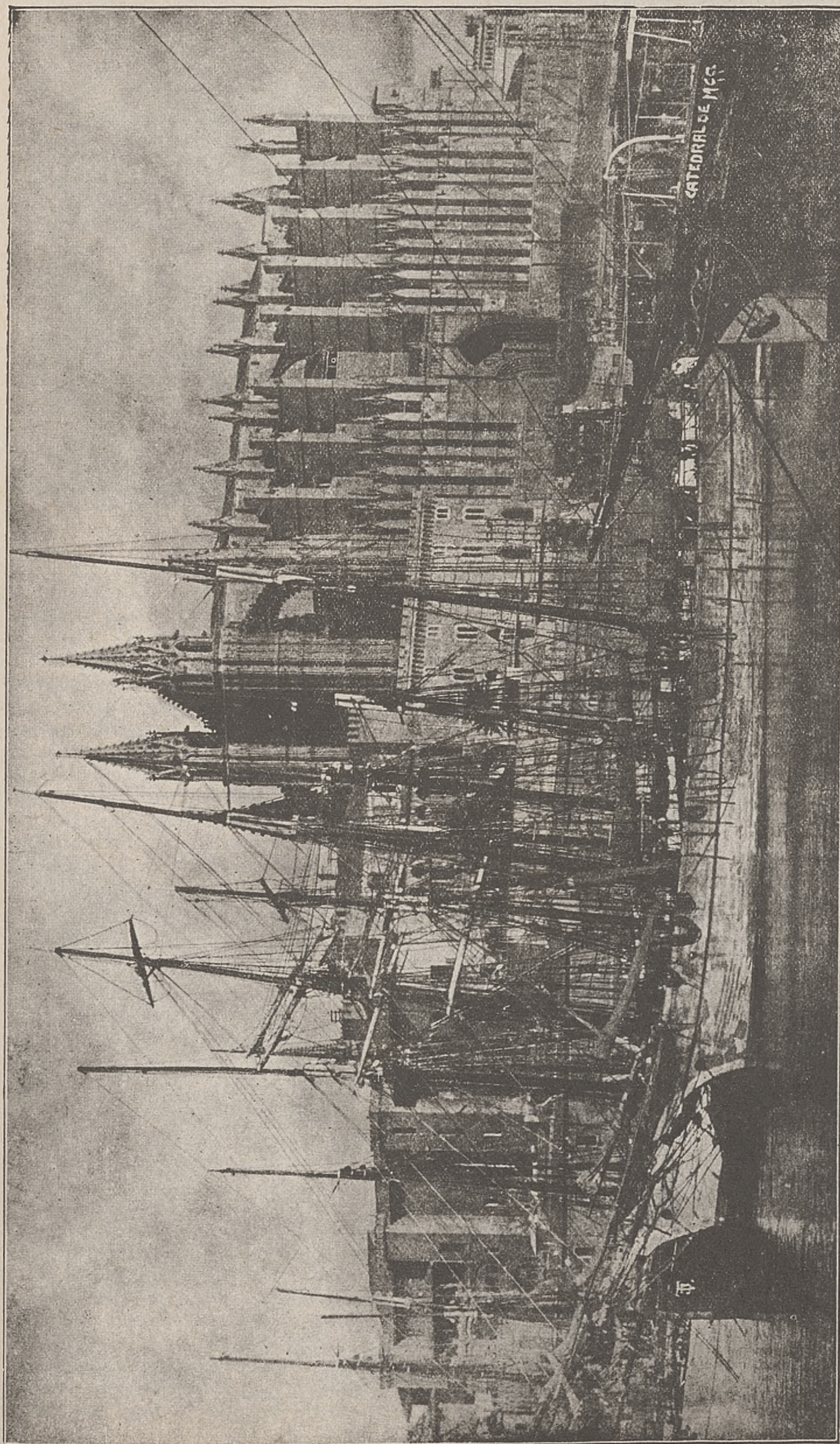
3) A spleśniałej zbywszy kory.

4) Równie i w krajach ludzkości noc głucha—
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie:
Ale młodość ogniem płonie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha;

Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swojem łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie!

Pryskają nieczułe lody.
I przesądy światło ćmiące—
Witaj, jutrzenko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!—

MAJORKA, PERŁA BALEARÓW



Majorka. Katedra w Palma.

KAŻDY, kto czytał życiorys Fryderyka Chopina, natknąć się musiał na krótką bodaj wzmiankę o pobycie jego na Majorce.

— Majorce? — zastanawia się przez chwilę zwykły czytelnik. — Co to takiego ... Góra?... Kraj?... Miasto?... Gdzie to być może?

Geografja należy do nauk prędko wietrzejących. W głowach pozostają tylko te nazwy, które często spotyka się w gazetach. A o Majorce czy kto kiedy pisze?... Nigdy, nic. Większość zatem czytelników zadowala się wiadomością, że znakomity nasz muzyk spędził czas pewien w jakiejś egzotycznej miejscowości, gdzie było mu bardzo źle i gdzie poważnie zapadł na zdrowiu.

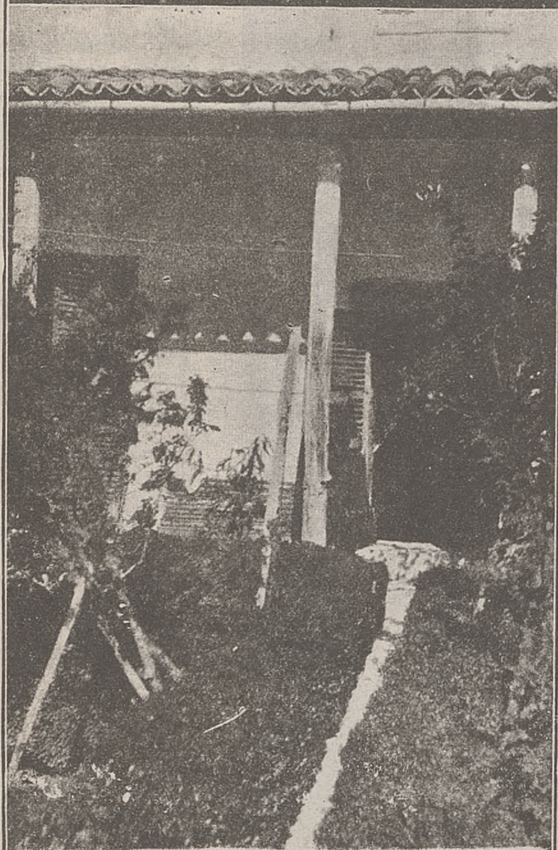
Dlatego Majorka nie cieszy się dobrą opinją w Polsce.

A przecież, to jedna z najpiękniejszych wysp na świecie. Chopin czuł się na niej niedobrze, ale nie dlatego, by tu brak było malowniczych krajobrazów. Ludzie mu dokuczyli.

Ha! z punktu widzenia prawowiernych synów Kościoła, genjalny kompozytor nie był bez winy. Był to czas, kiedy łączyły go nader bliskie stosunki z głośną powieściopisarką francuską, baronową Aurorą Dudevant, druku-



Kartuzja Valldemosa.



Dom, w którym mieszkał Fryderyk Chopin.

jącą swe utwory pod pseudonimem George Sand. Była to niewiasta bardzo wolnomyślna, walcząca o zrównanie kobiet w prawach z mężczyznami. Często nawet ubierała się po męsku i wszelką pruderję lekceważyła.

Nawet w Paryżu, przywykłym do rozmaitych wybryków i ekstrawagancyj, głośna literatka nieraz wywoływała zgorszenie wskutek nieliczenia się z opinją publiczną. Czyż miała zwracać uwagę na to, co o niej myślą jacyś tam rybacy z małej wysepki hiszpańskiej?

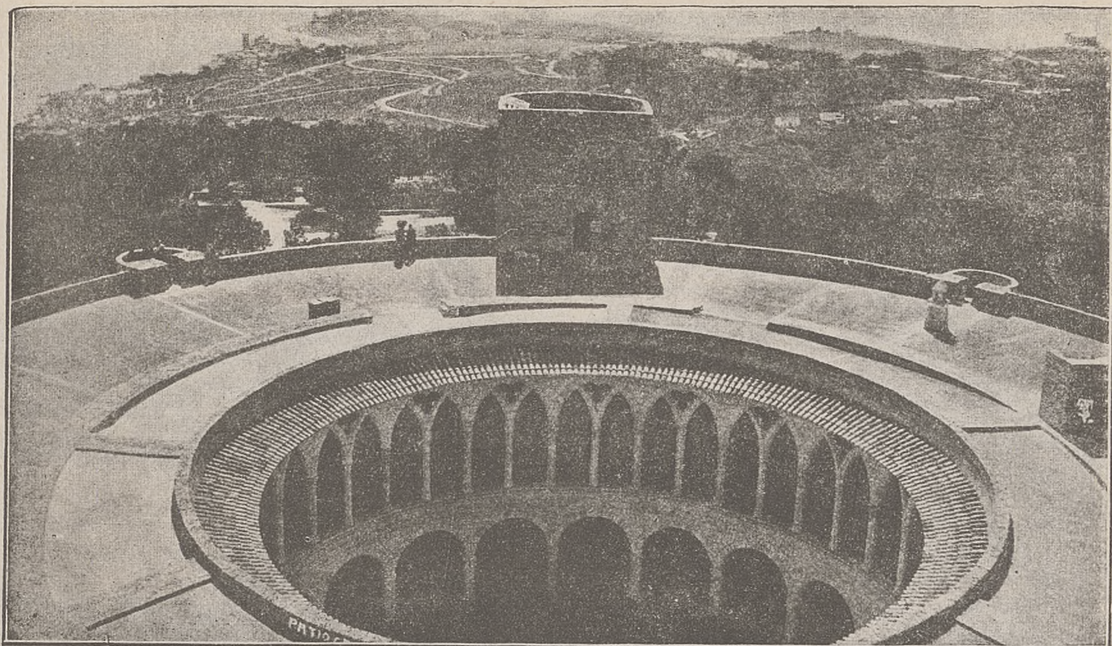
Do głowy jej to nie przyszło.

Chcąc spędzić czas jakiś ze swym przyjacielem w miejscowości jaknajbardziej ustronnej i przez tak zwany "wielki świat" zapomnianej, wpadła na pomysł zwiedzenia wysp Balearskich. Zapomniała, że jeżeli Hiszpanja słynie z pobożności katolickiej, to gorliwość jej niczem jest jeszcze w porównaniu z pobożnością ludu, zamieszkującego małe wysepki, w pobliżu półwyspu Iberyjskiego. Lud ten, wierny tradycjom, pozostaje pod przemożnym wpływem mnichów zakonu świętego Brunona, a klasztory ich, tak zwane kartuzje, ogniskują całe duchowe życie okolicy.

Nic więc dziwnego, iż para przybyszów, o których dowiedziano się, że nie są ślubnem małżeństwem, na szczególne względy i gościnność rachować tu nie mogła. Dużo musieli nachodzić się, naprosić, zanim ustąpiono im dwa pokoiki. A gdy już dach nad głową znaleźli, spotykali się na każdym kroku z szykanami i jawnemi afrontami ze strony zwłaszcza kobiet, zawsze w takich razach bezwzględnych i złośliwych.

Dziś mieszkańcy Majorki żałują swej ówczesnej złośliwości. Wiedzą już, iż gośćmi ich były osobistości wybitne, bardzo dla cywilizacji ogólnoludzkiej zasłużone i powszechną okryte chwałą. Jak gdyby dla wynagrodzenia Chopinowi za doznane tu przykrości, jednę z ulic miasteczka, w którem przebywał, ochrzcono jego nazwiskiem; pozatem przewodnicy pokazują turystom izbę, w której rzekomo mieszkał. Zdaje się jednak, iż informacja ta na niczem nie jest oparta i przypomina relikwie średniowiecznych szarlatanów.

Wogóle mieszkańcom Majorki fantazji reklamiarskiej odmówić nie można.



Starożytny zamek Castillo de Bellver.

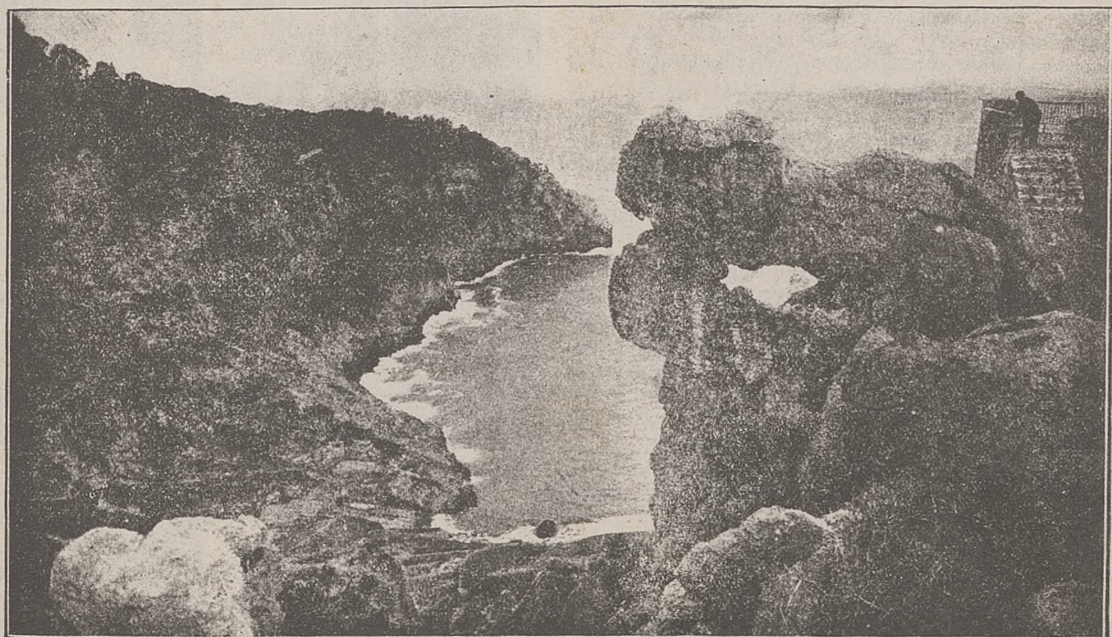
Głęboko przekonani o wyjątkowem pięknie swojej wyspy, stworzyli legendę równie ambitną, jak zabawną. Oto co opowiadają o powstaniu Majorki:

Pan Bóg — mówią, — ukończywszy tworzenie świata, postanowił zebrać razem wszystko to, co mu się najlepiej udało. Wziął więc po odrobinie każdego swego dzieła. Z jasności uszczknął część jej najpromienniejszą; z ciemności — najmroczniejszą; z gleby — najżyźniejszą; z morza — najgłębszą; z ziół — najpiękniej pachnące — i tak dalej, i tak dalej. Nawet najładniejszą parę ludzką. Zgromadziwszy te najudatniejsze okazy twórczości Boskiej, uczynił kulę i rzucił ją w przestrzeń. Kula upadła w morze, dzielące Hiszpanję od Włoch.

Tak powstała Majorka...

Jest ona największą wyspą archipelagu Balearskiego. Pozostałe, znacznie mniejsze, nazywają się: Minorka, Formentera, Iwisa, Cabrera i Conejera.

Baleary tworzą odrębną prowincję państwa hisz-



Przecudnie piękna zatoka Deyo.



Hotel "Dom kataloński".

pańskiego. Powierzchnia jej wynosi 5.014 kilometrów kwadratowych, a ludności jest tu ogółem 339.000 głów. W starożytności mieszkańcy ci słynęli jako znakomici procarze — to jest: strzelcy, używający procy. Proce owe były zupełnie inne, niż te, któremi dziś zabawiają się chłopcy. Gumy wtedy nie znano. Był to poprostu długi pasek skórzany, zwężony na obu końcach. Końce te brało się do ręki, a w rozszerzonym środku pasa umieszczano kamień. Takiej samej procy (bardzo pierwotnej) miał użyć Dawid, gdy walczył z Goljatem. Tradycja tedy wskazuje, że wyspiarze balearscy byli myśliwymi i wojownikami.

Majorka, jako największa część archipelagu, mierzy 248,000 hektarów. Tu też koncentruje się lwia część zaludnienia i tutaj leży główne miasto Palma, posiadające około 80,000 mieszkańców, wygodny port, cytadelę i dość ożywiony handel morski. Już w roku 122-gim przed narodzeniem Chrystusa istniała tu kolonja rzymska; ślady jej jednak są bardzo nikłe.

Jako miasto dość znaczne, godne jest zwiedzenia. Na uwagę zasługuje przedewszystkiem jej wspaniała katedra gotycka, zdaleka już widoczna z podjeżdżających okrętów. Pozatem Palma szczyci się szeregiem pamiątek z czasów panowania Jakóba I-go Zdobywcy, króla aragońskiego (1213—1276), który Majorkę odebrał Maurom i zapoczątkował dla niej erę chrześcijańską. Monarcha ten, zwany po hiszpańsku Jaime (czytaj: Chajme), należy do miejscowych bohaterów narodowych i pamiątki po nim z wielką czcią są przechowywane.

Znacznie jednak więcej zabytków pozostawiły tu czasy Odrodzenia (renesansu), to jest z XV-go i XVI-go wieku. Należą do nich i domy prywatne, których cechą charakterystyczną są krużganki, o szerokich, płaskich łukach, i ratusz, i wszystkie większe gmachy publiczne. Z tego też okresu pochodzą wąskie, kręte uliczki, stanowiące prawdziwy urok Palmy...



Dziedziniec zamku Castilo de Bendinat.

Nieco wzmożony ostatniemi czasy ruch turystyczny zachęcił jednoski bardziej przedsiębiorcze do budowy hoteli, na których brak mocno się skarżyła wspomniana wyżej powieściopisarka francuska, towarzysząca naszemu muzykowi. Teraz taka skarga

jużby z jej ust nie wyszła. Nie brak bowiem hoteli luksusowych, drogich, jak na przykład "Grand", "Alhambra"; a są i tańsze zupełnie przyzwoite, jak "Balear" i inne. Na szczególną uwagę zasługuje ustronny hotelik, oddalony od miasta o jakieś siedm kilometrów, noszący nazwę "Domu katalońskiego" (Cas Catala). Wznosi się on tuż nad brzegiem morza, a otacza go fantastycznie piękny krajobraz. W dodatku niedaleko stąd istnieją dwa starożytne zamki. Jeden w gruzach; drugi — cały i zamieszkany. Ów pierwszy—to Castillo Bellver, założony w drugiej połowie XIII-go wieku przez Jakóba II-go, następcę wspomnianego wyżej Jakóba Zdobywcy. Nie jest on wcale podobny do zamków północnych rycerzy; natomiast przypomina zamek Karola V-go w Alhambrze (Grenada). Cały środek tej budowli stanowi wielki, okrągły dziedziniec, ongi prawdopodobnie służący do turniejów, albo walk byków. Drugi z wymienionych zamków — to Castillo de Bendinat, wzniesiony stosunkowo niedawno w stylu nowoczesnego gotyku, z krużgankiem, otaczającym dziedziniec, wypełniony gęstym ogrodem palmowym. Na uwagę zasługują wspaniałe freski, zdobiące ściany wykwintnej jadalni. Przedstawiają one odebranie Majorki Maurom przez Jakóba Zdobywcę. Do epizodu tego przywiązana jest ciekawa legenda.

Oto król, po zwycięstwie, udał się zgłodniały do jakiegoś włościanina i zażądał posiłku. Biedak nie bardzo miał czem uraczyć dostojnego gościa. Nie posiadał bowiem nic innego, jak tylko trochę oliwek, czosnku i wina. Król nie pogardził tym poczęstunkiem, spożył wszystko, co mu dano, i rzekł na odchodnem po katalońsku: "be hem dinat" — to znaczy: zjedliśmy dobry obiad. Ze słów powyższych utworzono nazwę miejscowości Bendinat.

Umieszczenie w jadalni obrazu, przypominającego ten fakt, pono historyczny, ma oczywiście pewne symboliczne znaczenie.

Wspominaliśmy kilkakrotnie o pięknej przyrodzie Majorki. Otóż zaznaczyć wypada, że krajobraz wyspy nie jest jednolity. Część południowo-wschodnia stanowi rozległą równinę; natomiast wąski skrawek północno-zachodni najeżony jest górami. Pierwsza z tych części, o glebie żyznej, ale widokach monotonnych, nie przedstawiałaby nic osobliwego, gdyby nie przecudne groty jej wschodniego wybrzeża. Za to ów górzysty skrawek jest wręcz czarujący. Na przestrzeni 60-u kilometrów zbocza górskie, o wyraźnym charakterze alpejskim, spadają wprost ku morzu, tworząc minjaturową rivierę, pełną dziwacznie zarysowanych zatok. Nad pierwszą z nich leży w przepięknem otoczeniu starożytny klasztor, zakonu świętego Brunona, zwany kartuzją Valldemosa. Tu właśnie, po długich staraniach, pozwolono ulokować się Chopinowi i jego towarzyszce.

Kartuzja była wówczas opuszczoną przez mnichów ruiną.

Dziś jest nanowo odbudowana, posiada śliczny kościół, a renesansowy krużganek opasuje ogród, pełen drzew pomarańczowych, brzoskwiniowych i tym podobnych. Z tego to ogrodu widoczne są drzwi, rzekomo prowadzące do pokoju, zajmowanego ongi przez naszego znakomitego muzyka.

Wycieczka z Valldemosy w głąb pasma gór nad kartuzją sprawia istotną rozkosz każdemu miłośnikowi pięknej natury. Im dalej zapuszcza się turysta, tem cudniejsze ma przed oczami widoki. Malowniczość ich i fantastyczność nie daje się opisać.

Nic dziwnego, że oczarowany cudnym krajobrazem, arcyksiążę austrjacki Ludwik Salwator zbudował tu sobie w połowie XIX-go wieku willę, otoczoną ogrodem, którą nazwał "Miramar". Po pewnym czasie wystawił jeszcze drugą; tej dał nazwę "Son Marroig" (son — znaczy farma, a Marroig wymawia się po tutejszemu: Marrodż). Same gmachy niezbyt są piękne; natomiast park z widokiem na fantastycznie poszarpane wybrzeże pełen jest poezji. Ma się wrażenie, iż natura na tym skrawku wybrzeża zapragnęła zgromadzić to wszystko, co stanowi największą ozdobę kilkuset kilometrów francusko-włoskiej Riviery. Najlepsze ryciny, najdokładniejsze fotografje nie mogą dać pojęcia o uroku tych krajobrazów. Nie dadzą się bowiem powtórzyć odcienie barw nieba i morza, wciąż zmieniające się z cudownych na jeszcze cudowniejsze.

W odległości sześciu kilometrów od arcyksiążęcej rezydencji leży wioska Dey'a. Jeden z najpiękniejszych krajobrazów. Bo nigdzie na świecie nie można ujrzeć równie pięknej, jak tuż pod tą wsią, zatoki morskiej. Śród stromych skał widać białą pianę spienionych bałwanów, które — pomimo cichej pogody — kotłują się w uroczej pułapce.

Dopiero kiedy się własnemi oczyma podziwia te przepiękne szczegóły, turysta przyznaje w duchu rację autorom legendy, którą przytoczyliśmy na początku. W samej rzeczy, przyroda wysiliła się, aby wyspę tę obdarzyć tem wszystkiem, co się Stwórcy najlepiej udało.

A do tego dostraja się i klimat wyspy: zima tu łagodna, lato nie upalne. W październiku temperatura morza rozkoszna — tak, że kąpieli używać można prawie przez cały rok.

Włodzimierz Popławski

RYWALE

NOWELA

WRESZCIE bomba pękła.

Spodziewał się tego, ale nie przypuszczał, aby nastąpiło tak szybko i nagle. Marty nie było w domu. Poszła z dzieciakami do kina.

Dzwonek. Krótki a ostry. Tak zwykle dzwonią policjanci i roznosiciele depesz.

Stał tam — wysoki, rozrośnięty. Obfity, futrzany kołnierz. Stateczny "melonik", a pod rondem twarz mocna, twardo sklepiona i bystre, biegające źrenice.

— Redaktor Hubik?

Stefan kiwnął głową.

Gość zajął całą szerokość drzwi i wszedł do małego przedpokoju.

Dwie szafy, wilgocią stoczone kufry, na nich brzuchate kosze, jakiś stolik, wieszak, stos gazet. Graciarnia.

— Nazywam się Stolhoff — powiedział, zdejmując kapelusz.

Po krzyżach Stefana prześlizgnął się chłodny powiew.

— Będzie awantura — przemknęło przez mózg gospodarza.

A jednocześnie coś... jakby wstyd... Trudno rozmawiać w tej rupieciarni, a znów w pokoju — szafy, łóżka, łóżka, szafy... W kuchni... Marta poszła do kina, wszystkie statki leżą nie pozmywane.

Ba...

— Niech pan pozwoli — otworzył drzwi do pokoju, który stanowił dla całej rodziny i jadalnię i sypialnię i salon, i pokój dziecinny i wreszcie "gabinet" jego pracy.

Stolhoff wszedł. Musnął wzrokiem nieposłane łóżka, zawalone papierzyskami biurko, "pałac" dzieciaków, stół zamieniony w przedziwną wieżę babel najprzeróżniejszych przedmiotów.

Stefan podsunął krzesełko. Stolhoff nie usiadł. Stał wyprostowany, z rękami opartemi o blat stołu. Wysoki, szczupły, barczysty, o mocno brzydkiej twarzy i srebrnych skroniach.

— Czem mogę służyć? — spytał z głupia frant dziennikarz, z trudem powstrzymując drżenie głosu.

— Więc to pan jest Stefan Hubik? — oczy Stolhoffa pobiegły od nastroszonej, zmierzwionej czupryny, przez mydłem wybieloną chudą twarz, wąską, zapadniętą klatkę piersiową, okrytą futerałem wyblakłej, przybrudzonej pyjamy, aż do stóp, schowanych w przydeptanych, kraciastych pantoflach.

W głosie Stolhoffa tułało się coś, jakgdyby ironja. Twarz była jednak spokojna, opanowana. Oczy patrzyły chłodno.

— Niech mi pan powie, gdzie moja żona miała oczy, wybierając właśnie pana na kochanka?

— Czy pan mnie chce...

— Nie, nie chcę pana obrażać — przerwał Stolhoff. — Tylko niech pan sam spojrzy w lustro... Pan... kochankiem Reny!

Powieki trzęsły się nerwowo, dłoń szarpała kieszeń pyjamy. Stefan czuł, że coś nie jest w porządku. Djabli wiedzą, gdzie podział się cały tupet, cała dziennikarska swada i bezczelność, pozwalająca klepać po ramieniu choćby kardynała...

Spokój, opanowanie, równowaga...

— Więc panby chciał...

Stolhoff kiwnął głową i zaproponował:

— Tylko tu będzie nam niewygodnie mówić. Może wyjdziemy?

Stefan omal nie ucałował go z radości. Bałagan w mieszkaniu był straszny. Lada chwila mogła wrócić Marta. Komplikacje. Zresztą na świeżem powietrzu lepiej...

Czemprędzej starł mydło z twarzy, przyczesał włosy i trzęsącemi się ze wzruszenia palcami wiązał nadarty krawat.

Na dworze słał się pierwszy, wilgotny śnieg. Przed bramą stała długa, lśniąca limuzyna.

— Pojedziemy, czy woli pan przejść się?

Stefan uczuł jak rozkosznie zapada się w miękkie poduszki, motor rusza i eleganckie pudło, niby czarodziejski rydwan mknie bezszelestnie ulicami wielkiego miasta.

Ale nie... woli się przejść.

Śnieg padał cicho, okrywając wszystko białą powłoką. Pełgały nieliczne gazowe latarnie.

— Kiedym szedł tu — mówił jakby do siebie Stolhoff — spodziewałem się, że trafię na jakiegoś aroganckiego, rozzuchwalonego młokosa, którego będę musiał uspokajać ręką, ale pan... Czy pan chorował?

To już była wyraźna ironja, chociaż głos w dalszym ciągu brzmiał równo i spokojnie.

Stefan chciał odciąć się, ale Stolhoff mówił dalej:

— Lubię chodzić na amerykańskie filmy, gdzie on jest jakimś magnatem, a ona biedną ale uroczą "girl". Mnóstwo tarapatów, mnóstwo przeciwności, lecz — miłość wszystko przezwycięża i — pobierają się. Ja, coprawda, nigdy nie byłem magnatem, stałem wtedy na czele sporego koncernu fabrycznego, ona tak-

że nie była girl, ale była młoda, ładna i bardzo biedna. Przeszkód specjalnych nie spotkaliśmy, więc — pobraliśmy się. Pan, jako człowiek inteligentny, człowiek pióra, wie chyba, że jeśli mężczyzna trafi na swój typ kobiety, gotów jest dla jej przyjemności całe góry przenosić na barkach. Rena miała wszystko, czego chciała. Nie dostatek, nie bogactwo, ale — przepych. Kochałem ją. Bardziej chyba nikt nie potrafi kochać. Byliśmy, jak powiadają, idelną parą małżeńską...

Przystanął, zdjął kapelusz, otarł czoło i szedł dalej długim, wielkim krokiem. Stefan dreptał obok niego.

— Gdy mi pierwszy raz otarła się o uszy wiadomość o jej zdradzie, śmiałem się długo. Śmieliśmy się wtedy razem z tej "plotki, puszczonej przez zawistnych ludzi". Niestety, okazało się, że plotka ma ręce i nogi. Dowiedziałem się o wszystkiem. Z najdrobniejszemi szczegółami. Rena, oczywiście do niczego się nie przyznaje...

Nad miastem niebo rumieniło się łuną świateł.

— I, panie — żeby tym kochankiem był jakiś nadzwyczajny okaz męskiej urody, jakiś słynny gwiazdor filmowy, czy bokser, czy wreszcie błyszczący oficerek od ułanów. Jakiś znakomity śpiewak czy pianista, za którym wszechświatowa sława snuje się jak nieodstępny cień, no, wreszcie krezus, nabab, przy którym ja byłbym omal nędzarzem... zrozumiałbym. Ale tak...

Hubik czuł jak spokój w nim rośnie coraz bardziej, jak krzepnie, tężeje, umysł zaczyna pracować jasno, błyskawicznie. Tu nie było poco zapierać się, wykręcać. Ten człowiek wiedział wszystko.

— Przecież jeśli ta kobieta odejdzie ode mnie — skończyłem się, — mówił dalej przemysłowiec. — Ja, panie, bez niej nie potrafię nic już zrobić, zatracę zupełnie możność egzystencji... Przyszedłm do pana nie grozić, a prosić...

Głos Stolhoffa załamał się. Hubik stanął i zdumionym wzrokiem patrzał na mówiącego.

— Tak, panie. Przychodzę prosić, żeby mi pan nie odbierał tej kobiety, która jest jedynym celem mego życia. Jedyną moją otuchą... I żebym chociaż wiedział, dlaczego ona to wszystko robi, dlaczego własnowolnie odchodzi od dobrobytu, od kochającego człowieka...

Stefan uczuł broń w ręku. Teraz on był górą.

— A widzi pan... — rzekł, patrząc na Stolhoffa. — My, mężczyźni zupełnie nie znamy kobiet. Większości z nas zdaje się, że dla kobiety wystarczy piękna suknia, luksusowy apartament, służba, automobile, podróże zagranicę...

— A pan jest zdania, że "chociażby w małej chatce, byle z nim"...

— Nie, drogi panie. Ja tylko pamiętam o duszy kobiecej. Cóż pan dawał duszy swej żony?

Stolhoff stropił się.

— Jakto, przecież kochałem ją.

Dziennikarz skrzywił się ironicznie.

— I to wszystko, nie licząc, oczywiście, pięknych sukien, pysznych mebli, bezcennej biżuterji i luksusowych samochodów... O, jacyż przyziemni są mężczyźni... Przecież, panie, kobieta to istota nawskroś subtelna, to prawie cieplarniany kwiat, któremu nie wystarczą kryształowe szyby i piękne sztachetki wokół doniczki... jej trzeba słońca, poezji... Trzeba jej wyobraźnię rozpalić czarem prawdziwej sztuki, wielkiego talentu, pokazać jej, że świat nie składa się tylko ze strojów, samochodów, biżuterji, plotek i beznadziejnie nudnego, szerokiego łoża przykładnych małżonków, w którem pan i władca, z głową jeszcze niezbyt wywietrzoną po cedułach giełdowych i wekslowych protestach, będzie pieścił żonę, niczem młody słoń...

— Człowieku, co pan opowiada? Gdzież ja, przemysłowiec, który przedewszystkiem musi trzymać rękę na pulsie interesów, który musi śledzić konjunktury, miałbym czas na podobne brednie...

— A widzi pan. Więc dlatego, że pan nie ma czasu i nie potrafi, to chciałby pan, aby kobieta wyrzekła się tego, co dla niej jest równie potrzebne i drogie, jak woda dla ryby lub powietrze dla ptaka. Jeśli pan jej tego dać nie może, szuka duchowego pokarmu gdzieindziej. I tu jest właśnie rozwiązanie dręczągo pana pytania. Nie bokser, nie ozdobny oficerek od ułanów, nie krezus czy durny tenor, a skromny, ale duchowo po królewsku bogaty poeta da jej właśnie to, czego szuka.

— Ale pan przecież jest dziennikarzem...

— Co tam pan wie... Życie jest twardsze od marzeń i życie to zmusiło do dziennikarskiej orki, do pisania feljetonów, artykułów i tym podobnych bzdur. A jednak byłem, jestem i będę poetą. Pan pewno nie wie, że to właśnie ja napisałem tom poezyj pod tytułem: "Sepjowy zmrok"...

— Istotnie, nic nie wiedziałem.

—Ba, pan nie ma czasu na podobne "bzdurstwa". Pan conajwyżej jadąc ekspresem Warszawa Berlin, kupi tomik Pitigrillego, aby przeczytać kilka kartek przy stole, w wagonie restauracyjnym.

Wydostali się w gwar wielkomiejski. Szerokiemi rzekami asfaltowych jezdni płynęły długie tratwy zmokłych samochodów, gderliwie podzwaniały jarzące, czerwone pudła tramwajowych wozów, rozpaczliwie ślizgały się biedne, dorożkarskie szkapy, a po ścianach, po dachach uwieszone gdzieś, jakgdyby w czarnym niebycie, jaśniały, migotały, goniły się w syzyfowej wędrówce stubarwne ognie reklam.

Przechodzili obok jaskrawo oświetlonych szyb modnego dancingu.

— Wstąpmy na chwilę — zaproponował Stolhoff.

Hubik nie oponował.

Otulił ich ciepły, przymilny gwar. Dużo świateł, złotego szychu, szkła. Białe obrusy. Ładnie malowane kobiety. Męskie twarze wszelkiego kalibru. Fortancerki, kelnerzy, usłużniejsi od faraonowych niewolników.

Jazz...

...Piłem! Kto mówi, że nie piłem?
Butelkę wytrąbiłem...

Soda-whisky.

Stefan przypomniał sobie, że właściwie nic jeszcze nie jadł. Wrócił z redakcji nad ranem. Spał, a kiedy się obudził i przed jedzeniem, zabrał jak zwykle, do golenia — przyszedł ten. Nie wypadało przyznać się.

Wypili drugi, trzeci, czwarty...

— Pieniądz i mięśnie, to dużo, panie — perorował Hubik — ale to nie wszystko. Hm... Grunt — to dusza. Kobieta szuka duszy i dlatego żona pańska przyszła do mnie.

Po twarzy przemysłowca snuł się jakiś ledwie dostrzegalny uśmieszek.

I znów pili. Coblery, flipsy, gin... Wzrok mętniał. Wszystko otulało się wstydliwie jakąś cieniuteńką mgiełką. Jazz trzaskał synkopami, to znów pieścił czarownemi melodjami naddunajskich walczyków, czy węgierskiego czardasza.

— Niech mnie pan zrozumie, redaktorze. Ja Renę bardzo kocham, ale najważniejsze jest to, że ja sobie teraz nie wyobrażam bez niej moich interesów. Pan nawet nie ma pojęcia co to za skarb, ta kobieta, jak ona potrafi wszystko cudownie załatwić... Najbardziej skomplikowane tranzakcje, co do których nie miałem już prawie żadnych nadziei, brała na siebie i... wygrywała. Pan przecież zna takie stare polskie przysłowie "gdzie djabeł nie może — tam babę pośle", a w moich interesach często jest tak, że trzeba dostać to tu, to tam. To z tym człowiekiem pogadać, to z tamtym. Ona jest pod tym względem nie do zastąpienia, więc pan rozumie? Jeżeli ona odejdzie odemnie, ja, chyba... ja... nie wiem co zrobię...

Słowa te były dziwne, elastyczne, jak z gumy, podskakiwały do samych uszu, to znów opadały gdzieś w bezdenną przepaść. Stefan słuchał i nic nie rozumiał. Kocha, ubóstwia, żyć nie potrafi, tranzakcje, interesy, dolary, "gdzie djabeł nie może, tam babę pośle", cały długi sznur dolarów, a tuż, tuż klęczy Stolhoff i modli się:

— Zwróć mi Renę... Zwróć mi Renę...

W kryształowym, płaskim kieliszku — Morze Czerwone. Port Said, białe domki, palmy smukłe i brunatno-skóre arabki o krągłych, stromych piersiach...

— Proszę pana, redaktorze, jak mężczyzna mężczyznę: Oddaj mi Renę, ja bez niej nic... pyłek, proch marny... — gdzieś tam podskakują kauczkowe słowa. Jak też zmieniła się twarz tego Stolhoffa! Zupełnie angielski buldog... Takie same obwisające wargi, przekrwawione ślepia.

Zwróć ją. Nie... tranzakcje... Ale zawsze mąż.

Ba, mąż...

I Hubik — mąż. W domu czeka Marta. Będzie znów narzekać na fluksję...

— Tomek, Halszka, Jania...

— Agencja Stefani donosi z Buenos Ayres: wczoraj w Mida, w środkowej Wenezueli pożar zniszczył jedenaście cystern naftowych... Straty sięgają kilku miljonów dolarów... Nowe zbrodnie szaulisów... Czekam na Ciebie...

Minuta płynie za minutą dziwnie ospale i leniwie. Na wielkim kominku drgają złociste iskierki konającego ogniska. Za lodowatą taflą szyby miljonowe miasto gra przepotężny hymn życia.

...Czekam, przyjdź... Pieścić będę złoty błysk Twych źrenic ogromnych. Twe wargi słodkie i pełne...

— Co pan gada? — odzywa się gdzieś, z bardzo daleka Stolhoff.

— To z mego "Sepjowego zmroku". Rena to najbardziej lubiła, ale teraz już nie... oddaję ją panu, niech tam... Pan ją tak bardzo kocha... a może tylko jej zdolność załatwiania interesów, a ja... nie mam interesów, mam zato żonę, dzieci, codzienny feljeton i codzienne protesty wekslowe...

— A może wolno służyć panu jakąś pożyczką?

Słowo te przecisnęły się jak ryk syreny w mglistą, jesienną noc. Hubik wstrząsnął głową i spojrzał tamtemu w oczy.

— Nie, kochający mężu... NIE...

Znów pili. Całowali się. Pili. Wyszli.

Było widno. Na ulicach przeciągał się siny z zimna świt. Cieniutki nalot dziewiczego śniegu.

Stanęli na rogu.

Dyrektor długo zapalał grube cygaro. Hubik, z rękami w kieszeniach, bezmyślnie przyglądał się śladom stóp na śniegu.

W ciszy porannej, za ich plecami pękł zgrzyt otwierania bramy. Hubik zerknął lękliwie.

Z pobliskiego domu wyszedł wysoki, szczupły, przesadnie szeroki w ramionach mężczyzna, a tuż za nim — smukła sylwetka, w dobrze znanem futrze kreciem...

Stolhoff aż się pochylił naprzód. Zasłaniał ich kiosk z gazetami.

— To fordanser z Carrilonu — szepnął jakgdyby do siebie.

Mężczyzna kiwnął na przejeżdżającą taksówkę. Odjechali...

Po wąskich wargach dziennikarza przesunął się ironiczny uśmieszek. Spojrzał na zegarek:

— Psiakrew, straciłem dzisiaj feljeton i...

— Wiarę w pokarm duchowy kobiet — przyciął przemysłowiec.

Rozeszli się bez pożegnania.

Roman Orwid-Bulicz

W GRAND HOTELU

JA TU, PSIAKREW, jestem w tej Anglii zupełnie niepotrzebnie — leżąc na swojej pryczy powtarzał co chwila to samo przekleństwo nasz najmłodszy kompan.

Miał najwyżej lat dwadzieścia dwa — wyglądał jednak na starszego. Dobrze zbudowany, tęgi o bladej, niezdrowej cerze. Z zawodu był — czym się zresztą chwalił — kelnerem.

Z kraju wyjechał stosunkowo niedawno. Przez pewien czas, już w okresie okupacji rosyjskiej mieszkał na terenie Krakowa. Chwalił się też, że w czasie wojny pracował w konspiracji. Brał podobno udział w Powstaniu Warszawskim. Byłby napewno zdobył naszą sympatię, gdyby nie aż do przesady rozwinięty w nim pesymizm. Krytykował wszystko i wszystkich. Z niczego nie był zadowolony. Ponad to miał inną jeszcze wadę: Klął jak poganin. Przy każdej okazji i bez okazji... nadużywał wyrażeń ordynarnych.

Jest właśnie godzina dziewiąta wieczorem. W naszym baraku obozowym zimno, wszyscy trzęsiemy się w swoich łóżkach — i dla rozrywki narzekamy na zimę angielską.

— Ja tu, psiakrew, jestem w tej Anglii zupełnie niepotrzebnie — dzwoni zębami nasz kelner. — Do jasnej cholery z taką zimą — irytuje się coraz głośniej. — U nas w Polsce, to przynajmniej wódy jak lodu. Nawet w budce z wodą sodową dostanie...

— A jak tam z jedzeniem? — pyta ktoś z sąsiedniego łóżka.

— Jak tylko forsa jest, to i zagrycha może być taka sama jak przed wojną. Łososie, kawior, indory... co tylko dusza zapragnie.

— Dobrze byłoby w Polsce — odzywa się ktoś, — gdyby nie te prześladowania polityczne.

— Ja się tam do żadnej polityki nie mieszam — zły jak szatan irytuje się nasz kompan. — Ja jestem tylko kelner i nic więcej... nie pcham się w takie głupstwa.

Milczą teraz wszyscy i zawzięcie zaczynają się okrywać kocami. Wiatr coraz silniejszy tłucze blaszanym dachem.

— Ja tu psiakrew jestem niepotrzebnie — słyszę znowu to samo powiedzonko. Po co mi to wszystko? Ta cała przeklęta tułaczka? Może źle mi było w Kraju?...

— To poco pan tu przyjechał? — pytam się lekko poirytowany. — Niech pan wraca do Polski.

— Ba. Kiedy nie mogę — złości się i znowu klnie na potęgę.

— O co im poszło? O A. K.? — indaguję go znowu.

— O jakie A. K.? . . . Nie byłem w lesie. Jak już mówiłem, nic mnie polityka nie obchodzi.

Znowu zamilkł, następnie po przerwie klął jeszcze kilka minut i wreszcie niepytany przez nikogo zaczyna mówić:

— Byłbym siedział w Krakowie, gdyby nie ten cholerny wieczór.

— A co się właściwie stało — pytam się bez większego zainteresowania.

— Taki miałem wypadek, że niech to... — i znowu seria siarczystych.

— Niech pan opowie — pobudza go ktoś do zwierzeń.

— Kiedy wiecie panowie co?... Jak sobie to wszystko przypomnę, to się tak zirytuję, że już przez całą noc nie będę mógł zasnąć.

Zamilkł na krótką chwilę, a następnie nie pytany już przez nikogo, zaczyna opowiadać:

— To był istotnie wypadek zupełnie extra. Takiego pecha to chyba w całej Polsce nikt nie miał. — Jak już wspomniałem, było mi w tym Krakowie naprawdę dobrze. Miasto przecież moje, znałem ludzi i ludzie mnie znali. Jak tylko szkopy wyszli odrazu pobiegłem do "Grandu", pierwszorzędny hotel... Właściciel, który trzymał go jeszcze przed wojną, wrócił do interesu — a ponieważ ja tam dawniej byłem za pikolaka, odrazu więc zostałem przyjęty do pracy. W czasie wojny człowiek się wyrobił, szef więc zafundował mi z miejsca stanowisko pełnego kelnera. Zaraz pierwszego dnia — taki ruch, że sobie rady dać nie mogłem. Wóda się leje, koniaki... — rachunki jak na Sylwestra... Aż radość patrzeć. Po-



Stronica humoru



Szczera



— Powiedz mi, Liluś — zwierza się przyjaciółce panna Nina — czy, gdybyś była mną, wyszłabyś za niego?

— Gdybym była tobą, Ninuś, wyszłabym za byle kogo.

Ciekawa



— Podobno pan Nowobogacki, ku powszechnemu zdziwieniu, nie zostawił żadnego majątku.

— A tak, to prawda! Stracił zdrowie, by uzyskać majątek, a później znów stracił majątek, by odzyskać zdrowie.

Cel chybiony

K a w a l e r (zaczepiając szwaczkę): — Pani droga, pani łaskawa, na salopie pani niteczka się pozostała, czy wolno mi ją usunąć?

S z w a c z k a : — Owszem, jeżeli to panu zrobi przyjemność, ale uprzedzam go, że po tej nitce nie dojdziesz pan do kłębka.

Ręka, o którą prosił...

— Cóż to za ślady na pańskiej twarzy, panie Antoni?

— No, widzi pan, to ślady rączki mojej żony; tej rączki o którą prosiłem przed dziesięciu laty!...

Nie znosić, ale zjeść!

W gościnę do swej sąsiadki przyszła pani Marcinowa, osoba ceremonialna i grająca rolę wielkiej pani.

Gościnna sąsiadka przyjęła panią Marcinową dobrymi słowami, a gdy w chwil kilka znalazła się już przed panią Marcinową na czystym, pięknym obrusie salaterka z pachnącą swieżą jajecznicą, Marcinowa żywo zawołała:

— Ależ co pani robi?... Ja doprawdy dziękuję; ja zresztą jaj nie znoszę.

— Eh, pani Marcinowo — odpowiada sąsiadka, — tu nikt nie wymaga, żeby pani jajka znosiła... Ale zjeść parę świeżych jaj, to przecież nie tak trudno.

Kto głupi?

P a n : — Jak śmiesz mi mówić, że ci się nie kazałem budzić rano?... Kto tu z nas głupi, ja czy ty?

L o k a j : — Przypuszczam, że jaśnie pan nie trzymałby głupiego lokaja.

U wróżki

W r ó ż k a : — Widzę dla pani bardzo przystojnego i w dodatku bogatego mężczyznę, którego pani wkrótce poślubi...

K l i e n t k a : — A co mam zrobić z moim mężem?

Zmęczył się we śnie



W i e ś n i a c z k a do swego męża: — No, wstawaj próżniaku, przecież już czas!

M ą ż : — Oj, oj! Kiedy jestem tak zmęczony... tak zmordowany i nie wypoczęty!

Ż o n a : — O ty stary leniuchu! Przez całą noc chrapałeś jak zabity!

M ą ż : — No tak, spałem... chrapałem... ale mi się śniło przez ten czas, że rąbałem drzewo.

U doktora



P a c j e n t : — Dlaczegoż konsyliarz nie był na pogrzebie nieboszczyka radcy, był to pański znajomy, zresztą leczyłeś go pan przecież.

D o k t ó r : — Dlatego właśnie nie poszedłem. Widzisz pan, porządny szewc nigdy sam gotowej roboty nie odnosi do domu.

myślałem sobie wtedy, że wielki los wygrałem na loterii. Jak już mówiłem, do polityki się nie mieszam, to nie mój zakichany interes — a więc do związku mnie przyjęli, a nawet do jakiejś tam partii się zapisałem. W tydzień potem mam stanowisko — można powiedzieć — mur, beton. — Procenty lecą, codziennie przy oddawaniu kasy jeden tysiączek dla mnie... Zacząłem porastać w pióra, nowe kamasze, kapelusz, zarzutka — wszystko jak się patrzy.

— Trochę kłopotu było tylko z oficerami rosyjskimi. To, że robili czasem grandę, to dla mnie nie nowina — gorzej, że prawie z zasady nie płacili większych rachunków. Gdy wypił taki drań jedno piwo albo dwa — to rzucił potem na stół tych kilka złotych — ale gdy nażarł i napił za kilka tysięcy, to potem — taki turek — rękę ci na pożegnanie funduje, a jak mu podsuniesz rachunek, to kacap dziwi się, coś mruczy, że "zaftra" i wychodząc nawet nie spojrzy po ludzku. Z czasem musieliśmy tę sprawę załatwić z szefem. Sam przecież widział, że to nie jest "wypadek kelnerski" — tylko, że to reguła. Zgodził się więc, że cechy z pod gości rosyjskich — inkasował jako gotówkę. Jedynie nasz procent przepadał.

Widać było, że lubi wspominać te czasy, gdyż rozgadał się nieznośnie. Opowiadał o tym, ile zarabiał, co najlepiej szło, jaka wódka i jakie koniaki. Wreszcie gdy wyczerpał ten temat, wtedy właśnie posypała się cała seria przekleństw, wyzwisk i złorzeczeń. Gdy się wyzłościł na swój los; wrócił znowu do przerwanego opowiadania:

— Który z panów zna Grand-Hotel w Krakowie? — zwraca się z pytaniem do leżących na łóżkach.

— Owszem — odzywam się — mieszkałem tam kilka razy przed wojną.

— No, to już pan wie, jak tam jest — ucieszył się. — Dywany, same marmury... Jak na stosunki krakowskie — szyk pierwszorzędny. Na pierwszym piętrze apartamenty, przy każdym łazienka, jedwabie na ścianach...

Pod "czwórką", w najlepszym naszym numerze mieszkało w tym czasie dwóch kacapów. Można powiedzieć, że byli ważni. Obaj podpułkownicy, pracowali w Komendzie Miasta. My, służba wiedzieliśmy, że są "polityczni". Rzecz jasna, że cały hotel chodził koło nich jak na kółkach. Każdy się ich bał, a więc wszystko dla nich: — i kąpiel, i dodatkowe dywany, nowe portiery, nawet telefon przeniesiono tak jak chcieli, bliżej łóżka. — Jeśli chodzi o samych kacapów, to nie można powiedzieć, zachowywali się nawet przyzwoicie. Jak mi mówił portier, dziw nad dziwy— nawet rachunki hotelowe płacili regularnie. Do nas — do restauracji, zaglądali stosunkowo rzadko. Czasem na kolację, czasem tylko na piwo, ale znowu przyznaję, że honorowo. Płacili tak samo, jak i polscy. — "Muszą być jacyś lepsi goście" — myślałem o nich.

Spowrotem zaczął kląć, wreszcie poprawił się na łóżku i tak zaczął:

— Pamiętam jakby to dziś było. Akurat miałem dyżur na tak zwanych "pokojach". Rewir hotelowy bywa czasem dobry, ale czasem i tak się zdarzy, że człowiek przez cały dzień siedzi, czeka na dzwonek z numeru, i w rezultacie nic nie zarobi. Tego dnia tak właśnie było. Wszystkie pokoje milczą jak zaklęte. Minęła pora obiadu, potem czwarta, piąta popołudniu, aż nagle wyskakuje numer czwarty. — "Rosjanie" — uświadomiłem sobie. Chwytam więc za kartę i lecę na górę. Przed drzwiami zatrzymuję się, pukam elegancko i dopiero wchodzę. Obaj pułkownicy siedzą nad jakimiś papierami i widzę, że coś sobie rachują. Na łóżkach, na fotelach leżą jakieś jedwabie, sukna, gramofony, radia... Cholera wie czego tam nie było. — Gdy wszedłem nie zwrócili na mnie z początku uwagi. Chrząkam więc, macham kartą, ale nic. Czekam grzecznie. — Wreszcie jeden z nich spojrzał w moim kierunku i rzucił: — "Butelkę wódki i maszynka czarnej kawy." — Skłoniłem się tylko i zaraz zbiegam do kuchni. Zamawiam, biorę tacę, kieliszki, litrówkę najlepszej wódki, saganik z kawą, cukier, filiżaneczki, i z całym tym obstalunkiem biegnę spowrotem na górę. — Siedzą jak przedtem. Coś rozmawiają ze sobą po rosyjsku, jeden drugiemu kreśli ołówkiem w jakichś rachunkach, coś sobie tłumaczą i kłócą się. Nie zwracam jednak na to uwagi, poustawiałem wszystko na stole porządnie, jak się należy — i już mnie nie ma. — Do mojej dyżurki zaszedł szef i zaczął ze mną o czemś gadać. O ile pamiętam były jakieś różnice w bloczkach, trzeba więc było uzgodnić nasze



Stronica humoru



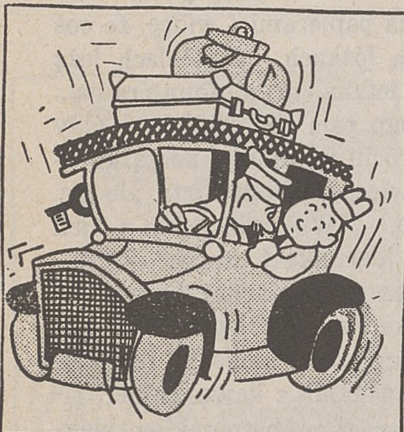
Podczas egzaminu w szkole



Nauczyciel: — Skąd to powstaje, że latem mamy dłuższe dnie, a zimą krótsze?

Uczeń: — Ponieważ pod wpływem ciepła wszystko się powiększa, zaś pod wpływem zimna wszystko się kurczy.

Dobry szofer



— A więc pan jest szoferem. A świadectwo od ostatniego swego pana, może mi pan pokazać?

— Mogę, ale dopiero za miesiąc, gdy ten pan wyjdzie ze szpitala po wypadku, jaki ostatnio z nim miałem...

W składzie aptecznym

— Ma pan coś przeciw siwym włosom?

— Nic, proszę pana, prócz najgłębszego szacunku.

Zatroskany wieśniak

Biedny wieśniak stracił najpierw swą ukochaną żonę; opłakiwał ją przez trzy dni, po czym się uspokoił...

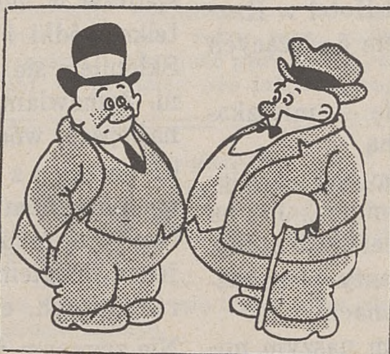
Następnie drugie nieszczęście spadło na wieśniaka: mianowicie stracił on swą krowę... I mimo, że już cały miesiąc minął od tego wypadku, biedny nasz wieśniak nie może się pogodzić z tą stratą: nie je, nie śpi i coraz bardziej upada na zdrowiu...

Duszpasterz parafii, stara się uspokoić i pocieszyć biednego wieśniaka i rzecze:

— Mój kochany... Mimo, że ciosy, jakie was ostatnio dotknęły, są bolesne, to powinniście zapomnieć i nabrać otuchy.... Zresztą sam zauważyłem, że już kilka dni po zgonie waszej najdroższej umieliście zapomnieć i się uspokoić, a teraz po stracie krowy robicie tyle historii...

— No tak, to prawda... odpowiada stroskany wieśniak. Ale to też od czasu gdy jestem wdowcem polecono i ofiarowano mi już kilkanaście kobiet, natomiast krowy, proszę księdza, nikt mi jeszcze dotąd nie ofiarował.

Trudny język

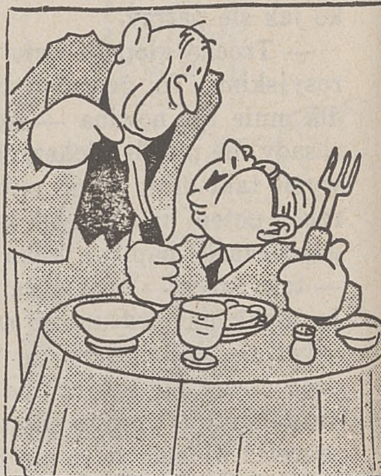


— Wie pan, który naród najtrudniej pojmuje język angielski?

— ???

— Rosjanie! Nie mogą w żaden sposób dogadać się z Amerykanami.

Wymagający gość



Gość (do kelnera): — Co to ma być?... Kurczę? Przecież to tylko skóra i kości!

— Przepraszam — odpowiada kelner — czy szanowny pan życzyłby sobie, żeby były również i piórka?

Ostrożny



Przychodzi chłop do apteki po lekarstwo dla żony i cielaka.

— Panie aptekarzu — powiada — niech pan napisze na butelkach, które dla żony, a które dla cielaka, bo jakby cielak dostał fałszywe lekarstwo, to może mi jeszcze zdechnąć!

rachunki. Czas szybko schodził i nawet się nie spostrzegłem, że upłynęła godzina. Patrzę na zegar i akurat w tym momencie wyskoczył numerek. Znowu czwarty. Chwyciłem dla fasonu serwetę i znowu po schodach do nich. Gdy wszedłem, widzę, że obaj już czerwoni, kłócą się ze sobą, a do mnie to tak jak do sługusa: — "Butelka koniaku, wódka i jeszcze raz maszynka kawy." — Widzę, że rachunek robi się nie najgorszy — cecha będzie pierwszorzędna — zbiegam więc zadowolony po nowy obstalunek. — Trzeci raz mnie wezwali — była już może ósma. Z miejsca się zorientowałem, że są gotowi. Tacy pijani, że świata nie widzą, kłócą się tylko ze sobą coraz głośniej. Tak krzyczeli na siebie, że czekałem tylko, że jeden drugiego huknie w szczękę. Ale nic — to nie mój interes. Udaję, że niczego nie widzę. — Zamawiają teraz piwo. — Piwo? Niech będzie piwo. Po koniaku i wódce wylakierują się na amen. Ale i to mnie nie obchodzi... Aby tylko rachunek zapłacili, to potem mogą sobie łby pourywać. — Z tym głupim zamówieniem miałem trochę kłopotu. Beczka akurat się skończyła, drugiej jeszcze nie nabili — biorę więc z podręcznej lodowni butelkowe i znowu lecę pod czwórkę.

Przerwał, poprawił sobie koce pod brodą, jak zwykle zaklął soczyście i po chwili znowu gada:

— Nie wiem, czy Panowie dadzą wiarę, ale jak biegłem z tym piwem, stałem jeszcze na korytarzu, a już mnie coś tknęło. Jakbym miał jakieś cholerne przeczucie. Pod drzwiami nawet nadsłuchiwałem. Patrzę przez dziurkę, ale nic — cisza. Przedtem krzyki, wrzaski — a teraz jakby ktoś makiem posiał. — Postałem przez chwilę, nacisnąłem wreszcie klamkę i wszedłem. Tym razem obaj stali nad stołem — jeden naprzeciw drugiego —i tak jak koguty patrzyli sobie w oczy. Sakramencko byli pijani, a więc kiwali się trochę. Dopiero kiedy ustawiałem to przeklęte piwo na stole, zauważyłem, że jeden z nich trzyma rewolwer, nisko, tuż nad blatem i mierzy wprost w brzuch swego "towarzysza". Nic nie gadają — sapią tylko. — "Rany boskie" — myślę sobie — "jak teraz gruchnie jeden do drugiego — to pójdę na świadka". — Trzęsącymi rękami ustawiam szklanki, butelki i zaraz chcę dać nura. Tymczasem cholerny przypadek mnie przygwoździł. Musiałem zawadzić rękawem, gdyż filiżanki posypały się na ziemię — a niech cię psiakrew... — klnę w duchu, bo przecież w takiej chwili każdego mógłby szlag trafić. — Grzebię się na ziemi, zbieram te skorupy i nagle słyszę, jak jeden bełkoce do drugiego: — "Towarisz, nie strelisz, pomnij, Stalingrad! Pomnij towarisz... " — Pomyślałem, że już jeden zmiękł, a więc pogodzą się i obejdzie się bez trupa. Pomyliłem się jednak. Mam wrażenie, że to go właśnie zgubiło, że się przestraszył. Jak gruchnie! — Aż mnie rzuciło z powrotem na ziemię. Nigdy przedtem proszę panów, nie widziałem z bliska, jak człowiek umiera od kuli. Patrzę z przerażeniem na tego, który się już chwieje, gęba mu momentalnie zbladła, mieni się w oczach, zaczyna się krztusić, nawet krzyczeć nie może, jęczy tylko i wreszcie wali się na ziemię. — Ja pod stołem, on pod stołem — cholerny świat. — Serce przestało mi bić ze strachu, niby w dalszym ciągu sprzątam te zakichane skorupy i wreszcie podnoszę się, aby chyłkiem uciec z tego przeklętego numeru. Nawet kroku nie zrobiłem, a już mnie zatrzymał. — "Nie Izia — gada do mnie — siadajcie towarzyszu." — Sam stoi jeszcze, oczy nieprzytomne, ale cholernik trzyma rewolwer w ręku.

— I co pan zrobił? — pytam się szczerze zaciekawiony.

— Co miałem robić?... — kłócić się przecież nie mogłem. Siadłem na tym samym krześle, na którym przed chwilą siedział tamten, patrzę w oczy temu, co stoi nademną... Zupełnie tak jak królik naprzeciwko węża.— Myślę tylko, kiedy on strzeli do mnie. Opamiętał się jednak, zdenerwowany, ręce mu latają, sięga po flaszkę i leje koniak do szklanek. Sobie i niby mnie... Potem podaje mi z takim dziwnym uśmieszkiem i przypija: — "No towarisz, pij. Wasze zdrowie..." — Patrzę obok na ziemię, tamten kopie już nogami... Tego psiakrew w padłospisie nie było, abym ja, kelner pił koniak na tej stypie — myślę sobie. No, ale nic... Panuję nad sobą, biorę szklankę i piję. Ten z rewolwerem także wydudlał swoją porcję i wreszcie siada na vis a vis mnie. Patrzy mi w oczy i uśmiecha się drań. Aż mi ciarki przeszły po plecach... Odrazu zmiarkowałem, że ja stąd żywy nie wyjdę. Tu już będzie mój koniec. — Próbuję jednak, na wszelki wypadek — powoli, ostrożnie, czy nie da mi się stąd uciec.

Podnoszę się z krzesła, ale on łapie mnie znowu za rękę i mówi: — "towarisz nie lzia, siadaj". — Co do jasnej cholery? — myślę sobie. — Dokąd ja tu będę siedział?... Nic jednak nie poradzę, muszę go słuchać bo przecież nie ja, lecz on ma rewolwer. Za minutę będę tak samo nogami grzebal jak tamten... — Proszę panów, z takim kacapem nigdy przecież nic nie wiadomo. Nawet głośniej odetchnąć się boję, uważam tylko na jego ręce i siedzę niby grzecznie. Cholernik znowu nalewa. Spowrotem mam pić swoje zdrowie. Upić, to ty mnie nie upijesz — pomyślałem jeszcze. — Choćbym tu ztobą beczkę wódki wychlał, to w takiej chwili nie pójdzie mi ona do głowy.

Znowu odchrząknął i znowu gada:

— Siedzimy tak naprzeciwko siebie z dziesięć minut — a on nic, tyko mruży oczy i uśmiecha się. Tamten już krwią rzyga, czasem jeszcze jęknie, ale widać, że za chwilę będzie miał spokój. — To on, ale ja?... Co za cholerna godzina, myślę sobie. — Umysł pracuje na pełnych obrotach, wszystko sobie rozważam, ale tak bez pozwolenia wyjść nie mogę. Zerknąłem tylko raz i drugi w kierunku drzwi — aby przestrzeń sobie obliczyć, aż nagle słyszę, że on cedzi przez zęby: — "Z tobą towarisz, będzie bieda...." — Aż mnie coś zatrzęsło. Odrazu zrozumiałem, że coś wymyślił. Nic jednak nie mówię, słucham, jak na sądzie — a on znowu powtarza: — "Da, da... z tobą towarisz będzie bieda... — Za gardło mnie coś złapało. — Dlaczego — pytam się nieswoim głosem — co ma być ze mną? — Kacap mruży oczy i znowu cedzi:— "Boś ty ubił oficera... Ty zastrzelił pułkownika... ty pójdziesz pod sąd..."

— I jak się pan z tego wykaraskał? — pytam się szczerze zdumiony.

— Panie... to była łaska Boża. Ani okiem nie mrugałem, tylko na wszystko się zgadzam. — "Prawda — mówię — ja zabił... nie zaprzeczam, ale ja towarzyszu pułkowniku musiałem go zastrzelić w waszej obronie. Inaczej to on by was ubił..." Zbój popatrzył na mnie, coś sobie pomyślał — wreszcie uśmiechnął się i znowu rozlewa resztę koniaku. — "Da, da... — gada do mnie — ty mądry... ty masz rację... Ty go musiał ubić... Ja ciebie będę bronił, oświadczę, że ty musiał..." '— Potem funduje mi szklankę i jeszcze raz przypija. — Znowu sobie golnąłem, obtarłem usta i myślę tylko jak się z tego interesu wykręcić. Patrzę — łotr bierze czapkę z łóżka i do mnie: "No pajdziom... pajdziom w komendę... Ja cię zaprowadzę... Powiem jak było... Spiszą protokół i może, może... może ciebie puszczą..." — Co było robić? Wstaję także i jestem gotów. Możemy iść. On mnie na korytarzu łapie za rękę, abym mu nie uciekł. — Zaczynam się więc tłumaczyć, że ja się niczego nie boję, że pójdę spokojnie, bo przecież wierzę, że nic mi nie grozi, gdy on, pułkownik będzie za mną świadczył. — Znowu mnie pochwalił, że ja "mądry". — Schodzimy już teraz obok siebie po schodach i dopiero jak byliśmy w portierni mówię do niego, aby na mnie poczekał. Muszę przecież zrzucić ze siebie biały kitel, wziąć płaszcz i czapkę. Skoczę na moment tylko — nawet minuty nie będzie trwało.

— No i co? — denerwuje się ktoś z ciekawości.

— Nic. Co miało być... — Głupi kacap włożył obie ręce do kieszeni od spodni i czeka. Ja tymczasem przebiegłem przez salę, potem na korytarz, przez kuchnię, — wypadłem na podwórko, brama była zamknięta, więc przez mur, na inną ulicę — i jak dałem chodu, to się dopiero w domu zatrzymałem. Ale i tutaj nie straciłem jeszcze głowy. Chwyciłem co najważniejsze i już na tę noc przeniosłem się do kolegi. Mieszkał akurat o trzy domy dalej... Jak wrócił w nocy — opowiedziałem mu wszystko jak było i obaj zaczęliśmy się naradzać. Zdaniem jego trzeba było przeczekać, aby zobaczyć, co z tego wyjdzie.

— No i co? — poddałem.

— Wyszło. Zaraz na drugi dzień rano, ten dom gdzie poprzednio mieszkałem, obstawiło kacapskie wojsko, milicja, bezpieka... Szukali kelnera, który zabił rosyjskiego "generała". Widocznie ten tam na ziemi w hotelu, przez tę noc już zaawansował — uśmiechnął się sarkastycznie. — Dla mnie jednak nie było innej rady, tylko musiałem wiać. I to już... — Macie panowie pojęcie?... Rzucić takie pierwszorzędne stanowisko?... Już takie drugie w życiu mi się nie zdarzy... — Bez papierów, bez żadnych kontaktów, tak prosto na zielono — aby tylko nie popaść w ich ręce.

— No i co dalej? — zapytał ktoś z kąta.

— Ażebym to ja sam wiedział, co będzie dalej — odwarknął ze złością.



Stronica humoru



Nie pokazał się więcej

— A gdy powiedziałaś twojemu narzeczonemu, że nie będziesz miała żadnego posagu, jaka była jego reakcja.

— Już więcej go nie widziałam!...

Nic z tego nie ma

— Winszuję! Dostałeś pan jak słyszę, podwyżkę zarobku...

— Tak jest... dostałem istotnie, ale nic z tego nie mam. Mówię często przez sen i żona moja dowiedziała się o wszystkim.

Daje więcej



Matka do córki, która uczy się grać na fortepianie:

— Zosiu, ty powinnaś częściej grywać, by nabyć więcej wprawy... Przyrzekam ci 5 franków za każdym razem gdy będziesz grała na fortepianie...

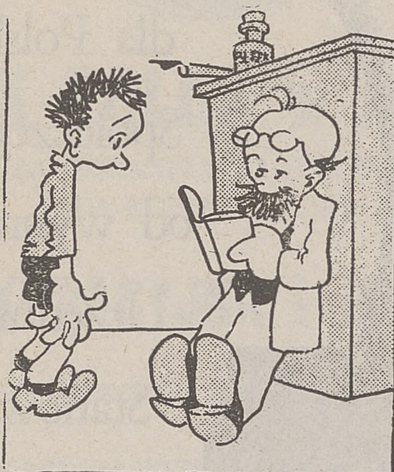
Zosia: — A sąsiadka obok przyrzekła mi 10 franków, jeżeli nie będę grała...

Skąpiec

Żona skąpca leży w łóżku ciężko chora, a gdy wieczorem stan jej staje się krytycznym, mąż skąpiec wychodzi po lekarza, mówiąc do chorej:

— Idę poszukać lekarza... Ale gdyby przed naszym przybyciem miałabyś umrzeć, wtedy nie zapomnij najpierw zgasić światło w pokoju...

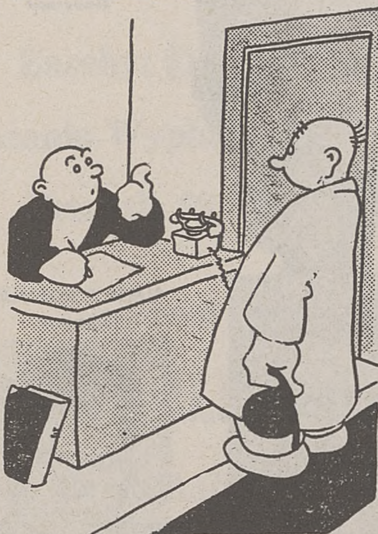
W szkole



Nauczyciel: — A więc grzyby rosną w miejscach wilgotnych.

Uczeń: — To też mają wygląd małych parasoli...

Wytłumaczył mu



Pewien chłop ubezpieczył swój dom od ognia. Agent wręczył mu polisę a chłop spytał:

— Cóż bym tedy dostał, gdyby mój dom jutro się spalił?

— Około trzech lat więzienia! — odpowiedział agent.

Prosta rada

Pewien amerykański rolnik zwrócił się o poradę do gazety rolniczej w sprawie konia, który, jak twierdził ów rolnik, raz chudnie i traci siły, a po kilku dniach znów wraca do sił i dobrego wyglądu.

Redakcja odpowiedziała:

— Skorzystać z okresu gdy koń będzie przy siłach i dobrego wyglądu i sprzedać natychmiast!

Nagrobek winiarza

Tu leży prawy handlu syn.
Był fabrykantem starych win!
Oby mu lżejsza była glina.
Niż gościom jego stare wina.

Podarunek weselny



— Ja ofiarowałem nowożeńcom serwis porcelanowy na 12 osób.

— A ja sito do herbaty na 24 osoby.

Czas i miłość

Narzeczony (do wybranej serca) na spacerze: — Panno Stefanio, proszę ostrożnie, bo kamień!

Rok po ślubie: — Uważaj, na miłość Boską, bo kamień!

Pięć lat po ślubie: — Gdzie leziesz, gapo ty, czy nie widzisz, że kamień!

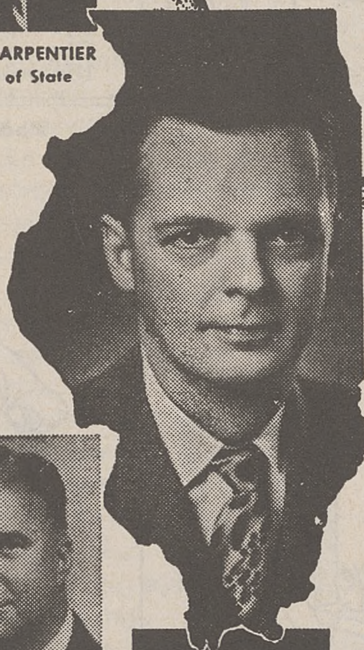


JOHN WM. CHAPMAN
Lieutenant Governor

Pozdrowienia dla Polskiego Społeczeństwa od wybranych Urzędników Stanowych



CHAS. F. CARPENTIER
Secretary of State



WILLIAM G. STRATTON
Governor



VERNON L. NICKELL
Superintendent of Public Instruction



ORVILLE E. HODGE
Auditor



LATHAM CASTLE
Attorney General

ELMER J. HOFFMAN
Treasurer





EARLE B. SEARCY
Clerk of the Supreme Court

ARLINGTON POLO FARM
ATHLETIC DEPT.
BOXING PROGRAM
BOYS' CAMP
CISCA
CISCA NEWS
CYO INTERNATIONAL OFFICE - BELGIUM
HELICOPTER SERVICE
LEWIS COLLEGE OF SCIENCE AND TECHNOLOGY
MEDICAL AND DENTAL SERVICE
MISSION OF OUR LADY OF MERCY
MUSIC DEPT.
NURSERY AND EXTENSION PROGRAM
PILOT GUIDE DOG FOUNDATION
PUERTO RICAN PROGRAM
READING SERVICE
RECREATION DEPT.
ST. BENET'S LIBRARY
SCOUTING PROGRAM
SHEIL FORUM
SHEIL GUIDANCE CLINIC
SHEIL HOUSE
SHEIL INSTITUTE
SHEIL SCHOOL OF SOCIAL STUDIES
SOCIAL SERVICE
SPEECH SERVICE
SURVEY MAGAZINE
TODAY MAGAZINE
TRAINING SCHOOL FOR NUNS AND SEMINARIANS
VACATION CENTERS
WFJL - FM RADIO STATION
WFJL INTERNATIONAL PRESS SERVICE
WEST SIDE COMMUNITY CENTER

The Catholic Youth Organization
Salutes
The Polish National Alliance
On 70 Years Of Distinguished Service
To Polish Speaking Americans



THE CATHOLIC YOUTH ORGANIZATION, AT THE DIRECTION OF BISHOP SHEIL, HAS ESTABLISHED AND MAINTAINED A CYO PROGRAM FOR POLISH PERSONS IN BELGIUM. "AID TO THESE UNFORTUNATE VICTIMS OF TYRANNY" IS THE BISHOP'S CALL OF MERCY AND JUSTICE.



EVERY RACE AND CREED

For Youth Everywhere!



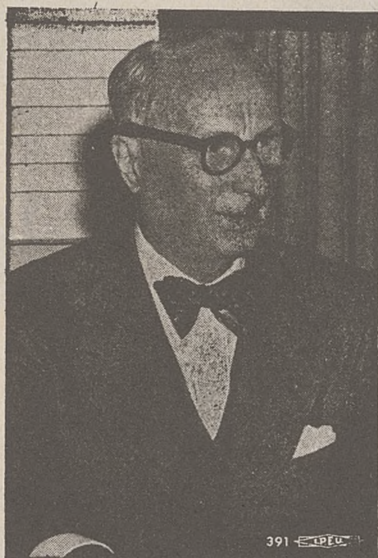
THE MOST REV. BERNARD J. SHEIL, D. D.

Auxiliary Bishop of Chicago

Founder and Director-General Catholic Youth Organization



Do widzenia! W dalszej pracy politycznej i społecznej



Edmund K. Jarecki



W roku ubiegłym ustąpiłem ze stanowiska sędziego powiatowego w Cook County, będącego siedzibą miasta Chicago. Powiedziałem wszystkim znajomym, przyjaciołom i tym, którzy na mnie lojalnie w 40 latach mej służby publicznej głosowali, słowa pożegnania:

DO WIDZENIA!

Ale słowa te nie oznaczają, bym się wycofywał zupełnie z życia publicznego, przeciwnie, w dalszym ciągu będzie mnie interesowało wszystko co polskie i co amerykańskie, co dotyczy dobra oraz interesów biednego człowieka i człowieka z ludu, gdyż i ja z tego ludu wyszedłem, a wszystko co posiadałem zawdzięczam mym własnym siłom i własnym wysiłkom. Odchodząc więc ze służby publicznej nie żegnam się z Wami, przyjaciele, gdyż dalej będę z Wami, we wszystkich poczynaniach narodowych, patriotycznych, społecznych i politycznych, będę z Wami w jednym wspólnym szeregu, zawsze gotów do pracy dla wspólnego dobra!
Jestem duchem i ciałem z Wami w każdej dobrej sprawie i w każdem dobrem przedsięwzięciu!

Edmund K. Jarecki

PARAFIA ŚW. WOJCIECHA

Jedna z Najstarszych Parafii Polskich w Chicago



KSIĄDZ KANONIK KAZIMIERZ GRONKOWSKI, Proboszcz

Oraz Księża Wikarzy:

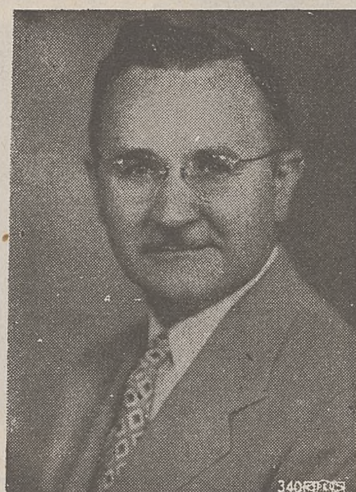
Ks. Zygmunt Andryaszkiewicz
Ks. Ryszard Jung
Ks. Władysław Słowiak
Ks. Jan Kalata

Życzenia
Dalszego Rozwoju
Związku Narodowego Polskiego
Oraz Powodzenia
Dla Związkowców i Związkowczyń
w Roku 1955

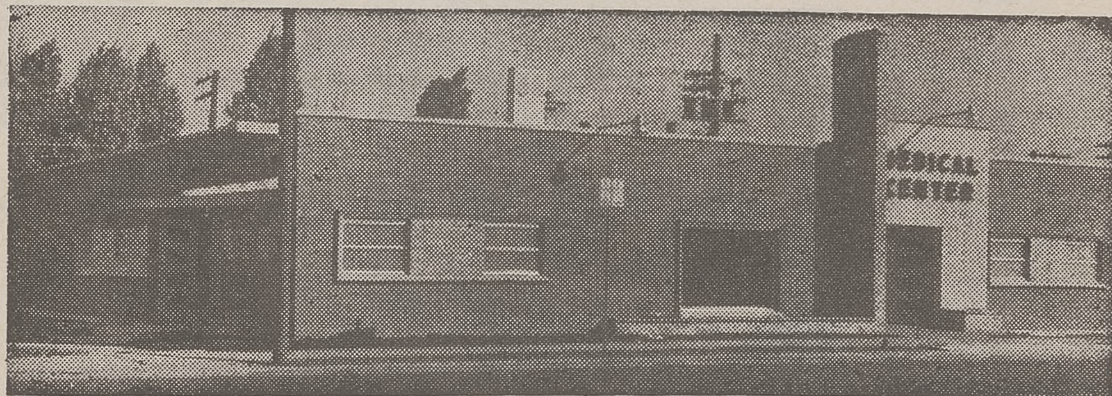
składa

Dr. W. A. SADLEK

LEKARZ NACZELNY Z. N. P.



DR. W. A. SADLEK
Naczelny Lekarz Z. N. P.



Budynek Centrum Medycznego Dr. W. A. Sadleka, 4460 Archer Ave., Chicago, Ill.

W budynku Klinik znajdują się następujące wydziały: Medycyny, chirurgii, oczu, uszu, gardła, płuc i serca, alergii endokrynologii ortopedyki, prześwietlania promieniami Roenegena, fizioterapii i t. d. Na czele wydziałów są wybitni specjaliści—uznani przez władze stanowe i medyczne tego kraju.



Helena Chrzanowska

KSIĘGARNIA

POLISH AMERICAN BOOK COMPANY

pnr. 1136 Milwaukee Ave. Chicago 22, Illinois

poleca najnowsze książki powieściowe, naukowe, podręczniki szkolne—przybory biurowe, maszynki do pisania—pocztówki na wszelkie okazje oraz piękne i gustowne rzeczy z porcelany, bursztynu i korali. Ładne wełniane chusty w kwiaty i perskie desenie. Opłatki Wigilijne.

Helena Chrzanowska i Maria Sielska
właścicielki



Maria Sielska

INSTYTUCJA OSZCZĘDZAJĄCYCH I WŁAŚCICIELI DOMÓW.

DLA DOBRA, BEZPIECZEŃSTWA I LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI WASZEJ CAŁEJ RODZINY, OSZCZĘDZAJCIE W TEJ NOWO-PRZEBUDOWANEJ i POWIĘKSZONEJ POLSKIEJ INSTYTUCJI SPÓŁKOWEJ, KTÓRA DAJE WAM DOBRY ZYSK i NAJLEPSZĄ GWARANCJĘ RZĄDOWĄ.



ZARZĄD OBECNYCH URZĘDNIKÓW:

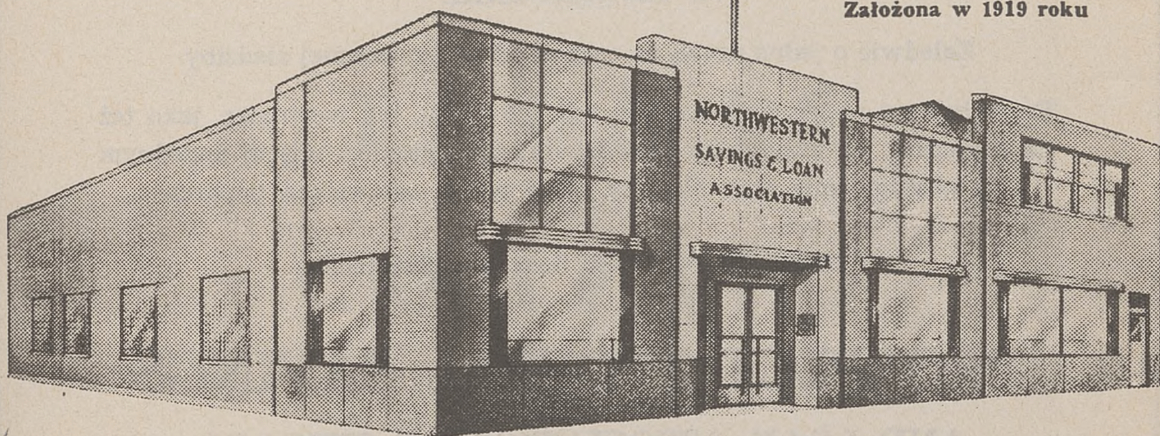
Od lewej do prawej: Wm. Nawrocki, Dr. P. Włodkowski, S. Pomys, J. C. Grzemski, C. J. Dankowski, S. J. Cynkar i S. Pyatt,



PŁACIMY
3% DYWIDENDY



INSTYTUCJA
Założona w 1919 roku



NORTHWESTERN SAVINGS & LOAN ASSOCIATION

2300 N. WESTERN AVE. CHICAGO 47, ILL.

J. P. GRZEMSKI — Prezes

1880 ★ ★ ★ ★ ★ ★ 1955

JUBILEUSZ 75 LECIA

ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO

POWINSZOWANIA

— i —

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

— od —

THOMAS
and
COMPANY

Investment
Securities

ALCOA BUILDING

PITTSBURGH, PENNSYLVANIA

1880 75-ty JUBILEUSZ 1955

POWINSZOWANIA
DLA WSZYSTKICH CZŁONKÓW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
Z OKAZJI
WASZEGO 75-LETNIEGO JUBILEUSZU

O'MALLEY & McKAY, Inc.

GENERAL INSURANCE

222 W. ADAMS ST.

Pokój 800

WSZYSTKIE TELEFONY

CEntral 6-5206

CHICAGO, ILLINOIS

Wypełniamy Recepty Sumiennie Również Na Wysyłkę Do Polski



POLSKA APTEKA
WIECZOREK DRUG CO.
W. W. WIECZOREK, Ph. G.
1174 Milwaukee Ave., blisko Division
Sprzedajemy Zioła z Gór—Harcu
Środek na Przeczyszczenie. Cena $1.00
Z przesyłką, $1.15
Tel. HUmboldt 6-2671 **Chicago, Ill.**
WYSYŁAMY LEKARSTWA DO POLSKI

APTEKA GŁOWACKIEGO
Z. Głowacki, R. Ph.
1053 Milwaukee Ave. Tel. BRunswick 8-4735
Wypełniamy Recepty
Szybko dla Wysyłki do Polski

POLSKA APTEKA
J. GAPIŃSKI PHARMACY
Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski
814 No. Ashland Avenue
Telefon HAymarket 1-9413

KAZIMIERZ CABAŃSKI
APTEKA—PHARMACY
Chicago 22, Illinois
1147 N. Ashland Ave. SPaulding 2-2460
RECEPTY Z POLSKI WYPEŁNIAMY
Wszelkie inne lekarstwa i zastrzyki
Po cenach najniższych. Proszę pisać po ceny.

POLSKA APTEKA
Eugene Prescription Pharmacy
PRESCRIPTION CHEMIST
E. S. KWAŚNIEWSKI, R. Ph.
Właściciel
1620 W. 18-ta Ulica Tel. CAnal 6-9846
Jedyna Polska Apteka Na Wojciechowie

POLSKA APTEKA
KRAMARCZYK
WYPEŁNIA RECEPTY
Otwarty codziennie od 10 rano do 10 wieczorem.
W niedziele od 10 rano do 2 po południu.
3101 N. MILWAUKEE AV. JUniper 8-9785

POLSKA APTEKA
KAZIMIERZ KAWECKI
Właściciel
Wypełniamy Recepty Szybko i Sumiennie
i na Wysyłkę do Polski
1912 N. Damen Ave. Tel. EVrglade 4-9834

POLSKA APTEKA
Superczyński Pharmacy
3156 South May St. Tel. VIrginia 7-9600
V. H. Superczyński, właściciel

POLSKA APTEKA
MADURA PHARMACY
6001 W. Diversey Ave. BErkshire 7-5929
Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski
Chicago, Ill.

HARRY ADAMS
Właściciel Pierwszorzędnej Apteki
gdzie z całą dokładnością wypełniamy
wszelkie Recepty Lekarskie, a także i z Polski
2252 N. Western Ave. Tel. HUmboldt 6-9455

PARNELL PHARMACY
525 W. 123rd STREET PUllman 5-6371
Charles & A. J. Niezgodzki, R. PHs.
Wypełniamy europejskie recepty

POLSKA APTEKA
DUDEK PHARMACY
Wojciech Jerzy Dudek, właściciel
1801 WEST 35-ta ULICA. Tel. VIrginia 7-9611
Wypełniamy Recepty Wszystkich Doktorów










14th WARD
REGULAR DEMOCRATIC
ORGANIZATION

4713 South Halsted Street

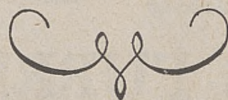
SENATOR DONALD J. O'BRIEN
Ward Committeeman

JUDGE JAS. J. McDERMOTT

ALD. JOSEPH P. BURKE

JUDGE JOSEPH B. HERMES

FRANK SMITH
State Representative



SĘDZIA SĄDU MIEJSKIEGO

Eugeniusz L. Wachowski

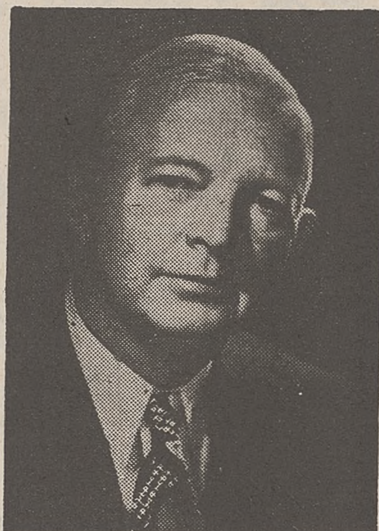
Przez wiele lat pracował jako

SZEF WYDZIAŁU SPRAW CYWILNYCH

W Biurze Doradcy Korporacyjnego
Miasta Chicago

1880 ✤ ✤ ✤ 1955

**POWINSZOWANIA
I NAJLEPSZE ŻYCZENIA
Z OKAZJI WASZEGO 75-GO JUBILEUSZU**



MARTIN H. KENNELLY

MAYOR
MIASTA CHICAGO

WASZE PELERYNY STOLES LUB ŻAKIETY

Nowe futra, wielki wybór wszelkich skórek i odcieni.
Lay-away Plan



Darmo odbiór i dostawa
Chętnie kosztorysy.

BElmont 5-7360

Polscy Kuśnierze

Przeróbki i zmiana stylów przez naszych fachowych kuśnierzy, czynią Wasz płaszcz futrzany jak nowy! Cena jest zadziwiająco n i s k a. Oddajcie nam do zmiany stylu wasze futra i przechowania ich przez lato.

Wszystkie Futra Ubezpieczone w czasie naszego posiadania.

LIS FURRIERS

Ed. Kolasa, Właściciel

4455 W. DIVERSEY AVE.

PRESCRIPTIONS

Filled Promptly & Accurately

Kostanski

PRESCRIPTION CENTER

Do Polski i innych krajów starannie i dokładnie wypełniamy recepty, pakujemy i wysyłamy wszelkiego rodzaju lekarstwa.

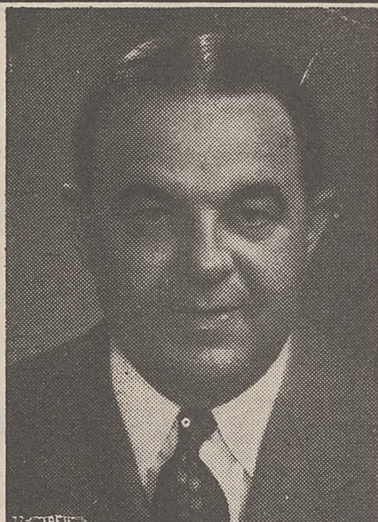
ZAWODOWA OBSŁUGA

700 NORTH ASHLAND AVENUE

Phone MOnroe 6-4444   Chicago 22, Ill.

Reg. No. 16781

JOSEPH E. KOSTANSKI, R. Ph.



William G. Milota

SKARBNIK MIASTA CHICAGO

oraz Kandydat Demokratyczny na

BAILIFF OF THE MUNICIPAL COURT

Członke Związku Narodowego Polskiego
Freedom of Fatherland Society, Grupa 1574

Jest jednym z tych, który dzięki swym zdolnościom i uznaniu wybija się na coraz wyższe stanowiska. Teraz pełni zaszczytny urząd skarbnika miasta Chicago. Należy mu pogratulować i życzyć powodzenia.



Poborca Cła Portu Chicagoskiego

Franciszek Peska

REPUBLIKAŃSKI KOMITYMAN
35-TEJ WARDY
W CHICAGO, ILLINOIS

Referendariusz Sądu Okręgowego
(Master in Chancery)

Serdeczne Życzenia
Całej Polonii
w Stanach Zjednoczonych

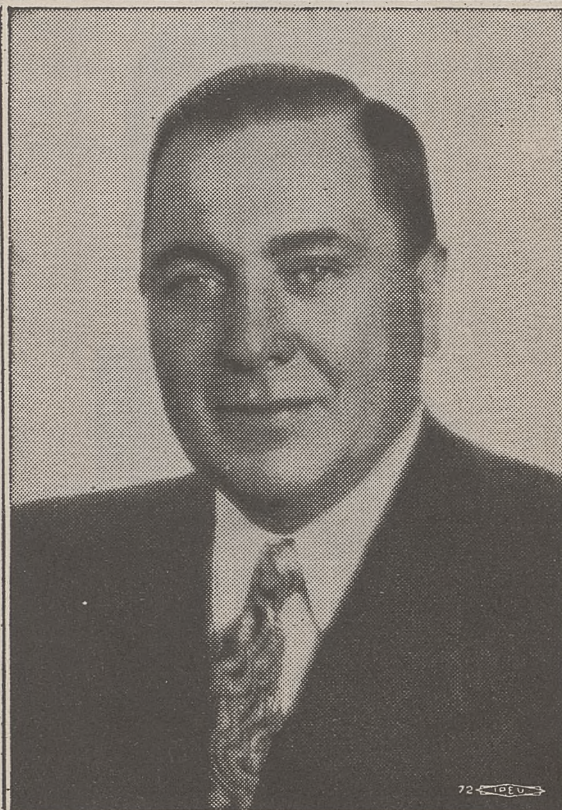
składa

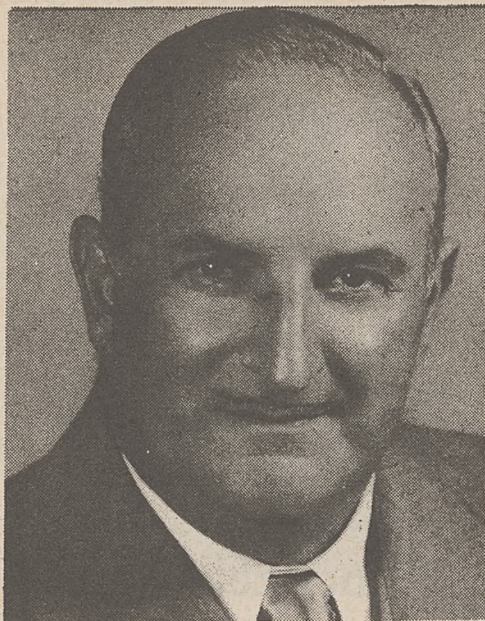
RICHARD J. DALEY

County Clerk Sądu Powiatowego

Cook County, Illinois

Chicago, Ill.





POWODZENIA ŻYCZY

EMIL V. PACINI

ALDERMAN 10-EJ WARDY
I COMMITTEEMAN





B. W. LESNIAK

REALNOŚCI, HIPOTEKI, INWESTYCJE
ASEKURACJA, BUDOWA
NOTARIUSZKA PUBLICZNA

Biuro w śródmieściu:
188 WEST RANDOLPH STREET
Telefon CEntral 6-6152

Brighton Park:
4268 ARCHER AVENUE
Telefony LAfayette 3-5784-5785
Chicago 32, Illinois



JOSEPH F. ROPA

Recorder of Deeds
i Demokratyczny Komityman 21-ej Wardy



Wielce Popularny w Swej Walce

o sprawiedliwość dla ludu naszego i dla dobra obywateli miasta Chicago w Radzie Miejskiej jest

REGINALD DU BOIS

Alderman
9-ej Wardy



Franciszek Bobrytzke

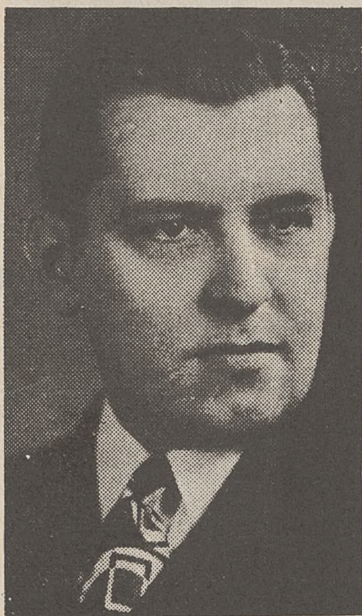
KOMISARZ
POWIATU COOK

WALTER J. LABUY

Sędzia

Sądu Federalnego

Chicago, Illinois



SIGMUND J. STEFANOWICZ

SĘDZIA SĄDU MUNICYPALNEGO W CHICAGO

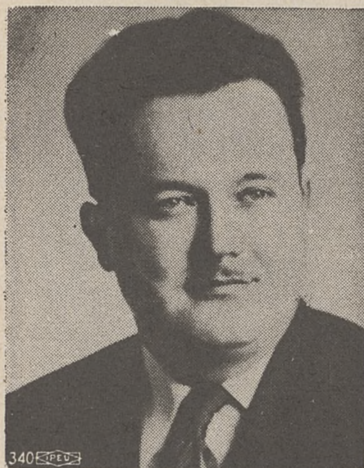
Serdeczne Życzenia
Całej Polonii

składa

Daniel D. Rostenkowski

Senator
27-go Dystryktu
Stanu Illinois





SERDECZNE ŻYCZENIA POWODZENIA W ROKU 1955 WSZYSTKIM BRACIOM I SIOSTROM ZWIĄZKOWYM ORAZ CAŁEJ POLONII

SKŁADA

Alojzy A. Mazewski

DYREKTOR

Związku Narodowego Polskiego

Niech Rodziny Wasze będą zawsze zdrowe. — Z naszej strony zapewniamy Was o pomocy w Waszych wszelkich poczynaniach i staraniach

REGULARNA REPUBLIKANSKA ORGANIZACJA 33-EJ WARDY

FREDERICK B. RESAG,
Komityman Republikański 33-ciej Wardy

JOHN B. BRANDT,
Alderman 33-ciej Wardy

TEODOR SZCZEPAŃSKI,
State Central Komityman

CARL O. MILLER,
Stanowy Reprezentant

Serdeczne Życzenia

Dla Całej Polonii



T. P. SHEEHAN

Member of Congress
11th Congressional District
Chicago, Illinois

Serdeczne Życzenia 1955



ANTHONY A. OLIS

President Sanitary District

JOHN C. MARCIN

Demokratyczny Komityman 35-tej Wardy

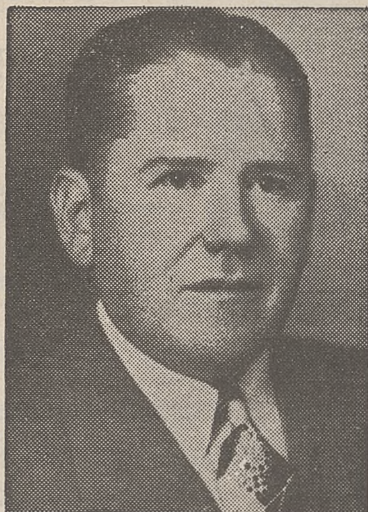


JAN C. MARCIN
Komityman

Jan C. Marcin urodzony i wychowany na Jackowie, Weteran drugiej wojny światowej, graduant De Paul Uniwersytetu, znany powszechnie ze swego czynnego udziału w życiu Polonii jest typowym przykładem młodego pokolenia, które swą pracą i rzetelnością wybija się w tutejszym życiu politycznym.

Na stanowisku komitymana wardy wyróżnia się swą znajomością jej potrzeb. Dobro mieszkańców jest jego głównym celem i zadaniem. Jego stałe zabiegi o polepszenie ulic, oczyszczenie parków i zaułków, dążenie do zapewnienia jak największych wygód i bezpieczeństwa mieszkańcom i ochrony ich własności, a przede wszystkim walka z gemblerką — są widoczne i przynoszą rezultaty.

Jest on chlubą 35-tej wardy. Szczyci się ze swojego polskiego pochodzenia. Doskonale włada językiem polskim. Mieszkańcy 35-tej wardy widzą w nim swego przyszłego lidera.



P. J. CULLERTON

ALDERMAN 38-EJ WARDY

Oraz Komityman Demokratyczny Tejże Wardy oraz Przewodniczący Komitetu Finansowego w Radzie Miejskiej Miasta Chicago.

Wszystkim Moim Współobywatelom
Szczególnie Obywatelom Polskiego Pochodzenia
życzę

Niech wszystko to, do czego dążycie i staracie się stanie się dla Was rzeczywistością i osiągniętym celem.



FRANCIS X. CONNEL

KLERK SĄDU OKRĘGOWEGO

**oraz Komityman 37 Wardy
z Partii Republikańskiej**

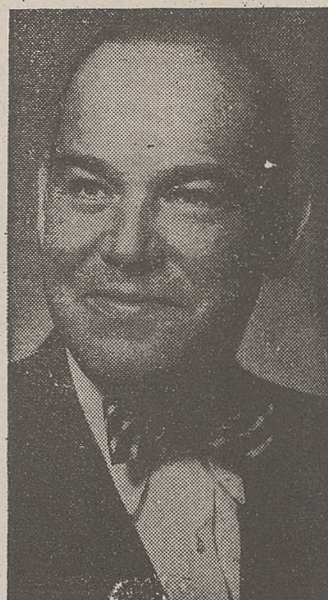
Znany jest on również jako jeden z tych, którzy nie słowem, ale czynem popierają sprawy naszej Polonii.



Ald. Józef P. Rostenkowski

32-giej Wardy i Demokratyczny Komityman tejże Wardy.

Jeden z najpopularniejszych naszych rodaków. Sprawy naszej Polonii zawsze szczerze i życzliwie popiera z całego serca zawsze i wszędzie. Dlatego godny jest on naszego poparcia całej Polonii we wszelkich jego zamiarach.



TAD. J. ZAREMBA

**SKARBNIK-SUPERWIZOR
MIASTA CICERO, ILLINOIS**
oraz
**DEMOKRATYCZNY KOMITYMAN
TOWNSHIP OF CICERO**

Zawsze oddany dla dobra Sprawy Polskiej i zawsze popiera wszystko co polskie.

Serdeczne Życzenia 1955

składa



JAMES B. BOWLER

Kongresman 7-go Dystryktu Illinois

— i —

Demokratyczny Komityman Wardowy



THADDEUS V. ADESKO

SĘDZIA
SĄDU WYŻSZEGO
POW. COOK, ILL.

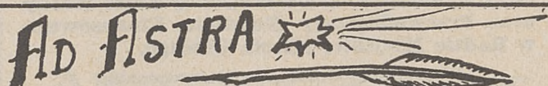
Przewodniczący Sejmu
30 i 31-go Z. N. P.

Wiceprezes Zarządu Wykonawczego
Kongresu Polonii w Ameryce
Członek Grupy 77-ej Z.N.P.



Stanisław i Maria Piwowarczyk

2152 N. Lockwood Ave.
GROSERNIA I BUCZERNIA
Telefon NAtional 2-4391



Polska Spółdzielnia Wydawniczo-Księgarska oraz Stała Wystawa i Sprzedaż Dzieł Sztuki Polskiej.

1153 MILWAUKEE AVE, CHICAGO, ILL.
Tel. EV. 4-6446.

GREETINGS ON THE OCCASION
OF YOUR 75 ANNIVERSARY



CONGRESSMAN

WILLIAM E. McVEY

4-TH DISTRICT, ILLINOIS

With All Good Wishes For A Successful Almanac And Yearbook



FRANK V. ZINTAK

DEMOKRATYCZNY
KOMITYMAN 12-EJ WARDY

Członek ZNP. oraz wielu polskich organizacji Energiczny z długoletnim doświadczeniem i dbały gospodarz, który dba o porządek i dobro obywateli swojej Wardy.

Dr. P. J. Kmieck

2616 West 14th Street
Cleveland, Ohio

Godziny: 4 do 8-ej wieczorem

Dr. J. P. Sakowski

20 WEST 22nd ST. Bayonne, New Jersey

Godz. Biur. 1, do 3 po poł. i 6:30 do 8 wiecz.
Codziennie z wyjątkiem środy i niedzieli

DR. WALTER J. ŚWIATEK

OPTOMETRYSTA

2201 WEST CERMAK ROAD

Długoletnie doświadczenie. Pierwszorzędne przyrządy do badania wzroku i gruntowna wiedza. Grzeczna staropolska obsługa i fachowe dopasowanie okularów.

METROPOLITAN STATE BANK BLDG.

Telefon VIrginia 7-6592

Dr. C. Michel

OPTOMETRYSTA

4654 So. Ashland Avenue

YArds 7-6616

Godz.: 10 rano do 8:30 wiecz. i w środę 10 rano do 12 w południe.



DR. WILLIAM PYKA

6815 Grand Ave. Maspeth, L. I., N. Y.
Godz. wtor., czwart. 12-2, 6-8; sob. 10-1

320 Second Ave. New York, N. Y.
Pon., środy i piątki 12-2, 6-8

Dr. Henry C. Lewandowski

PHYSICIAN AND SURGEON

2800 W. 59-ta ULICA Tel. WAlbrook 5-0550

Dr. B. Pierzyński

LEKARZ i CHIRURG

3229 South Morgan Street
Telefon VIrginia 7-1188

Godziny: 3 do 5; 7 do 9-ej wieczorem,

Środy i Soboty za Umówieniem

COMPLIMENTS OF

C. D. L. B.

DR. J. E. ZAREMBA

1922 West Division Street
Telefon HUmboldt 6-1757 Chicago 22, Ill.

Godziny biurowe: 10-12, 2-4 i 6-8 wieczorem
W Niedziele za umówieniem tylko

Dr. P. J. ORZYNSKI

LEKARZ I CHIRURG

Długoletni Związkowiec

1033 West Chicago Avenue
Telefon HAymarket 1-6041
(Blisko Milwaukee Avenue i Ogden Avenue)

GODZINY PRZYJĘĆ:
Od 2-ej do 4-ej popołudniu i od 7-ej do 9-ej wieczorem, oprócz Środy, Niedzieli i Świąt oraz Soboty Wieczorem.

Dr. Stanley M. Kozioł

LEKARZ i CHIRURG

1084 MILWAUKEE AVENUE

BRunswick 8-0280

Tysiące zadowolonych pacjentów wychodzi

z Biura Optometrycznego

pnr. 1212 No. Ashland Ave.

które prowadzi

Dr. Kazimiera J. Sajewska

Zasyłam także powodzenia z okazji Diamentowego Jubileuszu dla Z.N.P.

Telefon HUmboldt 6-3227



SUPREME SAVINGS

składa serdeczne życzenia dalszego rozwoju w Roku 1955

Oszczędzajcie w Największej Polskiej Spółce w Town of Lake

Dywidendy są Płatne 29 Grudnia i 29 Czerwca

Każde Konto Zabezpieczone
Przez Asekurację Federalną do Sumy $10,000

ZASOBY PRZESZŁO $11,000.000

SUPREME

SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

1751-755 W. 47th STREET CHICAGO, ILL.

Telefon YArds 7-3895

Zarząd i Dyrekcja

IGNACY ŚCIGALSKI, Prezes
PIOTR RADOCHOŃSKI, Wiceprezes
PIOTR P. KEZON, Sekretarz-Kasjer
ALDONA FERENC, Asyst.Sekr.
PAWEŁ KUBALICA, Dyrektor
JAN KRZYKOWSKI, Dyrektor
FRAN. PORADZISZ, Dyrektor
WOJCIECH WĄNAT, Dyrektor
STANISŁAW JOSEK, Dyrektor
STEFAN DOMIŃSKI, Dyrektor
IRENA KONECKA, Klerk
CZESŁAWA MESEVICH, Klerk
CZESŁAW T. NIEDZIAŁEK, Klerk
MAŁGORZATA ZWARYCZ, Klerk
ANNA M. GLISTA, Klerk
BOBETTE OBECUNAS, Klerk
LILLIAN B. KALISKI, Klerk



SERDECZNE ŻYCZENIA
ZWIĄZKOWI NAR. POLSKIEMU
I POLONII
składają

Paulina Rytel, M. D.

Godziny od 2-ej do 4-ej popołudniu
2424 NORTH KEDZIE BOULEVARD

Aleksander Rytel, M. D.

WICKER PARK MEDICAL CENTER
1530 N. DAMEN AVE. CHICAGO, ILLINOIS

DR. EDWARD F. DOMBROWSKI

1530 N. DAMEN AVENUE

BRunswick 8-2770 — Chicago, Ill.

Godziny Przyjęć: 2—4 popoł.; 7—9 wieczór,
Oprócz Środy, Niedzieli i Świąt



Dr. T. Giese
Dr. H. Fisher
Dr. L. Mandernack
Dr. J. Kuzera

Telefon Harvey 4383

15309 CENTER AVE.

HARVEY, ILL.

Przyjmują tylko za poprzednim umówieniem



Mueller Bros. Laundry

Zaoszczędzicie w Gotówce i Dostawie do 20%
Bielizna Biała Jak Śnieg. — Pachnącą Jak Kwiaty!

2139 So. California Ave. Tel. BIshop 7-6277



Jan Nowak, D. C

JAN NOWAK
D. C.

CHIROPRAKTOR
1200 No. Ashland Ave.
w Budynku Bankowym
Pokój No. 502
Tel. BRunswick 8-0321
CHICAGO, ILLINOIS

Godziny Biurowe: od 1—4ej i 6—8ej wiecz
Jedyny Polski Chiropraktor z 25-letnim doświadczeniem na północno-zachodniej stronie miasta

Już od lat obsługuję
Zawsze świeżym i smacznym Pieczywem zawierającym najważniejsze składniki odżywcze — chleb, bułki i inne ciasta, słynne w Chicago i okolicy wypiekane przez

ROSEN'S BAKERY

2549 W. Division Street

Tel. HUmboldt 6-1433

AUGUSTA & PAULINA SERVICE STATION

1700 W. Augusta Blvd., róg Paulina Ulicy
Telefon HUmboldt 6-9768

Produkty Standard Oil Co. Najlepsza gazolina, olej i smary. Obsługa szybka i grzeczna.

Dziękujemy za dotychczasowe poparcie i polecamy się nadal łaskawej pamięci.

JOSEPH KILLIAN, Właściciel



Telefon:
South Chicago 8-6331

CALUMET FEDERAL SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION OF CHICAGO

Spółka Calumet przeszło 40 lat w interesie.
Płaci 3% i udziela pożyczki na realności na pierwsze hipoteki w Chicago i okolicy

MAJĄTEK PRZESZŁO $12,000.000
8905 COMMERCIAL AVE.

Najlepsze życzenia dla wszystkich z Polonii

A. F. SHAW & CO.

GENERAL INSURANCE

175 W. JACKSON BL.

WA. 2-1068

Najstarsza Firma Realnościowa i Asekuracyjna

W. Stanczewski Co.

1352 No. Ashland Ave.

Chicago, Ill.

Telefon ARmitage 6-2500



Członek Chicago Real Estate Board. Jeżeli macie co do sprzedania lub chcecie kupić dom, Wasz rodak da wam pierwszorzędną obsługę. Zwróćcie się do niego z całym zaufaniem, a napewno zaoszczędzi Wam wiele pieniędzy.



Continental Savings and Loan Ass'n.

OSZCZĘDZAJCIE WIĘCEJ
$ $ $



ZAROBICIE WIĘCEJ
$ $ $

OTWÓRZCIE SOBIE KONTO DZISIAJ—DYWIDENDY WYPŁACANE CO 6 MIESIĘCY

V. D. GAPSEWICZ, Prezes — V. P. PIERZYŃSKI, Sekr.

4559 S. PAULINA STREET — CHICAGO 9, ILLINOIS

YArds 7-0145

AMERICAN GLASS CO.

1030-42 North North Branch Street

Chicago, Ill.

Rezerwacje na Najbliższą

WYCIECZKĘ DO EUROPY SAMOLOTEM LUB OKRĘTEM

Którąkolwiek linią i kiedykolwiek
Róbcie już teraz
Przez Doświadczonych Agentów

BASTA-MUSIL & CO.

COMMERCIAL & TOURIST BUREAU

3919 West 26th St — Chicago 23, Ill.
Tel. CRawford 4800-4801

Paczki z Darami i Certyfikaty do CAŁEJ EUROPY Czeki Podróżne—Bilety—Affidawity—Asekuracja—Notariusz. Załatwiamy rachunki za Gaz, Elektryczność, Telefon i za Wodę.



POLSKA PRALNIA

Alba Laundry

DRY CLEANING

738-40 No. Elizabeth

Telefon MOnroe 6-5071-2

Najnowsza Pralnia — Najnowsze Maszyny
Fachowi Pracownicy
Bielizna Bielutka Jak Śnieg. Grzeczna Obsługa

Właśc. Józef Kozdroń i Franciszek Kołodziej







RADNICE

Savings & Loan Ass'n.

3919 West 26th Street

Tel. ROckwell 2-1264 — Chicago, Ill.

Wypłacamy dywidendę po racie 3% na wszystkich kontach oszczędnościowych. Rządowa asekuracja na każdym koncie aż do $10,000.

UDZIELAMY DŁUGOLETNIE POŻYCZKI NA DOMY

Na Usługach Publiczności od 43 Lat
Zasobów Ponad Sześć Milionów Dolarów

CLEMENT & COMPANY

REAL ESTATE - INSURANCE - TAX SERVICE

C. P. Gosiewski — W. A. Budzyn

3708 W. Diviersey Avenue — Chicago, Ill.
Telefony: ALbany 2-2371 i HUmboldt 9-1099

HUmboldt 6-1232 — P. MARHOEFER, właśc.

CHICAGO BAKERY

Specjalizujemy się
W CIASTACH MAŚLANYCH I Z BITĄ ŚMIETANĄ
Na Wszelkie Okazje

1577 Milwaukee Ave. — Chicago 22, Illinois

WSZELKIEGO RODZAJU MARYNATY PRODUKOWANE NA SPOSÓB STAROKRAJSKI I TUTEJSZY, PRZEZ NAJWIĘKSZĄ POLSKĄ FABRYKĘ MARYNAT W CHICAGO



OGÓRKI
KAPUSTA
OLIWKI
KORNISZONY
CATSUP

MUSZTARDA
OGÓRKOWY
"RELISH"
OCET



Pasier Products Co., Inc.

1670-90 Elston Avenue

Chicago 22, Illinois **Telefon: HUmboldt 6-8060**

JAN GAWEŁ, prezes

Doskonały sposób przyrządzania marynat, jak i niezrównany ich smak, zdobył jaknajlepsze zaufanie wśród Polonii amerykańskiej, jak i obconarodowców.

NAJWIĘKSZA POLSKA PIEKARNIA



Stanisław Grzegorczyk

W CHICAGO, ILLINOIS

ZDROWE I SMACZNE
PO STAROKRAJSKU PIECZONE

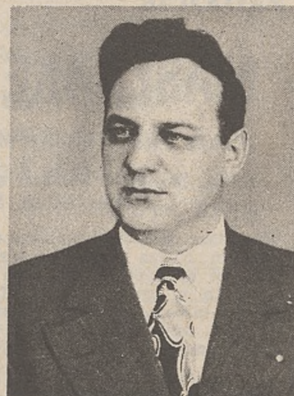
CHLEBY — CIASTA I TORTY

Znane są doskonałości po całym Chicago i Okolicy. Zapewniamy szybką obsługę na Wesela—Przyjęcia—Zabawy.

Na Każdym Polskim Stole Powinien Być P. W. Polski Chleb.

P. W. BAKING CO.

2500 W. Chicago Avenue
Telefon: HUmboldt 6-7766
Chicago 22, Illinois



Bolesław Mianowski

Steinbrecher's Recreation

Wilson Steinbrecher, Mgr.

2624-26 WEST CERMAK ROAD
BIshop 7-9676

THE ZGODA INN

TAWERNA

KAROL i HELENA KWIATKOWSCY, Właśc.
SALA DO WYNAJĘCIA—WYBOROWE TRUNKI
1219 BOSWORTH AVENUE
Tel. HUmboldt 6-9885



DOSKONALE WYKONANE I DOPASOWANE

Wszelkie Zamówienia Wykonuje

ZNANA FIRMA

NEMECEK BROS.

SKŁAD PIERWSZORZĘDNYCH UBRAŃ MĘSKICH

U nas zawsze można kupić doskonałe Ubrania, Płaszcze na wszystkie Pory Roku po Umiarkowanych Cenach. Także uszyjemy Wam doskonałe Ubranie do Waszej figury na zamówienie.

2700 S. Drake Ave.
CHICAGO, ILL.

6908 W. Cermak Rd.
BERWYN, ILL.

Tel. BIshop 7-8111

Już od wielu lat obsługuje ku najpełniejszemu zadowoleniu Polonię w Cicero, Illinois

SKŁAD ŻELAZTWA I PRZYBORÓW DOMOWYCH

W. T. CHOJNACKI & SON

PAINTS—HARDWARE
ELECTRIC APPLIANCE

2900-02 So. 48th Court
Cicero 50, Ill.

Telefon OLympic 2-3205

REPERUJEMY i KŁADZIEMY
NOWE DACHY

Wykonujemy wszelkie roboty blacharskie

STANISŁAW C. LEŚNIAK

właściciel

Firmy Pokrywania Dachów

1802-1806 West 18th Street
Chicago, Illinois

Telefon CAnal 6-0569

Robota Pierwszorzędna i Gwarantowana
Obliczenia Darmo **Ceny Niskie**

Od lat obsługuje Polonię ku pełnemu zadowoleniu

NIEDERMAN FURNITURE AND CARPET COMPANY

1425 Milwaukee Avenue
Telefon: HUmboldt 6-7851-52
Chicago, Ill.

Najlepsze Meble Dla Całego Waszego Mieszkania.

Słuchajcie co niedzieli naszego programu radiowego Niny Czuwarowej ze stacji WGES od 2:30 do 3 popoł.

SENOLA

HERBATA ZIOŁOWA

Znana i Ceniona od 40tu Lat

Fenomenalny środek leczniczy, usuwa bezwzględnie szybko i skutecznie wszelkie zaburzenia żołądkowe jak zatwardzenie, gazy i kwasy żołądkowe powodujące tak zwaną zgagę oraz niestrawność.

Przyjemna w smaku—łatwa w użyciu.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH APTEKACH

CENA 50 CENTÓW

lub w składzie w Chicago, 814 N. Ashland Ave.

ZDEFORMOWANE STOPY

MOGĄ BYĆ NAPRAWIONE PRZY UŻYCIU ORTOPEDYCZNEJ WIEDZY—W SPECJALNYM DOPASOWANIU OBUWIA.



W SKŁADZIE

BACHTA BOOTERY

1741 W. CHICAGO AVE.
Chicago, Illinois



EUROPEJSKI
SKŁAD
SMACZNYCH
WĘDLIN

PIOTR SMOLUCH

1500 WEST DIVISION STREET
Telefon HUmboldt 6-2493
Chicago, Illinois



Otwórzcie Konto
Oszczędnościowe

JESZCZE
DZISIAJ

W SERCU
ŚRÓD-
MIEŚCIA

DLA PEWNOŚCI— dla niezawodnych, a poważnych zysków, oraz dogodnego położenia — oszczędzający przychodzą do Bell Savings od przeszło ćwierć wieku.

Teraz przychodzą oni także i dlatego, aby korzystać z najrozmaitszych udogodnień i usług, jakich możemy im dostarczyć w naszych nowoczesnych biurach.



BELL SAVINGS and LOAN ASSOCIATION

Monroe at Clark, Chicago 3 FInancial 6-1000

PYTAJCIE SIĘ O
NAJLEPSZĄ SODĘ I LEKKIE NAPOJE
Polskiej Firmy



POLONIA BOTTLING CO.

1912 WEST HUBBARD STREET
TEL. SEELEY 3-5933 CHICAGO, ILL.

Walter G. Orszula, Inc.

BUILDER OF FINE HOMES



Telefon OLympic 2-4173
5807 WEST 35TH STREET CICERO 50, ILL.
WYBUDUJE WAM NAJPIĘKNIEJSZY DOM
PO PRZYSTĘPNEJ CENIE
na waszej parceli, lub przez na wam pokazancj.

Składajcie Wasze Oszczędności
w Waszej Przyjacielskiej



SECURITY



FEDERAL SAVINGS

Bezpiecznie Asekurowanej Do $10,000.00
Zasobów Przeszło $7,000,000

Security Federal Savings AND LOAN ASSOCIATION

1541-43 W. DIVISION ST.
IVAN KOVAC — Sekretarz i Skarbnik



ROMAN KOSINSKI

Fachowa Naprawa Zegarków
Brylanty, Zegarki, Biżuteria
1030 MILWAUKEE AVE
Telefon: ARmitage 6-3038

ALEX F. BORUCKI

REALNOŚCIOWIEC UBEZPIECZENIE
Zarządca Działu Realnościowego
3213 MILWAUKEE AVENUE
SPring 7-3434

DR. CLIFFORD A. GRAND
522 WEST SECOND STREET
Ashland, Wisconsin
Poniedziałki, Środy i Czwartki od 1:30 do 5-tej pop.
Iron River, Wisc.—godziny od 9 rano do 12 w połud.
Wtorki i piątki każdego tygodnia.

WYBÓR i SPRZEDAŻ
PIERWSZORZĘDNYCH WĘDLIN
SMACZNE PIEROGI
A. SZADZIEWICZ
3034 W. CERMAK ROAD
Telefon: BIshop 7-6222
Chicago, Illinois

KUPNO — SPRZEDAŻ — ZAMIANA
BUDYNKÓW, SZYBKO I SUMIENNIE
M. K. REALTY CO.
1229½ N. Ashland Ave,
ARmitage 6-1248

KLYSZCZ FEATHER CO.
355 N. LAFLIN STREET
SPRZEDAŻ I ZAKUP PIERZA

POZDROWIENIA ZASYŁA
DR. A. S. MIODUSKI
9036 COMMERCIAL AVENUE
CHICAGO, ILLINOIS



Compliments of Morris B. Sachs



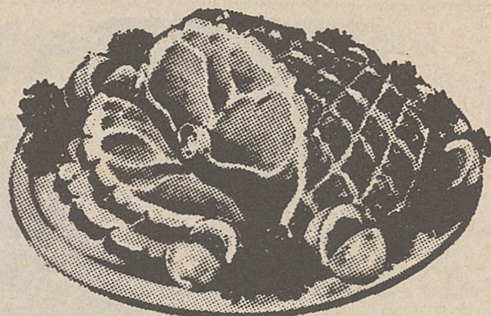
Dr. B. J. TATAROWICZ
Naczelny Lekarz Macierzy Polskiej
On zawsze popiera wszystko co polskie i co jest z polskością związane.

Streptomycyna-Rimifon,
Penicylina,
Insulina,
Witaminy
i Leki . . .



Pakujemy i wysyłamy do Europy Rimifon, który jest jednym z najnowszych i najskuteczniejszych środków na GRUŹLICĘ, jest bardzo pożądany w Polsce.

TYSIĄCE ZADOWOLONYCH KLIENTÓW
OD 1920 ROKU
UNIVERSAL MEDICINE CO.
JAN KUKLIŃSKI
DYPLOMOWANY APTEKARZ
1901 W. DICKENS AVE.
Tel. BRunswick 8-4360 Chicago, Ill.









Acorn Roofing Supply Co.

2655 W. 48th St.
Chicago 32, Illinois

Washtenaw & 48th St.
Tel. YArds 7-5851

H. E. LENZ, Prezes

HURTOWNI DYSTRYBUTORZY

ASPHALT PRODUCTS

WŁAŚCICIELE DOMÓW! — Wasz Dom jest waszą chlubą. Nie zaniedbujcie go. Obsługujemy wielu odpowiedzialnych kontraktorów, którzy pomogą Wam w rozwiązaniu Waszych problemów w pokryciu dachów, siding i izolacji.



KAROLINA BUDZ

Wiceprezeska Kongresu Polonii
Na Stan Illinois
Wiceprezeska Gminy 39 Z. N. P.
Kasjerka Tow. Białego Orła, Gr. 2727 Z. N. P.

Prowadząca Piękną Gospodę
5200 SOUTH WESTERN AVENUE

Gdzie zaprasza wszystkich do swego Nowego Lokalu
Tam spotkacie swych Znajomych i Przyjaciół.
DOSKONAŁE NAPOJE TAK KRAJOWE
JAKO TEŻ IMPORTOWANE

Tel. GRovehill 6-2046

MIESZKAJCIE w YMCA



1621 W.
Division St.

w Samym Centrum Polonii
Wszelkie Nowoczesne Urządzenia Jak
Pływanie, Prysznice, Sale Gimnastyczne,
Rekreacyjne, oraz Duża Chłodnym Powietrzem Ochładzana Kafeteria ze Smacznymi
Polskimi Potrawami.

Pytajcie się o Nasze Wygodne Pokoje po bardzo przystępnych cenach

Division Street Department,
Young Men's Christian Association
of Chicago

Division and Ashland Avenues
Chicago, Ill.

GEORGE E. ANDERSON
Chairman of the Board of Directors
RICHARD A. MASKE, Executive Secretary







OSZCZĘDZAJCIE BEZPIECZNIE W FAIRFIELD

Wasze Oszczędności Są Zaasekurowane do Sumy $10,000
Przez Agencję Federalną

—JESTEŚMY ZAWSZE GOTOWI DO USŁUG—

- **UDZIELAMY POŻYCZKI REALNOŚCIOWE NA PIERWSZE MORGECZE, ZA NISKIM OPROCENTOWANIEM.**
- **SKRZYNKI BEZPIECZEŃSTWA DO WYNAJĘCIA**
- **WYMIANA CZEKÓW I INNE USŁUGI.**

FAIRFIELD SAVINGS & LOAN ASSOCIATION

MILWAUKEE-NORTH I DAMEN AVENUES
Chicago, Illinois

EVerglade 4-3600 **Zasoby przeszło** $28,000,000.00

ZAŁOŻONA W ROKU 1901